
VE RI
TAS

OBRAZKI SYBERYI.

OBRAZKI SYBERYI

PRZEZ

LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO.

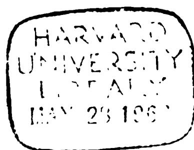
ILLUSTROWAŁ

E. M. ANDRIOLLI.



WARSZAWA.
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA
Nowolipki Nr. 2406 (3 nowy).

1875.



Дозволено Цензурою
Варшава 10 Апрѣля 1874 года.

I.

STUDIA ETNOGRAFICZNE.

PIÉRWOTNE PLEMIONA SYBERYI.

Stan Syberyi przed przyłączeniem téj ziemi do mocarstwa rossyjskiego. Rozwój kultury i rolnictwa w miejscowościach, zamieszkiwanych przez napływową ludność. Przyczyny stagnacyi u piérwotnych plemion. — *Tunguzy*: ich obyczaje, język, zajęcia i koczowiska. Szamanizm tunguzki. Leczenie chorób. Chowanie umarłych. Pieśni. Stosunki małżeńskie. Przywiązanie rodziców do swoich dzieci. Przykłady tego przywiązania. — *Gilliaki*. Ich położenie geograficzne. Przyłączenie Amuru do Rossyi. Skryty, tajemniczy i nieodgadniony charakter mieszkańców téj ziemi. Obecny stan nadamurskich prowincyj. — Pokolenia *Samagrów*. – *Buryaty*: krwiożercze ich chucie i dzikość. Przykład niedostępności cywilizujących wpływów na tych stepowców. Buryaty-buddaiści. Opis obrządków buddyjskiego wyznania. — *Sajańcy*: pochodzenie tych ludów. Historya Mongolii. Obyczaje i charakter Mongołów, sajańskie góry zamieszkujących. — *Jakuty*: odosobnione ich położenie, dobroć i łagodność. Przykłady niezwykłe, cierpliwość Jakutów. Ich baśnie i opowiadania. Resztki wygaszającego plemienia *Czukczów*:—*Kamczadale*. – *Ostyaki*: ogólne zarysy ich obyczajów. Krańcowa północ. Klimat koła biegunowego. Turuchańsk. Klasztor wśród wiecznych lodów.—*Tatarzy* azyatyccy. Prawdopodobieństwo stosunków ich z Dżingishanem. Sądy stepowe. Wnętrza jurt. Stosunek kobiét do mężczyzn. Szamanizm tatarski. Wypędzanie nieczystych duchów przy umiérających. Obchody małżeństw u Tatarów. Kumys. Starożytna legenda. Domniemywania historyczne.

Nie tak dawno jeszcze, Syberya nie posiadała ani miast ani wiosek, ani nawet domów mieszkalnych. Stepy jéj nie były poprzecinane żadnemi drogami do komunikacyj służącemi, ani urozmaicone widokiem łanów uprawnych, okazujących trudy rolnika; ślad myślącéj istoty nie istniał tam

wcale. Wszędzie, gdzie tylko oko spocząć mogło, rozciągała się niezmierna pustynia, kryjąca w wnętrzu tajg swoich i stepowych obszarów życie odosobnionego od reszty świata mieszkańca tych krajów podbiegunowych. Na zachodzie żyli Tatarzy, na północy Ostyaki, na południu Sajańcy, Buryaci, w środkowych ziemiach Tunguzy, Jakuci: wszyscy oni trudnili się polowaniem, rybołówstwém, chowem zwierząt, przenosząc z miejsca na miejsce swoje koczowiska, rządząc się prawami dzikiemi, przez siebie utworzonemi, w których siła stanowiła władzę, przewaga fizyczna sprawiedliwość, a rozkiełznane namiętności codzienny tryb życia. Przed srogością klimatu chronili się w norach ziemi lub téż budowali szałasy z kory drzew, odziewali się w skóry zabitych przez siebie zwierząt, poświęcali bóstwom krwawe ofiary; czcili w zwierzętach siłę, w słońcu światło i ciepło, w księżycu ponury blask i wpływ na ruchy wód morskich. Dzieje ich, wzajemne stosunki, walki, jakie pomiędzy sobą staczali, zupełnie są nieznane; u tych bowiem samorodnych dzieci pustyni, żywe słowo tradycyi, niosące z pokolenia w pokolenie czyny przodków, nie miało nigdy miejsca— z kończącém się życiem starca kończyła się i jego przeszłość, a nowo wzrastający potomkowie, wegetowali daléj jednostajnym trybem, nie starając się ani o ulepszenie swojego losu, ani téż troszcząc o to, co było przed nimi.

W końcu zeszłego stulecia, za panowania Katarzyny II, nieznane te i oddzielone od reszty świata kraje podbite zostały pod panowanie Rossyi. Za postępującemi szeregami wojsk postępowała zarazem i cywilizacya europejska. A najprzód jawiły się tłumy ludzi pragnących szukać szczęścia w kolonizowaniu prawiczéj ziemi, i mnóstwo zesłanych za karę przestępców, którym naznaczano te podbiegunowe strony na nową ojczyznę. Ludzie ci, obznajmieni z dobrodziejstwami kultury, zastosowywali natychmiast do nowego swego położenia wszelkie postępowe ulepszenia, jakie z dawniejszego swego życia zapamiętali. Wzięli się do uprawy roli, zaczęli budować domy mieszkalne na sposób europejski. Piérwotne te osady, najczęściéj nad brzegami rzek i w miejscowościach dogodniejszych dla osiedlenia powstałe,

zamieniały się stopniowo w wioski, miasta i grody—w miarę powiększania się napływowéj ludności zakwitł przemysł i rękodzieła, powstał handel, potworzyły się drogi i trakty komunikacyjne, a plemiona piérwotne, zdumione i zatrwożone temi niepojętemi dla nich objawami, cofnęły się w niedostępne tajgi, w stepy dotąd ludzką stopą nie tknięte. Tak się miały rzeczy przed stu laty; z upływem jednak czasu, pokolenia te zaczęły stopniowo zbliżać się do opasującéj je zewsząd cywilizacyi — wielu z nich przyjęło wiarę chrześciańską, wielu zawiązało stosunki wymiany handlowéj z przybyszami, niektórzy nawet, ciśnięci zewsząd nowym żywiołem, przyjęli obyczaje europejskie. Ale to były wyjątki, większa bowiem ich część pozostała dotąd tém, czém była przed laty, a wszelkie środki przedsięwzięte przez rząd—ażeby skłonić stepowców do ulepszenia ich bytu, okazały się bezskutecznemi. Przywykli do życia koczującego, nie chcą nigdy budować drewnianych domów, i osiedlać się stale w naznaczonych dla nich miejscowościach; zamiłowani w myśliwstwie i rybołówstwie, uważają uprawę roli jako niepotrzebną, zbyt wiele pociągającą za sobą trudów i znojów; przywiązani do szamanizmu, jego guseł, dzikich praktyk, przyjmują nie chętnie wiarę chrześciańską, a przyjąwszy takową pozornie, pozostają w gruncie serca wierni dawnym uprzedzeniom. Władze miejscowe, nie chcąc od razu zrazić zbytnią surowością tych dzieci natury, tolerują wiele z ich zwyczajów i przesądów, prześladując tylko niektóre nazbyt dzikie i rażące obrządki, jak np. krwawe ofiary z ludzi, nakazywane przez ich patryarchów, samobójstwa, samowolne kary śmierci i bolesne tatuowanie ciał. Dotąd np. inorodcy, oprócz uznanéj władzy mają swoich własnych naczelników z pomiędzy siebie wybiéranych, którzy sądzą ich sprawy, wymierzają kary cielesne, i zajmują się wewnętrzną administracyą koczowisk i auł — podatki z nich przez rząd pobiérane przyjmują się, jako od nieznających piéniężnego kursu, skórami dzikich zwierząt, a na szamanizm zwiérzchność patrzy jeżeli nie nader chętnie to przynajmniéj pobłażliwie, wiedząc, że aby wyplenić do gruntu te zabytki barbarzyństwa, potrzeba nie tyle siły i przy-

musu, jak raczéj czasu i stopniowego wpływu łagodzącéj wszystkie niedostatki cywilizacyi.

Pomiędzy licznemi plemionami ziemię syberyjską zamieszkującemi, Tunguzy nietylko liczbą ale wrodzonemi zdolnościami piérwsze miejsce zajmują. Koczowiska ich rozciągają się na całéj środkowéj przestrzeni jenisiejskiéj gubernii pomiędzy turuchańskim okręgiem a krańcowém południem, także i na północno-zachodnim brzegu Bajkału w irkuckiéj gubernii. W stosunkach moich z różnemi szczepami inorodców syberyjskich, najbliżéj i najlepiéj poznałem Tunguzów: przez długi czas mieszkałem w ich czumach (1) podzielałem ich zajęcia i myśliwskie wyprawy, a rozumiejąc cokolwiek język tunguzki, miałem przez to samo sposobność do wtajemniczenia się w domowe życie tych pokoleń.

Ludność auł, położonych bliżéj kopalń, przyjęła wiarę prawosławną, ale z powodu rzadkich stosunków z cerkwią, do któréj udaje się zaledwie raz na rok przy wycieczkach swoich w sułgany, dogmata religijne zupełnie są jéj nieznane. Tunguzy żegnają się mechanicznie, nie wiedząc nawet co oznacza znak krzyża świętego, wierzą w dobrego i złego boga, powróciwszy do swych koczowisk wykonywają przepisy i obrządki szamanizmu; jedyną tylko cechą, jaka wyróżnia tych neofitów od braci ich nie przyjętych na łono kościoła, są imiona patronów świętych jakie na chrzcie otrzymali, a które starannie w dalszém swém życiu zachowują. Natomiast mieszkańcy auł daléj od sułganów i złotych kopalń znajdujących się, nie posiadając nawet tych powierzchownych oznak religii Chrystusa, wyznają wyłącznie szamanizm. Po narodzeniu się dziecka, nadają mu imię piérwszego lepszego przedmiotu jaki ojciec niemowlęcia wyszedłszy z czumy spostrzeże, np. drzewa, rzeki, zwierzęcia, góry i t. d. Wprawdzie wszystkie piérwotne narody używają tego sposobu nadawania przydomków swoim dzie-

(1) Czumy są to budowle przenośne Tunguzów.
Przyp. aut.

ciom, lecz ludy odznaczające się pewném ukształceniem wybiérały zawsze nazwy duchowe, gdy przeciwnie mieszkańcy dzikich pustyń i niedostępnych stepów zadawalniali się jedynie przedmiotami pod zmysły podpadającemi. U piérwotnych izraelitów były nazwy Izrael (przemagający Boga), Benjamin (syn boleści); u Tunguzów szamanistów widzimy tylko Zug-li (psa), Zug-ana (kota), War-to-a (górę) i t. d. Słowem ani jednego określenia, któreby dało poczucie jakiegokolwiek polotu myśli, jaknajbardziéj ograniczonego zastanawiania się nad moralnemi czynnikami życia.

Ze wszystkich narzeczy piérwotnych plemion Syberyi, język tunguzki najwięcéj jest zbliżony do chińskiego; tak samo tu jak i w mowie chińskiéj znaléźć można mnóstwo jednosylabowych wyrazów, łączących się wzajemnie pomiędzy sobą, i tworzących przeróżne kombinacye; tak samo rzeczowniki nie mają przypadkowania i rodzajów, a słowa czasowania; tak samo na oznaczenie cnót, występków i w ogólności wszystkich określeń pod zmysły nie podpadających, należy częstokroć szukać źródła w zmysłowych przedmiotach (1); samo zaś brzmienie tunguzkiego narzecza tak jest podobném do brzmienia języka mieszkańców państwa niebieskiego, że nieznający tych dwóch zupełnie odmiennych od siebie mów, nie zdoła nigdy jednéj od drugiéj odróżnić. Nietylko podobieństwo języka ale i rysy twarzy Tunguzów, każą mniemać, że szczep ten, równie jak plemię Gilliaków w nadamurskiéj prowincyi zamieszkałych, jest pochodzenia mandżurskiego; kiedy inne plemiona piérwotne Syberyi zachowują nietylko w mowie ale i w całéj swéj powierzchowności typ mongolski. Tunguzy w ogolności są wzrostu średniego, twarzy okrągłéj z wystającemi policzkami; czoło u nich szérokie, oczy wązkie i skośne, nos płaski, wargi grube. Włosów swoich nie czeszą i nie strzygą, brody sta-

(1) Np. *szam*, kolor czarny, oznacza jednocześnie zbrodnię, występek, podłość; *si*, biały kolor—cnotę, szlachetność, dobroć. Inne przymioty lub wady mianują się po prostu nazwiskiem zwierzęcia też wady lub przymioty posiadającego np. *zug-ten*.(lis): chytrość, przebiegłość; *zug-li* (pies): wierność, przywiązanie i t. d.

rannie od młodych lat wyrywają, kobiéty zaś tunguzkie przewiązują swe włosy z tyłu głowy rzemieniem. Tatuowanie (1) u nich prawie zupełnie zarzucone obecnie z powodu przepisów rządowych, które zabraniają używać téj barbarzyńskiéj i bolesnéj operacyi; a jeżeli zdarzy się czasami spotkać tatuowane twarze, to zawsze u ludzi bardzo starych, którzy jeszcze w dawnych, mniéj podlegających konkontroli władz czasach, poddawali się owemu dzikiemu, prawdziwie azyatyckiemu upiększeniu swojego ciała.

Ubiór letni Tunguzów składa się z dziwacznego kształtu zwiérzchniéj odzieży (2), wykrojony z jeleniéj skóry i ozdobiony różnokolorowemi paciorkami, metalowemi kwadracikami i trójkątami i obszyty do koła włosem dzikiéj kozy;—ubiór ich zaś zimowy stanowi rodzaj krótkiego kaftana; spodni i łuntów (obuwia), także ze skóry jelenia. Odzież zimowa Tunguzek w niczém nie różni się od męzkiéj. Wśród auł znajdujących się bliżej złotych kopalń i miejsc przez ludność pochodzenia europejskiego zamieszkałych, strój ten samorodny coraz więcéj zaczyna utracać piérwotne swoje cechy: tu i owdzie widziéć można ludzi tego pokolenia odzianych w surduty, włościańskie chałaty i aziamy (krótkie kaftany z wielbłądziéj sierci), które oni nabywają od robotników, w złotych kopalniach pracujących.

Tunguzy koczują rodzinami w miejscowościach porosłych leśnym mchem, stanowiącym pożywienie dla ich renów. Gdy zaczyna brakować mchu na koczowisku, Tunguz udaje się w tajgi, ażeby wyszukał nowe miejsce. Znalazł-

(1) Tatuowanie u dzikich plemion Azyi północnéj, zupełnie jest różne od tatuowania piérwotnych mieszkańców Ameryki. Karaiby, Szawanesy i inne szczepy indyjskiego pochodzenia, narzynali swą skórę ostremi narzędziami, i w powstałe tym sposobem rany wpuszczali różnokolorowe płyny; — Tunguzy zaś wszywają w swoją skórę cienkie żyły wypróte z zabitych jeleni, tworząc tym sposobem na ciele różne desenie i arabeski.

(2) Chcąc miéć wyobrażenie o kroju zwierzchniego ubrania Tunguzów, wyobraźmy np. sobie dwa rejtroki z uciętemi rękawami, zszyte w równym kierunku, których zaokrąglone poły równie przód jak i tył ciała zakrywają.

szy takowe, wraca napowrót, spędza reny z czumy, a uzbroiwszy się gwintówką, siekierą i palmą (1), otoczony wiernemi swojemi psami, udaje się na wyszukane poprzednio przez siebie obozowisko. Tunguzka, pozostawszy na dawnéj siedzibie, zajmuje się przy pomocy dzieci, jeżeli te są w stanie jéj pomagać, rozebraniem czum i objuczeniem renów częściami ich, jakotéż całym domowym dobytkiem, po dopełnieniu czego udaje się w ślad za swoim mężem. Ten, idąc naprzód, oznacza swój pochód sakmami czyli znakami wyrąbywanemi na drzewach, ażeby rodzina jego nie zabłądziła wśród pustyni leśnéj; a w gęstwach toruje siekiérą drogę dla swobodnego przejścia, prowadzonych za nim przez żonę stad jelenich. Jeżeli przesiedlenie z jednego koczowiska na drugie ma miejsce wśród zimy, torujący drogę Tunguz rozpala od czasu do czasu ogniska, które zostawia za sobą gorejące w dogodnych dla wypoczynku punktach, zapewniając tym sposobem idącéj w ślad za nim rodzinie, możność ogrzania się przy wytchnieniu.

Wszelkie obowiązki domowego gospodarstwa leżą wyłącznie na kobiétach, mężczyźni trudnią się tylko polowaniem i rybołówstwem, a czasami i jakiém do potrzeb codziennych zastosowaném rzemiosłem jak np. kowalstwem. Czumy, czyli przenośne mieszkania Tunguzów, składają się z kilkunastu cienkich drążków, wbijanych pochyło w ziemię i powiązanych u góry łykiem lub rzemieniem, tak, że końce ich wiérzchnie, nie stykając się u góry pomiędzy sobą, tworzą otwór dla wypuszczania dymu od ogniska, które bezustannie goreje w środku téj stepowéj siedziby. Drążki, stanowiące szkielet czumy, pokryte są korą brzozową lub skórami renów, całość zaś téj budowy ma kształt ostrosłupa.

Jak już wyżéj powiedziałem, nawet i ci z nich, którzy przyjęli chrzest święty, nie porzucili zupełnie pogańskich

---

(1) Palma jestto rodzaj noża, osadzonego na długim drzewcu. Broń ta w ręku umiejącego nią władać człowieka staje się nader niebezpieczną. *Przyp. aut.*

swych wyobrażeń, i w każdém pomyślném zdarzeniu życia widzą wpływ dobrego, a w przeciwnościach, chorobach i śmierci, działanie czarnego czyli złego boga. Pojęcia te podtrzymywane są ciągle przez szamanów, mających dotychczas u nich wielkie wzięcie, względy i uważanie. Żaden z ochrzczonych Tunguzów nie przedsięweźmie nic ważnego, bez poprzedniego udania się do tych kapłanów pogaństwa, którzy w celu wywołania pomyślnego skutku odbywają różne czarodziejskie praktyki, za stosowném, ma się rozumiéć, wynagrodzeniem.

Szamanami mogą być równie mężczyźni jak i kobiéty. Sztuki téj uczą się od najmłodszych lat przeznaczone na to dzieci. Oprócz obznajmienia ich z powiérzchownemi formami, obrządkami i kabalistycznemi znakami, stanowiącemi niby podstawę duchowną czarnoksięztwa, poznają one leczebne przymioty różnych ziół, sposoby odgadywania zmian w atmosferze, i przechodów dzikich zwierząt po tajgach. Wiadomości te powzięte początkowo na otwartym stepie, w obec twórczej natury, przy wrodzonym darze obserwacyi, sprawiają, że szamanizm, przechodząc ze starców na dzieci, utrzymuje pod swoim wpływem całe pokolenia piérwotnych plemion Syberyi, a dobroczynny wpływ religii Chrystusa, przebiwszy się z trudnością przez te cienie, nie jest w stanie ogrząć swém zbawienném ciepłem umysły zarażone ciemnotą pogaństwa.

Ubiór szamanów w czasie wykonywania praktyk do ich władzy przywiązanych składa się z szamanika (rodzaj krótkiego kaftana, ozdobionego różnemi brzękadłami) i wysokiéj spiczastéj czapki, obszytéj dzwoneczkami. Podłużny bęben z wyrzniętemi na powierzchni jego hieroglifami jest koniecznym sprzętem przy szamanieniu. Obrządek zaczyna się od rozpalenia ogniska, nad którém szaman, trzymając w jednéj ręce kawałek surowego mięsa, a w drugiéj dłngą pałkę, szepcze różne kabalistyczne wyrazy, i inwokacyje od złych i dobrych bogów, uderzając z lekka pałką w wiszący opodal od niego bęben. Po niejakim czasie uderzenia stają się silniejsze, cichy szept przechodzi w zrozumiale wymawiane słowa. Wyraz twarzy szamana zmienia się co

chwila; z pokorą chyli on swe czoło ku ziemi lub w błagalnéj postawie, wznosząc ręce ku niebu, wzywa dobrego boga o współdziałanie w powziętych zamiarach; z gniéwem, wytrząsając groźnie pięścią, złego boga przeklina, szydzi z jego potęgi, i zaręcza, że zamiary téj nieprzychylnéj człowiekowi istoty ubezwładnione zostaną. Gra fizyognomii i gesta pogańskiego kapłana tak są w czasie trwania wspomnionych inwokacyj i przekleństw wyraziste, tak dobitnie malują miotające nim wewnętrzne uczucia gniéwu lub pokory, złości lub zachwytu, że nawet nieznający tunguzkiego narzecza będąc obecnym przy szamanieniu, pozna odrazu czy wymawiane wyrazy do białego czyli téż do czarnego boga się odnoszą (1)

Daléj, uderzenia pałką w bęben wiszący na gałęź i drzewa są jeszcze mocniejsze, i następują coraz szybciéj jeden za drugim; gniewny lub błagalny głos szamana grzmi coraz głośniéj, i przechodzi stopniowo w przeraźliwe krzyki; on sam, z twarzą rozczerwienioną, z potem spływającym po skroniach, skacze kilkakrotnie przez ogień, usta jego pokrywają się pianą, całe ciało drga nerwowemi ruchy — nakoniec pałka wypada mu z dłoni twarz blednieje, a czarnoksiężnik pada bezsilny na ziemię, i nieczuły na wszystko zasypia snem twardym. Sen ten, wywołany rozdraźnieniem nerwowém (2), stanowi podług wyobrażeń inorodców naj-

---

(1) O ile tylko nader ubogie narzecze tunguzkie na to pozwala, szamani, przemawiając do dobrego boga, używają wszelkich przydomków i nazw zwierząt, oznaczających różne cnoty, ażeby temuż bóstwu pochlebić. Nazywają go psem (wiernym), renem (wytrzymałym na wszystko), słońcem (światłością), skórą kozią (delikatnym) i t. d. Natomiast, przeklinając złego boga, wymyślają mu najobelżywszemi wyrazami, które nawet złagodzone w tłumaczeniu nie dadzą się dla swojéj nieprzyzwoitości wymienić, tak że w wioskach sąsiadujących z koczowiskami Tunguzów często słyszéć można pomiędzy włościanami przysłowie: „Nawymyślał mu jak szaman czarnemu bogowi“.

(2) Będąc bardzo częsło świadkiem tych obrządków, śledziłem zawsze ze szczególną uwagą, wszystkie ruchy pogańskiego kapłana i nabrałem w końcu przekonania, że sen ten dziwny nie jest kuglarskiém udawaniem, ale wypływa po prostu z rozdraźnienia do najwyższego

ważniejszą część ich religijnych obrządków, jedyną tajemnicę ich wiary; w czasie bowiem trwania snu tego, szaman widzi białego boga, obcuje z nim, przyjmuje jego polecenia i rozkazy, a obudziwszy się udziela ludowi rad, przestróg i napomnień, słuchanych zawsze z pokorą i namaszczeniem.

Opisane wyżéj inwokacye (szamanienie) nie stanowią jedynego zabytku przeszłości tych ludów. Wszyscy bez wyjątku Tunguzy, nawet i ci, którzy przyjęli chrzest święty, zachowują starannie dawne pogańskie obrządki, i ściśle się do nich w każdém zdarzeniu życia swego stosują. I tak np. każda kobiéta od początku rodzenia uważaną bywa za istotę nieczystą, z którą najdalszy stosunek, rozmowa, podanie pomocy, a nawet sam widok jéj, jest nietylko grzéchem, ale czynem mogącym wywołać najsmutniejsze następstwa, dla tego, który nie zwraca na to bacznéj uwagi. Powyższe względy sprawiają, że każda Tunguzka w czasie piérwszych bólów rodzenia, przeniesioną zostaje do osobnéj, wypróżnionéj na ten cel czumy, i tam bywa pozostawiona sama jedna aż do chwili rozwiązania. Do tego zaklętego miejsca nikt się nie zbliża, nikt choréj w niczém nie pomaga, a jeżeli słabość przeciągnie się dni kilka, biédna, opuszczona przez wszystkich niewiasta, nie otrzymuje nawet źdźbła strawy dla zaspokojenia głodu, lub łyżki jeleniego mléka dla zwilżenia spieczonych pragnieniem wnętrzności. Zdarza się częstokroć, iż nieszczęśliwa ofiara przesądu, pozostawiona sama sobie, umiéra w bólach nie ujrzawszy nawet oblicza blizkich ukochanych przez siebie osób, a całe przywiązanie rodziców, męża lub krewnych objawia się dopiéro po jéj śmierci w łzach, lamentach i przeraźliwych krzykach. Współczucie podobne okazywane po niewczasie, wydawało mi się zawsze najsroższém szyderstwem dla zmarłéj; i nigdy z zimną krwią nie byłem w stanie patrzéć

---

stopnia nerwów, i wycieńczenia sił poddającego się gwałtownym ruchom, krzykom i skokom inwokatora. Dodać należy że szamani przed wykonywaniem inwokacyj, nie przyjmują przez cały dzień żadnego posiłku; osłabienie więc ciała przyczynia się także niemało do wywołania tego nienormalnego stanu. (*Przyp. aut.*)

na żale pogrzebowe tych, którzy przez swoją własną głupotę stali się przyczyną śmierci ukochanéj istoty. Oburzenia jednak mojego Tunguzy nie pojmowali, a na czynione im w tym względzie uwagi, odpowiadali nieodmiennie:

— „Człowiek czysty nigdy nie może miéć stosunków z człowiekiem nieczystym. Białego z czarném mieszać nie można. Kiedy nastaje noc, słońce ucieka, my więc powinniśmy naśladować słońce.

O ile w tém zdarzeniu przesąd główną odgrywa rolę, o tyle znowu w chorobach, zwłaszcza epidemicznych podobnie barbarzyńskie postępowanie, powtarzając się, czerpie swe źródło w obawie, jaką wszelkie nieznane słabości wywiérają na tych dzieciach pustyni. Ile razy w czumach zacznie grasować jaka epidemia jak np. tyfus, jazwa syberyjska, powracająca gorączka, ospa i t. d., wszystkich ogarnia niesłychana trwoga. Plaga, którą dotknięci zostali, niepojęta przez nich i niezrozumiała, przedstawia się im jako coś nienormalnego i nadprzyrodzonego; widzą w niéj zemstę czarnego boga, działanie złowrogich sił, i przerażeni objawami słabości, któréj ani leki, ani inwokacye szamanów usunąć nie są w stanie, pozostawiają chorych i umiérających na stepie, a sami przenoszą się w dalsze strony, uciekając przed złém, jakiemu zaradzić nie umieją. Pozostawieni przez nich biédacy bez żadnéj pomocy, umiérają z choroby, częściéj z głodu, a oni owładnięci przestrachem szukają schronienia w niedostępnych tajgach, coraz daléj i daléj, aż do czasu zupełnego ustania grasującéj epidemii. Żadne względy rodzinne, żadne stosunki serca, żadna litość i współczucie, nie są w stanie powstrzymać ich od spełnienia tego barbarzyńskiego zwyczaju: przywiązanie do życia i obawa śmierci wyższe tu są od wszelkich szlachetnych uczuć, gdyż te uczucia wyrodzić tylko może nauka Chrystusa i poznanie swych obowiązków, a oni ani jednéj ani drugich nie znają! Opiekuńczy rząd stara się wszelkiemi środkami wykorzenić dziki obyczaj, ścigając i karząc tych, którzy porzucili swoich chorych na pastwę głodu, lub na pożarcie przez dzikie zwierzęta; ale władze miejscowe, silne przewagą praw w częściach kraju zamieszkałych przez sta-

łą ludność, tracą swą potęgę na bezludnych stepach, w tajgach, w obszarach nietkniętych zazwyczaj stopą człowieka. Trudno wymagać, ażeby ustawy cywilizowanych narodów przebiły się do wnętrza czarnych i niedostępnych otchłani, kiedy nawet ożywczy promień słońca przedrzéć się tam częstokroć nie zdoła!

Oprócz epidemicznych chorób, którym szamani zaradzić nie umieją, i ogólnych syfilistycznych, na jakie znowu z powodu ostrości klimatu niéma w tych stronach żadnego zbawiennego środka, wszystkie inne słabości leczone są skutecznie przez tychże szamanów za pomocą różnych traw i ziół. Własności leczebne roślin, zastosowane bywają z pożytkiem nietylko do zwykłych chorób jak np. początkowych gorączek, zimnic, ale i do prymaryi syfilistycznych, wysypek naskórnych, szkorbutów i nader powszechnych w tych stronach zapaleń oczów. W rozlicznych wewnętrznych zapaleniach, posługujący się temiż ziołami lekarze pustyni działają nader trafnie; umieją przytém krew puszczać, nastawiać złamane kości, pobudzać poty, a nawet uskuteczniać w danych razach różne pomniejsze operacye. W ogóle używają oni środków wyłącznie roślinnych, w jakie bogata syberyjska flora tyle obfituje, jednakże i własności mineralnych źródeł nie są im zupełnie obce. Na zołzy czyli skrofuły, użyte z polecenia ich kąpiele w wodach zawiérających odpowiednie części składowe, zawsze pożądanym skutkiem uwieńczone zostają. Dodać jednak należy, że przy wykonywaniu zajęć lékarskich szamani nie zapominają nigdy łączyć praktycznéj strony działania z szarlataneryą, będącą główną cechą ich charakteru. Dziwić się temu nie można: bez obleczenia w fantastyczną barwę nader prozaicznych częstokroć czynności, niezasługiwaliby oni na miano czarnoksiężników, i nieposiadaliby tego nieograniczonego zaufania u swoich pobratymców, jakiego w każdém zdarzeniu życia używają. Owe zresztą zaszeptywania, inwokacye, tajemnicze rozmowy z białym bogiem, działając na wyobraźnię stepowców, podbudzają ich wiarę w skuteczność użytych środków, a wiadomo powszechnie, że wiara chorego w swojego lekarza, przyczynia się niemało do jego uzdrowienia.

Bywały przykłady, że znakomici w swym fachu doktorzy w przejeździe przez stepy i koczowiska tunguzkie, wziąwszy się do leczenia chorego inorodca, nie byli w stanie pokonać znanéj powszechnie i łatwéj do usunięcia słabości, gdy tymczasem miejscowi szamani, przy swoich ograniczonych wiadomościach i braku elementarnych nawet zasad nauki, usuwali złe odrazu. Wiara bowiem chorego w cudowność przedsięwziętych środków, stawała się głównym czynnikiem, na przemianę jego stanu oddziaływającym.

Umarłych swoich Tunguzy-chrześcianie grzebią w uroczystém myśliwskiém ubraniu, składającém się z kurtki łosiowéj, spodni i łuntów jelenich, z przewieszonego przez plecy kołczanu ze strzałami; a położywszy obok zmarłego łuk, maczugę i palmę, których za życia najwięcéj przy wycieczkach swoich na dzikiego zwierza używał, zaszywają ciało w niewyprawioną skórę z rena, i spuszczają je bez wszelkich obrządków do wykopanego poprzednio dołu. Na zasypanym piaskiem grobie ustawiają kamień, i odchodzą do swoich czum bez powiérzchownych demonstracyj żalu lub rozpaczy, obojętni na pozór, lecz przejęci wewnętrznym malującym się w ich rysach smutkiem (1). Na miejsca do chowania zmarłych, wybiérają zwykle piaszczyste lub kamieniste grunta, pozbawione roślinności; w przekonaniu ich bowiem, wszelkie trawy i zioła rosnące na mogiłach, są cząstkami istoty pogrzebionego, których nie należy wywoływać z ziemi, ażeby nie dać powodu rozlicznym zwierzętom pasącym się po stepach do karmienia się niemi, a tém samém profanowania oddanych ziemi szczątków.

Jeżeli jednak Tunguzy-chrześcianie przejęli od napływowéj ludności obyczaj grzebania ciał zmarłych, za to ci z nich, którzy powiérzchownie nawet nie mają nic wspólnego z kościołem, zupełnie inaczéj postępują. Po nastąpionéj śmierci którego z członków rodziny, kładą oni trupa w wyżłobione drzewo, a umieściwszy ów rodzaj trumny na cztérech w ko-

---

(1) Głośne objawy żałości mają tylko miejsce wtedy, gdy chory umarł nagłą śmiercią. (*Przyp. aut.*)

panych w ziemię słupach dla zabezpieczenia nieboszczyka od pożarcia przez dzikie zwierzęta, pozostawiają go na wolném powietrzu. Barbarzyński ten obyczaj jest powodem do rozwijania się pomiędzy nimi rozlicznych chorób. W lecie szczególniéj, w czasie trwania kanikularnych upałów, rozkład ciał nieprzykrytych ziemią zaraża niemiłą wonią całą okolicę tych rozsianych po stepach i tajgach grobów. Czasami, zwłaszcza przy kierunku z téj strony wiatru, czuć się daje o wiorstę od gnijących ciał odrażający zapach. Wszelkie przedsięwzięte przez rząd środki dla ukrócenia złego, okazały się dotąd bezskutecznemi. Kilkakrotnie, ufny we względy, jakie miałem u tych dzieci pustyni, przedstawiałem im niewłaściwość podobnego postępowania, starając się najdobitniejszemi dowodami przekonać ich, że sami swojemu zdrowiu szkodzą przez to ślepe naśladowanie dawnego a tyle niedorzecznego obyczaju. Słuchali mnie z uwagą, przyznawali nawet słuszność, ale zarazem twierdzili, że człowiek nie dla siebie tylko żyć powinien, że obowiązkiem jego jest poświęcać się także dla drugich, szczególniéj dla ukochanych swoich zmarłych, których tengri (duch wewnętrzny), przytłoczony ziemią, nie mógłby się swobodnie przy rozkładzie wydobyć z ciała, i połączyć z białym bogiem, oczekującym na niego.

Pożywienie Tunguzów składa się wyłącznie z jeleniego mléka, ryby i zwierzyny. Mięsa wołowego nie używają wcale; za to wszystkie prawie dzikie zwierzęta, niewyłączając lisa, wilka i wiewiórki, służą im za pokarm. Z ubitego niedźwiedzia wyjęte serce, jest przez nich uważane nietylko za wykwintny przysmak, ale za rodzaj talizmanu, mającego własność udzielania siły, odwagi i śmiałości temu, który je skonsumował. Chléb także nader rzadko w tunguzkich czumach widziéć się daje, z powodu że rolnictwo jest u tego ludu zupełnie nieznane; mąkę zaś dostają w małych ilościach z magazynów skarbowych w sąsiadujących ze stepami wsiach znajdujących się, gdzie bywają raz na rok dla zbycia skór upolowanéj przez siebie zwierzyny. Z płynącéj od zachodu cywilizacyi, którą tak uporczywie od siebie odpychają, przyjęli tylko jeden obyczaj: zamiłowanie do picia

herbaty. Zamiłowanie to przeszło u nich obecnie w prawdziwą namiętność; za cegiełkę prasowanéj herbaty gotowi w każdéj chwili oddać to co mają najdroższego: wypróbowany łuk, najlepszego sobola, a nawet odzież swoją świąteczną. Drugą ich namiętnością, lecz już od niepamiętnych wieków zakorzenioną, jest niepomierne palenie tytuniu. Nałogowi temu oddają się bez wyjątku wszyscy mężczyźni i kobiéty tunguzkie, wiele niedorostków i małych dziéwcząt; niekiedy nawet widziéć można drobne, zaledwie zaczynające chodzić dzieci, z zastosowaną rozmiarami do ich wzrostu fajeczką w ustach. Czukli (żelazna fajka), przewieszona na cienkim rzemieniu przez plecy, ze skórzanym kapciuszkiem, naszywanym różnokolorowemi paciorkami, jest nieodłączną częścią ubioru każdego Tunguza lub Tunguzki; gdy im braknie tytuniu, co się nader często trafia w koczowiskach oddalonych od wszelkich zamieszkałych przez ludność europejską okolic, palą w miejsce jego tłuczoną korę niektórych drzew.

Kiedy Tunguz nie poluje i nie łowi ryb, wszystkie wolne od tych prac chwile przepędza w swéj czumie, zajęty naprawianiem narzędzi myśliwskich lub wiązaniem sieci. Robotę swoją uskutecznia zawsze w głębokiém milczeniu, okrążony gęstemi kłębami dymu, które wypuszcza bezprzestannie z trzymanéj w zębach czukli. W święta i uroczystości, rozrywkę jego stanowią tańce i śpiéwy, a czasem strzelanie do celu. Tańce te są nader jednostajne, i zależą na wzięciu się za ręce kilkunastu mężczyzn i utworzeniu koła, które obraca się powoli w jednę lub drugą stronę przy peryodyczném powtarzaniu nosowym głosem wyrazu: „E-hor-e! E-hor-e! (1)” Pieśni u Tunguzów, jak zresztą u wszystkich innych inorodców, niéma zupełnie we właściwém znaczeniu tego wyrazu. Śpiéwając, spoglądają oni na otaczające ich przedmioty, i wymieniają kolejno to, co im

(1) „E-hor-e“, nic zupełnie nie oznacza, ale jest rodzajem przyśpiéwki (ritournelle) jak np. francuzkie miroton, larifla i t. d. (*Przyp. aut.*)

pod zmysły podpada. W tych samorodnych improwizacyach, wyobraźnia najmniejszéj nie odgrywa roli: nie podobna tam znaleźć żadnych poetycznych zwrotów, żadnych porównań, żadnego nawet rymu. Jeżeli np. ujrzą płynącą przed sobą rzekę, śpiéwają:

„Rzeko! jakaś ty szeroka, jaka wspaniała, a ile to w wodach twoich ryb się kryje! Należy zapuścić sieci, znurtować głąb téj rzeki — a złowioną rybą obdzielić wszystkie czumy naszéj auły. Wtedy, wysuszywszy naszą zdobycz na słońcu, lub téż zgnoiwszy należycie w dołach, będziemy ją zajadali ze smakiem“ i t. d. Niektórzy z nich w improwizowanych śpiéwach swoich, posługują się rymem, i tacy uchodzą powszechnie za nader dowcipnych; ale końcówka natrafiana przez nich bezmyślnie, przypadkowo, sprawia że wyrazy pieśni, połączone na chybił trafił, nie mają pomiędzy sobą żadnego związku i najmniejszego sensu. Rymowana podobnie pieśń, przypominająca znane powszechnie bajki Rozbickiego, jest np. taka:

War-ten, war-to-a
Li Zug-tu e goa;
Ku-man, es-se-ren
Zor-ma us-be-ren.

Co przetłumaczone na polski język, brzmi tym sposobem:

Tajga i góra,
Dobra wilcza skóra;
Chodzi sobie taki (1)
Ryby to nie ptaki.

Bywają czasami lecz nader rzadko, śpiéwane pieśni, w których zamiast monotonnego wymienienia tajg, gór i rzek, czołgających się w trawie płazów, latających po powietrzu ptaków i wszystkich przedmiotów otaczających

(1) Wyraz es-se-ren (taki) oznacza właściwie w tunguzkiém narzeczu istotę ludzką nieokréśloną: ni to mężczyzna, ni kobiéta, ni dziecko. Przetłumaczyć tego wyrazu dosłownie nie podobna.
(*Przyp. aut.*)

w chwili śpiéwu azyatyckiego barda, opiewane są wojenne i myśliwskie czyny jakiego starożytnego bohatéra, człowieka olbrzymiego wzrostu, strasznéj siły i przerażającego spojrzenia. Czy ta postać przechowała się przypadkiem w tradycyi z dawnych, okrytych tajemniczym pomrokiem czasów, czyli jest po prostu jak wszystkie inne pieśni wynikiem improwizacyi, odgadnąć trudno.

Śpiéwy podobne mają miejsce, jak wyżéj powiedziałem, w dniach uroczystych świąt szamańskich; w inne dnie wszyscy bez wyjątku mężczyźni, zostawiwszy domowe gospodarstwo pod opieką kobiet, zajmują się polowaniem lub rybołówstwem. Do polowania używają łuków, samołówek a po części broni palnéj; do rybołówstwa siéci, więcierzy, oszczepów i wędek. Upolowana przez nich zwierzyna w środkowych tajgach gubernii jenisiejskiéj, składa się obecnie prawie wyłącznie z żółtych lisów, wilków i biełek (wiewiórek syberyjskich), rzadziéj z soboli, niedźwiedzi — gdyż te ostatnie, w skutku zaprowadzenia w tych miejscowościach licznych kopalń złota, wyniosły się po większéj części w strony więcéj na północ posunięte. Niektóre ze zwierząt, jak np. czarne lisy, wystraszone widokiem człowieka, znikły zupełnie z prowincyj, jakie przed kilkunastu jeszcze laty stanowiły ulubioną ich ojczyznę. Co się tyczy rybołówstwa, to olbrzymi Jenisiéj z mnóstwem mniejszych i większych rzek wpadających w jego koryto, daje Tunguzom koczującym w pośrodku stepów i tajg środkowych, niezmierną i niewyczerpaną prawie zdobycz. Ilość łowionéj przez nich w każdéj porze roku ryby, jest prawdziwie zdumiewającą. Wszystkie zakłady kopalniane, a tych jest niemało, zaopatrują się u hord tunguzkich w jesiotry, nalimy, tajmienie, okunie, liny, karasie i szczupaki; przejeżdżający ze stron południowych przekupnie zabiérają w zimie setki i tysiące pudów tego towaru w stanie zamrożonym, dając w zamian niewielką ilość herbaty cegiełkowéj, tytuniu prostego i żelaztwa. Rozporządziwszy się tym sposobem swoją zdobyczą, składają Tunguzy pozostałą resztę w głębokie doły, lub suszą ją na słońcu, w celu użycia następnie jako ulubiony pokarm. Świeżo złowionych ryb nie jedzą nigdy.

Plemię to, jak wiele pierwotnych i w stanie natury żyjących szczepów, odznacza się do wysokiego stopnia posuniętą gościnnością. Wybitnemi cechami ich charakteru są: nieufność do każdego człowieka innego od nich pochodzenia i skłonność do oszukaństwa. Pod względem władz umysłowych wyżéj oni stoją od innych pokoleń inorodców syberyjskich, łatwiejszy do nich ma przystęp kultura zachodu, częściéj zbliżają się do napływowéj ludności; i mniemać można, że po upływie lat, gdy dobrodziejstwa cywilizacyi zaczną przyciągać do siebie te dzikie hordy, rozpierzchłe po niedostępnych częstokroć obszarach, Tunguzy prędzéj od innych pobratymczych im plemion, ulegną wpływowi niweczącego zastarzałe przesądy postępu. Kobiéty tunguzkie nader są pracowite i przywiązane do swoich mężów, pomimo tego, że ci uważają je więcéj za niewolnice niż za towarzyszki życia. Żaden Tunguz nigdy nie prowadzi ze swoją małżonką potocznéj rozmowy: mówi do niéj tylko to, co koniecznie powiedziéć wypada w sprawach domowego gospodarstwa. Wszelkie zbyteczne słowo, przyjacielska uwaga, poufne wywnętrzenie się przed żoną, uważanem jest przez nich za ujmę mężowskiéj godności, która stanowi najwyższy szczebel rodzinnéj władzy. Patryarchalność jednak zobopólnych stosunków, oprócz uznania wysokiéj i niczém niezachwianéj powagi głowy domu, nigdy nie bywa naruszaną przez srogie lub niesprawiedliwe obchodzenie się mężów ze swemi żonami. Kobiéta szanuje i poważa swojego władcę i pana, ulega we wszystkiém jego woli, ale go się nie obawia; on zaś, nawzajem, utrzymując ją zawsze w karbach posłuszeństwa, w pewnéj moralnéj odległości od siebie, nie nadużywa swego względem niéj położenia. W czasie długiego mojego przebywania pośród tunguzkich koczowisk, nie zdarzyło mi się nigdy słyszéć łajań, wymyślań, a tém mniéj być świadkiem czynnych obelg dokonanych przez mężów na swoich towarzyszkach. W rzadkich wypadkach nieuległości, oporu lub niewiary małżeńskiéj, sąd złożony ze starszyzny auły rozbiéra sprawę, sądzi i karze. Wyroki tego areopagu są przez obie strony uszanowane, w razie jednak cofnięcia skargi, przyjęte poprzednio postanowienia lik-hu (rodzinnego sądu)

uważane są za niebyłe, wszystko wraca do piérwotnego porządku, a mąż, który raz przebaczył swéj żonie, najmniejszém słowem w dalszym ciągu życia nie przypomina jéj doznanéj obrazy, nie wytyka zapomnianego już na wieki błędu.

Takie są w ogóle zobopólne stosunki ich małżeńskie; co się zaś tyczy dzieci w tych związkach zrodzonych, to kochają je oni tak ślepo, tak zapamiętale, że najgorętsze nawet przywiązanie europejskich rodziców do swoich potomków, wyobrażenia dać nie może o podobném uczuciu. Jestto szał namiętny, posunięty do najwyższych granic, niekierowany głosem rozsądku, niepodlegający żadnym zewnętrznym wpływom, niedający się oziębić najczarniejszą niewdzięcznością. Ażeby czytelnicy moi mogli zrozumiéć, jakiego rodzaju jest miłość rodzicielska tych dzikich mieszkańców pustyni, przytoczę następujące zdarzenie.

W czasie przebywania mojego w jednéj z wiosek, graniczących ze stepami i tajgami, śród których rozsiane były liczne zmieniające się co chwila koczowiska tych plemion, zauważyłem pewnego Tunguza, który mieszkał w chacie biédnego włościanina, udzielającego mu z litości kawałek nędznego chleba i kupę barłogu na posłanie. Tunguz ten był bardzo stary, siedmdziesiąt lat przeszło wieku mający, głuchy, osłabiony i prawie zdziecinniały. Niczém się nie zajmował, tylko siedząc w kącie izby liczył i przeliczał swój majątek z kilkudziesięciu skórek biełek składający się. Licha ta zdobycz, w porze jesiennéj przez staruszka upolowana, stanowiła całą jego rozkosz. Często się w swoim obrachunku mylił, a zmyliwszy się znowu od początku liczyć zaczynał, jak gdyby pragnąc tym sposobem przymnożyć sobie majątku. Powtarzany przez niego co chwila wyraz tunguzki: kul! kul! (mało! mało!) kazał się domyślać tej dążności. Od czasu do czasu, zastanawiał się głęboko, myślał, kombinował, a w końcu mówił półgłosem do siebie:

— Mało! gdyby jeszcze choć ze trzy dziesiątki, toby ona może przyjęła podarunek i nie wyrzuciła mnie za drzwi!

Wiedząc, ile Tunguzy przywiązani są do koczującego życia pustyni, do swoich czum, do swoich jeleni, do wszystkiego, co się wiąże z piérwotnemi ich obyczajami, zdziwiłem

się nie mało, ujrzawszy tego starca, oddalonego od swoich współbraci, mieszkającego w syberyjskiéj wiosce, pośród obcéj, niemogącéj nawet zrozumiéć jego mowy ludności, w chacie, któréj właściciel, dając mu z litości nędzną strawę, traktował go z pogardą, gorzéj nierównie niż psy domowe.

Ażaliż nie miał on już nikogo na świecie, którýby się chciał nim opiekować? Ażaliż starszyzna auły, poczytująca sobie za obowiązek dawanie przytułku osieroconym patryarchom pokolenia, odstąpiła tym razem od swoich zasad?

To wszystko zdawało mi się niewytłumaczoném.

Zażądałem wyjaśnienia od włościanina, u którego ów Tunguz przebywał, a ten opowiedział mi historyą następującéj osnowy.

Stary niedołęga, który obecnie służy jedynie za igraszkę dla jego dzieci, miał kiedyś niemałe znaczenie pomiędzy swoimi. Obrany przez Tunguzów naczelnikiem koczowiska, sądził ich sprawy, karał występnych, nagradzał cnotliwych i cieszył się u nich ogólnym szacunkiem i poważaniem. Wdowiec, nie miał innéj rodziny, prócz córki, którą kochał ślepo, szalenie, zapamiętale, tak jak tylko ci ludzie kochać umieją. Na zmniejszenie nieograniczonego, bezwarunkowego jego przywiązania do córki nie wpłynęła nawet ta okoliczność, że dziéwczyna, swojemi jasnemi włosami i niebieskiemi oczami, zdradzała zmięszane z rasą europejską pochodzenie. W miarę upływających lat, cechy te stawały się coraz wybitniejszemi, a krew, która nigdy nie zawodzi, przyciągała ją coraz częściéj do sąsiadujących z koczowiskami, wiosek syberyjskich. Młoda Tunguzka przekładała raźnego byczka, nad monotonne kręcenie się swoich współbraci, dźwięk bałałajki nad głuchy odgłos bębna—wesołość ludu rossyjskiego nad apatyczną powagę inorodców, gwar wiosek nad przymusowe milczenie panujące po czumach. Ojciec widział to wszystko, stękał i wzdychał w milczeniu, ale nie śmiał w niczém sprzeciwić się upodobaniom i zachciankom ubóstwianéj córki. Ona tymczasem nieznacznie i powoli przejmowała wszelkie obyczaje rossyjskie: nauczyła się mowy przyswoiła ubiór, przesiąkła wyobrażeniami napływowych europejskich plemion, a gdy w końcu, upodobawszy sobie

odpowiedniego do swego gustu i usposobienia parobka, wyszła za niego, przyjąwszy poprzednio w miejscowéj cerkwi chrzest święty i wiarę prawosławną; stary Tunguz, który był zakorzeniałym zwolennikiem szamanizmu, gorzko zapłakał, lecz ani jednym wyrazem nie zdradził swego nięzadowolenia, pocieszając się w myśli, że ta jego nieograniczona uległość wywoła może w nieczułém dotąd na wszystkie zabiegi sercu córki, choć odrobinę wdzięczności i spółczucia.

Neofitka osiedliła się po ślubie w obszernym domu, do rodziców jéj męża należącym, i zespoliwszy się z członkami przybranéj rodziny, weszła odrazu w tryb życia przyjęty przez bogatych syberyjskich włościan; kumostwo, ploteczki sąsiedzkie, niedzielne wieczorynki—wszystko to u niéj szło tak gładko, tak naturalnie, jak gdyby nie znała ani szumu drzew tajżnéj pustyni, ani uroczystéj ciszy panującéj na stepach. W piérwszych chwilach po wyjściu zamąż, przyjmowała jeszcze ojca, gdy ten przyszedł ją odwiédzić, lecz z upływającym czasem stawała się dla niego coraz obojętniejszą. Nowy sposób życia, nowe wyobrażenia, owa półcywilizacya, którą ona, porównywając z życiem koczowisk, uważała za szczyt doskonałości, sprawiły, że się wstydziła swego pochodzenia—a ojca, przypominającego jéj w każdéj chwili czém była poprzednio, zbrzydziła sobie i znienawidziła. W końcu, gdy stary Tunguz, więcéj myślący o wycieczkach do wioski niżeli o sprawach auły, został z piastowanéj przez siebie władzy usunięty, zamknęła przed nim drzwi swojego domu.

Biédak, pozostawiwszy zajmowaną przez siebie czumę na los szczęścia, porzucił współbraci, wziął rozbrat z przeszłością i powędrował do wioski gdzie żyła ukochana córka. Mając sobie wzbroniony przystęp do jéj domu, najął się za parobka u jednego z włościan, aby tylko mógł ją widziéć choć czasami z daleka. Przywykłemu do nieograniczonych przestrzeni stepu, do swobody tajg i pustyń, ciężką i trudną zdała się mechaniczna praca około roli, nieznośnemi drobiazgowe kłopoty codziennych zajęć syberyjskiego wieśniaka—témbardziéj, że nie znając dokładnie rossyjskiego języka,

narażany był co chwila na gniew swojego gospodarza, na przekąsy i drwiny otaczającéj go gawiedzi. Ale on wszystko znosił z pokorą i uległością, bo wszystkie cierpienia jego były niczém w porównaniu z radością, jakiéj doznawał, ujrzawszy tę, dla któréj zaparł się własnéj istoty. Czasami wieczorem gdy skończył nałożoną na siebie pracę, podkradał się cicho, tajemnie, pod okna domu, ukrywającego w swych ścianach skarb jego, i niedostrzeżony przez nikogo napawał się widokiem swéj córki; innym znów razem w niedzielę, obznajmiony z drogą, którą przebywać miała, udając się do cerkwi, czołgał się w trawie poza płotami niby złodziéj, chcąc ujrzéć na chwilę przechodzącą. I te krótkie chwile starczyły mu za wszystko, wynagradzały cierpienia, niedostatek, brak stepowéj wolności; sprawiały, że żyjąc tylko miłością dla dziecka, zapominał zupełnie o sobie.

Tak przechodził rok za rokiem, a z upływającemi latami, słabość coraz więcéj dawała się we znaki osieroconemu ojcu. Niezdolny do ciężkiéj pracy, wyganiany kolejno przez wszystkich włościan wioski, ujrzał się wreszcie sam jeden pomiędzy obcymi mu ludźmi, bez przytułku, zajęcia i utrzymania. Do córki udać się nie śmiał: wiedział co go tam czeka; do auły powrócić nie mógł: silniejsza nad wszystko rodzicielska miłość zrobiła go niewolnikiem tych miejsc.

Cóż czynić? jak sobie postąpić?

Instynkt ślepego przywiązania podał mu myśl, jakiéj nie wynalazłaby może najbardziéj wyrafinowana przebiegłość.

Nie mogąc rachować na serce, oparł się na jedynym czynniku zdolnym poruszyć żądze ukochanéj a niegodnéj istoty.

Tym czynnikiem była chciwość.

Przypomniał sobie dawne swoje stepowe życie, podziwianą przed laty zręczność w łowieniu dzikiego zwierza. Ręka jego, niesposobna do dźwigania siekiéry, zdołała przecież napiąć cięciwę łuku; przytępiony umysł, nieumiejący częstokroć pojąć rozporządzeń gospodarstwa rolnego, wyszukał jeszcze w młodzieńczych wspomnieniach choć odrobinę owéj wrodzonéj Tunguzom przenikliwości, tyle potrzebnéj przy myśliwskich wycieczkach.

A zresztą to wszystko dla córki! Ażeby ją widziéć, słyszéć jéj głos, być przyjętym w jéj domu, czegóżby on nie zdołał uczynić!

I przejęty tą myślą biédny ojciec wywlókł z kąta stary swój łuk, wyszukał zapomnianego oddawna kołczana ze strzałami, a wyżebrawszy u włościan trochę spleśniałych sucharów, zapuścił się w pustynię.

Nadzieje nie omyliły go, zaufanie jakie miał w swojéj zręczności, nie zawiodło: powrócił obciążony łupem.

Tym razem zakołatał śmiało do wrót niegościnnego domu.

Córka, ujrzawszy bogaty podarek, wpuściła staruszka do swego mieszkania, posadziła za stołem, ugościła herbatą, i to czego dotąd nie zdołały uczynić łzy, prośby i rozpacz opuszczonego ojca, uczyniło kilka skórek sobolich i lisich!

Uradowany podobnym obrotem okoliczności, Tunguz wszystkie chwile swojego życia poświęcał polowaniu, siląc się wszelkiemi sposobami, ażeby jak najwięcéj zdobyć drogocennych futer; im bogatszemi bowiem były jego łowy, tém milsze i uprzejmiejsze czekało go przyjęcie u téj, dla któréj istniéć tylko pragnął.

Ona zaś z czasem tak przywykła do owych stałych podarunków, że je uważała za należną sobie daninę, a gdy słota, zawierucha, lub inne jakiekolwiek przyczyny zrządziły, że polowanie mniéj świetne przyniosło korzyści przyjmowała ojca z gniewem i łajaniem, i zapowiadała żeby nie ważył się pokazywać jéj na oczy z lichéj wartości zdobyczą.

Nieszczęśliwy, zaślepiony w swoich uczuciach, szedł znowu w tajgi, i z podwójną energią, dobywając reszty sił z wycieńczonego starością ciała, starał się dogodzić wymaganiom niewdzięcznicy. Ale mu coraz było trudniéj wydołać ciężkiemu zadaniu. Lata płynęły, a z ubiegającemi latami, i ręka przedtém mocna, częstokroć zadrżała, i wzrok dawniéj pewny osłabł, i rozwijająca się głuchota nie dozwalała usłyszéć szmeru wybiegającego ze swych legowisk zwierza. On, walcząc dotąd szczęśliwie ze wszelkiego rodzaju przeszkodami, nie był w stanie podołać téj, jaką mu stawił czas nieubłagany, prowadzący za sobą zgrzybiałość i niedołęztwo.

Nareszcie nadeszła dlań straszna chwila. Po miesiąc przeszło trwającéj wycieczce myśliwskiéj, powrócił z trzydziestu zaledwie popielicami, nie zdoławszy upolować ani jednego sobola, ani nawet pospolitego lisa.

Nieśmiało zastukał do drzwi domu; nieśmieléj jeszcze podał lichą swoją zdobycz, oczekującéj za podarunkiem córce.

— „Tylko tyle!“ zawołała czerwieniąca się z gniéwu jędza; „tylko tyle,“ powtórzyła, a wzrok jéj błysnął wyrazem zawiedzionéj chciwości. „I śmiész mi się przedstawiać z podobną ofiarą! Precz ztąd, stary niedołęgo, niezdolny do niczego poganinie, a jeżeli odważysz się jeszcze pokazać mi na oczy, wyszczuję cię psami!.

Mówiąc to, rzuciła mu w twarz przyniesione skórki, i zatrzasnęła drzwi domu. Staruszek otarł rękawem łzę cieknącą po licu, i oddalił się powoli mówiąc sam do siebie:

— „Kul! kul! (mało! mało!) gdyby jeszcze choć parę dziesiątków, możeby i przyjęła. Ale nie mogłem... nie mogłem!

Nie wiedząc gdzie się udać, co z sobą począć, kołatał kolejno do drzwi chat włościańskich, prosząc o przytułek, ale go nigdzie przyjąć nie chciano. Nareszcie jeden z mużyków, ten właśnie u którego w czasie bytności mojéj we wspomnionéj wsi przebywał, dozwolił mu pozostać w swym domu. Nie był on ani lepszym, ani czulszym na nędzę bliźniego od drugich; uczynił to nie tyle z litości, jak raczéj w chęci upokorzenia pozorami miłosierdzia swoich sąsiadów, z którymi żył w ciągłych zatargach.

Stary Tunguz, wszedłszy w progi jego chaty, został od razu celem pośmiewiska dorosłych, igraszką dzieci domowych, rozrywką pijaków. Od czasu do czasu rzucano mu różne ochłapy, któremi się żywił; gdy zaś o nim zapomniano, przyczołgał się do koryta, w które wyléwano pomyje i zaspokajał swój głód. Nieszczęścia i upokorzenia swojego nie czuł: zgrzybiała starość, a może więcéj jeszcze jedyna idea, którą się całe życie powodował, wyrodziły niedołęztwo, nieczułość na wszystko i pewien rodzaj monomanii.

Po całych dniach, siedząc na kupie barłogu, liczył i przeliczał ostatnią swoją myśliwską zdobycz: parę dziesiątków

lichych i żadnéj prawie wartości nie mających popielicowych skórek, powtarzając przytém co chwila:

— Mało!... gdyby było więcéj, to możeby ona nie wyrzuciła mnie za drzwi!

Tak dogorywała powoli ofiara rodzicielskiéj miłości.

Na powyższym obrazku malującym zbyt może jaskrawemi farby czém jest miłość rodzicielska u Tunguzów, zakończę zarys obyczajów i charakteru tego plemienia, i przejdę z kolei do opisu innych pobratymczych Tunguzom szczepów.

Przedewszystkiém wspomniéć należy o Gilliakach, chociaż bowiem lud ten najodleglejsze krańce Syberyi zamieszkuje i różnym jest zupełnie obyczajami od Tunguzów, przecież przez wspólność mandżurskiego swego pochodzenia, najwięcéj jest do nich etnograficznie zbliżony.

Ze wszystkich piérwotnych plemion Syberyi, Gilliaki najmniéj są zdolni do ulegania jakiéjkolwiek stałéj władzy, najkrnąbrniejsi w wykonywaniu przepisów prawa, najtwardsi w przyjęciu zasad spółczesnego porządku. Wyjątkowe ich położenie jest tego jedynym powodem. Gdy inne Azyi północnéj pokelenia już od wieku blizko przeszły pod panowanie mocarstwa rossyjskiego, oni, zamieszkując nadamurską krainę, ziemię neutralną, nie należącą do nikogo, przywykli do nieograniczonéj swobody, a raczéj samowolności. Niedawno, bo kilkanaście lat temu, ten punkt kuli ziemskiéj, nie był dla nikogo dostępnym. Nie tylko żadna granica tam nie istniała, ale ludy obojga państw nie wiedziały dokładnie jaka ich przestrzeń rozdziela, i co we wnętrzu swojém ukrywa. Od strony Syberyi, równie jak od strony państwa niebieskiego, ciągnęły się niezamieszkałe pustynie ze swojemi niezmiernemi stepami, lasami olbrzymich cedrów łąkami zdającemi się nie miéć końca, po za któremi, niby w fortecy ręką natury utworzonéj, żyło plemię nieuznające żadnego zwierzchnictwa, zamknięte w sobie, niepodległe postronnym wpływom. Czasami kilkunastu z nich przedarło się do Hetun-tsian, chińskiéj prowincyi, dla zmienienia zdobytych przez siebie futer na różne towary, i na tém kończyły się wszelkie ich stosunki z południem. Północy nie znali wcale. Jeżeli jaki rossyjski przemysłowiec, powodowany chęcią

zysku, zapuścił się w owe niegościme strony, to już nigdy ztamtąd nie powracał, a los jego stawał się nierozwiązaną zagadką dla pozostałéj rodziny, straszną dla tych, którzyby go naśladować pragnęli. W XVII wieku kiedy jeszcze Syberya nie stanowiła części imperyum, koloniści rossyjscy zamieszkali nad brzegami morza Ochockiego, mając chęć rozszerzenia wymiany towaru na surowe produkta, wtargnęli w tę prowincją, ale nader drogo im przyszło opłacić swoją swoją śmiałość. Napadnięci przez liczne hordy rozwścieczonéj dziczy, wyginęli prawie wszyscy w najsroższych katuszach, a mała liczba tych którzy zdołali ratować się ucieczką, tak została przerażona tą katastrofą, że do dnia dzisiejszego w tradycyi potomków przechowała się pamięć owego nieszczęśliwego wypadku.

Odtąd pozostawiono Gilliaków w spokoju; żyli oni sobie jak przedtém w swych niedostępnych pustyniach, nieznani nikomu, nie związani żadném prawem ani stosunkiem zewnętrznym, aż do roku 1856, w którym to czasie przeszli pod zwiérzchnictwo Rossyi. Wspomniony rok stanowi erę w dziejach kolonizacyi północnych stron Azyi. Najpiękniejsza kraina, dotąd nieużyteczna i zaniedbana, wcieloną została w skład tego mocarstwa, bez dania żadnego wystrzału, bez gwałtu, ucisku, użycia srogich środków: wszystko co się tam stało, było naturalnym skutkiem siły, jaką wywiera moralna wyższość nad polityczną niedołężnością. Chińczycy wprawdzie chcieli się sprzeciwić, zgromadzili liczne wojska, ale zamiary ich natrafiły na opokę dyplomatyczną: miasto bagnetów, ujrzeli pióro, miasto pola bitwy, pargamin; chytrość ich została uprzedzoną, przebiegłość odgadniętą, a widok regularnych wojsk stojących w milczeniu i czekających skutku negocyacyi, rozwiązał stanowczo kwestyę. Gilliaki, o których rzecz chodziła, grali tu rolę komparsów; ukryci w swoich niedostępnych pustyniach, nie widzieli szali na jakiéj ważyły się ich losy, i dopiéro wtedy zrozumieli swoje położenie, gdy ujrzeli nad sobą władzę, łagodną wprawdzie i wyrozumiałą, ale podciągającą ich pod ogólne a nieznane im dotąd prawidła społecznego życia. Wszystko byłoby dobrze, bogata ta ziemia przy użyciu stosownych środków stałaby się od-

razu perłą wschodniéj Syberyi, gdyby nie błędy początkowéj administracyi, które cofnęły rozwój jéj handlowy i przemysłowy na lat kilkanaście. Wysyłani tam sztrafowani kozacy, demoralizując piérwotną ludność, stali się najgłówniejszą przeszkodą do rozwinięcia rolnictwa, handlu i przemysłu. Obecnie ten stan rzeczy uległ radykalnéj odmianie: energiczne a jednocześnie pełne roztropności postanowienia naczelnéj zwiérzchności tych prowincyi, zaczynają już wydawać błogie owoce. Rolnictwo przez sprowadzenie pracowitéj ludności, wchodzi tu i owdzie w liczbę określonych zwyczajem trudów, przemysł przy powstaniu kopalń złota podnosi się z wiekowego uśpienia, handel, czując nad sobą opiekę władz, budzi się do rzeczywistego życia. Miejscowość ta może stać się z czasem nader ważnym targowym punktem północnéj Azyi: z jednéj strony ludne Chiny, z drugiéj niedaleki port Ochocka, z trzeciéj, blizkość Japonii, przedstawiają najprzyjaźniejsze ku temu warunki. Dzisiaj już na wyspie Sachalinie, wśród doliny Tyna, odbywające się każdego roku jarmarki, mają bez porównania daleko więcéj ożywiony niż dawniéj charakter. Oprócz stałéj ludności Gilliaków, zjeżdżają się tam Mongoły, Chińczycy, przybywają z Japonii na swoich statkach obciążonych towarem bogaci kupcy; docierają z Ochocka, Kiachty a nawet z Irkucka rossyjscy przemysłowcy, a wymiana towarów dostawionych przez rozliczne narodowości, na daleko większą niż przedtém praktykuje się skalę.

Ale te kiełkujące objawy, wywołane roztropnemi administracyjnemi środkami i dające wiarę w przyszłość nadamurskich krajów, rozwijają się tępo i opieszale. Tytanicznéj potrzeba pracy i długiego czasu, ażeby w tych zamkniętych na wszelkie zewnętrzne wpływy duszach, rozbudzić potrzebę społecznego życia, bez którego, jak wiadomo, wszystkie usiłowania dla ustalenia szczęścia narodów przedsięwzięte, staną się tylko martwą literą. U Gilliaków byt towarzyski zupełnie nie istnieje. W jurtach Tatarów i Jakutów, w przenośnych czumach Tunguzów, oprócz rodzinnych stosunków, widzieć się daje nić wiążąca te jurty i te czumy w jednę całość auły—u Tatarów, oprócz tego, kilka lub kilkanaście auł podlega jeszcze władzy wybieralnych kniaziów; Gilliaki

zaś nic podobnego nie znają. Żyjąc w oddzielnych rodzinach, nic mają pomiędzy sobą żadnych prawie stosunków. Każda ich chata, na sposób chiński budowana, otoczona zewsząd ostrokołem, oddzieloną jest od drugiéj znaczną przestrzenią. W siedzibach tych głowa domu czyli patryarcha, stanowi jedyną i najwyższą zarazem władzę. Wszystko co się tam dzieje, od niego zależy i jemu podlega: ma on nawet prawo karania śmiercią członków swéj rodziny bez żadnéj zewnętrznéj kontroli. Wprawdzie oprócz patryarchów są jeszcze dżanginy, czyli naczelnicy familij zasłużonych i powszechnie poważanych, ale godność ta, jakkolwiek wyższa hierarchicznie od godności zwykłych patryarchów, jest w gruncie rzeczy tylko honorowym tytułem, nie dającym prawie żadnéj władzy. Do dżangina udają się Gilliaki w rzadkich wypadkach sporów przy urządzaniu uroczystości religijnych, lub prosząc o radę w zawikłanych kwestyach nieporozumień domowych: nic jednak nie obowiązuje do usłuchania téj rady. Podobny brak społecznego życia czyni ich jeszcze bardziéj zamkniętymi w sobie. Z poza ostrokołu otaczającego te chaty nic się na zewnątrz nie wydobędzie: ani krzyk cierpienia, ani jęk umierającego, ani rozpaczliwe wzywanie o ratunek; tajemnica pokrywająca familijne życie, niedostępną jest nietylko dla cudzoziemca ale nawet dla własnych współbraci, jeżeli ci nie są blizkiém pokrewieństwem z nimi związani. Oprócz tego charakter Gilliaków stanowi niemałą przeszkodę do złączenia tych oddzielnych cząstek w jedno społeczne ciało, do utworzenia z owych samoistnych kółek stale uorganizowanéj politycznéj maszyny. Pochodzenia mandżurskiego, powinowaci z plemionami starokamczackiém i kurylskiém, przejęli od tych narodów wszystkie ich wady: Chińczycy dali im chytrość, Kamczadale swą zimną, lodowatą nieczułość na wszystkie zewnętrzne wpływy, i z tych piérwiastków utworzył się typ odrębny, dziwny, niepodobny w niczém do innych typów piérwiastkowych ludów Syberyi. Ktokolwiek chciałby ich zbadać, próżne tylko trudy poniesie i nic nie wskóra; przy obecnym zarządzie dotrzéć można w samo jędro ich ojczyzny, przebiedz bez przeszkody wzdłuż i wszerz nadamurskie kraje, ale ta wycieczka nie pociągnie za sobą znajomości

charakteru mieszkańców. Przestąpiwszy nawet owe ostrokołowe zasieki, oddzielające każdą gilliacką rodzinę od reszty świata, niczego dowiedziéć się nie można. Wszystkie dramata domowego życia kryją się starannie przed okiem przybysza, a na tych chudych, kościstych twarzach, nikt nie wyczyta ni smutku, ni radości, ni żadnego powodującego ich czynnościami uczucia.

Przeszłego roku jeden z wyższych urzędników policyi miejscowéj, jeżdżąc po kraju dla śledzenia za ogólnym porządkiem i ukrócenia wypływających z ciemnoty nadużyć, znalazł się przypadkiem w chacie gilliackiéj w chwili gdy ojciec, stosownie do barbarzyńskiego prawa owych dzikich plemion, osądził i ukarał śmiercią własnego syna. Patryarcha, słysząc kołatanie do drzwi, zarzucił na drgające jeszcze członki zamordowanego swoją dachę (zwiérzchnie okrycie ze skór jeleni zszyte), i kazał otworzyć wrota. Wchodzący urzędnik ujrzał go zajętego spokojnie stolarką, żonę krzątającą się około przyrządzenia codziennéj strawy, a dzieci igrające wesoło pomiędzy sobą. Od starca aż do małoletniego dziecka wszystko tu grało komedyą, przedstawiając po mistrzowsku spokój domowego pożycia: żaden muskuł ich twarzy nie zdradzał bezwiednym drgnięciem przerażenia, smutku lub niespokojności; pięcioletni nawet chłopczyk, siedząc na ławie obok zabitego przed chwilą brata, uśmiechał się tak wdzięcznie, tak po dziecinnemu, jak tylko te niewinne istotki uśmiechać się umieją.

Nowoprzybyły spojrzał po wszystkich twarzach i nic w nich nie wyczytał; bystry jednak wzrok jego, przywykły do zbadania każdéj postronnéj okoliczności, dostrzegł na podłodze ślady krwi:

— Co znaczy ta krew? zapytał.

Żona Gilliaka podjęła z ziemi świéżo zabite szczénię, które przebiegły jéj mąż, w chwili gdy otwierała wrota, zgładził jedném uderzeniem dłuta.

— To na pieczyste, rzekła.

Urzędnik odwrócił oczy ze wstrętem od podobnego gastronomicznego przysmaku, ale wiedział bardzo dobrze, iż ulubionym pokarmem Gilliaków są psy, szczególniéj zaś małe szczénięta.

Nie znalazłszy nic podejrzanego, już miał opuścić izbę, gdy ujrzał pod przykryciem dachy drgające ostatniemi konwulsyjnemi ruchy ciało zamordowanego.

— Darujcie grzésznemu człowiekowi, rzekł ojciec rodziny, odgadłszy z kierunku wzroku assesora policyi, niewymówione jeszcze zapytanie. Mój syn lubi zanadto używać opium: stan jego jest straszny, osądźcie sami (1).

I postąpił, chcąc niby podjąć przykrywającą członki syna dachę, lecz urzędnik, brzydzący się widokiem okrytych pianą, ze zwierzęcemi rysami twarzy zwolenników narkotyku, wstrzymał go skinieniem ręki.

— Nie potrzeba—dosyć tego!... i opuścił chatę, nie przeczuwając, że kilka zaledwie minut przed jego przybyciem, w téj cichéj na pozór zagrodzie, w obec téj matki spokojnie zajętéj przyrządzaniem codziennéj strawy, w obec tych dzieci igrających wesoło, odegrał się straszny, przerażający dramat: morderstwo dokonane na synu przez własnego ojca!

W kilka zaledwie miesięcy potém i to skutkiem innych zupełnie okoliczności, odkrytemi zostały przez władze wszystkie szczegóły dotyczące wspomnionéj zbrodni.

Postacie Gilliaków odpowiadają zupełnie tajemniczości ich charakterów. Wysocy, chudzi, mają w wejrzeniu swych skośnych, otoczonych gęstemi brwiami oczu coś szatańskiego; na wązkich ich ustach nie zakwita nigdy uśmiech wesołości, w rysach twarzy przebija się ciągłe szyderstwo. Gdy chodzą, zda się widziéć sunące cienie; gdy mówią, przytłumiony głos ich brzmi ponuro, grobowo. W najzwyczajniejszych stosunkach z nimi, nikt nie wié co począć, jak sobie postąpić: najbardziéj przenikliwy człowiek, widząc te figury zimne, sztywne, kościste, prawie nieludzkie — z wzrokiem Mefistofelesa, z cerą trupią, gubi się w domysłach, i nie jest w stanie rozwiązać owéj żywéj sfinksa zagadki.

Budowę mieszkań swoich przyjęli oni od Chińczyków; i gdy Tunguzy, Jakuty, Tatary, Ostyaki i t. d. żyją w czumach,

---

(1) Gilliaki, z powodu stosunków swoich z sąsiedniemi Chinami, przywykli do upajania się tym narkotykiem. (*Przyp. aut.*).

jurtach, lub téż wśród jam wykopanych w ziemi, Gilliaki od dawnych czasów stawiają chaty z obrobionego starannie drzewa. Dom taki, znacznych bardzo rozmiarów i dosyć wysoki, z zakrzywionym na sposób chiński dachem, składa się z jednéj obszernéj, od 30 do 50 stóp kwadratowych mającéj, izby. Do koła ścian stoją szerokie ławy, w samym zaś środku jest buda, służąca za schronienie psom, których oni mnóstwo w siedzibach swoich chowają. Na poprzecznych belkach, podtrzymujących wiązanie dachu, wiszą siécie, więcierze, jako téż rozliczne myśliwskie narzędzia. W izbie takiéj mieszka jedna tylko rodzina, z 40 najmniéj różnego wieku i płci członków składająca się, a podległa, jak już wyżéj powiedziałem, ojcu familii czyli patryarsze. Oprócz polowania i rybołówstwa, zajęć właściwych wszelkim piérwotnym plemionom, zatrudnia ich także stolarstwo, który to kunszt od sąsiadów swoich Chińczyków przyjęli. W rzemiośle tém nader są zręczni: wszystkie sprzęty domowe wykonywane bywają przez nich nietylko trwale i mocno, ale z pewnym estetycznym smakiem. Niektórzy zajmują się rzeźbą, wyrabiając z drzewa a nawet kamienia różne posągi bożków i postacie zwierząt, tak do uroczystości religijnych jak i do ozdobienia ich domów służące.

Religia ich jest szamańska, ale do tego wyznania, którego główne obowiązki i cechy powyżéj opisałem, przyłączają oni różne dodatki, nie istniejące u innych inorodców. I tak np., oprócz boga białego i czarnego, czczą jeszcze rozliczne zwierzęta, a szczególniéj niedźwiedzia, widząc w nim przymioty potęgi, siły i nieustraszoności. Najdziwniejszym jednak i jedynym w swoim rodzaju szczegółem wspomnionéj wiary jest ta okoliczność, że święty niedźwiedź, umieszczony w osobnym przybytku, przed którym w ciągu całego roku biją korne pokłony, znosząc mu najwykwintniejsze przysmaki, najświéższe plastry miodu, bywa przez nich w porze jesiennéj zabitym a następnie zjedzonym. Dzień zabicia tego niedźwiedzia-boga stanowi największą i najważniejszą uroczystość u Gilliaków i nazywa się: „*niedźwiedzią ucztą*“. W dniu tym odzielone od siebie i żyjące w odosobnieniu rodziny ze swymi patryarchami na czele, występują z izb i udają się w piel-

grzymkę do miejsca, w którém tyle znaczący akt ma być spełnionym. Dżanginy, z powodu hierarchicznéj swéj wyższości, przodowe miejsce zajmują; szamani spełniają ofiarę, a liczne tłumy przybyłych rodzin, stojąc opodal w milczeniu, są niemymi świadkami obchodu. Nawet i wtedy linia demarkacyjna, oddzielająca te zamknięte w sobie kółka familijne, nie bywa przerwaną. Jedni na drugich spoglądają z nieufnością, darząc się wzajemnie owém zimném, szyderczém spojrzeniem, które jest stereotypową cechą wyrazu ich twarzy. Po dopełnieniu obrządków religijnych, po zjedzeniu podanéj im przez szamanów cząstki świętego niedźwiedzia, rozchodzą się w różne strony, do swoich izb, rozsianych wśród niezmiernéj przestrzeni, i powracają na rok cały w zaklęty zwyczajem zakres domowego życia, pod nieograniczoną władzę rodzinnych patryarchów.

Kraj nadamurski, główne siedlisko Gilliaków, jest najpiękniejszą i najbogatszą prowincyą Syberyi. Ziemia ta żyzna, prawicza, nieznająca dotąd pługa i sochy, wydaje wszelkiego rodzaju owoce i ukrywa w łonie swojém najcenniejsze kruszce, najrozliczniejsze minerały; klimat ciepły, roślinność bujna, powietrze zawsze czyste i zdrowe, oddziaływają zbawiennie na osiedlających się tam rossyjskich kolonistów; krajobrazy cudne, malownicze, zachwycające, nie mają téj posępnéj dzikości jak widoki gór sajańskich nad granicami Mongolii, lub Ałtaju w zabajkalskich okolicach. Szeroki Amur przerzyna zielone łąki, i zagłębia się w olbrzymie cedrowe lasy, to rozbijając swe fale o skały wystające z jego nurtów, to płynąc spokojnie, cicho, po lśniących pokładach złotodajnego piasku. Oprócz prowincyi amurskiéj i wyspy Sachalin, Gilliaki zamieszkują jeszcze w nader ograniczonéj liczbie zabajkalskie ziemie a nadto całą część północną Japonii.

Jeżeli posuniemy się w dół Amuru ku jego źródłom, znajdziemy jeszcze przy ujściu rzeki Anguna odrośl gilliackiego plemienia, Samagrów. Szczep ten nieliczny, nader mało etnograficznie znany, płaci oddawna przymusową daninę Chińczykom i jest przez nich od wieków uciemiężany. Długa niewola, poniżenia wszelkiego rodzaju, srogie obchodzenie się z nimi mandarynów państwa niebieskiego przy wybieraniu

corocznego haraczu, uczyniło tych ludzi pokornemi, bojaźliwemi i nieczułemi na wszystko. Chęć wydobycia się z nieznośnego położenia, popycha ich mimowolnie i nieznacznie w objęcia Rossyi. Kilka lat temu w czasie zarządu kontradmirała Niewelskiego, kiedy zajmowano się utworzeniem punktu komunikacyjnego pomiędzy Nikołajewskiem, Amurem i Jakuckiem, pan Berezin, agent kompanii amerykańsko-rossyjskiéj, zawiązawszy stosunki z Samagrami Anguny, przekonał się piérwszy o téj ich dążności. Przyjęty z otwartemi rękami przez całą ludność, mającą na czele swego patryarchę Elgin-ha, ujrzał wszędzie szczere objawy przychylności dla swojego rządu, i otwarcie wyrażającą się niechęć przeciw Mandżurom. Mniemać można, że przy obecnéj, tyle pożytku dla kraju przynoszącéj administracyi wschodniéj Syberyi, dążność ta zostanie zużytkowaną, a szczep ów samoistny, niezasłużonym obciążony haraczem, złączy się dobrowolnie z mocarstwem, zapewniającém mu pomyślność, dobrobyt i opiekę praw.

Opisawszy Gilliaków i wspomniawszy o pokrewnéj z niemi odrośli Samagrów, przeniesiemy się z nad Amuru w zachodnim kierunku po za Bajkał i weźmiemy pod obserwacyjny skalpel plemiona zaludniające ziemię zabajkalską, zwaną dawniéj zamorską krainą.

Buryaty, zamieszkali tamże, pochodzenia uralsko-ałtajskiego, stanowią znów odrębny typ w różnorodnym kalejdoskopie dzikich pokoleń, rozsianych wśród obszarów Syberyi. O ile Tunguzy są gościnni i przyjacielscy, Gilliaki skryci, tajemniczy i zamknięci w sobie, o tyle Buryaty przedstawiają się nienawistnymi dla wszelkich obcych im żywiołów i odkrytymi w swoich dążnościach, wadach i charakterze. Natura ich dzika, rozpasana na wszystkie złe namiętności, nieznająca żadnego hamulca, czyni tych ludzi otwartymi lecz zapalczywymi zarazem rojbójnikami. Lubią oni zabijać dla zysku, lecz kiedy widzą, że morderstwo żadnéj korzyści nie przyniesie, zabijają ażeby nasycić barbaryńską chuć krwi, patrzéć na męczarnie swoich ofiar, napawać się obrazem ostatnich cierpień człowieka. Nic dla nich niéma świętego: ani łagodne obejście się, ani oddana przysługa, ani doznane

dobrodziejstwo. Wdzięczności nie pojmują, gościnność jest dla nich obcą, w każdym bez wyjątku przybyszu widzą wroga, nikomu śmiało w oczy spojrzéć nie umieją; a jeżeli przypadkiem wzrok ich dziki, niepewny, złowieszczym migocący blaskiem, spotka się ze spojrzeniem cudzoziemca, to natychmiast zalśni tak strasznym wyrazem, jak gdyby wyszukiwał na piersi miejsca, w które ugodzić można.

Na nieszczęście dla nich, prawa krajowe, nie dozwalające owych krwawych wybryków, ścigają i karzą schwytanych na uczynku złoczyńców. Przed laty, więzienia irkuckie napełnione były zawsze buryackimi zabójcami, którzy stawieni przed sądem, nie pojmowali, dlaczego policya i urzędnicy, nie będąc w powinowactwie z ofiarami, prześladowali ich i więzili.

— Tyś nie brat, ani nie swat zabitego, mówił pewnego razu Buryata, stojący przed kratami sądu do inkwirenta: czemu się tobie w tę sprawę mięszać? Ja ciebie nie znam, ty mnie nie znasz, daj mi więc święty pokój.

Obecnie zrozumieli oni tę instytucyą społecznego porządku, która sprawia że naznaczeni na to ludzie, choć nie krewni ani znajomi pokrzywdzonych, mają moc, jako stróże publicznego bezpieczeństwa, ujmować się za ofiarami. Instytucya ta wydaje im się zawsze dziką i niesprawiedliwą, ale istnieje; ażeby więc uniknąć kary więzienia lub przymusowych robót w kopalniach, a zarazem nasycić niepohamowaną swą żądzę krwi, nie zabijają piérwszego lepszego człowieka, ale polują na bradiagi.

Uciekający przestępcy z kopalni, których prawo nakazuje chwytać, a nawet w razie oporu dozwala zabijać, stali się dzisiaj gotowemi ofiarami tych dzikich myśliwych. Gdzież bowiem wśród leśnéj pustyni znajdzie się świadek, któryby dowiódł, że śmierć bradiagi nastąpiła skutkiem rozmyślnego zabójstwa, a nie dla obrony własnego życia? Włóczęgi stepowe, przemykający się wszędzie swobodnie, w następstwie obawy i przestrachu, jaki dokoła siebie obudzają, mogą przebyć z trudnością zabajkalskie kraje, gdyż na każdym kroku spotykają liczne zastępy Buryatów, ukrytych poza drzewami, zaczajonych w trawie, w celu pozbawienia ich życia. Polowa-

nie na człowieka ma dla nich niewypowiedziany urok, chociaż nie przyznają się nigdy do téj namiętności, kładąc na karb handlowéj spekulacyi swoje wycieczki.

— Skórka biełki, mawiają oni, kosztuje tylko 5 kopiejek, gdy tymczasem najnędzniejsze nawet łachmany zabitego człowieka warte są najmniéj dwa razy tyle.

Ten powód jednakże, który w ich przekonaniu wszystko tłumaczy, i nakazuje w mordercy widziéć tylko obrotnego i wyrachowanego na godziwy zysk przemysłowca, jest pozorem, pod jakim starają się ukryć nieprzezwyciężoną żądzę rozlewu krwi ludzkiéj: na wiadomość bowiem o ukazaniu się bradiag, porzucają rozpoczęte łowy soboli, lisów, łosiów i jeleni, których futra i skóry znaczneby im korzyści przynieść mogły, i roznamiętnieni dziką chucią, wściekli szałem, z oczami krwią zaszłemi, biegną ukryć się za drzewami, gdzie dnie, doby całe o chłodzie i głodzie, niepomni na wszystko, wyczekują chwili zjawienia się wędrownych biedaków, i nasycenia widokiem ich śmiertelnych katuszy.

Czasem jednak srogo bywają karani za swoje krwawe czyny. Irkucka kronika spraw kryminalnych mieści w sobie niejeden tego rodzaju przykład. Przed kilku laty żył za Bajkałem buryata nazwiskiem Sacz; mieszkał on w oddalonym od wszelkich osad szałasie, nie miał z nikim żadnych stosunków, a uchodził powszechnie za zawołanego w swoim fachu myśliwego. Myśliwstwo przecież było tylko dla niego dodatkowém zajęciem, gdyż rzeczywiście wszystkie chwile swojego życia poświęcał polowaniu na człowieka. Siedmdziesięcioletni blizko, lecz silnéj budowy i bystrego jeszcze wzroku starzec, z wypróbowaną gwintówką i wprawnym do tych łowów psem, czatował na uciekających z kopalni przestępców, i nie zdarzyło się nigdy, ażeby który z tych nędzarzy mógł uratować życie ucieczką. Czego nie wypełniła dalekonośna broń, dokończało zwykle olbrzymich rozmiarów, dzikie i zażarte, a posłuszne na każde skinienie swego pana, zwierzę.

Przeszłego roku, buryata zaczajony w krzakach, i oczekujący nowych ofiar, ujrzał z daleka dwóch włóczęgów zbliżających się ku niemu. Przypuściwszy ich na odległość strzału, zmierzył w milczeniu gwintówkę, padł strzał, a jeden

z nieszczęśliwych rażony kulą w piersi, runął na ziemię. Towarzysz zabitego widząc że i jego podobny los spotka skoczył w gęstwinę, i z całą szybkością jaką nadać może, przestrach, puścił się w przeciwną stronę.

Na ten widok, okropny starzec pewny swego tryumfu, zaśmiał się szatańskim śmiechem, a odwiązawszy psa ze smyczy, wskazał w milczeniu posłusznemu zwierzęciu kierunek, w jakim udać mu się wypadało. Pies zwąchawszy trop, zaszczekał radośnie i pobiegł za śladem. Kilka chwil przeszło w niemém oczekiwaniu: Sacz z natężoną uwagą słuchał coraz bardziéj oddalającego się głosu pomocnika swoich wypraw; nareszcie szczekanie ustało zupełnie, i cisza zaległa leśną pustynię. Godziny mijały, a pies nie powracał, ażeby poprowadzić jak zwykle swego pana na miejsce, gdzie leżał trup rozszarpanego przez niego człowieka. Baryata niespokojny zrazu, pomyślał, że może szybkość uciekającego opóźniła chwilę jego zgonu, i ufny w powodzenie, czekał cierpliwie na miejscu, zjawienia się strasznego zwierzęcia.

Gdy się to działo, biedak słysząc za sobą szczekanie, domyślając się pogoni, biegł z nadludzką prawie chyżością, i dobywał ostatnich sił ażeby ocalić swe życie. Ale mu to nie na wiele pomogło; z każdą chwilą przestrzeń dzieląca go od zajadłego wroga, stawała się krótszą—nareszcie wycieńczony, bezsilny, poczuł w nodze dotkliwy ból, sprawiony ukąszeniem ostrych zębów rozwścieczonego zwierza. Cierpienie i rozpacz dodały mu nowéj energii: stanął nagle i obróciwszy się szybko na miejscu, schwycił za gardło skaczącą do szyi poczwarę. Walka ta o śmierć lub życie była straszną lecz krótką. I człowiek i pies powalili się społem na ziemię: pies kąsał bradiagę po rękach, bradiaga dusił psa spojenemi jak kleszcze dłońmi. Nareszcie zwierzę rozwarło szeroko swą paszczę, wysunęło spieniony język, i zadrgawszy śmiertelnemi ruchy, rozciągnęło się bez życia na piasku.

Każdy inny będąc w podobném położeniu, nie myślałby o niczém inném, jak tylko o dalszém zachowaniu cudownym sposobem ocalonego życia: bradiaga jednak miał inny cel. Dopóki trwało niebezpieczeństwo, wrodzonym instynktem prowadzony bronił się zacięcie, zaledwie jednak minęła stra-

szna chwila, wszystkie jego żądze i pragnienia zwróciły się do uczucia najmilszego sercom wydziedziczonych synów natury: do zemsty dzikiéj, okropnéj, nie znającéj granic ni miary. Tą namiętnością powodowany, wyprężył zbolałe członki, otarł krew płynącą z ran, i zebrawszy resztę sił wycieńczonych walką — poszedł, a raczéj dowlókł się do miejsca, w którém zabójstwo popełnionem zostało. Sacz, oczekujący zawsze na swojego psa, siedział jeszcze pod drzewem, a przyłożywszy dłoń do ucha, słuchał z natężoną uwagą azaliż nie rozróżni wśród szumu drzew leśnych, dalekiego szczekania ulubionego pomocnika swych krwawych wypraw. Na widok dzikiego starca bradiaga wstrząsnął się cały, oczy zaiskrzyły mu złowrogim blaskiem; ukryty wśród bujnéj trawy, milczący, pełzał ciągle wstrzymując oddech, aż do boku mordercy. Przyczołgawszy się ostróżnie do niego, chwycił za broń opartą o drzewo, odrzucił ją daleko po za siebie, a ująwszy za ręce nieprzygotowanego do tak nagłéj napaści buryatę, powalił go i związał niedoznawszy żadnego prawie oporu.

Co zaszło pomiędzy ohydnym myśliwym ludzi, a włóczęgą który, z ofiary przemienił się w kata, trudno opisać. Są rzeczy na wspomnienie których wzdryga się umysł, drętwieje serce i krew ścina się w żyłach. To tylko można zaręczyć, że ocalony bradiaga nie przybył tam ażeby jednem uderzeniem pałki zgładzić ze świata zabójcę tylu towarzyszy niedoli. On pragnął „pobawić się z nim,” a wiadomo powszechnie jak bradiagi umieją urozmaicać podobne rozrywki. Rozkosz, jakiéj doznał na widok katuszy wroga swoich braci, była tak wielką, tak nieograniczoną, że po niéj całe życie, owo życie kolejnych przejść więzienia, trwogi i ucieczek, wydało mu się bezbarwném i niewartém żadnego zachodu. Dokonawszy zemsty, stawił się dobrowolnie przed władzą, w Czycie, stolicy tych krajów, i rzekł:

— „Uciekłem z katorgi, w przechodzie moim przez Zabajkalskie tajgi, zabiłem buryatę: osądźcie mnie i rozstrzelajcie. Niczego nie pragnę, żadnéj łaski się nie spodziewam; jestem tak szczęśliwy, jak nim żaden człowiek na świecie być nie może!

Podług jego wskazania władze przybyły na miejsce gdzie odegrał się opisany powyżéj dramat, i znalazły tam ciało zamordowanego z wyrżniętym językiem, wbitemi gwoździami za paznogcie, wyłupionemi oczami, zdartą do połowy skórą z pleców, skancerowane po części od wolnego ognia na jakim się poprzednio piekło. Męczarnie, przez które przechodził przed wyziąnięciem ducha stary buryata, musiały być długiemi i okropnemi! W ciągu dalszych poszukiwań odkryto szałas, służący za mieszkanie zabitemu. W szałasie znajdowała się niezwykła bo 186 sztuk wynosząca kolekcya fajek cynowych, używanych zwykle przez bradiagów.

Zbiór ten pokazywał jasno że ohydny starzec zamordował takąż liczbę ofiar palących tytuń; ile zaś zginęło z jego ręki, nie oddających się temu nałogowi, odgadnąć trudno. Tajemnica okrywająca grób myśliwego ludzi sprawia, że wszelkie przypuszczenia pod tym względem mogą być możliwemi.

Dodać jeszcze należy, iż włóczęga, który tak strasznym sposobem odemścił śmierć tylu swoich braci, nie zginął śmiercią jakiéj pragnąć się zdawał. Odesłano go napowrót do przymusowych robót, gdzie pracując ciężko, bezprzestannie, pod knutem dozorcy, pociesza się zapewne wpływem, jaki wywiera jego czyn krwawy, na innych skazanych do katorgi winowajców (1).

Powierzchowność buryatów odpowiada zupełnie zezwierzęconéj ich naturze. Wysokiego wzrostu, barczyści, muskularni, obrośli gęstym czarnym włosem, z twarzami płaskiemi, wśród których nos i oczy, giną prawie zupełnie, przedstawiają oni ów typ odgadnięty przez Darwina, a każący domyślać się jakiéjś pośredniéj istoty, która przestawszy być zwierzęciem, nie została jeszcze człowiekiem. Obyczaje ich, sposób życia, charakter, stawiają ich bezporównania niżéj od wszystkich innych pierwotnych plemion zaludniających Syberyę, nie mają w sobie żadnéj cechy człowieczeństwa,

---

(1) Szczegóły powyższego zdarzenia wyjęte są z aktów kryminalnych Irkuckiego sądu. (*Przyp. aut.*).

żadnéj oznaki, którąby pozwalała domyślać się choć najsłabszych popędów duchowych. W najwyższym stopniu gnuśni i leniwi, nie troszczą się o swoje wygody i potrzeby, nie myślą o jutrze, nie zajmują obecną chwilą; szukają pożywienia gdy im głód dokuczy, zmieniają odzież gdy ich robactwo pożéra, chronią się w swoje szałasy, gdy ich woda zaleje. lub śnieg zasypie. Ta opieszałość, niechlujstwo, zbydlęcenie widziéć się daje we wszystkich szczegółach ich życia. Siedziby ich niepodobne w niczem do czum tanguzkich, jurt tatarskich, a tém mniéj do obszernych izb gilliackich, składają się z kilkunastu cienkich tyczek lub gałęzi wetkniętych niedbale w ziemię, posplatanych między sobą, i przykrytych rodzajem drewnianego dachu: pozostawiony kwadratowy otwór służy zarazem i za okno i za przeciąg do wypuszczenia nagromadzonego dymu. W pośród tych jam obrzydliwych, pełnych zaduchu, swędu, wszelkiego rodzaju nieczystości, żyją razem z domowemi zwierzętami, dzieląc z niemi posłanie i strawę. Jedyném zajęciem, łączącém ich obyczaje z obyczajami innych ludzi, jest hodowanie owiec.

Niezmierne a bujne łąki, rozciągające się po za Bajkałem, i łatwość z jaką bez trudu, pracy i wszelkiego kłopotu można tam wychować liczne stada, uczyniła Buryatów pasterzami. Leżąc po całych dniach bezczynnie, niewychodząc prawie ze swoich szałasów, powierzają straż i ochronę dobytku wiernym psom, które wypełniają włożone na nich obowiązki nierównie lepiéj i troskliwiéj, niżby to oni sami przy wrodzonéj swéj gnuśności i do ostatnich granic posuniętém lenistwie uczynić byli w stanie. Odzież Buryatów składa się z trzech kaftanów skórzanych, które kładą jeden na drugi, pokrywając to wszystko długą, uszytą także ze skór, opończą; kobiéty buryackie noszą na głowie małe, płaskie z wojłoków wyrobione czapeczki, stanowiące oprócz zaplatania warkoczy, jedyną powiérzchowną różnicę w ich ubiorze, z używanym przez mężczyzn strojem.

Badając te plemiona dzikie, brudne, więcéj zwierzęcych instynktów niż przymiotów ludzkich posiadające, nasuwa się mimowolnie pytanie, czy ów stan zbydlęcenia istoty na obraz i podobieństwo Boga stworzonéj wynika z saméjże jéj na-

tury, i anormalnego zasklepienia wszelkich władz umysłowych, czyli téż jest wypływem ciągłego karłowacenia moralnych piérwiastków człowieka, żyjącego w dusznéj, przesiąkłéj zbrodnią i wszelkiego rodzaju plugawstwa atmosferze. Zdania pod tym względem są podzielone: wielu twierdzi, że natura człowieka z jakiejkolwiekby on rasy pochodził jest jedna i ta sama, a tylko otoczenie, sposób życia, piérwsze zasady i wrażenia w młodocianym wieku odbiérane, czynią z niego bohatera lub zbrodniarza, dzikiego szaleńca, lub ozdobę społeczeństwa. Mniemania tego odrzucić bezwarunkowo nie można, wiemy dobrze czém się stają w dalszém życiu zarody piérwotnego wychowania, początkowych pojęć, dziecinnych wspomnień, ale znowu z drugiéj strony widzimy częstokroć natury tak krnąbrne w przyjęciu dobrego, lub tyle silne w odparciu złego, jakie je za młodych lat otacza, ż, uznając wpływy postronne na charakter ludzki działające, trudno nam nie przypuszczać skłonności czerpiących źródło jedynie w rodowéj krwi przodków. Zasadę powyższą można stosować nietylko do pojedyńczych indywidualności, ale i do ciał zbiorowych czyli całych pokoleń: jak człowiek-jednostka otrzymuje piérwszy swój kierunek przez wychowanie, tak i człowiek-naród dostaje go przez rozwój politycznego bytu, ale zarazem tak jeden jak i drugi posiada w swojéj istocie, w swojéj krwi, w swojéj rasie coś zupełnie odrębnego, samoistotnego, coś, co się nie da ani zmienić, ani téż wygładzić żadnemi środkami.

Jako dowód na poparcie powyższego twierdzenia, przytoczę następujące zdarzenie:

Przed dwudziestu kilkoma laty, jeden z wyższych administracyjnych urzędników wschodniéj Syberyi udał się w zabajkalskie ziemie, w celu zwiédzenia powierzonéj jego pieczy krainy. Opisane przezemnie szczegóły uderzyły go wszędzie, obudzając przykre i bolesne zarazem wrażenie. Ta gnuśność ospała, niechlujstwo obrzydliwe, a nadewszystko owe drapieżnych zwierząt instynkta, sprawiły że on, człowiek serca, chrześciańskich uczuć i filantropijnych zasad, nie mógł bez oburzenia patrzéć na tak straszny i bezwarunkowy upadek. Probował tu i owdzie dobrocią lub łagodną perswazyą wpły-

nąć na znikczemnione natury dzikich buryatów, ale próżnemi były wszelkie usiłowania; wszędzie przyjęto go jako wroga, i gdyby nie zasłona licznéj straży, przypłaciłby życiem może szlachetne swoje dążności. Zniechęcony niepowodzeniem, rozdrażniony oporem, wracał do Irkucka, myśląc o środkach, jakich chwycić się należało, ażeby wykorzenić złe, tak głęboko nurtujące piękną i bogatą prowincyą, gdy przejeżdżając koło jednego osamotnionego szałasu, ujrzał siedmioletniego buryackiego chłopca, rzewnemi płaczącego łzami. Zatrzymać się, wyskoczyć z powozu i zapytać za pomocą nieodstępnego tłumacza o powód zmartwienia dziecka, było dziełem jednéj chwili.

— Jakże nie mam płakać, odpowiedział malec, kiedy zostałem sam jeden na świecie.

Mówiąc to, wskazał na leżące bez duszy ciało mężczyzny.

— To mój ojciec, zawołał łkając; on umarł, dawniéj jeszcze umarła moja matka: ja nie wiem teraz co począć.

Wzruszony tak wielkiem nieszczęściem pan ***, przytulił zanoszące się od płaczu dziecko i zapytał:

— Bardzo więc kochałeś swojego ojca?

— Ja go nie kochałem, on mnie bił: ja zresztą nikogo nie kocham. Płaczę bo nie wiem co z sobą robić.

Wyrazy te ostudziły cokolwiek filantropijne zapały urzędnika, ale rozwaga nadała inny kierunek jego myślom.

— Kto wié, rzekł sam do siebie, jaki skutek wywrzéć mogą dobre przykłady i staranne wychowanie na tym zdziczałym szczepie pustyni. Spróbujmy.

— A poszedłbyś ty do mnie?

— Nawet do czarta, jeżeliby karmił, odpowiedział malec.

Taki był początek karyery młodego buryaty, znanego przed kilkoma laty wykwintnisia, eleganta i ulubieńca najpierwszych irkuckich salonów; jaki był koniec jego, zobaczymy późniéj.

Pan *** szczerze zajął się losem sieroty. Wdowiec, bezdzietny, przysposobił go za syna, a gdy tenże ukończył gimnazyalne kursa w Irkucku, wysłał go do szkoły centralnéj w Paryżu. Młodzieniec, obdarzony z natury niezwy-

kłemi zdolnościami uczył się pilnie, a opiekun jego, widząc te postępy, zacierał ręce z radości i mawiał do swoich poufnych.

— Zobaczycie co z niego zrobię. Wszystkie bezsensowe brednie ludzi twierdzących o solidarności krwi, o różnorodności moralnéj i umysłowéj odmiennych rass, odrazu zbite zostaną. Ten żywy przykład, który stawię wszystkim przed oczy, może stać się z czasem węgielnym kamieniem przyszłego odrodzenia zabajkalskich krajów. Cywilizujmy tylko dzikich, a zrobimy z nich pożytecznych członków spółeczeństwa...

I nasz filantrop rozpuściwszy skrzydła wyobraźni na podobieństwo mléczarki Lafontaina, widział już w niedalekiéj przyszłości dzikie stepy Zabajkału przemienione w kwitnącą umysłowém życiem krainę, srogich, krwichciwych zabójców, zajętych przemysłem i kunsztami, chwiejące się pod podmuchem wiatru szałasy rosnące w domy, wsie i grody. Mało brakowało, żeby idąc ciągle za popędem rozgorączkowanéj chwilowém powodzeniem imaginacyi, nie obdarzył w myśli swojéj, niegościnnéj ziemi szkołami i wyższemi zakładami naukowemi, a rozbójniczych jéj mieszkańców nie zrobił doktorami filozofii i magistrami prawa. W każdym razie jako stały prenumerator i zwolennik „Syna Otieczestwa,“ wychodzącéj w Moskwie gazety, wypracował już projekt przyszłego rozwoju szkółek ludowych w zabajkalskiéj prowincyi.

Gdy się tak bawił swojemi marzeniami, przybrany syn jego, ukończywszy chlubnie szkołę centralną w Paryżu, obdarzony nagrodami, obciążony wieńcami, powrócił z Irkucka w objęcia swojego opiekuna i dobroczyńcy. Poprzedzony sławą tryumfów, oczekiwany przez wszystkich z sympatyczną ciekawością, przyjęty od razu został w grono arystokratycznego tamtejszego towarzystwa, jak gdyby i z rodu i z pochodzenia cząstkę jego stanowił. Wyższe wykształcenie i protekcya chlebodawcy dały mu urząd i poważanie powszechne, wrażliwa zaś natura popchnęła go jednocześnie do naśladowania życia, jakie jest udziałem syberyjskich bogaczów. W zakładzie naukowym paryzkim otoczony pracowitą mło-

dzieżą, pragnącą własnemi trudy zdobyć sobie przyszłość, przejął się ich duchem i dążeniami. W Irkucku, gdzie wszyscy, których stać na to, hulają do upadłego, przyswoił sobie na wstępie wszelkie cechy północnych ulubieńców losu. Zajmowane przez niego miejsce w kancellaryi gubernatorskiéj było tylko formą dającą stanowisko, w gruncie zaś rzeczy, wszelką robotę do tych obowiązków przywiązaną odrabiali mniéj pod względem majątkowym uposażeni towarzysze, za szczodrém, ma się rozumiéć wynagrodzeniem. Opiekun bowiem niczego mu nie żałował, a on nawzajem pełnemi garściami, bez żadnego skrupułu, czerpał w otwartéj zawsze dla niego szkatule przybranego ojca.

Miesiąc jeszcze nie przeszedł, a piérwszy uczeń szkoły centralnéj paryzkiéj, zmienił się w piérwszego eleganta stref podbiegunowych. Pił kliko, grał w stukułkę, utrzymywał nieporównane rysaki, a płaska buryacka twarz i skośne mongolskie oczy, nie przeszkadzały mu bynajmniéj do zbierania zwarzonych mrozem wawrzynów po buduarach północnych piękności. Owszem, brzydota ta stała się jednym z głównych powodów jego powodzenia; nic bowiem nie nęci tyle córek Ewy jak rozmaitość, czego dowodem jest przykład dany licznym następczyniom przez piérwotną matkę rodzaju ludzkiego. Wszelkie wady złotéj młodzieży irkuckiéj, spotęgowały się w tém ucywilizowaném dziecku pustyni do najwyższych granic: jeżeli grał to zapamiętale, jeżell hulał to do szaleństwa. W towarzystwie męzkiém lubił burdy, w damskiém tłuste koncepta, w oficyalném przybraną powagę; z równymi był zawsze zarozumiałym, z wyższymi pokornym, z niższymi grubijaninem; jedném słowem stał się typem, na którym odwzorowywały się wszystkie bez wyjątku nowo powstające gwiazdy, wśród horyzontu mody, dobrego tonu i znajomości świata owego zakątka północy.

Pan ***, twórca tego arcydzieła nie posiadał się z radości. Był on jak ów autor przyjętéj z zapałem przez publiczność sztuki, który siedząc za kulisami teatru, śledzi nieskończone objawy zadowolenia, słucha grzmotu oklasków, widzi sypiące się bukiety, i mówi z zachwyceniem do siebie: wszystko to moja praca, moje trudy!

— A co? powtarzał znajomym i przyjaciołom, winszującym mu powodzeń przybranego syna; i nauka jest, i wyższy polot towarzyski od razu przylgnął do niego!

Rok minął: młody feniks step zabajkalskich dosięgnął szczytu swojéj apoteozy. Uwielbiany przez damy, noszony na rękach przez młodzież, tolerowany przez władzę, postrach policyi i nocnych stróżów, pieszczoch buduarów, ozdoba salonów, szedł wygodną drogą życia, zasłaną zdobytemi przez siebie laurami. I byłby tak dotarł do kresu swojéj doczesnéj wędrówki, zakończonéj prawdopodobnie śmiercią z przepicia, lub silniejszego cokolwiek uderzenia kułakiem, w czasie licznych poufnych nieporozumień w gronie przyjacielskiém mających miejsce, gdyby nie jedna nieznaczna na pozór okoliczność, która przeważnie wpłynęła na dalsze jego losy.

Do Irkucka przybył stary buryata, w celu wymiany skór zwierząt na towary europejskie.

Wprawdzie buryaci często tam przychodzą, ale podróże ich odbywają się zawsze pod strażą, a celem tych przymuszonych wycieczek, jest nieodmiennie miejscowe więzienie. Jakim sposobem wspomniony zabajkalczyk odważył się porzucić dobrowolnie swój szałas, swoje brudy, swoje stepowe obyczaje, i przezwyciężył wrodzone lenistwo dla zbycia futer sobolich, lisich i niedźwiedzich, odpowiedziéć tylko może owo tajemnicze fatum przeznaczenia, wyradzające tysiące drobnych przyczyn, z których powstają następnie ważne a nieprzewidziane skutki.

To samo fatum rządzące losami sprawiło, że młody buryata, jadąc eleganckiemi saneczkami, ujrzał swojego protoplastę rozkładającego w milczeniu skóry na placu targowym.

Powiérzchowność owego patryarchy rodu nie miała w sobie nic tak bardzo zajmującego. Brudny, osmolony, cuchnący tranem rybim i rozlicznego rodzaju wyziewami, przedstawiał w całéj swéj postaci opisany powyżéj typ upadku moralnego i dzikiego zezwierzęcenia, jaki jest udziałem tych plemion.

A jednak wspomniony człowiek zajął w najwyższym stopniu młodego ulubieńca salonów irkuckich. Zdało mu się w jego rysach spłaszczonych, bez wyrazu i życia, widziéć

drugiego siebie, a przynajmniéj jakaś pokrewną, nader blizko go obchodzącą istotę.

Kazał stanąć i wyskoczywszy z sanek zagadał do buryaty. Ten, nieumiejący po rossyjsku, spojrzał na niego z podełba swoim płowym, zapadłym głęboko wśród policzków wzrokiem, i pokazawszy dwa rzędy długich, białych, ostro zakończonych zębów, zamruczał kilka słów w ojczystém swojém narzeczu.

Na dźwięk tego głosu, obudzającego w nim dawne, pomrokiem czasu zakryte wspomnienia, elegant wstrząsnął się cały, niezwykła bladość pokryła twarz jego i... któż zdoła pojąć naturę ludzką, łza, łza prawdziwa, piérwsza jaką w swém życiu uronił, spłynęła powoli po twarzy, nie wyrażającéj odtąd żadnego z uczuć, jakie cechują wewnętrzną walkę ducha, lub tajemne popędy serca.

Rozgniewany sam na siebie, zawstydzony swoją słabością, odwrócił się od inorodca, wsiadł napowrót do sanek i kazał się zawieźć do domu.

Ale od téj chwili, jakaś nieokréślona niespokojność owładnęła nim. W hulaszczych towarzystwach, których dawniéj był duszą, stał się ponurym, milczącym i zamyślonym, w buduarach przekwitłych piękności ziéwał, w salonach reju nie wodził, szampan przestał mu smakować, karty go nudziły, a co najważniejsza, przez cały miesiąc po niefortunném spotkaniu owego buryaty, ani jednéj burdy nie zrobił, ani jednego policyanta na ulicy nie obił.

Natomiast zdawało mu się słyszéć jakieś dawno zapomniane dźwięki rodzinnéj mowy, widziéć barczyste i kudłate postacie swoich braci z krwi i ducha, czuć w powietrzu zapach skór i powiew stepowego wiatru, świszczącego wśród szczelin szałasu... Wszystko to nurtowało samorodną naturę buryaty, którą cywilizacya, pokrywszy powiérzchowną powłoką, nie zdołała zmienić i przekształcić do gruntu.

Opiekun jego i dobroczyńca piérwszy zauważył tę zmianę. Przywiązany ślepo do swojego wychowańca, podwoił usiłowania, ażeby mu uprzyjemnić życie: sprowadził dla niego nowe konie, nowe ekwipaże, wymyślał rozrywki, obsypywał go złotem, ale wszystko to było napróżno. Młody człowiek,

skryty i tajemniczy, niemający do nikogo zaufania, nie kochający nikogo na świecie, utaił w głębi swéj duszy moralną chorobę, wpijającą się powoli w całą jego istotę. Chorobę tę irkuccy lekarze nazwali hipokondryą, spleenem, a ona przecież nie była niczém inném jéno tęsknotą za rodzinnym krajem, za ziemią, która wykołysała piérwsze pojęcia i wrażenia tego dziecka pustyni.

Podobny stan przeciągnął się jeszcze kilka miesięcy; nareszcie, jednego pięknego poranku, potomek zabajkalskich plemion zniknął nagle i przepadł bez śladu. Ani starania przybranego ojca, ani usiłowania policyi, ani wszelkiego rodzaju poszukiwania, do żadnego nie doprowadziły rezultatu. Mniemano powszechnie, iż młodzieniec, dotknięty umysłową słabością, nieprzytomny, rzucił się w czasie napadu melancholii, w nurty rzeki, płynącéj pod murami Irkucka, a mniemanie to istniałoby niezawodnie do dnia dzisiejszego, gdyby w kilka lat późniéj, nie odkryto przypadkiem w pośród dzikich pokoleń buryackich, zbiegłego ulubieńca salonów wschodniéj Syberyi. Kilka słów wyrzeczonych przez niego mimowolnie po francuzku spowodowało odkrycie; inaczéj bowiem nikt nie byłby w stanie w niechlujnym szałasie, pod powłoką cuchnących skór, poznać byłego ucznia szkoły centralnéj paryzkiéj. Wynalezienie jednak zbiega nie wpłynęło na wydobycie go z kału, w którym się dobrowolnie pogrążył. Wszystkie przedsięwzięte w tym celu środki nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Sam nawet opiekun jego zjeżdżał umyślnie w stepy, starając się przemówić do jego serca, do jego uczuć: napróżno! Zdziczały Don-Juan arystokratycznych buduarów, twierdził stanowczo w rodzinném swojém narzeczu, że niepojmuje czego od niego żądają, że nigdy tych stepów nie opuszczał, innego życia nie zna i znać nie chce, a otaczający go buryaci zuchwale i z właściwém tym ludziom grubijaństwem potwierdzali jego słowa: jeden z nich nawet mianował się rodzonym jego ojcem.

Nie było na to żadnéj rady. Prawo nie dozwala samowolnie odebrać ojcu syna, a dokumenta pisane, metryki urodzenia, nie istnieją na pustyni. Pomimo więc moralnego przekonania, nie zdołano dowieść tożsamości stroniącemu od

cywilizacyi buryacie, témbardziéj, że wyrzeczone przez niego po francuzku wyrazy, których się następnie zacięcie zapierał, były jedyną chwilą zapomnienia, jaką miał w dalszym ciągu swego koczowniczego po stepach życia. Wszelkie przedsięwzięte próby znalazły go niewzruszonym; na każde zapytanie w innym języku uczynione odpowiadał nieodmiennie po buryacku: Horn! (nie rozumiem!).

Zostawiono go więc w ulubionym przez niego żywiole. Stroskany opiekun powrócił do Irkucka ze zmienionemi cokolwiek wyobrażeniami o wpływie cywilizacyi, o przekształceniu moralném i duchowém ras, o odrodzeniu piérwotnych plemion, a młody laureat paryzki, pogromca czułych serc, zwolennik kart, szampana i pasztetów z truflami, wędzi się w dymie buryackiego szałasu maże tłustością, poluje na niedźwiedzie i od czasu do czasu czyha, ukryty za krzakiem, na przechodzącego bradiagę, ażeby widokiem krwi jego nasycić wrodzone instynkta pastwienia się nad ofiarami, instynkta, o których dawniéj walki na kułaki i pobicie nocnych stróżów, słabe zaledwie dawały mu wyobrażenie (1).

Oprócz buryatów-szamanistów, których krwiożercze chucie, zwierzęcą dzikość i uporną w przyjmowaniu dobrodziejstw cywilizacyi naturę staraliśmy się wyżéj opisać, zamieszkują jeszcze północne stepy zabajkalskiego kraju i część południową irkuckiéj gubernii buryaci-buddaiści. Tego samego szczepu, jednakowego pochodzenia, równi solidarnością krwi i rodu, odróżniają się przecież od swoich braci, wiarę szamańską wyznających, nietylko charakterem, ale i wszystkiemi zewnętrznemi cechami. Zbawienny wpływ nauki księcia Siderta. pustelnika z Sakyi, który, zostawszy Buddą (mędrcem), ogłosił tajemnicę Nirwany, na przestarzałéj metampsychozie indyj-

(1) Powyższa historya we wszystkich swych szczegółach jest najzupełniéj prawdziwą. Opowiadał mi ją pan R***, akcyzny urzędnik, człowiek godny wiary i zaufania, który znał w Irkucku osobiście ucywilizowanego stepowca, a następnie, jeżdżąc w interesie swego urzędowania po zabajkalskim kraju, był świadkiem niczém nie dającego się pokonać oporu, jaki tenże stawił w przyznaniu swojego ojca i zaparciu się swojéj przeszłości. (*Przyp. aut.*).

skiego braminizmu, stanowi jedyną przyczynę tego odrębnego ich stanowiska. Zasady buddyjskiéj religii, mającéj na celu oddalić od każdego stworzenia ból i cierpienie, potępiającéj bezwarunkowo wszystko co tchnie okrucieństwem i niesprawiedliwością, nakazującéj uszanować życie nawet w wijącym się wśród kału ziemi robaku, były przyczyną, że dzika natura tych plemion wyłagodniała stopniowo pod prądem wyobrażeń więcéj duchowych, nierównie moralniejszych, niż zabobonne praktyki szamanizmu. Buryaci, wyznający wiarę buddyjską, brzydzą się swoimi braćmi szamanistami, jako ludźmi pogrążonymi w materyalizmie, boleją nad Chrześcianami zmuszonymi w wieczném życiu szukać nieskończonego cierpienia, wtedy gdy oni, uważając istnienie za nieszczęście a śmierć za błogi spokój, widzą w Nirwanie (nicości) szczyt wszelkiego dobrego i apoteozę wszelkiéj pomyślności.

Dodać winienem, że wspomniawszy o wyobrażeniach moralnych buddaistów, południowe strony irkuckiéj gubernii zamieszkujących i o poglądzie tych szczepów na inne religie, stosuję to jedynie do ich lamów (kapłanów), którzy mają niejakie pojęcie o zasadach nauki, głoszonéj przed dwunastu wiekami przez syna króla indyjskiego Suddodamy; prosty bowiem lud, idąc ślepo po wytkniętéj od niepamiętnych czasów drodze, wypełnia wszelkie nakazane buddyjską religią obowiązki, nie wiedząc ich znaczenia, ani zgłębiając zasad, pod powiérzchownemi formami ukrytych. Allegoryczne figury obrządków pojmuje on zmysłowo, materyalnie, a zapytany o wyjaśnienie tych znaków, nie umié żadnéj dać odpowiedzi.

W każdym znaczniejszym ałausie (osadzie) buryatów-buddaistów, znajduje się pagoda. Budynek ten, stawiany z drzewa, ma zewnętrzny pozór świątyni chrześciańskiéj na szczycie tylko wyniosłéj wieży, miasto znamienia Zbawiciela lub półksiężyca mahometańskiego, widziéć można długą, śpiczastą, ostro zakończoną igłę. Symbol ów znamionuje myśl ludzką i modlitwę zgromadzonych w przybytku wiernych, strzelającą w prostym ku niebu kierunku. W głębi pagody stoi stół ofiarny czyli ołtarz, przed którym lama odbywa religijną służbę. Ofiara, umieszczana codziennie na ołtarzu, składa się z ziarna, soli i kawałka gotowanéj baraniny,

napełniających trzy małe szklane lub miedziane naczynia. Dań owa bezkrwawa podobną jest do ofiary zwanéj: „Juge sacrificium,“ będącéj w użyciu u starożytnych Izraelitów (1). Niedaleko od ołtarza, cokolwiek na prawéj stronie, spostrzegać się daje koło modlitw, maszyna podobna do olbrzymiego młynka czyszczącego zboże w śpichlerzach europejskich, któréj korbę kręcą kolejno mający się modlić buddaiści (2). Po obu stronach ścian pagody, równie jak i we wgłębieniu około stołu ofiarnego, wiszą obrazy malowane na blasze, lub stoją posągi z drzewa i kamienia: wszystko to są wyobrażenia bóstwa opiekuńczego lub głosiciela praw jego Buddy. Postacie te rażą potwornością swoich kształtów tych, którzy przywykli w swoich wyobrażeniach widziéć estetyczność powiérzchownych form, a nawet idealizowanie ziemskich konturów; dlatego téż każdy niemal podróżny, zwiédzający buddyjskie pagody, nie zgłębiwszy natury rzeczy, powstaje bezwarunkowo przeciwko ohydnéj szkaradzie owych posągów i malowideł. Monstrualna brzydota rzeczonych postaci nie jest jednakże niczém innéın, jak tylko allegoryczną formą, starającą się przedstawić widomie, zmysłowo, moralne przymioty bóstwa. Wszechmocność np. oznaczoną tu jest przez człowieka o mnóstwie rąk, możność widzenia wszystkiego przez podobnąż figurę, pokrytą, niby starożytny Argus, tysiącem patrzących na wszystkie strony oczów. W posągach Buddy guzy na czole znamionują mądrość, garb na plecach ciężar poświęceń, który niósł na sobie, a pazury u rąk, rogi na głowie i kły wychodzące z ust, liczne przemiany, jakim prawodawca ulegał, nim zdołał potęgą wytrwałości i ofiarą pokuty, zgładzić swoją istność i pogrążyć się na wieki w cieniach nirwany.

Podczas trwania obrządków religijnych w pagodach, lamy siedzą zawsze na ziemi, bezwiedni, nieruchomi, z oczami

(1) Numeri c. 28 v. 3. – Exodus c. 29 v. 38.

(2) Maszyna ta napełnioną jest wewnątrz mnóstwem małych karteczek, oznaczających westchnienie do Boga. Wznoszenie się i opadanie tych karteczek przy pokręcaniu korbą, stanowi właściwą modlitwę. Rysunek takiéjże maszyny używanéj w Chinach był podany w I seryi *Wędrowca*.

wlepionemi w wyobrażenie mędrca, a muzyka, zrazu cicha i zaledwie dosłyszana, przechodzi stopniowo w ogłuszający hałas. Muzyka ta, złożona z kotłów, bębnów, janczarskich talérzy, nadzwyczaj długich trąb i wielkich muszli morskich, opatrzonych świstawkami, jest dzika, wrzaskliwa i nie posiada najmniejszéj harmonii. Wszystkie instrumenta do téj przeraźliwéj orkiestry sprowadzają buryaci-buddaiści z Pekinu; żadna ważniejsza uroczystość, żaden znaczniejszy obchód nie może miéć miejsca bez użycia owego piekielnego koncertu; często nawet w dnie powszednie bogaci czciciele indyjskiego prawodawcy wzywają do siebie hałaśliwych artystów pagody i kręcąc koło modlitw zdają się lubować w tym chaosie zmięszanych dźwięków. Posty ich, odbywane kilka razy do roku, zależą na zupełném wstrzymaniu się od wszelkiego rodzaju pokarmów od wschodu do zachodu słońca; w czasie trwania tych postów zachowywaném także bywa bezwarunkowe milczenie. Zaledwie jednak słońce zniknie z widnokręgu, przygotowane naprzód misy z jadłem wypróżniają się nader szybko, a żarłoczność pozbawionych całodziennego pokarmu buryatów nie ma granic i miary; co wszystko, przy nadmierném użyciu gorących trunków i hulance, będącéj zawsze hasłem zakończenia każdego postu, wyradza liczne choroby z przejedzenia i przepicia wynikłe.

Buddyjski lama powinien być wzorem łagodności, cierpliwości i pokory, powinien odznaczać się wstrzemięźliwością, i dawać zawsze z siebie przykład jak zwyciężać należy wszelkie złe nałogi, oddalające myśl człowieka od spokojnego obrazu nirwany. Témbardziéj zaś w krajach podległych Rossyi, gdzie religia buddyjska jest zaledwie tolerowaną, gdzie niéma owych olbrzymich pagod, służących za mieszkanie niezliczonym tłumom bonzów, którzy przypominają w każdéj chwili swojemi łachmanami, plugastwem, nędzną postawą, znikomość rzeczy ludzkich; zadanie powyższe winno być głównym czynnikiem życia duchowieństwa buryackiego. Ale, jak to zwykle bywa na tym świecie, kapłani Buddy, trzymając się powiérzchownie przepisów prawodawcy, umieją w danym razie odbiedz od tych prawideł i popuścić wodze swoim zachciankom i namiętnościom. Przedstawiciele wszel-

kich cnót zachowują w czasie obchodów religijnych ową posągową nieruchomość, mającą przypominać wiernym dogmat martwego ubezwładnienia jestestwa, i sądzą, że uczyniwszy się na chwilę automatami, dopełnili swoich obowiązków. Przepisy buddyjskie dla powstrzymania sług ołtarza od zamiłowania materyalizmu i ziemskich rozkoszy, zabraniają lamom uświęcać życie rodzinne przez zawieranie związków małżeńskich; oni więc, stosując się literalnie do powyższego prawidła, nie biorą ślubów w pagodach, ale żenią się prywatnie, a mając po kilka, a czasem kilkanaście żon nieprawych, są przekonani, iż nie naruszyli w niczém dogmatycznéj ustawy. Uszanowanie życia w każdém stworzeniu jest jak wiadomo jedną z najgłówniejszych zasad buddaizmu, otóż więc lamy, ulegający drobiazgowo temu przepisowi, noszą zawsze przy sobie naczynie do filtrowania wody służące, które podług ich wyobrażenia chroni od zagłady myryady wymoczków, znajdujących się w każdym płynie; a jednak obok wypełniania niby tak akuratnego woli mędrca, nie pogardzają w czasie uczt i religijnych obchodów pieczonym szaszłykiem z baraniny, ani też surgą, potrawą z młodego koźlęcia przyrządzoną. Zresztą, o ile czują się w świątyni obowiązani do nadania rysom swoim pozoru niczém niewzruszonéj powagi, i zimnéj, nieledwie martwéj powierzchowności, o tyle po za obrębem pagody, wyrazem twarzy, swobodą ruchu, i wesołością rozmowy, nie odstępują nigdy od przyzwyczajeń i nałogów zwykłych śmiertelników, owszem, starają się ich przewyższyć, i pokazać szczególniéj codzoziemcom, towarzyskie swoje przymioty. Nie są oni w niczém podobni do szamanów innych azyatyckich plemion, posiadają pewne wykształcenie, i mogą jeżeli nie wyjaśnić zupełnie, to przynajmniéj dać niejakie pojęcie o znaczeniu symbolów księgi Vedas. Lubiąc teologiczne rozprawy, nigdy od nich nie stronią; owszem, z pewném zamiłowaniem tłumaczą tajemnice nirwany. Przed rokiem, gdy zakończył życie jeden z bogatszych kupców w Irkucku wyznający buddaizm, przybyli do tego miasta na pogrzeb nieboszczyka lamowie, przyjmowali gościnność u rossyjskich mieszkańców i przestępowali progi na sposób europejski urządzonych salonów, a znalezienie się tych ka-

płanów pustyni w europejskim gronie, nie raziło tak dalece odrębnością form i zwyczajów tutejszego towarzystwa. Niektórzy z syberyjskich lamów mówią wcale nieźle po rossyjsku; natomiast język mongolski, który z obowiązku wiary swojéj znać powinni dokładnie, jest dla nich nader często zupełnie obcym. Buryaci z pochodzenia używają ze swoimi współwyznawcami rodzinnego narzecza, wszystkie zaś ceremonie w pagodach, wykonywane bywają w języku sanskryckim, niezrozumiałym i dla samychże duchownych, czytających mechanicznie przepisy i prawidła w staro-indyjskiéj niepojętéj dla ogółu mowie.

Powszechnie przyjęty środek zanoszenia próśb do najwyższéj istoty, zależy, jak już wyżéj powiedziałem, na mechaniczném kręceniu koła modlitw, w którém małe karteczki z literą: „Om“ (westchnienie do Boga) poruszane chwytaczami umieszczonemi w środku pudła, wznoszą się i opadają kolejno. Otóż więc takie maszyny widziéć można bardzo często stojące przy traktach, lub drogach do komunikacyi służących, dla użytku i wygody przejeżdżających tamtędy wiernych. Żaden z buryatów-buddaistów nie ominie podobnego młynka bez zatrzymania się przed nim. Ujrzawszy narzędzie do zanoszenia modlitw przeznaczone, zsiada z konia, i pokręciwszy kilka razy korbą, odjeżdża w swoją stronę, przekonany, że tym sposobem dopełnił wszystkich religijnych powinności. Niektórzy z nich, szczególniéj zaś ci, którzy pragną odznaczyć się bogobojnością, posiadają w swoich izbach podobną maszynę, lecz w daleko mniejszych rozmiarach. Sprzęt ten, zbliżony kształtem do pozytewki, stoi zwykle pod ręką właściciela, który od czasu do czasu, stosownie do usposobienia lub chwilowéj fantazyi, porusza korbą religijnego instrumentu. Nie czyni on tego z namaszczeniem, jakie zdawałoby się być koniecznym przymiotem przy odbywaniu najważniejszych obowiązków wiary, ale zupełnie mechanicznie, myśląc o czém inném, paląc fajkę, przyjmując dzienny posiłek, lub nawet rozmawiając z otaczającemi go osobami o najprozaiczniejszych przedmiotach.

Izby buryatów-buddaistów, budowane z drzewa na sposób europejski, odznaczają się czystością i ochędóstwem.

Oprócz koła modlitw i posągu Buddy, widziéć tam można znaczną ilość kufrów stojących przy ścianie i mnóstwo domowych sprzętów, jakoto misek i talerzy miedzianych, herbatniczek, rądelków i t. p., poustawianych symetrycznie na półkach. Kufry te, których olbrzymie rozmiary uderzają na wstępie wzrok przybysza, są wewnątrz puste i nic zupełnie, pomimo podwójnych częstokroć kluczów i zamków, w sobie nie zawierają; fenomen ów wypływa z charakteru irkuckich buryatów, którego słabą stronę stanowi chęć udawania się za bogatszych niż są w istocie, i przybierania wszelkich pozorów zamożności, jaka częstokroć nie jest wcale ich udziałem. Z najmniejszą posiadaną drobnostką lubią się oni przed gościem pochwalić, radzi jeżeli zdołali obudzić zawiść w sercu sąsiada; sztukę nawet prostéj materyj kupioną w Irkucku dla żony, lub chustkę podarowaną córce, nie pozwalają chować w owych wiecznie zamkniętych kufrach, lecz każą rozłożyć na pokaźném miejscu, ażeby każdy z wchodzących powziął na wstępie przychylne wyobrażenie o ich finansowych środkach. Rzeczywiście jednak zasoby materyalne tych ludzi nie są nigdy zbyt wielkiemi: naród ten nieobrotny, do handlu niesposobny, nie zdołał w żadnym razie przy najlepszych nawet chęciach, zająć stanowiska jakie daje bogactwo i zamożność. Obok jednak zupełnego braku przebiegłości, są oni w stanie przejmować łatwo wszelkie postronne wrażenia, i nadzwyczajnie bywają chętni do zbadania każdego nowego, nieznanego im poprzednio przedmiotu. Wrodzona ciekawość, troskliwe wypytywanie się o wszystko, tłumiony przywiązaniem do starych zwyczajów popęd wyjścia ze sfery, w któréj żyją, dałyby nadzieję prędkiego ucywilizowania téj odrośli buryackich szczepów, gdyby ślepe przywiązanie do zasad buddaizmu nie stawiało niepokonanéj niczem przeszkody. Jedyną trudnością w zbliżeniu się moralném z dzikimi szamanistami jest niezmierna rozległość stepów, wśród których rozsiane bywają ich koczowiska: jeżeliby ta geograficzna przyczyna usuniętą została, wszystkie plemiona wyznające szamanizm przechodząc nieznacznie i stopniowo na łono kościoła Chrystusa, zlałyby się w końcu z napływową ludnością

Syberyi. Inna jest rzecz z wyznawcami zasad Buddy: tam podstawy czysto duchowe, wybrażenie owego cichego, niewzruszonego spokoju, tyle pożądanego dla nieruchliwéj natury irkuckich buryatów, a nadewszystko zaś ciągły wpływ ich kapłanów, górujących pomimo swoich wad i usterek nad szarlataneryją i kuglarstwem szamanów, stanowią opokę, o którą rozbijać się zawsze będą wszelkie przedsięwzięte w tym celu usiłowania.

Przedstawiwszy zarysy charakterów dzikich buryatów zabajkalskich i opis obyczajów jakotéż religijnych zajęć buryatów-buddaistów południowe strony gubernii Irkuckiéj zamieszkujących, obrócimy się na zachód, powędrujemy wzdłuż granicy chińskiéj, na południowe krańce Jenisejskiéj gubernii. Tam żyją Sajańcy i Mongoły, skarłowaciałe potomki potężnego niegdyś i wojowniczego narodu.

Przed kilkoma wiekami, wtedy, gdy hańštwa kirgizkie i tatarskie szerzyły postrach w sąsiednich narodach azyatyckich, jedna Mongolia nie tylko opierała się zaborczym ich zachciankom, ale potęgą swoją równoważyła nawet znaczenie silnego jak ona orężem, lecz wyższego daleko cywilizacyą mocarstwa chińskiego. Z upływem czasu stało się to, co się zwykle dzieje, gdy na szalę materyalnéj równowagi dorzuconym zostanie wpływ jaki wywiera wykształcenie, nauka, polityczny rozwój, którego państwa, nad dzikimi, ufającymi jedynie w potęgę miecza sąsiadami. Mongolia podbita przez Mandżurów, zamienioną została w prowincyę Chin. Zakres niniejszego artykułu nie pozwala nam wchodzić w szczegóły dotyczące historyi tych krajów: jeżeli wspominamy powyższe fakta, to tylko dlatego, że w czasie przyłączenia Mongolii do obszarów państwa niebieskiego, jakaś cząstka koczujących plemion wysunięta na północ, pośród olbrzymich i niedostępnych gór Sajańskich została zapomnianą przez mandarynów, reorganizujących nowo wcieloną prowincyę, i żyjąc przez długie lata oddzielnie, podpadła w końcu zeszłego stulecia pod władzę imperyum rossyjskiego. Cząstka ta mongolskich pokoleń jest nieliczną, a z powodu nieokreślonéj w tych stronach faktycznie granicy, i przenoszenia się cią-

głego z miejsca na miejsce jurt sajańskich, żadna z rodzin składających je nie wié dokładnie do którego kraju należy, i jakiéj zwiérzchności podlega.

Sajańcy i Mongoły zaludniający południowe krańce okręgu minusińskiego, mając wszystkie powiérzchowne cechy swojego rodu, z dołączeniem oznak, jakie im nadało pomięszanie się z Mandżurami, nie są dziś tém czém byli ich przodkowie przed laty. Charakter wyłącznie wojenny tego potężnego ludu zmiękł pod wpływem wiekowéj stagnacyi i odosobnienia od reszty świata, zaborcze ich popędy ustały, wytrwałości i energii śladu niéma, a co najdziwniejsza, osobista odwaga, ów przymiot odznaczający zawsze ludzi w stanie natury żyjących, przestał oddawna być ich udziałem. Wszystkie bez wyjątku piérwotne plemiona Syberyi, przy swych wadach i zboczeniach, wyróżniają się nieustraszoném męztwem, i niezważającą na żadne niebezpieczeństwo śmiałością; Sajańcy przeciwnie, potomkowie jednego z najdzielniejszych narodów, są obecnie trwożliwi i wylęknieni, gotowi w każdéj chwili szukać ocalenia w haniebnéj ucieczce. Chytrość i czysto azyatycka przebiegłość czyni tych inorodców niebezpiecznymi przeciwnikami w sprawach obrotu targowego, spekulacyach i zamianach handlowych; zaledwie jednak odwaga ich wystawioną zostanie na próbę, stają się odrazu pokornymi i gotowymi uczynić wszystko, czego się od nich zażąda. Dobrocią i łagodnością nikt z niemi niczego nie wskóra, natomiast widok rewolwera lub dobrze wyostrzonego noża, a nawet głos podniesiony, ton rozkazujący, oddziaływa zbawiennie na ich przekonania.

Przed kilkoma laty jeżdżąc wzdłuż chińskiéj granicy w interesach handlowych, i przebywając często w koczowiskach sajańskich górali, miałem sposobność poznać charakter tych ludzi. Przy zupełnym braku gościnności, przy spaczonych wyobrażeniach o poszanowaniu cudzego dobra, przy zarodach nawet prowadzących do zbrodni, tchórzostwo ich tak jest wielkiém, że dwóch europejskich wędrowców dobrze uzbrojonych i czuwających kolejno nad sobą, może bezpiecznie przebywać te dzikie okolice, nie będąc narażonymi na utratę życia.

Okolice, w których żyją odznaczają się niezrównaną pięknością przyrody, ale ta piękność nie ma nigdzie owych zachwycających krajobrazów nadamurskiéj ziemi; jest ona dziką, budzącą podziw i trwogę. Ani śnieżyste wiérzchołki Alp szwajcarskich, ani strome szczyty Pireneów, nie mogą dać wyobrażenia o tych gwałtownych załamkach granitu, o tych fantastycznych konturach kamiennych cyplów, o téj ponuréj całości, zdającéj się nie miéć ni granic ni końca. Jest to ogrom straszny, posępny, przed którym drobnieją myśli i stygnie wyobraźnia, jest to chaos wystrzelających w górę skał, poplątanych konarów drzew, szumiących z hukiem potoków, niezgłębionych przepaści, w obec którego człowiek, ów król przyrody maleje i znika. Jurty Sajańców pokryte białą korą brzozy lub skórami zwierząt, raz pogrążone w głębi dolin, drugi raz znowu jako gniazda dzikiego ptastwa przylepione do skał, bieleją tu i owdzie, niby zaledwie dojrzane okiem punkciki w pośród olbrzymich kształtów gór. Mieszkańcy tych siedzib tak przywykli do ponuréj wspaniałości natury, że wyszedłszy na otwarte pola, nie mogą zrazu pojąć co się z niemi dzieje: zdziwieni, niespokojni, zdają się do koła siebie szukać owych ścian granitowych, oddzielających od reszty świata kolebkę ich życia. A życie to zajęte naprzemian polowaniem, rybołówstwem i pasieniem owiec, byłoby cichem, i zupełnie odosobnioném od reszty świata, gdyby nie ich namiętność do handlu, a raczéj niczém niepohamowana chęć oszukąnia piérwszego lepszego popadłego w ich sidła człowieka; zamiany bowiem prostéj towaru z przyzwoitym zyskiem, nie pojmują oni wcale, i wtedy tylko czują się szczęśliwymi, gdy sądzą, że zdołali złowić cudzoziemca na swoje samorodne, nader często widoczne sztuki. Jeżeli chytrość i przebiegłość nic nie pomoże, uciekają się do kradzieży, a gdy takowa pomyślnym uwieńczoną zostanie skutkiem, lubią wychwalać swoją zręczność w przyswojeniu cudzéj własności.

Ubiór Sajańców i Mongołów nadgranicznych nader jest zbliżonym do stroju prostych klass mieszkańców państwa niebieskiego. Długa opończa ze stanem niżéj bioder, obówie z zakrzywionemi w górę końcami lub grubemi podeszwami,

i kapelusz skórzany z podniesionemi na sposób chiński skrzydłami, stanowią jego całość. Głowy wszyscy mężczyzni bez wyjątku golą, niektórzy tylko, lecz to są rzadkie wyjątki, zapuszczają w środku czaszki warkocz spadający im na plecy. Ci, którzy to czynią, należą do wyznawców buddaizmu. Oprócz tych nielicznych osobistości, Sajancy w ogóle podlegają Szamanom. Buddyjski lama z Uliasutaja, obronnego miasta w Mongolii, nigdy nie przyjeżdża w te strony, sądząc zapewne, że dla kilkudziesięciu czcicieli Buddy nie warto zadawać sobie trudów i pracy; natomiast oni raz w rok udają się do Uliasutajskiéj pagody, w celu odbycia obowiązków do swojéj wiary przywiązanych. W jurtach ich znajduje się niezgrabnie z drzewa wyciosany posążek mędrca pokolenia Sakija, któremu składają kilka razy w miesiąc ofiary, i palą wonne kadzidła. Obrządki sajańskich szamanistów w niczem prawie nie wyróżniają się od podobnych praktyk wykonywanych przez Tunguzów; jedyną cokolwiek odmienną ich cechę stanowi Gonia, rodzaj baby znachorki, dodawanéj częstokroć szamanowi do pomocy przy leczeniu i zaszeptywaniu chorób, i Zig, etatowy trefniś auły, mający obowiązek rozweselania i zabawiania całych pokoleń w czasie igrzysk, wyprawianych na uczczenie białego boga, lub obchodów weselnych. Gonia, jest to po prostu staruszka chuda, wyżółkła, najczęściéj garbata, przypominająca rysami swojéj fizyonomii schakespearowskie czarownice w Makbecie, bez porównania mniéj znająca leczebne własności roślin od szamanów, lecz ciągnąca natomiast nie małe zyski z trwogi, jaką obudza przez przypisywaną sobie własność rzucania uroków. Zig zaś przedstawia się zawsze jako originalna figura, pokryta dzwoneczkami, namazana węglem, prawiąca rozmaite koncepta, i tem nie zrozumiała, że stanowiąc niejako religijny dodatek do niektórych obrzędów, jest zarazem postacią obudzającą pogardę. Z wspomnionym pajacem step, żywionym i utrzymywanym kosztem auły, nikt nie ma żadnych stosunków przyjaźni, życzliwości; nikt do niego nie zagada, nikt mu ręki nie poda, wiedząc że każde zbliżenie się do pociesznego człowieka, uważaném jest za hańbę i ujmę osobistéj godności.

Takiemi są charakter, obyczaje i sposób życia Sajańców zaludniających południowe krańce minusińskiego okręgu, i nieoznaczone granicą przestrzenie, które przestawszy być Chinami, nie mogą być przecież uważanemi za cząstkę składową Syberyi. Nieliczne to plemię, stanowiące samo w sobie pewną odrębną całość, wiąże się jednakże nieprzerwanym łańcuchem z różnemi odroślami mongołów, aż w końcu po za Ugri zléwa się stopniowo i nieznacznie z rassą mandżurską. Począwszy od Uranchajców rozpościerających swoje koczowiska po za Dżyndżylikiem i około Uliasutaja, aż do Uranchutów podległych Ugryjskim haństwom, ileż to w środkowéj Mongolii pokrewnych szczepów, podobnych między sobą, a różnych dopiéro w miarę stopniowego oddalenia od siebie; Sajańskie plemię jako wysunięta naprzód wedeta, rysuje piérwsza ostrymi kontury ów typ niknący następnie w licznych odcieniach i rozpływający się w końcu w obszarach Chin. Wspólność przeznaczeń dwóch odmiennych pokoleń złączonych ze sobą losami wojny, równoważy się ciągle: Chiny potęgą cywilizacyi wynaradawiają Mongolią, Mongolia znowu potęgą swojéj przeszłości wywiera wpływ na rządy całego kraju, mając u szczytu władzy jednego ze swych potomków (1). Wojna domowa, która obecnie rozdziela ludy państwa niebieskiego na dwa przeciwne sobie obozy rozstrzygnie stanowczo tę kwestyą, nim jednak rezultat nastąpi, upłynie wiele czasu, a działanie wyższości naukowéj Mandżurów na dzikie mongolskie obyczaje jest tak wielkiém, parcie moralne tak ciągłém i bezprzestanném, że piérwiastki te coraz więcéj zlewają się w swoich krańcach, i dziś już trudnoby było oznaczyć etnograficzną granicę pomiędzy obszarami właściwych Chin, a przyłączonéj do nich prowincyi.

Opisując Sajańców, plemię nieliczne, żadnego niemające znaczenia w historyi ludów wschodnich, lecz ważne o tyle, że stanowi niejako ogniwo długiego łańcucha, utworzonego z dwóch pod jedném berłem żyjących narodowości, odbie-

---

(1) Obecnie panujący cesarz chiński Ki-tsiang, jest pochodzenia mongolskiego.

gliśmy cokolwiek od naszego zadania. Czas więc nam powrócić do przyjętego programu, i przedstawić w następnym ciągu szereg piérwotnych pokoleń syberyjskie ziemie zaludniających.

Otóż więc w dalszym toku naszego opowiadania, zajrzymy do środkowych obszarów Syberyi, gdzie mieszkają nader liczne i odrębne znowu swojemi cechami, charakterem, a nawet powiérzchownością szczepy Jakutów. Prowincya jakucka, główna i jedyna ich ojczyzna, należy także do ziem najmniéj znanych w Europie. Rzadki podróżnik, który w celach naukowych postanowił zwiédzić Syberyą, dociera zwykle do Irkucka, i po za ten punkt kulminacyjny, stanowiący niejako krańcowy objaw cywilizacyi europejskiéj nad semitami Azyi, nie śmié posuwać swoich wycieczek. Pocztowy bowiem trakt przerzynający północne części guberníi irkuckiéj, ciągnie się jeszcze do miasteczka a raczéj lichéj osady Kiryńska. Daléj poza Kiryńskiem dwie lub trzy stacye, można w ostatecznym razie przebyć kilkadziesiąt wiorst na kołach, i tu już wszystko, przypominające choć cokolwiek starą Europę, kończy się nagle. Naturalną przeszkodą sposobu podróżowania, do którego wędrowiec od młodych lat przywykł, stanowi olbrzymie ramię rzeki Leny przecinające, wszelkie komunikacye i zdające się mówić: „nie pójdziesz daléj!“ Ale to piérwsze wrażenie, jakie sprawia zwykle widok stromych i spadzistych brzegów jednéj z najwspanialszych rzek w Syberyi, niknie pod naciskiem konieczności; w tym punkcie bowiem, w którym się kończy wszelka wytknięta na lądzie droga, biorą początek odrębne zupełnie środki komunikacyjne, łączące przebyte dotąd kraje z jakuckiemi obszarami. Latem, ci których los, zajęcia handlowe, lub téż obowiązki urzędowania, zmuszają do dalszéj podróży, wsiadają na zbite z belek tratwy, lub na obszerne łodzie i puszczają się korytem Leny w wschodnim kierunku. Zimą, toż samo koryto, lecz pokryte grubą powłoką lodów, staje się linią, po któréj wężykowatych skrętach suną maleńkie saneczki przez psów ciągnione, niosąc podróżnych w środek niezmierzonych, zdających się nie miéć końca przestrzeni. I letnia, i zimowa podróż bywa straszną, męczącą, prawie niepodobną dla człowieka

nieprzyzwyczajonego do tak wielkich trudów. W czasie kanikularnych upałów lata, palące promienie słońca, zjadliwe roje wszelkiego rodzaju owadów, pragnienie, brak sił, dokuczają niemiłosiernie; w zimie mróz podbiegunowy, zawieje śnieżne, lub szalone uragany hulające po stepie, nie dają chwili upamiętania się, odpoczynku, swobody. Tak w jednéj jak i w drugiéj porze, brak najzwyczajniejszych potrzeb życia, jest katuszą, mogącą być pojętą przez tych tylko, których przeznaczenie rzuciło w te dzikie ostępy. Po obu brzegach Leny widziéć się dają od czasu do czasu jurty Jakutów, stanowiące w tej pustyni niby żywotną arteryą, która słabem tętném oznacza istnienie człowieka. Ta linia korytem rzeki nakréślona, jest jedyném miejscém przez ludzi zamieszkałem; za nią nie ma zupełnie nic, oprócz niezmiernych przestrzeni, sięgających kończynami swemi oceanu Lodowatego. Jakuty, trzymając się okolic olbrzymiéj Leny, robią liczne wycieczki w głąb tajemniczych obszarów, lecz nie śmią nigdy zapuszczać się zbyt daleko, wiedzą bowiem bardzo dobrze, że chwila, w któréj zabraknie im wziętych ze sobą zapasów żywności, stanie się początkiem powolnego skonu, przedwstępem niewypowiedzianych męczarń, zakończonych straszną śmiercią głodową.

Żyjąc od wieków w téj pustyni, nie mając z napływowemi plemionami innych stosunków oprócz tych, jakie wynikają przez dostarczanie ryby i zwierzyny podróżującym po Lenie wędrowcom, Jakuty zachowali bez żadnéj skazy piérwotny typ swojego charakteru; żaden obcy pierwiastek nie przymieszał się do ich obyczajów, sposobu życia i nawyknień, żadne odrębne na pół ucywilizowane postacie, nie wynurzają się z ich łona. Prości, spokojni, cisi i nadzwyczajnie cierpliwi, nie rządzą się nigdy namiętnością, nie podlegają gwałtownym uczuciom zemsty lub zawiści, nie znają czém jest chytrość, fałsz i obłuda. Na słowie wyrzeczoném przez nich można zawsze polegać, na daną obietnicę rachować, na każdém zapewnieniu swą wiarę gruntować. Prawość tych ludzi jest tak niewzruszoną, że w dziejach ich cichego żywota nigdy nie miał miejsca żaden podstęp, oszukaństwo, a tém mniéj występek lub zbrodnia. Jeżeli owa szlachetność uczuć jest darem natury, za to z niczem niemogąca iść w poró-

wnanie cierpliwość wypływa po większéj części z przyczyn klimatycznych i atmosferycznych. Zdanie powyższe opieramy na ogólnych etnograficznych studyach. Wszystkie narody osiadłe wysoko na północy odznaczają się tym przymiotem. Charaktery Lapończyków, mieszkańców Islandyi, skalistych krańców Norwegii, noszą po większéj części cechy owéj biernéj, uległéj, jagnięcéj, że się tak wyrażę cierpliwości. Czynnikiem działającym na zniwellowanie wszelkich wewnętrznych objawów jest mróz podbiegunowy, krystalizujący każde gwałtowniejsze poruszenie krwi, każde silniejsze cokolwiek uczucie: pod wpływem tego parcia oziębionéj atmosfery, chłodnieją wrodzone ludziom popędy żywości, stygną namiętne porywy, a rzucony losem przeznaczenia w podbiegunowe strefy człowiek staje się automatem, równie nieczułym na zimno jak na doznaną obrazę, przyjmującym równie obojętnie śnieżystą zawieję jak niezasłużony policzek. Cierpliwość, która u nas uważaną jest za cnotę, bo wyradza się z siły moralnéj, umiejącéj zapanować nad wzburzoną krwią, stanowi u tych synów północy ujemną stronę ich charakteru. Trudno nie litować się, widząc tych biédaków przyjmujących z pokorą najdotkliwsze nieraz, a zawsze niezasłużone obelgi i prześladowania od przejeżdżających po Lenie kupieckich prykazczyków, lub wysłanych w skarbowym interesie biuralistów. Pogardzać jednak niemi niepodobna: oni tego nie czynią dla braku osobistéj godności, ale przez apatyą graniczącą z umysłową bezwładnością. Zawsze cisi, łagodni, uśmiechnięci, przyjmują zarówno złe i dobre z jednakową wiarą w sprawiedliwość wszystkiego co ich spotka.

Trafia się częstokroć, że jednostajność podróży na tratwie, brak wszelkiego zajęcia, a najbardziéj przekonanie o zupełnéj bezkarności, doprowadza gburowatych i pozbawionych wszelkiego uczucia ludzkości subjektów handlowych do czynów, przechodzących granice nieprzyzwoitych żartów, czynów, które możnaby nazwać okrucieństwem, a jednak i wtedy niezrównana cierpliwość Jakutów zostaje niezachwianą.

Opowiadano mi następujące zdarzenie.

Przeszłego roku kilku prykazczyków irkuckich, wysłanych zostało przez swoich pryncypałów w celach targowego obrotu

do Jakucka. Przebywszy lądową drogę, wsiedli, jak się to zwykle letnią porą dzieje, po za Kiryńskiem na obszerną tratwę, i wraz ze swoimi przewoźnikami, towarem, wozżakiem (retmanem) puścili się korytem Leny. Podróż ta wydawała się hulakom irkuckim, przywykłym do rozrywek wielkiego miasta, nudną i jednostajną, a pomimo wysączonéj już do połowy beczki z wódką, zużytych kilkunastu talij kart, i niesłychanéj ilości szturchańców, jakie w przyjacielskiém swém gronie pomiędzy sobą wymienili, nie wiedzieli jakim sposobem zabić daléj dłużący się ciągle czas. Na szczęście rozsiane nad brzegami rzeki jurty Jakutów, dostarczały im zwykle używanych w podobnych razach rozrywek. Wysiadając co kilka godzin na ląd, pod pozorem zakupu ryby lub zwierzyny, używali tych chwil na dokuczanie wszelkiemi sposobami, siedzącym spokojnie przed swojemi siedzibami inorodcom; ale wszystkie ich żarty, nader częstokroć dotkliwe rozbijały się o stoicką cierpliwość i niewzruszoną łagodność zahartowanych na podobne próby stepowców. Zawsze uśmiechnięci, nizko kłaniający się Jakuci, żegnali ich tak mile, tak przyjacielsko, jak gdyby miasto przykrości doświadczali od przybyszów najżyczliwszego obejścia. Ten bierny charakter, ten brak wszelkiego oporu, ta pozorna nieczułość, nie mogły zadowolić pijanych najczęściéj i szukających burd prykazczyków. Znudziło ich prześladowanie istot, zdających się nie czuć owego prześladowania, i zniecierpliwieni swemi zwycięztwami bez walki, zostawili w spokoju cichych mieszkańców pustyni. Ale dnie, tygodnie, wlokły się z przerażającą powolnością; drugi miesiąc nastąpił od chwili jak wsiedli na tratwę, a podróż po Lenie zdawała się nie miéć końca. Rozbolały ich głowy od ciągłego picia, sztos i stukułka przestały zajmować, przyjacielskie nieporozumienia nie miały już dawnego uroku; cóż więc czynić, czém się zająć, jakim sposobem zabić nużącą jednostajność?

— A gdyby jeszcze popróbować z Jakutami? rzekł jeden z nich.

— Napróżno. Wszak widzieliście: to kamienie, nic ich nie poruszy.

— Rozzłościć?

— Niepodobna, oni się gniewać nie umieją.

— Boście nie użyli wszystkich sposobów. Gdybym tylko chciał...

— Co? możebyś dał nam uciechę zobaczyć doprowadzonego do furyi Jakutę? Rzeczywiście byłby to ciekawy widok: na nieszczęście nikt z nas nie jest w stanie tego wykonać.

— Wyjąwszy mnie.

— Trzymasz zakład? krzyknęli inni.

— Trzymam o co chcecie.

I stanęła umowa. Bohatérem gotujących się turniejów był pomocnik handlowy barczystego wzrostu, z czerwonym nosem, o ochrypłym od opilstwa głosie, słynny w całym Irkucku szermierz przyjacielskich balików, znany powszechnie zwolennik burd, awantur i wszelkich pięściowych zapasów. Szrankami do rozpoczęcia tyle niewinnéj zabawy miała być pierwsza lepsza auła, rozciągająca się nad brzegami Leny.

Wkrótce po téj rozmowie ujrzano bielejące w oddaleniu jurty inorodców; zaspane i znudzone oblicza prykazczyków zabłysły nowém życiem, nadzieja spodziewanéj rozrywki wyrwała ich odrazu z odrętwienia, w jakie stopniowo przez bezczynność, nadużycie gorących trunków i długość podróży popadli. Wszyscy porwali się z miejsc swoich, oczekując niecierpliwie chwili wylądowania.

Nareszcie wozżak podniósł wiosło do góry, ogromna tratwa przybiła powoli do brzegu, a znajdujący się na niéj podróżni, wraz ze swymi pomocnikami wyskoczyli na ziemię.

Wśród niewielkiéj doliny, otoczonéj skałami, stérczało kilkanaście jurt, tworzących półkole. Przed każdém z tych improwizowanych mieszkań pustyni, można było widziéć rodziny jakuckie, wylegające się spokojnie na słońcu. Niektórzy z nich ujrzawszy nowo przybyłych, powstali z miejsc zajmowanych przez siebie i postąpiwszy naprzód, ofiarowali pokornie swoje usługi. Buńczuczny prykazczyk spojrzał po wszystkich otaczających go postaciach, szukając najodpowiedniejszéj dla swoich doświadczeń ofiary. Jako człowiek nielubiący półśrodków i drobiazgowych tryumfów, pragnął wygrać zawarty zakład z chwałą. Wspaniałomyślny ze swoimi przeciwnikami, wybrał indywiduum zdające się miéć w aule

pewne znaczenie. Był to mężczyzna lat średnich, o długich czarnych włosach, spokojnym i poważnym wzroku, któremu inni inorodcy okazywali niejakie względy.

— Héj, ty kudłaty, krzyknął: „przystąp tu bliżéj!“ (1)

Wywołany, porzucił natychmiast sieci których naprawą był zajęty, i kłaniając się nizko przystąpił do niego:

— Miły bracie, dlaczego u ciebie nos taki mały? Dawaj, wyciągnę a może wyrośnie.

I mówiąc to, herkulesową pięścią chwycił za nos Jakutę.

On uśmiechnął się tylko, niby podzielając niewinną a wesołą pustotę, i ani jeden muskuł jego twarzy nie zdradził wewnętrznego niezadowolenia. Widząc że zwykłe sposoby żartowania nie pomagają, prykazczyk wymyślał z kolei coraz więcéj dokuczliwsze facecye: chlusnął biedakowi w twarz zimną wodą, nalał na głowę smoły, nasypał w usta tabaki; słowem próbował wszelkich w podobnych razach używanych dowcipów, dających miarę wykształcenia i moralnego rozwoju klassy ludzi, do któréj należał.

Ale ofiara tych igraszek uśmiéchała się tylko dobrodusznie, a otaczający powyższą scenę inorodcy, podzielali ogólną wesołość.

Doprowadzony do niecierpliwości zawadyaka, podburzony obawą przegrania zakładu, zamienił początkowe swe żarty w nader bolesne operacye.

Uśmiéch znikł z twarzy Jakuty, wyraz cierpienia wypiętnował się w jego rysach: otworzył usta, chciał coś powiedziéć, ale widocznie nie wiedział jak określić myśl swoją.

— Przestań, szepnął do ucha zajętego fizycznemi doświadczeniami prykazczyka, najbliżéj stojący przyjaciel. On chce mówić: doprowadzony nareszcie do ostateczności stepowiec zwymyśla cię niezawodnie, i wygrałeś zakład.

Uderzony słusznością téj uwagi operator, puścił nieszczęśliwego i spojrzawszy na niego wyzywającym wzrokiem, zapytał groźnie:

---

(1) Prykazczyki wysyłani do Jakucka, obznajmieni są prawie wszyscy z narzeczem Jakutów. (*Przyp. aut.*).

— Czy ci się przypadkiem nie podobają moje żarty?

Biédak obrócił ku niemu pełne łagodności oczy i rzekł nieśmiało:

— Owszem, bardzo mi się podobają, ale...

— Ale co?... przerwał tenże, cieszący się już nadzieją wygranéj.

— Ale ja mam do ciebie prośbę... Pozwól mi krzyczéć przy dalszéj zabawie...

Wyrazy powyższe uderzyły jak gromem przygotowanego do zwycięztwa prykazczyka.

— Przegrałem zakład! zawołał rozgniewany. Jedźmy daléj: niéma tu co robić.

I wesołe grono wsiadło na swoją tratwę wraz z zawadyaką, narzekającym głośno na niedołęztwo inorodców, skutkiem którego, pomimo wszelkich usiłowań, zmuszony był zapłacić trzymającym zakład towarzyszom dosyć znaczną summę pieniędzy.

Obrazek powyższy tak odbiega jaskrawością swoich barw od wszelkich wyobrażeń jakie my Europejczycy utworzyć sobie zdołamy o charakterze ludzkim, że dla każdego nieznającego dzikich plemion koczujących wśród prawiczych ziem północnych, wyda się nienaturalnym, przesadzonym i do uwierzenia niepodobnym. Tam niéma ogólnéj normy, jaką powszechna budowa społecznego bytu nadaje narodom; tam każde plemię podległe warunkom innego klimatu, innych zewnętrznych wpływów, różnych nieokreślonych okoliczności, formuje się samo w sobie, i przyjmuje oddzielne zupełne cechy, a cechy te, doprowadzone zawsze do ostateczności, rażą ostrością swoich zarysów. Czyż może być, naprzykład coś bardziéj różnorodnego, jak dziki szał zabajkalskich Buryatów i apatyczna cierpliwość Jakutów—szatańska chytrość Gilliaków i dobroduszna życzliwość Tunguzów lub Tatarów. Podobne krańcowości mają miejsce nie tylko w Syberyi, lecz wszędzie, gdziekolwiek rozwój społeczny nie rozlał na ogół praw niwelujących indywidualne dążności. Historya odkrycia Ameryki i następne wycieczki do nowego świata, dają nam liczne tego przykłady; zawijające kolejno do nieznanych ziem wyprawy Kolumba, kapitana Cook'a i innych podróżników,

znajdowały w każdym punkcie swego wylądowania zupełnie odmienne charakterem i dążnościami szczepy: raz spotykały ludożerczych Karaibów, drugi raz łagodnych i przyjacielskich Irokezów; — tam Mandany zamieszkali nad brzegami rzeki Missuri, przyjmowąli białych przybyszów jako nadprzyrodzonych wybawicieli, tu znowu krwiochciwi Szawanesy i Kannibale zgładzali nieprzygotowanych do napaści majtków, uderzeniami swych tomahawków: słowem, gdzie tylko Europejczycy wysiedli na ląd, wszędzie spotykali pomiędzy dzikiemi plemionami Ameryki pokolenia, różnych charakterów, dążności i usposobień. A jednak te rozliczne szczepy należały do jednéj wielkiéj rodziny czerwono-skórych Indyan, gdy tymczasem ludy północną Azyą zamieszkujące, aczkolwiek pokrewne, pochodzą z ras niemających początkowo nic wspólnego pomiędzy sobą. Plemiona uralsko-ałtajskie, kurylskie, staro-kamczackie, fińskie, mongolskie i mandżurskie, stanowiły przed wiekami oddzielne narody, i jeżeli w obecnym czasie nić społecznego bytu i cywilizująca dążność rządu, wiąże pomiędzy sobą te samorodne piérwiastki, to ze względu na piérwotne ich pochodzenie, dziwić się nie możemy, widząc w potomkach odwiecznych szczepów, odmienne zupełnie obyczaje i narowy.

Jakuty są w ogólności wzrostu nizkiego, krępi, w poruszeniach swych niezgrabni. Będąc z natury towarzyskimi, żyją pomiędzy sobą nader zgodnie: zajęcia ich, jak wszystkich w ogóle azyatyckich plemion, stanowią: polowanie i rybołowstwo; lecz zajmując się połowem ryb dla materyalnych korzyści, a myśliwstwem częstokroć także i dla zabezpieczenia własnego życia przed dzikiemi zwierzęty, nie znajdują przy wycieczkach swoich w głąb pustyni lub zarzucaniu sieci na ustępach Leny, takiéj przyjemności jak inne pobratymcze im szczepy. Czynią to więcéj z potrzeby niż z zamiłowania, najmilszą bowiem ich rozrywką, szczególniéj w czasie długich nocy zimowych, jest zgromadzanie się po jurtach, i słuchanie opowiadań samorodnych baśni przez bieglejszych w tym fachu gawędziarzy dokonywanych. Jeżeli cudzoziemiec znający narzecze jakuckie lub mający przy sobie biegłego tłumacza, zawita do jurty w czasie podobnéj wieczo-

rynki, i sądzi iż natrafił nareszcie na tyle pożądane źródło do tradycyi i legend ludowych tych dzieci północy; to zaraz na wstępie zawiedzionym zostanie w swoich oczekiwaniach. Opowiadania Jakutów, nie będące ani historyą ani podaniem, ani nawet utworem wyobraźni, są zbiorem mnóstwa powtarzających się co chwila frazesów, nielogicznie zestawionych a niemających przytém żadnego związku, celu, początku, końca. Zwykłym tematem tych gawęd bywa rozmowa człowieka ze zwierzętami, rozmowa bezsensowa, w któréj niepodobna dopatrzéć jakiéjbądź przewodniczącéj myśli. I tak np. człowiek idzie, idzie, idzie, idzie, (wyraz ten, dla oznaczenia długości wędrówki powtarza się kilkadziesiąt razy); i spotyka biegnącego po nad drogą wilka: „Wilku, gdzie ty się udajesz?“ „Szukać żeru, bom głodny, i wilczyca moja głodna, i wilczątka moje głodne.“ Usłyszawszy tę odpowiedź człowiek znowu idzie, idzie... (następuje powtarzanie wyrazu „idzie“ do nieskończoności) i dostrzega lecącego orła „Orle, gdzie ty lecisz?“ „Szukać żeru, bom głodny, i orlica moja głodną i orlątka moje głodne.“ I tak ów człowiek idący ciągle, spotyka kolejno wszystkie znane w téj sferze zwierzęta, każdemu z nich zadaje to samo zapytanie, i od każdego odbiera jednakową odpowiedź. Zwierząt po tajgach jest mnóstwo, opowiadający czuje się w obowiązku żadnego z nich niepominąć, poczynając od olbrzymiego łosia, aż do drobnéj, zaledwie gołem okiem dojrzanéj muszki; dlatego téż gadanina jego trwa najmniéj kilka godzin, a przecież słuchacze nie bywają nigdy znużeni tém bezprzestanném powtarzaniem się jednych i tych samych frazesów, i zdają się z niewypowiedzianą rozkoszą chwytać każdy wyraz wychodzący z ust uprzywilejowanego w aule narratora. Obecny przy podobném opowiadaniu cudzoziemiec ma zawsze przekonanie, że koniec jakuckiéj powieści ozdobiony zostanie jakim konsekwentym wywodem, jakim zwrotem zawierającym w sobie choć cień moralnéj nauki; cieszy się on nadzieją, że ów człowiek, co wędruje ciągle i odbiera od wszystkich spotkanych zwierząt jednakową odpowiedź, pomyśli nareszcie, że i jemu należy tak samo postąpić i naśladować swoich skrzydlatych lub czworonożnych sąsiadów w szukaniu potrzebnego do utrzy-

mania życia pokarmu. Ale gdzie tam! zakończenie historyi jest równie nielogicznėm jak cała jėj treść, albo raczėj, właściwie powiedziawszy, nie ma zakończenia. Człowiek idący tak długo, stanął.... i koniec.

Jeden z kupców irkuckich, od którego powziąłem powyższe szczegóły, znajdując się pewnego razu w jurcie w czasie przytoczonego bajania, i widząc że gawędziarz uciął nagle wątek swojėj historyi, zapytał:

— No, człowiek ów szedł, szedł i stanął. A potém co?

— Potém? wyjąknie nieśmiało zakłopotany trubadur pustyni; potém nic. Stoi sobie, ot i wszystko.

Tematów podobnych opowiadań do zajęcia długich podbiegunowych nocy, a raczėj do zapełnienia dźwiękiem słów, milczenia panującego po jurtach, mają Jakuty kilkanaście, lecz wszystkie one odbywają się na jeden sposób, a różnica jaka istnieje pomiędzy niemi, zależy tylko na różnorodności powtarzających się bezprzestannie frazesów.

Towarzyskość Jakutów, wynik łagodnego i dobrodusznego ich charakteru, sprawia, że naród ten mógłby z łatwością przyjąć dobrodziejstwa cywilizacyi, gdyby nie stawała ku temu na zawadzie niezwykła ich nieśmiałość, a szczególniėj granicząca z uniżonością pokora. Uważając innego pochodzenia ludzi, a mianowicie Europejczyków, za istoty wyższe pod każdym względem od siebie, nie poważają się w myśli nawet równać z niemi, i sądzą, że sama chęć wstępowania w ich ślady byłaby trudném do przebaczenia zuchwalstwem. Jeżeli słuchają z namaszczeniem niedorzecznych nieraz wywodów pierwszego lepszego wędrownego kramarza, jeżeli przyjmują z uległością dotkliwe i bolesne żarty pijanych prykazczyków, nie czynią tego z bojaźni lub tchórzostwa, ale z niczém niezachwianego przekonania o swojėj niższości. Obdarzeni od natury osobistą odwagą, są nieustraszeni w obec grożącego niebezpieczeństwa. Trzeba widziéć tych małych, krępych, karłowatego wzrostu ludzi, z jaką energią i śmiałością stają do walki, gdy stada nader dzikich i zawsze prawie w tych stronach głodnych wilków napadają na aułę. Z oszczepami lub siékierami w ręku bronią zacięcie swoich żon, swoich dzieci, swojego dobytku; łagodny zwykle wyraz

ich twarzy zmienia się do niepoznania, w oczach pełnych pokory błyska gniéw i szlachetny zapał, rysy napiętnowane dobrodusznym uśmiechem przybiérają oznaki zimnéj energii, i niczém niewzruszonéj stałości, a biédacy owi, do wszelkiego rodzaju poniżeń przywykli, nędzarze, którymi lada niedołęga pomiata, wyrastają odrazu w bohatérów.

Jeżeli Jakuty, zaludniający część swojéj niezmiernéj ojczyzny (1) i przywykli widziéć od czasu do czasu ludzi pochodzenia europejskiego płynących na tratwach po Lenie, są tyle w obec każdego obcego im pochodzenia przybysza nieśmieli, cóż dopiéro powiedziéć o tych, którzy zamieszkują wschodnie strony obszarów ciągnących się po za miastem Jakuckiem, w kierunku ziem ochockich i Kamczatki! Tam zjawienie się przypadkowe cudzoziemca stanowi epokę, przybycie jakiegokolwiek podróżnego niezwykłą w dziejach pustyni, osobliwość. Wędrowiec zagnany zbiegiem okoliczności w te odległe od miejsc zamieszkałych przez ludność europejską stepy, uważany bywa nieledwie za istotę nadprzyrodzoną, przed któréj zachceniem wszystko ustępować powinno. Znałem osobiście takich, których wypadki losu rzuciły w owe ostateczne krańce Syberyi, wszyscy oni nie mogą dosyć nachwalić się postępowania z nimi Jakutów: najlepsze ryby, najwygodniejsze jurty, najsmaczniejsza zwierzyna, dostawały im się zawsze w udziale; ale pomimo owéj bezinteresownéj gościnności, owéj uległości, gotowéj nieledwie na każde ich skinienie, czuli się oni więcéj nieszczęśliwemi, niż ci którzy mieszkali pomiędzy mniéj uwielbiającemi Europejczyków plemionami. Mając wszystko czego tylko dostarczyć może dobra chęć i nieograniczone poświęcenie, nie mieli tego, czego potrzebuje serce i dusza; brakowało im spójni towarzyskiéj, łączącéj człowieka z człowiekiem. Życzliwość jaką im okazywano, połączona zawsze z oznakami czci i uwielbienia, nie mogła zadowolić ludzi, przywykłych widziéć w podobnéj sobie istocie bliźniego

(1) Prowincya Jakucka ma 74,153 mil kw. przestrzeni, jest zatém bez mała ośm razy obszerniejszą od Francyi, a blizko 32 razy większą od ziem b. kongresową Polskę sładających. (*Przyp. aut.*)

i brata, a wyniesionych pomimowoli na piedestał niedościgłéj wyższości. Zbliżano się do nich z obawą, mówiono z pokorą, wykonywano wszystkie życzenia z uległością, i tym sposobem każdy z przybyszów, czując się jednostką pośród tłumu unižonych i kłaniających się do koła postaci, był jak ów starożytny feniks w bajce, nieszczęśliwy, bo niemogący znaléźć drugiego równego sobie stworzenia.

Wyjątek od ogólnéj reguły stanowi niewielka liczba inorodców, zamieszkujących stołeczne miasto prowincyi, Jakuck. Osiedliwszy się tam, pobudowawszy domy na sposób europejski, przejęli oni wszelkie obyczaje miejscowe, oprócz jednego tylko języka; wynarodowieni bowiem pod innym względem, zachowali nader starannie swoje narzecze, tak że i dziś nawet trudno w Jakucku, bez powiérzchownéj znajomości piérwotnéj mowy, być pojętym i zrozumianym od większéj części mieszkańców.

Miasto Jakuck, zbudowane w środku nieograniczonych pustyń, punkt do którego nie można dostać się inaczéj jak po uciążliwéj, kilka miesięcy trwającéj podróży, osada odłączona od reszty świata kilkoma tysiącami wiorst niezmiernych obszarów bez wsi, dróg i lądowych komunikacyi, jest nader ciekawą z powodu wyjątkowego swego położenia miejscowością. Tam, na owym odległym zamieszkałego świata krańcu, żyje garstka Europejczyków, złożona z kupców i urzędników. Życie to ma zupełnie odrębne społeczne warunki: jest ono ciche, spokojne, niepodległe żadnym zewnętrznym wpływom. Przyjście poczty, która zaledwie kilka razy do roku w te oddalone strony dochodzi, staje się niezwykłą dla mieszkańców uroczystością, przypłynięcie tratwy wiozącéj niezbędne do codziennych potrzeb artykuły, epoką, stanowiącą zniżenie cen towaru o dziesiątą lub dwudziestą część (1); jedném słowem dzieje owéj ukrytéj

Bywają chwile, szczególniéj w czasie płynięcia kry na rzece Lenie, że brak niektórych przedmiotów podnosi ich ceny do cyfr bajecznych, trudnych prawie do uwierzenia. Przeszłego roku w jesieni pud mąki płacono w Jakucku 8 rub. sr., funt ryżu 10 rs. a dwie talie kart do grania 30 rs. Natomiast, z powodu dowozu znacznéj ilości skór, najpiękniejszego sobola sprzedawano po 3 ruble niedźwiedzia po 60 kop. a lisa 20 kop. za sztukę. (*przyp. aut.*)

w pośród północnych tajg kolonii, mogłyby dostarczyć obszernego materyału do niniejszego opowiadania. gdyby mnie nie wstrzymywała obawa odstąpienia od przyjętego zakresu, jakim jest wyłączne studyowanie piérwotnych plemion Syberyi.

Kiedy już z toku mojéj gawędy zaprowadziłem czytelnika do punktów kuli ziemskiéj tak mało znanych, i posunąłem się w obszary tyle przedstawiające trudności do przebycia, niechże mi wolno będzie zajrzéć i do tajników, których istnienie mało komu jest wiadomém, zapuścić się w niezmierne głębie, odgadnięte zaledwie przez naukę. Dotąd w wędrówce naszéj na północ, obok spotykania coraz dzikszych plemion, znajdowaliśmy zarazem coraz trudniejsze środki komunikacyjne. Po za ostatniém miasteczkiem irkuckiéj gubernii, Kirińskiem, znikły ślady wszelkiéj lądowéj drogi, i tylko kilka zbitych belek tratwy, lub sunące się sanie po zamarzniętéj powiérzchni Leny, niosły podróżnych daléj w północno-wschodnim kierunku. Rozsiane po nad brzegami olbrzymiéj rzeki jurty Jakutów, przedstawiały się jako wązki pas obrębu życia człowieka w téj strasznéj, zdającéj się nie miéć końca przestrzeni. Przebywszy od krańcowego punktu, gdzie jeszcze widoczne ślady cywilizacyi, kilka tysięcy wiorst, znajdujemy mały odblask życia w środku pustyni, miasto Jakuck, które oddalone od organicznego tętna, niby odległy od słońca planeta, rysuje się w niedościgłéj pomroce zaledwie dojrzanemi kształty. Daléj za Jakuckiem żyją jeszcze pokolenia Jakutów, ale tak mało mające stosunków z resztą świata, iż zdają się wątpić nieledwie o swojém człowieczeństwie, o godności istoty na obraz i podobieństwo Boga stworzonéj. Nareszcie nikną te ostatnie ślady ludzkości, jurty inorodców stają się coraz rzadsze, i zaczyna się otchłań tajg, lasów i stepów, nieznana, niezbadana, przerażająca myśl człowieka swoim ogromem, obudzająca trwogę swoją tajemniczością.

Zdawaćby się mogło, że dotarłszy do owéj granicy zamieszkałego przez plemię ludzkie świata, wypadnie nam zwrócić się napowrót, gdyż głębi tych nie przebyła żadna myśląca istota, i nikt nie jest w stanie powiedziéć co się w ich

wnętrzu ukrywa, a przecież po za temi obszarami tli jeszcze iskierka ludzkości! Iskierka to, słaba, zaledwie odgadnięta, prawie nieokreślona, a jednak dająca oznaki życia. Piérwszy Bering w wycieczkach swoich po oceanie lodowatym, przy odkryciu drogi łączącéj świat stary z Ameryką, odkrył jednocześnie ludzi żyjących w okolicach cieśniny, noszącéj obecnie nazwisko znakomitego podróżnika; następnie idący jego śladem żeglarze potwierdzili istnienie człowieka w miejscowościach tyle przeciwnych wszelkim warunkom organicznego bytu. Plemię to nazwane Czukczami, a oddzielone od reszty podbiegunowych krajów niezaludnioną przestrzenią, nie ma z resztą ludzi żadnych stosunków, nie zna żadnéj władzy, nie ulega żadnéj zwiérzchności. Odosobnienie Czukczów wypływa z niedostępności tego punktu; chociaż bowiem miejscowość wspomniona należy geograficznie do składu imperium rossyjskiego, rząd, dla braku wszelkiéj lądowéj kommunikacyi, nie może podciągnąć ich pod ogólne administracyjne prawa, a wycieczki okrętów wśród oceanu lodowatego są zbyt rzadkie i zbyt wiele przedstawiają trudności, ażeby były w stanie zapewnić stały związek wspomnionych plemion z resztą Syberyi. Dodać także należy, że tak wysoko w kole bieguna północnego posunięta ziemia, nie dając środków do gromadzenia zasobów, wyradza niepodobieństwo opodatkowania mieszkańców. Syberyjska fauna, główne źródło dochodów piérwotnych narodów, z których oni płacą skarbowi coroczną dań w wyborowych futrach, prawie tam nie istnieje; roślinności żadnéj niéma; wieczne śniegi i nigdy nie topniejące góry lodowe, zastępują miejsce odradzającéj się ciągle przyrody. Jak ludzie ci żyją, jakiemi sposobami zdołają przechowywać od tylu wieków nędzne swe istnienie, wiadomo tylko temu, którego opieka rozciąga się nietylko nad ulubieńcami losu, ale i nad najnieszczęśliwszém, ukrytém po za krańcami żywotnego świata stworzeniem.

Obyczaje, sposób życia i charakter Czukczów bardzo mało są znane, o ile jednak sądzić można z wiadomości zebranych przez żeglarzy cieśninę Beringa przepływających, należą oni do najdzikszych i nieledwie zezwierzęconych po-

tomków rasy fińskiéj. Biały podbiegunowy niedźwiedź, jedyna istota z królestwa zwierząt czworonożnych, która ich czasami nawiédza, dostarcza tym biédakom futer na okrycie ciała; foka morska wychodząca z pośród lodów oceanu podbiegunowego na ląd stały, daje im pożywienie; lód i śniég zmarznięty stanowią jedyne materyały do budowania jam zabezpieczających od zamieci. Głód, chłód, klimat straszny, do przeniesienia trudny, sprawiają, że skarłowaciała owa odrośl pierwotnych szczepów północy, niknie i usuwa się stopniowo z kuli ziemskiéj pod parciem nieprzyjaznych do istnienia warunków. Przy odkryciu tego pokolenia, ludność Czukczów do kilku tysięcy głów wynosiła, obecnie podobno zaledwie ich kilkuset zostało, w niedalekiéj przyszłości i tego nie będzie; a miasto garstki ludzi, najwyższe sfery bieguna zamieszkujących: pozostanie tylko jedno etnograficzne wspomnienie. Ci z żeglarzy, którzy mieli sposobność widzenia te znikczemnione istoty, twierdzą, że oni, oprócz kształtu, nie mają w sobie nic przypominającego człowieka. Mowa, za pomocą któréj porozumiewają się pomiędzy sobą, podobną jest raczéj do ryku dzikich zwierząt niż do dźwięku słów, wyrażających myśli i wrażenia duszy. Przy spotkaniu z żeglarzami nawiédzającymi lodowate obszary, wszyscy oni w podrygach i podskokach do ruchów zwierząt podobnych, uciekali w różne strony, i chronili się w jamy śród śniegów wykopane. Wyciągnięci ztamtąd drżeli z bojaźni, sądząc zapewne, że podróżni jako mocniejsi pozbawią ich życia. Pewnego razu wystrzał armatni stojącego na kotwicy wojennego okrętu, nabawił ich takiego strachu, że wysiedli na ląd majtkowie znaleźli kilkunastu nieszczęśliwych leżących bez czucia na śniegu. Przybyły wkrótce okrętowy lekarz uznał, że to było proste zemdlenie, wywołane zapewne przerażeniem, doznaném w skutku nigdy przez nich niesłyszanego działowego huku.

Kamczadale osiedli na półwyspie tego nazwiska, nie o wiele są szczęśliwsi od ludów koło biegunowe zamieszkujących. Kamczatka wprawdzie bez porównania niżéj znajduje się od ziem sąsiadujących z oceanem lodowatym, ale położenie jéj geograficzne, z trzech stron odkryte, sprawia,

że klimat tamtejszy zupełnie różnym jest od klimatu jakuckich prowincyj. Oprócz mrozów, które tam bywają tak prawie wielkie i długo trwające jak w sferach zmartwiałéj roślinności, plagą najbardziéj dającą się we znaki są śniegi. Na żadnym punkcie kuli ziemskiéj śniég nie spada w podobnie olbrzymiéj ilości, jak na Kamczatce. Wichry wiejące z trzech stron od morza pchają gromady chmur po nad ów szeroki cypel lądów, zapuszczający się w obszary wód morskich, a równoważąc swe siły, zatrzymują czarną oponę na horyzoncie. Warstwa pokrywająca białym całunem tę wydziedziczoną od natury krainę, grubieje w mgnieniu oka w niesłychane rozmiary: budowanie stałych mieszkań jest tu rzeczą niepodobną. Kamczadal, ciągle prawie w ruchu będący, przenosi się z miejsca na miejsce wraz ze swoją rodziną na saniach przez psy ciągnionych; sanie te wązkie i nadzwyczajnie długie, podobne są kształtem do łódki na łyżwach umieszczonéj. Psy służące do zaprzęgu, biegną parami z jednym przewodnikiem na czele. Par takich bywa najmniéj dwie, najwięcéj pięć: wszystkie one kierowane są za pomocą długiego kija, którym powożący uderza zlekka przodujące zwierzę po lewym lub prawym boku, stosownie do tego, w którą stronę pragnie zawrócić. Podróż podobna jest nader szybką: od 150 do 200 wiorst na dobę wynoszącą; psy idą ciągle równym biegiem, przymuszone do chyżości głodem, który dopiéro na ostatniéj stacyi bywa zaspokojonym. Nic na świecie nie zdoła ich w czasie jazdy zastanowić; a gdy powożący wypadnie przypadkiem z k ni, one dla rychlejszego otrzymania spodziéwanego pokarmu dążąc ciągle naprzód, zostawiają go na drodze. Zresztą zwierzęta te są niesforne, dzikie, i nieodznaczające się bynajmniéj wiernością i przywiązaniem do swych panów; zawsze łaknące pokarmu, który dla pobudzenia ich do biegu, skąpo bywa im wydzielany, są częstokroć zażarte i niejednokrotnie miały miejsca zdarzenia, iż doprowadzone do ostateczności, rozszarpały swoich karmicieli. Gdy Kamczadale mają zamiar zatrzymać się na odpoczynek, kopią sobie jamę w śniegu i tam czuwając kolejno, oczekują chwili, w któréj psy ich będą nanowo gotowe do jazdy; jeżeli zaś odbywający podróż nie ma z sobą towarzyszy lub

rodziny, to pomimo największego znużenia nie śmié nigdy zasnąć, ale wstając co chwila otrząsa z siebie sypiący się śniég, inaczéj bowiem gęste płaty spadające w takiéj ilości z zaciemnionego wiecznemi chmurami widnokręgu, pokryłyby go w czasie spoczynku tak gęstą i grubą warstwą, iż wydobyć się z niéj na świat boży byłoby dlań rzeczą zupełnie niepodobną. Takie przypadki często mają miejsce: znużony niewywczasem człowiek mimowolnie zasypia, i ginie wraz z całym swym dobytkiem pod kilkunastosążniową powłoką, która w czasie spoczynku pokryła jego ciało. Jedne psy tylko, wrodzonym instynktem powodowane, nie podlegają nigdy podobnéj katastrofie: zwierzęta te, przeczuwając grożące im niebezpieczeństwo, umieją spać stojąc i rozgrzebując mechanicznie nogami gromadzące się koło nich zaspy.

Kamczadale żywią się wyłącznie suszoną lub zmarzniętą rybą; pragnienie zaspokajają śniegiem; żadnych pojęć życia społecznego i potrzeb jakie wyradza kultura nie znają. O charakterze tego ludu nie wiele także powiedziéć można: są oni dzicy, nie ufni, bojaźliwi; chociaż umieją szanować władzę, i płacą dość regularnie podatki skórami upolowanych przez siebie zwierząt. Słaba spójnia, jaka ich łączy z resztą składowych części imperyum sprawia, że pomimo swego upośledzenia moralnego, nie można równać tego pokolenia z odkrytemi przez Behringa Czukczami. Język jakiego pomiędzy sobą używają, podobny jest do mowy ludzkiéj; widok cudzoziemca pomimo wrodzonéj bojaźliwości nie wywiera na nich tak bezwzględnego uczucia przestrachu, jak na ludach brzegi oceanu lodowatego zamieszkujących. Postacie także ich nie chylą się ku ziemi, ale są wyniosłe, muskularne i napiętnowane cechami człowieczeństwa; a chociaż Darwin, z powodu ich obyczajów wspólnych częstokroć z innemi stworzeniami królestwa zwierzęcego, miałby i tu obszerne pole do rozwinięcia swych więcéj na zoologii niż na poczuciu religijném opartych teoryj, w Kamczadalach należących do nierozwiniętych i skarłowaciałych moralnie ras społeczeństwa ludzkiego, wyszukać jednak można ową iskierkę ducha, tlejącą w głębi istoty na

obraz i podobieństwo Wszechmocnego stworzonéj; iskierkę, która pomimo wszelkich oznak zewnętrznych pokrywającéj ją materyi, będzie zawsze dowodem nieśmiertelności duchowéj części człowieka.

Mówiąc o ludach krańcową północ zasiedlających nie od rzeczy będzie przenieść się w zachodnio-podbiegunowe strony i zwiédzić z czytelnikami najwyższe części gubernii jenisejskiéj i tobolskiéj. Warunki klimatowe i atmosferyczne prawie tu są te same, jakkolwiek może z powodu nie tak znacznego napływu gór lodowych, trochę mniéj uciążliwe niżeli w punktach zbliżonych do b. rossyjsko-amerykańskich kolonij lub Kamczatki (1). Stała choć rzadka komunikacya z południem sprawia, że promień cywilizacyi i postępu oziębiony wprawdzie mrozem Syberyi, przebija się jeszcze przez te skrystalizowane stepy, przez te wały śniegowe, i rozsiéwa dobroczynny swój wpływ pomiędzy piérwotnemi plemionami północne części wspomnionych wyżéj gubernij zamieszkującemi. Po Jeniseju nawet raz na rok letnią porą kursuje mały parowiec, docierając aż do Turuchańska (2) z zapasami mąki, herbaty, cukru, towarów łokciowych, żelaztwa i t. d. a przywożąc ztamtąd ładunek ryby. Berezów otrzymuje podobną drogą, tylko już za pomocą zwykłych łodzi i tratew, podtrzymanie z Tiumenia i Tobolska; takim więc sposobem piérwotne plemiona tych stron, Ostiaki, mając ciągle bezpośredni stosunek z napływową ludnością, nie są ani tyle dzicy, ani do tego stopnia upośledzeni moralnie, jak np. odrośle fińskiego szczepu, wśród lodów cieśniny Beringa żyjące.

Pani Ewa Felińska w podróżach swoich po podbiegunowych częściach gubernii tobolskiéj, tak malowniczo i cha-

---

(1) Godnym uwagi jest fakt, że klimat północny ziem pod jednym stopniem szerokości geograficznéj położonych, jest bez porównania ostrzejszym w miarę oddalenia ich od Rosyi europejskiéj w kierunku wschodnim. Ta różnica klimatu mytłumaczoną być może tylko większém nierównie skupieniem się w tych stronach olbrzymich brył lodowych oceanu północnego.

(2) Turuchańsk znajduje się na 65° 55' szerokości 105° 15' długości geograficznéj. (*przyp. aut.*)

rakterystycznie opisała Ostiaków, że mnie zwykłemu narratorowi, kreślącemu tylko poprostu zaobserwowane przez siebie szczegóły i fakta, prawie nic a przynajmniéj bardzo mało zostaje o nich do powiedzenia. Berezów i jego okolice, przedstawione przez znakomitą autorkę w podróżach jéj po Syberyi, nie stanowią jak już wyżéj powiedziałem, jedynéj ojczyzny ostiackich koczowisk; cała północna część jenisejskiéj gubernii, poczynając od granic turuchańskiego okręgu, jest przez nich zaludnioną. Ostiaki, jak w ogóle wszystkie podbiegunowe szczepy, żyją po większéj części w jamach ze śniegu i lodu budowanych, a latem w szałasach naprędce z gałęzi potworzonych. Główném ich pożywieniem jest ryba, którą najlepiéj jeść lubią w stanie na wpół przegniłym, tak że doły służące za składy owego przysmaku, bywają w porze kilkotygodniowych upałów prawdziwą plagą dla płynących po Jeniseju podróżnych. Odrażająca woń podległéj rozkładowi ryby napełnia do tego stopnia powietrze, że częstokroć o kilka wiorst od wspomnionych miejsc, szczególniéj przy kierunku wiatru z téj strony wiejącego, trudno przejechać nieprzywykłym do podobnéj atmosfery turystom, bez doznania napadu mdłości, a przynajmniéj uczucia nieprzezwyciężonego wstrętu i obrzydzenia. Wszystkie gatunki ryb, jakie olbrzymi Jeniséj i morze północne dostarczają, są przez nich poławiane w niezwykłych rozmiarach. Ilość ta, z któréj wybierają tylko więcéj cenne egzemplarze, rzucając drobniejsze lub mniéj wyborowe gatunki napowrót do wody, byłaby w stanie wyżywić ludność nie jednego ze znaczniejszych europejskich krajów, dać utrzymanie całym zastępom głodnego proletaryatu, szukającego niejednokrotnie w emigracyjnych wycieczkach do Ameryki deski ocalenia. Na nieszczęście bogate zasoby tego artykułu żywności są przyczyną nieposzanowania skarbów, tak szczodrze ręką natury udzielonych; zaledwie mała część poławianéj corocznie ryby zużytą zostaje, reszta marnieje bezpożytecznie, i przegnojona w dołach służy za pokarm stadom wron i kruków zlatujących się z początkiem lata w te strony. Rybacy europejscy, którzy płyną zwykle w ostatnich dniach maja za Turuchańsk, celem uskutecznie-

nia połowów, są pod tym względem nierównie oględniejszymi; szczególnie omale (rodzaj śledzi), stają się jedną z głównych podstaw ich handlu. Solone na miejscu i układane w beczki, rozsyłane bywają na wszystkie strony Syberyi, a nawet Rossyi europejskiéj, i poszukiwane tak dla swéj taniości jakotéż nader wyborowego smaku.

Części jenisejskiéj gubernii, zamieszkałe przez Ostiaków są to pustynie pokryte grubą na kilkanaście łokci warstwą śniegu, leżącą około dziesięciu miesięcy w ciągu roku, a niknącą pod cieplikiem letniego słońca zaledwie na kilka tygodni. Lato, owa pora rozbudzonéj życiem przyrody, staje się pod tym stopniem szerokości geograficznéj jedną męczarnią więcéj, dającą dotkliwiéj jeszcze uczuć srogość następujących po niéj podbiegunowych mrozów. Palące promienie słońca nie są w stanie wyciągnąć ze zmartwiałéj skorupy ziemi dostatecznego do wyżywienia zwierząt i człowieka pokarmu (1). Roślinność w miarę oddalania się od krańca jenisejskiego okręgu, daje coraz słabsze oznaki życia: około Turuchańska widzieć jeszcze można karłowate sosienki, raczéj krzaki niż drzewa, które przypominają, że ta ziemia rodzicielka nie jest macochą ale matką naszą, że w jéj łonie mieszczą się siły rodzajne, podtrzymujące istnienie stworzeń: tu i owdzie mały polny kwiatek podnosi nieśmiało swą główkę z pośrodka rzadkich traw i ziół, leniwie powstających wśród nieprzywykłych do podobnego widoku gruntów. Daléj po za Turuchańskiem i te słabe oznaki twórczéj przyrody nikną stopniowo, a ich miejsce zajmują pęki mchów północnych, służących za pożywienie licznym stadom renów, które bez owego ostatniego daru natury nie byłyby w stanie przedłużyć swojego, tyle użytecznego dla podbiegunowego mieszkańca bytu.

Osady ludzkie są w tych stronach nader rzadkiemi; zazwyczaj przebyć trzeba najmniéj kilkaset wiorst pustych

(1) Ziemia w tych stronach tak jest zamrożona, że nawet w czasie trwania upałów lata, zaledwie nieznaczna kilka cali wynosząca jéj powłoka wilgotnieje. Po za tą cienką warstewką znajduje się grunt wiecznie zmarznięty, tamujący rozwój ziół, i niedozwalający drzewom zapuszczać głębiéj swoich korzeni. (*przyp. aut.*)

wygonów, zanim spotka się z siedzibą człowieka. Warstwa śniegu, jaka pokrywa skrystalizowane mrozem obszary, do kilkunastu sążni dochodzi, tak że nieznający tajemnic podbiegunowych podróżny, mógłby bardzo łatwo minąć podobną osadę, nie domyślając się nawet, że po nad nią przejechał. W Turuchańsku np. znajduje się kilkadziesiąt pobudowanych z drzewa domów, w których mieszka garstka napływowéj ludności; otóż więc kiedy w czasie zimy spadną znaczne śniegi, ten ostatni punkt lodowatych przestrzeni, mieszczący w swym obrębie władze administracyjne kraju, niknie z powiérzchni ziemi, jak zniknęły przed wiekami Herkulanum i Pompeja, z tą różnicą, że zniknąwszy nie ginie niepowrotnie, ale ukryty żyje sobie swobodnie pod śnieżystemi górami, aż do nastania czasu roztopów. Dym wychodzący z kominów, cieplik domowych ognisk, i rydel mieszkańców sprawiają, że domy owe nie bywają nigdy zasypane, ale tylko otoczone wałami warstw śniegowych; do koła ich bowiem pozostają zawsze wązkie przesmyki, dla przechodu ludzi służące. Pomimo licznych niedogodności, jakie tyle niemoralny stan wyradza, mieszkańcy tutejsi bynajmniéj na niego nie narzekają, gdyż im dobrze wiadomo, że zima bogata w zaspy śniegowie nie jest nigdy tak ostrą, jak zima pozbawiona téj naturalnéj własności, stanowiącéj niejako jeden z koniecznych jéj warunków. Jeżeli w końcu sierpnia śniegi nie zaczną obficie padać, staje się to niechybną oznaką, iż w grudniu i styczniu nastaną mrozy, o których trudno mieszkańcowi stref umiarkowanych przybliżone nawet powziąść wyobrażenie. Jestto pora straszna dla każdego organicznego stworzenia. Biédacy, których los lub obowiązki służby przymusiły żyć w tych stronach, gromadzą wtedy skrzętnie zapasy żywności i paliwa na czas długi, gdyż z nastaniem podbiegunowych mrozów ustaje wszelka zewnętrzna komunikacya. Chcąc przejść z jednego do drugiego domu, należy nietylko całe ciało, ale i twarz nawet, nie zostawiając otworów na oczy, zakryć szczelnie, każdy bowiem członek wystawiony na działanie zimna, odmarznie natychmiast, najsubtelniejszy zaś zmysł człowieka wzrok, zagasnąć może na wieki. Pomiędzy mieszkaniami

ludzkiemi przeciągnięty jest sznur, ażeby ci, których konieczność zmusi do odbywania podobnéj wycieczki poomacku, mogli kierować swemi krokami za pomocą tego przewodnika.

Jakkolwiek opisywanie klimatu koła biegunowego nie wchodzi w zakres przyjętego przezemnie programatu, zatrzymałem się cokolwiek dłużéj nad warunkami bytu ludności europejskiéj, zamieszkującéj te zmartwiałe stepy, ażeby tém dobitniéj wykazać wytrzymałość na zmiany atmosferyczne piérwotnych plemion, naturalnych obywateli owych krańcowych żyjącego świata przestrzeni. Niezbadanemi rzeczywiście są tajemnice natury człowieka! Tam gdzie ludzie rasy jafetyckiéj, chociaż wdrożeni od niemowlęcych lat do srogości klimatu, zmuszeni, bywają sztucznemi środkami bronić się przed mrozem tamującym oddech, wygryzającym oczy, ścinającym krew w żyłach, tam szczepy rasy semickiéj i chamickiéj, ludzie tak samo zbudowani, z równym organizmem, jednakowym składem ciała, żartują sobie z najdotkliwszych wybryków aury i zdają się nie czuć męczarni zimna, od którego kruszą się kamienie i opoki pękają! Ostiaki, choć pokryci wprawdzie od stóp do głowy skórami dzikich zwierząt, suwają się na swych łyżwach po białym całunie, wtedy gdy najśmielszy Europejczyk nie odważy się na chwilę nawet wyjrzéć po za próg szczelnie zamkniętéj izdebki. Wysocy, smagli, muskularni, szydzą z obniżonéj temperatury, i jako bajeczna salamandra w ogniu, pędzą swe życie w ściéśnioném chłodem powietrzu, mogącém dać wyobrażenie o atmosferze Saturna, Uranusa, lub innego jakiego na końcu systematu słonecznego znajdującego się planety. W czasie długich, kilka miesięcy trwających nocy, oświetlonych tylko wspaniałym blaskiem zorzy północnéj, odbywają polowania na białego niedźwiedzia, robiąc dalekie wycieczki po jednostajnéj śnieżystéj powłoce. Żony, wierne towarzyszki ich życia, dzielą z nimi wszelkie trudy podróży, niosąc na plecach w małych wyżłobionynh z drzewa korytkach, niedawno zrodzone niemowlęta. Zadziwiającą jest zręczność, z jaką wśród ciemnéj nocy umieją ci ludzie omijać grożące im na każdym kroku niebezpieczeństwo. Łyżwy a raczéj łódeczki, długie

na trzy łokcie, które w czasie pochodu do swych nóg przytwierdzają, bronią ich od zapadnięcia się pod śniég zawsze zmarznięty, lecz w niektórych miejscach zwilgotniały przez parowanie wewnętrznego ciepła ziemi. Otóż stąpnięcie na takie miejsce staje się hasłem niechybnéj śmierci: człowiek idący po białym wygonie znika nagle w przepaściach śniegowych i nigdy już ztamtąd nie powraca; latem dopiéro, po zniżeniu się sztucznéj powiérzchni o jakie stóp kilkanaście znajdują gnijące jego ciało na ziemi. Oni jednak, czy to wrodzonym instynktem, czyli téż dokładną znajomością praw natury miejscowéj obdarzeni, przeczuwają odrazu te zdradliwe punkta i zgadują najprzód ich sąsiedztwo.

Latem Ostyak, wraz z całą swą rodziną, żyje prawie wyłącznie na rzekach: tysiące drobnych, małych, zaledwie nad powiérzchnię wód wystających łódek, krąży ciągle w różnych kierunkach po olbrzymim Jeniseju, otacza płynący parochód; właściciele ich inorodcy częstują podróżnych europejskich rybą, zwierzyną, skórami renów i niedźwiedzi, żądając w zamian wódki, herbaty, lub małéj wartości świecidełek.

Charakter tych plemion jest mieszaniną południowéj chytrości z północną dobrodusznością. Dosyć przebiegli w handlu, mitygują ten przymiot czyli téż wadę prostotą swego obejścia się w innych stosunkach z napływową ludnością. Bezduszna apatya, owa ogólna cecha podbiegunowe strefy zamieszkujących narodów, nie jest ich udziałem. Rozmowni, ciekawi, zaintrygowani wszystkiém co nowe i nieznane starają się żywością ruchów i gestów wynagrodzić brak znajomości rossyjskiego języka, a mimika ich tak częstokroć dobitnie maluje wewnętrzne wrażenia, że nawet bez tłumacza można pojąć i zrozumiéć czego żądają. Zawsze biédni, żyjący z dnia na dzień, szukający pożywienia tylko wtenczas kiedy im takowego zabraknie, nie czują swojéj nędzy i niedostatku, i nie pragną nigdy wyjść z ograniczonego koła codziennych potrzeb. Kilkotygodniowe lato, ów melancholiczny uśmiéch północnego słońca, jest dla nich porą, w któréj zdają się odżywać pod wpływem tak skąpo w tych stronach udzielanego światła i ciepła. Niezwykła

ich czynność, szybko na wszystkie strony odbywane wędrówki, rojące się po Jeniseju łodzie, są najlepszym dowodem, że oni oddychając pełną piersią, oswobodzoném od mrozów powietrzem, pragnęliby skorzystać z każdego dnia, z każdéj niemal chwili tego krótkotrwałego pozoru życia. Wierzyć nie chcą, że tam daleko poza lasami, poza górami, są kraje, w których lato dłuższe jest od zimy, a jeszcze daléj na południe, ziemie nieznające téj pory śniegów, mrozów, i zmartwiałości przyrody. Gdy im mówią o ludziach żyjących w atmosferze wiecznie ciepłéj, pomiędzy zielonemi gajami, pod cieniem drzew wyniosłych, wśród łąk kwiatami pokrytych, uśmiéch rozkoszy osiada na ich ustach, i słuchają tych opowiadań jak mahometanie wywodów o siódmém niebie, zachwyceni ponętnością obrazu, ale niepojmujący ażeby podobne szczęście mogło być udziałem człowieka w czasie ziemskiéj jego pielgrzymki.

Minąwszy Turuchańsk, bardzo już rzadko spotkać się można z człowiekiem. Jedynie w czasie trwania jarmarków w Otwocku, osadzie o jakie pięćset wiorst wyżéj jeszcze na północ położonéj, do któréj zjeżdżają czasami kupcy rossyjscy, suwają po śnieżnych stepach sanie zaprzężone renami, dążące do tego ostatniego punktu wymiany handlowéj. Rybacy jednak turuchańscy a nawet jenisejscy docierają aż do brzegów oceanu lodowatego, znajdując chwilowy wypoczynek w osadzie zwanéj: Tołstoj nos, krańcowéj stacyi bieguna północnego. Poza Tołstym nosem jest jeszcze klasztor, w którym żyją zakonnicy, niemający żadnych prawie stosunków z resztą świata. Dzieje tego przybytku pokory i zaparcia się wszystkiego co doczesne, pokryte są mrokiem oddalenia, mgłą mrozów i niezmiernemi przestrzeniami śniegu. Mnisi tam zamieszkali nie wychodzą nigdy z po za obrębu grobu jaki sobie dobrowolnie wykopali; skromne ich potrzeby zaspakajane bywają przez Ostyaków, jedynych ludzi, mogących bez narażenia na szwank swojego życia wędrować po tych obszarach, pozbawionych bezwzględnie wszelkich warunków organicznego istnienia.

Skalisty cypel okrążony zewsząd olbrzymiemi kryształami lodu, przedstawiającemi się w formie gór niebotycznych,

na którym zakonnicy zbudowali swoje drewniane, obłożone do koła grubą warstwą mchów mieszkanie, jest ostatniém miejscem na kuli ziemskiéj, zamieszkałém stale przez Europejczyków. Ostyaki nawet, owi szermierze mrozu, walczący ciągle z tyle zgubnym dla człowieka klimatem, niechętnie zapuszczają się tak wysoko na północ, i tylko nieograniczone uwielbienie jakie czują dla tych pozbawionych wszelkiéj pomocy samotników, sprawia iż podwożą od czasu do czasu złowioną rybę i zebrane paliwo na potrzeby klasztoru.

Daléj niéma nic, ani ludzi, ani zwierząt, ani żadnego organiczném życiem obdarzonego stworzenia: jest tylko lód bieguna, niewzruszony, bezmierny, wiecznie trwający; straszny obraz śmierci nieznający granic i końca. Dwa razy już w etnograficznéj mojéj gawędzie z czytelnikiem zaprowadziłem go na te niedostępne dla istot z ciała i krwi kresy, i zawsze, niby widmo złowrogie, zatrzymały mnie w pochodzie punkta, w których obrót wirowy kuli ziemskiéj słabnie, każąc domyślać się odgadniętego nauką, a niezbadanego żadném żyjącém stworzeniem miejsca bezwarunkowéj stagnacyi: osi bieguna północnego. Czas więc nam i teraz zawrócić się napowrót, témbardziéj, że opisując z kolei wszystkie pokolenia syberyjskich inorodców, nie wspomniałem jeszcze o Tatarach, pomiędzy któremi od lat kilku stale zamieszkuję. Postąpiwszy sobie jak ów podróżnik, zajęty badaniem dalekich krajów, a nie mówiący ani słowa o tém co się dokoła niego dzieje, czuje się w obowiązku wynagrodzić chwilowe zapomnienie.

Południowe części gubernii zaludnione są Tatarami azyatyckimi. Tatarzy ci, oprócz nazwania, nie mają nic wspólnego z piérwotnemi plemionami kazańskiéj gubernii. Potomkowie ludów, dawne księztwo kazańskie składających, wyznają wiarę Mahometa, przykrywają golone swe głowy na sposób turecki, a rysami swych twarzy zbliżeni są więcéj do pobratymców swoich z Bakczyseraju i innych miejscowości Krymu, gdy tymczasem narody, o których mówić będę, są pochodzenia mongolskiego, wyznają szamanizm, a obyczajami, sposobem życia i charakterem, nie odbiegają

zbyt daleko od ogólnych cech rodu Chamitów. Potężna niegdyś ojczyzna piérwszych była kolébką owych strasznych i dzikich wojowników, którzy zapuszczając daleko na zachód swe zagony, niszczyli ogniem i mieczem księstwo moskiewskie, Litwę, Żmujdź, i Polskę, a zabrawszy bogate łupy i tysiące jeńców do niewoli, wracali napowrót w niedostępne obszary, stanowiące ich ojczyznę. Jakkolwiek przeszłość plemion azyatyckich jest ciemna i niedocieczona, różne drobne okoliczności każą mniemać, że i oni także podlegali w średnich wiekach władzy Dżingishana, i dostawiali swój kontyngens do tych mass niezliczonych, które jako niszcząca wszystko fala zaléwały od czasu do czasu zachód, niosąc wszędzie śmierć i pożogę. Bohatér ich pieśni, owa postać tajemnicza, straszna, olbrzymia, o jakiéj nucą wszyscy niemal bardowie pustyni, jest zapewne tym wodzem, prowadzącym przed kilku wiekami ich przodków w ziemie słowiańskie dla rozboju i łupieztwa (1). Wiele części ubioru syberyjskich Tatarów przypomina swym krojem narodowe stroje ruskich bojarów i polskich magnatów, jakie zapewne ci protoplaści słowiańscy przejęli mimowolnie od dzikich najeźdźców. W języku tatarskim znaléźć można mnóstwo wyrazów jakoby wziętych żywcem z naszéj mowy (2) i przez to samo każących się domyślać niejakiéj styczności tych plemion z naszymi pradziadami. Oprócz jednakże wymienionych wskazówek, żaden pewny stale oznaczony fakt, nie potwierdza powyższego przypuszczenia. Etnograficzny badacz starający się zgłębić przeszłość w stanie natury żyjących pokoleń, ażeby wysnuć z niéj nić wywodów, wstrzymanym zawsze zostanie w przedsiewziętéj pracy zupełnym

(1) Wojownik ów niezwalczony żyje w pieśniach wszystkich prawie azyatyckich szczepów. Mówiąc w początkach niniejszego artykułu o śpiewach Tunguzów wspomniałem już o téj okoliczności.

(2) Naprzykład wyrazy tatarskie: arak (wódka), kaftan, (zwiérzchnie ubranie) muzika, (muzyka), czi-buk (cybuch), sałata (zielenina), kara (maść czarna), oprócz małej różnicy brzmienia odpowiadają zupełnie przyswojonym do naszego języka wyrażeniom. (*przyp. aut.*)

brakiem historycznych podań i tradycyjnych legend, i może co najwięcéj opierać swoje domniemywania na nader drobnych szczegółach, które jako błędne ogniki oświetlają czasami niedostępne bagna, lecz częściéj niestety sprowadzają dążącego do wytkniętego celu człowieka, na bezdroża i manowce.

Niezmierne stepy, rozciągające się po za lewym brzegiem Jeniseju, a zajmujące całą zachodnią część minusińskiego okręgu, są główną ojczyzną Tatarów. Zamieszkują oni także niektóre części gubernii tomskiéj i tobolskiéj. Zbliżeni obyczajami do Tunguzów, różnią się od nich większą towarzyskością społecznego życia; czumy bowiem tunguzkie rzadko wiążą się w auły, gdy tymczasem u Tatarów prawie nigdy spotkać nie można pojedynczych jurt, lecz osady z kilkudziesięciu, a nawet kilkuset mieszkań złożone. Zwiérzchność ich, tak zresztą jak i u wszystkich innych inorodców, jest dwojaka: ogólna krajowa i swoja własna, Piérwsza nie miesza się nigdy w domowe sprawy tatarskie, lecz wtedy tylko występuje na widownię, gdy popełniony występek kryminalny nakazuje z kodeksem karnym w ręku ścigać winowajcę; zwykłe kwestye jak np. zaspokojenie krzywd, drobne kradzieże, poszukiwanie długów, podlegają juryzdykcyi miejscowéj jurt. Reprezentantami téj stepowéj władzy są tak zwani starostowie rodowi, czyli kniazyki, wybiérani z grona ludności tatarskiéj na lat trzy, jakotéż dumy czyli zgromadzenia z kilku członków złożone, które stanowią niejako wyższą instancyą wewnętrznych rządów pustyni. Chociaż jednak podług litery prawa kniazyk tatarski i duma mają bardzo ograniczone znaczenie, a istnieją jedynie dla zasłonięcia inorodców od zbyt szczegółowego mieszania się w ich domowe sprawy właściwéj zwiérzchności, nie mogącéj znać wszystkich obyczajów religijnych i społecznych tego ludu, rzeczywiście władza owych samorodnych urzędników jest prawie nieograniczoną. Sądzą oni i karzą wszelkie przewinienia na miejscu, stosownie do pojęć i wyobrażeń osobistych, tak że częstokroć jeden i tenże sam czyn zdrożny, uniewinniony przez jakiego starostę, nader srogo ukaranym zostaje przez drugiego, a sądowe po-

szukiwanie zbrodni wtedy tylko ma miejsce, gdy występek stał się zbyt głośnym, ażeby mógł nie wyjść po za obręb tatarskiéj administracyi. Przy takiém położeniu rzeczy, Tatarzy azyatyccy, choć złączeni ogólnemi ustawami kraju zresztą jego ludów, stanowią niejako cząstkę w całości, wyróżniając się od napływowych plemion nie tylko religią, ale wszystkiém co stanowi oddzielną cechę różnorodnego pochodzenia. W jurtach bliżéj kolonii europejskich położonych, przejmują oni mimowolnie powiérzchowne oznaki cywilizowanych narodów, w miarę jednak oddalania od tych punktów, wspomniane oznaki giną stopniowo, nie pozostawiając najmniejszego śladu solidarności z ogółem mieszkańców.

Wnętrze jurty, jak zwykle u wszystkich w stanie natury żyjących narodów, przedstawia w wysokim stopniu obraz zaniedbania, nietroszczenia się o wygody życia, i mały wpływ ogólnych czynników rozwoju. Niechlujstwo, zaduch, swąd od dymu napełniającego w każdéj porze te ciasne siedziby, uderza na wstępie każdego; gdy zaś po chwili wzrok przybysza przyzwyczai się stopniowo do rozróżniania w panujących tam zawsze półcieniach otaczających go przedmiotów, to ujrzy obraz, jaki niezawodnie byłby odrażającym, gdyby zmysłami wywołane wrażenie nie zostało natychmiast złagodzoném prostotą i gościnnością mieszkańców jurty. Gospodarz przyjmuje nowo przybyłego, choć częstokroć zupełnie mu nieznanego gościa, jak najbliższego sercu przyjaciela, sadza go na najpiérwszém miejscu, częstuje czém może, każe rodzinie i domowym być gotowemi na każde jego skinienie: słowem, stara się wszelkiemi sposobami w szczupłym i ograniczonym zakresie swéj działalności, praktykować tę wielką cnotę wschodnich narodów, pojmowaną w Europie tylko przez jednych Słowian, która nakazuje uważać nawiédzającego strzechę domową podróżnego za zesłanego przez Opatrzność brata, osłaniać go swoją opieką, bronić w razie niebezpieczeństwa, dawać mu wszelką możliwą pomoc i dzielić z nim ostatni kęs chleba.

W jurcie, oprócz rozesłanych do koła wojłoków, na których śpią pokotem wszyscy członkowie rodziny, niéma

żadnych innych sprzętów; miedziany kociołek do gotowania cegiełkowéj herbaty, kilka misek drewnianych, parę kubków do picia aryanu, i cynowa herbatniczka, stanowią całe domowe gospodarstwo. Posążki niezgrabnie z drzewa wyciosane, zawsze ukryte w najciemniejszym kącie, przedmiot czci religijnéj wyznawców szamanizmu, jakotéż obraz jakiego świętego w najpokaźniejszém miejscu umieszczony, mają przywiléj rozdzielania naprzemian duchownych obowiązków zamieszkałéj w jurcie rodziny. Tatar, odpowiednio do swojego usposobienia, albo szepce inwokacye i zaklęcia, skierowane do pogańskich bożków, albo téż żegna się przed wyobrażeniem chrześciańskiego męczennika, a podwójny ów kierunek jego religijnych wyobrażeń nie jest dlań bynajmniéj przeciwnym, owszem, daje mu otuchę niezawodniejszego spełnienia wygłoszonych życzeń. Im więcéj dobrodziejów, mawia on, tém pewniejszym może być człowiek swojego losu. Co nie zrobi rodzinny bożek Tengri, to uczyni cudzoziemski święty: nie zapominając o obudwóch, nie obawia się żadnego z nich, a ztąd dwojaka wynika korzyść.

Sąsiad nawiédzający sąsiada w jego jurcie, nie zaczyna nigdy od powitania się z nim, lecz wchodzi milcząc, zasiada bez wyrzeczenia jednego wyrazu, i zapala fajkę. Po niejakiéj chwili dopiéro następuje wzajemne pozdrowienie, wykonane przez przyłożenie prawéj ręki do czoła. Jeżeli kto pragnie okazać krewnemu lub sąsiadowi swoją przyjaźń, przybywa do niego z zabitym łabędziem, mającym na szyi przewiązaną czerwoną chustkę. Znak ten jest bezwarunkową oznaką czci, uwielbienia i serdecznych uczuć pojawiającego się gościa dla gospodarza domu, przyjęty zawsze zostaje przez tego ostatniego z wdzięcznością i hojnym datkiem wynagrodzony. Dodać jednak należy, że osobistości podległe zarzutom i nieużywające ogólnego szacunku w aule, nigdy podobnych objawów poważania nie doznają, a gdyby ktokolwiek w celu otrzymania podarunku, zjawił się w jurcie człowieka niecieszącego się dobrą opinią z owym emblematem w ręku, zostałby powszechnie wy-

śmianym, a co więcéj mógłby nawet podledz karze duchownéj przez szamana miejscowego wymierzonéj.

Nader dziwnym jest stosunek kobiéty do mężczyzn pomiędzy Tatarami. Podług ich wyobrażeń religijnych i społecznych, płeć żeńska zawsze niższy szczebel w hierarchii rodzinnéj zajmuje, a przecież wśród familijnego kółka, żony, prawem zwyczaju, władają częstokroć wszystkiem co ich otacza, nie wyłączając męża, głowy domu, który, pomimo patryarchalnéj powagi, bywa nieraz ślepym tylko wykonawcą zachceń swojéj połowicy. Niewola kobiét stała się powiérzchowną formą, uszanowaną w zewnętrznych oznakach, a wynagradzaną stokrotnie rzeczywistym wpływem, jaki te słabe na pozór istoty wywierają na wszystkie sprawy domowego pożycia. Wypływa to nietylko z większéj subtelności charakteru niewieściego, ale i z obyczaju żenienia młodych chłopców, w dziecinnym pozostających jeszcze wieku z dziéwczynami nierównie od nich starszemi.

Bardzo często Tatar, mający syna kończącego rok 13 lub nawet 12, wyszukuje dla niego małżonkę dwudziestokilko-letnią. Po dopełnieniu ślubu podług obrządków szamańskich, młodziutki mąż, zaledwie z lat niemowlęcych wyszły, przenosi się do nowéj jurty wraz z towarzyszką swego życia. Ani jego wiek, ani fizyczne siły, ani usposobienie, nie pozwalają mu wykonywać wszystkich obowiązków do stanu małżeńskiego przywiązanych: jest on więcéj wychowańcem niż obrońcą i opiekunem swéj żony, a o użyciu władzy głowy domu przez słabego jeszcze i potulnego dzieciaka i mowy być nie może. Tym więc sposobem mężczyźni od najpiérwszéj młodości przywykają do przewagi kobiét, a gdy z upływającym czasem podrosną w lata i siły, przyzwyczajenie staje się w nich drugą naturą. W starszéj nierównie od siebie żonie, którą przywykli w dziecinnych latach uważać za mentorkę i obawiać się jéj żylastéj dłoni, widzą zawsze istotę przeznaczoną do kierowania ich czynnościami, a pomimo form tradycyjnych, nakazująch kobiétom okazywać cześć i uszanowanie dla dozgonnych towarzyszy, są one w gruncie rzeczy jedynemi władczyniami i bezwarunkowemi wyroczniami wśród spraw domowego

ogniska. Forma zależnego położenia płci żeńskiéj, ażeby nie znikła zupełnie nawet z powiérzchownych obyczajów tego ludu, zachowaną jest mianowicie w stosunkach teścia ze swoją synową. Tatarka, wchodząc do jurty w któréj znajduje się ojciec jéj męża, winna nakryć głowę chustką, wdziać na wiérzch swego ubrania długą koszulę i nałożyć na nogi obuwie; wychodząc obowiązaną jest w tył się cofać, nie odwróciwszy ani na chwilę oblicza od dostojnika jurty. Nie wolno jéj mówić do swego teścia inaczéj jak za pośrednictwem trzeciéj osoby, np. świékry, męża lub dzieci: to jest wyrazy wyrzeczone przez nią muszą być zwrócone do któregokolwiek z członków rodziny, a ten następnie powtarza je patryarsze domu. Tę samą drogę przechodzi i odpowiedź. Wprawdzie ów obyczaj naruszanym bywa niejednokrotnie, mianowicie wtedy, gdy żaden obcy a natrętny przybysz, mogący uwiadomić szamana o nieposzanowaniu przepisów, nie jest świadkiem rozmowy; ale zwykle, szczególniéj w obec nie należących do składu familii gości, wszyscy pilnie baczą na zachowanie w całéj ścisłości owéj zwyczajem uświęconéj formy.

Strój świąteczny Tatarów składa się ze zwyczajnych pantalionów, rodzaju bogatego z jedwabiu uszytego kontusika bez rękawów, i ogromnéj sobolami lub lisami obszytéj czapki. Czapka ta, którą nawet w dnie powszednie przy codziennym ubiorze noszą, uderza na wstępie oczy Słowianina każdego, podobieństwem swojém do nakryć głowy przodków naszych, i każe mimowolnie robić różne przypuszczenia co do mniejszego lub większego udziału protoplastów tych dzikich ludów w napadach na lackie i ruskie ziemie. Formą, kształtem i buńczuczną fantazyą zwieszonego na bok kwadratowego denka, zdaje się przywodzić na myśl jakieś zarysy z dziecinnych lat spamiętane, które się widziało na starożytnych obrazach lub familijnych portretach. Kobiéty tatarskie noszą szerokie na sposób wschodni skrojone szarawary, na które nadziéwają zwiérzchnie okrycie bez stanu; a właściwiéj powiedziawszy, ze stanem nadzwyczajnie nizkim, tak, że pętlica wiążąca poły znajduje się zwykle niżéj kolan. Niekształtność tego ubioru wynagrodzoną jest zu-

pełnie oryginalném przystrojeniem głowy: czarne jak heban włosy dziewic splecione w mnóstwo drobnych warkoczyków, pokryte bywają jaskrawych kolorów chustką, ułożoną w nader fantastyczne fałdy, niby zawój turecki. Tatarki ozdabiają przytém swe uszy olbrzymiemi kolczykami, a raczéj z mosiężnego drutu kołami od 5 do 7 cali obwodu mającemi, na szyi zaś mają zwyczaj zawieszać mnóstwo brzękadeł, srébrnych a czasem i złotych monet; przedewszystkiém jednak zamiłowane są w koralach (mażanach), stanowiących najcenniejszą i najbardziéj poszukiwaną część narodowego ich ubrania. Każdy ojciec lub mąż cokolwiek zamożniejszy, stara się nabyć dla swéj żony albo téż córki choć kilka wielkich korali, które używane przy ważniejszych uroczystościach, pozostają wśród jurty jako rodzinna pamiątka, i przechodzą następnie w spuściźnie dla dalszych pokoleń.

Szamanizm tego narodu, obok obrządków i zasad wspólnych z szamanizmem innych piérwiastkowych plemion Syberyi, posiada także odrębne i właściwe sobie cechy. Ile razy zdarzyło nam się w toku niniejszego opowiadania dotknąć szczegółów wyznania obejmującego północne strony Azyi, część Mongolii, Tybetu, Japonii, gnieżdżącego się w Chinach, Persyi, nad brzegami Gangesu, a niemającego nigdzie stałego centrum, punktu oparcia, któryby pozwolił rozrzuconym po różnych krainach szamanistom utworzyć jedną religijną całość, zawsze widzieliśmy nietylko w powiérzchownych oznakach ale nawet i w pojęciach téj dzikiéj wiary, pewne odcienia, wyróżniające je wzajemnie pomiędzy sobą. Pochodzi to właśnie z owego braku spójności pomiędzy licznemi azyatyckiemi plemionami. Jeden szczep nie wié częstokroć nawet o istnieniu drugiego. Niezmierne przestrzenie, brak lądowych i wodnych komunikacyj, różność klimatu północnych, środkowych i południowych prowincyj Syberyi, sprawiają, że każde z pokoleń inorodców, wyrabia na ogólnych podstawach szamanizmu, zachowanych tradycyą wieków, swoje własne pojęcia i wrażenia, i odbiega tym sposobem od jednolitéj, powszechnéj normy. Cóż dopiéro mówić o tych z wyznawców czarnéj wia-

ry (1), którzy zamieszkują skaliste brzegi Sachalinu, północne części Japonii, lub wybrzeża Gangesu: tam odległość jeszcze większa, a środki komunikacyjne prawie żadne, są przyczyną bez porównania znaczniejszéj różnicy pomiędzy obrządkami jednéj, a przecież tak odrębnie u każdego z azyatyckich ludów przedstawiającéj się religii.

Szamanizm tatarski najbardziéj zbliżony jest do tunguzkiego. Nie mówię ja tu o zasadach istnienia czarnego i białego boga, bo te wszędzie są jednakowe, ale wspominam o powiérzchownych formach ceremonii, przywiązanych do téj wiary. Szamanienie przy ogniu na odkrytém polu, czyli inwokacye do złych i dobrych bogów, uskuteczniane w czasie świąt tymże bogom poświęconych, odbywa się zupełnie takim sposobem jak u tunguzkich plemion. Różnica jaka w rzeczonym obrzędzie zachodzi, zależy głównie na ubiorze szamana. Tatarski duchowny w chwili wzywania potężnych sił szamy i si przywdziewa na siebie kożuch włosem do góry obrócony, z mnóstwem gałganów poprzyszywanych na wierzchu, co wszystko przy ogromnym kołpaku na głowie i zakrytéj twarzy, czyni całą jego postać podobną do straszydła, jakie nasi kmiotkowie zastawiają czasami pośród dojrzéwających łanów zboża, dla oddalenia zlatującego się zewsząd ptastwa. Na ogień rzuca on pełnemi garściami rumianek dziko na stepach rosnący, które to ziółko uważaném jest powszechnie jako posiadające własności tajemne, związane ze wszystkiemi prawie praktykami czarnoksięstwa. Dnie poświęcone inwokacyom stale są oznaczone; oprócz tych dni bywają jeszcze uroczystości, mające na celu zachowanie inwentarzy od upadku, i trzy razy do roku odbywane pielgrzymki do mogił. W piérwszych po zabiciu barana, pokropieniu krwią jego ziemi, rzuceniu kilku kawałków na ogień i zjedzeniu reszty, następuje zwykła ceremonia wzywania czarnego i białego boga; w drugich, stepowa ludność jurt udaje się na miejsce wiecznego spoczynku, już to dla oddania należnéj czci nieboszczykom, już

---

(1) Wyraz *szama-ni* (szamanizm), dosłownie przetłumaczony, oznacza „czarną wiarę.“ (*Przyp. aut.*)

wreszcie na ubłaganie swoich tengri (duchów zmarłych przodków) o ciągłą i stałą opiekę nad pozostającymi przy życiu potomkami.

Najciekawszym jednak obrządkiem wyznania tego ludu jest szamanienie po jurtach, najczęściéj w razie ciężkiéj i niebezpiecznéj słabości jednego z Tatarów, na żądanie otaczających go lub rodziny przedsięwzięte. Podług wyobrażeń miejscowych choroba nie jest niczém innem tylko nagromadzeniem się nieczystych duchów w jurcie, które prześladują podległego ich sile człowieka, i są w stanie pozbawić go życia. Otóż więc należy te duchy odegnać. Do uskutecznienia owéj czynności przyzywają szamana, a ten przy odgłosie bębna, wzywa niewidzialne jestestwa, ażeby odstąpiły ofiary i opuściły mieszkanie. Duchy w ogólności nie lubią wszelkiego hałasu, bęben więc główną tu odgrywa rolę; ale że one odznaczają się przytém niezwykłym uporem, potrzeba długiego czasu dla przymuszenia ich do ucieczki. Niejednokrotnie szaman wraz ze swoim pomocnikiem bębni dnie i doby całe, aż do chwili, w któréj albo natura zwycięży chorobę, albo téż cierpiący zaśnie snem wiecznym. W piérwszym razie przedstawiciel religijny tryumfuje; w drugim objawia zgromadzonym, iż duchy należały do rzędu nieposłusznych i było ich zbyt wiele, ażeby użyte przeciw nim środki mogły stać się skutecznemi.

Ceremonia powyższa odbywa się następującym sposobem. Przybyły do jurty szaman, sam lub wraz ze swoim pomocnikiem, przynosi zwykle z sobą wspomniony bęben i laskę obszytą w skórę, będącą godłem duchownéj jego władzy. Postawiwszy te przedmioty w kącie, zaczyna obrządek od obkadzania chorego rumiankiem, poczém wziąwszy bęben do ręki uderza w niego z razu powolnie i cicho, a następnie coraz mocniéj i głośniéj. Wypędzanie duchów trwa jak już wyżéj powiedziałem bardzo długo, i bywają przykłady, iż przeciąga się dwie lub trzy doby; w tym czasie nie wolno nikomu w jurcie niczém się zająć, żadnéj rozmowy prowadzić, ani téż żadnego posiłku przyjmować. Jeżeli znużenie sklei komu z obecnych powieki, szaman nie

przerywając swéj czynności wylewa na głowę śpiącego kubeł zimnéj wody; jeżeli zaś ktokolwiek nie uszanuje przepisów bezwarunkowego milczenia, wtedy ów kapłan pogański, nie rzekłszy jednego słowa, chwyta stojący w kącie kij i bije nim niemiłosiernie zapominającego o swych obowiązkach członka rodziny.

Szamani nadzwyczajnie nie lubią, gdy kto obcy jest obecnym przy ich kuglarstwach, nie dają jednak nigdy uczuć gniewu swojego nieproszonemu gościowi, lecz obracają go na tych, którzy dozwolili nieznajomemu przybyszowi mięszać się w domowe sprawy ich obyczajów.

Pewnego razu, nie wiedząc o owéj niechęci tatarskich czarnoksiężników do przypuszczania cudzoziemców w swoje tajemnice, a pragnąc być świadkiem obrządku wypędzenia złych duchów prześladujących chorego, uprosiłem znajomych Tatarów, ażeby dozwolili mi wejść do jurty, gdy ta ceremonia odbywać się będzie. Przybywszy wcześniéj, schroniłem się w najciemniejszy kąt jurty, i zakryłem nagromadzonemi tam wojłokami. Szaman, który się wkrótce zjawił, nie dostrzegł zrazu mojéj obecności i obkadziwszy posłanie umierającego, zaczął przy odgłosie bębna swoje inwokacye i przeraźliwe krzyki. Starałem się zachować nader spokojnie, i siedząc skulony na ziemi, śledziłem misternie urządzoną szparą wszystkie ruchy przedstawiciela duchownéj władzy sąsiadujących z Minusińskiem plemion. Po upływie jednak godziny bystry wzrok stepowego kapłana dojrzał mnie po za sztuczną zasłoną wojłoków i skór końskich. Zaledwie przekonał się o mojéj obecności, oddał bęben swojemu pomocnikowi, sam zaś ująwszy kij w rękę, wyciągał na próg jurty po kolei wszystkich członków rodziny, zacząwszy od najstarszych a kończąc na małych dzieciach, i bił ich bez litości. Szczerze żal mi się zrobiło tych biédnych ludzi, którzy z mojego powodu wycierpieli tak srogą karę, i gdy w parę godzin potém, ceremonia, jak zwykle w podobnych razach, zakończyła się śmiercią chorego, a szaman opuścił mieszkanie, wyraziłem swoje ubolewanie Tatarom, tłumacząc, że gdybym był wiedział o następstwach mojéj ciekawości, nigdybym nie żądał od nich podobnego poświęcenia.

— Nic to nieznaczy, odpowiedział staruszek, ojciec zmarłego, który najwięcéj może doświadczył razów żylastéj dłoni czarnoksiężnika: myśmy wiedzieli, że on was w końcu odkryje, nie sądziliśmy jednak, że będzie bił tak mocno. Nasz szaman lepiéj zna swą sztukę od innych duchownych, tylko ma cokolwiek za ciężką rękę. A zresztą to wszystko pójdzie w pożytek tengri (duszy) mojego biédnego syna.

Gdy szaman po dopełnieniu inwokacyj, nad chorym oddala się z jurty, jeden z Tatarów niesie lub wiezie konno przed nim laskę, owo godło jego godności. Laska ta jest dość gruba, długa na parę łokci, obszyta, jak już wspomniałem, w skórę i opatrzona na końcu małemi dzwoneczkami. Z pogańskim kapłanem może każdy rozmawiać, wyjąwszy tego, który rzeczoną laskę trzyma w ręku. Zresztą szamani tylko w czasie pełnienia obowiązków do swojéj wiary przywiązanych są nieprzystępni, despotyczni i nietykalni; zaledwie obrządek się skończył, już każdy z nich traci swoją potęgę, i nie rzadko widziéć można przy biesiadach, kiedy kubki napełnione aryaszem krążą do koła, jak ów przedstawiciel duchownéj władzy, pijąc na równi z innymi, oberwie porządnie po skórze, zupełnie tak jak gdyby należał do rzędu najpospolitszych śmiertelników.

Godność szamańska nie jest udziałem wyłącznéj kasty, i może być piastowaną przez każdego ktokolwiek w dziecinnych latach obznajmił się z tą sztuką. Zwykle rodzice oddają w powyższym celu swoje dzieci na naukę. Najpojętniejsze i najbystrzejsze z nich dostępują, podrosłszy, tego zaszczytu, mniéj pojętne stają się pomocnikami stepowych kapłanów (1); tępe i głupowate, jako niezdatne, bywają oddalane. Szamanem może zostać mężczyzna jak i kobiéta.

---

(1) Pomocnik szamana nazywa się po tatarsku: niedokładnym szamanem. Jego rola w uroczystościach i obchodach jest zawsze podrzędną, a co więcéj nigdy on nie może już zostać prawdziwym szamanem. To jednak nie przeszkadza, iż w razie nieobecności piérwszego, wykonywa czasami jego obowiązki, ale takie działanie jest nadużyciem trafiającém się nader rzadko. (*Przyp. aut.*).

W rzędzie tych dostojników widziałem starców, ludzi lat średnich, młodych chłopców, podżyłe niewiasty i piętnastoletnie dziéwczęta. Gdy niedorosły chłopak lub młodziutka dziéwczyna, dostąpiwszy téj godności, wykonywają inwokacye, mają prawo karać chłostą niestosujących się do przepisów starców, czasami nawet własnych rodziców, a ci z pokorą i bez szemrania przyjmują razy. Rodzice tylko, jeżeli operacya była zbyt bolesną, odwdzięczają się niekiedy na grzbiecie dziecka po skończeniu obrzędu, za zbyt fanatyczny jego pogląd na owe atrybucye. Zdarza się znowu, że gdy matka lub ojciec zabiéra się do ukarania nieposłusznego syna szamana, ten ufny, w swe prerogatywy, grozi odwetem:

— Radzę, nie bij, albowiem przy piérwszém wywoływaniu duchów, oddam to wszystko z procentem.

Zdawaćby się mogło, że przy podobnych wyobrażeniach religijnych, życie rodzinne Tatarów podlega zupełnemu rozstrojeniu, że anarchia zastępuje miejsce wewnętrznego porządku, a samowola wywołana siłą lub przewrotem idei społecznych, wyradza w stosunkach codziennych niezwykły chaos. Jednakże tak nie jest. Patryarchalna powaga głowy domu, powaga uświęcona tradycyą, odwiecznemi zwyczajami i zasadą obowiązujących ustaw, jest tak wielką, że i te małe zboczenia wynikłe z niekonsekwentności praw szamanizmu, nie są w stanie jéj naruszyć. Ojciec ukarany cieleśnie przez rodzonego syna, matka zbita przez własną córkę w czasie religijnych ceremonij, nie tracą nic ze swojéj godności ani znaczenia, gdyż wymierzający karę syn lub córka, nie są w téj chwili ich dziećmi ale kapłanami, przed których władzą każdy ulegać powinien. Po ukończeniu inwokacyi wszystko wraca do normalnego stanu, a jeżeli następują czasami jakie wymówki lub nawet odwety, to należy je kłaść na karb słabości natury ludzkiéj, ułomnéj na całym świecie, témbardziéj zaś u ludów rządzących się podobnie dzikiemi prawami.

Tatarzy zamieszkali w okolicach okręgowego miasta Minusińska mówią wszyscy wcale nieźle po rossyjsku, w miarę jednak oddalenia osad od centralnego punktu południa, a przez to samo zmniejszenia stosunków z napływową ludnością, znajomość ich rossyjskiego języka staje się coraz

niedokładniejszą, tak, że jadącemu w odległe jurty niepodobna odbywać wycieczek bez tłumacza. Do miasta Minusińska, na odbywające się co sobota targi, przybywają oni zawsze w znacznéj liczbie, najczęściéj konno, i przywdziewają wtedy na siebie najparadniejsze narodowe stroje; szczególniéj kobiéty tatarskie lubią pokazywać minusińskiéj publiczności swoje olbrzymie kolczyki, wspaniałe korale i niezwykłych rozmiarów sygnety. Na targ przywożą rozmaite produkta stepowego gospodarstwa, najwięcéj jednak dostarczają topionego masła. Produktu tego nierównie taniéj od nich nabyć można jak od syberyjskich włościan, ale zato masło tatarskie odznacza się nieprzyjemną wonią i goryczą w smaku, nabytą w skutku obwijania go w surowe skóry i używania do fabrykacyi przestałéj śmietany. Tatarów przybyłych do miasta z odległych osad odrazu poznać można: rozglądają się oni ciekawie na wszystkie strony, dziwią się murowanemu soborowi, nadewszystko zaś zastanawia ich drewniana, żółto pomalowana wieża, służąca miejscowéj straży ogniowéj do dawania pożarnych sygnałów. Gdy spotkają na ulicy kogo porządnie ubranego, zdejmują najpokorniéj czapki; w ich bowiem przekonaniu, każde indywiduum nienoszące włościańskiego odzienia musi być nader ważną i wysokie stanowisko zajmującą osobistością.

Charakter tych plemion jest dobroduszny, flegmatyczny: praktykują u siebie cnotę gościnności w całém znaczeniu tego wyrazu, umieją zarazem być wdzięcznymi za doznane dobro, a krzywd jakie im wyrządzono nigdy nie pamiętają. Dominującemi ich wadami są: niechlujstwo, ospałość i zamiłowanie gorących trunków. Oszukiwani częstokroć przez przebieglejszych od nich włościan, stali się w handlu podejrzliwymi. Dokonywane przed laty z wielką łatwością zbywanie fałszywych pieniędzy w osadach tatarskich, uczyniło ich w przyjmowaniu bankowych biletów nader lękliwymi. Ująwszy w rękę papierek reprezentujący jakąkolwiek wartość piéniężną, obracają go na wszystkie strony, stawiają pod słońce, medytują, radzą się wzajemnie, i w końcu nie będąc w stanie nabrać przekonania o jego dobroci, oddają najczęściéj napowrót. Dlatego téż chcąc u nich co nabyć, najlepiéj zaopatrzyć się w stosowną ilość drobnéj monety srébrnéj

łub nawet miedzianéj. Skłonność do oszustwa lub nawet przywłaszczania sobie cudzéj rzeczy nader rzadko widziéć się daje pomiędzy tym ludem; natomiast mongolskie ich pochodzenie sprawia, że przestępcy tatarscy, osadzeni w miejscowych więzieniach, pokutują zwykle za grzechy przeciwko naturze popełnione. Podług ich wyobrażeń złe wtedy tylko jest złem, gdy komukolwiek szkodę lub ubytek przynosi; a kazirodztwo, pomimo odrażających dla każdego subtelnego uczucia przypadłości, nie należy do rodzaju tych zbrodni, których zgubne następstwa przedstawiają się natychmiast, pociągając za sobą widoczne krzywdy ludzkiéj skutki. Jeżeli jednak wrodzona apatya, brak wytrwałości, a więcéj może wstręt do wszystkiego co może przynieść stratę dla drugiego, wstrzymuje ich w ogóle od kradzieży, podstępu, nierzetelności, za to w rzadkich wypadkach pogwałcenia praw cudzego dobra, dają dowody niezwykłych nawet u syberyjskich włościan przebiegów.

Kupcy i kramarze syberyjscy mają zwyczaj przedawać herbatę w odważonych już poprzednio, i owiniętych w czerwoną bibułę funtowych paczkach. W dnie targowe, pewna ilość owych paczek leży przygotowana do zbycia, a każdy z przychodzących do sklepu ogląda je, kupuje lub téż kładzie napowrót, stosownie do tego, jak cena i dobroć produktu podobała mu się lub nie. Niedawno do jednego z kupców minusińskich, Mikołaja Szaronowa przybył Tatar, a obejrzawszy kolejno wszystkie paczki herbatą napełnione, położył takowe na miejscu i odszedł, mówiąc, że zapomniał wziąć ze sobą piéniędzy. Po niejakiéj chwili zjawił się znowu obejrzał je raz jeszcze, lecz się nie mógł zgodzić na cenę nareszcie po raz trzeci powrócił, dając to co żądano, lecz kiedy wydobywał piéniądze, wpada do sklepu Tatarka, zapewne żona jego, i nie dozwala mu tyle płacić za towar. Posłuszny małżonek kładzie napowrót trzymany w ręku funt herbaty, i odchodzi wraz ze swoją połowicą. Kupiec przywykły do podobnych targów nic nie mówi, a widząc tę samą ilość paczek, nie domyśla się podstępu. Co się późniéj okazało? Miasto herbaty, w trzech zwojach czerwonego papiéru były trociny! Stepowiec za każdém przybyciem swojém do

sklepu, przemieniał zręcznie przedmiot handlowy na ukrytą w zanadrzu, a odpowiednią kształtem, kolorem i formą paczkę uzbiéranych przy tarciu drzewa odpadków.

Wypadki jednakże tego rodzaju należą do nader rzadkich wyjątków: nietylko dobroduszność tatarska nie nagina się do nierzetelnych czynów i niesumiennych podstępów, ale w ogóle wspomnione plemię nie ma w charakterze swoim owéj chytrości, żądzy na cudze dobro, chęci łatwego zbogacenia się, jakie cechują mniéj więcéj syberyjskiego włościanina. Bywały przykłady, że Tatar, przyjąwszy gościa w swéj jurcie, podarował mu jeszcze na odjezdném najlepszego swego konia, nic w zamian nie żądając.

Podobne usposobienie sprawia, że ludzie ci są zazwyczaj biédni, chociaż poprzestając na małém i nie wychodząc z ograniczonéj sfery życia, nie czują swéj biédy, ani téż pragną polepszenia losu. Najgłówniejszém źródłem ich dochodów, jest sprzedaż futer upolowanych zwierząt i hodowla koni; tu i owdzie jednak, szczególniéj w osadach blizko Minusińska położonych, biorą się do uprawy roli, do sadzenia arbuzów, lecz te objawy są jeszcze nader słabe, zamiłowania bowiem rzeczywistego do rolnictwa nie posiadają, a jeżeli który z nich ujmie w rękę sochę lub sierp, to zawsze tylko mimochodem, w rodzaju mało znacznéj próby. Za to ze szczególną ochotą zajmują się leczeniem kumysem, który to wyrób podług ich przekonania oddziaływa zbawiennie na wszelkie słabości, i przyczynia się nawet po części do wypędzenia złych duchów zagnieżdżonych w ciele ludzkiém. Niéma prawie osady, w któréjby jaka stara Tatarka nie trudniła się fabrykacyą tego napoju, a ponieważ jak wiadomo kumys bywa pomocny w niektórych chorobach, doktorzy Krasnojarska, Aczyńska i Minusińska, posyłają często swoich pacyentów w te stepy dla uskutecznienia rzeczonéj kuracyi. Miejscowością, podobną w pobliżu Minusińska położoną, jest „Uprawa abakańska," gdzie znajduje się zarazem zarząd stepowy tatarski. Ni to wieś, ni auła, ni osada, ale amalgama wszystkich piérwiastków z przemagającym żywiołem inorodców. Pomiędzy licznemi jurtami, znaleźć tam można i parę domów drewnianych na sposób europejski budowa-

nych. W czasie pory letniéj, kilka a czasem i kilkanaście osób różnych stanów i płci zjeżdża do „Uprawy,“ dla odbycia przepisanéj kuracyi. Ktokolwiek widział zakłady lecznicze europejskich krajów, nie może miéć pojęcia o wszystkich przejściach, niewygodach i kłopotach osób, skazanych na przebywanie w téj dzikiéj stronie. Oprócz suszonéj na słońcu baraniny, niczego tam dostać nie można; a mieszczenie się w jurtach tatarskich, wśród swędu, dymu i zaduchu, społem z całemi rodzinami niechlujnych do najwyższego stopnia dzieci pustyni, jest przykrością, o jakiéj ten tylko może miéć wyobrażenie, kto jéj kiedykolwiek w życiu doświadczył. Dodać jeszcze należy, że miejscowość ta, chociaż nader blizko, bo tylko o wiorst 15 od Minusińska znajdująca się, odciętą jest od tego miasta trzema odnogami Jeniseju, przez które na promach przeprawiać się wypada, tak że pomimo małéj odległości, podróż do tego punktu z okręgowego miasteczka, kilka godzin czasu wynosi.

Tatarki trudniące się leczeniem kumysowém, przystępują do tego aktu z całą powagą, jaką dać może wysokie ich wyobrażenie o bezwarunkowéj cudowności wzmiankowanego środka. Przed przyrządzeniem napoju, przed odbyciem nieuniknionych praktyk i guseł, wybadywują oni pacyenta lub pacyentkę o wszystkie szczegóły, mające jakikolwiek związek z ich usposobieniem, charakterem i przyzwyczajeniami. W osadach więcéj od kulminacyjnego punktu cywilizacyi odległych, w czasie fabrykacyi tego lekarskiego środka jest zwykle obecnym szaman lub jego pomocnik, a zaszeptywanie, inwokacye, czarnoksięzkie praktyki, bez których żadna ważniejsza czynność stepowców obejść się nie może, idą swoim trybem— zupełnie tak samo, jak przy wszelkich innych religijnych obchodach i sprawach kapłanów pogańskich. Przedewszystkiem klacze, z których ma być brane mléko, bywają obkadzane rumiankiem, nabiał przed fermentacyą podlega ceremonii zaklęcia, a gotowy już kumys w butelkach dopóty nie może wyjść z rąk jego tworzycielki, dopóki ta nie otrzyma pozwolenia od upoważnionego w tym celu Tatara. Znający te wszystkie przeszkody Europejczycy, wybiérają zwykle dla uskutecznienia swojéj kuracyi miejscowości bliżéj miast i lu-

dnych wsi położone; tam bowiem obawa władz, nie lubiących w ogóle szamańskiéj kabalistyki, sprawia, że Tatarzy mniéj są pohopni do używania przy leczeniu niepotrzebnych kuglarstw, a nie chcąc odstąpić zupełnie od dawnych zwyczajów i przywyknień, zadawalniają się kilkoma niepostrzeżonemi prawie szeptami.

Wspomniałem wyżéj o zwyczaju zawierania małżeństw pomiędzy Tatarami w bardzo młodym, dziecinnym prawie wieku. Otóż rzeczony zwyczaj ma miejsce bardzo często, ale niezawsze; bywają nawet przykłady łączenia się par podżyłych w lata—w ogóle jednak te ostatnie związki należą do wyjątków.

Wydawanie zamąż małych, niepełnoletnich dziéwcząt, ma, jak się zdaje na celu, zatamowanie demoralizacyi w samych początkach rozwinięcia się jéj; środek ten jednakże nie odpowiada swojemu założeniu. Tam gdzie nie istnieją zasady cnotliwe, gdzie religia jest tylko czczą formą, gdzie poczucie wstydu nigdy nie było udziałem najpiękniejszéj połowy rodzaju ludzkiego, tam złe rozwija się własną siłą, niby chwast na jałowéj ziemi, a wszelkie materyalne przeszkody, stawiane mu na przekór, podbudzają, miasto ubezwładnić, ujemną stronę natury ludzkiéj. Dlatego nigdzie może demoralizacya kobiét nie jest tak wielką jak u tych plemion, w materyalizmie życia pogrążonych.

Demoralizacya ta nie czerpie źródła w chciwości, ale jest poprostu wynikiem obyczajów, naśladownictwa, a najbardziéj zatracenia od najmłodszych lat w dziewicach owéj skromności, stanowiącéj u kobiét obronną tarczę przeciwko złym popędom. Szamani karzący surowo każde uchybienie w zewnętrznéj formie religijnych obrządków, nie zadają sobie trudu naganiać to, co rzeczywiście powinnoby podlegać ich duchownéj kontroli. Opinia publiczna sroży się tylko na skutki, przebaczając każdemu występkowi, który żadnych następstw po sobie nie zostawił, a patryarchowie rodzin, idąc, jak zwykle, ślepo za opinią, zamykają oczy na wszelkie zdrożności, wyjąwszy tych, którym zaprzeczyć nie można. Podobny stan rzeczy wyradza różne chroniczne choroby, i sprzeciwia się szybkiemu rozwojowi ludności inorodców; dziewice

bowiem tatarskie, obawiając się nadewszystko ujawnienia błędu, mają zwyczaj zasięgać rad bab lekarek, które różnemi rozczynami z ziół i traw przygotowanemi, a szkodliwemi jak wiadomo zdrowiu, starają się przeszkodzić działaniu natury.

Z drugiéj strony przyznać należy, iż jeżeli w postępowaniu niezamężnych Tatarek widziéć można w wysokim stopniu rozkiełznane obyczaje, to mężatki, choć nie bez grzechu, daleko rzadziéj i wyjątkowo tylko podlegają złemu. Wypływa to powiększéj części z wyobrażeń tego ludu, mocą których kobiéta uważa się za zupełnie wolną, swobodną i niezależną, aż do chwili zamążpójścia. Tym więc sposobem owo wczesne zawieranie ślubów małżeńskich, chociaż nie jest stanowczą zaporą do ukrócenia zarodów demoralizacyi, może być pojęte jako środek służący ku stosunkowemu jéj zmniejszeniu.

Związki zawierane w późniejszym wieku odbywają się wszystkie przez porywanie. Młody Tatar, upodobawszy sobie którą z dziewic, nie pyta nigdy o zezwolenie jéj ojca, ale zebrawszy drużynę przyjaciół, krewnych i bliższych znajomych, napada nocną porą na jurtę, w któréj mieszka jego ulubiona, i uwozi ją ze sobą. Rodzina wykradzionéj tym sposobem panny, puszcza się za niemi w pogoń, a dognawszy odbija lub téż najczęściéj, zwyciężona, opuszcza plac boju. W piérwszym przypadku, napastnik ustępuje ze wstydem albo czeka innéj sposobności do powtórzenia swéj wyprawy; w drugim obie rodziny godzą się i wyprawiają następnie właściwą uroczystość wesela, połączoną ze wszystkiemi tradycyjnemi obrządkami, a dokonywaną przy współudziale szamana. Najczęściéj przed porwaniem następuje pomiędzy młodemi ludźmi porozumienie się wzajemne, czasami nawet porozumienie to bywa ogólném; a rodzina uwiezionéj Tatarki, wiedząc naprzód o co rzecz idzie, odbywa pogoń i udaną walkę, jako formę zwyczajami uświęconą. Bywają jednak wypadki, że nie tylko rodzice i krewni, ale nawet sama dziewica nie wié o zamiarach przedsiębierczego konkurenta: walka, jaka naówczas przy odbijaniu wykradzionéj ma miejsce, staje się krwawą i zapalczywą, i niejednokrotnie szermierze obu stron wychodzą z niéj ranieni, a nawet ciężko uszko-

dzeni na ciele. W tém ostatniém zdarzeniu siła rozstrzyga kwestyą: chociażby nietylko patryarcha jurty, rodzony ojciec, ale sama nawet zwiérzchność auły była przeciwną zawarciu związków, nic nie zdoła tymże związkom przeszkodzić, gdy ubiegający się pretendent dokonaném zwycięztwem zdobył sobie żonę. Wtedy rodzice jéj, krewni, przyjaciele, radzi nie radzi, zbici częstokroć i pokrzywdzeni, przystępują do obchodu weselnego; a panna młoda, zanosząc się od płaczu, zostaje dozgonną towarzyszką tego, który użyciem przemocy został jéj panem. Zwyczaj jednakże nakazuje, ażeby zwycięzca opłacił ojcu swojéj żony pewien okup w skórach, bydle, koniach lub téż innych domowych sprzętach, odpowiedniéj wartości. Wysokość okupu zastosowaną bywa zwykle nie tylko do urody i wieku panny młodéj, ale także i do okoliczności towarzyszących walce: im więcéj ucierpieli obrońcy porwanéj dziewicy, im dotkliwszemi były razy, które im się w czasie bójki dostały w udziale, tém znaczniejszemi są *sokoly* (danina przynależna teściowi od zięcia). W razie symulowanego porwania, rozmiary sokołów czyli okupu, ustanowione zostają poprzednio pomiędzy obiema rodzinami; jeżeli zaś uwiezienie dziewicy nastąpiło wbrew woli jéj opiekunów, to takowe naznaczane są przez starszyznę auły, i każda ze stron winna bez szemrania i oporu zastosować się do postanowień zwiérzchnictwa (1).

(1) U wszystkich bez wyjątku ludów starożytnych, pan młody płacił rodzicom swéj żony okup za pannę; w późniejszych dopiéro czasach, gdy małżeństwo wyrosło w instytucyą, gdy mężczyzna przestał być władcą i panem, a stał się towarzyszem dzielącym trudy życia ze swoją żoną, okup ten zamieniony został w posag dawany przez rodziców swéj córce. *Sokoły* u Tatarów, *Zarizeban* u Mongołów, *Kalim* u Turków, obecnie w użyciu będące, nie są niczem innem jéno owym okupem kwiatu dziewiczego. U naszych przodków okup ten pod nazwiskiem *Cunagium* (wiano) zniesiony został w r. 1232 przez Henryka Brodatego. Do dzisiejszego dnia jednak posag dawany przez rodziców przy wydawaniu córki za mąż, nazywają niektórzy po staremu *wianem*. Źródłosłowem wyrazu tego jest niezawodnie *wieniec*, czyli opłata jaką za zerwanie dziewiczego wianka, w dawnych czasach pobiérano.

(*Przyp. aut.*).

Barbarzyński ów obyczaj porywania dziewic, połączony zawsze z fizyczném pogwałceniem, wspólny u wielu piérwotnych plemion Syberyi, a nazwany u Tatarów karamczeniem, wspominany już przezemnie w artykule p. t. „Wycieczka po stepach,“ dalekiéj sięga starożytności. U wszystkich ludów w stanie natury żyjących, miało ono miejsce, jako obyczaj wzrosły z ich pojęciami religijnemi, i wynikły ze sposobu ich życia. Uschold i inni badacze przeszłości uważają je za jedyną i powszechną formę małżeństwa; według innych miało ono kosmogoniczne znaczenie, mianowicie było symbolem księżyca i dlatego *jeros gamos* (święte małżeństwo) weszło w obyczaj w postaci religijnéj formy. Vico zaś znowu uważa je za naturalny wynik dzikich wyobrażeń piérwotnych ludzi, naśladujących zwierzęta pustyni leśnéj, w których siła stanowi prawo, a przewaga materyalna bezwzględną sprawiedliwość, i które unoszą zdobycz swoją do legowisk lub jaskiń w głębi skał ukrytych. Naszém zdaniem to ostatnie twierdzenie najwięcéj zasługuje na uwagę. W narowach i charakterze barbarzyńskich narodów, prawa własności nie były szanowane: walki jakie pomiędzy sobą staczali, miały zawsze na celu zdobycie bogatych łupów, lub wzięcie do niewoli licznych branek. Od najdawniejszych czasów, czerpiąc przykłady z mitologii i widząc jak bogowie, zachwyceni wdziękami ziemianek, porywali je i uwozili ze sobą, ludy piérwotne trzymały się téj wygodnéj zasady przywłaszczenia. Czasami wyprawy podobne miały na celu zdobycie całéj ludności żeńskiéj którego kraju np. porwanie Sabinek przez Rzymian; czasami były tylko następstwem pojedyńczych dążności. Jakiż był powód wojny trojańskiéj, jeżeli nie porwanie Heleny przez Parysa? A protoplaści tych plemion, o których obecnie mówimy, w wyprawach swoich na Ruś, Litwę, Żmujdź i Polskę, jakiemiż innemi czynnikami rządzili się, jeżeli nie chęcią zdobycia bogatych łupów, a szczególniéj uwiedzenia w stepy pięknych lackich i ruskich dziewic? Pod prądem więc podobnych wyobrażeń z pokolenia na pokolenie przechodzących, wrosłych w obyczaje, wzmocnionych tradycyą, starożytne ludy wyrobiły w sobie te barbarzyńskie instynkta. Z upływem wieków, z przekształceniem się zewnętrznych

warunków życia, a mianowicie z przeszkodami stawianemi przez urządzenia i wpływ cywilizacyi, rzeczone instynkta musiały ustąpić miejsca prawu słuszności i sprawiedliwości; a to co było zrazu powszechném prawidłem, zamieniło się stopniowo w małoznaczną, zaledwie dojrzaną formę, istniejącą dziś jedynie przy obchodach weselnych piérwotnych plemion Syberyi.

Takimi są obyczaje Tatarów azyatyckich. Co się zaś tycze ich pieśni, obrzędów narodowych i podań, to o tych bardzo mało pozostaje nam do powiedzenia. Pieśń, owa poezya ludów, właściwie pomiędzy nimi nie istnieje: jest ona monotonném wymienianiem nawijających się przed oczy przedmiotów, podobnie jak u Tunguzów. Tak samo jak u piérwszych, widzimy w niéj szereg różnych zmysłami improwizatora objętych szczegółów, idących kolejno jeden za drugim; tak samo gdy rym zwiąże przypadkowo nieprzystające do siebie cząstki wyobrażeń, niéma tam ani ładu ani składu, ani nawet najmniejszego sensu. Podania, tradycye, starożytne legendy, także u tych ludów zasklepionych w materyalizmie życia istniéć nie mogą: jedynym zasobem ich przeszłości jest jakaś postać olbrzymia, tajemnicza, któréj ani nazwać ani określić dokładnie nie umieją. Wspomniałem już kilkakrotnie o tym na w pół bajecznym bohaterze, przechowującym się w pamięci wszystkich niemal dzikich pokoleń Syberyi, a będącym zapewne Dżingishanem, owym zuchwałym i niepokonanym wodzem, pod dowództwem którego nieprzeliczone zastępy hord barbarzyńskich zalewały zachód, niosąc za sobą śmierć i zniszczenie. Otóż w czasie wycieczek moich w stepy tatarskie, pragnąc koniecznie uchwycić jakikolwiek wątek wiążący teraźniejszość tych plemion z ich przeszłością, natrafiłem w jednéj z osad w blizkości granicy chińskiéj położonych na rodzaj podania, które pomimo braku szczegółów, bliższych określeń czasu i miejsca, nazwisk działających osób, nosi w sobie wszelkie cechy narodowéj legendy, na faktach ubiegłego czasu osnutéj. W podaniu tém jak zwykle we wszystkich tradycyach piérwiastkowych ludów Syberyi, tytaniczna postać wodza-bohatera główną odgrywa rolę. Tym razem jednak nie Dżingishan, ale raczéj inny

jakiś azyatycki władca, zdaje się być głównie działającą osobą.

Rzecz się ma jak następuje:

Kiedyś, bardzo dawno temu, wtedy gdy jeszcze Mongolija nie uznawała nad sobą władzy mandżurskiéj, a książęta tatarscy byli potężniejszymi od wszystkich innych książąt na ziemi, (1) jeden z nich najsilniejszy i najmędrszy pomiędzy nimi, upokorzył naczelników licznych pokoleń, i przymusił ich do składania sobie daniny, jakotéż do udzielania czynnéj pomocy, w razie wojen z innemi ludami. Nietylko Jenisejskie stepy, nie tylko prowincyje nad Irtyszem i Obą znajdujące się, ale nawet i kraje Urachajców i Uranhutów (dzisiejsza Mongolija), przyjęły zwierzchnią władzę tego potentata, spełniając z pokorą każdy jego rozkaz. A bohatér to był jakich mało: i silny, i groźny, i sprawiedliwy zarazem. Ogromnego wzrostu, posiadający moc niezrównaną, wyrywał z korzeniami tajożne cedry i używał ich jako broni odpornéj; gdy zmarszczył gęste brwi, pod któremi błyszczały ogniste oczy, wszystko co żyło drżało z przestrachu, gdy wydawał wyroki, niezliczone narody dziwiły się jego roztropności.

Potężny ten władzca miał żonę przedziwnéj urody: dobra ona była, potulna i łagodna, ale uśmiech wesołości nigdy nie zawitał na jéj ustach. Cudna jéj twarz przedstawiała się jakoby noc księżycowa, urocza lecz smętna zarazem. Każdy kto ją ujrzał, zachwycony wdziękami téj gwiazdy północy, nie mógł bez boleści patrzéć na ponurą melancholię, która niby czarna chmura zawisła na czole władczyni. Wielki wódz, kochający nadewszystko swoją małżonkę, trapił się jéj smutkiem, témbardziéj że ta posępność nie miała żadnéj innéj przyczyny jak tylko naturalne, a niczém niezwalczone usposobienie. Księżna ze swojéj strony, dając mu w każdéj chwili tysiące dowodów przywiązania, postanowiła być wesołą, ale to przechodziło jéj siły. Żądać ażeby ów smutek osiadły na wieki w jéj rysach ustąpił miejsca promieniejącemu uśmiéchowi, było to samo co chciéć blasku słońca uroczéj, lecz owładniętéj półcieniami nocy letniéj.

(1) Ma się rozumiéć podług brzmienia legendy. (*Przyp. aut.*).

Ile ku zwalczeniu tego usposobienia było użytych środków, wypowiedziéć trudno. Na rozkaz przywiązanego małżonka wyszukiwano najpocieszniejszych trefnisiów, sprowadzano z Mongolii najznakomitszych w swym fachu zigów, ale wszystkie ich sztuki, facecye, kuglarstwa, nie odnosiły pożądanego skutku. Smutna pani (tak ją bowiem wszędzie nazywano), patrzyła na hece przed jéj oczami wyprawiane, słuchała dowcipów wygłaszanych przez etatowych komików pustyni, a posągowe jéj, jakby z jednéj płyty marmuru wykute oblicze, nie ożywiało się objawem zadowolenia. Zrozpaczony tém niepowodzeniem książę, kazał ogłosić po wszystkich krajach władzy jego podległych, że ktokolwiek z hołdowników zdoła rozweselić ubóstwianą żonę, dostąpi najwyższych godności i znaczenia. Zjeżdżali ze wszystkich stron hanowie i wielkorządcy, wymyślali przeróżne koncepta, ale usiłowania ich rozbijały się o nieprzezwyciężony niczém smutek władczyni.

Doprowadzony do ostateczności małżonek, nie wiedział co daléj począć. Za jeden uśmiéch, rozpromieniający te cudne lecz martwe rysy, oddałby połowę swych krajów, a uśmiechu tego niczém wywołać nie umiał! Bijąc się tak ze swojemi myślami, powziął w końcu zamiar nadzwyczajny, dziwny, niepojęty prawie, zamiar mogący się tylko wyrodzić w wyobraźni tatarskiego księcia podbiegunowych stepów.

Od niepamiętnych lat zwyczajem było w państwach azyatyckich, że w razie wybuchnięcia niespodzianéj wojny, najścia nieprzyjaznych plemion, rozniecano ogniska na wszystkich górach, w celu zgromadzenia zbrojnych hufców hołdowniczych kniaziów: i tym sposobem wieść o wojnie, obiegając po całym kraju, najodleglejszych jego krańców dosięgała. Otoż potężny władca kazał jednego razu sporządzić takie ogniste sygnały, co gdy wykonano, niebawem ze wszystkich stron nadciągać zaczęły liczne hordy jezdnych i pieszych wojowników ze swojemi hanami i wielkorządcami prowincyi na czele: byli tam i Mongoły, i Sajańcy, i północni Tatarzy, i Kirgizy stepowe; wszystko to szło, płynęło z różnych punktów, niby fale rzek zbiegających się do morza. Zadziwienie tych hufców dążących na wojnę, a znajdujących niespodzianą

mistyfikacyę, musiało tchnąć niezrównanym komizmem, kiedy smutna pani na ów widok wybuchła nieznanym jéj dotąd śmiéchem — śmiechem, który do jéj piękności dodał tysiąc nowych uroków.

Uradowany powodzeniem swojego wymysłu książę, używał go potém niejednokrotnie dla rozśmiészenia swéj żony, narażając przytém wierne swe wojska na niepotrzebne trudy i znoje. Przyszły nareszcie dla niego nader ciężkie czasy, gdy w kraje północne wtargnęły liczne zastępy Mandżurów, niosących śmierć i zniszczenie, grabiących dobytek domowy, uwodzących bogate stada koni, owiec i bydła. Widząc zagrażające zewsząd nieszczęście, otoczony niebezpieczeństwami wszelkiego rodzaju, władca tatarski uciekł się w téj ostateczności do zwykłych sygnałów wojny: na rozkaz jego wszystkie góry i wzgórza płonące ogniem w mgnieniu oka rozniosły wieść trwogi po całym kraju, ale tylekroć już bałamuceni książęta i wasale, nie stanęli tym razem do obrony swojego pana, a on zginął marnie, opłacając swém życiem płochy żart, jakiego, dla wywołania uśmiéchu na licu ubóstwianéj małżonki, był sobie pozwolił.

Oprócz téj opowieści, którą zresztą także i u Mongołów napotkać można, Tatarzy żadnych innych podań nie mają. Kilkakrotnie zasiadłszy przy ognisku w jurcie, trzymając szklankę aryaszu w ręku, lub przyjmując od patryarchy fajkę, owo godło gościnności i wzajemnego pobratania się, chciałem skorzystać z téj chwili przyjaznego ich usposobienia, i wybadywałem na różne sposoby otaczających mnie inorodców, ale wszelkie przedsięwzięte w tym celu usiłowania rozbijały się o grubą niewiadomość tych ludów co do szczegółów historyi stepów północnych. Zdają się oni nawet dziwić, że ktokolwiek może zajmować się przeszłością: w ich przekonaniu to tylko ma wagę i znaczenie, co jest—ubiegłe zaś czasy, które nigdy nie powrócą, nie zasługują nawet na wspomnienie.

Pomiędzy Tatarami osiadłymi na stepach graniczących z Minusińskiem, mieszka jeden, odznaczający się wyższém od swoich współbraci wykształceniem. Karki (przezwany z rossyjska Karkinem), jest niezawodnie najzamożniejszym

obywatelem pustyni: bogactwa jego w koniach, wołach, futrach, srébrach, a nawet gotówce, są uważane za bajeczne prawie; przyczém zapewne fantazya ludowa, jak to zwykle w podobnych razach bywa, podwyższa rzeczywiste zasoby tego podbiegunowego Krezusa. Z wspomnionym Tatarem łączą mnie blizkie stosunki życzliwości; kilkakrotnie odwiedziałem go na stepach w jego bogatéj ze wschodnim zbytkiem urządzonéj jurcie, a on ze swéj strony nie omieszka nigdy pominąć skromnéj mojéj izdebki. Otóż pojęcia europejskie tego inorodca, wpływ jaki wywiera na swoich współbraci, a szczególniéj powiérzchowne, lecz wybiegające po za sferę powszechnego ignorantyzmu wykształcenie, dawało mi nieraz nadzieję, że on będzie dla mnie główną pomocą do osiągnięcia poszukiwanego od lat tylu celu: zbadania przeszłości i obznajmienia się z historyą dzikich plemion północy. Próżne iluzye! Karki, sądzący zkądinąd zdrowo o rzeczach, uważający szamanizm jako zabytek barbarzyński, pojmujący potrzeby spółeczne, nie tylko nie może ale nie chce wnikać w ubiegłe dzieje swego narodu. Wszelkie na tém polu przedsięwzięte usiłowania, uważa on jako dziecinną do żadnego rezultatu doprowadzić nie mogącą igraszkę. Pozytywność jest dla niego wszystkiém: szperanie w zastygłém życiu równa z rozgrzebywaniem zagasłych popiołów. To co się już raz stało, odstać się nigdy nie może; a idea postępu, za którą przemawiać lubi, chociaż jéj w gruncie rzeczy nie praktykuje, sprawia, że w jego przekonaniu zagłębianie się w przeszłość, ciemnoty, i samowoli, i różnego rodzaju bezprawi, nie jest przykładem dla następnych pokoleń, ale tamą wstrzymującą wszelkie usiłowania dla cywilizowania ludów przedsięwzięte.

Jeżeli wspominam o tym fakcie, to głównie dlatego, ażeby wytłumaczyć się przed czytelnikiem, i wyjaśnić przyczynę, dla któréj studya moje tak mało dotykają historyi ubiegłych czasów. Etnografia wprawdzie czerpie swoje zasoby w teraźniejszości, ale przeszłość powinna być dla niéj podstawą, na któréj opiérają się motywa przedstawionych charakterów; źródłem, z którego płyną wszelkie początki opisanych obyczajów, narowów, zajęć. Najdrobniejsze szczegóły: ubiór, sposób budowania piérwotnych mieszkań, mało-

znaczne na pozór obrządki, wszystko co tylko wiąże się z etnografią narodów, ma swoje powody, a powodów tych szukać należy w odległéj, pomrokiem wieków zakrytéj historyi. Gdy tego gruntu nie stanie pod nogą, nader trudném są zadaniem dla badacza, wszelkie studya na tém polu przedsięwzięte: przymuszony on jest częstokroć wyprowadzać swoje wnioski z przyczyn nieznanych, niepostrzeżonych prawie, wyszukiwać źródeł oddawna zaschniętych, odgadywać instynktem nieledwie powody przedstawiających się zmysłom jego faktów.

Przedstawiwszy szereg tak mało znanych na kuli ziemskiéj plemion — plemion, którym w historyi ludów krótkie zaledwie poświęcono wspomnienie, wypada koniecznie wynaléźć wątek, łączący wzajemnie pomiędzy sobą te różnorodne szczepy. Protoplaści opisanych przez nas ludów: Mandżury, Mongoły, Kirylcy, staro-Kamczadale, Finnowie, należeli do zupełnie odrębnych ras, a przecież w obyczajach, obrządkach, i ubiorze wszystkich pokoleń azyatyckich, zachodzi pewne powinowactwo. Sąsiadowanie tych plemion pomiędzy sobą na krańcowéj północy Azyi, nie mogło miéć wpływu na ich wzajemne zbliżenie się, albowiem puste obszary Syberyi są tak niezmierne, że częstokroć te rozrzucone po śnieżnych przestrzeniach ludy nie wiedziały nawet o istnieniu innych pokoleń; handel i przemysł, owe łączniki odległych narodów, były im zupełnie nieznane, komunikacye z powodu braku dróg i przeszkód jakie stawiały olbrzymie rzeki, i nieprzebyte pustynie leśne, stawały się niemożliwemi, wojny, które pomiędzy sobą prowadzili, musiały ograniczać się w danych miejscowościach: jedném słowem, wszystkie niemal warunki zobopólnego zetknięcia się, miejsca miéć nie mogły. Jakież więc przyczyny były powodem niektórych wspólnych cech, zauważanych przez nas we wszystkich niemal odroślach dzikich szczepów północy? (1)

---

(1) Cechy wspomnione ograniczają się do niektórych obyczajów, obrządków, a czasem i ubioru. Charaktery albowiem różnorodnych plemion Syberyę zamieszkujących, zupełnie różnią się pomiędzy sobą. (*Przyp. aut.*).

Ażeby na to pytanie odpowiedziéć, należy sięgnąć w odległą przeszłość, i wspomniéć choć pobieżnie o początkach szamanizmu.

Szamanizm jest bezwątpienia jedną z najstarszych religii na ziemi. W czasach przedhistorycznych, w kolébce świata, czarna wiara krzewiła się na wschodzie i na południowych krańcach Azyi, a mianowicie w Indyach; główném jéj siedliskiem był kraj za Attokiem i Peszawarem położony, czyli doliny od zachodnich stoków Indu-ku, w kierunku mórz aralskiego i kaspijskiego, także Iran (dzisiejsza Persya) i Turan (dzisiejsze kraje kirgizkie). W Egipcie nawet, który, względnie do innych ówczesnych narodów słynął z oświaty, rękodzieł i przemysłu, magia nie zdaje się być niczém innem, jak tylko upiększonym zewnętrznemi formami, i podniesionym niektóremi wynalazkami do stopnia nauki, szamanizmem. W Chinach starożytna religia Tao-see istniejąca przed Konfucyuszem, posiadała wszystkie cechy czarnéj wiary. Jedném słowem wyznanie to, mając swe siedlisko u alofickich plemion, panowało w całéj południowéj i środkowéj Azyi, aż do krańców Mongolii i prowincyi Stetun-tsin.

Podnóża gór Bohur, wychodzących z Indyi, są centrum wszystkich plemion azyatyckich; pragnąc w ciemnościach zakrywających dziś swą pomroką przeszłość historyczną tych ludów, dopatrzyć jakiegokolwiek światełka, należy szukać źródła w tym punkcie. Miejscowość ta, samém geograficzném swojém położeniem, odpowiada powyższym warunkom. Cztéry olbrzymie rzeki biorące tam swój początek, i płynące na cztéry strony świata, dzielą Azyą na tyleż części. Na północ płynie Irtysz wpadający do morza Lodowatego, na południe Kabul łączący się z Sindem, wpadający do morza indyjskiego, na wschód Żółta rzeka państwa chińskiego, mięszająca swe nurty z oceanem Wschodnim, na zachód Osz (dzisiejsza Amu-Darya) łącząca się z morzem aralskiém. Tym więc sposobem starożytna Azya, podzielona geograficznie na cztéry części z cztérema piérwotnemi plemionami: mandżurskiém, indyjskiém, czuckiém, mongolskiém, mającemi swą historyę, posiada i ową kolébkę dziejów, do któréj zwracać się muszą wszelkie badania nad ubiegłemi wiekami. Chcąc domniemy-

wać się choć w przybliżeniu o początkach innych szczepów i odrośli azyatyckich narodów rozsianych na północy, a niezachowujących żadnych śladów przeszłości ani w księgach ani téż w tradycyach, nie podobna pominąć tego źródła. Rękopisy sanskryckie, odwieczne druki chińskie, podania dzisiejszych Persów i Kirgizów, były zawsze jedyną podstawą dla poszukiwaczy historycznych w tym ciemnym, że się tak wyrażę, kopalnym okresie chamickiego plemienia. Co do Syberyi, to słaby wątek jéj dziejów, łączący się z dziejami innych części składowych Azyi, odnieść jedynie można do stopniowego parcia szamanizmu z południa na północ, wtedy gdy nowo powstające wyznania, rozszerzając koło wyobrażeń miejscowych, niepozwalały zadawalniać się grubym materyalizmem i formułkową kabalistyką czarnéj wiary.

W owych wiekach piérwotnych, których żadną datą oznaczyć niepodobna, toczyły się straszne, krwawe, i długo trwające wojny na południu Azyi pomiędzy Irańczykami i Turanami. Turanie pod ogólném mianem Scytów (1) napadali na Persyą, Chaldeę, wrywali się nawet do Egiptu; historya chińska nie ubogą jest także w fakta świadczące o bezprawiach, dokonywanych przez te złowrogie i niesyte podbojów hordy. Irańczykowie w jałowych pustyniach Turanu widzieli kraj ciemnoty, siedlisko wszelkiego złego, państwo Arimana (złego ducha); główną polityką Persów, a następnie Persogreków było wypędzenie tych protoplastów kirgizkich za rzekę Syrr czyli Jaksart, i oddzielenie ich od reszty ludów, południowe strony Azyi żamieszkujących, nieprzebytą zaporą. Co gdy po licznych bojach dokonali, jedyném ich zadaniem stało się przekształcenie moralne, i oswobodzenie od szamanizmu; któréj to wierze, zważywszy, że podjęte walki i napady w imieniu czarnego boga były dokonywane, wszystko

---

(1) Sławne państwo scytyjskie, o którém mówi historyk Justyn, że „non minus praeclara initia quam imperium habuit,“ znajdowało się wprawdzie nad morzem Czarném, lecz wszystkie ludy zamieszkujące południowo-zachodnie części Azyi, zwane były powszechnie Scytami. *Przyp. aut.*

złe przypisywali (1). Wtedy to zapewne w Turanie i nad brzegami Gangesu wyrodziła się starożytna religia Bramy. Szamanizm, party przez braministów, ustępować musiał przed przewagą, jaką daje moralna wyższość wyobrażeń (2). Parcie to następowało zwolna, stopniowo. Wyznawcy czarnéj wiary, nie mogąc znaleźć spółczucia u krzewicieli zasad trasfiguracyi dusz, posuwali się nieznacznie ku północy. Stacye odwiecznéj drogi handlowéj łączącéj Indye z wschodnią Syberyą: Chizar, Chiwa, Buchara, Kokand, Taszkent, zamieszkałe przez ludność pochodzenia perskiego, zachowują w podaniach swoich ślady téj peregrynacyi. Swastiki (talizmany sanskryckie), rodzaj hieroglifów na płaskich kamieniach wyrytych (3), napotykane obecnie wzdłuż wspomnionéj linij, stanowią materyalny dowód postępu południowców, jak również ślady obon (cmentarzy pogańskich), oznaczają ustępowanie szamanistów przed napiérającym ich żywiołem.

---

(1) Boje Irańczyków z Turanami w księgach indyjskich Vedas noszą nazwę walk bogów: czarnego (Arimana) i białego (Ormuzda). Sanskryckie te nazwania odpowiadają imionom Szamy i Si, przez inorodców syberyjskich nadanych dwom przeciwnym potęgom.

(2) Religia Bramy, jakkolwiek ciemna i stosunkowo do nierównie późniéj (504 lat przed Nar. Chr.) powstać mającego wyznania Buddy, barbarzyńska—góruje przecież nad szamanizmem ogólnemi swemi pojęciami. Niéma już tam téj siły czarnéj, w imieniu któréj wszystkie zbrodnie mogły być bezkarnie popełniane. Niektóre wyobrażenia duchowe, choć pokryte powłoką materyalizmu, zaczynają kiełkować. W każdém ciele znajduje się materya subtelna, rodzaj pary, opuszczająca je przy rozkładzie i wchodząca następnie w inną organiczną istotę. Palenie ciał zmarłych, ma na celu ułatwienie tego procesu chemicznego. To coś, które wprawdzie ludzie obdarzeni subtelnemi zmysłami widzieć i słyszéć niekiedy mogą, daje piérwsze ciemne i niezrozumiałe pojęcie o duszy, pojęcie, o jakiém w szamanizmie przybliżonego nawet zarodu znaleźć nie można.

(3) Swasti, znaczy po sanskrycku błogosławieństwo, ztąd wyrazem Swastika oznacza się poświęcenie mistyczne jakiego przedmiotu. Niektóre z tych hieroglifów mają formę odciśniętej stópki dziecięcéj, wielu zatém z wyznawców indyjskiéj wiary uważa je za widome oznaki wędrówki cudownych dzieci, natchnionych duchem mędrca i głoszących po świecie prawdy religijne. *Przyp. aut.*

Gdy z upływem wieków na ruinach braminizmu pojawiła się nowa religja Buddy, gdy książę indyjski Siderta (Sakya-Muni) zaczął głosić tajemnice nirwany, szamanizm cierpiany jeszcze tu i owdzie, stanowczéj doznał klęski. Szybko rozszerzające się nowe pojęcia przekroczyły Himalaje, krzewiły się nietylko na wyspach aleuckich, ale i w całém państwie Niebieskiém. Wiara, któréj celem spokój, środkami cierpliwość, a zasadami łagodność, nie mogła pogodzić się z wyznaniem czarodziejstwa, nacechowaném krwawemi ofiarami Chamitów. Nie mając gdzie się podziać, szamaniści zalegli lodowe krańce północnéj Azyi i Europy (1): niektórzy z nich dotarli aż do skalistych brzegów Skandynawii, rozpostarli się wzdłuż morza Białego, a plemiona fińskie (Lapończycy, Samojedy i t. d.), uległy wpływowi ich religijnych wyobrażeń; inni osiedlili się w Syberyi, oddziaływając na koczujące tamże dzikie hordy inorodców.

Co się działo w owych przedhistorycznych czasach na Syberyi, jakie plemiona zaludniały jéj śnieżne przestrzenie, nikomu nie jest wiadomo. Przypuścić jednak należy, że podbiegunowcy ci żyli w stanie niemal zwierzęcym, nie posiadając żadnych pojęć jakiegokolwiekbądź wyznania. Przypuszczenie to opiéramy na łatwości rozkrzewienia się szamanizmu w tych krańcowych stronach. Czarna wiara, poczytywana za dziką, złowrogą i niedołężną przez wszystkie południowe i środkowe ludy Azyi, przyjętą tu została bezwarunkowo. To co nad brzegami Gangesu i Pei-ho, na wyspach aleuckich, w Turanie i Samarkandzie, uważanem już było za zabytek barbarzyństwa, powitano jednozgodnie na północy jako postęp, ulepszenie i zaród nowego życia. Domniemywać się także można, że w starożytnéj epoce żyły tylko na Syberyi plemiona pochodzenia czuckiego, fińskiego, kurylskiego i staro-kamczackiego, a dwa najliczniéj dziś re-

---

(1) Pozostali do dzisiejszego dnia prozelici czarnéj wiary na południu Azyi, są tylko nielicznemi szczątkami przeszłości;—Syberya albowiem stała się ostatecznym krańcem, na którym znaleźć jeszcze można w znacznéj liczbie plemiona zachowujące obrządki do tego wyznania przywiązane. *Przyp. aut.*

prezentowane pokolenia: mongolskie, z którego powstały szczepy Tatarów, Jakutów, jakotéż mandżurskie, wydające z siebie Giliaków, Sajańców i Tunguzów, napłynęły z zachodu i południa, w czasie wyżéj wzmiankowanych przeobrażeń religijnych, i pomięszawszy się z odwiecznemi rasami północy dały początek tymże odroślom. Nie mogąc się opiérać ani na historyi, gdyż ta zupełnie nie istnieje, ani uchwycić najmniejszego wątka tradycyi ludowéj, wszystkie przypuszczenia wyprowadzamy z zewnętrznych typów badanych przez nas narodów, równie jak ze szczegółów dziejowych południowéj Azyi, i kilku zabytków mongolskich, jak np. księdze o Bogdohanie (1), któréj wszystkie imiona własne są pochodzenia sanskryckiego i zdradzają tym sposobem wspomniane wędrówki ludów. Mandżurya i Mongolia stanowiły przed kilkunastu wiekami dwa potężne mocarstwa; stosunki ich z krańcową północą musiały być nader ograniczone, albo pewniéj jeszcze nie istniały wcale: duma rodowa piérwszych i potęga wojenna drugich, nie dozwalały im łączyć się z dzikiemi hordami rozpiérzchłemi wśród śnieżnych step bieguna; jeżeli więc znajdujemy obecnie w piérwiastkowych syberyjskich plemionach, wiele ras mandżurskiego i mongolskiego pochodzenia, to początek ich powstania odnieść należy do owego parcia z południa na północ prześladowanego szamanizmu, przez wyznawców Bramy dokonywanego.

Szamanizm więc, zaaklimatyzowawszy się w Syberyi, przetrwał tam wieki, nie zmieniając w niczém piérwiastkowéj swojéj formy, ani barbarzyńskich wyobrażeń. Po strupieszałości rozsypujących się w proch kości Obon, widziéć można, że początki jego na północy nadzwyczajnie odległych sięgają czasów, i odpowiadają epoce powstania i rozszerzenia się buddaizmu w południowéj i środkowéj Azyi (2). Wszystkie najdziksze obrzędy tego strasznego wyznania, jak np. krwawe ofiary z ludzi, nakazywanie samobójstw, bolesne i obrzydli-

---

(1) Księga mongolska o Bogo-Gesser-hanie znana powszechnie przez uznanych orientalistów niemieckich (*Nomadische Streiereien* 4-er Band), wydaną została w Petersburgu w r. 1836 przez profesora Szmidta.

(2) *Revue des deux mondes, LVII, str. 615.*

we tatuowanie ciał, przechowały się tam bez żadnéj zmiany aż do końca zeszłego stulecia, i ustąpiły dopiéro w części wpływowi cywilizacyi rossyjskiéj. Ślady tych ofiar znajdujemy dziś jeszcze w mogiłach obon tatarskich, w obyczajach gilliackich; zabytki zaś tatuowania ujrzéć można obecnie nawet na twarzach starców tunguzkich.

Na każdym niemal kroku, wskazówki okropnéj przeszłości, niby widma złowrogie, stają nam przed oczy jako dowody wiekowego zezwierzęcenia podbiegunowych ludów. Od brzegów morza Białego aż do pasm gór sajańskich i ałtajskich, od podnóża Uralu aż do Kamczatki, szamanizm wypisał niezatartemi głoskami swoje istnienie; dziwić się zatém nie można, że ohydna ta wiara, najstarsza może ze wszystkich wyznań na kuli ziemskiéj, utrzymując tak długo pod swoim wpływem rozliczne plemiona Syberyi, nadała im, pomimo różności pochodzeń, charakterów i sposobu życia, pewne ogólne cechy. Wspólność niektórych religijnych obrządków, a szczególniéj bezwarunkowa uległość dla kapłanów pogańskich, są przyczyną utworzenia owego łącznika, spajającego nader subtelnemi i zaledwie dojrzanemi ogniwami rozrzucone po stepach syberyjskich ludy. Wszędzie dwa przeciwne działania złego i dobrego Boga, rządzą losami świata; wszędzie piérwszy z nich obudza więcéj czci i poszanowania swoją szkodliwością, niżeli drugi swoją opieką i miłosierdziem. Na każdym punkcie tych niezmiernych stepowych obszarów inorodcy, zastępując ślepém przywiązaniem do czarnoksięzkich praktyk duchową stronę wyobraźni człowieka, wielbią złe jako siłę, ciemność jako potęgę, religią jako grozę. Czysta miłość chrystyanizmu, bezwarunkowy spokój buddyjski, a nawet owo staranie wyswobodzenia ducha z więzów ciała przy transfiguracyi wyznania Bramy, zastępuje w nich przestrach i obawa przed złowrogą mocą złego, które podobne do długotrwałéj zimy stref podbiegunowych, osłania czarnym całunem duchową część ich istot, przytłumiając tlejące w tajnikach duszy iskierki miłości, popędu ku dobremu, uznania praw społecznych. Pojawiające się tu i owdzie objawy wystąpienia z tego, wiekowym obyczajem uświęconego koła ciemnoty, są tak małoznaczne, drobiazgowe i powiérzchowne.

iż służyć mogą tylko jako wskazówki, iż stagnacya utrwalona przywyknieniami całego szeregu stuleci, może kiedyś ustąpić miejsca więcéj zgodnym z zasadami postępu pojęciom.

Jeżeli jednak na tych kresach organicznego świata, nie mających ani historyi, ani podań ludowych, trudno jest zbadać tajniki przeszłości, cięższém nierównie staje się zadaniem, określenie choć w przybliżonych fazach epoki, w któréj ciemnota ustąpi miejsca światłu, a dzikie obyczaje prawom na miłości bliźniego i potrzebie rozwoju społecznego opartym. Śmiało jednak powiedzieć możemy, my, od lat tylu zamieszkujący te pustynie, badający obyczaje, nałogi i sposób życia piérwotnych azyatyckich narodów, że błogie te czasy odrodzenia nastąpią wtedy, gdy skutki reorganizacyi imperium rossyjskiego dosięgną i tych śnieżnych obszarów, gdy świst pary poniesie za sobą napływ idei ciepłem żywotném tchnących, gdy ostatni szaman, znikając z powiérzchni ziemi, pozostanie tylko smutném wspomnieniem, gdy wreszcie słudzy Chrystusa, poczuwszy swe wielkie i święte obowiązki, pójdą pomiędzy owe barbarzyńskie hordy z krzyżem i ewangelią w ręku, głosić prawdy czerpiące źródło w miłości Boga i bliźniego, w przebaczaniu wzajemném uraz, i w udoskonalaniu się moralném człowieka.

Odrębne warunki społecznego bytu, klimat, oddalenie od ogniska oświaty europejskiéj, sprawiają, że klasa rolnicza w Syberyi odznacza się zupełnie oddzielnemi, właściwemi sobie cechami.

Wprawdzie nie posiada ona prawie żadnéj przeszłości Ojcowie a najwięcéj dziadowie obecnie żyjących, zesłani lub dobrowolnie osiedli, przybyli wszyscy z dalekich stron, przynosząc z sobą różnych ziem i prowincyj obyczaje; ale Syberya ma to do siebie, że osiedlających się pośród jéj lodów i śniegów ludzi zmienia nie do poznania, a wszystkie przeniesione z odległych okolic przymioty, wady i narowy, redukuje do jednéj ógólnéj normy.

Czy przyczyną tego, że się tak wyrażę, prędkiego zsybiryaczenia napływowych plemion jest działanie klimatu, czyli téż zupełnie odmienne warunki społecznego bytu, czyli wreszcie trudność bezpośrednich komunikacyj z piérwotną

rodzinną kolébką, trudno powiedziéć; to tylko jest rzeczą pewną, że nietylko narody jedno plemienne, ale nawet Niemcy, Francuzi, Szwedzi, zamieszkujący przez długi czas Syberyą, utracają stopniowo piérwotne swoje charaktery i przyjmują wszystkie obyczaje téj ziemi.

Cóż dopiéro mówić o włościanach, klasie prostéj, bez wykształcenia, którzy zrodzili się i wzrośli pośród tych śniegów, i przywykli od najmłodszych lat uważać tę ziemię za swoją ojczyznę. Wady ich, skrystalizowane w oddzielonéj od reszty świata miejscowości, nie dądzą się skruszyć dobroczynnym wpływem moralnéj nauki: w religii widzą tylko jéj formę, otoczenie, w którém żyją stawia im w każdéj chwili złe przykłady przed oczy, a przymioty, jakiemi uposażyła ich natura, nie mogą się rozwinąć w dobrym kierunku, ciśnione ciągle atmosferą tradycyi występku, przechodzącéj z ojca na syna, od zesłanych początkowo za różne przewinienia przodków.

Przebiegłość do najwyższego stopnia posunięta, ogromne zdolności, przy zupełnym braku cnotliwych uczuć, rozprzężenie obyczajów, jakotéż wiara w gusła i zabobony, oto są ogólne cechy wyróżniające syberyjskiego włościanina.

Przebiegłość ta i chytrość, którą po części wyssali z krwią zesłanych matek, po części przejęli od blizkich Chińczyków i Mongołów, jest tak wyrafinowaną, że najostrożniejszy i najobrotniejszy Europejczyk w interesie z nimi, zawsze zostanie oszukanym i wyprowadzonym w pole. W handlu umieją oni przybierać wszelkie pozory dobrodusznéj perswazyi, korzystać z najmniejszéj okoliczności, pochlebiać, potakiwać, i w końcu zawsze dopiąć swojego. Jedynemi szkopułami, o które rozbija się niesłychana ich bystrość, jest naprzód nałóg pijaństwa, a potém bezwarunkowe przywiązanie do wszelkich zabobonów; dlatego téż drobni kramarze, jeżdżący z towarami od wsi do wsi, którzy są także po większéj części Syberyakami, nigdy nie przystępują do interesu bez uprzedniego postawienia na stole sporéj butelki wódki, a gdy im się nie powiedzie ten środek, udają się do piérwszego lepszego gusła, i tym sposobem zdołają zawładnąć umysłem przesądnego mużyka.

Że zaciemniony alkoholicznemi wyziewami umysł da się z łatwością pokonać, to jest rzecz nader prosta; dlatego téż poczęstunek gra zwykle główną rolę przy wszystkich interesach, w których ten z szermierzy wychodzi zwycięzko, który ma mocniejszą głowę, lub téż zręczniéj umiał wylé- wać na ziemię niewypróżnione kieliszki.

Rzeczywiście ciekawym jest sposób korzystania z wiary prostego ludu w zabobony.

Wędrujący kramarz posiada zawsze mnóstwo cudownych przedmiotów, jak np. amuletów, widełków do przyciągania obojętnych, szkiełek strzegących od uroczego wzroku, kré- dy do kreślenia kabalistycznych znaków, których sprzedaż przynosi mu znaczne zyski. Szarlatani, zwykle wypędzeni za nałóg pijaństwa gminni pisarze, lub téż zesłani na osie- dlenie oszusty, włóczą się po wsiach, zamawiając owady w izbach, myszy i kobyłkę (rodzaj szarańczy) na polach, a zarazem lécząc cudownemi środkami wszystkie słabości i choroby. (1)

Ażeby dać wyobrażenie do jakiego stopnia wiara w nad- przyrodzone zjawiska zaślepia ich umysły, przytoczę nastę- pujące zdarzenie.

W czasie mieszkania mego na wsi, pragnąc miéć w ka- żdéj chwili zdawkową monetę na zakupywanie niezbędnych do życia potrzeb, zmieniałem zawsze kilka rubli na miédź, którą wsypywałem do ogromnéj skórzanéj rękawicy, otrzy- manéj przy przechodzie przez Tobolsk. Z téj rękawicy czerpałem w miarę potrzeby, a gdy zasób znajdujący się w jéj wnętrzu ubywał, przemieniony na drobne papiérek bankowy, dopełniał braku.

Przychodzili do mnie włościanie lub ich żony z różnemi wiktuałami domowego gospodarstwa; targowałem, kupowa- łem, a płacąc, sięgałem nieodmiennie do owéj skórzanéj, przez skarb mi podarowanéj rękawicy.

---

(1) Dowcipne sposoby, używane przez szarlatanów w celu wyłu- dzenia grosza od mieszkańców Syberyi, opiszę może w oddzielnym ar- tykule. (*Przyp. aut.*).

Jeden z mużyków, który częściéj od innych przynosił mi zapasy żywności, zapytał pewnego razu:

— Wytłumaczcie mi, co to znaczy, że wy niczém się nie zajmując, nie pracując w roli, w handlu, ani w rzemiośle, macie zawsze piéniądze. Zkąd je bierzecie?

— Ja mam niewiele piéniędzy, odrzekłem; cały mój skarb ta oto rękawica.

— A jak się wypróżni, to co będzie?

— Ona się nigdy nie wypróżni. Przypomnij tylko sobie, jak dawno do mnie przychodzisz z różnemi do sprzedaży przedmiotami, zawsze z niéj czerpię, a ona zawsze jest pełną.

— Prąwda, rzekł mużyk, zawsze z niéj bierzecie, a nigdy nie braknie.

— Bo to jest cudowna rękawica, dodałem. Jeden stary a bardzo mądry człowiek, podarował mi ją w Moskwie. Ma ona tę własność, że gdy znajdujące się w niéj piéniądze są na schyłku, napełnia się znowu sama przez się, i tak zawsze aż do końca świata.

— Hospodi pomiłuj! zawołał chłop, żegnając się kilkakrotnie.

Mówiłem naumyślnie tak, ażeby odwrócić uwagę pytającego od prawdziwych moich zasobów, które chowałem w pugilaresie. Wrazie kradzieży, o jaką w tych stronach nie trudno, mużyki wezmą się do rękawicy, a wiara ich w cudowność, ochroni mnie od dotkliwego ubytku. Ale nie sądziłem nigdy, ażeby wybieg mój wywołał tak niespodziewany skutek, jak ten który nastąpił.

Włościanin, zamyśliwszy się głęboko nad tém co mu powiedziałem, wyszedł, lecz tegoż samego dnia jeszcze powrócił zapraszając w gościnę do siebie. Widząc, że zaproszeni nie przyjmuję, wyjął z zanadrza butelkę nalewki, prosząc usilnie, ażeby z nim wypić.

Znałem ja dobrze ich przywiązanie do miłego grosza, i wiedziałem, że częstować za darmo nie lubią; widocznie więc w tém wszystkiém był jakiś cel ukryty.

Cel ten wyjaśnił się wkrótce.

Kiedy nowo przybyły, po długich namowach, przekonał się, że w żaden sposób nie zdoła mnie skłonić do kieliszka, odpiął swój chałat, wyciągnął powoli głęboko schowaną szmatę i rozwiązawszy takową wyjął z niéj kilka biletów bankowych.

— Oto jest piętnaście rubli srebrem, rzecze, kładąc piéniądze na stole; weźcie je, one wasze.

— Jakto moje?

— Wasze, powiadam. Ja od was kupuję ową skórzaną rękawicę; co się macie trudzić z miedzią, to podły piéniądz, on tylko zabrudzi wam ręce. Bumażki to nie kopiéjki, a piętnaście rubli nie każdy razem mieć może.

Oniemiałem z zadziwienia. Jakże to łatwo oszukać tych przebiegłych z natury Syberyaków, gdy tylko ich bezwzględna wiara w nadprzyrodzone zjawiska poruszoną zostanie.

Powiedziałem chłopu, że mojéj cudownéj rękawicy za żadne w świecie piéniądze nie oddam, i wyprawiłem go z domu.

W kilka dni po tém zdarzeniu, rzeczony przedmiot znikł bez śladu z mojego mieszkania.

Na szczęście strata była niewielką: znajdowało się w niéj kilkadziesiąt kopiejek.

Napełniłem drugą taką samą rękawicę miedzią, ubolééwając głośno nad nieszczęściem tego, który sobie talizman przywłaszczył.

— Ona tylko dla mnie była pożyteczną, mówiłem, dla każdego innego przyniesie straszną chorobę i różne nieszczęścia.

Jeszcze dzień nie upłynął, a już cudowna rękawica znalazła się podrzuconą przy progu mojego mieszkania, wraz ze znajdującemi się w niéj kopiejkami.

Wyjąwszy wypadków, w których fantastyczność gra jakąkolwiek rolę, włościanin syberyjski zawsze i wszędzie daje dowody nadzwyczajnéj przebiegłości. Umié on poznawać odrazu wady i słabości ludzkie, zastosować do nich swoje postępowanie i przybiéra na siebie w razie potrzeby różne

charaktery, zmienia wyraz twarzy, ton mowy, roni łzy na zawołanie, a spólników téj komedyi znajduje zawsze gotowych około siebie: własne nawet dzieci jego, przywykłe od niemowlęcych lat żyć w téj atmosferze obłudy, pomagają mu zręcznie przy danéj sposobności, potakując i kłamiąc bez zająknięcia!

Przy takiém usposobieniu, którego jedynym celem staje się wyciągnięcie jak największych korzyści materyalnych z drugich, wszelkie przymioty serca i duszy istnieć nie mogą. Stosunki rodzinne opierają się na zobopólnéj potrzebie: rodzice boleją tylko nad stratą podrosłych dzieci, które im były pomocą w gospodarstwie, dzieci zaś nawzajem wyglądają niecierpliwie śmierci zgrzybiałych, niezdolnych do pracy rodziców. Z obojętnością tą nie ukrywają się bynajmniéj, i często słyszéć można syna lub córkę rozpowiadających o swoich zamiarach po objęciu spadku, albo téż robiących przygotowania do pogrzebu, przy łożach chorych rodziców.

A i to jeszcze szczęście, jeżeli brak uczucia objawia się tylko apatyą.

Kronika sądowa mieści w sobie mnóstwo szczegółów dokonanych zbrodni, wpośród rodzinnych stosunków.

Godną jednakże zastanowienia rzeczą jest fakt, że wszelkie bez wyjątku zbrodnie dokonywane tu bywają przy zupełnym braku namiętności: zemsta nieprzyjaciela nad nieprzyjacielem, zazdrość zdradzonego męża, są to uczucia bezwarunkowo nieznane. Jedynym motorem występku staje się chęć zysku, albotéż bezwiedne pijaństwo.

Namiętność zastąpioną tu bywa zimném, bezmyślném prawie okrucieństwem.

Brak zupełny litości nad cierpieniami każdego stworzenia, a témbardziéj człowieka, wyrasta z piérwszemi pojęciami dziecka: jest ono wynikiem przyzwyczajenia, a tém samém zupełnego odrętwienia czułych strun serca. Ojciec zwykle bierze ze sobą niedorostków synów do pomocy przy tak zwanym „uczeniu“ stadniny; i tym sposobem chłopiec przywyka od najmłodszych lat do widoku strasznych katu-

szy, jakim przy użyciu tego barbarzyńskiego zwyczaju podlegają biédne zwierzęta (1).

Począwszy od małego dziecka aż do zgrzybiałego starca, nikt nie pojmuje czém jest spółczucie, czém jest litość; i gdyby kiedykolwiek towarzystwo opieki nad zwierzętami zawiązało się w Syberyi, członkowie téj instytucyi musieliby wkrótce wyrzec się swojego szlachetnego celu, dla bezwarunkowéj niemożności przeprowadzenia dobroczynnych swoich zamiarów.

Oto przykład:

Pewnego razu, korzystając z pięknego letniego wieczoru, przewiesiwszy fuzyą przez ramię, wyszedłem na przechadzkę. Za wsią, z pomiędzy krzaków, wznosił się lekki obłok dymu. Gdym się zbliżył do tego miejsca, uderzył oczy moje odrażający widok. Dwunastoletni może chłopak, przywiązawszy psa za nogi do wbitego w ziemię pala o parę łokci nad ziemią, podpalił stos gałęzi i piekł nieszczęśliwą ofiarę na wolnym ogniu. Biédne stworzenie w najsroższych męczarniach wyło i skowyczało przeraźliwie, kilkoro zaś innych dzieci przypatrywało się temu okropnemu widowisku, śmiejąc się i klaszcząc z radości w ręce.

— Chłopcze, co ty robisz? krzyknąłem z oburzeniem.

Malec, zajęty podżeganiem ognia, odpowiedział spokojnie, niby dając najprostsze i najzwyczajniejsze objaśnienie.

— Męczę psa.

— I dlaczego to czynisz? zawołałem drżącym głosem, hamując wybuch gniéwu.

— Bo nudno. Ojciec rąbie drzewo w podwórzu, matka pierze bieliznę w rzece, nie ma co robić — tak więc, żeby się zabawić, męczę tego psa.

---

(1) Uczenie stadniny odbywa się następującym sposobem. Włościanin potrzebujący do zaprzęgu konia, wybiéra takowego z tabunu i od razu zaprzęga to zwierzę do ciężkich sani. Koń, przywykły do wolności stepowéj, rwie się, szarpie i iść nie chce. Wtedy mużyk dopóty go męczy, bije kijem po głowie, kłuje szydłem, dopóki pokonane męczarniami zwierzę nie stanie się potulném, uległém; czasami jednak uparty rumak woli zginąć pod razami, niż się poddać woli swojego pana. (*Przyp. aut.*)

— Jak ty śmiész dręczyć biédne stworzenie?

— To mój pies. Ja mogę go męczyć, ile mi się podoba, a nikomu nic do tego.

Widząc, że przemawiając do serca tego dziecka nicbym nie wskórał, a nie mogąc znieść widoku katuszy biédnego zwierzęcia, zmierzyłem w milczeniu fuzyą, którą miałem w ręku: padł strzał, a ofiara niewinnych zabaw młodego kata, zwisła martwa nad podnoszącém się w górę ogniem.

Dziecko jęło płakać i krzyczéć w niebogłosy.

— Zepsuł mi zabawę, zabił psa — ja pójdę na skargę do taty: poczekaj, on ciebie nauczy rozumu!

Na krzyk chłopaka wybiegł z poblizkiéj chałupy barczysty mużyk z siekiérą w ręku; zanim w odwodzie stało kilku innych chłopów.

Dowiedziawszy się od zapłakanego malca o co mu idzie, przybrał groźną postawę:

— Tak być nie może! to ci bratku, nie ujdzie na sucho: poznasz czém pachnie nieuszanowanie cudzéj własności.

Położenie moje byłoby nader krytycznėm, gdyby jednocześnie prawie nie zbliżył się pisarz gminy, który wraz z żoną obrócił w tę stronę swoją przechadzkę, a dowiedziawszy się o co chodzi, ułagodził włościan obietnicą szczodrego z méj strony datku.

Pisarz gminy ma we wsi niemałe znaczenie — dlatego téż chłopi, pomruczawszy trochę, oddalili się do swoich chałup.

— Cóżeście zrobili? rzecze po ich odejściu mój wybawca, nabawiliście się próżnego kłopotu i niepotrzebnych kosztów. Chłopów tutejszych nie należy bez powodu zaczépiać — oni są mściwi i nie dadzą żartować z siebie.

— Jakto bez powodu? zapytałem, albož ten chłopak nie męczył w najokrutniejszy sposób biédnego zwierzęcia?

— Miał do tego zupełne prawo. To jego pies, a przerywać dziecku igraszkę, która ani wam, ani nikomu nie szkodzi — jest czynem mogącym wywołać tylko nieprzyjemności.

Wszelka dyskussya w tym względzie byłaby zbyteczną— podziękowałem więc pisarzowi za jego wdanie się w tę sprawę, i odszedłem wzruszywszy ramionami.

Słyszałem jednak jak mówił półgłosem do żony:

— Dziwne idee, zupełny brak pojęcia o poszanowaniu cudzéj własności. Nie dać biédnemu dziecku pobawić się z jego własnym psem!

I gościnność także, ta cnota wyłącznie słowiańska, nie mogła zaaklimatyzować się w śród podobnych obyczajów, pod tym stopniem szerokości i długości geograficznéj. W prawdzie włościanie lubią, szczególniéj w uroczyste święta i niedziele, odwiédzać i częstować się nawzajem, ale ta przyjemność opartą jest na najskrupulatniejszym rachunku.

Gdy kto przyjdzie odwiédzić znajomego lub sąsiada, nie udaje się nigdy wprost do niego, lecz przechodząc niby przypadkiem ulicą, staje przed oknem i zawiązuje rozmowę. Wtedy gospodarz lub gospodyni domu, jeżeli chcą gościa miéć u siebie, wzywają go do izby. I zaraz zaczynają się pozdrowienia, w których należy każdego z obecnych wymienić po imieniu i nazwisku z ojca, poczém nastawiają samowar. Rozmowa toczy się to o gospodarstwie, to o plotkach sąsiedzkich, to wreszcie o spodziéwanym przybyciu jakiego urzędnika. Gdy samowar gotowy, piją herbatę ze spodków, przegryzając cukrem. Zwykle każdy z gości wypija po trzy filiżanki herbaty, po wypiciu ostatniéj obraca filiżankę dnem do góry i kładzie na niéj niedogryziony kawałek cukru. Wtedy gospodarz i gospodyni częstują jeszcze, ale to prosta forma, bo zwyczaj nie pozwala przyjąć więcéj.

Po wypiciu herbaty goście natychmiast zabierają się do wyjścia. Wtedy pomiędzy gospodynią domu a przybyłemi w odwiédziny, następuje wymiana wyrazów zawsze jednych i tych samych.

Gospodyni mówi:

— Dlaczego tak śpieszycie się?

Goście odpowiadają:

— Czas do domu.

— Posiedźcie jeszcze.

— Dziękujemy wam. Napoiliście nas herbatą i nakarmiliście dostatecznie.

— Mało było.

— Nie, w sam raz; jesteśmy zupełnie syci.

Odbywszy stereotypowy dyalog, który się zawsze powtarza mechanicznie, niby wyuczona lekcya; przybyli idą z kolei, tak do gospodarza jak i do gospodyni domu, a wziąwszy ich za ręce, mówią:

— Dziękujemy wam za podanie wódki, za napojenie herbatą, za nakarmienie kołaczami, za piérożki, za cukier i t. d. Zwyczaj bowiem nakazuje, ażeby przy podziękowaniu za przyjęcie, wymieniony był z kolei każdy przedmiot skonsumowany przez gości.

Po wyliczeniu przez każdego całego szeregu spożytych artykułów, przybyli odchodzą, mówiąc:

— Prosimy pokornie do naszego domu.

Po upływie niejakiego czasu, ci, którzy przyjęli odwiédzających, idą w gościnę do tych, którzy u nich byli z wizytą, i rzecz odbywa się tak samo zupełnie, a obie strony uważają pilnie na to, ażeby ilość podanych i zjedzonych artykułów, zrównoważyła się. Gdy jeden u drugiego cokolwiek więcéj wypije lub zjé, następują wyrzuty, przechwałki przed innemi, lub téż szydercze ubolewania.

— Podawałem naléwkę i herbatę z cukrem, a oni częstowali tylko czystą herbatą.

— Nakarmiłam piérogiem, a oni dali tylko kołacze.

Często jeden kiéliszek nalèwki, który odwiédzający więcéj wypił, jest powodem długich kłótni i swarów. Niedelikatny gość nazwany jest publicznie oszustem, człowiekiem bez czci i wiary: wytykają go palcami, obsypują obelgami, a czasami biorą się aż do kijów.

Przyczyną tego postępowania nie zawsze jest chciwość, czasami bowiem najbogatsi włościanie, wydający na niepotrzebne przedmioty znaczne piéniądze, kłócą się zawzięcie o jeden kiéliszek wódki nie odpity u sąsiada. Wypływa to głównie z wyobrażeń syberyjskich, podług których niéma nic bardziéj poniżającego jak być wyprowadzonym w pole, a nic rozumniejszego jak korzystanie z drugich. Kiedy

więc każdy oszukany nosi miano niedołęgi, a każdy oszukujący uchodzi za pełnego bystrości człowieka, dziwić się nie można, że obawa, ażeby nie grać roli ofiary, posuniętą zostaje aż do drobiazgowości.

Dziwne to przekonanie jest motorem bardzo wielu zwyczajów. Jeżeli kto np. otrzyma jaki podarunek, powinien natychmiast, bez straty czasu, wywzajemnić się równéj wartości przedmiotem. Na to jest nawet oddzielny, zupełnie nieznany u nas wyraz: „oddarit,“ (odpodarunkować). Bardzo często przesyłają dar jaki na to tylko, ażeby przy pośpiesznym oddarowaniu, skorzystać na większéj cokolwiek wartości otrzymanéj w zamian rzeczy, i cieszyć się z głupoty znajomego lub sąsiada, nieumiejącego zrównoważyć ceny obydwóch przedmiotów. Oddając zaś cokolwiekbądź mniéj kosztującego od przyjętéj ofiary, narazić się można na nieprzyjemność, również jak i nie przyjmując przysłanego podarku.

Skąpstwa zaś we właściwém znaczeniu tego wyrazu, włościanie syberyjscy nie znają. We wszystkiém, co tylko się tyczé ich potrzeb, a nawet częstokroć i zadowolenia miłości własnéj, nie szczędzą wydatków. Urządzenie wewnętrzne i powiérzchowne ich mieszkań jest tego najlepszym dowodem.

Domy budowane na sposób wschodni, oparkanione są starannie, a wejście ich nie wychodzi nigdy na ulicę, lecz główny wchód znajduje się od tyłu, wewnątrz podwórza. W budowaniu, pragnąc uczynić mieszkania wesołemi, starają się, ażeby jak najwięcéj było okien; dla upiększenia zaś powiérzchownie swoich siedzib, ozdabiają takowe różnemi z drzewa grubo wyciosanemi sztukateryami, lub wyrzynanemi w deskach arabeskami.

Każdy dom dzieli się na dwie części: na właściwe mieszkanie i na pokoje, służące do przyjęcia gości (gornicę). Piérwsza część jest zarazem i kuchnią, połowa jéj przedzielona pionowym pokładem z desek, nazywa się pałatą. W téj części mieszkania swego Syberyak cały dzień przepędza: jada, pije, sporządza narzędzia rolnicze, gdy żona jego i córki zajmują się domowém gospodarstwem; na pa-

łacie zaś śpią pokotem ci wszyscy, którzy się na piecu pomieścić nie mogą, łóżek bowiem zamożniejsi tylko używają. Pałata jest u nich dotykalnym wyobrażeniem przyjemności tego życia; jeżeli w czasie zatrudnień dziennych zbędzie jaka godzinka lub kwadransik, natychmiast czy to chłop, czy dziéwka, czy dziecko, wdrapuje się na pałatę i trudno ich ztamtąd ściągnąć. Dzieci do lat siedmiu, które jeszcze nic nie robią, leżą dzień i noc w tych górnych sferach, wychylając od czasu do czasu swe główki, i spoglądając co się dzieje na dole. Ten zwyczaj jest tak powszechnym, że gdy pewnego razu zapytałem matki dziewięcioletniéj dziéwczynki, ile ma lat jéj dziecko.

— Od dwóch lat zaczęłam je zciągać z pałaty, odpowiedziała.

To więc jest erą, rachubą czasu w życiu Syberyjczyka.

W téj części mieszkania, w każdéj porze dnia i nocy panuje nieznośne gorąco, a często czad sprawiający bóle głowy nie do wytrzymania, chłop bowiem tutejszy namiętnie lubi prażyć się w cieple; palą ciągle w piecu i zamykają go gdy jeszcze z rozżarzonych węgli gaz wychodzi. Przyzwyczajenie sprawia, że czad mniéj na nich oddziaływa; ufni w to, tak zazwyczaj pośpieszają z zamknięciem pieca, że wypadki nagłych śmierci z zagorzenia, nader często przytrafiają się w Syberyi.

Druga część mieszkania, górnica, czysto wybielona, wymyta, bywa miejscem przyjęcia gości, pokojem bawialnym włościanina. U bogatszych chłopów, którzy posiadają domy piętrowe, piérwszą część stanowi cały dół, drugą zaś wyższe piętro złożone z trzech lub cztérech pokoi. Czystość jest tu zawsze wzorowa, podłogi myte i szorowane są co sobota, również jak ławki, stoły i stołki; w kuchni zaś ścielą zazwyczaj na podłodze grubą warstwę słomy, ażeby ją uchronić od powalania błotem przyniesionym na nogach przychodniów.

W narożnym kącie domu umieszczoném jest wyobrażenie Boga Rodzicy, Zbawiciela lub jakiego świętego. Obraz ten, oprawiony w posrébrzaną blachę tak, że tylko twarz i ręce widziéć można, ozdobiony jest najczęściéj gałązkami

pnącego się bluszczu, przy nim zaś znajduje się wisząca lampka lub cienkie woskowe świeczki, które w dniach uroczystych bywają zapalane. Zwykle wchodzący do izby włościanin zaczyna od oddania pokłonu świętemu obrazowi, co czyni również po przyjęciu posiłku, i przed udaniem się na spoczynek.

Dobrobyt i zamożność są prawie ogólne, z powodu, że tu poddaństwo i pańszczyzna nigdy nie były znanemi; prawicza ziemia bez wszelkich trudów i pracy wydaje obfite plony. Łatwość wyżywienia inwentarzy w stronach, gdzie każdy tyle może mieć siana, ile go zebrać zdoła, sprawia, że wielu z rolników posiada ogromne tabuny koni, liczne stada bydła i owiec, i gdyby nie powszechnie zakorzeniony nałóg pijaństwa, zasoby ich materyalne byłyby bez porównania większemi. Przy braku gościnności w przyjęciu i samolubstwie względem drugich, nie żałują jednak sobie niczego. Włościanin syberyjski ma zawsze dobrze zaopatrzoną spiżarnię: na zimę przygotowuje wielki zapas zamrożonego mięsa, nie licząc już ryb i wszelkiego rodzaju zwierzyny, która go nic nie kosztuje; ale sposób przyrządzania posiłku jest taki, że do podobnego jedzenia nader trudno jest przyzwyczaić się Europejczykowi. Nietylko mięsa, ale nawet ryby nie spożywa nigdy świéżéj, lecz dopiéro wtenczas, gdy się psuć zaczyna; a taki pokarm, odrażający i szkodliwy dla każdego mieszkańca cywilizowanych krajów, jemu smakuje i żadnego na zdrowiu nie przynosi uszczerbku. W lecie, przy braku owoców, których Syberya nie wydaje, jedzą wszelkiego rodzaju zieleniny, w stanie zupełnie surowym, Oprócz, jagód, które zbierają zawsze niedojrzałemi, i ogórków, stanowiących najwybredniejszy ich przysmak, konsumują niezliczoną ilość grochu, razem ze strączkami, jakotéż łodyg i pączków rozmaitych polnych roślin. W téj porze, każdy nosi pełne kieszenie tych przysmaków, a spotkawszy znajomego lub sąsiada, częstuje go prowizyą, w jaką się zaopatrzył. Częstokroć widziéć można dwóch stojących naprzeciwko siebie przyjaciół, pakujących w usta wielką ilość téj zieleniny, od użycia któréj najwytrwalszy Europejczyk zachorowałby niezawodnie. Milczenie, które wtedy pomię-

dzy dwoma spotykającymi się panuje, przerywane jest tylko chrzęstem gryzionych łupin od grochu, lub chrupaniem pękających pod zębami, surowych ogórków.

Obok niedostatku smaku, nie mogącego się wyrobić w tych przestrzeniach stepowych, mających nader rzadkie stosunki z miastami, w których mieszkańcy od przyjeżdżających z Rossyi kupców i urzędników przejmują powoli więcéj zbliżony do europejskiego sposób życia, dziwić się już nie można nad zupełnym brakiem u nich estetycznego pojęcia o piękności. Wzorów tu nie brak, kobiéty bowiem syberyjskie celują urodą; ale materyalizm, w jakim pogrążona jest ludność tych stron podbiegunowych, sprawia, że tylko kształty ciała najwięcéj przemawiające do zmysłów, podobać im się mogą. Kobiéty ogromne, tłuste, o grubych herkulesowych postaciach, są dla nich typem niewieściego wdzięku. Widziałem raz na wsi dziéwczę szesnastoletnie cudo piękności: płeć jéj była biała jak marmur, włosy spadające w naturalnych kędziorach na alabastrowe ramiona miękkie jak jedwab, kibić gibka i wcięta, niewysłowiona rzewność w spojrzeniu sino-niebieskich oczów, uśmiéch czarujący, byłyby skarbem dla artysty, szukającego idealnego wzoru.

Tam uchodziła ona za brzydką.

— Biédny robaczek! mówił mi jéj ojciec z westchnieniem; to jeszcze szczęście, że jest u mnie trochę bumażków w kuferku, inaczéj trudnoby mi było wydać ją za mąż. Małe to, drobne, blade i niepozorne. Ah, jakże zazdroszczę mojemu sąsiadowi Osipowi Iwanowiczowi; jego córka Niniła jak stąpnie, to aż trzeszczy podłoga, a moja choć przebiegnie, to tak samo jakby mucha przeleciała. Lekkie to biédactwo!.. a szkoda, bo i rozum jest, i pracowita, dobra, potulna córka.

Mówiąc to, przywiązany ojciec opuścił smutnie głowę na piersi, dumając o niesprawiedliwości losu, który córkę sąsiada obdarzył gatunkową ciężkością pięciu pudów, gdy jego ukochanemu dziecku zaledwie trzech użyczył.

Dziéwczęta wiejskie bardzo mało zajmujące się robotami polnemi, i to chyba u mniéj zamożnych włościan, któ-

rzy nie są w możności utrzymywać tylu parobków, ile potrzeba do uprawiania roli, mają ręce czyste, białe. One zazwyczaj pomagają matce przy domowém gospodarstwie, a wolne od zajęć chwile poświecają szyciu lub haftowaniu na kanwie. W niedziele i święta stroją się niesłychanie. W żadnym kraju na świecie nie zdarzyło mi się widzieć takiego bogactwa ubiorów kobiét wiejskich, jak na Syberyi. W dnie uroczyste noszą one po większéj części suknie jedwabne lub czasem nawet atłasowe, botynki lakierowane, burnusy z cienkiego sukna, salopy podbite gronostajami; zamiłowane są szczególniéj w kolorach jasnych, krzyczących, tak że gdy w dzień świąteczny wychodzą z cerkwi lub spacerują po ulicach, zdaje się, iż stada kolibrów, rajskich ptaków i papug chińskich, opanowały wstępnym bojem te ustronia. W każdéj prawie wsi większéj znajduje się szwaczka, rodzaj wyroczni, stanowiącéj nieodwołalne wyroki co do mód miejscowych; które, przychodząc spóźnione do syberyjskich miast, zjawiają się w wioskach wtedy dopiéro, gdy o nich w Europie zupełnie zapomniano. Krynolina np., zarzucona oddawna w cywilizowanych krajach, kwitnie w najlepsze pomiędzy temi samorodnemi elegantkami stepów. Każda z dziéwcząt posiadać ją koniecznie musi, a gdy środki finansowe nie dozwalają jéj na to, stara się wynalazkami własnego pomysłu stworzyć coś odpowiedniego. Niektóre wkręcają w suknie twarde ze słomy powrósła, które gnąc się i krusząc co chwila, dziwne ubiorowi nadają kształty; inne wszywają drewniane obręcze, a te najczęściéj, przy lada niezręczności lub złém użyciu, łamią się z trzaskiem lub téż opadają na ziemię.

To niesłychane zamiłowanie do stroju jest głównym powodem niesłychanéj demoralizacyi, jaka pomiędzy płcią żeńską w ogólności panuje. Demoralizacya ta tém straszniejsza, że nie czerpie źródła, ani w gorącości klimatu, ani téż w sąsiedztwie wielkich miast. Zimna jest ona i wyrachowana: nie przystraja się żadnym pozorem namiętności, nie zasłania żadną maską udanéj cnoty. Istota czysta, wala się dobrowolnie w błocie bez walki, bez oporu, bez wyrzutów sumienia. Przed upadkiem nikt jéj nie pochwalił, po

upadku nikt jéj nie zgani: wszystko co się dzieje jest prostém, naturalném, codzienném, nikt się temu nie dziwi, nikt się nad tém nie zastanawia, a jeżeli się podniesie jaka pogawędka, to tylko pod wpływem finansowym; motorem bowiem demoralizacyi jest piéniądz.

Mężczyźni są w ogóle zdrowi, rośli i dobrze zbudowani, o rysach regularnych i ruchach ciała swobodnych. Ubiérają się w długie chałaty, obszyte po brzegach czarnym manszestrem, zahaftowanym w różne desenie i kwiaty; ci, któ rzy piastują jakikolwiek urząd w gminie, noszą, udając się na miejsce swojego urzędowania, w każdéj porze, czy zimą czy latem, dla odznaczenia się od innych, skórzane rękawice na rękach. Włościanin, spotkawszy kogokolwiek starszego wiekiem, choć zupełnie mu nieznajomego, uważa za obowiązek pokłonić się zdejmując czapkę, a gdy jest podchmielony, prosić o przebaczenie, że sobie cokolwiek więcéj wypić pozwolił. Za to, gdy jest zupełnie pijany, lubi burdy, awantury i zaczepki. Szacunek zaś powiérzchowny dla starszych latami, jest tylko formą, bo i własnych rodziców szanować nie umieją; ale forma ta tak wsiąkła w obyczaje ludu, że gdy chcą np. uczcić człowieka w średnim wieku lub nawet trzydziestoletniego, mianują go w rozmowie star cem, albo, dowiedziawszy się o jego rzeczywistym wieku dziwią się, iż tak staro wygląda. Taki sposób mówienia, za wyszukaną grzeczność powszechnie jest uważany.

Zabawy ludu wiejskiego rozlicznego są rodzaju. Zwyczaj jednak nakazuje, że zabawy te i rozrywki w pewnych danych terminach peryodycznie się powtarzają; a gdy naznaczony na nie obyczajem miejscowym czas przejdzie, już nikt nawet o nich i myśléć nie śmié. I tak naprzykład, odostatniego dnia starego roku do trzech królów, wszystko co żyje używa przyjemności maskarady; tłumy dziéwcząt i parobków, pozakrywawszy twarze chustkami, poprzebierawszy się w dziwaczne stroje, chodzą od chaty do chaty, starając się ażeby ich nikt nie poznał. Po trzech królach, chociaż karnawał trwa jeszcze w najlepsze, nikt się już nie maskuje: W zapusty cała ludność jeździ po ulicach wsi saniami, spuszcza się z gór lodowych, lub zdobywa zbudowa-

ne ze śniegu fortece. Na wielkanoc stawiają na placach i w podwórzach domów huśtawki, które nieodmiennie w tydzień po wielkiéj niedzieli bywają rozbiérane. Od tego czasu aż do uroczystości św. Piotra i Pawła, dziéwczęta i parobcy bawią się w niedzielę i inne wolne od zajęć dnie po ulicach wsi w różne gry, połączone najczęściéj z chóralnym śpiéwem. Po tym terminie wszystkie uciechy na wolném powietrzu znikają, ażeby znowu na rok przyszły, w uświęconym zwyczajem terminie, pojawić się.

Dzieci mają znowu swoje wyłączne gry i rozrywki. Chłopaki od chwili nastania wiosny aż do późnéj jesieni, bawią się po ulicach w „babki,“ jestto gra podobna do kręgli, tylko jeszcze więcéj samorodna: kręglami są tu ustawione rzędem kości zabitych zwierząt, pociskam zaś płaskie kamenie.

Czasami jednak dzieci syberyjskie zastosowują do twoich rozrywek oryginalne, wybornie naśladujące miejscowe obyczaje, pomysły. Dziecko w ogólności lubi naśladować w zabawach swoich to, co często widuje, dlatego więc gry tym sposobem improwizowane przez młode pokolenie nie są bez interesu dla postronnego obserwatora.

Włościanin syberyjski, pomimo braku serca i tego ciepłego uczucia, które w stosunkach rodzinnych staje się spójnią, łączącą w jedną całość wszystkich jéj członków, jest w życiu domowém nader patryarchalnym. I brak serca, i patryarchalność w obejściu się ze wszystkiemi którzy go otaczają, ma swoje źródło w obyczajach miejscowych. Przebiegłość, chęć korzystania z drugich, poświęcenie wszystkiego dla interesu pieniężnego, powszechnie jako cnoty uważane, wyradzają oschłość uczuć — sąsiedztwo zaś koczujących piérwotnych plemion Syberyi, które w swych peregrynacyach rządzą się prawami natury, sprawia, że pomimo braku serca, włościanin syberyjski w zewnętrznych oznakach przynajmniéj przybiera wszystkie cechy téj starożytnéj cnoty.

Gospodarz jest tu głową rodziny w całém znaczeniu tego wyrazu; do niego wszystko się odnosi, jemu wszystko bezwarunkowo ulega, a on natomiast w stosunku z innymi

jest względnym, wyrozumiałym i sprawiedliwym. Parobcy przyjęci przez niego w służbę, nie są uważani jako najemni robotnicy, lecz jako członkowie rodziny. Pomiędzy służącymi a własnemi dziećmi nie robi nigdy żadnéj różnicy. Koléj cięższéj lub lżejszéj roboty naprzemian, nikogo nie ominie — a gdy przyjdzie czas przyjmowania posiłku lub picia herbaty, cała rodzina wraz ze wszystkimi służącymi zasiada za jednym stołem.

W każdéj gminie znajduje się etatowa szkółka wiejska; włościanie jednak niechętnie i w nadzwyczajnie ograniczonéj liczbie posyłają tam swoje dzieci. Nie czynią tego przez uprzedzenie do nauk, ani dla korzystania, jak to miewa miejsce u nas, z pomocy dzieci przy domowém gospodarstwie, ale z poczucia po większéj części uzasadnionego że uczniowie nie wyniosą ztamtąd wielkiego pożytku. Stara metoda wykładu, ucząca głosek pod różnemi dziwacznemi kilkosyllabowemi nazwami, a szczególniéj zbyt srogie postępowanie nauczycieli wiejskich z oddanemi pod ich władzę dziećmi, utrudnia postęp nauki i oświecenia. Dzieci syberyjskie w ogólności są bystre i posiadają niezwykłe naturalne zdolności: uczone w domu przez jakiego improwizowanego nauczyciela, który umié się z niemi łagodnie obchodzić, robią nader szybkie postępy — gdy tymczasem posyłane do szkółki stają się tępe, wystraszone, zafukane— i często po kilku latach nauki zaledwie syllabizować umieją.

Pewnego razu udałem się do wiejskiéj szkółki: byłto budynek obszerny, piętrowy, oparkaniony starannie. Wszedłem przez podwórze, na którém z jednéj strony stało kilkadziesiąt siągów drzewa porządnie poukładanych, z drugiéj zaś wszystkie porządki do domowego gospodarstwa potrzebne; w zagrodzie pasły się tłuste krowy z pulchnemi, wesoło skaczącemi cielątkami. Przez drzwi otwartéj stajni można było widziéć trzy bystre młode rysaki; świeżo wymalowane sanie i taransas na resorach stały pod szopą— słowem wszędzie czuć się dawał dostatek i zamożność.

Nauczyciel wiejski, dobrze płatny, dobrze utrzymywany dostaje wszystko czego mu potrzeba od gminy.

Zaszedłem do wnętrza. Cały dół zajmowany był przez rodzinę nauczyciela, piérwsze zaś piętro było właściwą szkołą. Wszedłem po schodach i znalazłem się w obszernéj sali napełnionéj ławkami. Na jéj krańcu stała duża tablica, a przy niéj człowiek wysokiego wzrostu, chudy, blady, żółty z ponurém wejrzeniem —trzymający w jednéj ręce krédę, a w drugiéj skórzaną dysceplinę. Na ławkach siedziała mała gromadka dzieci: pięciu chłopców i jedna dziéwczynka.

Widząc tak ograniczoną liczbę uczniów, sądziłem z początku, że nie wszyscy zebrali się jeszcze — późniéj dopiéro dowiedziałem się, że od bardzo dawna nigdy więcéj dzieci nie uczęszczało do szkoły. Bywają nawet lata, w których tylko dwoje lub troje przychodzi.

Forma jest zachowaną; szkółka istnieje, dzieci się w niéj uczą — ale rezultaty tej nauki, tych kosztów utrzymania szkoły w gminie, która liczyła do sześciu tysięcy mieszkańców, jakże są ograniczone!

Nie będę wchodził w szczegóły sposobu uczenia dzieci, który jest zawsze jeden i ten sam: użycie grozy i postrachu. Zresztą nauczyciel, niezadowolony widocznie z mojego przybycia, hamował się przy mnie z wybuchami swéj porywczości. Pomimo tego, nawyknienie było tak silném, w tonie jego mowy, w głosie ostrym i przenikliwym przenikliwym, przebijało się coś tak despotycznego tak srogiego, iż niewtajemniczonemu nawet w obyczaje miejscowe łatwo można było odgadnąć zwykły sposób postępowania ze swymi uczniami syberyjskiego pedagoga,

Inna jeszcze okoliczność potwierdziła to mniemanie. Każde z wywołanych przed tablicę dzieci wychodziło na środek z największym przestrachem; drżało, bladło i bełkocąc przerywanym od bojaźni głosem zadaną lekcyą, nie spuszczało wzroku ze strasznego narzędzia kary, które nauczyciel trzymał w swéj dłoni, podobnie jak owe wyuczone małpki i pieski, które na rozkaz sztukmistrza wykonywają tańce i skoki, patrząc ciągle z przerażeniem na pręt, jaki tenże trzyma w swéj ręce.

W téj chwili otworzyły się drzwi i wszedł duchowny miejscowy.

— Życzę Wam dobrego zdrowia, Iwan Andrejewicz. Bóg z wami dzieci. Jak widzę wszystko dobrze idzie; malcy się uczą, wy nie żałujecie trudów i pracy.

— Nie żałuję ja pracy, odpowiedział ponuro nauczyciel spoglądając mimowolnie na dysceplinę, którą trzymał w ręce; ale żeby co z tych osłów zrobić, potrzeba prawdziwie nadludzkiéj cierpliwości.

— Wszystko będzie dobrze, tylko czas, jeden czas, przy waszéj pracowitości, która jest znaną i powszechnie cenioną.

— O nie żałuję ja moich trudów, ale często mi już i ręce opadają. Naprzykład ten malec, dodał pokazując na stojącego przy tablicy chłopaka, tak jest tępy i leniwy, że nic mu w głowę nie wchodzi. Pięć razy powtarzałem i tłumaczyłem zadaną lekcyę, a on jej nie umié powtórzyć. Czyż nie pięć razy powtarzałem? zawoła, groźnie odwracając się do dzieci: powiédzcie bębny?

— Pięć razy! wyjąkały razem przestraszone dzieci.

— A widzicie!.. No powtórz!.. krzyknął popychając przed tablicę drżącego z przestrachu malca.

— Ja... ja...

— Powtórz! krzyknął piorunującym głosem.

Chłopak zbladł jak ściana, chciał coś mówić; usta odmówiły mu posłuszeństwa.

— On powtórzy, wyrzekłem widząc wznoszące się nad plecami nieszczęśliwego straszne narzędzie kary. I nie czekając odpowiedzi, wziąłem malca za rękę, posadziłem przy sobie i pogłaskawszy po głowie, powoli i wyraźnie objaśniłem zadaną lekcyą. Dziecko, ochłonąwszy z przestrachu słuchało mnie z natężoną uwagą; poczém na moje zapewnienie, że mu nic złego nie będzie, wywiązało się najlepiéj w świecie ze swego zadania.

Nauczyciel rzucił na mnie spojrzenie jakie tylko rzucić może przydeptana nogą gadzina; ale nie śmiał w obecności nowo przybyłego swego zwiérzchnika, okazać gniéw wewnętrzny.

— Raz dobrze, zamruczał; ale chciałbym widziéć kogo na mojém miejscu.

— Zawszeby tak było... przy łagodności, dodałem z cicha.

Powyższy fakt potwierdził jeszcze więcéj we mnie to przekonanie, że Syberyacy nie stronili by od nauki, gdyby ta udzieloną im była w więcéj sympatycznéj formie, a młode pokoienie uczęszczające do szkółek, wyrosłoby z czasem na ludzi przynoszących rzeczywisty pożytek ogółowi. Przy ich wrodzonych zdolnościach, elementarna nawet nauka rozszerzyłaby koło ich pojęć, zmieniła ich wyobrażenia, i wpłynęła na usunięcie najwyższego nieprzyjaciela postępu, tak silnie pomiędzy niemi zakorzenionego—nałogu pijaństwa.

Obchody wesel syberyjskich połączone są z niezwykłą ilością różnych, zwyczajem uswięconych obrzędów. Pominąwszy już przedwstępne formy przy swataniu, oględzinach i t. d., które nie mają w sobie tak wybitnéj cechy, przystępuję do skréślenia niektórych szczegółów, stanowiących właściwe wesele.

W wigilią dnia ślubu odbywa się w domu rodziców panny młodéj wieczór dziewic (dziewicznik). Jestto wieczór wydany przez pannę wstępującą w związki małżeńskie dla swoich przyjaciołek i towarzyszek — uroczystość pożegnalna z rówiennicami téj, która zmieniając swój stan, opuszcza ich grono.

Na wieczór dziewic zapraszani bywają, oprócz urzędników weselnych to jest „tysiącznego“ „starszego i młodszego bojara“ „swata,“ „piérwszéj drużki“ wraz z całém otoczeniem innych „drużek“ i przybranych na tę uroczystość rodziców pana i panny młodéj, tylko dziéwczęta wsi, bliżsi krewni i znakomitsze osobistości gminy. Reszta publiczności, a szczególniéj młodzi parobcy, oczekują z niecierpliwością w przyległéj gościnnemu pokojowi kuchni, chwili w któréj po odbytym obrzędzie oczepin, towarzyszących im śpiéwów, przyjęcia posiłku, nastanie pora pląsów.

W górnicy, pokoju przeznaczonym na przyjęcie gości, stoi duży stół, przykryty białym obrusem i otoczony ławkami: na jego przygłówku od strony obrazu, widziéć można najwyższe miejsce, rodzaj tronu, przykryte dywanami—

przeznaczone dla młodéj pary. Gdy już wszyscy zaproszeni są zgromadzeni, uroczystość rozpoczyna się od oczepin. Liczne grono dziewic obstępuje pannę młodą, sadzają ją na krześle, a oddaliwszy narzeczonego w najodleglejszy kąt izby, zaczynają powoli rozplatać kosę, śpiéwając chórem pieśni, na które odpowiada panna młoda smętnym i jednotonnym głosem. Treść tych pieśni wyraża ze strony drużek żal za stratą dotychczasowéj swojéj towarzyszki, a zaś ze strony panny młodéj, oprócz żalu za przyjaciółkami, uboléwanie nad zmianą stanu, do którego już nigdy wrócić nié będzie mogła.

Drużki śpiéwają:
Już z nami pląsać nie będziesz,
Ani się bawić w goryłki (1)
Ani w rzeczkę rzucać wianki,
Ani za dziewiczym siedzićć stołem!
A ona odpowiada:
Już z wami i t. d.
Drużki znowu śpiéwają:
Zedrą ci twój wianek z głowy
I chustką włosy obwiną;
A wianka nikt ci nie wróci,
Jak raz przepadł, to na zawsze.
A ona odpowiada:
Zedrą mi i t. d.

Spiéwy te przeciągają się dosyć długo, albowiem kosa panny młodéj w czasie trwania pieśni, bardzo powoli bywa rozplataną. Przy kosie bywają półkoski: jestto zbiór bardzo malutkich i drobnych warkoczyków, poprzednio naplecionych, których liczba odpowiada ilości przyjaciółek i drużek, wychodzącéj za mąż dziéwczyny. W półkoski te

(1) Goryłki albo rozłuki, gra najwięcéj będąca w użyciu u dziéwcząt wiéjskich, a zasadzająca się na tém, że gdy dwie z nich w biegu, starają się schwycić za ręce — trzecia, goniąc za niemi, usiłuje pojmać którąkolwiek przedtém, nim tamte zdołały się dotknąć rękami.
(*Przyp. aut.*).

wplatane są różne sznurki, wstążeczki, koraliki, które panna młoda rozdaje w miarę rozplatania swoim przyjaciołkom, na pamiątkę dnia tego.

Cała ta céremonia byłaby nader poetyczną, gdyby fakta rzeczywistego życia, przeciw niéj nie powstawały. Czasem w chwili wygłaszania pieśni, w któréj panna młoda rozwodzi żale nad utratą swojego wianka, w przyległym alkierzyku odzywa się niefortunny głosik, dający poznać, że to wszystko jest tylko blichtrem, pokrywającym oznakami powiérzchownych form, brak niewieściéj cnoty i nędzę moralną.

Po skończeniu oczepin sadzają państwa młodych na wywyższoném miejscu za stołem, i zaczyna się uczta, któréj gospodarzem jest najgłówniejszy urzędnik wesela „tysiączny,“ pomocnikami zaś jego przy podejmowaniu gości dwaj bojarowie. Kiedy już wszyscy dobrze podjedli, dziéwczęta wznawiają swe śpiéwy pod przewodnictwem starszéj drużki, ale tym razem pieśń tą poświęconą jest uczczeniu znaczniejszych gości. Zaszczyty tego świata nigdy darmo nie przychodzą, dlatego więc każdy z zaszczyconych, winien złożyć pewną kwotę piéniężną, na ręce jednéj z dziewcząt zbiérających składki. Ma się rozumieć, że im hojniejszy był ofiarodawca, tym większemi pochwałami dla niego brzmi chóralny śpiéw syberyjskich dziewic. Od znakomitszych przechodzą kolejno do coraz skromniejszych osobistości; a gdy już wszyscy mniéj więcéj uczczeni zostali, wyglądający niecierpliwie téj chwili parobcy, wysuwają się jeden za drugim z kuchni wraz z muzyką, i uroczystość zakończoną bywa tańcami.

W drugim dniu ma miejsce ślub, poprzedzony uroczystością błogosławieństwa. Państwo młodzi przed pójściem do cerkwi kładą się na ziemi: na plecach ich umieszczane bywają święte obrazy i zapalone świéczki, a oni zostają w tém położeniu chwil kilka, dopóki osoby do tego upoważnione, nie odmówią nad leżącemi wyrazów zwyczajem uświęconych. Najdziwniejszą jest ta okoliczność, że błogosławią ich nie właśni rodzice, ale weselny ojciec i weselna matka, ludzie częstokroć zupełnie obcy, nienależący nawet do ro-

dziny, lecz wybrani z grona znajomych lub sąsiadów dla dopełnienia téj ceremonii. Po odbyciu ślubu cały dzień poświęcony jest hulaniu, piciu, śpiéwom i tańcom.

W trzeci i ostatni dzień już nie wielka liczba zaproszonych gości się zbiéra. Są tam tylko znakomitsze osobistości, bliżsi krewni i ludzie starsi wiekiem. Panna młoda rozdaje w tym dniu obecnym podarunki, zwykle chustki płócienne, a każdy z obdarowanych winien odwzajemnić się natychmiast podwójnéj a nawet potrójnéj wartości prezentem, lub téż odpowiednią kwotą pieniędzy. Na zakończenie uroczystości piją do upadłego, i jeżdżą po ulicach wsi z krzykiem, hałasem i dzwonkami, śpiéwając ochrzypłym głosem rozmaite pieśni. Pląsów i tańców niéma, a syberyjski byczek, który przy dźwięku bałajek, rodzaju trójgraniastéj o trzech strunach gitary, przez dwie doby zajmował młodzież płci obojéj, nie pojawia się tym razem na placu.

Ale należy objaśnić czém jest syberyjski byczek.

Wiadomo, że tańce malują charakter narodów. Systematyczni a zarazem tkliwi Niemcy mają swojego walca. W jednostajnych i wyrachowanych ruchach tego tańca widzićć można tętno germańskiego narodu, płynącego ciągle jako nurty rzeki, wyżłobioném przez wieki korytem. W pośród balowéj sali, połączone chwilowo pary przesuwają się jedna za drugą, z obliczeniem każdego stąpnięcia, poważnie, nieuniesione szałem podskoków, ani porywem gestów: każda para odosobniona od tłumu starczy sobie nawzajem; kobiéta opiéra się na swoim partnerze, a ten utrzymuje ją w ramionach tkliwie, czule, ale bez namiętności. Jest to miłość Wertera, głęboka lecz nie ognista, rzewna lecz nie wyrażająca się na zewnątrz. Inna rzecz w narodowych tańcach południowych ludów, mieszkających pod żarem blizko zwrotnikowych promieni. Włoska tarantela, hiszpańskie bolero lub kaczucza, w namiętności swych gestów, w żywości swych skoków, przedstawiają uczucia kipiących życiem narodów. Daléj rozmowny i towarzyski Francuz ma swojego kadryla, tyle sposobności dającego do prowadzenia salonowéj pogawędki, wymieniania dowcipów i kalemburów. Wy-

biegły ze stepów ukraińskich małorossyanin, wypręża swe żylaste członki w łamańcach kozaka, jak gdyby w téj gimnastyce tańca wprawiał się do zręcznego wskakiwania na nieosiodłanego bieguna. Nareszcie i my, u których równość szlachecka była zasadą rządów rzeczypospolitéj, zachowaliśmy ten typ w swoim tańcu, gdzie przy odbijaniu piérwszéj pary w polonezie, ostatni, jak tylko zechce, staje się piérwszym.

Gdy więc tańce tak wybitnie malują charaktery, narowy i usposobienia różnych plemion, czémże może być taniec ludu syberyjskiego, gdzie słońce tak słabo przyświéca, a skrystalizowana mrozem wyobraźnia tak mało ma podniety do wybicia się z grubéj powłoki wiecznego lodu i śniegu? Byczek nie jest niczém inném, jak tylko odbiciem codziennych zatrudnień Syberyaka i naśladowaniem tego co go otacza do koła.

Dwie osoby stają naprzeciwko siebie, nie dobiérając się koniec nie mężczyźni z kobiétami, ale jak wypadnie, bo w tych strefach północnych niéma czułych Werterów, którzyby znajdowali estetyczną przyjemność w podzielaniu rozrywek ze swojemi Szarlotami; stojąc, przytupując w miejscu, niby rozgrzéwając nogi od mrozu, który bucha ze stwardniałéj skorupy ziemi, a potém posuwają się w różnych kierunkach.

Kiedy już opisałem uroczystości wesela, niechże mi wolno będzie wspomniéć i o obchodach pogrzebu.

Obyczaj rozwodzenia publicznie nad umarłym żalów, które nie płyną z serca, ale wyrażają się głośno i krzykliwie na zewnątrz, jest także jedną z konwencyonalnych form, przyjętych przez ogół, dla pokrycia pozorem uczuć czczość i posuchę moralną. Gdy człowiek cierpi, radby skryć się ze swym bólem i zamknąć w najniedostępniejszych tajnikach duszy katuszę swoją; jeżeli czasami nadmiar żalu wybuchnie na chwilę, to zaraz potém przeradza się w ponury smutek i cichą, milczącą boleść.

Tu, ojciec lub matka, mąż lub żona, dzieci lub bracia idą za trumną, rozwodząc głośno swe żale w improwizowanych strofach, malując już to cnoty zmarłego, już wreszcie

wszystkie ubytki, jakie ze śmiercią jego stały się udziałem pozostałéj rodziny.

Przypuśćmy naprzykład, że zmarły był młodym parobkiem w kwiecie wieku świat ten opuszczającym: pozostała matka idzie za pogrzebem, śpiéwając jednotonnym przeciągłym głosem, zastosowane do jego położenia względem rodziny treny.

— Umarłeś, Igorko! pozostawiłeś mnie matkę bez syna, a gospodarstwo bez robotnika!

— I któż będzie teraz jeździł w pole, kto będzie kosił trawę w jesieni, kto przywiezie drzewa na zimę?

— Nikt cię nie zastąpi, Igorko, bo byłeś chętnym do pracy.

— Umarłeś, Igorko! i żałują cię wszystkie dziéwczęta wioski, boś ty umiał najweselsze pieśni śpiéwać, a w tańcu nikt tobie nie wyrównał.

— I żałują ciebie wszyscy towarzysze, boś im dodawał ochoty swoją bałałajką.

— I pusto będzie bez ciebie, Igorko!

— A któż mnie teraz pomoże w rolnéj pracy? Kto mi na starość da kawałek chleba? Kto mnie pochowa, gdy umrę?

— Biéda nam tylko zostanie i nędza!

Czasami, gdy matka jest bogatą, najmuje płatne kobiéty, ażeby śpiéwały na pogrzebie zwyczajem uświęcone żale, a ona żeby mogła swobodniéj, bez wszelkiéj przeszkody, oddać się kieliszkowi i pogrzebowéj stypie.

Tym sposobem dzieci opłakują swoich rodziców, żony mężów i rodziny krewnych.

Gdy badamy obyczaje włościan syberyjskich, dwa szczególniéj odcienia uderzają nas w ich usposobieniach i ogólnym charakterze. Z jednéj strony niezwykła bystrość, wrodzona pojętność i przebiegły rozum; z drugiéj zaś zupełny brak moralnych zasad, oschłość serca i rozprzężenie złych nałogów. Piérwsze z nich są nieocenionym darem natury, skarbem, jaki wyda z czasem błogie owoce — drugie, wypływem zbrodniczych idei, któremi się karmią tradycyjnie potomkowie.

Przyszłość jednak Syberyi jest wielką i świetną.

Ziemia ta, leżąca dziś odłogiem, nietylko w łonie swojém ukrywa niezmierne i nieprzeliczone bogactwa przemysłu i handlu, ale w przerodzeniu się moralném i umysłowém ludności, nosi myśl brzemienną postępem i pomyślnością ogólną.

Przerodzenie to nastąpi wtedy, gdy cywilizacya, wyciągnąwszy do tych stron podbiegunowych żelazne ramiona kolei, złączy zresztą świata krainę, która z powodu swego oddalenia, przymuszoną jest dotąd żyć w bezwzględnem odosobnieniu.

II.

STUDIA ZOOLOGICZNE.

FAUNA SYBERYJSKA.

Niedostępne dla człowieka pustynie leśne Syberyi, ukrywają w swém wnętrzu niezliczone gatunki dzikich zwierząt, które tam rozmnażają się, rosną i umiérają, niepodlegając nigdy niebezpieczeństwu spotkania najstraszliwszego wroga swego. Jakaś cząstka jednak tych mieszkańców tajg, czy to powodowana żądzą zwiedzenia dalszych okolic, czyli téż prawdopodobniéj przymuszona szukać żeru, wychodzi od czasu do czasu ze swych niedostępnych legowisk na brzegi tajgi lub w graniczące z nią stepy, i tam staje się ofiarą spekulantów czyhających na jéj futra.

Największemi nieprzyjaciołmi tych zwierząt są Inorodcy, czyli piérwotne plemiona Syberyi; napływowa bowiem ludność, z powodu swych zajęć rolniczych, a więcéj może przez wrodzoną opieszałość, wyjątkowo tylko i to w pewnych porach roku zajmuje się polowaniem. Zresztą, ażeby z myśliwstwa uczynić na Syberyi stałe zajęcie, potrzeba miéć naturę zbliżoną do tych dzikich mieszkańców leśnych pustyni: przebiegłość amerykańskich Mohikanów, znajomość ich obyczajów, podstępów, kryjówek — co wszystko jest udziałem piérwotnych szczepów pochodzenia mongolskiego.

Napływowa ludność, pomimo przeradzania się stopniowego, zachowała w obszarach Syberyj dawne cechy i charakter europejskiego swego pochodzenia. Włościanin syberyjski, jeżeli mu przerwa w zajęciach gospodarskich pozwoli wybrać się na polowanie, uskutecznia tę wycieczkę nie z zamiłowania myśliwstwa, lecz w chęci materyalnego zysku. Bez zapału, który każe zapominać o nieznośnych trudach koczującego życia na stepach, zraża się w miarę oddalania od niezamieszkałych okolic rosnącemi przeszkodami: zbyt często myśli o wygodnéj pałacie, gorącéj łaźni i misie ciepłéj strawy, które po za sobą zostawił, a ubiwszy spotkanego przypadkiem niedźwiedzia lub łosia, wraca zadowolony swym łupem do domu. Życia pustyni nie zna, nie umié przyczołgać się w trawie niby wąż do samego legowiska potworów leśnych; nie zdoła po całych godzinach, dobach nawet, śledzić z ukrycia wszelkich poruszeń zbliżającego się zwierza; nie posiada tego instynktu dziecka natury, pozwalającego odgadnąć, poznać, nie dostępne dla oka kryjówki, jamy w głębinach ziemi ukryte, jaskinie w rozpadlinach skał ręką natury potworzone.

Prawdziwe myśliwstwo kwitnie powiędzy potomkami pokoleń zamieszkujących od niepamiętnych wieków Syberyą. Są to łowy, w porównaniu których bledną najśmielsze czyny europejskich Hubertów; maleją najniebezpieczniejsze epizody wojen człowieka z dzikiemi zwierzęty; jeżeli bowiem w rasach zniewieściałych wygodami życia znajdują się tacy szermierze jak niedawno zmarły Francuz Gerard, który porzuciwszy spokój domowego ogniska, idzie w pustynie Afryki, walczyć z lwy i tygrysy, to na tych śnieżnych przestrzeniach, widziéć można całe zastępy wojowników idących w zapasy z dzikiemi potworami leśnych otchłani. Na południu polowanie jest rozrywką, przyjemnością, jednym z tysiąca sposobów przepędzenia wesoło czasu — na północy staje się namiętnością, szałem, zajęciem całego życia od kolébki aż do śmierci; tam wyjątkowy pogromca powoduje się najczęściéj chęcią sławy, która za pomocą peryodycznéj prasy głosi epizody walk jego od końca do końca staréj Europy, tu liczne azyatyckie szczepy potykają się ze zwierzęta-

mi jedynie aby walczyć, wiedząc, że tak zwycięztwo jak i śmierć przyjdzie równie niepostrzeżona i nieznana, jak nieznaném i niepostrzeżoném jest całe życie owych dzieci pustyni.

Zabiérając się do opisania tych walk, do skréślenia obyczajów, kształtów i sposobów życia zwierząt tajgi i stepy syberyjskie zamieszkujących, przedewszystkiém wspomniéć należy o niedźwiedziu, który nietylko rozmiarami swego ciała, ale zmyślnością i pojętnością, piérwsze miejsce w faunie syberyjskiéj zajmuje. Jakkolwiek znanym nam jest bardzo dobrze ów kudłaty mateczników litewskich gospodarz, lecz zwierz ten na Syberyi różni się pod wieloma względami od niedźwiedzi zamieszkujących strefy więcéj umiarkowane. Na dwie główne jego odmiany, ciemno-brunatnego i białego, wpływa także różnica klimatu; piérwszy bowiem zamieszkuje tajgi więcéj na południe położone, gdy drugiego znaléźć tylko można w lodowatych przestrzeniach najwyżéj na północ posuniętych. Piérwszy więcéj zbliżony do znanych w Europie gatunków, chociaż kudły ma dłuższe, ciemniejsze, łeb szerszy i rozmiary ciała większe — drugi zaś, oprócz cech ogólnych całemu rodzajowi wspólnych, nietylko wzrostem, barwą, ale i obyczajami swemi odbiega od wszystkich pokrewnych mu odmian. Niedźwiedzia ciemno-brunatnego znaléźć można we wszystkich lasach gubernij Tomskiéj, Tobolskiéj, Jenisejskiéj i Irkuckiéj, od stóp Uralu aż do krańców Kamczatki; zwierzęta te chodzą najczęściéj parami, ale bywają wypadki, że łączą się w gromady i wtedy stają się najniebezpieczniejszemi dla człowieka. Główne ich pożywienie stanowi miód pszczół tajżnych, rojących się ficie latem wśród lesistych obszarów; na zimę także, któréj część tylko w senném odrętwieniu przebywają, znoszą zapasy tego przysmaku w rozpadliny skał, gdzie w głębi jaskiń służących im za legowiska, układają symetrycznie plastry wyszukanego wśród zbutwiałych pni pożywienia. Zapasy te służą im do początku grudnia; porę albowiem największych mrozów przepędzają bezczynnie, apatycznie, i wtedy to najłatwiéj myśliwym, którzy odkryli ich kryjówki, upolować nieczułego prawie zwierza.

Z pomiędzy piérwotnych plemion Syberyi, szczególniéj Tunguzy i Jakuty zajmują się polowaniem na brunatnego niedźwiedzia. Mieszkając długi czas pomiędzy Tunguzami, miałem często sposobność być świadkiem tych łowów. Zimową porą nie są one tyle zajmujące; odbywają się bowiem pojedyńczo, na upatrzonego, i nie przedstawiają wielkiego niebezpieczeństwa. Powodzenie ich zależy głównie na chytrości i przebiegłości myśliwca, który wytropiwszy kryjówkę, podchodzi ostrożnie i celnym wystrzałem powala na ziemię nieprzygotowanego do niepodziewanéj napaści zwierza. Latem, przeciwnie, stają się one rodzajem wojennéj wyprawy, połączonéj ze wszelkiemi wrażeniami i niebezpieczeństwami prawdziwego starcia. Na taką wyprawę wyrusza zazwyczaj cała ludność męzka auły tunguzkiéj, z wyjątkiem starców i dzieci, które pozostają dla pilnowania jurt i pasienia inwentarzy. W wigilią dnia przeznaczonego na zbiorowe polowanie, szaman (czarnoksiężnik) tunguzki, zgromadziwszy wszystkich myśliwców, odbywa z nimi różne praktyki i ceremonie, mające na celu wywołanie pomyślnéj wróżby dla mającego się wykonać przedsięwzięcia. Pomiędzy temi obrządkami, podobnemi zresztą do zwykłego szamanienia (modłów pogańskich), najwięcéj zwraca uwagę zaszeptywanie (poświęcanie) oszczepów przez szamana. Oszczep, broń najwięcéj używana przez Tunguzów do polowania na niedźwiedzie, jest to żelazo osadzone na dwułokciowém drzewcu. (1) Wprawa do rzucania oszczepów i siła muskularna rąk są tak wielkiemi u tych dzieci pustyni, że pocisk rzadko kiedy nie bywa śmiertelnym. Przy ceremonii poświęcania, każdy należący do wyprawy wbija swoją broń w ziemię drzewcem do gory, z czego tworzy się koło, w środku którego znajdujący się szaman obchodzi cały okrąg szepcząc jakieś tajemne i niezrozumiałe wyrazy. Gdy już wszystko gotowe, wyruszają myśliwi ze swojego koczowiska w kierunku tajgi; dostawszy się do jéj krańca,

(1) Oszczep tungunzki przypomina kształtem nader starożytną broń, używaną w IX wieku przez plemiona germańskie, a nazywającą się Framen. (*Przyp. aut.*).

zakładają obóz, a wysławszy kilku przebiegłych towarzyszów w głąb pustyni leśnéj, oczekują za nimi dzień, dwa, lub i tydzień cały. Przez ten czas obozujący żywią się złowioną rybą lub upolowaną przez siebie zwierzyną; jedyném zaś pożywieniem tropiących są suchary, któremi napełnili poprzednio przewieszone przez plecy worki. Trafia się, że wysłani w lesiste obszary tropiciele, spotkawszy znaczniejszą gromadę dzikich zwierząt, lub zapomniawszy na chwilę o potrzebnéj ostrożności, nie powracają więcéj, zaduszeni będąc przez niedźwiedzie, lub rozszarpani przez stado wilków; w takim razie, po upływie niejakiego czasu, wysłani zostają z obozu na ich miejsce nowi myśliwi, dla wytropienia zwierza. Kiedy już stanowcza wiadomość o wyśledzeniu niedźwiedzi doszła do obozujących, tworzą oni linią półkolistą i ruszają w głąb tajgi, prowadzeni przez swoich wysłańców. Broń palna bardzo małą odgrywa tu rolę: wszyscy są uzbrojeni w oszczepy, i w długie, dobrze wyostrzone noże. Przy legowiskach zaczyna się prawdziwa walka; niedźwiedź syberyjski rzadko ucieka, lecz wspiąwszy się na przednie łapy idzie śmiało przeciwko nieprzyjaciołom; samice zaś bronią rozpaczliwie swoich małych. Ciskane muskularną ręką oszczepy warczą w powietrzu, noże dobijają powalonych na ziemię; lecz biada temu czyj pocisk chybił celu, lub zraniwszy lekko rozdrażnił jeszcze więcéj już i tak srogiego zwierza. Jeżeli który z towarzyszów nie pośpieszy z czynną pomocą, nic w świecie nie zdoła uchronić myśliwca od niechybnéj śmierci: zginie on w objęciach leśnéj poczwary, która przycisnąwszy go przedniemi łapami do swéj piersi, pogruchocze mu kości. Straszny to jest ów uścisk niedźwiedzia! Przytomność umysłu, siła, pewność ruchu, są tu jedynemi warunkami zwycięztwa — w razie niepowodzenia, ucieczka staje się niepodobną. W walkach z lwem afrykańskim, rozbrojony strzelec chroni się w ciernistе krzaki, których kolce zasłaniają go przez jakiś czas przed zemstą króla zwierząt, (1) w spotkaniu ze stadem

(1) Lew któremu wszystko ulega, nadzwyczajnie jest drażliwym na małe przykrości. Ukłucie kolców jest dla niego nieznośnem, i nie było przykładu, ażeby goniąc za swoją ofiarą, przedarł się przez słabą zaporę Framen. (*Przyp. aut.*)

zgłodniałych wilków dostanie się na wysokie drzewo bywa częstokroć środkiem ocalenia życia — od wściekłości puszcz syberyjskich mieszkańca nic zasłonić nie zdoła: przedrze się on przez kolące ciernie, wdrapie na najwyższe drzewo, i dosięgnie wszędzie śmiałka, który czychał na niego, swym okropnym, śmiertelnym uściskiem. Gilliaki, plemię zamieszkałe nad brzegami rzeki Amuru, z powodu niezrównanéj potęgi i materyalnéj siły tych zwierząt, oddają im cześć religijną.

Biały podbiegunowy niedźwiedź przemieszkuje w najwięcéj posuniętych na północ strefach gubernii Tobolskiéj, Jenisejskiéj i Irkuckiéj. Jest on nadzwyczajnego, prawie olbrzymiego wzrostu, chodzi pojedynczo lub parami: nigdy gromadnie widziéć go nie można. Mieszkańcy krańcowéj północy uważają ten gatunek za nader rzadki i nieliczny— mniemanie to ich wypływa ztąd, że niedźwiedzie podbiegunowe mają swe legowiska w obszarach wiecznemi lodami pokrytych, niedostępnych dla ostrości swego klimatu nawet plemionom najwyżéj na północy osiadłem; i tylko czasami zwabione żérem, zbliżają się do miejsc przez ludzi zamieszkałych.

Na najwyższych krańcach gubernni Jenisejskiéj, poza śniegowemi przestrzeniami, gdzie niéma ani wsi, ani budowanych z drzewa siedzib ludzkich, w Turuchańskim okręgu, w okolicy osady, czyli tak zwanego miasta Turuchańska, które, jako posunięta naprzód wedeta jest ostatniém miejscem na północy, posiadającém administracyjne władze kraju, pojawiają się piérwsze białe niedźwiedzie. Daléj, jeszcze wyżéj ku biegunowi, na linii osady Otwocka, słynnéj z handlu rybą i skórami przez Ostyaków dostarczanemi, i Tołstego-nosa, krańcowego punktu, w którym jeszcze można znaléźć siedziby człowieka, zwierz ten częściéj spotykać się daje.

Nieliczni mieszkańcy Turuchańska (1), powiększéj części Rossyanie, zajęci wyłącznie handlem rybnym, nie polują na

(1) Turuchańsk licząc do 400 mieszkańców, i 48 drewnianych domów położonych pod 65⁰ 55' szerokości i 150⁰ 15' długości jeograficznéj, był przed kilkunastu laty przeznaczony na miejsce osiedlenia ze-

podbiegunowego niedźwiedzia — pojawienie się téj białéj poczwary w blizkości osady, jest tylko hasłem przedsięwzięcia różnych środków ostrożności jak np. rozpalania ognisk. strzelania na wiatr z broni palnéj i t. d. Rzeczywiste myśliwstwo na tego zwierza ma miejsce w śród osad Ostyaków i Samojedów, rozsianych ponad brzegami oceanu Lodowatego. Polowania podobne odbywają się najczęściéj w nocy, Wiadomo powszechnie, że pod tym stopniem szerokości geograficznéj, noc, przerywana krótkotrwałém, kilkadziesiąt zaledwie minut trwającém ukazaniem się słońca, ciągnie się przez długie zimowe miesiące. Wtenczas to Ostyaki, uzbrojeni w łuki o długich strzałach, i w nabite goździami maczugi, robią myśliwskie wyprawy. Dwóch albo trzech podbiegunowców, pokrytych od stóp do głowy skórami futrem do góry odwróconemi, suną powoli wśród śnieżnéj przestrzeni. Jasnę światło niebieskich, żółtych i różowych słupów, ukazujących się kolejno na ciemnym horyzoncie niebios, niby bezprzestanny olbrzymi fajerwerk, oświetla fantastycznym blaskiem tę scenę. Jestto zorza północna, zjawisko, którego czarującéj wspaniałości żadne opisy wyobrażenia dać nie mogą. Wszystko tam co chwila zmienia swe barwy: i biała powierzchnia ziemi, i śpiczaste cyple gór lodowych, i niedźwiedź siedzący nieruchomie na najwyższym szczycie olbrzymiéj bryły skrystalizowanéj wody, wydają się być to pływającemi w niebieskim eterze, to ozłoconemi metalicznym blaskiem, to wreszcie ziejącemi purpurowym ogniem erebu.

Powiérzchowność myśliwców, których nietylko całe ciało ale i twarz kryje się pod kudłatym włosem przywdzianéj skóry, jest tak podobną do poszukiwanego przez nich zwierza, że tenże częstokroć omamiony złudzeniem, pozwala polującym na niego Ostyakom zbliżyć się do siebie. Biały niedźwiedź przesiaduje zwykle na najwyższym szczycie lodowéj

słanych sekciarzy Skopców — po przeniesieniu zaś tychże sekciarzy w okręgi południowe u mianowicie w okręg Minusiński, jedna trzecia część domów stoi pustkami. Pomimo jednak tak ograniczonéj ludności Turuchańsk znaczne oddaje usługi południowym stronom Jenisejskiéj gubernii, zaopatrując je w rozliczne gatunki ryb, poławiających się przy ujściu rzeki Jeniseju, i na brzegach oceanu lodowatego. (*Przyp. aut.*)

góry, i przestępując z łapy na łapę, mrucząc ponuro, śledzi wszelkie poruszenia swych nieprzyjaciół. Jeżeli pomimo sztucznéj powłoki, poznał w oddaleniu lub przeczuł węchem człowieka, nim strzała z cięciwy wypuszczoną została, zsuwa się szybko na tylnych łapach po ślizkiéj powierzchni lodu, i w jedném mgnieniu oka z napastowanego przemienia się w napastnika. Wtenczas jedyną obroną myśliwca staje się maczuga; napiąć bowiem łuku niema on czasu, a noża z powodu przymarzania żelaza do włosów skory, nigdy w walkach swych z dzikiemi zwierzętami nie używa. W razie możności przybliżenia się Ostyaków na odległość strzału od niedźwiedzia, wprawną ręką puszczony pocisk zabija go najczęściéj na miejscu, a biała poczwara zsuwa się z lodowéj góry, ale już bezwładna lub téż śmiertelnemi ruchy drgająca. W polowaniach powyższych, przybyli za handlem ryb w te strony kupcy, próbowali używać broni palnéj; lecz okazało się, że kula karabinowa, odbita od gęstych i grubych kudłów niedźwiedzia, nie jest tyle skuteczną, ile ostra i zatruta częstokroć strzała ostyackiego łuku.

Wilk syberyjski, przewyższający także rozmiarami ciała europejskiego wilka, ma sierć koloru białego — barwa ta jednakże, w miarę oddalenia od bieguna północnego zmienia się stopniowo pod wpływem coraz łagodniejszego klimatu na siwą, płową i brunatną. Zwierzęta rzeczone chodzą najczęściéj stadami, obyczaje zaś ich i sposób życia zupełnie takie same jak wilków europejskich, a odmiana jaka widziéć się daje w kolorze ich futer, pochodzi nie z różnicy gatunku, ale z przyczyn wyłącznie klimatycznych. Wilki syberyjskie rzadko bardzo, nawet w przemagającéj liczbie napastują człowieka. Jadąc przez gubernią Tobolską kilkakrotnie zdarzyło mi się spotkać gromady tych zwierząt, biegnących w niejakiéj odległości od sań pocztowych; zaledwie jednak przewodnicy moi zdołali schwycić za broń, już one pędem uciekały w różne strony. Okoliczność powyższa powtarzająca się nader często na publicznych traktach, wyrodziła mniemanie, jakoby syberyjskie wilki były więcéj apatyczne i nierównie trwożliwsze od naszych; jednakże tak nie jest, powiérzchowna bowiem ich obojętność nie wypływa

z braku odwagi, lecz z dostatecznego pokarmu jaki w każdéj chwili mają na zawołanie. Wilk nie należy do liczby zwierząt drapieżnych, głód jedynie zmusza go do szukania pożywienia, a krańcowa ostateczność do rzucania się na człowieka. W Syberyi, gdzie domowe inwentarze nie bywają zamykane w odpowiednich na ten cel budynkach, ale zimują na wolném powietrzu, wśród ogrodzeń utworzonych z żerdzi, znajdują one zawsze gotową biesiadę z bydła, koni, owiec, i nie mają potrzeby narażać się na niebezpieczeństwo walki z człowiekiem. W okręgach bardziéj na północ posuniętych, nad brzegami morza lodowatego, liczne stada renów, szukających mchu pod śniegiem, są także gotową pastwą dla tych zwierząt; przeciwnie w gubernii Jakuckiéj jako mniéj zaludnionéj a tém samém nie dającéj im w każdéj chwili możności zaspokojenia swojego głodu, są one bez porównania niebezpieczniejszemi dla rzadkich podróżnych. Bywały przykłady, że całe rodziny kupców udających się do Jakucka, zostały pożarte przez tych zgłodniałych gospodarzy pustyni. Ani dostateczne uzbrojenie. ani niezachwiana odwaga nie mogą tu w niczém pomódz: liczba bowiem rozstrzyga walkę, a ilość napastujących wilków częstokroć do kilkuset dochodzi. Jakuty, jedno z piérwotnych plemion Azyi, żyjące po nad brzegami rzeki Leny, mają zwyczaj, szczególnie w zimie, otaczać swe auły różnemi pułapkami, w które te zwierzęta dosyć często wpadają. Celem inorodców jest nietyle zdobycie futer, których mają zawsze pod dostatkiem, jak raczéj odstręczenie przybiegłego zwierza od zbliżania się zanadto do swoich siedzib; trafiają się jednakże zdarzenia, że wilki, ominąwszy starannie zastawione na nich sidła, dostają się w sam środek auły, i porywają z jurt dzieci, lub nawet pożérają dorosłych ludzi. Te wypadki stały się zapewne źródłem do utworzenia licznych cudownych legend, przez Jakutów rozpowiadanych, a mających wiele podobieństwa ze znaną u nas baśnią ludową o wilkołakach.

Lis płowy w niczém zupełnie nie różni się od lisa europejskiego; zato pojawia się w Syberyi pewna odmiana tego rodzaju, nader rzadka i drogocenna, dająca futro, które

z powodu swéj piękności bywa nieledwie na wagę złota płacone. Mówimy tu o lisach czarnych czyli niebieskich. Niejedna z czytelniczek moich podziwia te futra w składach handlowych — niejedna z dziewic w marzeniach swoich o wyprawie ślubnéj widziała się panią tego skarbu, którego posiadaczem nie każdy być może; nikt jednak nie zdoła powziąść prawdziwego wyobrażenia o piękności powłoki czarnego lisa, kto nie widział tego zwierzęcia na syberyjskich stepach. Wprawdzie widokiem podobnym nie każdy pochwalić się może: zwierz to jest nader rzadki, niedający dostąpić do siebie, i chytrzejszy bez porównania od znanych powszechnie pobratymczych mu rodzajów.

Raz jeden w życiu widziałem czarnego lisa: było to u podnóża gór Sajańskich, nad granicą Mongolii. Zwierz ten wyszedł z jaskini w rozpadlinach skał utworzonéj, i stanął w śród wyniosłości górzystéj, niewidząc mnie leżącego na murawie i nie przeczuwając, z powodu kierunku wiatru, pod którym znajdował się, tak blizkiéj obecności człowieka. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały czarną jego postać, której kontury mieniły się barwą fioletowo-niebieską. Zdawało się, iż kolor ten, wyzwany szklistą czarnością jego włosów, lśni niby obwódka fosforycznego światła we wszystkich zarysach ciała. Nie miałem w téj chwili innéj broni prócz pistoletów; zaledwie jednak zdołałem sięgnąć do pasa, już zjawisko znikło z przed moich oczów, tak szybko i niespodzianie, jak znikają kłęby czarnego dymu, rozwiane podmuchem wiatru. Gdyby nie ślady stóp lisich wyciśnięte na piasku pagórka, sądziłbym, że to co widziałem było tylko igraszką wyobraźni mojéj.

Na lisa czarnego nikt nie poluje wyłącznie, spotkanie bowiem tego zwierza jest wypadkiem; ubicie, epoką w życiu mieszkańca stron północnych. Znałem myśliwych, wszystkie wolne od zajęć chwile poświęcających polowaniu, którzy nigdy tego rzadkiego w syberyjskiéj faunie egzemplarza nie widzieli. Jak artysta o sławie, bankier o giełdowych spekulacyach, a młoda dziewica o swym przyszłym, tak Syberyjczyk marzy o drogocennéj powłoce chytrego zwierzęcia. Zdobycie wspaniałego futra, a następnie zamienienie go

na zwój różnokolorowych banknotów, w każdéj chwili staje mu na myśli i łechce przyjemnie jego wyobraźnię. Skóra lisia kojarzy, częstokroć małżeństwa, rozrywa węzły najsilniejszéj przyjaźni, i staje się powodem zmiany losu całych rodzin; ale jak to wszystko na tym świecie bywa, nie zawsze bogaci tego, który ją zdobyć zdołał, lecz przechodząc kolejno przez wiele rąk, uszczęśliwia cały szereg chwilowych posiadaczy aż do czasu, w którym zamieniona w atłasową szubę, spocznie na plecach jakiéj bogatéj dygnitarki, lub téż tancerki baletu, dam, mogących, jak wiadomo, łatwiéj od innych dozwolić sobie podobnego zbytku.

Opowiadano mi razu pewnego ciekawą historyą o skórze z czarnego lisa. Opowiadający, Francuz rodem, podróżujący po Syberyi w interesach kommissowych, należał do rzędu tych wesołych dzieci Paryża, którzy w potocznéj rozmowie umieją każdy szczegół ubarwić zajmującemi anegdotami. Chociaż jednak za autentyczność podanych faktów ręczyć nie można, historya ta tak jaskrawo maluje koleje przechodzenia handlowego przedmiotu z rąk do rąk, zanim wyszedłszy od piérwotnego posiadacza stanie się własnością ostatniego nabywcy, iż nie podobna mi wstrzymać się od przytoczenia jéj czytelnikom moim.

Otóż więc jednego pięknego poranku, włościanin gminy bałachtińskiéj ubił czarną lisicę. Ucieszony swą zdobyczą dopóty pił z radości w poblizkim szynku, dopóki się na śmierć nie zapił. Włościanin był biédnym, chudoba jego nędzną, gardło szerokie, synowie więc zmarłego, nie mając go za co pochować, musieli ją sprzedać czyhającemu na ten nabytek sąsiadowi za 10 rubli. Sąsiad był chytrym, ale daleko chytrzejszym od niego okazał się kuśnierz bałachtiński, urlopowany kozak, który powziąwszy wiadomość o rzadkiém futrze, tak zręcznie umiał manewrować, że za 20 rubli stał się jego właścicielem. W owym czasie przejeżdżał przez Bałachtę żyd jakiś. Żydzi handlują wszystkiém, do skórek mają nieprzezwyciężony pociąg, a w przebiegłości przechodzą nawet urlopowanych kozaków. Wiedząc to wszystko, dziwić się nie można, że owa skóra przeszła w ręce starozakonne za summę okrągłą 50 rubli. Izra-

elita powiózł swoją zdobycz do Krasnojarska, a mając zasadę zadawalniać się małemi zyskami, aby tylko handel szedł i kapitały nie spoczywały, odprzedał ją zaraz jednemu z tamtejszych kupców za 75 rubli. Kupiec był właśnie na wyjezdném do stolicy wschodniéj Syberyi, zabrał więc ze sobą nowy nabytek, ażeby go tamże spiéniężyć. Nie wiem już jakim wypadkiem, jakaś bardzo wysokie zajmująca stanowisko osoba, dowiedziała się o drogocennym futrze (działo się to bowiem jeszcze w czasach, w których ludzie nie byli tak skrupulatnymi) i przyzwawszy do siebie brodacza odebrała od niego takową; a choć wprawdzie kupiec nie otrzymał za nią zapłaty, dostał jednak w zamian przywiléj na dostawę skarbowéj mąki, na któréj znaczną summę piéniędzy zarobił. Jakim sposobem owa skóra wyszła z rąk dygnitarskich, nikomu nie było wiadomo: wszystkie kroniki miejscowe milczą w téj materyi; to tylko jest rzeczą niepodlegającą wątpliwości, że przechodząc kolejno przez różne ręce podwyższyła się stopniowo w cenie, aż nakoniec spekulant jeden w Ochocku kupił ją za ogromną summę 500 rubli sr. wynoszącą. Wszyscy mieszkańcy Ochocka śmieli się z téj niefortunnéj spekulacyi; futro leżało u spekulanta, jaki taki je oglądał, a każdy ruszał ramionami, usłyszawszy o wygórowanéj cenie za jaką je nabyto. Spekulant, który z natury był małomównym, nic nie odpowiadał na żarty i przekąsy znajomych, każdemu chętnie pokazywał swój nabytek, przewietrzał go. składał, przesypywał tytuniem i czekał. Tak się miały rzeczy, gdy do Ochocka przybył na własnym yachcie jakiś bogaty Anglik. Nowoprzybyły był z rodzaju tych John Bull'ów, którzy muszą wszędzie być, wszystko poznać, wszystko zakupić. Szukał on w Egipcie źródeł Nilu, których nie znalazł, był w Guyanie, gdzie mało nie zmarł na zgniłą gorączkę, był w środkowéj Afryce, zkąd zaledwie uciekł przed apetytem mieszkańców pragnących przyrządzić z niego pieczyste, był w Chinach, gdzie, wzięty za missyonarza, tylko co nie został ukrzyżowanym przez fanatycznych bonzów; słowem widział wszystko co tylko widziéć można na tym zbiorze błota, brudów i kału, który zwie się kulą ziemską. Nie — mylę się: on który wszystko poznał i zobaczył, od

przylądka Dobréj Nadziei aż do oceanu Lodowatego, od Finisteru aż do obszarów państwa niebieskiego, nie widział jeszcze czarnego lisa!

Spekulant zażądał od niego tysiąc rubli.

Anglik, nie wyrzekłszy jednego słowa, wyjął z pugilaresu banknoty, a skórę zabrał z sobą do rodzinnego swego kraju.

Podobno nawet ów John Bull, który lubił ażeby o nim mówiono, kazał jakiemuś chudemu literatowi, w zamian za sporą ilość funtów sterlingów, opisać wypadki swojéj podróży, które póżniéj pod własném wydrukował nazwiskiem. W wypadkach tych, upolowanie przez niego w Syberyi czarnego lisa główną odgrywało rolę.

Podróże te, przetłumaczone na język francuzki, figurowały w „Revue Britanique.“ Jeden z księgarzy paryzkich, mający zwyczaj przez zręcznie zastosowane illustracye, unieśmiertelniać wszystko i wszystkich, wydał przy pomocy ołówka i rylca opis tych podróży, ozdobiwszy go wspaniałemi rycinami. Czarna lisica znalazła tam swoje miejsce, W Lipsku wyszło album dla myśliwych, w którém nie pominięto słynnego polowania na Syberyi. Anglik stał się sławnym na całym świecie.

Sic vos non vobis.

Zwierzęciem, zaopatrującém także handel w drogocenne futra, choć nie tyle rzadkiém jak czarny lis, jest sobol. Znajduje się on tylko w południowych stronach Syberyi wschodniéj: północne strony zupełnie go nie znają. Jestto zwierzątko trwożliwe, ¬winne, nader szybko biegające na swych krótkich łapkach, do złowienia dosyć trudne; témbardziéj że w wyprawach na sobole sztuka jedynie zastępuje broń wszelką, któréj użycie z obawy uszkodzenia futerka, w żadnym razie miejsca miéć nie może. Sobole poławiają się w Jenisejskiéj gubernii nad granicami Mongolii, w Irkuckiéj poza jeziorem Bajkałem, także i w środkowych tajgach, lecz najwięcéj w nie obfitują ziemie nad rzeką Amurem położone. Przed kilkunastu laty mnóstwo biédnych handlarzy futer, nagłe swoje zbogacenie winno sobolom — nim bowiem Amur przyłączony został do imperyum rossyjskego, Gilliaki, plemię piérwotne zamieszkujące tę prowincyą, nie zna-

jąc prawdziwéj wartości sobolowych futer, zbywali je częstokroć sąsiadującym z nimi Chińczykom, za garść tytuniu, lub jakąbądź drobnostkę niewielkiéj wartości. Po przyłączeniu wzmiankowanéj ziemi do Cesarstwa, wielu z syberyjskich przemysłowców udało się w tamte strony, zamieniając przywiezione przez siebie w tym celu fatałaszki, na skórki tego zwierzęcia. Znałem jednego kupca, który wycieczce na Amur z przedmiotami nie wielką kwotę piénjędzy reprezentującemi, winien był swój krociowy majątek. Obecnie to położenie rzeczy uległo zmianie — Gilliaki poznali wartość sobola; a chociaż i dzisiaj jeszcze można od nich nabyć przy zamianie skórkę tego zwierzęcia w cenie odpowiadającéj mniéj więcéj 8 lub 10 rubli, i sprzedać takową na jarmarku niżno-nowgorodzkim lub irbickim za 25 do 30 rubli; przecież zważywszy trudność i koszta przewozu z tak dalekich stron, handel ten, dając przyzwoite zyski, nie bogaci jak przedtém odrazu, trudniących się nim przemysłowców.

Wiewiórka syberyjska (biełka), dająca futerko zwane w handlu popielicami, różni się od wiewiórki europejskiéj barwą swojéj powłoki, i dla tejże barwy dosyć bywa poszukiwaną. Latem kolor jéj włosów jest sino' kasztanowaty, brzuch brunatny, i wtedy niema ona żadnéj wartości; za nadejściem zimy grzbiet jéj staje się zupełnie popielatym, a ogonek czarnym. Żywi się wyłącznie orzeszkami cedrowemi, i dla tego tajgi syberyjskie, obfitujące w te wspaniałe drzewa, dają schronienie niezliczonéj liczbie tych zwinnych zwierzątek. Biełka, schwytana żywą, daje się, podobnie jak nasza wiewiórka z łatwością oswoić. Zimowa skórka jéj płaci się na Syberyi od 10 do 20 kopiéjek.

Gronostaj, zwierzątko kształtu podługowatego, włosa śnieżnéj białości, choć małe, drobne i niepozorne, dostarcza futer poszukiwanych nietylko przez najpiérwsze elegantki całego świata, ale stających się jedném z godeł potęgi i najwyższéj władzy; płaszcz bowiem podbity gronostajami, od niepamiętnych wieków używany przy ceremoniałach koronacyjnych, wszedł razem z purpurą w dotykalne oznaki wielkości, chwały i znaczenia. Celowanie błamów gronostajowych jest podobno jednym z najtrudniejszych zadań dla ku-

śnierza, dlatego téż towar ten wychodzi z Syberyi po za Ural w stanie natury. Gronostaje chwytane bywają w rodzaj pułapek, zbliżonych formą do samołówek na myszy, roznoszonych u nas po domach przez druciarzy. Zwierzątka te lubią się wciskać we wszystkie szpary, szczeliny, jamy i rozpadliny skał; gdy więc ujrzą otwory pułapek wchodzą w nie nader szybko, a uwiązłszy do połowy ciała, wyléźć z nich nie mogą. Zwykle łowiec zastawia pięćdziesiąt do stu takich pułapek, a sam, ukryty za krzakami, śledzi wszystkie poruszenia małych zwierzątek. Gdy sądzi, że już dostateczna ich liczba schwytaną została, wychodzi ze swego ukrycia. Zabawny wtedy przedstawia się widok! Gronostaje, uwiązłszy łebkami w przygotowanych na ich pojmanie sidłach, starają się wszelkiemi sposobami wydobyć z niewoli, trzepocząc czarnym ogonkiem; on zaś najspokojniéj w świecie wyciąga je po jednemu ztamtąd i wpuszcza do obszernego płóciennego worka. Nader trudném jest zadaniem oswoić je: będąc raz w posiadaniu kilku żywych gronostajów, starałem się wszelkiemi sposobami przezwyciężyć ich dzikość — napróżno, wpuszczone do pokoju chroniły się w najciemniejsze zakątki, i wynajdywały zawsze jakieś szpary w które się wciskały. Po długich usiłowaniach, zwątpiwszy zupełnie o ich ułaskawieniu, obdarzyłem je wolnością. Trzeba było widzieć jak zwinnie i szybko chroniły się w pole, przekładając wolność stepową, nad przebywanie w ciasnéj i dusznéj syberyjskiéj izdebce.

Burunduk, zwierzątko najmniejsze z opatrujących w handel futrami, ma zaledwie trzy do cztérech cali wielkości. Jest barwy kasztanowatéj ozdobionéj prążkami białemi, nadzwyczajnie szybko biega, tak, że gdy się zwija po pniu i konarach drzew, trudno jest rozeznać jego kształty. Ma ono tę właściwość, że lubi przeraźliwie świstać, lecz jeżeli susły czynią to dla ostrzeżenia swych towarzyszów o zbliżaniu się wspólnego nieprzyjaciela, burunduk świszczy jedynie w celu lubowania się własnym swym głosem. W chwili gdy jest zajęty wydobywaniem przenikliwych tonów ze swego maleńkiego gardziołka, można swobodnie podejść do niego, i uchwycić żywego ręką. Polujący na to zwierzątko miesz-

kańcy Syberyi, nie zadają sobie nawet trudu łowić je w sidła, lecz poprostu zabijają zajęte świstaniem jedném uderzeniem pręta. Skórka z burunduka nie ma wielkiéj wartości; jednakże cały błam, z powodu znacznéj liczby użytych do niego futerek, jakotéż trudności w celowaniu takowych. płaci się w handlu od 15 do 20 rubli.

Dzikie koty spotkać można na południu Syberyi, nad granicą chińską; pojawiają się one rzadko, gdyż miejscami ich zwykłego przebywania, są strefy cieplejszego państwa niebieskiego. Kształtem podobne do domowych kotów chińskich, rozmiarami ciała dochodzą wielkości lisa. Polują na sobole, gronostaje, burunduki i inne pomniejsze zwierzęta; człowieka nie napastują nigdy; przy spotkaniu z nim chronią się ucieczką — jednakże ranione stawiają mu walecznie czoło. Futra ich, używane przez Chińczyków średniéj zamożności, nie dochodzą do Europy. W czasie konikularnych upałów, dzikie koty, podpadłszy chorobie wodowstrętu, stają się bardzo niebezpiecznymi, nietylko dla błądzących po stepach, ale i dla sąsiadujących ze stepami i tajgami mieszkańców wiosek. Skutki wścieklizny tém są okropniejsze w tych stronach, że Chińczycy nie znają środków leczenia jéj, i zabijają bez żadnego skrupułu ludzi pokąsanych przez wściekłe zwierzęta, nie czekając nawet oznak pojawienia się téj strasznéj choroby. W Syberyi, nie dają się widziéć dotknięte wodowstrętem dzikie koty, z powodu że one w téj ziemi są tylko przechodniemi, i przybywają zwykle w bardzo ograniczonéj liczbie z tajg państwa niebieskiego.

Chociaż, wyliczając zwierzęta faunę syberyjską składające, wspominam tu tylko o tych, z których ludność miejscowa ciągnie użytki, pomijając liczny szereg tak ptaków jak i zwierząt ssących żadnéj nie przynoszących korzyści, a to w chęci skrócenia już i tak grzeszącego jednostajnością artykułu; niepodobna mi jednak zbyć milczeniem jednego nieznanego zupełnie w Europie stworzenia, którego futerko, choć nie nader cenne, używanem jest przecież przez piérwotne plemiona Azyi, a mianowicie Jakutów i Buryatów, do obszywania i zdobienia noszonych przez siebie ubiorów.

Zwierzęciem tém jest letiaga, rodzaj nietopérza. Letiaga podobnie jak pokrewne z nią gatunki, ma skrzydła błonkowate, ostremi kolcami zakończone; różni się zaś od nich nietylko rozmiarami swego ciała, śnieżnym kolorem swéj sierści miękkiéj i puszystéj ale, i łatwością z jaką biega po ziemi. Zwierzątko to zamieszkuje wszystkie części Syberyi, wyjąwszy krańcowéj północy — wielkości kurki wodnéj lub kuliga, przekłada nocną porę nad dzienną, chociaż i we dnie nie rzadko spotykać się daje. Wypłoszone z urwisk i rozpadlin skał, gdzie częstokroć przed promieniami słonecznemi szuka schronienia, ucieka szybko po stepie, zwinąwszy swe skrzydełka pod siebie. Dognane ulatuje w powietrze; i wtedy nader trudno najwprawniejszemu w celne strzelanie myśliwemu ubić je, z powodu gzygzakowatych poruszeń, jakiemi się w swym locie kieruje. Oprócz wyżéj wzmiankowanych, Syberya posiada jeszcze borsuki, wydry, łasice, tumaki, kuny i tchórze: te ostatnie jednak mało stosunkowo bywają poławiane, z powodu, że miejscami ich pobytu bywają zupełnie niezamieszkałe części północne gubernii Jakuckiéj.

Tyle o zwierzętach, których futra chronią nas od srogości zimy, lub stają się ozdobą bogatych wybrańców losu: co zaś do zwierzyny dającéj człowiekowi pożywienie, téj liczba i rozmaitość przechodzi wszelkie pojęcie. Nieprzeliczone gromady białych zajęcy, białych kuropatw, cietrzewi, głuszców, gęsi, kaczek, jarząbków, słomek, łabędzi dzikich i t. d. zalega pola, tajgi, lasy, pustynie i stepy: można je w każdym czasie dostać w sidła — po jednym zaś wystrzale z broni palnéj pada zwykłe kilka sztuk na raz, tak gęste są ich stada. Zwierzyna bita w zimie i mrożona, posyłaną bywa do miast i miasteczek, i odstępowaną hurtowym handlarzom.

Zajęcy nikt tu nie jada; lud wiejski uważa tę zwierzynę za rodzaj psa i brzydzi się jego mięsem, skórka zajęcza niema także wielkiéj wartości; dlatego téż aby oszczędzić nabojów, nie polują na takowe, czasami tylko łowią je w zastawione sidła.

Głównym pożywieniem hord koczujących piérwotnych szczepów Azyi, są znane u nas jelenie i sarny; jakotéż reny, łosie, tury i różne gatunki kóz dzikich.

Reny, nazywane przez Syberyaków ogólnem mianem jeleni, do których rodzaju należą, stanowią przecież odrębny, wyłączny zupełnie gatunek. Czém jest pracowity wół dla mieszkańców środkowéj Europy, wielbłąd dla Arabów pustyń afrykańskich, tém się staje ren dla Ostyaków, Samojedów i innych plemion na krańcowéj północy, wpośród wiecznych śniegów i lodów zamieszkałych. On ich karmi swém mięsem, poi swém mlékiem, odziéwa swoją skórą; a służąc do zaprzęgu, przenosi z miejsca na miejsce całe rodziny koczujących wśród koła biegunowego pokoleń. Wytrzymały na najsroższe zmiany klimatu, żyje w miejscowościach, w których świat roślinny nader słabe okazuje oznaki życia, człowiek z trudnością oddycha, a merkuryusz marznie. Żywi się mchem głęboko ukrytym pod śniegiem, wypełnia ochoczo wszystkie posługi, daje wszystko z siebie nic w zamian nie pragnąc. Ren, będący domowém zwierzęciem podbiegunowców, stanowiący część ich materyalnego bytu, zespolony ze wszystkiemi potrzebami ich codziennego życia, nie mógłby znaléźć pomieszczenia w tym szeregu mieszkańców tajg i stepów składających właściwą syberyjską faunę, gdyby nie ta okoliczność, że niektóre z tych zwierząt żyją w stanie zdziczałym. W prawdzie dzikich renów niewielka znajduje się ilość: wszystkie one wywodzą swoje pochodzenie od odłączających się przypadkiem z domowego inwentarza małych; ale zawsze i ta cząstka, daje nam prawo pomieszczenia ich w oddziale objętym zakresem niniejszego artykułu. Reny dzikie albo raczéj zdziczałe, są jeszcze szybszemi w biegu, i cokolwiek większego wzrostu od swojskich.

Jeleń z gatunku znanego w Europie, znajduje się w środkowych tajgach gubernii Jakuckiéj. W obszarach leśnych, które ten zwierz zamieszkuje, bywają pewne niewielkie przestrzenie przez kataklityczne wstrząśnienia, lub zmiany biegu rzek utworzone, zieloną murawą porosłe, na których drzewa ustępują miejsca pastewnym roślinom. Są to niejako jaśniejsze

punkta w pośrodku zawsze ciemnéj, ponuréj, mało promieni słonecznych przepuszczającéj tajgi. W obrębie tychoaz lesistéj pustyni, jelenie gromadzić się lubią: tam znajdują one wyborny pokarm, tam swobodnie poharcować mogą, niewstrzymywane w swym biegu przez zbitą massę poplątanych gałęzi; tam więc najczęściéj w porze jesiennéj zrzucają swe rogi. Jakuty, wiedząc o tém, w wycieczkach swoich wśród głębin tajemniczych, po obu stronach rzeki Leny rozciągających się, wyszukują starannie tych miejscowości, i wracają ztamtąd obciążeni ogromną ilością ozdób jelenich, z których następnie wyrabiają różne narzędzia, a częstokroć używają ich nawet do budowania swych jurt. Przestrzenie te, otoczone zewsząd olbrzymiemi drzewami, a nazwane poetycznie przez Jakutów „oazami tajg" (Wa-hali), stanowią, że się tak wyrażę, rodzaj muzeów pustyni, utworzonych przez jelenie, które znoszą tam najpiękniejsze swoje skarby. W tajnikach puszcz afrykańskich, słonie, wiedzione zadziwiającym instynktem, wyszukują najniedostępniejszych miejsc, i idą tam umiérać na starość, jakoby pragnąc ochronić swe zwłoki przed profanującą chciwością człowieka. W tajgach azyatyckich jelenie obierają pewne punkta, dla składania na nich najwspanialszego swego przystrojenia. Jak więc Afryka ma cmentarze pustyni, tak i Azya posiada muzea lasów: wprawdzie te ostatnie ubogie, skromne, nie przynoszące wielkiéj korzyści przywłaszczycielowi, nie mogą iść w porównanie z pierwszemi; wprawdzie tu więcéj może przyczyny wyłącznie materyalne niż instynkt zwierzęcia, gromadzi kryjące się przed okiem ludzkiém zbiory; jednak owa wspólna dwóm krańcowym kuli ziemskiéj obszarom okoliczność, daje pole do zastanowienia się nad jednolitością obyczajów różnorodnych zwierząt, i nad nienasyconą niczém chciwością nieprzyjaciela ich wszystkich, człowieka, który jako samowładny pan przyrody, zawsze, ciągle i wszędzie ciągnie korzyści z ich życia, z ich śmierci, nie przebaczając nawet pozostałym po nich zabytkom.

Łoś zwany rossochaty, ma rogi spłaszczone, szerokie, rozłożyste, podobne do rogów daniela — sierść siwo żółtawą, wielkość zwyczajnego jelenia. Mieszka wszędzie, gdzie tyl-

ko są lesiste okolice, począwszy od stepów kirgizkich aż do Amuru; w północnych tylko częściach Syberyi nie pojawia się wcale. Wśród tajg nad granicą chińską, chodzi stadami z pięćdziesięciu sztuk składającemi się: w tajgach jakuckich jest mniéj liczny.

Łoś, *syn* zwany, bezporównania większy od rossochatego. ma łeb ogromny, rogi podobne kształtem do jelenich; odznaczające się jednak tém, że są całkiem sierścią popielatą porosłe, i że na samych ich końcach tworzy się materya, posiadająca własności ekscytujące. Zwierz ten porzuca swoje ozdoby w sierpniu, w początkach zaś marca zaczynają mu rosnąć nowe z przybywającemi w miarę lat odroślami, tak jak u wszystkich tego rodzaju gatunków — materya zaś tworząca się pomiędzy kością a zwiérzchnią powłoką na najwyższych odroślach, koloru czerwonego, z powodu nadzwyczajnych swoich własności, sprawia, że rogi tego zwierzęcia, nader są przez Chińczyków poszukiwane i wysoko płacone. Naród Chiński, zdenerwowany jak wiadomo życiem materyalném i bezmierném używaniem opium, potrzebuje w danych razach sztucznych środków, dla podbudzenia uśpionéj albo raczéj wycieńczonéj swéj natury. Każdy ojciec w państwie niebieskiém, żeniąc swojego syna, daje mu w podarunku parę lub więcéj podobnych rogów; bogaci po kilkanaście par synom swoim ofiarują w dniu zawarcia związków małżeńskich. Okoliczność powyższa jest powodem, że towar ten, w Syberyi już drogo płacony, bywa odprzedawany chińskim kupcom po 75 do 100 rsr. za parę. Mięso syna użyte na pokarm jest twarde i niesmaczne — chrapy zaś jego czyli nozdrza uważane bywają powszechnie za najwybrédniejszy przysmak, i podobnie jak garb wielbłąda lub łapy niedźwiedzia, stanowią ozdobę najwykwintniejszych stołów, i rozkosz gastronomiczną najzawołańszych smakoszów. Ze wszystkich bez wyjątku zwierząt, obszary Syberyi zamieszkujących, olbrzym powyżéj wymieniony, najwięcéj dostarcza materyału do cudownych baśni i fantastycznych opowiadań. W chacie włościańskiéj, w jurcie inorodca, pod namiotem cygana, przy ognisku stepowém koczowiska, wpośród auł tunguzkich, wszędzie gdzie tylko ży-

je lud prosty, a zatém skłonny do wiary w nadprzyrodzone zjawiska, słyszéć można w pogadankach wieczornych dziwne historye, a w każdéj z nich prawie syn odgrywa jakąś czarodziejską rolę. W pośrodku obon (starożytnych cmentarzy tatarskich) chodzi on poważnie jak tengri, odwieczny upiór przodka — w czasie ciemnéj nocy przemyka się w zaklętych miejscach, przedstawiając „horus lykas“ czyli ducha ciemności. U Jakutów bywa opiekuńczém bóstwem, u Tatarów wykonywającą ślepo wolę szamanów istotą, nawet i zabajkalskie Buriaty, plemię najmniéj skłonne do wiary we wszystko co wychodzi po za obręb materyalizmu, i ograniczonego kółka codziennych ich zajęć, wspomniawszy o nim kiwają głowami, dodając, że w tém zwierzęciu jest coś niewytłumaczonego i niepojętego. Niektórzy z ruskich pisarzy mniemają, że przyczyną fantastyczności przywiązanéj do tego gatunku łosia, jest wzrost niepospolity zwierza, drudzy twierdzą, że główny powód tych legend stanowi jego wzrok, dziwny, przenikliwy, prawie człowieczy; najprawdopodobniéj jednak, źródło wszelkich baśni bierze początek w podbudzających własnościach materyi, w końcach jego rogów zawartéj, która, będąc w swych skutkach zupełnie syberyjskim mieszkańcom nieznaną, uważaną jest przez nich jako eliksir cudowny, tajemniczy, skrzętnie przez Chińczyków poszukiwany do ukrytych, a tém samém nadprzyrodzonych celów.

Sarna, cokolwiek większa od europejskiéj, wychodzi rzadko z głębi tajg na otwarte pola. Niestraszona przez człowieka, i nie znająca grożącego jéj z téj strony niebezpieczeństwa, przy spotkaniu z myśliwym nie okazuje obawy, i z wielką łatwością upolować się daje. Mięso jéj, jak i w ogóle wszystkich innych syberyjskich dzikich zwierząt na pokarm używanych, nie dorównywa w smaku odpowiednim gatunkom w Europie zamieszkałym. Przyczyną tego są także, jak się zdaje, warunki klimatowe. Długi odpoczynek przyrody w czasie trwania ośmiomiesięcznéj zimy, nagły następnie wzrost roślin, rzadkość dészczów, niedostatek rosy porannéj i wieczornéj — wszystko to wpływa razem wzięte na części składowe traw i ziół pastewnych, i staje

się bezpośrednio powodem różnicy w smaku mięsa, żywiących się niemi zwierząt. Chociaż botanika azyatycka różną jest od europejskiéj, lecz zioła państwa niebieskiego są prawie te same co w Syberyi; a jednak mięso zwierząt północne nawet Chiny zamieszkujących, wyborniejszém okazuje się od syberyjskiego. Nie dosyć na tém: sarny syberyjskie, emigrując całemi stadami z Jenisejskiéj gubernii do Mongolii, i tam po pewnym przeciągu czasu bite przez Uranchajców, nie odróżniają się w smaku od sarn mongolskich, tak wielki na nie wpływ wywiera zmiana klimatu.

Kiedy już z toku niniejszego opowiadania zbliżyliśmy się do południowych krańców Syberyi, wspomnijmy z kolei o zwierzętach, które najwięcéj te strony zamieszkują. Wzdłuż granicy chińskiéj, wpośród przerażających dzikością okolic, tam gdzie góry Sajańskie najeżone skałami rysują fantastyczne kuntury na jasnym widokręgu niebios, lub dziewiczy Ałtaj strzela ponad obłoki cyplami swych wiecznym pokrytych śniegiem szczytów — znaléźć można liczne gatunki kóz dzikich, które podobnie antylopom Pireneów pną się z nadzwyczajną łatwością po urwiskach i skałach, a wystraszone wykonywają po nad przepaściami zadziwiające rzutkością i siłą skoki.

Z pomiędzy wielu odmian tych zwierząt, dwa szczególniéj zwracają uwagę badacza przyrody, a temi są: koza piżmowa, i koza pręgowata, zwana przez mongołów żymin. (1). Właściwością piérwszéj są dwa pęcherzyki napełnione materyą mięsną, które zasuszone dają rodzaj piżma mocny zapach wydającego, a poszukiwanego w handlu przez farmaceutów. Przed kilku laty, przy zamianach handlowych z nadgranicznemi plemionami, nabyłem znaczną ilość tych narośli piżmowych od Mongołów, lecz nie mając ustalonych stosunków handlowych z rodzinnym krajem, by-

(1) Język mongolski jest tak ubogim, że nazwa żymin dosłownie przetłumaczona znaczy po prostu: „kozieł“, jednakże mongołowie innych gatunków kóz nie nazywają tém mianem; rossyjscy zaś mieszkańcy Syberyi, wziąwszy żywcem od Mongołów powyższe nazwanie, nie mianują inaczéj kozy pręgowatéj. (*Przyp. aut.*).

łem zmuszony zbyć je miejscowym przekupniom, po cenach nieodpowiadających rzeczywistéj ich wartości. Gdy koza piżmowa, oprócz wyżéj wyszczególnionéj własności, nie ma w sobie nic wyróżniającego ją od innych gatunków, żymin zato odznacza się włosem długim, miękkim, barwy śnieżnobiałéj. Główném i wyłączném znamieniem téj kozy jest pręga czarna wzdłuż całego grzbietu przechodząca; sierść pokrywająca nogi jéj ciemniejszą jest od włosów łba i tułowiu, w miarę zaś przybywających lat, coraz więcéj ciemnieje, tak że te części ciała na starość przybiérają u nich kolor zupełnie czarny. Żymin jest rzadszym od pokrewnych mu rodzajów, skóra jego ceniona w. handlu miejscowym mało bywa wysyłaną za granice Syberyi, z powodu trudności jakie przedstawia jéj wyprawienie. W ogóle wszystkie gatunki kóz dzikich, oprócz niezwykłéj chyżości w biegu, siły w skokach, i łatwości z jaką chodzą po niedostępnych urwiskach, ślizkich opokach, i wązkich nad przepaściami ścieżkach, odznaczają się do wysokiego stopnia posuniętą przezornością, i przechodzącą zwykłą wszystkim dzikim zwierzętom przebiegłością. Miejsca, które im przyroda przeznaczyła na mieszkanie, są tak niedostępne, że oprócz olbrzymiego orła porywającego częstokroć w swe szpony nowo wylęgłe koźlątka, rzadko bardzo zdarzy im się ujrzéć innego nieprzyjaciela; a pomimo tego, jeżeli przypadkiem oko myśliwca spostrzeże na szczycie wyniosłéj opoki, rysującą się sylwetkę dzikiéj kozy, zanim tenże zdoła upamiętać się, schwycić za broń, już chwilowe zjawisko, niby senne złudzenie, znika niepowrotnie. Polujący na te zwierzęta Syberyjczycy, znając ich obyczaje, używają tysiąca różnorodnych sposobów i podstępów do podejścia ich czujności; obznajmieni ze wszystkiemi tajemnicami pustyni, wprawni we wszystkie wybiegi, właściwe charakterowi samorodnych dzieci natury, dopinają najczęściéj swych celów, wtedy gdy najzawołańszy w swym fachu europejski myśliwy, błądząc dnie całe po labiryncie gór, skał i wąwozów, stanowiących właściwą rzeczonych stworzeń ojczyznę, powraca z niczém, lub co najwyżéj, za całą nagrodę swych trudów ma prawo pochwalić się widokiem chyżéj i wiotkiéj istoty,

która, niby cień fantastyczny, zaledwie ujrzana, zda się rozpływać w eterze.

Gdy południowe strony gubernii Jenisejskiéj i Irkuckiéj obfitują w dzikie kozy — nowo przyłączona do Imperium rossyjskiego ziemia amurska, jest prawie wyłączną ojczyzną znakomitego rozmiarami ciała, potężnego siłą, strasznego zapalczywością zwierzęcia. Tur, z rogów i kształtem ciała podobny do olbrzymiego wołu, ma na karku rodzaj grzywy z przedłużonéj sierści utworzonéj; w chodzie ciężki, trudny w ruchach, staje się przecież w walce oporem swym nader niebezpiecznym. Giliaki, zamieszkujący tę prowincyą, urządzają na niego liczne wyprawy, i bardzo często przy podobnych wycieczkach, kilku z nich przypłaca życiem swoją zuchwałość. W prowincyach chińskich, graniczących z ziemią nadmurską, gdzie znajdują się różne siedziby i legowiska tego zwierzęcia, wyprawiane na niego bywają z rozkazu mandarynów zarządzających krajem, obławy, połączone z brzękiem dzwonków i uderzeniami tamtam'ów, stanowiących pewien rodzaj zabawy i uroczystości ludowéj. Igrzyska te mają niejakie podobieństwo do walki byków w Hiszpanii, z tą różnicą, że szrankami zapasów jest tu obszar nieograniczony, zagrodą zastępy milicyi chińskiéj, a przeciwnikami cała publiczność. Jeden przeciwko wszystkim, tur staje odważnie do walki, nie cofa się nigdy, a rozdraźniony wpada na wojowników państwa niebieskiego, pragnąc przebić wyłom w żywym murze jakim jest otoczony. Szczególniéj nie lubi on widoku wszelkich barw jaskrawych, mianowicie ponsowych; ujrzawszy ten kolor, ogarnięty zostaje niepohamowaną wściekłością, i nie czekając zaczepki, rzuca się na ofiarę przybraną w nienawistną dla niego barwę.

Krańcowa północ ze swojemi podbiegunowemi niedźwiedziami, górzyste południe z rozlicznemi rodzajami kóz dzikich, środkowe tajgi rojące się tysiącem łosi, jeleni, borsuków, soboli i t. d., nieprzeliczone odmiany ptastwa ulatującego w powietrzu, różnorodność zwierząt kryjących się w norach ziemi, stanowią niewyczerpane źródło dla obserwacyj badacza przyrody. Mieszkaniec stepów, tajg i obszarów prawie bezludnych, śledziłem zawsze ze szczególném

zamiłowaniem obyczaje stworzeń dokoła mnie żyjących, i starałem się zbadać bliżéj postacie przemykające co chwila przed memi oczami; nieznając jednak dokładnie zoologii, nie mając przytém żadnéj książki fachowéj pod ręką, nie mogłem oznaczyć dla nich ani odpowiedniego miejsca, ani nawet częstokroć nazwać przyjętém w nauce imieniem. Wprawdzie księga natury, piérwotny początek i jedyna podstawa wszelkich wiadomości, najbogatszym jest materyałem dla oddającego się zoologicznym badaniom spostrzegacza; przy braku jednak form, podziałów i nazw rodzajowych, przedsięwzięte studya mogą miéć tylko pośredni i nader ograniczony stosunek z nauką. Przedstawiony przezemnie szereg istot faunę syberyjską składających, nie jest tém samém niczém innném, jak tylko prostą pogawędką z czytelnikiem, lub w ostatnim razie materyałem, który po objęciu fachowém, dać może skromny przyczynek do prac poważnych, na tém polu uskutecznionych.

III.

STUDIA EKONOMICZNE.

SYBERYJSKA KOLÉJ ŻELAZNA.

W ostatnich czasach bardzo wiele pisano w rossyjskich dziennikach o kolei żelaznéj Syberyjskiéj. Kiedy jeszcze kwestya jéj kierunku nie była stale postanowiona, toczyły się zacięte walki w tym przedmiocie: walki te, których arenę stanowiły błamy gazet, broń pióra, a amunicyę atrament, przybierały czasami nader wojowniczy charakter. Niejeden z kupców odzywał się za linią Tiumeńską lub Irbicką tak sobie, ażeby téż coś powiedziéć, aby pokazać, że i jego obchodzą żywotne czynniki przemysłu, a potém już uważał za punkt honoru trzymać się ślepo raz wygłoszonego przypadkiem zdania, i wpadał w niepohamowaną złość, gdy kto ośmielił się przeciwną opinię objawić. Opowiadano nam, że w Permie przyszło z powyższego powodu do niemałych towarzyskich nieprzyjemności w gronie kupieckiém — my sami mieszkając wówczas w Jenisiejskiéj gubernii, byliśmy kilkakrotnie świadkami nader ożywionych dyskussyj, opartych na przypuszczalnym kierunku zaprojektowanéj drogi. Dziś gdy już rzecz stanowczo rozstrzygniętą została, nie pora zastanawiać się, która z dwóch linii więcéj odpowiada interesom handlu i przemysłu, tém bardziéj, że obadwa projekta mają swoje ujemne i dodatnie

strony, a przyszłość jedynie okazać może, zkąd więcéj dla ogółu wyniknie pożytku. Celem niniejszego artykułu jest przedstawienie czytelnikowi wszystkich korzyści, jakie wynikną dla Syberyi wtedy, gdy jedna z tych arteryi ruchu i postępu połączy z zimną północą środkowe części kraju. Tém więcéj czujemy się w obowiązku podjąć tę kwestyę, że to co dotąd o pożytkach mających wyniknąć w przyszłości dla syberyjskich obszarów przez połączenie ich z Europą pisano, nie rozjaśnia dostatecznie przedmiotu. Trudno, żeby mogło być inaczéj. Syberyjczycy, jak wiadomo, w rozprawy drukowane się nie wdają, a rossyjscy ekonomiści i przemysłowcy albo bardzo mało, albo wcale Syberyi nie znają.

Każdy z biorących pióro do ręki w celu zaznajomienia ogółu z korzyściami, jakie oczekują kraj od chwili połączenia Wschodu z Zachodem, zastanawia się głównie nad wzmocnieniem linii handlowéj kiachtyńskiéj, zrównoważeniem silną konkurencyą monopolu kompanii wschodnio-indyjskiéj, a nie znając dokładnie stosunków wewnętrznych Syberyi, bardzo pobieżnie o tych czynnikach mogących utrwalić z czasem handel wspomina; o moralnych zaś i cywilizacyjnych skutkach dla Syberyi zupełnie zamilcza. Tymczasem to, o czém tak wiele piszą i mówią, jest rzeczą elementarnie znaną, niepotrzebującą wywodów, i najmniéj nawet obeznany z ruchem przemysłowym człowiek rozumie dobrze, iż gdy ramię kolei żelaznéj wyciągnięte zostanie ku granicy Państwa Niebieskiego, to przywóz herbaty tą prostą i skróconą drogą, zniżając jéj cenę, podkopie angielską konkurencyę na targach niemieckich, a może nawet francuzkich; dowóz rzeczonego towaru w wyborowych szczególnie gatunkach, zastąpi średniéj wartości produkta kompanii wschodnio-indyjskiéj.

Nam idzie głównie o wykazanie pożytków dla rolnictwa, wewnętrznego i zewnętrznego handlu, a daléj przedstawienie skutków tak moralnych jak i materyalnych, które z tego powodu na Syberyę spłyną. Co do pierwszego, ażeby dokładnie przypuszczalne pożytki wyjaśnić, należy cofnąć się w przeszłość, i przedstawić czytelnikowi czém był sybe-

ryjski handel za dawnych czasów, czém jest obecnie, i jakie z tego stanu rzeczy można na przyszłość wyprowadzić wnioski.

Jeszcze przed zajęciem Syberyi pod zwierzchnictwo Rossyi, handlowy ruch istniał w tych północnych ziemiach. Były to zadatki tatarskiéj kolonizacyi, która razem z zamianą towarów usiłowała zasiać pierwsze zarody islamizmu. Karawany z Kasztaru i Jarkiedu ciągnęły ku Irtyszowi i do jeziora Jamysza, gdzie były jarmarki. Wielu Bucharczyków osiedliło się w Syberyi, a robiąc wycieczki z wnętrza kraju do Jamysza i zakupując tam towary, roznosili takowe po aułach i jurtach innoplemienników. Niektórzy z nich dostawiali ze środkowéj Azyi tanie bawełniane tkaniny, mieniając je na surowe płody i samorodne produkta. W rękach wspomnionych plemion zjednoczył się nietylko wewnętrzny, ale i zewnętrzny ruch handlowy.

Po zawojowaniu przez Rossyę tych krajów, zaczęła się walka pomiędzy dwiema narodowościami: z jednéj strony stanął islamizm i handel, z drugiéj wiara Chrystusa i siła wojenna. Bucharczycy byli rozproszeni po koczowiskach północnych syberyjskich ludów, mieli pomiędzy niemi swoje stałe punkta oparcia, monopolizowali cały kredyt; ludność każdéj auły pokładała ufność tylko w tych kupcach, którzy z nią mieli ciągłe stosunki. Takie położenie rzeczy nie mogło podobać się nowéj zwierzchności miejscowéj. Biurokracya widząc w nich przeciwników swoich interesów, ludzi którzy wywozili z kraju najlepsze i najcenniejsze futra, zaczęła od pierwszych chwil zmiany zarządu ograniczać ich działania, ale Bucharczycy mający wówczas w Syberyi mnóstwo krewnych i zwolenników, bardzo zręcznie umieli obchodzić ustanowione prawo, i stale uorganizowaną kontrabandą prowadzili daléj zamianę. Taki był stan rzeczy aż do chwili, w któréj rossyjska kolonizacya wprowadziła nowe do walki żywioły. Przesiedlający się całemi tłumami z głębi imperyum handlarze zapragnęli, ażeby zamiana towaru na surowe produkta przeszła w ich ręce; trudno jednakże im było konkurować z przywożonemi przez Bucharczyków materyałami.

Chińskie jedwabne tkaniny taniéj mogły być przedawane a niżeli rossyjskie płócienka (1). Władze miejscowe wziąwszy stronę nowéj handlowéj ludności, przyjęły energiczne środki do zapewnienia im odbytu wyrobów rossyjskich fabryk, zabroniły wywozić futra do Chin, Turkestanu i Bucharyi, nałożyły ogromne cło na materye jedwabne, ustanowiły organizacyę straży granicznéj, i tym sposobem Bucharczycy, którzy do ostatniéj chwili zachowali monopol handlu bawełnianemi wyrobami Wschodu, nie zdołali już konkurować z przywozem płócienek i jedwabiów rossyjskich fabryk. Nietylko przywóz tkanin przez Kiachtę i Kasztar zmniejszył się, ale nawet całe transporta łokciowych towarów imperyum poszły do Mongolii i innych północnych prowincyi Państwa Niebieskiego.

W początkach narodowość bucharska była tak silną w Syberyi, że zdołała związać się w osobne kupieckie towarzystwo, i marzyła o ustanowieniu odrębnéj bucharskiéj targowéj kolonii z kancelaryą, w któréjby interesa prowadziły się w ich narodowém narzeczu, a nadzieje te znalazły nawet poparcie u cesarzowéj Katarzyny II-éj. W pierwszych jednak czasach bieżącego stulecia, rząd widząc w przybyszach garstkę bezzasadnie uprzywilejowanych cudzoziemców, którzy nie płacili podatków, dzierżyli skarbowe grunta, nie dawali rekrutów, mieli prawo przechodzić dowolnie w sąsiednich krajów poddaństwo, i zwracając przytém uwagę na ciągłe skargi rossyjskich kupców, których interesa handlowe na tém cierpiały, aktem urzędowym wydanym w roku 1834 unieważnił poprzednie przywileje Bucharczyków. Od téj chwili naród ten party tamującemi ich monopol rozporządzeniami, ustępował coraz daléj na północ, a rozdrobniwszy się w pojedyncze rodziny i zmieszawszy z pierwotnemi koczującemi plemionami, wsiąkł, że się tak wyrażę, w rozsiane po stepach koczowiska, nie pozostawiwszy po sobie śladu dawnego istnienia.

---

(1) W owym czasie płócienka rossyjskich fabryk bywały sprzedawane w Syberyi po rs. 1 kop. 20 za arszyn zaś jedwabnych, chińskich materyj można było dostać za 39 kop. (*Przyp. aut.*)

Od téj chwili także datować można epokę rzeczywistego początku handlu wewnętrznego części europejskich imperyum z Syberyą. Były to początki i nic więcéj: początki słabe, niedołężne i nierozwinięte, bo je tamowały odległość, i cło, które geograficzną granicę z gór uralskich utworzoną przetwarzało niejako w ekonomiczną przeszkodę do rozwinięcia wzajemnych stosunków Azyi z Europą. Wszystko wróżyć kazało, że owe początki staną się z czasem podstawą ery pomyślności i rozwoju bogactwa krajowego; tymczasem lata mijały, a pierwsze objawy zawsze pozostawały na tym samym stopniu, i były tylko zarodem nieurzeczywistnionych dążności.

Rząd widząc podobny stan rzeczy, przedsiębrał wszystkie możliwe środki do podniesienia dobrobytu, rozwinięcia handlu i przemysłu swoich azyatyckich prowincyi, ale te usiłowania żadnego prawie nie przyniosły rezultatu. Ci, co pisali o Syberyi, nie znali jéj, a ekonomiści widząc dwie główne przeszkody tamujące rozwój wewnętrzny: brak ludności i niechęć pierwotnych plemion zbliżenia się ku ognisku cywilizacyi europejskiéj, podawali projekta działania bezpośredniego na usunięcie tych zawad, nie pojmując, że one były tylko wynikiem głównego złego — braku komunikacyi, że zatem chcąc unieważnić je trzeba było koniecznie dojść do źródła tamującego wszystkie przedsięwzięte ulepszenia. Pragnąc powiększyć ludność, przysyłano każdego roku około 60,000 skazanych, tymczasem po upływie połowy stulecia liczba mieszkańców podniosła się zaledwie o parę krótstotysięcy dusz; pragnąc przyciągnąć innoplemieńców do cywilizacyi użyto duchowieństwa, lecz to będąc mało wykształcone, odstręczało tylko koczujące narody od postępu, i jeszcze większą pomiędzy niemi a Europejczykami wykopało przepaść. Inaczéj być nie mogło: kto tylko chce zmieniać złe na dobre, powinien dojść do początków wyrodzenia się złego, nie zaś walczyć z jego skutkami.

Brak komunikacyi sprawiał, że handel nawet po usunięciu bucharskich przywilejów pozostawał ciągle w kolebcé że przemysł pomimo sprowadzenia znacznéj liczby mechaników, inżynierów i innych ludzi fachowych, nie rozbudził

się z odrętwienia, że rolnictwo pozostało nierozwinięte, że ludność zesłana rozdrabniając się wśród niezmiernych stepów nikła w przestrzeniach, że wreszcie koczowiska pierwotnych ziem tych mieszkańców, ustępując przed parciem nowych żywiołów, oddalały się coraz bardziéj w niedostępne obszary, nie przyjmując nic, albo bardzo mało z działających na nie wpływów.

Cała powierzchnia Syberyi pokryta jest w znacznéj części tajgami czyli pustyniami leśnemi, niedostępnemi dla mieszkańców tych stron. Tajgi owe tworząc nieprzebyty mur z rosnących od wieków drzew, poprzerzynane szerokiemi, bystremi rzekami, niezbadane w swém wnętrzu, stanowią olbrzymie zapory do zbliżenia się wzajemnego ludów, i tym sposobem wyłania się w kolonizacyi mnóstwo punktów bezwiednych, to jest szlaków jakie wdarłszy się do pustyni leśnéj zakończone są jaką wioską, od któréj nie ma już daléj żadnéj drogi. Pustynie leśne rozłączają takim sposobem zamieszkane miejscowości, iż chcąc przebyć linię z jednego punktu do drugiego, należy zakreślać niezmierne koła — i tak np. ażeby dostać się z Kuźniecka do Minusińska trzeba posunąć się o 3° geograficzne ku północy, a potém o tyle ku południowi się cofnąć. Tymże sposobem rozłączają się Narym od Tary, Tara od Tomska, Minusińsk od Wierchnioudyńska i t. d. Rozdzielenie podobne całości na części bardzo słaby mające pomiędzy sobą związek, tamuje wymianę produktów, sprzeciwia się organizacyi społecznéj, zespoleniu myśli, język rozpada się na rozmaite dyalekta, biednieje formą i wyrazami, kultura nie postępuje ani na krok naprzód, nie będąc podtrzymywana zewnętrznemi wpływami, maltusowska srogość klimatu względem rozrostu ludności nie zostaje nigdy zmiękczoną sanitarnemi środkami europejskiéj nauki, a różnica cen produktów żywności w miejscowościach nader blizko siebie geograficznie położonych, z powodu wyżéj wymienionych przeszkód nie pozwala zrównoważyć tych niedostatków wzajemną wymianą (1).

---

(1) Nizkość np. cen zboża w okręgu Minusińskim nie przyczynia się w niczém do zmniejszenia takowych w sąsiednim Kuźnieckim okręgu. (Przyp. aut.).

Powie może ktokolwiek nieznający Syberyi, że oprócz przemysłu, który dla braku wewnętrznych i zewnętrznych kommunikacyi nie jest w stanie rozwinąć się dostatecznie, pozostaje jeszcze rolnictwo zapewniające bogactwo tym prowincyom; lecz i rolnictwo w pośrodku tych obszarów zupełnie odrębnym ulega warunkom. Wprawdzie praca około roli stanowi niejako podstawę wszelkiego stałego społecznego bytu, ale to nie przeszkadza bynajmniéj, iż ją dziś uważać należy jako punkt przechodni do dalszego rozwijania się mass narodu służący. W staréj Europie w obecnych czasach rolnictwo nie połączone z przemysłem nie ma żadnego znaczenia. W średnich wiekach było ono zawsze udziałem najwięcéj upośledzonych pod względem znaczenia towarzyskiego i rozwinięcia umysłowego klass ludności. W Państwie Niebieskiém dziś jeszcze ludzie zajmujący się uprawą gruntów, jako nie naukowi, pozbawieni są wszelkiego stopnia w hierarchii społecznéj. Praca bowiem ta gdy nie jest połączona z przemysłem, staje się tylko ciężkim mechanicznym trudem niepotrzebującym ani udziału myśli, ani nauki, ani téż rozwinięcia wrodzonych człowiekowi zdolności. Praca tego rodzaju ogołocona ze wszystkich czynników intelektualnych, jest w bieżącéj epoce tylko potrzebną jako pośredni stopień służący do przejścia z koczowniczego życia pierwotnych plemion do cywilizacyi. W dziewiczych ziemiach takich, jaką jest obecnie Syberya, ona stanowi niejako łącznik z dalszym postępem, gdyż nierównie łatwiéj nomadom przeistoczyć się w rolników a niżeli w przemysłowców: sama natura uczy ich téj przemiany. Zabajkalski Buryata znajduje po stepach zbiory pożywnych korzonków roślin nagromadzone przez pracowite myszy, północno-amerykański Czypajs, udając się na polowanie zbiera po drodze dziko rosnące ziarno i zaspakaja niém wymagania swojego głodu. Indyanin widząc nieustanne trudy zajętych swą dolą mrówek, stara się je naśladować. Tym sposobem więc przykłady zaczerpnięte w przyrodzie zmieniają rybołowca i myśliwca w rolnika, ale charakter ten powoli i stopniowo przyjmuje w krajach z wyższą kulturą cechy przemysłowości. Człowiek przeszedłszy różne próby i niepowodzenia,

zaczyna pojmować, że sama praca około roli bez współdziałania intelligencyi jest niczém więcéj tylko ciągłą grą z losem. Tak karta rzucona na zielony stolik, jak i ziarno rzucone na grunta, podlega wpływowi postronnych okoliczności: chłód, dészcz, grady, zmiany nieprzewidziane atmosfery, są tu ową nielitościwą ręką bankiera, niweczącą nadzieje rolnika-gracza. Ażeby złemu zaradzić, szuka on wtedy ratunku w przemyśle: nietylko fabryczne zakłady, nietylko towarzystwa wzajemnego kredytu służą do zrównoważenia ujemnych stron, ale wszystko co tylko zjednoczenie oddzielnych cząstek w jedną całość może uczynić, zostaje przedsięwziętem, ażeby stawiać czoło wypadkom losu. W Syberyi z powodu braku komunikacyi, ulepszenia podobne, obok najlepszych chęci, najenergiczniejszéj woli istnieć nie mogą. Rolnik pozostawiony samemu sobie, nie wie nigdy co go czeka w przyszłości. Od nieszczęścia pożaru nie obronią go słabo urządzone stosunki społeczne przy utworzeniu towarzystw assekuracyjnych, od pomoru inwentarzy, gradobicia, nic go zasłonić nie zdoła. Oprócz tego klimat tych stron północnych jest nierównie trudniejszy do zwalczenia niż naprzykład europejski. Nagłe przechody z gorąca do mrozu są ostre i niespodziewane. Kobyłka (rodzaj szarańczy) jest stałą plagą niszczącą ciągle urodzaje, a gdy przyjdzie na jaką wieś jedna z nieprzewidzianych klęsk, mieszkańcy nie znajdą do koła siebie ani pomocy, ani rady, gdyż niezmierna przestrzeń zatamuje ich głosy wołające o ratunek, a step głuchém odpowie milczeniem. Nieodpowiednia więc ilość rąk do pracy nie jest tu głównym powodem słabego rozwoju rolnictwa: brak ustalonéj kommunikacyi, najuporniejszą staje się do tego przeszkodą. Obecnie istniejący trakt pocztowy, przerzynający w całéj długości Syberyę aż do Irkucka, daje o tém, co może wyniknąć z czasem przez przeprowadzenie linii kolei żelaznéj, przybliżone pojęcie; wioski i osady położone przy rzeczonym trakcie są bogatsze, więcéj zamieszkane niż daléj znajdujące się, więcéj tu także widzieć można obsianych gruntów, koszonych łąk stepowych, niż w okolicach po za tém wązkiém pasmem będących; gdy zaś zechcemy posunąć się daléj na

prawo lub lewo drożnéj arteryi, ujrzymy życie rolnicze słabnące coraz bardziéj, aż w końcu niknie ono zupełnie w pośrodku niezmierzonych i nieograniczonych pustyni wygonów. Jakże jednak słabém tętnem jest owa żyła łącząca Zachód ze Wschodem! Przy największéj szybkości jazdy trzeba całych długich miesięcy, ażeby ją przebyć, a wspomniane wyżéj zagięcia i łuki przedłużają jeszcze geograficzną jéj długość. Tymczasem ramię kolei żelaznéj zredukowawszy miesiące do dni a tygodnie do godzin, zmieniwszy zygzaki na proste promienie, zbliży najodleglejsze części kraju do siebie, a zespoliwszy w jedną całość rozerwane dotąd cząstki, stanie się osnową pożytecznego działania wspólnemi siłami. Tém, czém była dotychczas linia pocztowa, staną się poboczne dróżki, sięgające teraz nie daléj nad parę set wiorst w głąb stepów. One pobudzone siłą żywotną głównéj arteryi dostrzelą i do szlaków zamieszkiwanych tylko przez dzikie koczujące plemiona Tunguzów, Jakutów, Buryatów i Ostyaków, a ludy te widząc przed sobą wyciągnięty łącznik, zbliżą się mimowolnie do miejsc przez Europejczyków zamieszkanych, lub téż same przez stopniowe posuwanie się ostatnich w niedościgłe dotąd kresy, zleją się z ich gronem. Wtedy w pierwotnych azyatyckich szczepach, przemiana życia rybołowczego i myśliwskiego na zajęcia początkowego rolnictwa przyjdzie łatwo i niepostrzeżenie, a zaś dotychczasowi samorodni syberyjscy rolnicy, przez wpływ posuwającéj się z Zachodu cywilizacyi, zmienią się w rolników—przemysłowców.

Powiedziawszy tyle o stopniowém rozwiciu się rolnictwa jako o podstawie przyszłéj pomyślności tych stron, należy wspomnieć o przemyśle i handlu jako motorach bezpośrednio z rolnictwem połączonych. Bogate surowe materyały Syberyi, jak ruda żelazna, węgiel kopalny, i całe bogactwo królestwa roślinnego jako téż mineralnego, pozostają dotąd prawie nietknięte bez żadnego użytku, gdyż odpływ takowych na Wschód przedstawia niezliczone przeszkody; przeróbka zaś niektórych z nich na produkta handlu tamowana jest trudnością sprowadzania machin, uzdolnionych robotników i t. d. Tymczasem przy zbliżeniu kommunikacyjném

Europy z Azyą, nietylko materyały surowe znajdą odbyt na targach wewnętrzych cesarstwa, ale przerobienie ich dokonywane być może na miejscu. Przy kopalniach rudy żelaznéj staną fryszernie, obfitość lasów da możność potworzenia licznych hut szklanych — słone jeziora przyczynią się do zmniejszenia wysokich cen soli, a wznoszące się fabryki sukna i wełnianych wyrobów dadzą zachętę syberyjskiéj ludności do hodowania licznych stad owiec, które obecnie pomimo najkorzystniejszych warunków z powodu wybornego karmu stepową paszą, w nader ograniczonéj liczbie, dla braku odbytu wełny, są hodowane.

Jeżeli o tém mówimy, to nie w celu przedstawienia korzyści, jakie rozwinięcie przemysłu i wewnętrznego handlu w przyszłości wyrodzić może, gdyż rzecz ta sama przez się bije w oczy, jest niemal dotykalną i żadnego niepotrzebującą dowodzenia: my wspominamy o tych czynnikach dla okazania moralnych, cywilizujących skutków, które ten stan rzeczy wyrodzi. Ludność Syberyi, z wyjątkiem nielicznych urzędników i kupców z wnętrza Rossyi przybyłych, składa się prawie wyłącznie z osiadłych włościan i koczujących piérwotnych plemion. Pragnąc cywilizować Syberyę, należy bezpośrednio działać na rolników, a oni podniosłszy się, sami już wpłyną zczasem na przetworzenie nomadów w stałych członków społeczeństwa. Widzimy, że zakładanie szkółek wiejskich, zmniejszanie liczby szynków nie przynosi pożądanych skutków tam, gdzie nie ma osnowy, rzeczywistego punktu oparcia się do działania. Założone szkółki pozostaną pustemi, ograniczenie ilości szynkowni nie wpłynie na ukrócenie pijaństwa ludu, jeżeli nie znajdziemy motoru popychającego massy na drodze postępu.

Motorem tym jest w Rossyi usamowolnienie włościan; w Syberyi zaś gdzie oni nigdy nie znali poddaństwa, może być nim tylko widome i dotykalne przekonanie się o korzyściach, jakie wywiera przemysł na samorodne rolnictwo. Rolnik syberyjski nie widząc do koła siebie tak jak to widzi każdy mieszkaniec Europy nic takiego, coby mu dało poznać pożytki wypływające z ulepszeń, trzyma się uporczywie dawnéj rutyny, i nie wychodzi nigdy z ograniczone-

go kółka swoich pierwotnych poglądów; on pozostanie zawsze przywiązanym do swoich rodzinnych zabobonów i przesądów, gdyż uważa cały byt swój i los związany z przypadkiem, z niepojętemi dla niego zjawiskami meteorologicznemi; pozostanie zawsze nieokrzesanym, grubym, gdyż po za granicami ciężkiéj, mechanicznéj pracy, dzielonéj z domowemi zwierzętami, nie ma dla niego żadnego pola ku rozwinięciu się myśli służącego.

Tymczasem widok wznoszących się zakładów fabrycznych, wyników intelligencyi, a nakoniec dotykalne polepszenie losu tych, którzy umieją pracę fizyczną zastąpić siłą machin (1), którzy do trudu ciała dodają trud umysłu, wpłynie na jego przestarzałe wyobrażenia i popchnie na drodze postępu. Utrwalenie więc kommunikacyi będąc początkowo dźwignią przemysłu, oddziała następnie na ucywilizowanie a przez to samo umoralnienie ludności.

Gdybyśmy mogli na chwilę przypuścić nie możność przytoczonych wyżéj rezultatów, to sięgnąwszy do źródła, i zastanowiwszy się czém jest wewnętrzny handel narodów, dojdziemy do przekonania iż rzeczone wywody, nie są przypuszczeniami, ale wynikiem opartym na matematycznéj ścisłości.

Ekonomia polityczna dzieliła zawsze swoich pracowników na dwa obozy: protekcyonistów i libreszanżystów. Tym dwom wprost przeciwnym sobie przekonaniom odpowiadają najzupełniéj konserwatyzm i postęp. Protekcyoniści twierdzili, że wolny handel wyradza konkurencyę, a konkurencya jest pierwszym powodem do wojen, a zatém do zniszczenia jednorazowego długich lat pracy i usiłowań ku podniesieniu się przemysłu wewnętrznego dokonanych — zwolennicy wolnego handlu dowodzili przeciwnie, iż jedna kon-

---

(1) Zastąpienie pod niektóremi względami pracy rąk machinami, nie może w żaden sposób wpłynąć na zmniejszenie zarobku pojedynczych robotników, nawet przy potrójnym lub poczwórnym pomnożeniu się ludności w stronach tak mało zaludnionych w stosunku do przestrzeni obszarów. (*Przyp. aut.*).

kurencya tylko może być dźwignią rozwoju handlowego, a walki narodów same przez się ustaną, gdy zobopólny pożytek zwiąże ich różnorodne interesa nierozerwanym węzłem. Ludwik Blanc, przy swoich więcéj poetycznych niżeli podobnych do uskutecznienia marzeniach o braterstwie narodów, kreśli obraz wolnego handlu następującemi wyrazami:

„Przedstawmy sobie na chwilę, iż pokój zakwitł na ziemi: pokój wieczny, trwały i nienaruszony; nieprzyjaźń ucichła, zawiść skonała, a wojna stała się niemożebną. Narody łączą się w jedną ogromną rodzinę, dzieląc pomiędzy sobą płody swoich krajów, wyniki swych prac i trudów — rzeczona wymiana zaś podwyższając wartość ogólnéj pracy, przemieniając przyczynę w skutek, zapewnia pomiędzy niemi powszechną zgodę. Jak tylko zasady powyższe wejdą w wykonanie, natychmiast problema pokojowe znajdzie rozstrzygnięcie. Jeżeli podzwrotnikowe słońce dozwala dojrzewać na Antyllach trzcinie cukrowéj, dla czegoż Europejczykom męczyć się nad wydobywaniem tego produktu za pomocą drogich machin z płodów swéj ziemi, kiedy każdy płód ma dla siebie sfery odpowiednie jego rozwojowi? Czyliż kawa, winna latorośl, herbata, wanilia, nie posiadają swéj ojczyzny? Na cóż więc z wysiłkiem trudów tworzyć sztuczny klimat dla wydobycia z gruntu płodów, które po za linią graniczną ceł, daje nam sama natura w wyższym gatunku? A zatém swoboda handlu to jedno z dobrodziejstw powszechnego braterstwa narodów.“

Pomijając, że Ludwik Blanc patrząc na wiek dziewiętnasty oczami przyszłości i idealizując kwestye ekonomiczne, doprowadza je zwykle do granic więcéj estetycznych niż na chłodnéj rzeczywistości opartych, zaprzeczyć nie można, że w samych zasadach jego tkwi prawda. Jakiemiż jednak środkami zapory te uniemożebnić należy? Zasady zewnętrznego handlu, nie mogą być usunięte odrazu przez rządy jednym pociągiem pióra, gdyż to sprzeciwiałoby się cząstkowym interesom krajów, ale zasady te ustępują powoli, nieznacznie przez zbliżenie się narodów — motorem zaś do tego zbliżenia się, są koleje żelazne. W ostatnich czasach wi-

dzimy już znaczne odmiany w taryfach celnych, tam szczególniéj gdzie siecie dróg żelaznych zjednoczyły interesa głównych handlowych punktów; powiększona konkurencya przyczynia się także nie mało do zredukowania początkowéj normy opłat od wywozu produktów przemysłu — rozwój więc kommunikacyjny związany jest nierozerwanemi węzły z wolnym handlem. Dla Syberyi najwięcéj oddalonéj od kulminacyjnego siedliska postępu i oświaty, staje się ona kwestyą żywotną.

Staraliśmy się dowieść, że umoralnienie i ucywilizowanie plemion żyjących wśród dzikich stron północy, zależy nie od przyjęcia bezpośrednio administracyjnych środków ale od rozwoju rolnictwa — że rolnictwo znowu pozostanie na zawsze w swym pierwotnym, walczącym ze srogością klimatu stanie, jeżeli mu nie przyjdzie w pomoc przemysł — że wreszcie ten ostatni silnie z handlem zewnętrznym związany, nie nabierze nigdy odpowiedniéj samodzielności, jeżeli mu nie poda ręki ustalona, trwała i jednocząca najodleglejsze punkta stepów, koléj żelazna. Samo przeprowadzenie promienia jéj do miasta Tiumenia, podkopuje szkodliwe dla interesów syberyjskich cło uralskie; im zaś daléj to ramię dosięgnie, im więcéj wgłębi się w obszary ziem tyle bogatych a tak mało dotąd procentujących, tém znakomitsze pożytki przyniesie.

IV.

STUDIA OBYCZAJOWE.

WARYAT.

Było to w Tobolsku....

Zostawałem długo bez przytomności.

W czasie tego odrętwienia przyszła chwila, w któréj mogłem widziéć i słyszéć wszystko co się do koła mnie działo, nie będąc w stanie wydać głosu, ani téż uczynić najmniejszego poruszenia.

Nad moim tapczanem stało kilku nieznajomych mi ludzi. Jeden z nich średniego wieku mężczyzna, w złotych okularach, trzymał mnie za rękę i spoglądał smutnie w moje oblicze.

— Gorączka silna, poczucia mało, stan niebezpieczny: należy chorego przenieść natychmiast do szpitala.

— Ależ panie konsyliarzu,—odrzekł stojący za nim młody człowiek, — to jest rzeczą zupełnie niepodobną: tam wszystkie miejsca zajęte.

— Przepełniona sala, wiém otém—ale można go pomieścić w osobnym pokoju razem z numerem szóstym.

— Z tamtym? tak samych zostawić! — zawoła młody człowiek, wyraźnie przerażony.

— No, i cóż ztąd?

— Ależ tamten to niebezpieczny waryat.

— Nie zrobią sobie nic złego — a zresztą od czego dozór.

I potém niezważając na nową uwagę młodzieńca, który był widocznie szpitalnym felczerem, rzekł obracając się do posługaczy:

— Zanieść do pokoju, zajętego przez numer szósty!

Struchlałem. Widok człowieka cierpiącego pomięszanie zmysłów, litość w mém sercu obudzał, alem zawsze spoglądał na waryatów z obawą jaką się śledzi niezbadaną dotąd tajemnicę natury. Zostać zaś zamkniętym sam na sam w jednym pokoju z niebezpiecznym szaleńcem w stanie rozstrojenia umysłowego i gorączki wewnętrznéj w jakiéj się znajdowałem, było coś strasznego, przerażającego.

Chciałem mówić—nie mogłem. Czułem tylko jak posługacze szpitalni uchwycili mnie za nogi i za ramiona, i nieśli we wskazanym kierunku.

Wkrótce nic już nie czułem.

*
* *

Jak długo ten stan trwał — nie wiém: gdy otworzyłem oczy, noc była. Ujrzałem się w niewielkiéj izdebce oświetlonéj słabém światłem lampy; przy mojem łóżku siedział starzec poważnéj powierzchowności, łagodnych rysów twarzy —długa srebrzysta broda spadała mu na piersi, a w jasnych niebieskich oczach jego malowała się niewysłowiona słodycz i spółczucie.

Zajęty był okładaniem méj głowy zimną wodą.

— Obawiałem się o was,—rzekł widząc, że zwracam ku niemu pytające spojrzenie,—ale teraz chwała Bogu gorączka minęła: było to przesilenie choroby, które szczęśliwy obrót wzięło.

— Co się zemną stało? gdzie jestem?—zapytałem zbierając rozpierzchłe myśli.



Ujrzałem się w niewielkiéj izdebce oświetlonéj słabem światłem lampy; przy mojém łóżku siedział starzec poważnéj powierzchowności i łagodnych rysów twarzy.

(Waryat, str. 192).

— W szpitalu. Zostawiono was jak to się zwykle dzieje, bez opieki. Felczer miał wprawdzie rozkaz czuwać nad wami, ale felczerzy tutejsi nie mają zwyczaju troszczyć się zbyt wiele o chorych.

— A wy kto jesteście?—zapytałem.

— Towarzysz niedoli.

— W szpitalu? towarzysz niedoli? a mnie o ile przypominam sobie, miano przenieść do jakiegoś waryata.

— Ja nim jestem,—rzecze uśmiechając się gorzko.

Spojrzałem na niego z przerażeniem.

— O nie obawiajcie się, ja jestem spokojnym waryatem: ze złymi złośliwy, staję się łagodnym z dobrymi. Nie doznacie odemnie najmniejszéj przykrości, owszem, będę się starał osłodzić wam w czém zdołam cierpienia.

Wyrazy powyższe wyrzeczonemi zostały pełnym słodyczy tonem. W jasnych, błękitnych oczach starca malowało się tyle dobroci, tyle prawdziwego spółczucia, iż nie wiedziałem co mam o nim sądzić. Waryaci tak nie przemawiają. On widocznie odgadł moje myśli, bo zaraz potém dodał:

— Nie wysilajcie napróżno umysłu nad odgadywaniem tego wszystkiego: z czasem to samo przez się przyjdzie. Dziś wam potrzeba spokoju i wypoczynku—Bóg jest dobry i miłosierny; jeżeli was wrzucono tak jak Daniela w lwią jamę, to nasz Ojciec niebieski ochroni ofiarę złości ludzkiéj od szponów dzikiego zwierza.

Wszystko co słyszałem było dla mnie niepojętem. Napróżno starałem się zebrać swe myśli—osłabienie, bezwiedna jakaś ociężałość, nie dały mi ich skupić: wrażenie obecnéj chwili i obawy o przyszłość plątały się bezładnie w méj głowie. Patryarchalna postawa starca oświecona migającym płomykiem gasnącéj lampy, przez chwilę jeszcze przemykała się przed znużonym chorobą wzrokiem. Czasami zdawało mi się, iż rosła ona w olbrzymie kształty; nareszcie osłabiony, zmęczony tém co sądziłem być widziadłem choréj wyobraźni, opuściłem głowę i sen skleił moje powieki.

Nazajutrz przebudził mnie niezwykły hałas.

Kilka osób rozmawiało głośno.

— To już nie piérwszy raz, — mówił podniesionym głosem doktor: na was zupełnie rachować nie można.

— Niebyło mi podobna opuścić sali,—tłumaczył się szpitalny felczer.

— Wszystko jest podobna przy dobréj woli; to jeszcze szczęście, że żaden smutny wypadek nie miał miejsca. Numer szósty pojechał: buja po obłokach.

— Pojechał!—zawoła starzec—tak pojechał, ale nie on, tylko ja. A tyś został o wytartym czole nikczemniku, i tyś została jędzo, ażeby pić moją krew, karmić się moim chlébem. Myślicie może, iż rozpaczam zgnębiony; nie, ja się śmieję—widzicie, ja się śmieję!

I zaśmiał dzikim śmiéchem.

— Zostań tu, — rzekł odchodząc lekarz: ja powrócę wieczorem.

— Łatwo powiédzieć zostań. Pewnie będę siedział tu bez śniadania, a może i bez obiadu,— mruknął pół głosem po odejściu lekarza felczer,—pomiędzy waryatem i tym....

Spojrzał na mnie.

Miałem ciągle zamknięte oczy.

— I tym,—zakończył—na wpół już umarłym: piękna perespektywa, niema co mówić!

— A więc się wynoś zkąd przyszedłeś! — krzyknął starzec podnosząc się z krzesła i wyciągając ramię z rozkazującym gestem. Przyjąłem cię w swój dom jako gościa, chociaż haniebne piętno występku było wypisane na twojém czole, a tyś mnie przedał jako Judasz Iskaryot za trzydzieści srebrników....

— Milcz już nareście, ty stary—rozumiesz?.... a jak nie przestaniesz bredzić, poszlę po posługaczy i każę cię związać w powrozy. Ja nie lubię nigdy żartować — wiész otém bardzo dobrze.

Grożba powyższa wywarła nagły wpływ na starca. W rysach jego twarzy, wyrażającéj dotąd gniew, przebijał się przestrach i pokora; drżący, wybladły złożył ręce jakby do modlitwy:

— Zmiłujcie się, niezabijajcie!.... i ty kobiéto pomnij żem cię chciał podnieść, uszlachetnić.... będzie śledztwo, sąd,

nie wydam waszych sprawek, wszystko przyjmę na siebie,— ale dajcie powrócić do domu, abym mógł raz jeszcze zobaczyć moje rodzinne strony, moją starą matkę!....

— Bardzo musi już być starą ta kobiéta, kalkulując po twoim wieku, pewnie ma ze sto lat, a może i więcéj?... zaśmieje cynicznie felczer kręcąc papierosa.

— O tak bardzo stara, bardzo stara.... ale ona już umarła. Ona mnie kochała.... ona, ta matka. Matki nie tak kochają jak żony! Jakież to ciche i spokojne było życie: zawsze wieczorem ptaszki śpiewały, gaj się zielenił — wszędzie tak błogo, lubo, rozkosznie—a teraz....

I biédny staruszek schyliwszy głowę na piersi, zapłakał.

— Otóż masz, zawsze ta sama historya: po burzy deszcz, po deszczu burza, — szeptał do siebie półgłosem felczer,— ani nawet pośmiać się nie można z tym głupim waryatem; a tamten śpi sobie w najlepsze.

Przerażony tém wszystkiém co się dokoła mnie działo i osłabiony chorobą, nie otwierałem oczów.

— I niechaj śpi,—dodał felczer—lepiéj mu z tém.

Starzec ciągle szlochał w kącie, młody człowiek puszczał z ust coraz gęstsze kłęby dymu, milczenie panowało dokoła: usnąłem na prawdę.

Gdym się obudził, znowu ujrzałem się sam na sam ze swoim towarzyszem; felczer korzystał widać z piérwszéj lepszéj sposobności, ażeby się wynieść niepostrzeżonym.

— Chwała Bogu, — rzekł starzec zbliżając się do mego łóżka, gorączka zupełnie minęła—teraz jeszcze parę tygodni wypoczynku, rekonwalescencyi, a z choroby waszéj ciężkiéj, niebezpiecznéj i śladu nie pozostanie.

Gdy to mówił, wpatrywałem się w niego z uwagą. Przypomniałem sobie gwałtowne sceny i wyrazy bez związku, które wymawiał w obecności doktora, i nie wiedziałem co o nim mam sądzić.

Widocznie odgadł myśl, która w téj chwili zajmowała moją uwagę, bo lekki zaledwie dostrzeżony rumieniec okazał się na jego twarzy.

— Może być, — dodał cokolwiek zakłopotany,— żem co powiedział niestosownego. Nie należy na to zwracać uwagi.

Nieszczęścia wpłynęły na mój charakter, stałem się gwałtownym—czasem wpadam w gniew bez żadnéj przyczyny.

I zmieniwszy rozmowę zaczął mówić oczém innem.

Mówił o wszystkiém rozsądnie, a co więcéj był to człowiek wysoko wykształcony. W długich pogawędkach dotykaliśmy niemal wszystkich przedmiotów, a nie tylko żadna z nauk nie była mu obcą, ale w sądzie swym o rzeczach, ludziach i wypadkach, dawał dowody niezwykłego taktu i znajomości serca ludzkiego.

W czasie jednakże wizyty lekarza, lub téż bytności felczera, którzy od czasu do czasu przychodzili, zmieniał się nie do poznania: twarz jego spokojna, łagodna, czerwieniała, czoło fałdowało się, oczy rzucały błyskawice gniewu, a z ust mimowolnie wyrywały się wyrazy bez związku.

Nie wiedziałem co mam sądzić o tym człowieku.

Pewnego razu ośmielony dowodami życzliwości jakie mi zawsze dawał, i pragnąc wyjaśnić to co było dotąd dla mnie zagadką, zapytałem:

— Zdaje mi się iż nielubicie doktora i jego pomocnika?

— Nie lubię, — a za co? Ja ich nieznam. Ale oni są bezwiednemi narzędziami moich katów. Starcy bywają czasami jak małe dzieci, nie mogąc dosięgnąć tych którzy ich biją, mszczą się nad rózgą sprawiającą im ból.

I oczy jego na chwilę zabłysnęły gniewem.

Ale zaraz potém upamiętał się, i wziąwszy mnie za rękę, dodał:

— Nie mówcie otém nigdy—ja was proszę!

Dnie upływały jedne za drugiemi, a ja zacząłem powoli powracać do zdrowia. Towarzystwo starca było dla mnie wielką pociechą i rozrywką. Rozmawialiśmy o wszystkiém, wyjąwszy o samych sobie, bo i ja także idąc za jego przykładem, nie tykałem nigdy swojéj przeszłości, ani szczegółów związanych z mém życiem. On postępowaniem swojém dawał mi ciągłe dowody spółczucia, pieczołowitości i prawdziwie ojcowskich starań, a w czasie długiéj rekonwalescencyi, uprzedzał niemal wszystkie moje życzenia, i widoczném było, że się coraz więcéj przywiązywał do mnie. Dla tego téż, gdy pewnego dnia z powodu opróżnionego miejsca

w głównéj sali, szpitalny doktór oznajmił mi, że mogę być tam przeniesionym, odmówiłem stanowczo.

— To zależy od waszéj woli, — rzekł eskulap zażywając powoli tabakę, ale zawsze tam lepiéjby wam było, a szczególnie bezpieczniéj. Bądźcie jednak ostrożni: potakiwać we wszystkiém, nie dziwić się niczemu, to jest jedyna rada jaką wam dać mogę.

Chęć dzielenia z nim nadal wspólnéj izdebki, nadzwyczajnie ucieszyła starca, tak że nawet po raz piérwszy może w obecności lekarza rysy jego twarzy nie okazywały żadnego gniewu i najmniejszego odcienia niechęci.

Co więcéj sympatya okazana mu przełamała ostatnie lody dotychczasowéj obojętności, czułem iż zdobyłem jego zaufanie, tylko jeszcze resztki dawnéj niewiary, a raczéj długie przyzwyczajenie do tajenia w głębi duszy swych myśli i wrażeń, wstrzymywało wyrazy na ustach jego. Zgadując, że pragnie powierzyć mi swoje strapienia, odkryć zasłonę swéj przeszłości, dałem piérwszy przykład opowiadając mu koleje smutnego mego życia. Wysłuchawszy mnie z uwagą, opowiedział co następuje:

„Był czas w którym czułem się szczęśliwym, te chwile dawno już przeminęły, a jednak tak żywo tkwią w mojéj pamięci, że dziś po upływie tylu lat, najdrobniejsze szczegóły mojego młodocianego życia widzę jasno, dobitnie, wyraźnie, jak gdyby one nie należały do odległéj przeszłości. Nazywam się K***, rodzina moja należy do najznakomitszych w kraju, przodkowie moi piastując znaczne urzęda, oddając ważne usługi monarchii, nagradzani byli przez panujących godnościami i zaszczytami. Dzieckiem jeszcze będąc, straciłem ojca: postać tę surową i wyniosłą o generalskich szlifach, ozdobioną w krzyże i ordery zaledwie pamiętam. Wychowała mnie matka.

„Znacież wy nasze matrony? Jeżeli która z nich w młodości swojéj nie dostała się w ręce sprowadzonéj z zagranicy cudzoziemki, nie przejęła wraz z francuzkim żargonem obyczajów i ducha zachodnich narodów, oddychała od dziecinnych lat zdrowém i niezepsutém powietrzem naszéj ziemi, to w jéj duszy rozkrzewią się hojnie wszystkie cnoty sło-

wiańskie. Taką była moja matka. Córka obywatela ziemskiego, nie szukała czczych rozrywek wśród obcych krajów, nie pragnęła nawet poznać ruchliwego gwaru stolicy; mając nieograniczone zaufanie do męża którego kochała nad życie, pozostawiła go czynnościom do jego wysokiego stanowiska przywiązanem, a sama zajęła się zarządem licznych włości, czując że tysiące rodzin, w poddaństwie jeszcze wówczas zostających, winno miéć w niéj opiekunkę. Kochano téż ją i uwielbiano powszechnie. Po śmierci ojca dotknięta głęboko swojém osieroceniem, nie poddała się słabéj i bezsilnéj rozpaczy, jak czynią wszyscy ci którzy nie posiadają odpowiedniego hartu ducha, ale z podwójną energią wzięła się do pracy. Obowiązki były liczne: ulepszenie bytu włościan, zarząd ogromnego majątku, i wychowanie mnie w dziecinnym jeszcze pozostającego wieku, stanowiły główny cel jéj życia. Niezwykła wytrwałość charakteru połączona z przejęciem się ważnością swojego posłannictwa, wszystkiemu podołały.

„Jak ona mnie kochała ta droga, nieoceniona matka! Ja byłem dla niéj przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, we mnie skupiły się wszystkie promienie jéj myśli. Nie rada rozłączeniu, a może obawiając się wpływu obyczajów wielkich miast na mój młodociany umysł, postanowiła wychować mnie w domu, pod swojém macierzyńskiem okiem. Gdym wyszedł z lat dziecinnych wybrała dla mnie nauczyciela, spadłego z etatu profesora, człowieka z wysokiém wykształceniem, głąboką nauką: cichego, skromnego. On mnie udzielał swoją naukę, ona zaś dawała kierunek mojém pojęciom, skłonnościom i charakterowi. Nieograniczona wiara jaką pokładała w ludzkości przeszła i we mnie. Mogłaż nie wierzyć bezwarunkowo w cnotę ta anielska istota w któréj duszy nigdy zła myśl nie postała, ja zaś żyjąc ciągle w téj atmosferze szczęścia i spokoju, nie mając żadnych stosunków ze światem i jego namiętnościami, czyliż mogłem odgadnąć, że po za tą świątynią rodzinnych skarbów, krzewi się złość, obłuda i nikczemność? Z książek czerpie się jedynie nauka, nigdy doświadczenie. Dokoła siebie widziałem uśmiechnięte zawsze twarze, słyszałem wyrazy wdzięcz-

ności i uwielbienia, oddychałem czystém powietrzem rodzinnéj zagrody, sądziłem więc, że cały świat jest takim.

„Mój nauczyciel był jak już wyżéj powiedziałem tylko erudytém; z życia spółecznego znał on bardzo mało, albo wcale nic. Oprócz tego wyobrażenia jego były jeszcze z tych czasów w ktorych sądzono, iż ludzie w wysokim urodzeni stanie, zajmują odrębne stanowisko nic mające żadnego związku z położeniem innych ludzi. Gdy czasami zadawałem mu jakie zapytanie wychodzące ze sfery książkowéj, odpowiedział nieodmiennie: „Świat jest dla was, nie zaś wy dla świata. Wyżsi majątkiem i imieniem które nosicie, nie będziecie nigdy wmięszani w życie ogółu; na cóż wam zgłębiać to co tylko powierzchownie dotykać będziecie?"

„W długich rozmowach z moją matką, poruszaliśmy różne przedmioty, ale wszystkie one jak promienie słońca ujęte soczewką tychże samych wyobrażeń skupiały się w jeden punkt, a tym punktem było domowe ognisko. Świat rzeczywisty dla mnie nie istniał wcale, a raczéj istniał wyidealizowany i upiększony: często w wolnych od zajęć naukowych chwilach, pogrążałem się w błogich dumaniach, nadając fantastyczne kształty budzącém się w méj wyobraźni myślom.

„Podobny nastrój ducha nie mógł nie wyrodzić zamiłowania do poezyi. Nie przelewałem ja na papier swych myśli, ale czytając z zamiłowaniem utwory naszych wieszczów, nadawałem wszystkiemu co mnie otaczało poetyczną barwę. Wyrosłszy w młodzieńca najmilszém dla mnie zajęciem stały się długie samotne przechadzki. Cuda natury mają zawsze tyle uroku! Przepełnione miłością serce kazało mi widziéć w każdem nieledwie stworzeniu równą mi istotę, a w organicznem życiu nieczułych na pozór tworów, odgadywałem cały świat tajemniczy. Obłęd wyobraźni poddrzaźnionéj tak niebezpiecznemi dla młodocianego wieku dumaniami, wyrobił we mnie pojęcia ekscentryczne, odbiegające we wszystkiém od pojęć i wyobrażeń innych ludzi; nie mając zaś żadnych stosunków ze swymi rówiennikami, nie mogłem wiedziéć że nie jestem takim jak drudzy. Wyeksaltowawszy uczucia, zacząłem dopatrywać braku i niedostatków nawet

w najczystszéj miłości chrześcijańskiéj. Dla czegoż, mówiłem do siebie, bliźnim naszym ma być tylko istota podobnych naszem kształtów? dla czegoż przywykliśmy uważać za niewolników wszystkie inne stworzenia, które tak samo czują, myślą i porozumiewają się między sobą jak my. Wszakże Bóg wszystkich zarówno stworzył i wszystkim jednakowe dał prawo do życia. Chcemy być wyższymi, a mamyż do tego prawo? Siłą słabsi, panujemy rozumem, lecz rozum naturalny tych istot, który pozwalamy sobie zwać instynktem, czyliż częstokroć nie przewyższa naszego książkowego rozumu?

„Wiadomo powszechnie, że każdy sofizmat ma to do siebie, iż wyradza nieprzerwany szereg następnych sofizmatów. Kto raz w to zaczarowane koło się dostał, musi iść coraz daléj—ja więc puściwszy się na drogę abstrakcyjną, brnąłem jeszcze więcéj w niedorzecznych a wytworzonych z samego siebie aforyzmach. Bywały chwile w których przejęty sztuczném życiem rozbujałéj mojéj wyobraźni, odzywałem się do zwierząt, ptaków, i sądziłem że one pojmują moje wyrazy; a razu pewnego gdy kosiarze skosili piękną łąkę otaczającą nasz ogród, zapłakałem gorzkiemi łzami nad śmiercią polnych kwiatów leżących pod mojemi stopami. Moja matka, osoba pozytywna, daleka charakterem swoim od wszelkiéj eksaltacyi, nie tylko nie widziała w tych objawach szkodliwego kierunku, ale uważała podobne wybryki za prostą dziecinną naiwność: „Lepiéj jest, — mawiała do majora, starego przyjaciela naszéj rodziny,—że mój Paweł tak długo dzieckiem pozostaje; tym bowiem sposobem przejdzie bez niebezpieczeństwa ów wiek burzliwy szałów, zachceń i namiętności, a gdy przyjdzie pora rozwagi, stanie się od razu człowiekiem.“ Odwiedzający niekiedy ustronie nasze dawni towarzysze broni mojego ojca, nie mogli także w téj eksaltacyi umysłowéj widziéć cokolwiekbądź zagrażającego mojéj przyszłości; owszem zamiłowanie do kontrastów sprawiało, iż się lubowali w najniedorzeczniejszych nawet moich ideach. „Panienka, jak Boga kocham panienka! “— wołał raz w zachwycie stary major pokręcając sumiastego wąsa, gdym objawił głośno swoje teorye: „już ten nie porozrzuca po wszystkich kątach

świata swojéj młodości, siły i zdrowia—a gdy się ożeni, pozwolę się nazwać rekrutem, jeżeli jego małżonka...." znaczące i poważne spojrzenie mojéj matki, przerywało zwykle dalszy ciąg uwag starego żołnierza.

„Lata upływały jedne za drugiemi i nic się nie zmieniło w stosunkach naszego codziennego życia, wyjąwszy to, że stary profesor ukończywszy wychowanie moje otrzymał w dożywocie folwark do którego przeniósł się wraz ze wszystkiemi swojemi książkami. Ten człowiek cichy, spokojny, poświęcający wszystkie wolne od nauk chwile układaniu jakiejś olbrzymiéj grammatyki, któréj nigdy nie skończył, tak mało zajmował miejsca w naszym domu, iż usunięcie się jego przeszło prawie niepostrzeżonem. Skończyłem już dwudziesty piérwszy rok i byłem z łaski summiennego nauczyciela tak wszechstronnie wykształconym, iż nie jeden z naszéj młodzieży, nawet z liczby tych którzy wyszli z wyższych naukowych zakładów mógł mi pozazdrościć nabytych wiadomości. Nie porzucałem i daléj studiów; nauki szczególniéj przyrodzone pozwalające mi choć w części uchylić tajemną zasłonę bytu istot, nadewszystko mnie zajmowały: dnie całe przepędzałem nad obserwowaniem i śledzeniem obyczajów zwierząt, przypatrując się z zachwyceniem trudom i pracy drobnéj mrówki, wnikając w tryb życia różnego gatunku ptastwa; a wyobraźnia moja umiała tak każdy szczegół idealizować, że częstokroć w świergotaniu tych mieszkańców leśnych, starałem się uchwycić jaki dźwięk, któryby mi dał klucz do rozwiązania i zrozumienia ich mowy. Gdy się to działo, ważny jakiś majątkowy interes, potrzebujący obecności méj matki, powołał ją do Petersburga. Z żalem opuszczała ona swój letni pałacyk, swoje zajęcia, swoich ubogich, ale nie było innego sposobu uchylenia się od tego obowiązku. Przez myśl jéj nawet nie przeszło, żeby się mogła na kilka miesięcy zemną rozłączyć, i ja téż ze swéj strony, choć zespolony z tém wiejskiem ustroniem, które się stało moim światem, nieprzypuszczałem możliwości podobnego faktu. Wyznać nawet winienem, że jeżeli piérwszy zamiar téj dalekiéj podróży przeraził mnie, to następnie ciekawość poznania nowego życia, o którém tylko z książek niedokła-

dne miałem pojęcie, sprawił żem z gorączkową niecierpliwością oczekiwał nieznanych mi dotąd wrażeń.

„Przybywszy do stolicy byłem zdumiony, olśniony — spoglądałem na wszystko ze strachém. Ten ruch i gwar wielkiego miasta o których dotąd pojęcia nie miałem, zdawał mi się być dziwnym, nienormalnym chaosem: sądziłem w piérwszéj chwili, że wszyscy ludzie szaleją, lub że jakiś nadzwyczajny wypadek poruszył całą massę publiczności do działania; stopniowo dopiéro zacząłem przyzwyczajać się do stołicznego ruchu, i rozglądać powoli we wszystkiem co mnie otaczało. Nie mogłem jednak nigdy pozbyć się wrodzonéj lękliwości, ale czy to wskutek kontrastu z młodzieżą petersburską, czyli téż pewniéj jeszcze z powodu mojego stanowiska jako jedynaka i przyszłego pana milionowego majątku, owa nieśmiałość nieraziła nikogo w poważnych towarzystwach, do których niekiedy wraz z moją matką uczęszczałem. Owszém miano mi ją nawet za dobre. Wszystkie te senatorowe, jenerałowe, tajne radczynie, spoglądały na mnie z pewnym rodzajem zadowolnienia, nazywając: „biblijnym młodzieńcem" lub téż „nowożytnym Józefem." Były to wszystko zabytki przeszłości, żyjące tylko wspomieniami ubiegłych czasów, właściwego więc wielkiego świata stolicy z jego szałami, blaskiem i czczością wewnętrzną, nie miałem sposobności poznać. W towarzystwie jakim się otoczyła moja matka dopatrywałem wprawdzie niektórych śmieszności: konwencyonalność aż do drobiazgowości posunięta była zimną i sztywną,—ale tam krzewiły się zarazem prawość, sławiańskie cnoty, bojaźń boża, i ani cienia tych ujemnych stron zdemoralizowanéj społeczności o jakich w niektórych książkach zdarzyło mi się czytać, dopatrzyć nie mogłem. *Traszczoby petersburskie*, wziąłem za wymysł bujnéj wyobraźni powieściopisarza, a sądząc z tego co mnie otaczało, przy mojéj nieskarzonéj duszy i młodém pełném wiary sercu, ufałem jak dawniéj ludzkości.

„W stolicy naszéj znajdują się przeróżne koterye; samoiste te kółka żyjąc wyłącznie we właściwych sobie sferach, oddzielone są jedne od drugich demarkacyjną linią pojęć, wyobrażeń i stanowiska spółecznego—jedynem jednak punktem

chwilowego zlania się tych różnorodnych odcieni jest towarzystwo dobroczynności. Damy petersburskie przyjmują bez wyjątku prawie udział czynny w działaniach dobroczynności, i przez to samo sale zgromadzeń, ochrony i szpitale, bywają miejscami zbiżania się różnorodnych spółecznych pierwiastków. W zakładach miłosierdziu publicznemu poświęconych jedynie, widziéć można arystokratkę rodową siedzącą obok bogatéj, lecz prostéj wychowaniem kupcowéj, żonę bankiera zbierającą składki razem z freiliną dworu; zbliżenie to jednak chwilowe, wywołane obowiązkami ludzkości, ustaje po za progiem zakładów dobroczynnych lub szpitali, a każda z protektorek ukończywszy przeznaczone zadanie, powraca do właściwéj sobie koteryi.

„Sfera w któréj żyliśmy, nazwana żartobliwie przez inne: „panteonem mumii starożytnych,“ jeszcze więcéj wyłączała się od drugich. Dla tych resztek ubiegłéj przeszłości, nietylko kwestya zacności rodu i hierarchii urzędowéj była powodem do bezwzględnego odsunięcia się: poważne matrony i wyżsi służby rządowéj dygnitarze składający owe kółko, odosobnili się i od reszty arystokratycznego towarzystwa dla tego, że ono było podług ich zdania zbyt płochem, zbyt francuzkiemi ideami przejętem, zbyt tolerującem lekkość obyczajów.

„Znakomitość rodu, położenie towarzyskie i milionowy majątek mojéj matki sprawił, że zaraz w piérwszych chwilach pobytu naszego w stolicy, główny komitet dobroczynności wezwał ją urzędownie do uczestniczenia w sprawach miłosierdzia. Mianowano ją protektorką, opiekunką,—dano dozór nad kilkoma salami i ochronami, a ona przejęta chrześcijańskiemi cnotami, wszystkie niemal wolne od interesów i obowiązków towarzyskich chwile poświęcała tém nowém zajęciom.

„Dzienne dyżury w zakładach podzielała często z niejaką Anastazyą Mikołajewną Diergunową.

„Anastazya Mikołajewna Diergunowa, wdowa po znakomitym obywatelu ziemskim, nienależała jednak do kółka w którém żyła moja matka: jéj charakter i upodobania nie pozwalały na to. Tam była tylko przeszłość zastygła

ona zaś choć nie piérwszéj już młodości, lubiła nadewszystko obecną chwilę. Wielki świat stolicy ze swoim ruchem, zbytkami, blaskiem, codziennym wirem, miał dla niéj niewypowiedziany urok. Była to kobiéta lat czerdziestu, a może i więcéj, lecz przy nadzwyczajnéj staranności w toalecie, talentach piérwszych szwaczek i fryzyerów, wyglądała daleko młodziéj. Rysy miała regularne, głos miły i dźwięczny, a nadewszystko posiadała niezwykły dar ujęcia każdego kogo względy zaskarbić sobie pragnęła. Żyła wystawnie i bogato, przyjmowała u siebie najbardziéj dystyngowane osoby i była pobożną w miarę, jak wielkie damy być umieją. Obowiązki miłosierdzia wypełniała akuratnie, poświęcając zawsze dla dyżuru w ochronach najwięcéj uczęszczane koncerta i najmodniejsze literackie poranki.

„Mówiono, że posiadała znaczne dobra po mężu w Gubernii Razańskiéj — a dochody z nich musiały być znaczne bo sobie niczego na utrzymanie wystawnego życia nie żałowała. Krążyły o niéj różne nieprzychylne pogłoski, ale wieści podobne nie poparte żadnym faktem, były pozbawione wszelkiego znaczenia. Złośliwi ludzie szeptali pokątnie, że usidliwszy potęgą swych wdzięków podstarzałego magnata i wyszedłszy za niego, umiała następnie zawojować kompletnie ujarzmionego małżonka i stać się samowładną panią milionowéj fortuny, którą w krótkim przeciągu czasu roztrwoniła na zbytki, stroje i podróże za granicą; dodawano, że nieszczęśliwy ten mąż relegowany na wieczną klauzurę w ustroni wiejskiéj, gdy pani błyszczała jako gwiazda piérwszego rzędu na wielkim świecie, umarł tam upadły moralnie, znikczemniony i rozpity. Wszystkie owe szczegóły, bardziéj niechętni ubarwiali jeszcze swojego pomysłu dodatkami, w które był wmieszany jakiś młody sekretarz ambasady rossyjskiéj w Paryżu, a nawet (do czego to niedochodzi złość ludzka) i jeden z filarów petersburgskiéj sceny.

„Do wszystkich tych pogłosek nie można było przywiązywać najmniejszéj wiary, Anastazya bowiem Mikołajewna liczyła tylu nieprzyjaciół ilu zwolenników, tak że każdy fakt jéj życia tłumaczony był na dobre lub na złe, stosownie do tego z jakich ust objaśnienie wychodziło. Najlepszym

dowodem téj zmienności sądów ludzkich było zdanie o postępowaniu jéj z jedynaczką córką, którą wychowując w domu, nigdzie w towarzystwie nie pokazywała. Niechętni twierdzili, że to jest zawiść przekwitłéj piękności, która z obawy aby nie być zaćmioną urokiem wdzięków własnego dziecka, ukrywa starannie przed światem i skazuje na nudy samotności biedne dziewcze, — przyjaciele zaś brali gorąco jéj stronę dowodząc, że nie mogła lepiéj uczynić jak opóźnić chwilę wprowadzenia w świat młodziutkiéj panienki, nieledwie dziecka, dla któréj książka stosowniejszem była zajęciem aniżeli bale, rozrywki wielkiego świata i stroje. Byli nawet i tacy, którzy zapewniali, że ta córka upośledzoną jest od natury jakimś defektem fizycznym.

„Ale to wszystko były tylko przypuszczenia, nikt bowiem z osób najczęściéj bywających u Anastazyi Mikołajewnéj, jéj córki nie widział; niewiedziano nawet dokładnie ile ma lat, czy jest piękną, czylitéż brzydką, a gdy czasem jaki mniéj dyskretny gość zapytał o Paraskowiję Iwanównę (tak bowiem z ojca nazywano to dziewczę), matka odpowiadała nieodmiennie: „siedzi nad swoją chrestomatyją, uczy się historyi Ustriełowa; niech się kształci—tego wieku panienek nie należy odrywać od nauk.“

„Czasami zjawiała się na krótko w salonie, stara guwernantka, „mademoisele Julie“, ale wkrótce po swojem przybyciu znikała cichaczem, śpiesząc się zawsze do swojéj: „chere eleve“.

„Moja matka nie należała bynajmniéj do liczby osób lubiących zawiązywać bliższe stosunki znajomości z obcymi, owszem, posiadała ona dar utrzymania wszystkich w stosownéj odległości, nieubliżając nikomu niegrzeczném obejściem się, ani téż nie odstręczając od siebie zimną i dumną powiérzchownością. Umiała ona obudzać uszanowanie nie wiedząc nawet o tem. Stosunki jéj z Anastazyą Mikołajewną były częste, codziennie niemal; widywała się z nią w zakładach jéj pieczy powierzonych, a ta ostatnia przejeżdżała niekiedy zasięgnąć instrukcyi w sprawach miłosierdzia dotyczących, ale po za tym obrębem, nie miała nigdy nic wspólnego z panią Diergunową.

„Ja w owym czasie tęskniąc cokolwiek do naszego wiejskiego ustronia, do moich samotnych na wsi przechadzek, do moich przyjaciół leśnych, ptaszków — poświęcałem się naukom przyrodzoném, i zakupiwszy odpowiednie książki, przepędzałem wszystkie wolne od obowiązków towarzyskich chwile, studiując w teoryi życie i obyczaje moich ulubieńców. Ażeby jak najmniéj rozłączać się z matką, która dla mnie stanowiła cząstkę mojéj własnéj istoty, siadywałem najczęściéj z książkami w jéj pokoju. Tym sposobem miałem niekiedy sposobności widywania Anastazyi Mikołajewnéj.

„Dotychczasowy sposób życia, domowe wychowanie, przyzwyczajenia nareszcie moje, nie mogły uczynić ze mnie obserwatora; zresztą gdybym nawet posiadał dar studiowania charakterów, to rozmowy których byłem świadkiem, dotykając wyłącznie interesów towarzystwa dobroczynności, niczegoby mnie nie nauczyły. Zajęty swoim przedmiotem nie uważałem na słowa, które przelatywały mimo moich uszów, jako dźwięk nieokreślony—ale dźwięk ten mimowolnie utkwił w mojéj pamięci.

„Pani Diergunowa posiadała głos niewypowiedzianie harmonijny. Gdy mówiła zdało się słyszéć jakieś dalekie, nadziemskie akorda, brzmiące seraficzną pieśnią. Kto raz usłyszał ten głos muzykalny, nie był w stanie nigdy o nim zapomniéć. Spojrzenie także téj kobiéty słodkie, a zarazem bystre i przejmujące, miało w sobie coś magnetycznego, a pomimo tego nie była to bynajmniéj osoba sympatyczna. Od niéj wiał chłód jakiś, jéj widok ogarniał uczuciem niczém nie dającéj się wytłumaczyć trwogi—przyciągając odpychała zarazem. Takie przynajmniéj na mnie uczyniła ona wrażenie: patrzyłem na nią ze strachem, słuchałem z upodobaniem—czułem, że wszystko w niéj jest mi przeciwném, a jednakże gdy jéj kareta zatrzymała się przed bramą hotelu, w którym mieszkaliśmy, nie wychodziłem z salonu.

„Moja Matka ani z charakteru, ani téż z wieku swojego nie była skłonną do łatwego przejmowania zewnętrznych wrażeń, a przecież wpływ téj zupełnie dla niéj obcéj osoby mimowolnie i niepostrzeżenie prawie oddziaływał na nią. Co więcéj pociąg owéj niewytłumaczonéj sympatyi, nie był jak

u mnie oziębionym instynktowym wstrętem do osoby. Lubiła ją niechcąc się przyznać do tego. Zauważałem kilka razy, iż gdy nadchodziła godzina, w któréj Anastazya Mikołajewna zwykła była przyjeżdżać dla zdania relacyi o uskutecznionych przez nią czynnościach, lub zasięgnięciu nowych instrukcyi, wzrok mojéj matki zwracał się ku drzwiom jakoby w niecierpliwości oczekiwania; dostrzegłem także w rysach jéj wyraz ukontentowania, gdy w drzwiach salonu ukazała się postać pani Diergunowéj.

„Są w naturze zagadki dotąd niewytłumaczone. Do rzędu takich należy ów wpływ tajemniczy, jaki niektóre osoby wywierają na wszystko co je otacza. Wpływ podobny nieokreślony, bezwiedny, nieoparty na żadném stałem uczuciu, wyradza się sam przez się bez żadnego wiadomego powodu. Bywają nawet przypadki, że głos rozsądku stara się oziębić owe niewytłumaczone porywy serca, ale zawsze napróżno: nieprzeparty pociąg silniejszym jest jak wszelkie rezonowanie. Nie jest to uczucie, nie jest to również sympatya, gdyż częstokroć nieznamy nawet charakteru osoby wywierającéj na nas to wrażenie, a jednak mimowolnie poddajemy się jéj wpływowi. Prostoduszni ojcowie nasi nazywali to oczarowaniem, urokiem — my zaś pragnący nadawać wszystkiemu bardziéj odpowiednie duchowi czasu określenia, mianujemy tę zagadkową i nieokreśloną chęć zbliżenia się magnetyzmém, ale nikt z nas nie jest wstanie objaśnić, ani powodu, ani téż czynników tego wrażenia.

„Powoli i nieznacznie pani Diergunowa z obcéj i nieznanéj prawie osoby, przeszła na stanowisko zwykłéj światowéj znajomości, a następnie ta prosta znajomość przemieniła się w życzliwą poufałość. Wszystko to przyszło niepostrzeżenie. Moja matka tak przywykła stopniowo do jéj towarzystwa, że w końcu już i obejść się bez niego nie mogła, zaniedbując dawniejsze swoje otoczenie. Wyznać należy iż tak zwane „zabytki przeszłości,“ nie bardzo lubiły tę przedstawicielkę obecnych czasów, ona zaś wiedząc o tém, tak się zawsze urządzała, żeby ich jaknajrzadziéj spotykać. Jeżeli kiedykolwiek która z dam należąca do wyżéj wzmiankowanéj koteryi, zdawała się dziwić jéj częstéj u nas obecności,

moja matka brała zawsze gorąco jéj stronę, nazywając objawioną niechęć niczém niedającém usprawiedliwić się uprzedzeniem. I w saméj rzeczy mogło to być rzeczywiście uprzedzenie. Na Anastazyę Mikołajewnę mówiono to i owo, ale jestże na świecie osoba którąby nie dotknęły złe języki? Wszystko co o niéj powtarzano było tylko nieuzasadnioną pogłoską, nieokreśloną wieścią, czémsić nie dającém się ująć—faktu jednak żadnego, na poparcie swéj niechęci nikt nie był w stanie przytoczyć. A te same poważne panie, dumne chłodem który wiał z ich przestarzałych salonów, czyliż były wolnemi od zawiści i potwarzy wtedy gdy im się jeszcze ruchliwe i błyskotliwe życie stolicy uśmiechało? Kobiéta, któréj nie lubiły bez powodu, należała przecież i stosunkami swémi i położeniem do piérwszych warstw społeczeństwa, ale że przekładała gwar balów i zabaw, wir życia, od zastygniętéj i nudnéj powagi, to nie było jéj winą, ale wypływem charakteru i usposobienia. Nie można jéj téż było zarzucić żadnego z tych błędów którym świat nie przywykł pobłażać: tyle pociągająca jéj wesołość, nie wychodziła nigdy z granic najlepszego tonu—niechętnych sobie umiała skarcić jednéln spojrzeniem, jedném w porę wyrzeczoném słówkiem, bez użycia sarkazmu. O sobie bardzo mało mówić lubiła, i to tylko wtedy gdy tego konieczna wypadła potrzeba. Nabożna i miłosierna, umiała się tak urządzić, iż wiadomość o jéj dobrych uczynkach, dochodziła zawsze bezpośrednio do wszystkich niby przypadkiem, bez jéj wiedzy i woli. Gdy wyrwała z nędzy jaką biédną rodzinę, lub uratowała od zguby jaką ubogą lecz poczciwą dziewicę, pół Petersburga o tém wiédziało w skutku niedyskrecyi kamerdynera francuza, lub gadatliwości panny służącéj. Ona sama nie tylko nigdy o tém niewspomniała, lecz zdawała się być nader niezadowoloną tyle niepotrzebnym rozgłosem, twierdząc i słusznie, że w wykonywaniu obowiązków chrześcijańskich, lewica nie powinna wiédzieć o tém co czyni prawica.

„Przyszło do tego, że i jeden dzień nie przeszedł w którymby ona u nas, albo téż my u niéj nie gościli. Żyła z wielkim komfortem w jednym z wspanialszych domów na

Newskim prospekcie. Umeblowanie salonów, służba, przyjęcie — wszystko było odpowiedniem do stanowiska jakie zajmowała w stolicy. Samo z siebie wypływa, że stosunki bliższe jak zwykłéj światowéj znajomości w których zostawaliśmy, dawały nam sposobność widywania częstego jéj córeczki, ukrywanéj przed światem niezawodnie tylko w skutku przyjętego systematu wychowania. Panienka ta nie była ani żadnym defektem cielesnym upośledzoną jak twierdzili jedni, ani cudem piękności zamykanym starannie przez zazdrosną o resztę swych wdzięków matkę, jak głosili drudzy. Była to sobie dziewczynka mniéj więcéj lat szesnastu chuda, blada, mizerna, i przez to samo wyglądająca na daleko młodszą — na dziecko prawie. Była ona jak wszystkie prawie dorastające panienki, bojaźliwa, nieśmiała, trochę niezgrabna, i odpowiadająca na wszystko: „Oui Monsieur!“ Anastazya Mikołajewna coraz częściéj brała ją ze sobą gdy do nas przyjeżdżała, mówiąc że Pasza (tak nazywała zdrobniale swoją córkę), szczerze moją matkę pokochała. Musiało to być prawdą, bo dziewczę formalnie lgnęło do mojéj matki.

„Gdy dziś po upływie lat tylu pomyślę o tym peryodzie mego życia, który był przedwstępem do całego szeregu odczarowań, goryczy i nieszczęść, widzę że choć wszystko szło wtedy zwyczajnym trybem, instynkt jakiś nieokreślony, kazał mi w atmosferze która nas otaczała przeczuwać utajone niebezpieczeństwa. Wpływ jaki pani Diergunowa na mnie wywierała był tylko chwilowym: po jéj oddaleniu się wrażenie to ustępowało miejsca nieufności. A przecież do tego nie miałem najmniejszego powodu; widząc zaś jaką przyjemność znajduje moja matka w jéj towarzystwie, wyrzucałem sobie wspomnione uczucie jako niewdzięczność. Córeczka jéj Pasza tak niewiele zawsze zajmowała miejsca, że na nią nigdy najmniejszéj nie zwracałem uwagi: najczęściéj przysiadywała ona do mojéj matki i zdawała się z natężoną uwagą słuchać każdego słowa, jakie z ust jéj wychodziło. Moja matka przyciągała ją wtedy do siebie, gładziła po jasno-bląd włosach, wijących się w naturalne pukle, i serdecznie całowała.

„Interesa które powołały nas do stolicy szczęśliwie ukończonemi zostały. Nie było żadnego powodu zatrzymywania się dłużéj, tym bardziéj że obowiązki gospodarstwa wiejskiego, a więcéj jeszcze chorzy, biédni, i cały ogółem los włościan, przywykłych do gorliwéj opieki swojéj ukochanéj pani, mógłby na tém ucierpieć. Ale znowu z drugiéj strony trudno było mojéj matce rozłączyć się z Anastazyą Mikołajewną, któréj towarzystwo stało się dla niéj niemal potrzebą życia, i z Paszą, którą pokochała jak własną córkę. Pani Dierguuowa jakgdyby odgadując to życzenie, ofiarowała się towarzyszyć nam. Moja matka przyjęła ofiarę z najżywszą wdzięcznością, umiejąc ocenić ile było poświęcenia ze strony osoby przywykłéj do zabaw i otoczenia wielkiego świata, która dla niéj nie wahała się zamienić ruch stolicy na ciszę wiejskiego ustronia. Co się tycze Paszy, ta rozpłakała się z radości.

„Opuściliśmy więc wszyscy Petersburg, z wyjątkiem staréj guwernantki francuzki, pozostałéj na miejscu. Po przybyciu naszém na wieś, powróciłem do kontemplacyjnego życia, do moich samotnych przechadzek, które zawsze posiadały tyle dla mnie uroku, i przez to samo mniéj jeszcze jak w stolicy, miałem sposobność znajdowania się w towarzystwie naszych gości. Anastazya Mikołajewna, od piérwszéj chwili swego przyjazdu, urządziła się tak, żeby jéj obecność nie była nikomu natrętną. Zajęta ręcznemi robotami mającemi uposażyć miejscową ochronę ubogich dziatek, pozostawiła swojéj przyjaciółce zupełną swobodę. Widząc ją oddającą się z takiém zadowoleniem owém zatrudnieniom, niktby nie sądził, że kiedykolwiekbądź lubiła podróże, bale i liczne towarzystwa stolicy, tak naturalnie, swobodnie i bez żadnego przymusu przejęła się wszelkimi zwyczajami naszego otoczenia. Wszyscy domownicy byli nią zachwyceni: nawet stary major, dosyć zwykle oziębły z mało sobie znanemi osobami, nie mógł się dosyć jéj nachwalić. Pasza nieopuszczała prawie méj matki, towarzysząc jéj we wszystkich wycieczkach, i zdawała się najszczęśliwszą, gdy z nią była razem. Na dziewczątko to nigdy nie zwracałem uwagi—czyż bowiem mogło obchodzić dorosłego młodzieńca, zwłaszcza

z mojemi usposobieniami, dziecko nie zajmujące jeszcze żadnego miejsca w towarzystwie. Kilka razy dla zrobienia przyjemności mojéj matce, przywiozłem jéj z poblizkiego miasteczka małe podarunki, które ona przyjęła wywdzięczając się pensyonarskiem dygnięciem, i wyszeptawszy zaledwie dosłyszanym głosem: „Merci Monsieur!“

„I tak upływały tygodnie i miesiące nieprzynosząc żadnéj zmiany w naszém codzienném życiu. Kilka razy pani Diergunowa wspominała o wyjeździe z obawy, jak mówiła, ażeby jéj przedłużona bytność nie stała się natrętną. Ale widocznie było to tylko formą: ona bowiem wiedziała ile jest potrzebną; sama zaś zdawała się być nader zadowoloną z tego sposobu życia. Stosunki jéj z moją matką doszły do tego stopnia przyjaźnéj poufałości, iż zauważałem pomiędzy niemi jakieś tajemnice do których mnie moja matka, nie mająca dotąd zwyczaju żadnéj swéj myśli przed synem swoim ukrywać, nie przypuszczała. Kilkakrotnie szeptały półgłosem spoglądając na mnie; innym znów razem zaczęta rozmowa ustała nagle po mojém wejściu. Byłem tém dotkniętym, lecz przywykłszy ulegać woli téj która mnie tyle kochała, starałem się ukryć wrażenie doznanéj przykrości.

„Bardzo często się zdarza, iż cisza panująca w przyrodzie ukrywa wśród spokoju swojego straszne i gwałtowne przemiany. Niebo jest jasne, pogodne—żadna chmurka nie zaciemnia widnokręgu: nagle podnosi się gwałtowny wicher, pędząc przed sobą tysiące złowrogich chmur, w których czarném łonie utajony grom, uderza w pierś oddychającą przed chwilą jeszcze rozkoszą i nadzieją. To samo dzieje się i w życiu ludzkiem. Od najpiérwszych dni dziecinnego wieku nieznałem co to jest nieszczęście—niestety! miało ono spaść na mnie równie nagle jak niespodziewanie.

„Nigdy niezapomnę téj chwili. Była wiosna. Jaśniał jeden z tych dni w których wszystkie twory przyrody rozbudzając się z zimnego odrętwienia, upajają duszę człowieka niewysłowioném uczuciem szczęścia; korzystając z pięknéj pogody, udałem się do poblizkiego lasku w celu użycia samotnéj przechadzki. Pani Diergunowa z córką zostały w salonie — matka moja zajęta codziennemi zatrudnieniami była

w swoim pokoju. Nieprzeczuwając jak się zwykle dzieje w podobnych razach strasznego ciosu, jaki miał we mnie za chwilę ugodzić, oddychałem pełną piersią ożywczém powietrzem wiosny, słuchałem pienia ptasząt, a myśl moja bujała gdzieś daleko w krainie marzeń.

„Stary sługa stający niespodzianie przedemną, przerwał tę błogą złudę rozkoszy.

„Był on blady, strwożony, wylękły.

— Nasza kochana pani—chora.... wyjęknął.

„Dźwięk głosu uderzył uszy moje, słów zrozumiéć nie mogłem. Przed chwilą widziałem moją matkę uśmiechniętą, wesołą, szczęśliwą. Jeżeli kiedykolwiek, dawniéj jeszcze, jaki cień przebiegł przez złote moje marzenia, to on zawsze przedstawiał się jako coś niepewnego, nieokreślonego: szczęśliwy nie rozumiałem nieszczęścia.

„Nie pojmując tego co mnie za chwilę czekało, zaniepokojony tylko wieścią o chorobie matki, pobiegłem do domu.

„Leżała na łóżku blada, nieruchoma, bez przytomności. Pani Diergunowa podtrzymywała jéj głowę na poduszce— Pasza zanosiła się od płaczu.

„Z krzykiem przerażenia poskoczyłem ku niéj.

„Pani Diergunowa dała mi znak milczenia.

— Stałości, męztwa,—rzekła: —może to wszystko przeminie; nie trzeba trwożyć się zawczasu. Co tylko należało uczynić, zrobiono: chora przyjęła domowe orzeźwiające środki. Po doktora posłałam, za chwilę tu będzie....

— Boże mój, Boże!... cóż się tu stało?—wyjąknąłem.

— Chwilowe osłabienie: przechodząc przez pokój zbladła, zachwiała się i zemdlała.... na szczęście byłam blizko niéj wraz z moją córką.

„Spojrzałem z wdzięcznością na przyjaciółkę matki, i na Paszę, która przyciskając do ust zdrętwiałe dłonie choréj, szeptała półgłosem.

— Ah ja ją tak kocham—tak bardzo kocham!

„Te dwie istoty zdawały mi się być aniołami opiekuńczemi, zesłanemi z nieba dla wybawienia mnie z nieszczęścia.

„Moja matka tymczasem otworzyła oczy.

— Synu! Paszo! jesteście tu.... to dobrze. Nie wiém co mi się stało — czuję jakiś silny ból serca, którego dawniéj nigdy niedoświadczałam.

— Kochana, droga pani, — przerwie nieodstępna jéj towarzyszka — bądź spokojną, nietrudź się napróżno — my jesteśmy około ciebie.

— O ja wiém, że wy mnie prawdziwie kochacie: mój syn, Pasza i ty.... Anastazyo!

„Piérwszy raz w życiu nazwała ją po imieniu — niewiedziałem wtedy, że to miało być po raz ostatni!

„Turkot kół zajeżdżającego powozu przerwał tę smutną rozmowę.

„W téj chwili wszedł do pokoju doktór.

„Będęż wam opisywał te chwile w których każda minuta jest niewypowiedzianym bólem, każda sekunda okropną katuszą, a które nam się zdają jeszcze zbyt prędko uchodzić....

„Doktór zadeklarował anewryzm serca.

„Po użyciu wszelkich odpowiednich środków, gdy straszna prawda stanęła po raz piérwszy przed mojemi oczami, chora oddaliwszy skinieniem ręki domowników i doktora, zażądała ze mną chwili rozmowy.

„Dotychczasowa jéj towarzyszka chciała wyjść wraz z innemi.

— Zostań! — wyjęknęła słabym głosem moja matka— i ty Paszo nie opuszczaj mnie. To co mam powiedzieć, ciebie głównie dotyczy.

„Gdy już oprócz nas trojga nikogo w pokoju nie było, umierająca ująwszy dłoń moją, rzekła:

— Synu, byłeś dla mnie wszystkiem w tém życiu: pociechą, szczęściem i przyszłością; opuszczając cię nazawsze żądam od ciebie ostatniego dowodu przywiązania.... bądź mężem téj, którą kochałam jak własną córkę.... przyrzekasz mi to, wszak prawda?

„Dla mnie nie istniały wtedy myśli, pojęcia, wrażenia— przygnębiony, zrospaczony, nie widziałem nic przed sobą oprócz konającéj matki, nię słyszałem nic oprócz jéj głosu....

„Przyrzekłem machinalnie, nie wiedząc nawet czego odemnie żądano.

„Na jéj wybladłéj cierpieniem twarzy, ukazał się uśmiech zadowolenia i szczęścia: połączyła nasze ręce i wyszeptała z wysileniem:

— Dzięki ci synu—teraz umieram spokojnie, bo się wypełnia to czegom sobie tyle życzyła. Dzieci moje, bądźcie szczęśliwemi....

„Uczułem konwulsyjne ściśnięcie dłoni, jakiś szept, jakiś jęk—i nic więcéj....

„Straciłem przytomność.

„Cios który we mnie uderzył był tak nagłym, tak niespodziewanym, iż zachwiał całą moją istotą. Sądziłem że nie zdołam przeżyć téj, która była mi wszystkiem na tym świecie.... Nie pamiętam niczego: ani licznego zjazdu obywateli, ani pogrzebu, ani następujących potém dni. Leżałem w malignie, a doktór przybyły w czasie ostatnich chwil życia méj matki, nieopuszczał domu.

„Młodość i siły żywotne zwyciężyły chorobę. Ah! czemuż nie zabiło mnie wtedy cierpienie!

„Ale nie uprzedzajmy wypadków. Gdym przyszedł do przytomności, ujrzałem się otoczony pieczołowitością i staraniami Pani Diergunowéj. Chodzono na palcach, uprzedzano każde me życzenie, starano się oddalić od myśli mojéj wszelkie szkodliwe wpływy; jedném słowém, czyniono wszystko cokolwiek stan niebezpieczny w jakim się znajdowałem, wymagał. Przyjaciółka méj matki z rzadkim taktém umiała sobie postępować. Nie narzucała się nigdy z błahemi słowami pociechy, które w podobnych razach powiększają jeszcze boleść; owszem przeciwnie, rozwodziła się nad cnotami, nad anielskim charakterem zmarłéj, a płacząc razem zemną przynosiła ulgę mojém cierpieniom. Niestrudzona, niewyczerpana w sposobach zajęcia chorego i osłabionego mojego umysłu, była zawsze przy mnie wtedy gdy zwątpienie, gdy tajona rozpacz zaczynały brać górę nad chrześciańskiem poddaniem się wyrokom opatrzności, i zawsze umiała wlać w duszę moją, jeżeli nie spokój bezwzględny, to przynajmniéj chwilowe umocnienie. Poddając

się temu kierunkowi, uczułem dla niéj prawdziwą wdzięczność za moralną opiekę, a uprzedzenia jakie do jéj osoby dawniéj żywiłem, nigdy wówczas nie powstały w méj duszy.

„Jéj córka ani razu nie ukazała się w moim pokoju. Ta istota tak mało zajmowała miejsca w mém życiu, że nieobecność jéj z początku przeszła dla mnie niepostrzeżenie. Czasami słowa konającéj matki stawały mi na myśli, ale osłabiony chorobą brałem je za wynik złudy wyobraźni; dopiéro z czasem gdy nadwerężone siły stopniowo powracać zaczęły, pojąłem że przyszłość moja na nową ma wejść drogę. Nigdy jednak nie zgłębiałem swojego położenia, ani téż zastanawiałem się nad losem jaki mi ta przewidziana zmiana zgotować może. Odrętwiały, przygnieciony nieszczęściem, żyłem z dnia na dzień, nie rachując się z tém co potém nastąpi. Zresztą owa przyszłość wydawała mi się być nader odległą: nieznając dokładnie wieku Paszy, uważałem ją zawsze za niedorosłe dziecko.

„Po upływie dwóch lub trzech tygodni, opuściłem piérwszy raz mój pokój. Pani Diergunowa wszystkiem w domu zajmująca się, przekształciła prawie niedopoznania wewnętrzny rozkład mieszkania. Począwszy od rozmieszczenia mebli, aż do przeistoczenia oddzielnych części pałacu, każda rzecz uległa bezwarunkowéj zmianie; tym sposobem piérwsze moje wrażenie nie było tyle bolesném. Zewnętrzne przedmioty wywierają zwykle bezpośredni wpływ na nasze usposobienie: owi niemi towarzysze chwil szczęścia, stają po zgonie drogiéj sercu istoty jako świadkowie tego co już nigdy nie wróci, i drażnią swoim widokiem nie zabliźnione rany. Ona z właściwym taktem umiała tę piérwszą, a często tak dotkliwą przykrość usunąć odemnie.

„Oparty na jéj ręku wszedłem do salonu, który dawniéj stanowił część domu niezamieszkaną i bardzo mało uczęszczaną.

„Po chwili wbiegła jéj córka, i przybliżywszy się do mnie wyszeptała półgłosem jeden z tych zwykłych frazesów, jakiemi się wita chorych powracających do zdrowia.

„Powiedziała to wszystko tonem prostego, codziennego pozdrowienia.

„Spojrzałem po raz piérwszy na nią uważniéj.

„Na twarzyczce jéj bladéj, o dziecinnych prawie rysach, nie było widać ani owego, tyle naturalnego zakłopotania panienki znajdującéj się nagle w obecności tego, z którym los swój ma połączyć, ani tajnego uczucia, ani łatwéj w podobnych razach do pojęcia obawy. Wbiegła w poskokach, usiadła przy mnie, a cała jéj uwaga zwróconą została na pęk kwiatów trzymany w dłoniach, z którego układała bukiet.

„Jéj matka po niejakim czasie obojętnéj rozmowy powstała ze swego miejsca, a tłumacząc się koniecznością niektórych domowych zajęć potrzebujących jéj obecności, dodała:

— Zostawiam was moje dzieci ze sobą. Narzeczonym należy bliżéj poznać się.

„Jakkolwiek wyrazy te odpowiadały zobopólnemu naszemu położeniu, przecież dotknęły mnie one do żywego. Złożony chorobą, cierpiący, często nieprzytomny, poddawałem się woli przeznaczenia nie wchodząc w szczegóły, nie myśląc o całéj doniosłości mającego się spełnić faktu. Święta nazwa dziecka w ustach téj obcéj, wydała mi się być bluźnierstwem, słowo „narzeczeni" obiło się nie mile o uszy moje.

— A pani,—rzekłem,—czy przyzwyczaiłaś się już do téj myśli?

— Do jakiéj? — zapytała nieprzerywając układania kwiatów.

— Do myśli połączenia się naszego.

— A....o tém pan mówi? wszakże to rzecz postanowiona. Ot poradź mi pan lepiéj co z tą różą robić. Ja sądzę iż na jéj miejsce lepiéj będzie umieścić te gwoździki, wszak prawda?

„W tym duchu poszła piérwsza rozmowa pomiędzy mną, a moją *narzeczoną*. Przytoczyłem początek jéj jako próbkę dającą wyobrażenie o wszystkich innych. Bardzo naturalną powodowany ciekawością, starałem się czasami, jeżeli już nie poznać charakter téj panienki, to przynajmniéj zbadać jéj gusta, usposobienie, pojęcia; nigdy jednak dokazać tego nie mogłem. Ile razy poruszyłem kwestyę, któréj rozwinięcie mogło było mnie objaśnić, Pasza przemieniała nagle roz-

mowę, zastępując odpowiedź jaką drobnostką, lub dziecinną naiwnością.

„Minęło jeszcze parę tygodni. Smutek po stracie nieocenionéj matki, przybrał stopniowo cechy rzewnéj tęsknoty; wspomnienie o zmarłéj nie wywoływało już we mnie uczuć zwątpienia i rozpaczy, ale ową cichą, jednostajną boleść, która następuje zwykle po gwałtownych wstrząśnieniach. Zacząłem powoli przywykać do mojego osierocenia i pojmować, że poddanie się ciosowi, który mnie dotknął jest koniecznêm i nieuchronnêm. Inna jednakże rzecz była co do postanowionego wolą umierającéj matki, zmiany mego losu. Wiedziałem, że to małżeństwo spełnić się musi, ale uważałem je zawsze jako fakt nieokreślony, którego wykonanie kiedyś dopiéro nastąpi. Czasami patrząc na drobne dziewczątko biegające po ogrodzie, lub zajmujące się dziecinnemi igraszkami, starałem się wystawić sobie jaką ona będzie w przyszłości, wtedy gdy przybywające lata rozwiną jéj charakter, dadzą odpowiednią powagę i wyrobią zdanie. W małéj panience o wątłéj powierzchowności, pensyonarskich wybrykach, nie podobna mi było nic innego widziéć, jak tylko niodorosłe dziecko, z którego późniéj dopiéro wyrobić się miała kobiéta.

„Gdy się to działo, pewnego dnia po odjeździe kilku osób z sąsiedztwa przybyłych niby z pociechą, a w rzeczy saméj dla zaspokejenia zwykłéj w podobnych razach ciekawości. — Pani Dierguuowa wziąwszy mnie pod rękę i kazawszy córce pozostać w pokoju, obróciła swe kroki w najodleglejszą część ogrodu.

„Była mocno wzruszoną. Usta jéj ściśnięte, błyszczące oczy i rumieniec na twarzy, znamionowały ukryty gniew i oburzenie.

„Nie mówiąc ani słowa, wskazała mi obok siebie miejsce na ławeczce.

„Chwilę tak siedzieliśmy w milczeniu; ona trzymanym w ręku parasolikiem kreśliła na piasku różne figury—ja zaś domyślając się, że coś zajść musiało, a nie mogąc odgadnąć co by to być mogło, czekałem objaśnienia.

— Nie, to położenie jest nie do zniesienia, — szepnęła wreszcie półgłosem.

„Spojrzałem zdziwiony: twarz jéj zalaną była łzami.

— Co pani jest, na Boga... co się stało?

— I pan pytasz się jeszcze? Jakto, czyż nic nie widzisz, czyliż niczego nie słyszałeś? Wszakże byłeś w salonie gdy oni przyjechali.

— Byłem, a odwiedziny te, owe słowa pociechy o które nikt nie prosił, owe ubolewania więcéj etykietalne jak z serca płynące, wydawały mi się jeżeli nie natrętnemi to przynajmniéj zbytecznemi.

— Więcéj nic?

— Cóż więcéj dopatrzyć można w zwykłéj formie światowéj?

— Otóż to właśnie najwięcéj mnie boli. Nie mogę spokojnie pomyśleć, że pana tak mało obchodzi honor téj która będzie nosić jego nazwisko.

— Nierozumiem. Córka pani jest jeszcze dzieckiem.

— Skończyła przed wczoraj lat szesnaście. Szesnastoletnia panna nigdy za dziecko uważaną być nie może. Ale nie o to chodzi. W chwili gdy te panie weszły do bawialnych pokoi, widziałem po ich przywitaniu, uśmiechach, pół słówkach, że położenie moje i mojéj córki w tym domu, podlega surowéj krytyce całego sąsiedztwa. Pan zajęty rozmową ze starym majorem tego wszystkiego nie uważałeś. Nie chcę mu robić wymówek: podobna nieuwaga po tak świeżéj stracie jaką poniosłeś jest do przebaczenia — ale czyż panu nigdy na myśl nie przyszło, że ja niechcąc cię opuścić w tak strasznéj chwili, naraziłem swoje ukochane dziecko na potwarz, na obmowę złych ludzi!

„Powiedziałem już wyżéj że pani Diergunowa pomimo bezwiednego, nieokreślonego wpływu jaki na mnie wywierała, nie była nigdy dla mnie sympatyczną. W téj chwili, niezasłużona wymówka którą mi tak niesprawiedliwie czyniła, wywołała uśpioną od niejakiego czasu niechęć.

— Wdzięczny niewypowiedzianie pani jestem, odrzekłem, za pozostanie w mym domu, lecz uczyniwszy to z wła-

snéj woli, wiedziałaś o następstwach. Albo więc należało uniknąć ich przed czasem, albo téż przyjąwszy to położenie nie uważać teraz na ludzkie gadania, które w gruncie rzeczy nie zasługują ażeby je brać tak bardzo do serca.

— I pan to mówisz! Ale nie dziwię się bynajmniéj: nie żyłeś w świecie, nie możesz więc znać wszystkich skutków chwilowéj nieoględności. Na szczęście ja tu jestem... ja matka—do mnie więc należy zapobiedz jaknajprędzéj złemu. Tym łatwiéj to przyjdzie, że względy światowe zgadzają się jaknajzupełniéj z wyraźnie objawioną wolą mojéj nieodżałowanéj przyjaciółki. Nie mówiłam panu tego w pierwszéj chwili—cios jaki nas wszystkich dotknął zbyt był świeżym, ażeby cokolwiek bądź innego postać mogło wówczas w myśli. Teraz sama opinia świata rozwiązuje mi usta. Kilka chwil przedtém nim stanąłeś przy łożu umierającéj, ona zaklęła mnie na wszystko ażebym cię nigdy nie opuściła, abym starała się zastąpić sierocie bolesną i niepowetowaną stratę. Wiem, dodała, że stosunki takie istniéć nie mogą bez ustalenia ich rodzinnemi węzły, dla tego żądam ażeby małżeństwo o którém dawniéj obie marzyłyśmy jako o dalekiém wypełnieniu zobopólnych naszych nadziei, nastąpiło niezwłocznie. Takie były jéj słowa: zostając tu wypełniłam włożony na mnie obowiązek, reszta do ciebie należy.

„Powiedzcież — cóż mi wówczas czynić wypadało? Miałżem prawo znając wolę méj matki co do postanowionego małżeństwa, wątpić że ów krótki obrażający równie synowskie uczucia jak i zwyczaje światowe termin, nie zgadzał się z wyraźném życzeniem umierającéj? Późniéj poznawszy lepiéj charakter pani Dierganowéj, który wtenczas zaledwie instynktowo przeczuwałem, nabrałem przekonania że to przyśpieszenie aktu ślubnego było jéj własném dziełem — w owéj epoce jednak wiedziéć tego nie mogłem.

„Zresztą domowe wychowanie, wiek młody, brak samoistności w życiu, uczyniły mnie podległym postronnym okolicznościom. Wola moja przywykła naginać się zawsze do woli téj którą uważałem za część mojéj własnéj istoty, nie mogła wyrobić samodzielności. To co mnie spotykało uważałem za nieodwołalne przeznaczenie; los postawił na méj

drodze intrygantkę chytrą, przewrotną, działającą tylko w swoich własnych widokach, dziwić się nie można iż taka kobieta zdołała uczynić mnie ślepem narzędziem swoich celów.

„Wszystko co potém nastąpiło przedstawia się w mojéj myśli jako sen gorączkowy. Robiono przygotowania, czyniono potrzebne kroki, a ja główny aktor mającego się odegrać dramatu byłem bezczynnym świadkiem, tego co się dokoła mnie działo. Niechcąc w niczém uchybić życzeniom matki, dałem przyzwolenie — więcéj téż odemnie nie żądano.

„Jak gdyby odgadując że obrzęd tak wesoły, tyle obiecujący szczęścia w przyszłości, miał być dla mnie prologiem do straszliwéj i ohydnéj tragedyi, nie zastanawiałem się nad wszystkiém co nastąpić mogło, ale zamknąwszy oczy na to co mnie otaczało, pogrążyłem się we wspomnieniach przeszłości, jaka już nigdy wrócić nie miała.

„Czasami starałem się zawiązać rozmowę z moją narzeczoną i zatrzymawszy przebiegającą przez pokój panienkę, chciałem wybadać jéj usposobienia, jéj gusta, poznać jéj myśli, ale działanie podobne nigdy do żadnego nie doprowadziło rezultatu. Pasza słuchała mnie z roztargnieniem, przytakiwała bezwiednie, lub téż przerywała moje uwagi jakim trzpiotowatém objawem dziecinnego charakteru. Jeżeli matka znajdowała się wtedy przy nas, to zawsze za córkę odpowiadała, kładąc w jéj usta zdania o jakich zapewne proste dziewcze i wyobrażenia nie miało.

„Nadszedł nareszcie dzień ślubu. Zjechało kilka osób z sąsiedztwa, kilku dalszych członków rodziny, i najważniejszy akt życia mego spełnionym został. To czego wówczas doznawałem określić trudno: był to rodzaj gorączkowéj niespokojności, tajonego przestrachu, nieokreślonego przeczucia. Jakiś ciężar gniótł moje piersi, tamował oddech, odejmował zdolności myślenia i zastanawiania się. Podobne uczucie porównać można do wrażenia jakiego doznajemy w przedwstępie gwałtownych zmian atmosfery. Wszystko do koła nas ciche, spokojne milczące; wietrzyk nie porusza liściami drzew, nie marszczy powierzchni wód, a jednak

w palącém, duszącém powietrzu, przeczuwamy zbliżającą się burzę...

„W czasie trwania ceremonii kościelnéj, stałem nieruchomy obok téj, któréj za chwilę dozgonną miałem przysiądz wiarę; a słowa wyrzeczone przez kapłana, głos organu, poważne religijne pienia, obijały się o moje uszy jako chaos niezrozumiałych dla mnie dźwięków: w chwili gdy wymawiała sakramentalne wyrazy, spojrzałem na nią. W rysach jéj twarzy nie było widać żadnego uczucia, najmniejszego wyrażenia obawy, radości, zakłopotania lub niezadowolenia. Zdawała się być znudzoną długością trwania ceremonii, która jéj przeszkadzała oddawać się ulubionéin rozrywkom; mimowolnie rzuciłem wzrok na panią Diergunową — i zadrżałem. W oczach téj kobiety błyszczał wyraz takiéj radości i tryumfu iż pierwszy raz może w życiu zrobiłem sobie zapytanie, czy nie stałem się ofiarą nikczemnéj i podstępnéj intrygi. Ale myśl ta przelotna przemknęła się tylko przed moim umysłem, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Porwany chaosem nowych dla mnie wrażeń, nie umiałem sobie zdać sprawy z moich wewnętrznych uczuć i obezwładniony moralnie zostawiłem wszystko losowi, niechcąc lub téż nie mogąc zastanawiać się nad tyle nowem i niespodziewanem położeniem.

„Miałem więc żonę którą mi narzucił ślepy traf przeznaczenia. Nie mogłem czuć dla niéj ani miłości, ani przywiązania; równie i zobopólna sympatya, owa życzliwość wypływająca ze zbliżénia myśli nie miała czasu wyrobić się jeszcze, gdyż dozgonna towarzyszka życia mego, była dla mnie obcą i nieznaną.

„Wszystkie wspomnienia, wypadki, począwszy od nagłéj śmierci ukochanéj matki aż do dnia ślubu przeszły tak szybko, że mi się wydawały być snem gorączkowym; do rzeczywistego życia przebudziłem się wtedy dopiero, gdy los mój był nieodwołalnym.

„Rzeczywistość jednak pojawiła się nader prędko, w naturalnéj swojéj postaci. Nie potrzeba było długiego czasu ażeby poznać że charakter mojéj żony nie posiadał żadnéj podstawy na któréjby można oprzeć przyszłość życia: był

to charakter zupełnie niewyrobiony, złożony z najróżnorodniejszych, nie mających pomiędzy sobą żadnego związku, pierwiastków. Rozpieszczone to i kapryśne dziecko, nie pozbawione było wprawdzie instynktów dobrego, ale te instynkta tłumione ciągle postronnomi wpływami, a więcéj jeszcze brakiem wszelkiego poczucia, co należy a czego nie należy czynić, nie mogły rozwinąć się dostatecznie. Nie było w niéj nic stałego: żadnéj myśli, żadnego postanowienia, któreby natychmiast w miarę nasuwających się wrażeń nie uległo bezwarunkowéj zmianie. Nie miała ona żadnego przekonania: każda myśl, wrażenie, czyn, wyradzały się z chwilowego kaprysu, i nikły bezpowrotnie ażeby być zastąpionemi wprost przeciwnemi objawami. Zapłakana nad śmiercią ulubionego ptaszka, okazywała jednocześnie brak litości nad nieszczęściem bliźniego; pobłażliwa i łagodna w obejściu ze służącemi, stawała się za chwilę względem nich despotyczną i niesprawiedliwą. Były dnie w których modliła się gorąco do Boga, były i takie w których zdawała się nie miéć żadnego religijnego poczucia. W stosunkach ze mną te kontrasta stawały się jeszcze więcéj rażącemi: raz potulna i pieszczotliwa dawała nadzieję błogiéj przyszłości, znów rozzłoszczona z zaiskrzonemi oczami, zaczerwienioną od gniewu twarzą, przerażała swą gwałtownością. Owe wybuchy następowały zazwyczaj, gdy cokolwiekbądź nie stało się podług jéj woli; czasem jednak miały miejsce bez żadnéj pozornéj przyczyny. Budząc się z rana niewiedziałem nigdy jaki dzień dla mnie zawita: pogodny lub burzliwy, gdyż zmiana jéj usposobienia była zawsze równie nagłą, jak niespodziewaną. Czasami starałem się łagodną przyjacielską perswazyą, zwrócić ją na drogę zastanowienia, przedstawiając potrzebę jakiegokolwiek zajęcia któreby było odpowiedniem nowém obowiązkom i położeniu towarzyskiemu, ale uwagi moje nie wywierały na nią żadnego wpływu. Jeżeli trafiłem na chwilę dobrego humoru, to jest chwilę pustot i dziecinnych wybryków, nie przerywała mi, ale widoczném było że niesłuchając słów które mówiłem, goniła myślą za jakim ptaszkiem, zabawą, przedsięwziętym figlem; gorzéj nierównie wypadło jeżeli chęć moja

naprowadzenia ją na właściwą drogę przypadła w czasie rozdrażnienia: ta mała, drobna istota przemieniała się wtedy w piekielną furyę.

„Wkrótce poznałem także iż wychowanie jéj zupełnie było zaniedbaném. Od dziecinnych lat pozostawiona wyłącznie kierunkowi guwernantek, które niechcąc narazić się matce ulegały wszystkiém kaprysom rozpieszczonego dziecka, niczego się prawie nie nauczyła, o niczém wyobrażenia nie miała; tak, że gruba jéj nieświadomość w rzeczach powszechnie znanych była prawdziwie rażącą.

„Jakkolwiek przeistoczenie podobnego usposobienia, przy mojem zwłaszcza niedoświadczeniu, było rzeczą prawie niepodobną — mam jednakże pewność że małżeństwo zawarte w tak dziwnych warunkach nie zapewniając szczęścia i spokoju, mogłoby przetrwać lata gdyby ciągły wpływ pani Diergunowéj, nie oddziaływał szkodliwie na moją żonę.

„Po upływie niejakiego czasu przekonałem się iż źródłem wszystkiego złego od samego początku, była ta kobieta. Ona to owładnąwszy umysłem mojéj matki, doprowadziła do skutku tyle nieodpowiedni związek, ona nareszcie dopiąwszy swego zadania, postanowiła dokończyć rozpoczęte dzieło odjęciem mi woli, i pod imieniem córki rozrządzać ogromnym moim majątkiem, jedynym celu jéj zabiegów. Bez niéj Pasza pozostałaby tylko zepsutem i rozpieszczoném dzieckiem, a może nawet z czasem drogą dobroci i łagodności, doszłaby powoli do zmiękczenia szorstkich stron swojego charakteru.

„Tymczasem od pierwszéj chwili zaczęło się owo ciche, jednostajne systematyczne działanie, którego celem było zagarnięcie wszelkiéj domowéj władzy. Nie odgadując podstępu nie myślałem o oporze. Moja żona wyuczona przez swoją matkę, która na pozór trzymała się ścisłéj neutralności, opanowywała stopniowo moją wolę, czynności i zajęcia. Dla pozyskania spokojności, ustępowałem — każde zaś ustępstwo moje wyradzało nowe wymagania. Czasami pani Diergunowa wspominała o wyjeździe, ale sama wzmianka rozstania, wywoływała wybuchy rozpaczy u przywiązanéj córki: niepodobna było narażać zdrowie a nawet życie uko-

chanego dziecka. Doszło do tego iż stałem się we własnym domu gościem, osobą na którą nikt nie zwracał uwagi. Poznawszy rolę jaką mi dano, nie miałem już siły do prowadzenia walki. Zostawając od najmłodszych lat pod czułą opieką matki, nie zdołałem wyrobić w sobie owéj energii charakteru, tyle zwłaszcza potrzebnéj w podobnych okolicznościach. Czułem swoje nieszczęsne położenie, cierpiałem, a nie znalazłem środka, do wydobycia się z niewoli, w jaką mnie tyle przewrotna kobieta i godna jéj uczennica wprzągły. Jedyną moją rozrywką, jedynym sposobem zapomnienia choć na chwilę smutnego losu, było powrócenie do pierwotnych zajęć i upodobań: oddałem się więc im zupełnie.

„Wśród obszernych pól, w cienistym gaju lub w najciemniejszych zakątkach angielskiego parku, przepędzałem godziny, dnie całe, otoczony tworami wspaniałéj przyrody. Klasyfikowałem zioła, słuchałem pienia ptasząt, i tym sposobem potrafiłem niekiedy zagłuszyć wspomnienia wstrętnéj rzeczywistości. Nie przyszło mi nigdy na myśl że wtedy nawet, każdy mój krok śledzony był pilnie przez zaprzedaną rzeczywistéj pani domu służbę. Jaki zaś był cel pokątnego wywiadywania się o niewinnych i nieszkodzących nikomu upodobaniach, zobaczymy późniéj.

„Mam przekonanie że Pasza w owéj epoce stała się tylko bezwiedném narzędziem w rękach przebiegłéj matki—z czasem dopiero wdrożona w ów system fałszu i chytrości, zaczęła działać na własną rękę. Powoli i nieznacznie dom cichy przedtém i spokojny, przybrał wszystkie cechy gwarnéj, szalonéj wesołości. Zjeżdżali z różnych stron goście, zupełnie dawniéj mi nieznajomi: byli to artyści, oficerowie, studenci uniwersytetu — młodzież hałaśliwa i trzpiotowata, w któréj gronie pani Diergunowa przebywać lubiła, przyzwyczajając tym sposobem, może nawet bez złéj woli córkę do podobnego towarzystwa. Brak wykształcenia u méj żony sprawiał, iż nigdy smakować nie mogła ani w poważnéj rozmowie, ani téż w otoczeniu ludzi z wyższym poglądem; nic więc dziwnego, iż w pośrodku tych lekkich żywiołów znajdowała przyjemność. Z początku bawiło ją to wszystko

jako błyskotliwy chaos, bezmyślny gwar życia; późniéj, gdy zgubny wpływ pochlebstwa, wyrodził w niéj nieznaną dotąd chęć podobania się, polubiła owe życie jako nową ponętę dającą jéj pole do rozwinięcia swéj kokieteryi.

„Nie była już ona owem niepozorném bladem, dziewczątkiem, z którém połączyłem swe losy. W krótce po ślubie fizyczne jéj kształty szybko rozwijać się zaczęły: chorobliwa przedtém cera rozkwitła krasą rumieńca, oczy błyszczały promieniem życia, a wiotka postać rozrosła w ponętne formy. Stała się rzeczywiście piękną. Lecz dary natury które dla kobiety przejętéj obowiązkami swego powołania są jedném upiększeniem więcéj, bez przymiotów serca i duszy nie tylko nie mają żadnego znaczenia, ale stanowią ujemną stronę, gdyż prowadzą łatwiéj jeszcze do zguby.

Oddawna już przyjaciele mojéj matki przestali bywać w naszym domu. Ani nowe towarzystwo, ani przyjęty od niejakiego czasu sposób życia, nie odpowiadał ich przekonaniom i zasadom. Stary tylko Major, który mnie zawsze kochał jak własnego syna, odwiedzał czasami starożytną, a tyle zmienioną siedzibę mych przodków. Zbyt delikatny ażeby chciał się mięszać w małżeńskie sprawy swego pupila, nigdy nie poruszał w rozmowie tyle drzaźliwéj kwestyi; chociaż wiedziałem ile cierpiał, widząc nieszczęśliwe moje położenie. Zajeżdżał zwykle wprost do mnie, a zostawiwszy na stronie salony napełnione wesołymi gośćmi, przepędzał parę godzin poświęconych wspomnieniom o mojéj matce, i owych czasach kiedy jeszcze czułe rodzinne stosunki, ciepło domowego ogniska, szczera życzliwość sąsiadów i znajomych, tak błogim powabem otaczały me lata młodzieńcze. Były to jedyne chwile w których budziłem się do życia. Przeszłość, owa luba słodka przeszłość, miała tyle dla mnie uroku! zagłębiwszy się w niéj zapominałem o teraźniejszości.

„Niestety! i tego pozoru szczęścia mi pozazdroszczono. Pani Diergunowa w któréj obecności stary wojak stawał się więcéj niż oziębłym, nienawidziła go, a nienawiść ta podtrzymywaną jeszcze była obawą, ażeby wpływ dawnego przyjaciela mojéj matki nie osłabił jarzma, w jakie mnie wprzę-

żono. Umyśliła zatém przerwać nasze stosunki, a u téj kobiety postanowienie stało zawsze jednocześnie prawie z wykonaniem. Zbyt przebiegła ażeby sama działać chciała, użyła córki do przeprowadzenia swych zamiarów.

„Pewnego dnia, wkrótce po odjeździe majora, Pasza weszła do mego pokoju. Przybycie żony, dość z resztą rzadkie, znamionowało zawsze nowe jakie żądanie. Wchodziła z twarzą słodką, miłym uśmiechem, potulną postawą, a dopiąwszy celu, opuszczała mnie natychmiast, nie zadając sobie nawet trudu ukrywać swojéj obojętności. Tak się przyzwyczaiłem do podobnego postępowania, że słysząc zdala szelest jéj jedwabnéj sukni, rachowałem naprzód do jakiéj cyfry podniosą się wymagania, a gdy weszła odgadywałem nawet w przybliżeniu ilość summy, która jéj była wówczas potrzebną. Im przyjaźniéj witała, tém na większy uszczerbek narażone były moje fundusze.

„Tym razem jednak omyliły mnie moje rachuby, gdyż żądanie z jakiem ją przysłano, zupełnie innego było rodzaju.

— Jestem mocno niespokojną, rzekła siadając obok mnie na kanapie.

— O co? zapytałem.

— O zdrowie méj matki. Ona nie jest wcale dobrze; od niejakiego czasu ataki nerwowe coraz częściéj powtarzają się.

— Wypada ażeby zmieniła tryb życia, przeniosła się do stolicy; ona nigdy wsi nie lubiła—a zresztą w wielkiém mieście łatwiéj o dobrych doktorów.

— Wiesz dobrze że to jest rzeczą niepodobną; mybyśmy bez siebie żyć nie mogły—my się tak kochamy, na cóż więc mówić...

— Ja tylko odpowiadam na zrobioną uwagę; daję środek najlepszy, a może nawet jedyny.

„Nie mogąc domyślić się do jakiego celu powyższa rozmowa zmierza, wiedziałem jednak dobrze czego się trzymać względem tak zwanych ataków nerwowych pani Diergunowéj: był to jeden z tysiąca sposobów jakich ta kobieta używała, dla przeprowadzenia swoich zamiarów. Moja żona

wówczas jeszcze w nie wierzyła, późniéj wykształciwszy się lepiéj w téj szkole obłudy, sama podobnéj broni używać zaczęła. Smutném jednak doświadczeniem nauczony nie wyjawiałem swéj myśli: jedyna wzmianka o tém wywołałaby niezawodnie burzę.

— Środek który podajesz, rzekła po chwili milczenia jest zły, bo niepodobny do wykonania. Ona cierpi, nic nie mówi, nie uskarża się nigdy, ale ja instynktem przywiązania zgaduję co jéj dokucza. O drogi mój mężu, — dodała przysuwając się bliżéj, gdybyś choć trochę mnie kochał, tobyś także odgadywał przyczyny zmartwień méj matki.

„Ton mowy, przymilające obejście, słodycz wyrażenia się, przestraszyły mnie; rok małżeńskiego pożycia dał mi ją poznać aż nadto dobrze. Nigdy jeszcze tym sposobem do mnie nie mówiła, żądanie więc ukryte pod jéj pieszczotliwemi słowami musiało być nadzwyczajném.

„Miałem się więc na baczności.

— Nie—pomimo najszczerszéj chęci, trudno mi odgadnąć.

— Jakto, nawet w chwili gdy najzaciętszy jéj nieprzyjaciel wychodzi od ciebie? Wszakże łatwo domyślić się że obecność tego Majora, który jéj jawnie okazuje swoją niechęć, jest przyczyną wszelkiego złego.

— Jest to jedyny mój przyjaciel, więcéj jeszcze — przyjaciel méj matki. Zresztą on bywa tylko u mnie, unikając starannie waszego towarzystwa.

„Jak już wyżéj powiedziałem charakter Paszy był tak samowolnym, iż najmniejsze sprzeciwienie się jéj woli, wywoływało wybuch gniewu.

— Ale jest nieprzyjacielem mojéj, to dosyć... Proszę cię ażeby ten człowiek więcéj się tu nie pojawił.

„Mówiła głosem podniesionym, urywanym... Oczy jéj błyszczały, wargi drżały, na twarz wystąpił rumieniec.

„Dotąd wszelkie jéj wymagania jakkolwiek częstokroć niesprawiedliwe, niedotykały mojéj przeszłości. Wszystko co się wiązało z pamięcią o mojéj matce było dla mnie tak świętém, iż nieuszanowanie tych uczuć uważałem za świętokradztwo. Pomimo więc swojéj dotychczasowéj uległości znalazłem w sobie dość siły do oporu.

— Kochana żono, — rzekłem, robię wszystko co chcesz chociaż częstokroć żądania twoje niezgadzają się z mojém przekonaniem. Ani to towarzystwo którém się otaczacie ani ten sposób życia lekki, hałaśliwy, nie mogą mi się podobać; a jednak ja zawsze poświęcam swoje własne upodobania twojém zachceniom. Bądź więc z tego zadowoloną, i nie wymagaj odemnie rzeczy niepodobnych do uskutecznienia. Byłoby to z mojéj strony więcéj jak słabością, gdybym wypowiadał dom starym przyjaciołom mojéj rodziny, dla jakiegoś tam kaprysu.

— Kaprysu?

„I spojrzała na mnie takim wzrokiem, iż zdawało się jakoby wszystkie ognie piekieł zabłysły w tém spojrzeniu.

— Kaprysu! powtórzyła: zapominasz do kogo i o kim mówisz... niechcesz mnie zrozumiéć, a więc wiedz że taka jest wola mojéj matki.

„Ten jeden wyraz odmalował wyraźniéj jak cały szereg faktów, położenie w jakiém mnie to nieszczęśliwe małżeństwo postawiło. Więc wola téj obcéj kobiety, która się wdarła w moje rodzinne stosunki była tu jedyném prawem! Więc pozbawiony własnego zdania, nie mogłem nawet czcić wspomnienia swojéj przeszłości! Uderzony po raz pierwszy może w życiu całym ogromem poniżenia do jakiego mnie stopniowe ustępstwa doprowadziły, wypowiedziałem wszystko co miałem na sercu. Wypowiedziałem to łagodnie ale z siłą przekonania; a czując że ta chwila jest jedną z najważniejszych chwil mego życia, znalazłem w sobie niezwykłą wymowę. Stawiając wszelkie dowody na których się szczęście rodzinne zasadza, dotykałem najczulszych stron: przemawiałem do serca, do duszy, do rozsądku. Jestem pewnym że wyjaśnienie podobne, zmusiłoby każdą inną kobietę do wniknięcia w siebie i zastanowienia się nad swojem postępowaniem, ale dla mojéj żony nie istniało nic na świecie prócz jéj zachcenia, które znowu bezwiednie wypływało z kierunku w jakim popychala ją matka. Gdy mówiłem milczała—sądziłem więc że słucha przynajmniéj słów moich, lecz i ta nadzieja zawiodła mnie: ona milczała bo gniew do wściekłości niemal doprowadzony, niepozwalał jéj ust otwo-

rzyć. Kiedy omylony temi pozorami które wziąłem za nieme przyznanie mi słuszności, ująłem jéj dłoń — wyrwała swoją rękę, i rzucając na mnie wzrokiem w którém malowała się do najwyższego stopnia posunięta zawziętość, zawołała z furyą:

— Dosyć! ani słowa więcéj—pożałujesz tego!

„Od téj chwili chociaż nic się powierzchownie w mém życiu nie zmieniło, czułem że przepaść jaka mnie od niéj oddzielała, stała się jeszcze głębszą. Te dwie kobiety matka i córka były ciągle razem: jedna że tak powiem depełniała drugą, do mnie nie mówiono wcale, lub odzywano się z lekceważeniem. Robiono wizyty, przyjmowano gości, urządzano spacery, bez mojego współudziału. Powróciwszy raz z krótkiéj wycieczki od majora, zastałem zupełną zmianę w wewnętrznym rozkładzie pokoi: pani Diergunowa pod pozorem słabego zdrowia Paszy, kazała jéj przenieść się do siebie.

„Przyszło nareszcie do zupełnego rozłączenia, tak moralnego jak i materyalnego. Żonę widywałem tylko w czasie obiadu: mówiła do mnie mało i to zawsze z pewném odcieniem szyderstwa. Służba przywykła widzieć w jéj matce rzeczywistą panią domu, do niéj we wszystkiém się zwracała — przyjeżdżający goście nawet nie zapytywali o mnie. Byłem we własnym domu obcym pasożytem, na którego nikt nie zwracał uwagi.

„Poniżające to położenie wyrobiło się nieznacznie, powoli. Stopniowanie było tak zręcznie zachowane, odcienia tak sztucznie ułożone, iż na pozór jeden dzień podobny był zupełnie do drugiego, a przecież każda niemal upływająca godzina posuwała naprzód systematycznie przedsięwziętą pracę do ubezwładnienia mojéj woli. Widząc co się dzieje pragnąłem częstokroć otrząść się z owéj apatyi jaka mną owładnęła, zdobyć wysiłkiem woli stracone stanowisko, lecz nigdy żadnego nie mogłem znaleść pozoru: grunt na którym stałem podkopywano tak nieznacznie, iż każdą ujmę mojéj władzy i godności spostrzegłem dopiero wtenczas, gdy ta stała się już faktem dokonanym i nieodwołalnym.

„Ale zbytnie powodzenie zaślepia czasami najprzebieglej-

szych. Pani Dierguniowa była nader zręczną, unikała starannie ażeby mi nie dać żadnego ważnego powodu do wystąpienia z roli biernéj jaka mi się dostała w udziale; pomimo tego jednakże nadeszła chwila, w któréj osłabła jéj zwykła czujność, a pozór rzeczywisty do energiczniejszego wystąpienia, sam z siebie się zrodził.

„Pomiędzy gośćmi odwiedzającemi tak licznie nasz dom, był jeden nierównie częściéj przyjeżdżający i dłużéj bawiący od innych. Pan W***, dawny znajomy méj świekry, należał do rzędu tych ludzi którzy wszystkiego użyli i nadużyli. W młodzieńczych jeszcze latach zmarnował piękny majątek, późniéj nie chcąc porzucić zbytkowego życia, obok wstrętu do wszelkiego rodzaju zajęcia, chwytał się różnych niezupełnie czystych środków, ku podtrzymaniu swych zachceń służących. Najpiękniejsze lata życia sterał w usługach przekwitłych piękności; nakoniec przybrał wygodną rolę doradzcy, przyjaciela, powiernika i pieczeniarza tych dam, którym w szczęśliwych czasach składał hołdy uwielbienia. Dowiedziawszy się o bogatém zamężciu córki dawnéj swojéj znajoméj, przybył z dalekich stron wietrząc dobrą kuchnię, próżniacką egzystencyę, a może jakie takie okruchy poprzedniego swego przemysłu. Osobistość ta na pierwszy rzut oka była odstręczającą, ale nie obudzała szczególniéj uwagi: typ to zanadto znany i powszedni, ażeby mógł zająć nawet obserwatora charakterów ludzkich. Blady, wycieńczony, siwiejący, przywoływał zawsze na pomoc sztukę do walki z naturą. Bywały dnie w których wydawał się młodszym, bywały znowu takie co z niego robiły przedwczesnego starca. W pierwszych chwilach po swoim przyjeździe przybrał charakter cichy, małomówny, okazywał się uprzedzającym dla wszystkich, nawet dla mnie—powoli jednak ufny w opiekę pani Dierguniowéj, zaczął na coraz wyższe wdzierać się stanowisko. Z razu nieznany doradzca, następnie nieodstępny powiernik, został w końcu jednym z trzech ogniw, które ściskając wolę, swobodę, wpiły się w moje życie potrójnym pierścieniem niewolniczego jarzma.

„Dziś, po tylu latach strasznych cierpień, niewypowiedzianych katuszy, gdy się zastanowię nad ówczesném poło-

żeniem rzeczy, niepodobna mi przypuścić, ażeby w stosunkach tego o wytartém czole intryganta do mojéj żony, mogło być cokolwiekbądź zdrożnego. Zresztą przeszłość mojéj świekry stawała ku temu na zawadzie: są występki których najnikczemniejsi nawet nie mają odwagi popełnić. Świat jednakże który nie znał téj przeszłości, tak jak ja ją poznałem, zaczął szemrać na przedłużoną znanego z licznych swych tryumfów, bytność w mym domu starego lowelasa. Ciche z razu szemranie wyrodziło plotki, z plotek podniósł się głos potępienia, i doszło do tego, że major jedyny pozostały mi przyjaciel, ten który dotąd przyjął za zasadę nie mięszać się nigdy w moje domowe sprawy, zjechał pewnego dnia chmurny, posępny, namarszczony, i powtórzywszy wszystko co mówiono, rzekł:

— Tak daléj być nie może... nadeszła pora stanowczego kroku. Winieneś wyjść z tego położenia, jeżeli nie przez wzgląd na siebie samego, to przynajmniéj dla nazwiska jakie nosisz..

„Wezwanie podobne uczyniło na mnie wielkie wrażenie. Stanęła mi na myśli matka moja, dla któréj cześć rodowa niczém dotąd nie skarżona, większe miała znaczenie jak dostatki, jak szczęście nawet domowe. Pojąłem, że jeżeli mi wolno było przyjmować bez szemrania los jaki to nieszczęśliwe małżeństwo dla mnie zgotowało, nie miałem prawa wystawiać daléj na pastwę ludzkich języków czystą spuściznę imienia. Słaby i uległy w rzeczach mnie osobiście dotyczących, nabrałem niezwykłéj energii gdy poczułem że tu idzie o uszanowanie pozorów, mogących służyć do rzucenia plamy, na najdroższą pozostałość rodzinną.

„Pod wpływem tego wrażenia, udałem się do pokojów zajmowanych przez Anastazyę Mikołajewnę.

„Obie kobiety wraz z nieodstępnym panem W*** tam się znajdowały.

„Nader ożywiona rozmowa z chwilą mego wejścia natychmiast ustała.

„Spojrzano na mnie, jak gdyby dziwiąc się mojéj obecności — ale ja już oddawna przywykłem do podobnego postępowania.

„Ufny w świętość mojego obowiązku, wypowiedziałem krótko i kategorycznie swoją wolę. Objawiłem że odtąd ja którego stopniowo usunięto na drugi plan, będę regulował rządy domu, tak jak tego wymaga położenie i stanowisko głowy rodziny. Wszystkich gości łaskawych na nas przyjmę chętnie, ale niech oni niezapominają, kto jest rzeczywiście gospodarzem. Lekceważyć się daléj nie pozwolę, gdyż to lekceważenie rzuca cień na stosunki rodzinne..

„Nie będę wam opisywał sceny jaka nastąpiła: znacie despotyzm matki, samowolność córki, odgadliście czelność nieodstępnego ich towarzysza, który zaufany w wszechwładną opiekę jaką go osłonięto, miasto ustąpić z placu w pierwszych chwilach dyskusyi, podniósł głos broniąc jak się wyraził praw swojéj protektorki. Tego było za wiele: wskazałem mu w milczeniu drzwi pokoju.

„Nie należał on bynajmniéj do bohatérów: zuchwały ze słabemi, miękł gdy ujrzał choćby cokolwiek okazanéj energii. Pomimo nakazującego gestu pani Diergunowéj, znikł niespostrzeżony.

„Inna rzecz była z kobietami. Gdyby sprawiedliwe wystąpienie moje w obronie własnéj godności nastąpiło zaraz po ślubie, może widok okazanéj mocy charakteru mógłby wpłynąć na ich postępowanie.

„Teraz było już za późno.

„Zbyt przywykły one widzieć we mnie ślepe narzędzie swoich zachceń i wybryków, ażeby tak nagła zmiana w moim sposobie wzięcia się uczyniła na nich wrażenie. W ich oczach byłem tylko zbuntowanym niewolnikiem, którego nie mogąc doprowadzić do należnego posłuszeństwa, należało ukarać i bezpowrotnie usunąć.

„Po oburzeniu, płaczach, mgłościach, spazmach, nastąpił wybuch gniewu, zerwanie i wyjazd.

„Tak jest—pani Diergunowa zabrała swoją córkę i opuściła mój dom.

„Czy uwierzycie? pierwszy raz może od dnia ślubu odetchnąłem swobodnie. W sumieniu swojem byłem spokojny. Wprawdzie podobne zerwanie, dając nową pastwę złym językom, rozwija jeszcze pokątne gawędy, ale już mnie przy-

najmniéj nie posądzą o niegodne pobłażanie. Czułem iż i ja nie byłem bez winy: należało zaraz w pierwszych chwilach po ślubie odłączyć matkę od córki, a wszystko co zaszło niemiałoby zapewne miejsca — ale to łatwo mówić po niewczasie. W szczegółowém, drobiazgowém niemal opowiadaniu dziejów mojego małżeństwa, widzieliście jak powoli, nieznacznie, niepostrzeżenie, robak toczący moją przyszłość wpijał się do zdrowego organizmem ciała. Jeden dzień nie różnił się na pozór w niczém od drugiego, a przecież każdy z tych dni zaznaczał postęp do wytkniętego naprzód celu. W położeniu podobném sądziłem, że tego rodzaju rozwiązanie było dla mnie najpożądańszém; zdawało mi się, że nagły ów wyjazd służył jedynie za dyplomatyczny środek, ku skłonieniu zbuntowanego niewolnika do pokory i bezwarunkowego poddania — otóż, myślałem sobie, omylę rachuby na mojéj słabości oparte: będę milczał i czekał, a pokonana intrygantka widząc, że jéj przypuszczenia nie przyniosły pożądanego skutku, odwiezie mi sama swoją córkę. Nie ja, nie moja osoba, stanie się powodem zbliżenia, ale majątek który dla téj kobiéty, nie przestanie być nigdy łakomą przynętą.

„Nieznałem jeszcze pani Dierguno wéj!

„W parę tygodni po wspomnionych wypadkach, dwóch zupełnie mi nieznanych gości nawiedziło moje ustronie. Wymienione nazwiska niczego mnie nie nauczyły; pierwszy raz w życiu je słyszałem. Jeden z nich uprzejmy, miły, słodko mówiący staruszek, przedstawił się jako zapalony miłośnik nauk przyrodzonych, który jeżdżąc po kraju w celu zebrania szczegółów téj umiejętności dotyczących, a posłyszawszy o moich studyach w historyi naturalnéj dokonanych, zboczył ze swéj drogi, pragnąc zabrać ze mną znajomość i poznać moje teorye. Drugi wysoki, sztywny i małomówny brunet był jego przyjacielem, pomocnikiem, i towarzyszem podróży.

„Nieprzypuszczając podstępu, szczególnie że znalazłem obznajmionych z ulubioną nauką słuchaczy, nieukrywałem przed nimi moich badań, ani téż wyobrażeń o życiu istot organicznych, które ludziom pozytywnym mogły się przed-

stawić jako mrzonki chorobliwego umysłu. Może one były rzeczywiście dziwacznemi, ja je jednak uważałem za wynik mych trudów, za pierwsze światełko rozjaśniające daleką przyszłość owego czasu, w którym naturaliści miasto opisywać zewnętrzny skład ciała zwierząt, miasto badać powierzchownie ich narowy i instynkta, zaczną bacznićj przysłuchiwać się ich mowie, rozumiéć ją, i budować tym sposobem zupełnie nową fazę w nauce. Wszakże Fulton odkrywszy siłę pary, był także dziwakiem w oczach swych spółczesnych, przyszłość dopiéro korzystać umiała z jego odkrycia.

„Zachęcony więc szczerą a nieudaną uwagą z jaką przybyły w gościnę staruszek, słuchał słów moich, rozwijałem szczegółowo wszelkie najbardziej krańcowe przypuszczenia; a gdy czasami w rozmowie zwróciłem się na więcéj praktyczną drogę — nieznajomy zręcznie zastosowanemi zapytaniami, popychał mnie na nowo w gorączkowy idealizm. Towarzysz jego, ów wysoki o bystrém i przenikliwém spojrzeniu brunet, mało się odzywał, ale widoczném było iż także z natężoném zajęciem słuchał rozmowy naszéj.

„Kiedy po kilkogodzinnéj bytności odjechali w dalszą drogę, doznałem jakiegoś nieokreślonego wrażenia niespokojności. Sztuczny zapał tak zręcznie przez mniemanego naturalistę podtrzymywany przeminął, a rozwaga która po nim nastąpiła, wyrzucała mi zbytek otwartości z nieznajomemi zupełnie osobami. Nie umiałem sobie zdać sprawy z mojego usposobienia, ono przecież nie było niczém innėm jak tylko przeczuciem.

„W tydzień po tém, słodko mówiący i zawsze uśmiechnięty uczony, zjawił się znowu w moim domu: wysoki brunet nie towarzyszył mu tym razem.

„Oznajmił mi na wstępie iż towarzystwo miłośników nauk przyrodzonych w Moskwie, w skutku jego sprawozdania o poczynionych przezemnie odkryciach, mianowało mnie swym członkiem; poczém wręczywszy odpowiedni dyplom, zaprosił ażebym jechał z nim razem na zgromadzenie naturalistów, które miało się tam odbyć.

— Nie wolno wam, rzekł, nie podzielić się z uczonym

światem waszemi zasadami, które, jestem przekonany dadzą zupełnie nowy obrót dotychczasowém wyobrażeniom. Ja sobie za chlubę zawsze poczytywać będę, iż pierwszy w zaciszu wiejskiém odkryłem znakomitego myśliciela, który zmieni błędny kierunek zastarzałych pojęć, na jakich do obecnéj pory opieraliśmy nasze wiadomości. Anglia chełpi się swoim Darwinem, a przecież cała jego teorya oparta jest na przypuszczeniach, gdy tymczasem wasze wywody mają za podstawę żywe słowo mowy zwierząt, na które nikt dotąd należytéj nie zwrócił uwagi.

„Podobne odezwanie się znakomitego naturalisty rozbudziło nową, nieznaną dotychczas namiętność w mém sercu. Była to żądza sławy. Dla czegoż, pomyślałem w duchu, mam ukrywać przed światem studya na tym polu dokonane; czyliż mi nie jest dano być apostołem nowéj idei, i otoczyć nazwisko moje aureolą publicznego uznania? Samo przeznaczenie wskazuje co mam czynić, dając mi za przewodnika zasłużonego weterana nauki.

„Nie potrzebuję dodawać iż ponętny blask przyszłych tryumfów i znaczenia, zalśniwszy przed mojemi oczami swém ułudném światłem, rozproszył ciemną chmurę przeczucia jakie mną poprzednio owładnęło.

„Pojechaliśmy do Moskwy.

„Od chwili przybycia naszego do starożytnéj stolicy Rossyi, towarzysz mój ani na krok mnie nie odstępował. Po kilku dniach oznajmił, iż pierwsze posiedzenie miłośników nauk przyrodzonych zostało otwartém, i że znakomici koledzy oczekują nowomianowanego członka.

„Udaliśmy się obadwa na mniemany kongres.

„Wjeżdżając do obszernego gmachu, w którym jak mnie mój towarzysz objaśnił, odbywają się zgromadzenia naturalistów, zdziwiłem się widząc jego ciemne i ponure mury, wielkie z dębowego drzewa bramy— które kolejno za nami zamykano; gdym jednak zwrócił na tę okoliczność uwagę mojego przewodnika, on, uśmiéchając się nieznacznie, odpowiedział, iż to wszystko czyni się dla zapewnienia bezwarunkowéj spokojności naradom.

„Tak byłem przejęty wówczas ważnością chwili w któréj

mi przyjdzie wypowiedzieć swoje myśli przed uczonym areopagiem, iż nie zastanowiłem się nad nieprawdopodobieństwem podobnego objaśnienia. Wiedziałem dobrze iż publiczne zgromadzenie nie ma powodu otaczać się tajemnicą, a jednak nie zwróciłem na tę okoliczność najmniejszéj uwagi.

„Wprowadzono nas do obszernéj sali, w któréj siedziało kilku różnego wieku mężczyzn. Nie było tam ani publiczności, ani stołu założonego papierami, ani sekretarza spisującego czynione wnioski: jednem słowem żadnéj z cech znamionujących zazwyczaj zbiorowe posiedzenia. Nie uważałem także ażeby wejście nasze przerwało rozpoczętą poprzednio dyskusyę: wszyscy ci dygnitarze nauki zdawali się jedynie oczekiwać naszego przybycia, dla rozpoczęcia prac swoich.

„Tyle wygórowana uprzejmość niezmiernie dla mnie była pochlebną.

— Mam honor, rzekł mój towarzysz, przedstawić szanownym kolegom pana K***, świeżo mianowanego członka naszego towarzystwa, o którego znakomitych poglądach w dziedzinie nauk przyrodzonych, zdałem w swoim czasie dokładne sprawozdanie.

— Racz pan zająć miejsce, odezwie się jeden z uczonych, który tak wiekiem jak i powagą powierzchowności zdawał się być prezydującym w zgromadzeniu. Ustawa nasza wymaga, aby każdy nowo obrany pracownik, mający dzielić w przyszłości nasze trudy i badania, przebył rodzaj dyskusyi, i dał nam tym sposobem poznać dokładnie swoje poglądy i zasady.

„Po tym wstępie zadawał mi różne zapytania, tyczące się sposobu mego uważania życia zwierząt i roślin—inni kolejno mu dopomagali, przedstawiając podjętą kwestyę w coraz nowéj formie, i egzaltując mnie udaném uwielbieniem dla wygłoszonych teoryi.

„Sam niewiem jakim sposobem stopniowo, prawie bez wiedzy i woli, wpadłem w niezwykły zapał. Pragnąc dobitniéj i wyraźniéj uosobić moje teorye, plączące się w wyobraźni mrzonki myśli, odkryłem przed niemi to co dotąd

nieśmiałem oblec w formę. Mowa ptaków i zwierząt przestała być dalekiém przypuszczeniem, ale stała się faktem nie podlegającym żadnemu zaprzeczeniu. Rozumiałem te dźwięki, wiązałem je w litery i słowa; a zachwycony własnemi wywody, wznosząc się coraz wyżéj na skrzydłach fantazyi, zapomniałem gdzie jestem, co czynię, i kto są ci którzy z natężoną uwagą słuchali słów moich.

„W chwili gdym doprowadziwszy do najwyższego krańca fantastyczne moje wywody; wzruszony, rozgorączkowany, przestał mówić ażeby odetchnąć — najstarszy z uczonych, ten, który pierwszy się do mnie odezwał, rzekł suchym i zimnym głosem:

— „Panowie, sądzę że już wiemy czego się trzymać."

„Inni kiwnięciem głów potwierdzili jego słowa.

„Przybyły ze mną staruszek wyprowadził mnie z sali.

„Zostając jeszcze pod wpływem niezwykłego wrażenia, nie miałem czasu zastanowić się, ile zakończenie podobne było dziwném i nienaturalném.

„Przeszedłszy kilka kurytarzy, znaleźliśmy się w niewielkim pokoju.

„Tu towarzysz mój zawsze miły, słodki, uśmiéchnięty wziął mnie za rękę, i rzekł:

— Oto tymczasowe pańskie mieszkanie: będziecie w niém mieli spokój, którego koniecznie i bezwarunkowo potrzebujecie. Proszę tylko nie irytować się niczém, nie myślić wiele, a wszystko pójdzie dobrze. Ja was każdego dnia odwiedzę; w razie zaś gdy czego zażądacie: oto dzwonek.

„Nim zdołałem odpowiedzić, wyszedł.

„Oprzytomniawszy pobiegłem za nim: drzwi były zamknięte!

„Nie umiejąc sobie jeszcze zdać sprawy z tego co mnie spotkało, rozjątrzony tylko do najwyższego stopnia podobnym postępkiem, uchwyciłem za sznurek i zacząłem silnie dzwonić.

„W progu ukazała się nowa postać.

„Był to człowiek wysokiego wzrostu — silny, barczysty, w długim ze zgrzebnego płótna fartuchu.

— „Czego wam potrzeba? zapytał.

— „Chcę wyjść ztąd.

— Tylko tyle! W istocie, życzenie bardzo naturalne, ale wykonać go nie można. Należy wam wiedziéć, i to raz na zawsze, iż z naszego domu nikt samowolnie nie wychodzi: jeżeli nie maciè innego żądania, to napróżno było mnie trudzić.

„Powiedziawszy te słowa, wyszedł.

„Pozostałem znowu sam jeden w pokoju.

„Poraz pierwszy zastanowiłem się nad swojem położeniem. Byłem uwięziony, to rzecz widoczna, ale z jakiego powodu, pod jakim pozorem? Czyliż podobna przypuścić ażeby w pośrodku drugiego miasta w kraju, w jasny dzień, w oczach wszystkich, można tym sposobem odjąć wolność człowiekowi, który żadnego występku nie popełnił, bez ściągnięcia na siebie srogiéj odpowiedzialności. Któż zresztą są ci ludzie, i co ich powodowało do odegrania przedemną podobnéj komedyi?

„Bijąc się z myślami, opuściłem głowę na dłonie i dumałem, gdy nagle jakiś krzyk dziki, przeraźliwy, przerwał ciszę panującą do koła.

„Był to krzyk nie mający w sobie nic ludzkiego.

„Poskoczyłem do zakratowanego okna i wyjrzałem na dziedziniec.

„Na przeciwko mego mieszkania, w oknie pawilonu opatrzonego również żelazną kratą, ujrzałem wykrzywioną ohydnie twarz człowieka, wydającego owe złowieszcze do ryku dzikiego zwierzęcia podobne wrzaski.

„I wtedy straszna rzeczywistość stanęła mi nagle przed oczami.

„Byłem w domu waryatów!

„Czyliż zdołam opisać wam co się ze mną działo, w pierwszych dniach pobytu mojego w pośrodku tych nieszczęśliwych, wykreślonych ze społeczeństwa ludzi istot? Rozdrażniony do najwyższego stopnia gwałtem jakiego się na méj osobie dopuszczono, przyjąłem mniemanego naturalistę a rzeczywiście doktora, gdy ten ze swoją słodką, układną miną przybył nazajutrz zapytać o moje zdrowie, wyrzutem i obelgą. Wyrzut i obelga nie uczyniły na nim najmniejszego

wrażenia; zawsze uśmiéchnięty zalecał spokojność i poddanie się swemu losowi. Tego było zanadto: wszystko a tymbardziéj cierpliwość człowieka ma swoje granice.

„Chwyciłem go za kołnierz, domagając się natychmiastowego wypuszczenia.

„Kazał mnie związać posługaczom, ogolić głowę, i oblewać ją zimną wodą.

„Widząc że gwałtownością pogorszam tylko nieszczęśliwe moje położenie, cierpiałem i milczałem.

„Dnie upływały jeden za drugim: w postępowaniu ze mną powrócono do pierwotnéj łagodności, ale pod pozorem drażliwego usposobienia, nie wypuszczano ani na krok z pokoju, i nie dozwalano korzystać wraz z innemi pacyentami ze wspólnych przechadzek na tarasie.

„Po kilku tygodniach podobnie odosobnionego życia doznałem pierwszéj przyjemności, od chwili w któréj przestałem należyć do świata.

„Poczciwy major zjawił się u mnie.

„Wszedłszy rzucił się w moje objęcia, a łzy rozczulenia pierwsze które może w swém życiu uronił, spłynęły po jego poważnéj i pełnéj męzkiéj szlachetności twarzy.

„Opowiedział mi wszystko. Paraskowja Iwanówna, podmówiona przez swoją matkę, w skutku rozlicznych starań i intryg, wyrobiła zamknięcie mnie w domu obłąkanych. Cały przebieg sprawy urządzono nader zręcznie, nie pomijając żadnéj legalnéj formalności. Doktór działający w ich interesach zjechał do mnie wraz z sądowym urzędnikiem, a odegrawszy rolę uczonego naturalisty, wybadał moje ekscentryczne poglądy, poczém protokół zdjęty na miejscu, przesłał do potwierdzenia radzie lekarskiéj. Ta ostatnia działając w dobréj wierze, zażądała osobistego przesłuchania. Tym razem przebiegłości lekarza pomogła moja własna egzaltacya. Widzieliście jak sądząc być na kongresie miłośników nauk przyrodzonych, wyjawiłem przed zgromadzonemi doktorami najbardziéj krańcowe i najdziwaczniejsze wyobrażenia, jak przedstawiając mrzonki za fakta, a fikcyę za prawdę, sam własną ręką przepaść pod sobą wykopałem. Rezultat nie mógł być wątpliwym: los mój więc w téj chwili

rozstrzygniętym został. Zdanie uczonéj korporacyi zgadzało się najzupełniéj, z podaniem uczynioném przez pragnące mnie zgubić kobiéty. Byłem uważany za niebezpiecznego waryata, którego pozostawienie w gronie rodziny groziło spokojowi, a może nawet i życiu otaczających go osób. Stary major, jedyny pozostały przyjaciel, znając moje dawne położenie i przywyknienia, ani na chwilę nie uwierzył w prawdopodobieństwo podobnego przypuszczenia; pomimo jednak wszelkich usiłowań, nic zdołał uzyskać pozwolenia widzenia mnie. Podług opinii ordynującego lekarza, który całkowicie oddany był interesom pani Diergunowéj i jéj córki, stan mego zdrowia wymagał zupełnego odosobnienia, jakotéż przerwania wszelkich stosunków mających przypominać mi przeszłość. Wtedy major, odgadłszy iż jestem ofiarą nikczemnéj intrygi, podał skargę do władz przeciwko samowolnemu zamknięciu mnie w domu cierpiących umysłowo i wpływami swojemi wyrobił iż pomimo zdania rady lekarskiéj, naznaczono powtórne śledztwo. Ten krok jednak pogorszył jeszcze więcéj moją sprawę. Badani służący i ludzie dworscy, zeznali wszyscy jednozgodnie okoliczności, które nie mogły przyczynić się do mojego uwolnienia: owe samotne przechadzki, owe odzywanie się do roślin i zwierząt podsłuchane przez niewidzialnych świadków, stanęły jako niezbite dowody zupełnego umysłowego rozstrojenia. Każda najdrobniejsza na pozór okoliczność, rosnąc pod wpływem uprzedzenia w kolosalne rozmiary, obalała objawione przez mego obrońcę przekonania.

„Wyrok usuwający mnie od żyjącego świata, stał się nieodwołalnym.

„Ażeby wyjść ztąd należało być zupełnie wyleczonym; a opinia stanu zdrowia zależała bezwarunkowo od głównego narzędzia méj zguby, doktora, który będąc oddany duszą i ciałem Anastazyi Mikołajewnie i godnéj jéj córce, nigdy z własnéj woli nie wyrzecze słowa otwierającego drzwi mojego więzienia.

„Obznajmiwszy mnie tym sposobem ze wszystkiemi szczegółami których dotąd nie znałem, stary major okazujący mi zawsze tyle przyjaźni i współczucia, rzekł w końcu:

— „Ale tak być nie może, pozostawić cię tu niepodobna: toby było zbyt okropnie! Nie wszystkie środki wyczerpniętemi zostały, mamy jeszcze jeden najpewniejszy.

„Ożywiony obietnicą wyjścia z tego grobu żyjących, zwróciłem na niego wzrok pełen nadziei.

— Jakiż!... mów... mów...

„I schwyciwszy go za obie dłonie, słuchałem z natężeniem

„Obejrzał się do koła chcąc widzieć czy nas kto nie podsłuchuje, i przysunąwszy usta do moich uszów, szepnął:

— „Ucieczka!

„Rzuciłem wzrokiem na grube mury, okna zakratowane, dębowe drzwi nabite gwoździami, i westchnąłem.

— „O nie," dodał zgadując myśl moją;" siłą tu walczyć nie zdołamy—należy użyć podstępu i przebiegłości.

„Przedstawił mi swoj plan: był on nader zręcznie i dowcipnie obmyślanym. Na nieszczęście układając zamiar, wydobycia się z tych murów, niewiedzieliśmy oba że one mają oczy i uszy. Tym, którzy mnie wykreślili ze społecznego grona, zbyt wiele zależało na mojéj śmierci cywilnéj, zbyt dobrze znaną im była przyjaźń majora dla mnie, ażeby pozostawiwszy nas pozornie samych, nie śledzono pilnie tego co pomiędzy nami powiedzianém zostanie. Wiadomo iż w domu waryatów, zbudowane są przy pokojach chorych tajemne skrytki, które służą ukrytym dozorcom do widzenia i słyszenia w każdéj chwili, tego co się u powierzonych ich opiece nieszczęśliwych dzieje.

„Takim sposobem rozmowa naszą została podsłuchaną.

„Uczynny doktór, doniósł o wszystkiém mém prześladowczyniom.

„Uradzono użyć przygotowanych do mojego wyswobodzenia środków, na ostateczną mą zgubę.

„Wszystko więc na pozór poszło tak jak major początkowo ułożył, z tą różnicą, że ludzie przekupieni przez niego, zastąpionemi zostali ludźmi w interesie moich przeciwników działającemi.

„Umówionéj nocy, wyprowadzono mnie przebranego z samotnéj celki, która dotąd służyła mi za więzienie.

„Na korytarzach i podwórzach obszernego gmachu, nikogo nie spotkaliśmy.

„Za bramą na uboczu, zaprzężona kareta oczekiwała mnie.

„Sądząc iż dążę do swobody, rzuciłem się na siedzenie o otwartych drzwiczkach powozu, wraz z moim przewodnikiem, którego uważałem za zaufanego sługę majora.

„Ruszyliśmy szybko z miejsca.

„Wśród cieni nocnych, daleki od przypuszczenia jakiegokolwiekbądź podejścia, nie zwróciłem uwagi na kierunek który obrano.

„Nie wiedziałem iż miasto na zachód, posuwamy się ciągle ku północy.

„Nieobecność majora, mającego się ze mną przy pierwszym przeprzęgu koni złączyć, zaniepokoiła mnie z początku; ale przewodnik podróży zdołał uspokoić moje obawy, objaśniając, iż tenże zmienił początkowy zamiar, i oczekuje mnie na granicy pruskiéj.

„Ponieważ było umówioném iż przedewszystkiem udam się za granicę, ażeby ztamtąd bezpieczny od prześladowań moich nieprzyjaciół, przedsięwziąć stosowne kroki u najwyższych władz w kraju, dla cofnięcia postanowienia rady lekarskiéj, uznającego mnie za waryata; przemiana podobna w pierwotnych projektach majora, wydała mi się być naturalną.

„Po kilku jednakże dniach podróży, zacząłem się dziwić, że téj oczekiwanéj granicy dotąd nie widać. Towarzysz mój uspakajając mnie, ciągle zajęty był przyśpieszaniem przeprzągów, pobudzaniem do szybkiéj jazdy jemszczyków, i oddalaniem od powozów natrętnych i ciekawych.

„Wszystko to, zważywszy na moje położenie i obawę pogoni, mogło być policzoném na karb koniecznéj w podobnych razach przezorności.

„Gdy jednakże dnie mijały jedne za drugiemi, a okolice któremi przejeżdżaliśmy stawały się coraz smutniejszemi mniéj zaludnionemi, powziąłem niejakie podejrzenie; i nie słuchając już przestróg mego przewodnika, twierdzącego iż powodzenie naszéj ucieczki wymaga bezwarunkowego mil-

czenia, a szczególniéj tego aby zadawanemi zapytaniami nie zwracać uwagi ludności, zapytałem korzystając z chwilowego zatrzymania się powozu, przybliżającego się do okna karéty kancelisty pocztowego, w jakiéj guberni jesteśmy.

„Młody człowiek spojrzał na mnie zdziwiony, lecz po chwili odpowiedział:

— „W Tobolskiéj.“

„Wszystkie moje podejrzenia zmieniły się w pewność. Nie wiedziałem co chciano ze mną uczynić, ale odgadłem, że zamiast oswobodzenia, czeka mnie nowa, sroższa od pierwszéj niewola.

„Niepodobna było poddać się dobrowolnie swoim prześladowcom.

„Wyskoczyłem z powozu, i zadeklarowałem iż daléj nie pojadę.

„Wtedy mój przewodnik przygotowany widocznie do podobnéj przeszkody, okazał miejscowém władzom przybyłem w skutku mojéj reklamacyi na stacyę, papiery któremi był opatrzony.

„Dokumenty wyrobione staraniami pani Diergunowéj w Petersburgu, opiewały iż jestem uwieziony do Tobolska, z rozkazu wyższéj władzy.

„Jeżeli was zadziwia taka samowolność, to przypomnijcie sobie że wypadki które wam opowiadam, miały miejsce bardzo już dawno, bo przeszło cztérdzieści lat temu. Machina administracyjna nie była wówczas tak silną jak obecnie: zły człowiek mający jakiekolwiek poparcie w jednéj z tysiąca górnych gałęzi, mógł czasami bez zbytnich trudności dokonać zamiarów swoich w środkowych prowincyach kraju; za Uralem zaś żadna już przeszkoda dla niego nie istniała. Trafiało się iż ludzie przebywający ten pas geograficzny oddzielający Europę od Azyi, nigdy ztamtąd nie powrócili. Wiadome mi są zdarzenia, w których podróżni udający się z ciekawości w owe niegościnne stepy, zatrzymani tam zostali przez prostą pomyłkę. Zagubienie paszportu, lub jaka inna trudna do przewidzenia nieformalność, stawały się przyczyną ich zatrzymania.

„Przewodnik mój, który jak się późniéj dowiedziałem, był

jednym z niższych policyjnych urzędników, zaprzedanych duszą i ciałem Anastazyi Mikołajewnie, na mocy posiadanych dokumentów, dowiózł mnie przy użyciu siły do miejsca przeznaczonego na moje zamieszkanie. Rozkaz który posiadał był powodem, że pomimo moich protestacyi, próśb i zażaleń, umieszczony zostałem jako cierpiący umysłowo w tutejszym szpitalu. Nie chciano zastanawiać się nad stanem mojego zdrowia, ale dano mi do zrozumienia, że los mój stanowczo rozstrzygniętym został, i że sprzeciwiając się dokonanemu faktowi nic nie wskóram, lecz pogorszę tylko materyalne swoje położenie. Czterdzieści kilka lat, to życie człowieka. Wiele przecierpiałem. Z początku starałem się wszelkiemi sposobami wyłamać z pod ciężącéj nademną ręki przeznaczenia; próbowałem wszystkiego co tylko doprowadzony do ostateczności człowiek próbować może. Uciekłem: schwytano mnie — chciałem przekupić dozorców szpitalnych: odkryto mój zamiar — postawiłem się hardo: zamknięto mnie do ciemnego lochu o chlebie i wodzie. Jedném słowem każde usiłowanie wybicia się na wolność nową wyradzało katuszę. Na kilkanaście skarg napisanych i podanych przezemnie, żadnéj nigdy nie otrzymałem odpowiedzi: widocznie nie doszły one swojego przeznaczenia. Tymczasem od przybyłych z Moskwy zesłanych, dowiedziałem się, iż żona moja wraz ze swoją matką żyją hucznie i wesoło, tracąc wśród oburzających opinię publiczną skandalów zagrabiony mi haniebnie majątek. Opowiadano mi szczegóły trudne niemal do uwierzenia, szczegóły na wspomnienie których krew ścina się w żyłach uczciwego człowieka — a gdym na chwilę wątpił o możliwości podobnych przypuszczeń, to wnet nowo pojawiający się przybysze, potwierdzali słyszane poprzednio wieści.

„Tego było zanadto na siły jednego człowieka! Zgnębiony, ubezwładniony moralnie, upadły na duchu i ciele, nieznalazłem w sobie dość chęci i woli do dalszéj walki. Zmiany jakie zaszły w naszym kraju, błogi i dobroczynny rząd do którego opieki udając się, mogłem być pewnym wymiaru sprawiedliwości, zastał mnie złamanego i przygniecionego nieszczęściem. A zresztą do czegóżbym po tylu latach wy-

gnania tam wracał? Stary major oddawna już legł w grobie, wszyscy dawni przyjaciele wymarli—ta która nosi moje nazwisko, straciwszy na zbytki milionowy mój majątek, podtrzymuje nędzną swą egzystencyę owem życiem ciemném, plugawem, w którém rozpusta łączy się z występnym zarobkiem, a namiętność zastąpioną bywa ohydnem rzemiosłem. Wszędzie wstyd, hańba i sromota; stokroć lepiéj zaparłszy się swojéj przeszłości, umiérać tu daleko zapomnianym i nieznanym!

„I cóż wam więcéj powiem? Tyloletnie obcowanie z obłąkanemi, wywarło fatalny wpływ na moje usposobienie. Patrząc ciągle na różne zwichnięcia umysłowe przejąłem się niemi, i częstokroć pomimo wiedzy i woli, osłabiona myśl moja wychodzi po za granice zakréślone rozumem. W takich chwilach nie widzę otaczających mnie osób, teraźniejszość dla mnie nie istnieje — natomiast obrazy upłynionych czasów, przedstawiając się widomie przed rozdrażnioną wyobraźnią, wyradzają szereg chorobliwych złud, które czynią mnie zupełnie podobnym do innych współtowarzyszy niedoli.

„To co przed czterdziestu kilkoma latami było pozorem, zmieniło się w prawdę. Dziś jestem rzeczywiście waryatem; bardzo rzadko powracają dla mnie chwile przytomności, i waszemu jedynie serdecznemu współczuciu, winien jestem krótkie oswobodzenie się z więzów jakie moj umysł krępują.“

*

* *

Taką była historya życia towarzysza mego ze szpitala więziennego w Tobolsku; człowieka, który oprócz braku odpowiedniéj energii i męzkości charakteru, niczém innćm w swém życiu na tyle okropny los nie zasłużył.

Nie długo już miałem z nim pozostać.

Wkrótce bowiem potém odzyskawszy zupełnie zdrowie, otrzymałem rozkaz gotowania się do dalszéj podróży.

Z prawdziwym smutkiem żegnałem nieszczęśliwą ofiarę

przewrotności ludzkiéj: wiedziałem, iż widzenie się nasze było ostatniém.

W rok poźniéj, gdym znajdował się w Jenisejskiéj gubernii, doszła mnie przez jadących z Tobolska kolegów wiadomość o śmierci pana K***.

Umarł jako prawdziwy chrześcianin: ostatnie jego wyrazy były przebaczeniem dla téj, która go zgubiła.

OBRAZEK
Z ŻYCIA WIĘZIENNEGO.

Bardzo wiele mówiono i pisano przeciwko więzieniom wspólnym. Przedmiot ten, ważny sam przez siebie, stał się jedną z tych społecznych kwestyi, od których rychłego rozstrzygnienia zależy dobrobyt ludzkości. Wszyscy czują że rzucenie młodego, niedoświadczonego przestępcy, pomiędzy zatwardziałych zbrodniarzy, nie stanie się poprawą, lecz ostateczną zgubą jego; wszyscy wiedzą, że te otchłanie przyjmujące w swe wnętrza wytrawnych nędzników równie jak i zbłąkane owieczki, są straszną szkołą występku; a jednak stara rutyna, odwieczne przywyknienia, a co najpewniéj niemożność szybkiéj reorganizacyi dawnego systemu sprawia, że to złe istnieje niemal wszędzie.

Nie jest bynajmniéj zamiarem moim wykazać rozumowaniem iż więzienie powinno być domem kary i poprawy, nie zaś miejscem kształcenia się w zbrodni początkujących grzeszników; najprostsza bowiem logika, nakazuje w społeczném ciele odłączyć zgniliznę od części nie uległych je-

szcze zupełnéj korrupcyi i ratować co się da, dla zapobieżenia ogólnéj gangrenie. Pragnę tylko przytoczeniem jednego przykładu poprzéć tę prawdę. Drobny ten zarys z więziennego życia, nie odznacza się ani dramatycznością szczegółów, ani téż interesem jaki obudzić może sztuczna kombinacya wypadków: jest on prosty, zwyczajny, codzienny. Tysiące, miljony podobnych zarysów składają dzieje więzienne; i one to właśnie swoją naiwnością, więcéj protestują przeciwko systematowi wspólnego zamknięcia, niżeli rzadkie, wychodzące po za obręb zwykłego biegu wypadków zdarzenia, które nie jeden do rzędu wyjątków zaliczać może.

Przeznaczenie postawiło mnie w możności częstego studyowania rozlicznych typów przestępców. Zawsze prawie zakorzeniali zbrodniarze mają w rysach twarzy, w grze fizyonomii, a szczególniéj w spojrzeniu, coś takiego co ich wyróżnia od prostych rzezimieszków lub początkujących oszustów. Nie mówię o owych ohydnych i odrażających twarzach, z których biją zwierzęce instynkta; te bowiem należą do wyjątków, i obudzając wstręt na pierwszy rzut oka, każą się miéć każdemu na baczności; ale wspominam o tych, którym niezbadana w swoich sprawach natura, udzieliła obok szkarady duszy nie zwykłą piękność form zewnętrznych. Nie sądźcie bowiem iż najstraszniejsi zbrodniarze i mordercy, odznaczają się potworną brzydotą ciała; to ma miejsce prawie zawsze w powieściach i na teatralnych deskach, lecz nader rzadko w rzeczywistém życiu. Owszem, tam rzecz się dzieje zupełnie przeciwnie; grube i niekształtne rysy są nietylko oznaką nizkich uczuć, podłości charakteru, lecz także brakiem energii i odwagi osobistéj; posiadający je są jak owe potworne gady pełzające tylko nocą;— więcéj straszą niż szkodzą i więcéj obudzają wstrętu niżeli przerażenia. Wielcy zbrodniarze zaś przy zatraceniu wszelkich cech człowieczeństwa, posiadają zazwyczaj dziką, zwierzęcą śmiałość, trudną do pokonania wolę, i niezwykłą bystrość. Są oni po większéj części rośli, dobrze zbudowani i przystojni. Uśmiech ich jest słodki, głos dźwięczny, ruchy ciała swobodne: jeden tylko wzrok zdradza w nich tajemnice na dnie duszy ukryte. Nie spuszczają oczów, jak

to mają zwyczaj czynić początkujący przestępcy, przy spotkaniu się z wzrokiem uczciwego człowieka; owszem spojrzenie ich jest pewne, śmiałe, ale w spojrzeniu tém świeci od czasu do czasu taki blask złowrogi, fosforyczny, tygrysi, że kto tylko raz w życiu miał sposobność z niem się obznajmić, zapamięta go na zawsze.

Znając z doświadczenia to wszystko, staraniem mojem było ile razy los dał mi za towarzyszy podobne osobistości, studyować ich spojrzenie; i śmiało powiedzieć mogę, żem się nigdy prawie w swojem przeczuciu nie pomylił. Pomieszczony będąc w Syberyi czasowo w więzieniu miasta ***, miałem sposobność zużytkować nabyte poprzednio doświadczenie. Dano mi dla bezpieczeństwa osobną celkę i zarazem objaśniono, że mogę wybrać sobie do usług którego z licznych aresztantów. Wprowadzony w tym celu do głównéj sali, ujrzałem się otoczony tłumem tych wyrzutków społeczeństwa. Były tam i ohydne brzydotą twarze, i posępne dzikie fizyonomie, i płaskie mongolskie typy, i wreszcie owe wspomnione wyżéj indywidua o jasnym, pełnym, szklistym oku, regularnych rysach, dźwięcznym głosie, białych ostro zakończonych zębach, przenikającém do głębi duszy spojrzeniu. Wszyscy oni pobudzeni nadzieją zarobienia kilku rubli, a może téż innem jakiem, nie nader dla mnie pożądanym zamiarem, prosili o przyjęcie ich do posługi. Nawet i owe straszne o zwierzęcych rysach postacie, wylazły z ciemnych kątów, i spoglądając złowrogo nastręczali swe odrażające osobistości.

Pomiędzy tym tłumem różnorodnych typów, na których występek, zbrodnia i zatracenie wszelkich zarodów dobrego, wypiętnowały tyle rozlicznych cech zewnętrznych, spostrzegłem młodego dwudziestokilko-letniego, niepodobnego w niczém do otaczających go towarzyszy człowieka. Twarz miał pełną, okrągłą, uśmiech wesoły, spojrzenie swobodne; a w rysach jego pomimo odcienia owéj cynicznéj śmiałości, nabytéj przez długie obcowanie z zepsutymi członkami społeczeństwa, przebijały jeszcze reszty dawnéj, nie zupełnie zatartéj pobytem w więzieniu prostoty.

Tego więc chłopaka wybrałem sobie do usługi, i nie

zawiodłem się na swoim instynkcie. W czasie nie długiego mojego pobytu w więziennym gmachu, pełnił przyjęte przez siebie obowiązki z całą gorliwością. Był on usłużny, potulny, roztropny, nie narzucający się; a naturalną wesołością, która go ani na chwilę nie opuszczała, rozpędzał nieraz smutne myśli, nie odłączne towarzyszki podobnego jak moje położenia.

Gdy nadszedł dzień wyjazdu, oczekując nim konie będą zaprzężone, a przewodnicy do dalszéj podróży gotowi, wdałem się z nim w gawędę, i powoli, nieznacznie, dotknąłem szczegółów tyczących powodu jego aresztowania. Jakkolwiek jest to kwestya, którą zazwyczaj podobni jemu ludzie lubią zostawiać w cieniu, lecz Andruszka (tak go bowiem zwano) powziąwszy do mnie zaufanie, z zupełną otwartością opowiadął mi krótkie swoje dzieje. Ażeby nie zatracić właściwego kolorytu, téj wrodzonéj naiwności charakteru, która pomimo wpływu zepsutych pierwiastków jakiemi był otoczony, i zupełnym braku poczucia szlachetnych dążności jaka na dnie jego duszy, niby ostatni odblask konającéj cnoty pozostała, przytoczę mniéj więcéj jego własne wyrazy.

„Mój ojciec był bardzo zamożnym włościaninem. Miał on najpiękniejsze we wsi krowy i woły: najliczniejsze tabuny koni, najrozleglejsze uprawiał pola; a gdy nastała pora żniw, sterty różnego rodzaju zboża które zbierał, podnosiły się jeden za drugim niby rządowe magazyny, i powszechną obudzały zawiść. Dom téż jego był obszerny, zabudowania gospodarskie nowe, wygodne, narzędzia rolnicze w dobrym stanie: jedném słowem wszystkiego miał podostatkiem. Bóg który mu w niczém nie skąpił, błogosławił i w dzieciach. Sypało się tam tego co nie miara: nas podrostków różnego wieku było coś z dziesięciu, a dziewek małych, średnich i dużych drugie tyle. Dobra to rzecz przy gospodarstwie dzieci, gdy ich troje, czworo lub nawet sześcioro, ale gdy tego drobiazgu pełza po podłodze chmara; gdy wszystkich trzeba nakarmić, napoić i odziać, to i najbogatszy człowiek poskrobie się w głowę i głęboko zaduma. Z dziewkami łatwiejsza jest sprawa: podrośnie to, wybieleje i zaraz znajdzie się jaki taki który weźmie jak swoje. Cóż jednak robić

z chłopakami? W sołdaty pójdzie jeden i drugi, ale zawsze to co zostanie kamieniem cięży u szyi; włościańska rola nie potrzebuje tylu parobków, a chłopcy czy to przy pracy czyli téż w próżniactwie, jedzą zazwyczaj straszliwie. Ojciec więc zostawiwszy czterech najstarszych przy sobie do pomocy, mawiał nam pozostałym w miarę jak który z nas dostawał zarostu na brodzie:

— „Słuchaj, chłopcze: myślałem dotąd o tobie, teraz czas ażebyś ty sam o sobie pomyślał. Na roli nic nie wysiedzisz, bo plony jéj nie wystarczą na tyle gęb. Ruszaj więc w świat pomiędzy ludzi i staraj się zbogacić; a ot tobie dwa ruble na drogę.

Wyrzekłszy te słowa batiuszka, zdejmował zwykle obraz święty wiszący w kącie izby, dał go pocałować, przeżegnał, i nic więcéj nie dodając wskazywał ręką na drzwi.

Już kilku braci powędrowało tym sposobem w świat szeroki. Starszy, Wańko, przystał do rybaków i nie źlę mu się podobno powodzi, drugi, Igorko, rozpił się i umarł gdzieś w szpitalu, mnie mającemu z natury pociąg do swobodnego życia, uśmiechały się zajęcia wolnego jamszczyka; gdy więc nadszedł czas wybrać się w drogę, poszedłem wprost do Tomska, i tam furmaniąc przy magazynach solnych, zarobiłem trochę grosza i kupiłem sobie parę lichych szkapiąt. Mając swą własną podwodę, furmaniłem jeszcze rok cały wożąc kupcom towary do Krasnojarska, i przyjmując ładunki herbaty idącéj z Kiachty do Rossyi.

W pierwszych dniach Stycznia zeszłego roku, znajdując się bez zajęcia, i siedząc na schodkach zajezdnego domu, uważałem że jakiś kupiec najmuje jamszczyków pod podwody. Ja więc prosto do niego; i chociaż tam już stało z dziesięciu innych, przecież udało mi się wręczyć pierwéj przed wszystkimi kupcowi, swój numer. Dał 60 kopiejek zadatku, a ja zobowiązałem się zawieść 70 pudów słoniny do miasta ***. Zaledwie odszedłem o kilka kroków, przychodzi do mnie jakiś człowiek i powiada, że i on także ugodził się zawieść 70 pudów słoniny do tego samego miasta.—„Dobrze," odpowiedziałem; „to pojedziemy razem." Dla lepszéj znajomości po-

szliśmy do zajazdu, wypiliśmy po trzy szklanki herbaty—ot i przyjaźń.

Nazajutrz z rana wpakowaliśmy 140 pudów wspomnionego produktu na dwie podwody, i daléj w drogę. Ujechawszy z 50 wiorst, trzeba było myśléć o noclegu. Mój towarzysz we wsi znajdującéj się przed nami, miał jak mówił dawnego znajomego i dobrego przyjaciela; najlepiéj więc u niego przenocować. Jak się rzekło tak się i zrobiło, a w półgodziny potém siedzieliśmy wszyscy troje za stołem. Gospodarz taki był życzliwy, taki gościnny, że aż miło. Postawił przed nami miskę pelmeni (1); ażeby się zaś nie nudziło oczekując za samowarem, poszedł do szafy i wyjąwszy z niéj butelkę, podał mi spory kieliszek nalewki.

Zaledwiem wypił, tak mnie coś za głowę chwyciło, żem się zwalił z nóg pod ławę. Czartowska nalewka! spałem, spałem i nie obudziłem się jak dobrze po północy. Nie ma co mówić, piękna historya, rzekłem do siebie: ja tu śpię a konie nienapasione stoją przy żłobie. Nuże do stajni, druga historya: koni i wozu ani śladu! Już myślę co mam czynić: chcę krzyczéć, wołać o pomoc, gdy gospodarz domu z towarzyszem podróży, którzy się tam nie wiem już jakim sposobem znaleźli, schwycili mnie za bary i wepchnęli do izby.

— „Cicho, milcz!“ szepchnął do ucha pierwszy: „a to dla ciebie!“ i wetknął mi w rękę spory pakiet bumażek. Patrzę a tu sto rubli trzymam w ręku!

— „Czyś kontent?“—zapytał mój towarzysz. Ogłupiały, na wpół senny, nie wiedziałem co odpowiedziéć.

— „No, jeżeliś zadowolony to zabieraj się, i idź gdzie cię oczy poniosą.“

Podrapałem się w głowę; szkapiny liche, wóz nietęgi, słonina nie moja, a tu sto rubli... Cóż było robić: poszedłem nie pytając o więcéj.

Sto rubli srebrem, pieniądze nie małe; ale gardło szero-

---

(1) Pelmenie, jest to rodzaj pierożków z mięsem. (*Przyp. aut.*)

kie i przyjaciół wiele, gdy jest za co traktować. Miesiąc zaledwie upłynął, a ja już wszystko co do grosza przehulałem. Nie było innego sposobu jak udać się znowu do Tomska dla wyszukania zajęcia. Cóż powiecie? diabli przynieśli tam owego kupca, który mi lezie w same oczy: zaledwie miałem czas upamiętać się a już mnie rozbójnik za kołnierz trzyma, i pomimo oporu prowadzi jak swego. Przybyła policya: pakują do kozy i nuże pytać, dopytywać, pisać, przepisywać—a ja głupi od razu powiedziałem jak co było. Odesłali tu do tego więzienia; aż mi mrowie przeszło po skórze gdym ujrzał te mury. Na wpół żywy, wszedłem do ogromnéj ciemnéj izby napełnionéj mnóstwem ludzi. Krzyk, wrzask, hałas: istne piekło. Otoczono mnie ze wszystkich stron.

— „A ot nowy!“ wołał jeden.

— „Kto ty taki? pyłał drugi.

— „Za co cię sądzą?“ przerwał trzeci. Ja wystraszony wciąż milczałem.

— „Widzicie“ odezwał się jeden wysoki z długą czarną brodą brunet: to jest niewiniątko — z miny jego widać że głupi. Zostawcie go w spokoju, my go z czasem oswoimy.

Upłynęło parę tygodni, a ja zacząłem się powoli przyzwyczajać do mojego położenia; poznałem się z towarzyszami, i opowiedziałem im całą swoją sprawę.

— „Oj! dudku ty dudku!“ mówił wysoki z czarną brodą: jakiż czart ciągnął cię u licha za język? Nie wiem, nie słyszałem, nie widziałem—oto twoja odpowiedź. Ale wy wiejskie niedołęgi wszyscy tacy: gdy który raz rozdziawi gębę a zacznie gadać, to w końcu siak czy tak musi zostać winnym.

Jak się z nimi porozumiałem, jak zacząłem myśléć czy nie możnaby jakim sposobem odwrócić od siebie złego, tak nareszcie wziąłem się nie na żarty do rzeczy. Podawałem prośbę za prośbą że śledztwo przeprowadzone nieformalnie, że zeznanie napisane dowolnie, nie podług moich słów; że ja żadnego kupca nie znam, i od żadnego słoniny nie brałem. Podałem pięć takich prośb i to mnie cokolwiek uspokoiło.

Życie więzienne, tyle straszne z początku, przedstawiało mi się potém zupełnie inaczéj. Mieliśmy fajki, tytoń i za-

kąski; wszystkiego tego dostawaliśmy za ogólne składkowe pieniądze od miejscowego stróża: poczciwy to był stary niech mu tam Bóg nagrodzi! Do więzienia przychodziły żony, siostry, ciotki, matki moich towarzyszy, a nie przychodziły one nigdy z próżnemi rękami: ta miała bułki, ta kołacze, owa trochę pieniędzy. Znosiły baby i różne szmaty, obuwie; a my to wszystko zmieniali na monetę, wspólnie przepuszczali, i było wesoło co się nazywa.

Kassą zawiadywał wysoki brunet z czarną brodą, którego nazywali Emiljaszko. Rozeszła się wiadomość iż jego sprawa zbliża się do końca, i że go mają wysłać do katorżnych robót. Żal nam się zrobiło dzielnego towarzysza, on bowiem był jedynym do wszystkiego; i piosnkę zaśpiewać, i wódki dostać, i zakąski urządzić: bez niego jak bez ręki. Cóż było robić? jak zaczęli pomiędzy sobą sądzić, gadać a rozprawiać, tak stanęło na tém, że zebrawszy sześć rubli, udali się do naszego stróża:

— „Oto dla ciebie pół rubla srebrem, stary grzybie, tylko przyprowadź do nas Pawła Stefanowicza, Swietyłkina; wiesz tego rudego, który tam na górze wszystkie nasze papiery ma pod ręką.“

Na górze bowiem był sąd, i siedział Swietyłkin kancelista.

— „Dobrze“ odpowiedział starowina i polazł na górę. Nad wieczorem przyszedł do nas Świetyłkin, i pyta:

— „Czego chcecie?“

My jemu do nóg.

— „Batiuszka, ojcze kochany, ty nasz dobroczyńca: nie daj ginąć marnie Emiljaszce—napisz prośbę, bo inaczéj poślą do katorgi.

— „No i cóż, tam téż i jego droga.“

— „O nie, pomóż Emiljaszce ułożyć prośbę, a to dla Was.“ Mówiąc te słowa jeden z nas pokazał pięcio rublowy papierek; ale nie dał w rękę, tylko pokazał.

— „Więc trzeba napisać ci prośbę?“ rzekł łagodniejszym już głosem Świetyłkin, obracając się do Emiljaszki: „a o czemże?“

— „Wasze wysoko błagorodie,“ odrzekł tenże; „przynieście akta, to ztamtąd nabierzemy konceptu jak to ułożyć.“

— „Dawaj papier,“ mówi urzędnik.

— „Nie, przynieście pierwéj akta, a papier się znajdzie.“ Nie było sposobu odmówić. Świetyłkin poszedł na górę, i w pół godziny potém wrócił ze sporym pakietem pisanych dokumentów pod pachą. Wtedy gdy Emiljaszka podawał rudemu stemplowy papier, my się wszyscy razem rzucili na akta, i w jednéj chwili podarli je w drobne kawałki. Świetyłkin zbladł jak ściana, i krzyknął drżącym ze złości głosem:

— „Ach! podli złodzieje, rozbójniki, nikczemnicy!“ „Wymyślaj i łaj, jak tylko ci się podoba,“ krzyknęli wszyscy, „a dla tego sprawa w łeb wzięła.“ Rudy przyszedłszy trochę do siebie rzekł:

— „Dajcie jeszcze drugie pięć rubli, a nie, to was wszystkich poszlę do katorgi.“ Pieniędzy my nie mieli, ale on zauważał u mnie nowe buty. „Zdejm buty, albo dawaj niebieski papierek.“ Trudna rada: zdjąłem buty, a on zawiązawszy je w czerwoną chustkę, wsunął pod poły płaszcza i wyniósł się do domu.

Emiljaszko ocalał, a u nas było wesoło jak pierwéj. W miesiąc po tém zdarzeniu, Świetyłkin przychodzi znowu i mówi: „Uważajcie łajdaki, będzie śledztwo: ani słowa o tém co zaszło.“ I rzeczywiście wzywano nas wszystkich po kolei do komisyi, a my, ani dudu: na wszystkie zapytania odpowiadamy że o niczém nic wiemy, żeśmy niczego nie słyszeli. Koniec końcem rudy wyszedł na sucho, a całą winę zwalił na pisarza, który nibyto odsyłając papiery na pocztę, zgubił je.

Po upływie kilku miesięcy od czasu mojego aresztowania, schwytano mego towarzysza, tego samego który razem ze mną kradł słoninę, i osadzono go w więzieniu. On był mądrzejszy odemnie; od razu wszystkiego się zaparł, twierdząc że żadnéj słoniny nie woził, i żadnego podobnego kupca nie znał. Nakoniec w półtora roku, na skutek moich podań naznaczono nowe śledztwo. Dowiedziawszy się o tém, wszyscy moi towarzysze zbili się w kupkę, i zaczęli radzić nad tém jak ja mam się tłumaczyć na śledztwie. Po długich

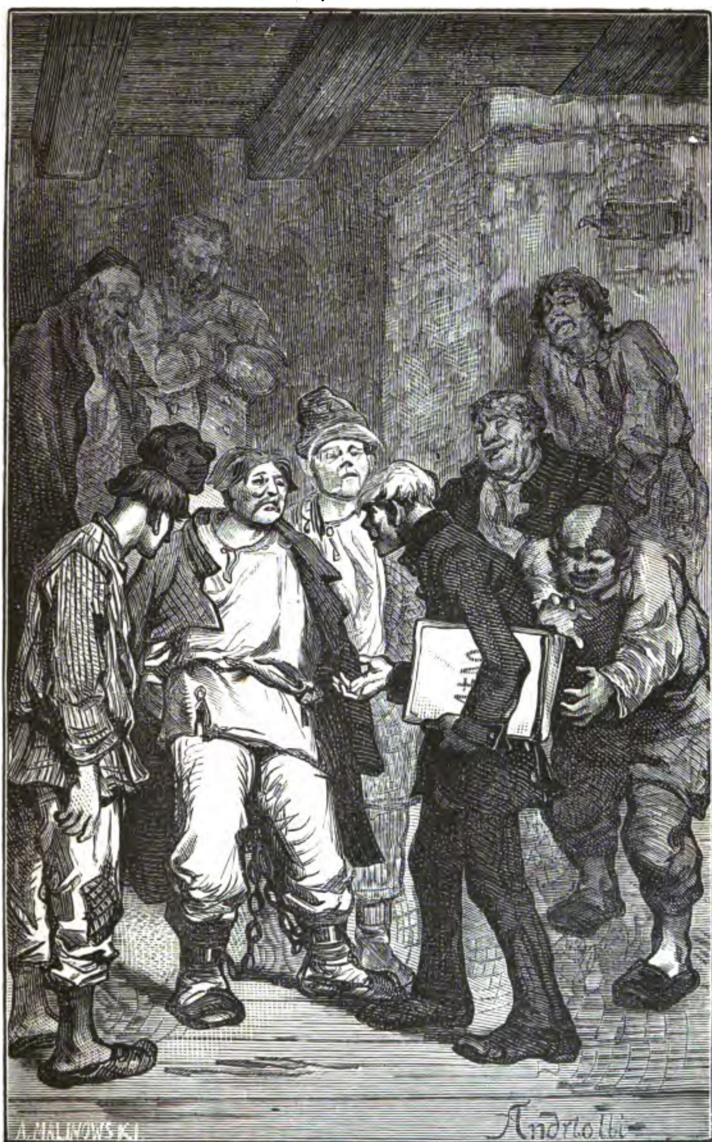
rozprawach, dokładném zastanowieniu się nad wszystkiem co może wpłynąć na pogorszenie lub ulepszenie interesu, postanowiono: *po pierwsze* odsądzić od przysięgi świadka, który jako w służbie u skarżącego kupca zostający, nie powinien być przypuszczonym do zeznania; *po drugie*, nie przyznać się do znajomości towarzysza, wyprzeć się stosunków z kupcem — *po trzecie* oznajmić, że poprzedni, zdjęty ze mnie protokół, pisany był nie podług moich słów, gdyż ja nie mogłem w żaden sposób przyznać się do czynu, którego nigdy nie popełniłem. Towarzysz mój miał polecenie przedstawić się jako człowiek niespełna rozumu; nic nie mówić, lecz tylko śmiać się głupowato. Jak się powiedziało tak się i zrobiło — i oto ja z łaski moich poczciwych kolegów, wychodzę za parę tygodni na wolność.

— „A teraz,“ zapytałem: „czy nie masz ochoty, dostać się po raz drugi do więzienia?

— „Więzienie dobre,“ odpowiedział Andruszka, „bo uczy niedołęgów rozumu, ale swoboda bez porównania lepsza. Bardzom rad żem i tego chleba próbował, a jednak zje diabła kto mnie drugi raz złapie na uczynku. Kto raz przesiedział pomiędzy temi murami, to już nie tak łatwo tu się napowrót dostanie.

Ja zaś wsiadając na kibitkę pocztową, pomyślałem w duchu: szkoda człowieka!

I mimowolnie westchnąłem.



Wtedy gdy Emiljaszka podawał rudemu stemplowy papier, my się wszyscy razem rzucili na akta, i w jednéj chwili podarli je w drobne kawałki.

(Obr. z Życ. Więzien., str. 255).

FORTECA ZE ŚNIEGU.

Pierwsze wrażenie moje po przybyciu w północne strony nie było zbyt pochlebném dla miejsc, w których losy przeznaczenia żyć mi kazały.

Stanąłem u kresu długiéj i nużącéj podróży.

Była to wioska, a raczéj osada z siedmiu lub ośmiu nędznych, na wpół w ziemię zapadłych chat złożona, nazwiskiem „Jamka.“

Wioska ta pośród niezmiernych step zbudowana, nieposiadała żadnego łącznika wiążącego ją z resztą świata. Stała na śnieżnéj przestrzeni, niby drobny atom kaprysem losu rzucony w nieskończoność.

Podróżne sanki zatrzymały się, z chałup wyszło kilku włościan, kilka bab, za niemi wybiegła gromadka dzieci: wszyscy oni otoczyli powózkę, przypatrując mi się ciekawie. Była to cała ludność osady.

Jeden z chłopów przystąpiwszy bliżéj oświadczył iż jest starszyną (sołtysem) téj wsi, i że mając obowiązek dać mi tymczasowe mieszkanie, zaprasza do siebie.

Wszedłem z nim do najbliższego domku. W jednéj izbie

stanowiącéj zarazem kuchnię, znajdowało się siedmioro dzieci, jakotéż matka ich, a żona gospodarza, i ogromnego wzrostu o mongolskich rysach twarzy dziewka; w drugiéj był skład rozmaitych sprzętów, porządków gospodarskich, zapasów żywności, w kącie stały kłody z kapustą kwaszoną, a za ogrodzeniem z desek beczało świéżo odsadzone od krowy cielę.

Starszyna objaśnił iż pierwsza izba jest mieszkaniem jego rodziny, druga zaś gornicą, czyli miejscem do przyjmowania gości przeznaczoném, i że tę najlepszą część swojego domu oddaje pod moje rozporządzenie.

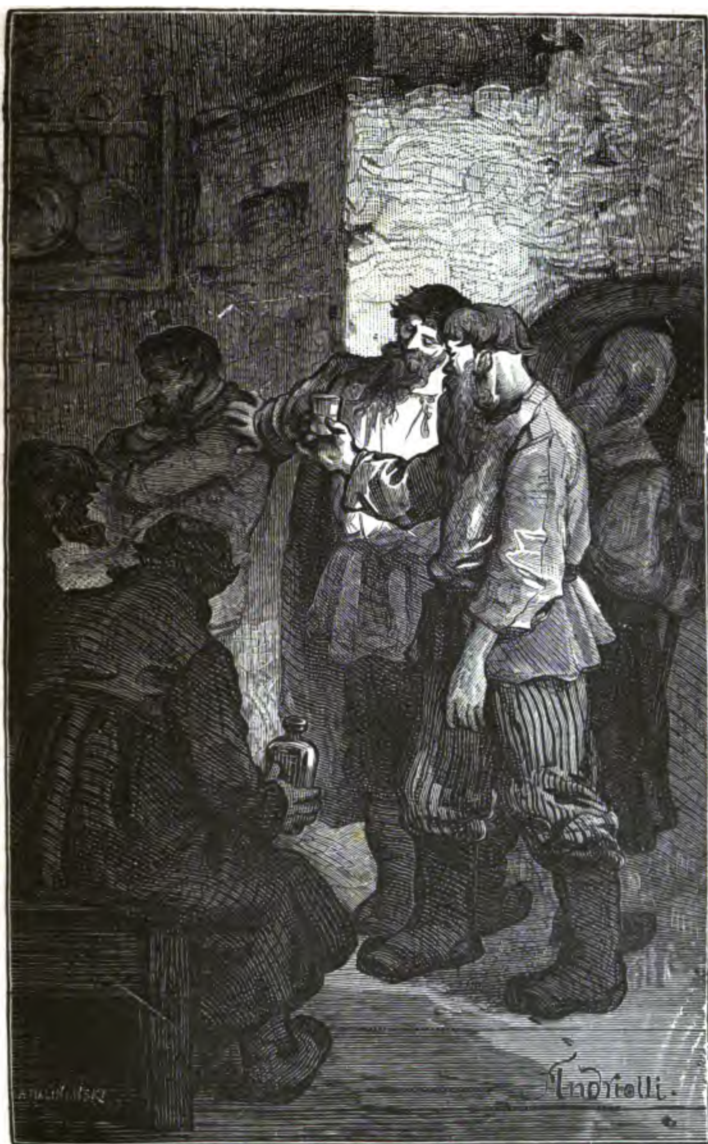
— Nie zajdziecie w całéj wsi podobnego mieszkania, dodał: tutejsze albowiem chaty, mają tylko po jednéj izbie, w któréj wszyscy razem mieszczą się jak mogą. Ciele będzie tylko z początku Was trochę niepokoić, ale musicie się do tego przyzwyczaić, bo nie mam go gdzie umieścić.

Wniesiono moje manatki w jeden kąt izby, usunięto cokolwiek kłody z kapustą, porzucono pęk słomy na ziemię, jemszczyk odjechał z końmi, a ja znalazłem się nakoniec u kresu tysiąco-milowéj podróży — na ziemi, wśród któréj może mi resztę życia przyjdzie przepędzić.

Tu już nie było illuzyi.

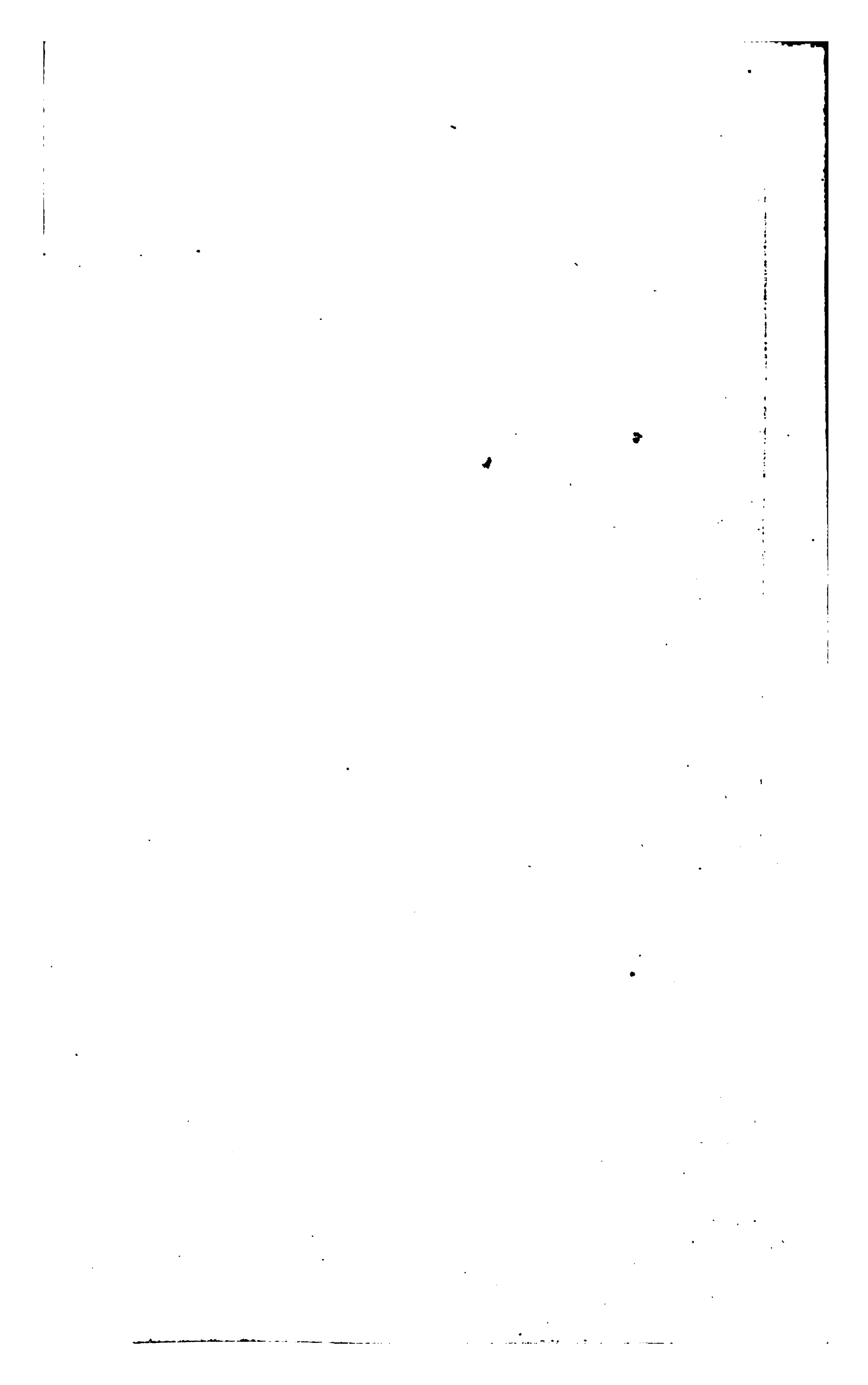
Usiadłem na kupie barłogu otoczony moimi tłumokami, opuściłem głowę na dłonie i pogrążyłem się w dumaniu. Co myślałem wtedy sambym tego powtórzyć nie zdołał. Był to rodzaj apatyi, odrętwienia, nieczułości na wszystko co mnie otaczało. Ogrom nieszczęścia przygłuszył nawet zwykłą każdemu człowiekowi wrażliwość. W izbie było powietrze ciężkie, nieznośne, zaduch od przegniłéj kapusty — ja tego nie czułem: nie słyszałem krzyku dzieci, nie widziałem otaczających mnie włościan, którzy przybywszy z całéj wsi, oglądali ciekawie nieznanego im gościa, zarzucając różnego rodzaju zapytaniami.

Machinalnie wlepiłem wzrok w kilka tłumoków około mnie leżących: to cała moja przeszłość—wszystko inne było teraźniejszością i przyszłością, ale one przedstawiały się tak strasznie i odrażająco, że wylękły tém co mnie czekało, nieśmiałem nawet spojrzéć do koła siebie.



Wniesiono moje manatki w jeden kąt izby, usunięto cokolwiek kłody z kapustą, porzucono pęk słomy na ziemię, jemszczyk odjechał z końmi, a ja znalazłem się nakoniec u kresu tysiąco-milowéj podróży – na ziemi, wśród któréj może mi resztę życia przyjdzie przepędzić.

(Forteca ze śniegu, str. 258).



Byłem znużony, roztrojony, głodny — a nie chciało mi się ani spoczywać, ani jeść, ani myśléć.

Ja nic nie pragnąłem, niczego nie żądałem, nic mnie nie obchodziło. Kilka dni przeszło w tym stanie graniczącym z moralną śmiercią. Jadłem strawę którą mi mój gospodarz przynosił nie czując jéj smaku, drzemałem nie rozbierając się, siedziałem w miejscu nie myśląc i nie czując. Stan podobny doprowadziłby mnie niezawodnie w końcu do zupełnego roztrojenia władz umysłowych, gdyby warunki życia i bytu nie nakazały mi otrząść się z tego odrętwienia.

Po upływie dni kilku, właściciel chaty objawił, że czas zakreślony prawem trzymania mnie w mieszkaniu minął, i radził poszukać sobie schronienia.

— Możesz, — rzekł, albo wynająć sobie inną izbę, albo téż i w téj pozostać — stosownie do twéj woli. Ale czuję się w obowiązku uprzedzić, że nigdzie nie znajdziesz tak wygodnego mieszkania jak u mnie.

I rzeczywiście obszedłszy ośm chat składających osadę, nabrałem przekonania, iż ta jama na którą najpierwéj wysiadłszy z sanek natrafiłem, była jeszcze pałacem w porównaniu z innemi.

W każdym z tak zwanych domów było tylko po jednéj izbie stanowiącéj zarazem kuchnię, spalnię, jakotéż skład wszystkich gospodarskich porządków i zapasów żywności. Wszędzie z powodu szczupłości miejsca i ścieśnionego z tego powodu powietrza, panował trudny do wytrzymania zaduch, połączony ze swędem od zawsze zawcześnie zamykanych pieców.

Nie mogąc być nader wybrednym w moich wymaganiach wybrałem najmniejsze złe, i nająłem od starszyny wspomnioną stancyjkę, zgodziłem codzienną strawę i wymogłem nawet na moim gospodarzu, ma się rozumiéć za szczodre wynagrodzenie, iż cofnięto z izby hałaśliwe ciele — ale wyniesienia kłód z cuchnącą kapustą, równie jak prawa żeby nikt do zajmowanego przezemnie kącika nie wchodził, nie mogłem na żaden sposób wyprosić.

— Kapusty nie mam zupełnie gdzie umieścić — mówi,

oddam sąsiadowi, to połowę ukradnie—a co do wzbronienia wstępu moim gościom do pokoju przeznaczonego na ich przyjęcie, tego na żaden sposób uczynić nie mogę. Gdzież bym ugaszczał odwiedzających mnie, lub sądził sprawy przywiązane do mego urzędu, gdybym się dobrowolnie pozbył jedynego miejsca, które odpowiada tym celom. A z resztą i tobie weseléj nierównie będzie, widziéć ludzkie twarze, niżeli siedziéć samemu.

Piękne towarzystwo, nie ma co mówić!

Przeciwko niepodobieństwu walczyć trudno — przystałem na wszystkie warunki, i odtąd dni moje zaczęły płynąć jednostajnie, a każdy dzień był nową katuszą. Nie mówię o stronie fizycznéj — o nie bynajmniéj: szczęśliwym tylko ludziom może materyalna strona życia dokuczyć, nieszczęśliwi jéj nigdy nie znają. Chociaż strawa którą mi podawano była obrzydliwa, cuchnąca, chociaż w nocy oczów zmrużyć nie zdołałem, z powodu ciągłego krzyku dzieci — chociaż różnego rodzaju robactwo dokuczało niemiłosiernie— wszystkie te niedogodności zniósłbym z rozkoszą, gdyby temi powierzchownemi cierpieniami, można było okupić chociaż jedną, krótką chwilę samotności.

Nikt z ludzi żyjących w dostatkach i wygodach pojąć nie zdoła jaką ulgą dla człowieka w mojem położeniu byłaby samotność w któréj by można podumać, cofnąć się myślą w przeszłość, lub podbudziwszy wyobraźnią stworzyć sobie czasami chwilę ułudy.

Ja tego nie miałem. Od świtu do zmroku otoczony byłem ludźmi nieokrzesanemi, na których zapytanie i uwagi należało odpowiadać, pijakami zawodzącemi w niebogłosy hulackie pieśni, lub obalającemi się częstokroć na mnie całym ciężarem ciała. Od świtu do zmroku brudne niemowlęta czołgały mi się pod nogami, lub kilkoletnie swawolniki niepokoiły mnie swoją rozpustą. W nocy nawet nie zdołałem uchronić się przed tą szarańczą, która z próżniactwa i z wrodzonego dzieciom ducha sprzeciwieństwa, dokuczała mi niemiłosiernie.

Opędzić się od tych psotników było rzeczą zupełnie niepodobną. Pewnego razu gdy jeden z malców podkradłszy

się cichaczem w nocy do mojego posłania, wylał na śpiącego pełen kubeł wody z lodem, wyszedłem z granic cierpliwości, i porwawszy za uszy małego prześladowcę, obiłem go należycie. Na krzyk chłopaka wybiegła matka z miotłą w ręku i przekleństwem na ustach — i nie wiem już jakiby obrót ta scena wzięła, gdyby nie wdanie się gospodarza, które załagodziło sprawę.

— Nie należy bić dzieci—mówił starszyna w formie morału, bo to dzieci nie twoje. Że dziecko poigra, pożartuje, dziwić się nie można ani téż gniewać: ono igra, bo dziecko; a z resztą one są u siebie, ty zaś znajdujesz się w cudzym domu. Wprawdzie płacisz za mieszkanie, ale wszakże wyraźnie wymówiłem sobie, że pokój który zajmujesz nie do ciebie wyłącznie należyć będzie.

Na podobne logiczne zresztą objaśnienia nie było co odpowiedzieć; należało milczyć i uchylić głowę przed nieubłaganą koniecznością.

Wkrótce przekonałem się, iż pijaństwo stanowi jedyną rozkosz, jedyne zajęcie wszystkich tych ludzi (1). Ze względów klimatowych gospodarstwo rolne w Syberyi jest tego rodzaju, iż włościanin tylko w czasie letnich miesięcy bez przerwy pracuje, zgromadziwszy zaś całoroczne zapasy, z nastaniem zimy ma bardzo mało do czynienia, a i w téj niewielkiéj stosunkowo robocie, wyręcza się najczęściéj swoimi parobkami. Od czasu do czasu z każdéj chaty wyjeżdżał chłopak lub dziewka do odległego o 10 wiorst lasu po drzewo. Gospodyni raz na tydzień, w Sobotę, gotowała ogromny garnek zupy z zamrożonego mięsa, kartofli i kapusty, która to strawa odgrzewana każdego dnia, służyła za pokarm na

---

(1) Winienem jednakże dodać że tylko w tak odosobnionych osadach jaką była Jamka, gdzie nadzór władz i rozszerzenie cywilizacyi stało się trudniejszém; pijaństwo ludu doszło do podobnie wielkich rozmiarów. W innych, a szczególniéj przy traktach położonych wioskach, jakkolwiek obrzydliwy ów nałóg istnieje pomiędzy włościanami, przecież przez stosowne oddziaływanie i wpływ zwierzchności, znacznie szczególniéj w ostatnich czasach, został ukróconym.

(Przyp. aut.)

cały tydzień. Było to jedyne moje pożywienie. Trudno wyobrazić sobie jak obrzydliwém stało się, zwłaszcza w końcu tygodnia, to jedzenie przestałe, przegniłe, cuchnące — ale otaczającym mnie ludziom ono smakowało: ich podniebienia przepalone alkoholem, zatraciły poczucie wszelkiego smaku. W całéj okolicy nie było ani studni, ani rzeki, ani nawet strumyka: wodę do gotowania brano z błotnistéj kałuży: woda ta użyta do picia okazywała się nieznośną, a nic innego oprócz kwasu, do którego jeszcze nie przywykłem, nie mogło służyć na ugaszenie pragnienia—gdyż z powodu przeszłorocznego upadku bydła, o istnieniu nawet mléka zapomniano.

Mój gospodarz starszyna i ze swego urzędu i z położenia towarzyskiego, stanowił najważniejszą osobę w wiosce. Dla wszystkieh był on sędzią rozstrzygającym sprawy i zajścia w pierwszéj instancyi, godzącym kłótnie, karzącym winowajców.

Był to włościanin wysokiego wzrostu, dosyć regularnych rysów twarzy, o bystrém chytrem spojrzeniu i gęstéj rudéj brodzie. Powaga przywiązana do jego urzędu niepozwalała mu tak jak innym mieszkańcom wioski oddawać się wyłącznie pijaństwu; ale posiadał on dar pić zawsze po trochu, być ciągle w stanie na wpół podochoconym, nie przebierając nigdy miary w używaniu trunków.

Najmądrzejszy ze wszystkich, rządził wszystkiemi.

Ale jego żona była jeszcze mądrzejszą od niego i rządziła nim.

Takie są koleje władz tego świata — nawet i w maleńkiéj, rzuconéj daleko wśród obszernych stepów syberyjskiéj osadzie.

Tatiana Wasilewna, nie na darmo była kobietą, i nie na próżno piastowała godność małżonki starszyny. Baba ta chuda, żółta, o zaciśniętych ustach, śpiczastym nosie i zapadłych głękoko siwych oczkach—posiadała rzadką chytrość i przebiegłość—których to przymiotów używała, do opanowania wszystkiego co jéj pod rękę popadło i do ciągnięcia ze wszystkiego pieniężnych zysków. Jeżeli spór jaki nastąpił, jeżeli jaki chłop pobił drugiego, nim sprawa wytoczyła

się przed męża, ona już potrafiła wyłgać z obydwuch stron dla siebie datki. Jeżeli wykryto złodziejstwo, winowajca musiał się jéj szczodrze okupić; w zwyczajnych nawet stosunkach z sąsiadami, tyle gadała, obiecywała i kłamała, że każdy czuł się w obowiązku przynieść jéj jaki gościniec: to kurę, to jaja, to miarę kartofli.

Gadała ona ciągle i zawsze—potok słów od wschodu do zachodu słońca z ust jéj płynący, był jak ów hurkot pytla w młynie: przyzwyczaiłem ja się do niego, jak przyzwyczaja się młynarz do jednostajnego stuku kół i nieustannego szumu wody. Gadała o sobie, o potędze swéj władzy, o mądrych swoich rozporządzeniach, o względach jakie wszyscy począwszy od żony pisarza mają w urzędzie gminnym dla niéj. Gadanie to jednostajne, nieszkodliwe, koncentrujące się w jednym i tym samym przedmiocie, w powtarzaniu niemal dosłowném jednych i tych samych frazesów, nikomu nie zawadzało — ale bieda jeżeli ktokolwiek bądź na świecie sprzeciwił jéj się w czemkolwiek, lub nawet śmiał objawić osobiste swoje zdanie.

Wtedy jéj twarz żółta czerwieniała, śpiczasty koniec nosa siniał, wązkie usta zaciskały się jeszcze bardziéj, siwe oczy rzucały błyskawice, a potok najenergiczniejszych przekleństw sypał się gradem na nieszczęśliwego. Gdy była w takiém usposobieniu wszystko co żyło w chałupie drżało przed nią — dzieci chowały się pod piece, za stoły i ławki, mongolska dziewka trzęsła się ze strachu jak w paroksyzmie febry, a mąż zacisnąwszy czapkę na uszy, uchodził co prędzéj. Częstokroć nie skończyło się na słowach lecz miotła i kańczug wiszący na ścianie były w robocie. Wtedy miałem przed oczami istny obraz piekła: krzyk, wrzask, przekleństwa, jęki, płacze, wszystko to zmięszawszy się razem, tworzyło chaos trudny do opisania.

Ta kobieta tak swarliwa, złośliwa i despotyczna, która w niczém się nie zgadzała się z mężem, miała tylko z nim jeden wspólny punkt widzenia rzeczy. Tym wyjątkiem byłem ja. We wszystkiem co się mnie tyczyło, i mąż i żona porozumiewali się doskonale.

Ja dla nich byłem nietylko przedmiotem zysku, istotą z któréj należało wyssać wszystko co się da, ale i ofiarą ich kaprysów zachceń i despotyzmu.

Nie podobna było z niczém odezwać się: najmniejsza reklamacya przyjętą bywała krzykiem i wrzaskiem. Za moje własne i to dość grube pieniądze żywiony byłem cuchnącą zupą i kartoflami z solą. Gdy zażądałem aby mi świeżą strawę gotowano lub pozwalano częściéj nastawiać samowar, trzeba było widziéć oburzenie gospodyni.

— Patrzajcie go: jaki delikatny! jaki wybredny!... Mój mąż Starszyna wsi i ja żona urzędnika, jadamy to co on jadać nie może. Herbaty jeszcze mu się zachciewa po trzy razy na dzień; pewnie będę dla ciebie naumyślnie posyłać o dziesięć wiorst po drzewo!

Gdym zrobił uwagę że ja nie żądam żadnéj łaski, że chcę miéć to co mi się należy, bo za to płacę — wściekłość i gniew rozłoszczonéj baby nie miały granic ni miary.

— Pieniądze! Słyszeliście jaki mi Pan—za swoje nędzne dziesięć rubli miesięcznie, chce żeby go utrzymywano jak jakiego czynownika. Zapominasz bratku kim jesteś, i jakie twoje położenie w tych stronach.

Będąca u niéj w służbie dziewka wzięta dzieckiem jeszcze od koczujących po stepach inorodzców, żyjąc od lat tylu pod tak srogim despotyzmem, ogłupiała zupełnie. Była to olbrzymia machina, nie mówiąca ani słowa, wypełniająca machinalnie wszelkie posługi, śmiejąca się głupowato, gdy gospodyni raczyła się roześmiać, drżąca z przestrachu kiedy ta podniosła swój głos gniewliwy, upijająca się od samego rana kiedy jéj pozwolono się upić, i chrapiąca potém przeraźliwie przez całą noc.

Tacy to byli ludzie z któremi żyć musiałem.

Uciekając od wrzasku swarliwéj kobiety, płaczu dzieci, zaduchu, robactwa i wiecznie panującego czadu, który mnie silnego bólu głowy nabawiał, wychodziłem czasami pomimo silnego mrozu, na świeże powietrze.

Tam jednakże nie było co robić, gdzie się obrócić. Kilka chat na śnieżnéj, białéj przestrzeni: ot i wszystko. Parę ścieżek wydeptanych nogami przechodzących od chałupy do

chałupy mieszkańców, parę śladów sani jadących po wodę lub drzewo parobków, stanowiły jedyną oznakę że tu żyją ludzie.

Wrodzona każdemu człowiekowi potrzeba szukania jakiegokolwiek towarzystwa, sprawiła żem wstąpił do kilku chat. Wszędzie o samo. Obszarpane na wpół nagie dzieci, złowrogie fizyognomie włościan spoglądających na mnie z podełba, niezachęcały do bliższego poznania moich sąsiadów. A zresztą o czemże z nimi mówić? oni żyjąc w téj pustyni w stanie na wpół dzikim, o niczém najmniejszego pojęcia nie mają. Każden zesłany na osiedlenie człowiek jest w ich oczach niczém więcéj jak prostym złodziejem: innych przewinień oni nie pojmują. Wprawdzie nie tylko nie czują żadnego wstrętu do kryminalnych przestępców, ale nawet na mordercę jako na osobistość energiczną patrzą zawsze z pewnym rodzajem uwielbienia; lecz zwykły zesłany, taki który nieprzebył poprzednio ciężkich robót, uważanym jest za podrzędnego i niezręcznego w swym fachu artystę i powszechnie pogardzanym.

W osadzie oprócz mnie było jeszcze dwóch innych przestępców, którzy skazani za morderstwo do przymusowych robót, wycierpieli już pierwotną swoją karę i przybyli tam na osiedlenie. Ci ludzie używali wielkiego wzięcia, wypływającego po części z przestrachu jaki we wszystkich obudzić zdołali. Sam Starszyna odzywał się do nich z pewnym rodzajem szacunku, a żona jego łagodziła zawsze ton mowy w ich obecności. Pewnego razu oba przyszli mnie odwiedzić, co w wyobrażeniu innych mieszkańców było dowodem wielkiéj łaski. W czasie bytności swojéj, która jak się póżniéj dowiedziałem, inny jeszcze cel miała—przechwalali się z dokonanych morderstw i z pewną dumą opowiadali wszystkie szczegóły krwawych swoich dziejów. Rozsądek nakazywał utaić w głębi duszy wstręt jaki ci zbrodniarze we mnie obudzali — obrazić ich bowiem dobrowolnie na siebie, było to samo co szukać nieochybnéj zguby.

Położenie moje było trudném do zniesienia. Sam jeden otoczony takimi ludźmi, bez żadnego widoku wydobycia się z téj jaskini łotrów, wzdychałem tylko do samotności jako

do jedynéj ulgi w mojem cierpieniu. Ale gdzież potrafię znaleźć ową upragnioną samotność? Osobnéj stancyjki nigdzie nie było; a gdybym nawet i mógł ją wyszukać, czyliż tym sposobem zdołam uwolnić się od podobnych odwiedzin, bez narażenia na zemstę tyle niebezpiecznych ludzi? Z resztą mieszkanie w ustronnéj chacie groziło utratą życia, do którego każdy choćby najnieszczęśliwszy człowiek zawsze jest przywiązanym.

Biłem się ze swojemi myślami i nie doszedłem do żadnego postanowienia. Tymczasem gospodarz mój Starszyna i jego godna połowica, powoli zaczęli mięszać się do wszystkich moich czynności. Pod pozorem osobistego bezpieczeństwa, radzono mi ażebym na krok niewychodził z chałupy, pod pozorem urzędowéj opieki jaką nademną rozciągnięto, dawano mi do zrozumienia, żeby z nikim nie wchodzić w żadne rozmowy—gdym w nieobecności zwierzchnika lub jego żony, zagadał do kogobądź, choćby do dziecka nawet, wypytywano je troskliwie com mówił i co mi odpowiedziano.

Powtarzać zaś pełnych najdziwaczniejszych przypuszczeń gawęd, jakie o mnie prowadzono nie widzę najmniejszéj potrzeby; dodam tylko iż gospodyni domu zakończała zwykle dyskussyę następującemi wyrazami.

— Co zrobił to zrobił — nie nasza rzecz w to wchodzić. Ale to dumna sztuka: dla nas nie ma należytego uszanowania, wódki nie chce pić jak drudzy, we wszystkiem się odróżnia od ogółu—należy przytrzeć rożków temu paniczowi.

I odtąd zaczęły się przekąsy, skierowane do tych, którzy pamiętają czém byli, a zapominają o tém czém są obecnie, którzy żadnéj rangi w hierarchij społecznéj nie mają, których za lada fraszkę można związać i do aresztu zasadzić. Wszystko to mówiono niby ogólnie, niby pod przenośniami, ale zastósowania podobne zbyt przedstawiały się dotykalnie, żebym nie mógł zrozumieć do kogo zostawały skierowane. Częstokroć jędza odzywając się do mnie używała przydomku baryń (pan), i niepodobna mi oddać szyderstwa, ironij, i złości, z jakiemi ten wyraz był wymawianym.

Ja udawałem że tego wszystkiego nie rozumiem, i milczałem. Podobna taktyka osiągnęła wkrótce spodziewane skutki.

Moja gospodyni widząc, że wszystkie jéj pociski i zaczepki nie przebijają potrójnéj tarczy obojętności w jaką się uzbroiłem, zamilkła zgrzytając ze złości zębami, a ja miałem przez parę dni niejaką spokojność.

Ale wkrótce przekonałem się, iż to było tylko chwilowe zawieszenie broni, w czasie którego nieprzyjaciel wyszukiwał nowych sposobów prowadzenia wojny.

Sposób użyty do rozpoczęcia zaczepnych kroków był nader prostym: dotąd Starszyna i jego żona zrobili mnie pod względem moralnym swoim niewolnikiem, teraz postanowili, przeistoczyć moją osobistość w domowego sługę.

Sposobność ku dokonania tego zamiaru wkrótce się nastręczyła.

Nadchodziła godzina, w któréj cała rodzina pijała zwykle herbatę, i w któréj ja także korzystając z rozżarzonych węgli, nastawiałem swój podróżny samowar. Drzewa urąbanego, oprócz kilku ogromnych kloców leżących przed sienią zabrakło, parobek który od rana pojechał do lasu po gałęzie dotąd nie powrócił, a dzieci ze wszystkich kątów dopominały się płaczliwym głosem, o ten tyle upowszechniony posiłek.

Gospodyni wziąwszy stojącą w kącie izby siekierę, podała mi ją mówiąc rozkazującym tonem:

— Idź urąb drzewa na węgle do herbaty!

Jakkolwiek od trzech przeszło tygodni, to jest od czasu w którym się dostałem w tę pustynię, doznawałem ciągle różnego rodzaju prześladowań, przecież podobne żądanie było piérwszym tego rodzaju.

Była to widocznie próba do jakiego stopnia moja uległość dojść może.

— Ja nie jestem waszym robotnikiem—odpowiedziałem zimno.

— Nie jesteś robotnikiem, ale dzielisz z nami kęs chleba: należy robić to co inni robią, a nie być próżniakiem.

— Za lichą strawę jaką mi dajecie, płacę dziesięć razy

tyle ile ona warta, a roboty wasze wcale mnie nie obchodzą.

— Ręka rękę umywa, noga nogę wspiéra; kto jest przyjęty do grona rodziny, nie powinien wyróżniać się od drugich i pomódz w razie chwilowéj potrzeby — parobka w domu nie ma...

— A mnie co do tego? Do grona waszéj rodziny nie należę bynajmniéj, mieszkając w tym domu nie poczuwam się do żadnych względém was obowiązków.

— Tu nie idzie o obowiązek ale o grzeczność.

Widocznie baba, chciała dyplomatycznemi sposobami wciągnąć mnie choć raz jeden do ręcznéj roboty, ażeby następnie przełamawszy piérwsze lody, posługiwać się mną do woli, choćby tylko dla samego upokorzenia mnie.

Jestem zdania, iż każdy człowiek powinien zastosować się do położenia jakie mu los zgotował. Ręczne prace nikogo nie krzywdzą, i z innemi ludźmi, z ludźmi serca, chętnie bym podzielił ich trudy, dopomógł w pracy, zlał się w ich kółko. Ale tu było zupełnie co innego: tu była chęć dokuczenia, zła wola i nienawiść.

— Jeżeli idzie o grzeczność, odrzekłem, to ja téj grzeczności nie chcę wyświadczyć.

— Niechcesz! a któż drzewa narąbie: może ja żona urzędnika wsi, może sam Starszyna? Nie będzie drzewa— nie będzie herbaty.

— To nie będzie — zakończyłem z flegmą.

Moja zimna krew poruszyła wszystką żółć jędzy.

Wstrzęsła się, jakoby ta odpowiedź była iskrą zapalającą w głębi jéj złowrogiéj natury, nagromadzone materyały nienawiści i gniewu, a powstawszy nagle krzyknęła głosem drżącym, ochrypłym od dzikiéj wściekłości.

— Wynoś się paniczu z twoimi tłomokami, manatkami z mojego domu. My nie chcemy trzymać u siebie takiego człowieka, co nic nie robi, nic nie mówi, tylko siedzi jak mruk — co nie zdolny ani do pieśni, ani do kieliszka, ani téż do towarzyskiéj pohulanki.

— Dobrze — odpowiedziałem wstając ze swego barłogu — wyniosę się natychmiast do piérwszego lepszego są-

siada; każdy przyjmie z ochotą dopóki będzie czuł piéniądze w mojéj kieszeni.

Wiedziałem ja dobrze, że w jakiéjkolwiek innéj chałupie będzie mi nierównie gorzéj, gdyż tu znajdowała się przynajmniéj izba, do któréj nie w każdéj godzinie dnia, wchodzili moi prześladowcy, a gdzieindziéj i tego znaleźć nie mogłem; ale wiedziałem także, że wezwanie do opuszczenia mieszkania wypłynęło nieostrożnie, w uniesieniu złości; bo i Starszyna i jego żona zbyt dbali o materyalne korzyści, ażeby chcieli pozbyć się dobrowolnie szczodrego w opłacie lokatora.

Domniemanie to zmieniło się w pewność, gdym ujrzał zakłopotaną twarz gospodyni, któréj gniew przygłuszyła obawa ażeby niebacznie wyrzeczone słowo, nie zamieniło się w czyn.

Byłem jak ów dowódzca widzący przed sobą nieprzyjaciela, który nieostrożnie zanadto posunął się naprzód, ujrzał swój błąd, a nie wié jakim sposobem wycofać się z zagrożonéj pozycyi.

Nie miałem ja najmniejszéj chęci przenieść się do któréj z tych chat, gdzie mnie czekały te same niewygody, te same nieprzyjemności, a gdzie w dodatku oddalenie od opieki Starszyny, narażało me życie na niebezpieczeństwo; ale korzystając z dobrego strategicznego położenia, nie zmieniłem bynajmniéj mojéj taktyki wojennéj.

Nie mówiąc ani słowa, zacząłem zbierać moje manatki i pakować swoje tłumoczki.

Baba stała w środku izby patrząc na te przygotowania z przestrachem podobnem temu, jaki doznaje człowiek który wznieciwszy nieoględnie pożar, widzi ogarniający stopniowo wszelkie przedmioty płomień, żałuje swego postępku, a nie wié jak złemu zaradzić.

Nareszcie odezwała się przytłumionym głosem:

— Co robisz?

— Jak widzisz pakuję rzeczy.

— Na co?

— Wyniosę się do innego mieszkania.

— Cóż tak pilnego? tobie nigdzie nie będzie tak dobrze jak tu.

— Sama mi dom wymówiłaś.

— Wyrzekło się w prędkości, ale ty tak gorąco rzeczy bierzesz...

— Trudno. Czy się wyrzekło z prędkości, czy z zastanowieniem, ale się wyrzekło. Oprócz tego mnie się sprzykrzyły te krzyki, wrzaski, spory, prześladowania, docinki: gdzieindziéj może będę miał więcéj spokojności.

Wchodzący w téj chwili do izby Starszyna, zdziwił się widząc moje przygotowania, a dowiedziawszy się o co rzecz idzie, przyłączył się do żony z przedstawieniem ażebym nadal u nich pozostał.

Uległem niby ich prożbom i pozostałem.

Jakkolwiek od tego czasu więcéj się strzeżono ze mną, a sama nawet gospodyni hamowała częstokroć wybuchy swéj złości, przecież ta zmiana była tylko powiérzchowną, gdyż w istocie czułem, że się tak wyrażę, w powietrzu, które mnie okrążało ciągłą nienawiść, podstępy i złą wiarę. Ludzie jacy mnie otaczali byli mi nieznośni. Sam widok ich obudzał w duszy mojéj wstręt i odrazę — nie było w ich piersiach serc, nie było w ich usposobieniu najmniejszego poczucia sprawiedliwości — tylko dzika zwierzęcość połączona z lisią przebiegłością. Nie miąłem ni jednego kącika, któryby był moim własnym; nieposiadałem oprócz podróżnego mantelzaka żadnego innego schowania: cukier i herbata nikły prawie z przed oczów moich, a wiedziałem, że jak wyjdą moje szczupłe zapasy, nie będę już miał sposobności z nikąd nowych nabyć.

Czasami wychodziłem z chałupy na obszar śniegowy, wśród którego sterczało ośm chat, noszących nazwę wsi; szedłem tak z trudnością brnąc po kolana w śniegu, lub zmęczony usiadłem na zaspie dopóki mnie silny mróz nie wegnał napowrót w moje legowisko. Wycieczki powyższe nie mogły mieć żadnego celu, a tym więcéj przyjemności: wychodziłem, bo szukałem zmiany, czegoś coby oderwało choć na chwilę znękaną myśl od obrazu jaki zawsze miałem przed oczami.

Jednakże i tych wycieczek wkrótce zaniechać musiałem.

Uważałem od niejakiego czasu iż dwaj osiedleńcy, wychodzili prawie zawsze z zajmowanego przez siebie domu, ile razy mnie wychodzącego widzieli. Czasem przybliżali się do mnie namawiając na kieliszek wódki, częściéj zdaleka tylko śledzili moje kroki. Parę razy dostrzegłem zamienione pomiędzy niemi znaczące spojrzenia; udając że się nie domyślam ich zamiaru, zacząłem bacznie uważać wszystkie postępki tych ludzi.

Pomiędzy dziećmi moich gospodarzy, był jeden chłopak trzynasto-letni. Trudno sobie wyobrazić bardziéj odrażającego stworzenia. Rudy, zyzowaty, z twarzą małpią, nosem spłaszczonym przypominał powiérzchownością swoją fantastyczną kreacyję Sue'go z Tajemnic paryża: owego koślawego Tortiliard'a syna Maitredhotel'a i Szuetty. Dusza jego odpowiadała powiérzchowności: był on postrachem nietylko wszystkich dzieci osady ale i własnego rodzeństwa — dręczenie słabszych od siebie i dokuczanie każdemu, stanowiło jedyną jego przyjemność. Gdy nie miał nad kim pastwić się, zadawał bolesne katusze domowym zwierzętom. Matki swojéj jedynie bał się cokolwiek — mnie, od czasu jak go obiłem za wylanie zimnéj wody na pościel, nienawidził.

Otóż dostrzegłem, iż dwaj rozbójnicy mieli od niejakiego czasu z tym chłopakiem dość częste schadzki.

Pewnego wieczora gdym leżał na moim barłogu w kącie izby niemogąc z powodu smutnych myśli, które mnie trapiły—usnąć, zdawało mi się słyszeć lekkie stuknięcie do okna.

Rudy chłopak, który siedział za piecem, zajęty struganiem kawałków drzewa, wyszedł cicho ze swego ukrycia, i obejrzawszy się na mnie leżącego nieruchomie z zamkniętemi oczami, wyszedł na palcach z izby.

Zerwawszy się z posłania poszedłem ostrożnie za nim. Noc była ciemna, ale pomimo mroków panujących do koła miałem czas ujrzyć trzy postacie oddalające się szybko w kierunku jedynego w téj wiosce szynku.

Wziąwszy pistolety do kieszeni, udałem się z największą przezornością za nimi, i jak mogłem najciszéj podstąpiłem pod okno domu, do którego weszli.

Dwaj osiedleńcy i rudy chłopak siedzieli już za stołem; przed nimi stał sztof wódki i napełnione kieliszki. Oprócz szynkarza starego pijaka i znanego złodzieja, nikogo więcéj tam nie było.

Nie mogłem dosłyszeć całéj rozmowy, lecz z dolatujących uszów moich urywków, dorozumiałem się łatwo o co tym ludziom chodziło.

— Widziałeś z pewnością?—pytał jeden z rozbójników.

— Widziałem—odpowiedział chłopak; same papierki czerwone, niebieskie i zielone: będzie tego z piędziesiąt sztuk.

— Sto rubli srebrem, a może i więcéj — dodał drugi.

— Czy nie zostawia ich w mieszkaniu?

— Nigdy, zawsze przy sobie nosi.

Świst wiatru i szum zamrożonego pyłu śniegowego, który sypał się na szyby okna, nie dozwolił mi usłyszyć dalszego ciągu rozmowy.

Po niejakim czasie doleciały mnie następujące, oderwane wyrazy.

„Pistolety nabite... samotna przechadzka... wódki nie pije... zakopać w śniegu... dostaniesz od nas pięć rubli.“

To co usłyszałem było dla mnie dostatecznem. Oddaliłem się więc niepostrzeżony od nikogo i powróciłem do chałupy, postanowiwszy odtąd niewychodzić ani jednym krokiem za próg mieszkania.

Pod tym tylko względem przestrogi Starszyny okazały się sprawiedliwemi. Gdyby pozostała mi jeszcze jakakolwiek wątpliwość, to łaszenie się rudéj poczwary i namawianie wszelkiemi sposobami do użycia świéżego powietrza jasno okazywały, że słyszane w nocy urywki rozmowy, nie były czczą złudą wyobraźni.

Położenie moje nie było wyjątkowem. Zabójstwa trafiają się nader często, prawie codziennie, na Syberyjskich stepach. Wracający po odcierpieniu kary, z przymusowych robót mordercy, z pomocą ciemnéj oddającéj się pijaństwu ludności syberyjskich wiosek, zabijają czasami dla przywłaszczenia sobie lada drobnostki: jednego rubla, butów lub czapki. Od popełnienia zbrodni nic ich ne wstrzymuje — ani wyrzuty sumienia których nie znają, ani obawa kary

która ich dosięgnąć nie może — jeżeli bowiem zbrodnia wykrytą zostanie, jeżeli pomimo znacznych odległości tamujących, a przynajmniéj odwlekających dopełnienie formalnego śledztwa, takowe wkrótce nastąpi, to zostaną skazani do ciężkich robót, a jest dziesięć przeciw jednemu, że im się uda w czasie stepowéj podróży, szukać ocalenia w ucieczce, i zmieniwszy nazwisko przy powtórnym schwytaniu, dostać się znowu za proste włóczęgostwo na osiedlenie w inną gubernię i do innéj wioski. (1).

I czas wlókł się znowu z przerażającą jednostajnością. Nie wychodziłem z chałupy, nie odzywałem się do nikogo: gdy głód dokuczył jadłem co mi podawano — leżałem na swoim barłogu lub siedziałem po całych godzinach, oparłszy głowę o dłonie, w stanie apatyi i odrętwienia graniczących z rozpaczą.

W istocie nie można było nawet w razie zupełnéj swobody ducha niczém się zająć; książek nie miałem, pisać nie mogłem bez wzniecenia podejrzeń otaczających mnie ludzi, a dzień w tych stronach podbiegunowych był nader krótkim. O godzinie trzeciéj po południu już się zupełnie zciemniało; świéc tu nieznano, a dostać ich z nikąd nie było można. Przez godzinę lub dwie przyświécałem sobie drzazgami — potém to chwiejące się światło gasło na kominie; wszyscy około godziny piątéj udawali się na spoczynek, a ja pozostawałem sam w ciemnościach nocnych: sam ze swojemi myślami.

Chciałem sobie dłużéj przyświécać łuczywem, ale mi i tego nie dozwolono, mówiąc że nie należy odróżniać się od innych, i trzeba iść spać wtedy gdy inni spać się kładą; że palenie po nocy drzazek grozi niebezpieczeństwem pożaru, i że z resztą nie mam prawa marnować drzewa, po które do lasu nie jeżdżę i którego rąbać nie chcę.

Nie mogłem nigdy zasnąć przed dziesiątą lub jedenastą

(1) Ten stan rzeczy od lat kilku uległ radykalnéj zmianie. Kryminalni przestępcy obecnie odsyłani zostają na wyspę Sachalin, zkąd ucieczka stała się prawie niepodobną. (*Przyp. aut.*).

wieczorem, przez sześć więc godzin pozostawałem sam jeden, pogrążony w zupełnéj ciemności. Cisza jaka panowała wtedy była straszną — była to cisza podobna spokojowi grobowemu, z tą różnicą, że nieprowadziła za sobą jak grób zapomnienia wszelkiego złego.

Wymówką słabego zdrowia, odpowiadałem na zachęcania do kieliszka, milczeniem pogardy na zaczepki i przycinki pijaków; ale mnie te ciągle powtarzające się kłótnie wrzaski i śpiewy, męczyły i rozstrajały do najwyższego stopnia.

Nie wiedziałem rzeczywiście, co było gorszego, czy cisza i ciemności wieczorne, czy hulatyki i hałasy dzienne. We dnie wśród krzyków i swarów pijących, wzdychałem za spokojem wieczornym — wieczorem zaś pogrążony w cieniach, sam sobie zostawiony, tęskniłem do światła dziennego, w któréj to porze przynajmniéj głos ludzki będę mógł usłyszyć.

Jedną chwilą wytchnienia, było dla mnie kilka godzin snu przerywanego, gorączkowego: w tym czasie przynajmniéj zapominałem o moim nieszczęśliwym losie.

Każdy człowiek chociażby w najgorszem znajdował się położeniu, w braku przyjaciół i życzliwych, znajdzie kogoś przynajmniéj, przed kim poskarżyć się może, z kim podzieli myśli, u kogo znajdzie radę i pomoc moralną. Ja tego wszystkiego nie miałem — ja byłem sam: gorzéj jak sam, bo otoczony ludźmi, dla których czułem pogardę, wstręt i uzasadnioną nieufność.

Ale mi pozostała jedna wielka pociecha — religija, ale miałem w sobie jedyną przyjaciołkę — myśl moją. W religii czerpałem moc ducha, męztwo i nadzieję — do myśli swojéj udawałem się o pomoc i radę, jakim sposobem wyjść z nieznośnego położenia. Myśląc tak i dumając przez długie godziny, utworzyłem pewien zamiar, którego wykonanie i doprowadzenie do skutku wlało w skołataną duszę nieznaną dotąd energię.

Zamierzyłem wydobyć się z pod nieznośnéj opieki moich gospodarzy, bez narażenia swego życia na pewną zgubę, O moich planach nie tylko nikomu nie wspominałem,

ale starałem się odwrócić wszelkie podejrzenia w tym względzie. Doświadczenie nakazywało mi być równie chytrym i przebiegłym jak byli chytremi i przebiegłemi moi prześladowcy.

Pewnego dnia, w chwili bytności u Starszyny innych włościan, usłyszałem jak jeden z nich opowiadał, że wydawszy córkę za mąż do innéj wsi, a niechcąc sam mieszkać, ma zamiar przejść do znajdującéj się opodal chaty syna, a chałupę swoją zamknąwszy szczelnie, pozostawić opuszczoną, aż do czasu, w którym przyjąwszy parobka, będzie mógł na nowo do niéj się wprowadzić.

— Nie mógłbyś mi jéj nająć? — zapytałem od niechcenia.

— A na cóż? — zawoła Starszyna — mięszkać sam jeden nie możesz, bez narażenia swego życia.

— Alboż ja o tém myślę? — odrzekłem dobrodusznie— chociażby nawet i niebezpieczeństwa nie było, tobym i tak od ciebie niechciał się wyprowadzić. Mnie tu tak dobrze, tak spokojnie! — dodałem odgrywając jak mogłem najlepiéj przyjętą przez siebie rolę.

Pomimo chęci i woli, ostatnie wyrazy wymówiłem z takiém szyderstwem, iż gdyby Starszyna nie miał już w głowie siedmiu lub ośmiu kieliszków wódki, poznał by niezawodnie nieszczerość słów moich.

Na szczęście wyziewy alkoholiczne, nie dozwoliły mu dopatrzyć w mowie mojéj niczego innego, jak tylko to co zostało powiedzianem, a gospodyni nie było natenczas w izbie.

— Na cóż więc najmujesz chałupę? — zapytał.

— Pod wieś podchodzą stada wilków, słyszę częstokroć wieczorem ich wycia: chciałbym sobie upolować kilka skór na kożuch. Zasadzić się na nich wśród nocy i zimno i niebezpiecznie; umyśliłem więc najętą chałupę otoczyć wałem ze śniegu, a w téj zasadzce bezpiecznéj i ciepłéj, oczekiwać na dzikiego zwierza.

— A to co innego! — zawoła Starszyna — ja się nawet zobowiązuję za pięć rubli srebrem, opasać nieprzebytym wałem śniegowym całą chatę.

Nadzieja zysku, przygłuszyła w samym zarodzie myśl jakiegobądź podejrzenia.

Włościanin zadowolony z niespodziewanego zarobku, chętnie się zgodził na wynajęcie chałupy.

Nazajutrz, gospodarz mój przy pomocy kilku innych chłopów, wziął się z całą usilnością do ufortyfikowania tego schronienia, nie domyślając się bynajmniéj, iż przeciwko własnym działał interesom.

Wszyscy byli zadowoleni:

Starszyna i jego żona, cieszyli się, że z małym trudem pięć rubli wpłynie do ich kieszeni.

Właściciel chaty, cieszył się, że wynajmuje chałupę, która bez tego nic by mu nie przynosiła.

Dwaj osiedleńcy cieszyli się, że moje wycieczki do przeznaczonego na myśliwską zasadzkę domu, dadzą im nakoniec sposobność wykonania powziętych względem mnie zamiarów.

Ich wspólnik, rudy chłopak, cieszył się, że przyobiecana przez rozbójników nagroda go nie minie.

Ja zaś cieszyłem się, że ich wszystkich potrafiłem wyprowadzić w pole.

Robota, którą sam dozorowałem, postępowała szybko. Wały ze śniegu wysokie na osiem łokci, okoliły chatę i podwórze. Te wały grube i ostro u szczytu zakończone, kazałem polewać wodą, dopóki ich półłokciowa warstwa lodu nie pokryła; wiadomo że w tym klimacie, woda marznie natychmiast, mur więc śniegowy stał się twardym jak opoka, a ślizgość pokrywająca go, połączona z wysokością sprawiły, że stanowił lepszą zaporę, jak wszelkie palisady i fosy forteczne.

W czasie trwania téj roboty, udało mi się zrobić bardzo potrzebny nabytek. Od jednego z chłopów kupiłem za dwa ruble drzwi żelazne. Drzwi te małe, grube z ogromnym kluczem, przypominały powiérzchownością swoją wchodowe zamknięcie grobów na cmentarzach. Jakim sposobem znajdowały się one w posiadaniu chłopa, nie uznałem za stosowne dopytywać; sądzić jednak można było, że piérwotny ich właściciel, przywłaszczył je sobie przy okradaniu gro-

bowych pieczar, który to rodzaj przemysłu, nader często bywa w tych stronach praktykowanym.

Ale w położeniu mojém nie wypadało być nader skrupulatnym.

Wyrąbano odpowiedniéj wielkości otwór w śniegowym murze, opatrzono boki otworu słupami drewnianemi, i drzwi umocowano. Poczém w górze kazałem wyrąbać jeszcze małe okienko, a w bocznych ścianach strzelnice.

Kiedy Starszyna z przybranemi do pomocy sąsiadami, zajęty był ukończeniem téj mniemanéj myśliwskiéj zasadzki, ja ze swéj strony nie traciłem napróżno czasu. U jednego chłopa kupiłem całego zamrożonego wołu, u drugiego takimże sposobem zakonserwowanego wieprza, u trzeciego spory zapas kartofli, marchwi, mąki i innych do życia potrzebnych produktów; a korzystając pewnego razu z chwili, w któréj mój gospodarz wywiązawszy się z żadania, zajęty był sądzeniem jakiéjś sprawy, kazałem mięso zanieść do lochu najętéj przezemnie chałupy, a inne wiktuały do komory. Jednocześnie, zapłaciwszy ma się rozumieć podwójną cenę, zakupiłem i poleciłem znieść na podwórze improwizowanéj fortecy, od jednego z sąsiadów przygotowane na całą zimę do opału drzewo, niezapomniawszy także o innych potrzebnych w gospodarstwie przedmiotach.

Powyższe kupna, dokonywane bez targu, uskuteczniłem tak prędko, że Starszyna jeszcze sprawy nie rozsądził gdy już wszystko było gotowem.

Wtedy głównemu liwerantowi, chłopu który najwięcéj na mnie zarobił, poleciłem zanieść za sobą moje mantelzaki i rzeczy do najętego domu.

— Co robicie? — zawołał na wpół pijany Starszyna, widząc włościan niosących za mną tłumoki.

— Jak widzisz — rzekłem oddalając się szybko — chcę sprobować mojego nowego mieszkania.

— Jakiego mieszkania? — zapyta rozmarzony wódką, wytaczując się za nami z chałupy — to nie jest żadne mieszkanie, to zasadzka na wilki.

— Gwałt! rozbój, ucieczka! — krzyknie jego żona wypadając z rozczochranemi włosami z kuchni.

Ale już było za późno: włościanie wrzucili na podwórze tłumoki, wsunąłem im w ręce należną zapłatę, i wszedłszy do środka twierdzy zamknąłem drzwi żelazne na podwójny spust.

Mój dawny gospodarz i jego żona znaleźli przed sobą nieprzebytą zaporę.

Wtedy wlazłszy na drabinę, uchyliłem znajdujące się u szczytu małe okienko, i spojrzawszy z góry na moich nieprzyjaciół, zapytałem z najzimniejszą krwią w świecie:

— Czego odemnie żądacie?...

Położenie moje było nader dramatyczném. W pośrodku dzikiéj pustyni, w małéj złodziejskiéj osadzie, w fortecy ze śniegu zbudowanéj, znajdowałem się sam jeden przeciwko wszystkim moim prześladowcom: ale oddychałem swobodnie bo wiedziałem, że już mi nic złego zrobić nie są w stanie.

— Czego żądamy? najprzód ja, piérwszy urzędnik téj wioski, zapytuję ciebie jakim prawem okłamałeś nas opowiadając bajki o mniemaném polowaniu na wilki, jakim prawem nieuprzedziwszy nikogo wyniosłeś się z naszego grona?

— Jakiem prawem — dodała jego żona, zgrzytając ze złości zębami, i podnosząc w górę zaciśnięte pięści — wyprowadziłeś tego głupca mego męża, w pole — i otumaniłeś go do tego stopnia, że ci sam jeszcze własnemi rękami budował twoją kryjówkę?

— To ci nie ujdzie tak na sucho! — mruczał zawstydzony Starszyna.

— Będzie śledztwo, będzie sąd, będzie straszna kara!... krzyczała jędza.

Hałas i krzyk zgromadził wszystkich mieszkańców osady, u podnóża improwizowanéj twierdzy. Pijane chłopy, wrzaskliwe baby, obszarpane dzieci, cisnęli się tłumnie koło żelaznych drzwiczek: nie brakło i dwóch osiedleńców, jakotéż rudego ich pomocnika.

Gdy się wrzawa cokolwiek zmniejszyła podniosłem głos:

— Jakiem prawem, pytasz mnie Starszyno téj wioski, wyniosłem się z twojego mieszkania: tém prawem jaki ma każdy człowiek szukania miejsca dogodniejszego dla siebie na przytułek. Za izbę z góry zapłaciłem, miesiąc jeszcze nie upłynął — mogę więc rozporządzać sobą jak mi się podoba. Dlatego zaś nieobjawiłem ci mego zamiaru poprzednio, boś chciwy i chytry: szukałbyś wszelkich sposobów do przeszkodzenia przeprowadzeniu się mojemu, któreby ci nie dozwalało daléj mnie obdzierać. Robotę postawienia śniegowego muru zgodziłem za pięć rubli, które ci dzisiaj przy świadkach wręczyłem. Nikomu nic winien nie jestem i nic od was nie żądam — pozostawcie mnie więc w spokoju.

Starszyna słysząc powyższe słowa, zakłopotał się nieco, a może téż i wyziewy alkoholiczne nie dozwoliły mu zebrać natychmiast myśli, lecz jego żona nie pozostała dłużną w odpowiedzi:

— Żaden osiedleniec nie ma prawa, odłączać się od przeznaczonéj mu na mieszkanie gminy — on na to zesłany, ażeby żył z miejscowemi mieszkańcami, dzielił ich trudy i prace, uprawiał syberyjską ziemię, i przyczyniał się do rozwoju ludności. Dla czego więc zamknąłeś się w swéj wilczéj jamie?

— Dla czego odłączyłeś się od gminy?.. — zapytał ktoś z tłumu.

— Dla czego chcesz być innym jak drudzy?

— Czyś lepszy od nas?

— My na to nie pozwolimy!

— Jest prawo...

Tu już brakło mi cierpliwości.

— Odłączyłem się od was, boście wszyscy bez wyjątku oszusty, złodzieje i pijaki — odłączyłem się od was, bo dla takich ludzi jakiemi wy jesteście, czuć tylko można wstręt i pogardę. Zamknąłem się tu uciekając przed twoją złością babo jędzo, przed waszemi pijatykami szanowni sąsiedzi, przed waszemi zbójeckiemi nożami, koledzy osiedleńcy. Gniewa was to, że mnie niebędziecie mogli daléj obdzierać, gniewa was to, że z was wszystkich zadrwiłem sobie — ale wasz gniew jest dla mnie zupełnie obojętnym. Do siebie

nikogo nie wpuszczę, przez górę lodową nikt nie jest w stanie przeleźć, a skarżyć mnie możecie: i owszem niech zjadą urzędnicy na śledztwo, może przy téj sposobności wyśledzą takie rzeczy, które niejednego z was kłopotu nabawią.

I znowu nastąpiła chwila milczenia.

Najzawziętsza jednak moja nieprzyjaciołka, żona Starszyny, zawołała wkrótce z radością:

— Nie posiedzisz tam długo ptaszku: znajdziemy na to sposób!

I odwracając się do otaczającego ją tłumu, dodała:

— Pamiętajcie, żeby nikt nie ważył się niczego mu dostawiać.

— Chcesz mnie ogłodzić babo — rzekłem — w istocie dobry sposób, tylko na nieszczęście zapóźno o nim pomyślałaś. Mam wszystko czego mi potrzeba.

Włościanie od których zakupiłem zapasy żywności, objaśnili dygnitarce moje słowa.

Tu już wściekłość i gniew upokorzonéj jędzy nie miały granic.

Bezsilna jéj złość objawiła się w złorzeczeniach i przekleństwach. Wymyślała chłopom, wymyślała mnie, wymyślała światu całemu, a nieszczęśliwy jéj mąż stał się kozłem ofiarnym, i za wszystkich odpokutował. Ja zaś zadowolony otrzymanem zwycięztwem, nie czekałem rozwiązania tragedyj, i opuściwszy punkt obserwacyjny stanowiący niejako lożę piérwszego piętra tego stepowego widowiska, cofnąłem się w głąb z takim trudem zdobytych posiadłości.

Napaliwszy w piecu, zająłem się rozpakowaniem moich mantelzaków, urządzeniem mojego małego gospodarstwa, i przygotowaniem strawy.

Jakkolwiek niejeden z pieszczochów losu, który nigdy nie przechodził przez cierniowe drogi żywota ludzkiego, uważałby moje położenie za szczyt nieszczęścia, ja je przyjąłem jako łaskę najwyższego, jako opiekę niebios, i padłszy na kolana podziękowałem z uczuciem najżywszéj wdzięczności Bogu za wybawienie mnie od grożącego zewsząd niebezpieczeństwa.

Każdy człowiek potrzebuje towarzystwa, tęskni za ludźmi, ta samotność w zwykłych warunkach życia jest straszną i trudną do przeniesienia — lecz tu było zupełnie co innego: tu odosobnienie stało się potrzebném, koniecznóm, i stanowiło jedyny środek wyjścia z nieznośnego położenia.

W rozmaitych przejściach nieszczęśliwego mego losu, nie doświadczyłem nigdy tego co mnie spotkało w tych dzikich stepach. Dotąd bowiem otoczony zawsze byłem ludźmi z chrześciańskiemi pojęciami, którzy pełniąc przyjęte na siebie obowiązki, umieli sposobem wzięcia się złagodzić przykrość położenia: jedno nic, jedno słówko życzliwe, jedno spojrzenie sympatyczne, bywało niekiedy nieocenionym skarbem dla tego, który straciwszy wszystko, chwytał każdą złudę jako obronę przeciwko rozpaczy i zwątpieniu.

Tu nic podobnego nie istniało, tu w miejscu ludzi była dzicz bez serca, bez uczuć, bez litości nawet — nie mająca z człowiekiem nic wspólnego prócz kształtów jego.

Kto więc wejdzie w okropność poprzedniego położenia mego, ten pojmie radość jakiéj doznałem oswobodziwszy się z ich opieki. Oprócz tego instynktowo czułem grożące mi niebezpieczeństwo, znajdując się w pośrodku téj czerni. Byłem pewnym, że prędzéj lub późniéj, dwaj rozbójnicy z pomocą rudego powiernika, lub ktokolwiek inny z mieszkańców osady przy lada zapomnieniu, lub nieostrożności z méj strony, wykona zbrodniczy zamach na życie moje. Śmierć mnie nie zastraszała, owszem, bywały chwile, w których z przyjemnością myślałem o możliwości zakończenia cierpień moich — ale widzieć nad sobą, niby miecz Damoklesa, w każdéj godzinie dnia i nocy, wzniesiony nóż zabójczy, staje się trudną do wypowiedzenia męczarnią. A jam zdołał uniknąć tego wszystkiego i siłą własnéj woli bez niczyjéj pomocy, wydostać się z domowéj niewoli Starszyny, i niebezpiecznego towarzystwa moich sąsiadów.

Było więc z czego radować się, było za co dziękować Najwyższemu!

Urządziłem się w mojém nowém mieszkaniu jak mogłem najlepiéj. Pamiętając o tém, że sam sobie starczyć muszę, że nie mam nikogo do pomocy — postano-

wiłem rozkład całodziennych zatrudnień. Napalenie w piecu i przyrządzenie strawy, zajęło cały ranek. Posiliwszy się odpoczywałem cokolwiek, a wieczorem skracałem długie i jednostajne godziny, przygotowując zapasy rąbanego drzewa, rozstapiając śniég na wodę do picia, samowaru i gotowania. Wszystkie te prace wykonywałem z ochotą, bo one wypływały z własnéj woli nie zaś z przymusu. Rozrywkami mojemi było kilka książek i talia kart: ażeby nie pochłonąć od razu szczupłego zapasu umysłowéj pociechy, postanowiłem sobie nie przeczytać więcéj jak pięć stronnic dziennie. Czytałem wolno, zastanawiając się nad każdym peryodem, rozbierając każdą myśl zawartą w książce, dopełniając ją własnemi uwagami, a tym sposobem kilka stronnic zajmowały mi parę godzin czasu. W końcu doszedłem do przekonania, że tym sposobem czytane, a lepiéj powiedzieć studyjowane dzieło, prawdziwy i rzeczywisty dla umysłu może przynieść pożytek.

Posiadana talia kart była niewyczerpanym skarbem. Ciągnęłem wszystkie znane mi passyanse, wymyślałem nowe, tworzyłem przeróżne kombinacye.

Gdy przeszedł czas naznaczony do rozrywek, brałem się do modlitwy.

Nieszczęśliwi tylko i opuszczeni od ludzi, pojąć i zrozumiéć mogą jaką pociechę wlewa wiara w serce człowieka. Ona ukrzepia i umacnia ducha, który inaczéj zgiął by się pod brzemieniem przygniatającego go ciosu — ona obdarza go najwyższem dobrodziejstwem: nadzieją — ona nakoniec każe znosić wszelkie cierpienia bez szemrania, z poddaniem się wyrokom opatrzności.

Człowiek nie posiadający wiary, jest dwakroć nieszczęśliwym: i przez samo nieszczęście, i przez męczarnie jakie się wyradzają w oschłem ze źródeł miłości sercu.

Modlitwa z głębi ducha płynąca, jest to rodzaj rozmowy ze swoim Stwórcą. Ja wtedy nie byłem sam na świecie, ja czułem obok siebie tajemną i niewidzialną obecność Boga: każdą dobrą myśl, która zajaśniała w méj głowie przyjmowałem z wdzięcznością jako nowy dowód Jego łaski, ku podniesieniu mego jestestwa zesłany, a wszystko co

dotąd przeszedłem, wszystkie udręczenia, które mnie jeszcze w przyszłości czekały, uważałem za potrzebną próbę do udoskonalenia się wewnętrznego i poprawienia z wad i błędów służącą.

Niektórych modlitw i pieśni nabożnych nauczyłem się na pamięć. Prostota ich odpowiadała najzupełniéj mojemu usposobieniu — gdyż ja nieunosiłem się na skrzydłach wyobraźni, ale żyjąc życiem czynu, rzeczywistością codziennych, materyalnych zajęć, naginałem i ducha swego w ten obręb małego światka mych zachceń i potrzeb.

I byłem sam—i żadne oko nienawistne, nie śledziło moich kroków lub czynności, żadne podejrzliwe zapytanie nie przerywało moich dumań, żadne złowrogie zasadzki nie groziły mi niebezpieczeństwem.

Dziękowałem Bogu za tę samotność.

Tymczasem upływały godziny nie przynosząc żadnéj zmiany w mojém położeniu. Dwa tygodnie minęło od chwili, w któréj odłączyłem się dobrowolnie od wszelkich żyjących istot, a ja nietylko nigdy nie żałowałem tego com uczynił, lecz nawet powoli zacząłem się przyzwyczajać do swojego losu. Zapasy żywności jakie posiadałem na długi czas mogły wystarczyć — ciągły mróz potrafi ochronić mięso od zepsucia; ale na nieszczęście nie we wszystkiem byłem tak bogatym: szczupła ilość tytoniu nakazywała nader oszczędnie obchodzić się z tym przedmiotem umilającym samotne chwile — dla tego więc bardzo rzadko pozwalałem tobie rozkoszy palenia fajki. Zajęty domowem gospodarstwem, niekiedy tylko udawałem się do obserwacyjnego okienka, ażeby wyjrzéć co się dzieje na świecie. Bo i jakiż widok mnie tam czekał? Step śniegowy, osiem chat i pijackie krzyki ludzi, którzy w tych chatach mieszkali! Bezporównania lepsze to *Omnia mea* ta chałupa na wpół w ziemię zapadła, to małe podwórko ze stajenką, gdzie chowam drzewo i sprzęty gospodarskie — i te ogromne mury ze śniegu, które mnie oddzielają od reszty świata.

Czasami jednak gdy spojrzę na białe, wysokie i ostro zakończone wały, przychodzi mi do głowy myśl straszna:

Ja się boję wiosny!

Wiosna, pod któréj dobroczynnym wpływem wszystko ożywia się, rośnie i cieszy, — w któréj przyroda w świeże przybrana szaty lśni szczęściem i rozkoszą, w któréj każde stworzenie oddychające aromatycznym balsamem eteru, podnosi dziękczynny głos do Stwórcy, dla mnie jednego na całym świecie wyradza wprost przeciwne uczucia.

O bo ja myślę wtedy, że te promienie słońca niosące dla każdego pociechę i szczęście, roztopią mur dobroczynny, i otworzą złowieszczéj czerni wchód do mego tymczasowego schronienia.

Ale staram się wszelkiemi siłami oderwać myśl od podobnego przypuszczenia, ażeby nie zatracić téj mocy ducha, téj energii zaczerpniętéj w ciągłéj walce z losem, jakie mnie dotąd utrzymują. Wszakże do wiosny daleko jeszcze — zima w tych stronach podbiegunowych trwa długo, a przéz ten czas wiele rzeczy zmienić się może.

Miejmy więc nadzieję. Bóg który pamięta o najdrobniejszem stworzeniu, który rozciąga opiekę swoją na zaledwie dojrzane okiem ludzkiém żyjątka, miałżeby o mnie jeddym zapomnieć?

Umocniony na duszy wiarą w wszechwładną opatrzność, powracałem do zatrudnień, które z mechaniczną jednostajnością następowały jedne za drugiemi. Były one koniecznemi warunkami materyalnego bytu, a ta konieczność właśnie sprawiała, że niechcąc w żadnym razie uchylić się od nich, pracowałem częstokroć w pocie czoła, i pracą tą zagłuszałem smutne, cisnące się gwałtownie do głowy myśli, jakieby może przy innych okolicznościach doprowadzić mnie mogły do rozpaczy i zwątpienia.

I znowu przeszedł tydzień. Cisza jaka tu panowała, przerywaną zostawała wieczorem szczególnego rodzaju muzyką:

Była to serenada, którą mi dawali mieszkańcy tych śnieżnych przestrzeni: zgłodniałe syberyjskie wilki.

Jakkolwiek jestem w ogólności zwolennikiem muzyki, a część jéj wokalną przekładam nad wszelkie instrumentalne wykonanie, tym razem jednak stepowy koncert nie mógł mnie zadowolnić. Owo przeciągłe, żałosne, i jednostajne

wycie rozlegające się pośród ciszy nocnéj, niewypowiedzianie przykre obudzało uczucie. Nastrojona do przejmowania smutnych wrażeń wyobraźnia, przedstawiała moje schronienie jako wielki grób, a przeraźliwe głosy tych mieszkańców pustyni, jak pieśń pogrzebową wykonaną nademną, odłączonym od całego świata żyjącym trupem. Próżno starałem się oddalić myśl swoję od tych obrazów, próżno próbowałem otrząść ducha z prześladujących go widziadeł: piekielna owa muzyka działająca na rozgorączkowane usposobienie, na rozstrojone cierpieniem nerwy, pogrążała mnie zawsze w pełne goryczy dumania. Samotność, któréj poszukują częstokroć szczęśliwi dla swobodnego popieszczenie się ze skarbami miłych wspomnień, może być wtedy tylko znośną dla uciśnionych, jeżeli ci zdołają oddalić od umysłu swego niebezpieczne podszepty wyobraźni; ale zwykle, pomimo wszelkich usiłowań, zewnętrzne wrażenia stają się podnietą do rozbudzenia uśpionéj myśli, iskrą wzniecającą ogień imaginacyi, tym silniéj wybuchający, z im większem staraniem zatajony był w tajnikach duszy.

Po kilkunastu dniach powtarzające się peryodycznie co noc wycia wilków, stały się dla mnie niepodobnemi do zniesienia.

Zniecierpliwiony do najwyższego stopnia, wziąłem pewnego wieczora fuzyę do ręki i poszedłem walczyć z tymi nowymi nieprzyjaciołmi méj spokojności.

Przybliżywszy się do wału, wyjrzałem przed jeden z wązkich podłużnych otworów wyrąbanych w lodzie. W piérwszéj chwili, przyzwyczajone do światła ogniska kominkowego oczy, nie mogły niczego w pośród białéj przestrzeni rozeznać. Potém dopiéro, stopniowo rozróżniłem na śnieżnym obszarze przesuwające się białe postacie. Wilków znajdowało się tam ze sześćdziesięciu: jedne chodziły wolno wąchając po ziemi, inne usiadłszy na tylnych łapach i podniósłszy łby do góry, wyły przeraźliwie; wszystkie były sporego wzrostu, siwawe, z oczami świecącemi jak rozpalone węgle.

Wysunąłem lufę przez otwór, zmierzyłem do najbliżéj

siedzącego, padł strzał, — zwierz podskoczywszy w górę potoczył się po śniegu, drgając śmiertelnemi ruchy.

Nastała chwila ciszy, umilkły wycia i skowyczenia, a dzikie zwierzęta zdziwione tą zuchwałą zaczepką, starały się odgadnąć niewidzialnego nieprzyjaciela.

Owa spokojność jednakże nader krótko trwała.

Nagle cała gromada rzuciła się na wał, ale próżne były ich usiłowania—warstwa lodu stała się dla mnie obroną: po ślizgiéj, gładkiéj i twardéj jak zwierciadło powiérzchni okopu zsuwały się ich pazury.

Doprowadzone do wściekłości zwierzęta tą przeszkodą, podwoiły ataki, i niezrażone niepowodzeniem próbowały szalonymi skoki dostać się na wiérzch lodowego muru—przy największym jednak rozpędzie nie zdołały tego dokonać.

Tymczasem nabiwszy broń wypaliłem raz jeszcze.

Za rozpraszającym się po wystrzale dymem, ujrzałem jednego z wilków, który wlokąc z trudnością swoje cielsko na trzech łapach, napełniał powietrze żałosnemi jęki. Jego towarzysze widząc, że dalszy pobyt w tych miejscach jest dla nich niebezpiecznym, a zemsta w téj chwili przynajmniéj niepodobną do wykonania, oddalili się szybko.

Ja przemyśliwałem jakim sposobem dostać ciała poległych wrogów, bo i drugi uszedłszy kilkadziesiąt zaledwie kroków, rozciągnął się na śniegu — ale zamiar mój był trudnym do wykonania. Wyjść na chwilę z obronnéj pozycyj, i korzystając z cieni nocnych przywlec zabitych, byłoby niczém, gdyby nie ta okoliczność, że opodal w odległości, mniéj więcéj dwóch strzałów, wzrok mój przyzwyczajony do ciemności nocnéj, rózróżnił najwyraźniéj snujące się pastacie dzikich zwierząt, które zapewne instynktowo oczekiwały na moją wycieczkę. Gdybym wyszedł, wilki rzuciły by się niezawodnie na mnie i rozszarpały na sztuki. Chęć posiadania miękkich i ciepłych ich futer, nie była do tego stopnia posuniętą, żeby pozwalała wystawiać swe życie na oczywistą zgubę.

Wiedząc że one jako przezorne z natury, nie ośmielają się nigdy przy świetle dziennéym zbliżać do mieszkań ludz-

kich, umyśliłem czekać do jutra dla zabrania łupów mojego nad nimi zwycięztwa, i porzuciwszy pole walki udałem się na spoczynek.

Nazajutrz równo ze świtem, udałem się w to samo miejsce, i spojrzałem przez otwór — lecz któż zdoła opisać zadziwienie jakiego doznałem, nie ujrzawszy na pustym obszarze, zabitych wczorajszéj nocy przezemnie zwierząt. Gdyby nie ślady krwi na śniegu, mógłbym sądzić, że całe to zdarzenie było tylko grą rozmarzonéj wyobraźni. Z początku sądziłem że oddalające się wilki zawlekły ze sobą poległych, ale wkrótce przekonałem się, iż przyczyną ich zniknięcia był całkiem inny powód. Ślady stóp ludzkich, wyciśnięte na śniegu, pokazywały jasno, że moi sąsiedzi, włościanie osady, usłyszeli wystrzały, zbadali ich przyczynę, i przywłaszczyli sobie trofea wojenne.

Sic Vos non Vobis.

Jest to zwykła i niezachwiana koléj rzeczy na tym świecie.

W kilka dni po tém zdarzeniu, zaszedł w dziejach smutnego mojego życia wypadek niezwykły,—wypadek, którego możliwości nigdy dotąd nie przypuszczałem.

Zjawił się u mnie gość niespodziewany! Czy pojmujecie kochani czytelnicy ile w tym jednym wyrazie mieści się domniemań, wniosków, i przypuszczeń? Gość w téj pustyni, w podobném zamknięciu i odosobnieniu, jest wypadkiem tak dalece wychodzącym ze zwykłego trybu przyjętego przezemnie życia, iż należy wyjaśnić szczegółowo, co dało powód temu nadzwyczajnemu zjawieniu.

Rzecz się tak miała.

Starszyna rozgniewany że go potrafiłem wyprowadzić w pole, podburzony do tego przez żonę, podał na mnie zażalenie do Urzędu gminy. Jaką była osnowa téj skargi zgadnąć łatwo: starano się przedstawić postępowanie moje w niekorzystném świetle, rzucając podejrzenie iż mam zamiar chronienia się ucieczką. Zarząd gminy otrzymawszy podobne ostrzeżenie, nie mógł inaczéj uczynić jak przysłać na wyśledzenie prawdy jednego z kancelistów. Ta to wła-

śnie osobistość przybywająca w urzędowym charakterze, była owym niespodzianym, nieoczekiwanym przezemnie gościem.

Dowiedziawszy się przez otwór służący mi do kommunikacyi ze światem o co rzecz chodzi, wpuściłem nowo przybyłego do wnętrza śniegowéj twierdzy, zamykając Starszynie, który także starał się wtłoczyć w obręb moich posiadłości, żelazne drzwi przed nosem.

Opowiedziałem w krótkich słowach pomocnikowi pisarza cały bieg wypadków, objaśniłem swoje położenie, niepomijając opisu wszystkich męczarń jakie znosić musiałem mieszkając u Starszyny, jakotéż niebezpieczeństw, które mi groziły od czyhających na moje życie rozbójników. Przedstawiłem że prawo pozwala każdemu z zesłanych żyć jak mu jest dogodniéj, czy to w towarzystwie czyli téż w samotności; dodając że mięszkanie w odosobnieniu a żądza ucieczki, są to rzeczy wprost sobie przeciwne i nie mające pomiędzy sobą najmniejszego związku.

Przysłany kacelista przekonawszy się o gruntowności przytoczonych przezemnie dowodów, a więcéj może wzruszony odpowiednim upominkiem, jaki osądziłem za stosowne dla poparcia mojego rozumowania go obdarzyć, przyznał mi zupełną słuszność, piorunując na Starszynę, jego żonę, rozbójników, i przysięgając że przedstawi zwierzchnika osady do kary za zrobienie fałszywego raportu o mojem postępowaniu.

Poradził mi również napisać ze swéj strony podanie po urzędu gminnego, żądając przeniesienia w inne dogodniejsze miejsce. Jestem przeciwnikiem wszelkich proźb, skarg i zażaleń; ażeby jednak nie pominąć dobréj sposobności wydobycia się z nieznośnego położenia, napisałem podánie ale zupełnie innéj treści.

Nie uskarżałem ja się na swój los, nie prosiłem o przesiedlenie do drugiéj wsi, lecz żądałem na mocy prawa, które obowiązane jest czuwać nad życiem każdego człowieka, o dodanie odpowiedniéj straży mającéj zadanie zasłonić mnie od grożącego niebezpieczeństwa.

Przedstawienie to w energicznych wyrazach streszczone

wręczyłem nowo przybyłemu, który zobowiązał się złożyć je gminie.

Człowiek jest istotą stworzoną do wspólnego życia. Zdawać by się mogło że w tych pustyniach, pomiędzy ludźmi na wpół dzikiemi, niemającemi najmniejszego pojęcia o wzajemnych stosunkach społecznych, których uczucia skrystalizowane podbiegunowym mrozem nie są w stanie rozwinąć się, najlepszą byłaby samotność — a przecież tak nie jest. Natura dopomina się praw swoich, człowiek tęskni do człowieka, pragnie jakiegokolwiek bądź towarzystwa, które chociaż niewystarczające, pokrzepia go przynajmniéj tą myślą, iż nie sam jeden istnieje na świecie.

Ja sam pragnąłem samotności, a nawet zdobywszy ją sobie z takim trudem, byłem z niéj zadowolonym. Chociaż częstokroć tęsknota opanowywała me serce, nie żądałem nigdy powrócić w grono ludzi przeznaczonych mi losem za towarzyszy; ale niechęć moja nie była niechęcią do świata ani téż mizantropią: ona wypływała z uczucia niewypowiedzianego wstrętu, jaki otaczająca mnie czerń na moim umyśle wywarła. Ujrzawszy człowieka, który nie należał do rzędu moich prześladowców, jakkolwiek człowiek ten był prostym i nieokrzesanym, doznałem prawdziwéj radości.

Poiłem się dźwiękiem jego głosu, chwytałem chciwie każdy wyraz wymówiony, starałem się nastroić ducha do pojęć i wyobrażeń mojego gościa — a jednak głos ten był ochrypły, wyrażenia nie estetyczne, pojęcia zacofane. Ja tego nie widziałem. Owa twarz gruba, nabrzękła, o czerwonym nosie, szerokich głupowato śmiejących się ustach, była dla mnie miłą i sympatyczną, owe ruchy niezgrabne, ociężałe, miały w oczach moich pewien powab naiwnéj prostoty; a nakoniec owe częste przekleństwa, mieszające się mimowolnie ze zwrotami każdéj jego rozmowy, sprawiały wrażenie szorstkiéj wprawdzie, lecz wesołéj humorystyki.

Zastanawiając się późniéj nad uczuciem zadowolenia jakiego po przybyciu tego człowieka w moje ustronie doznałem, pojąłem jakim sposobem ludzie, młodzi szczególniéj, żyjąc długo w nieodpowiedniéj do ich początkowego wy-

chowania sferze, zatracają stopniowo wszystkie cechy powierzchownéj grzeczności i obycia się ze światem. Samotność jest tak straszną, potrzeba towarzystwa tak konieczną dla każdego człowieka, iż niemający wyboru bierze to co jest, a naginając pierwiastkowe swoje usposobienie do pojęć tych którzy go otaczają, niespostrzega się iż po upływie niejakiego czasu, stanął z niemi na równi.

Przejęty opisanemi powyżéj wrażeniami, starałem się wszelkimi sposobami zatrzymać jak najdłużéj u siebie pożądanego gościa, ale obowiązki, których się podjął, nie pozwoliły mu dłużéj pozostać.

Odjechał więc—a samotność do któréj począłem już poprzednio powoli przywykać, stała się dla mnie nieznośniejszą; cisza otaczająca mnie przyjęła charakter bezwarunkowego, grobowego milczenia. Uczułem w głębi duszy smutek którego wprzódy nie znałem, zniechęcenie jakie nigdy dawniéj nie bywało moim udziałem.

Wziąłem się do zwykłych zatrudnień i zajęć, a nic mi nie szło tak składnie jak wprzódy. Ochrypły i przepity głos kancelisty, rozlegający się przez kilka godzin w mojem ustroniu, przypomniał mi świat i ludzi od których się odłączyłem, i poruszył na nowo drzemiące wspomnienia w głębi mojéj duszy. Cofnąłem się myślą w przeszłość tak pełną odczarowań i cierpień, ale w któréj przynajmniéj żyłem i działałem. I zamęt wiosny młodocianego życia, i próby literackie, i podróże po odległych krajach, i śmierć drogich sercu memu osób, i okrutne ciosy przeznaczenia, widziałem jasno, wyraźnie. Kilka chwil szczęścia, z długiemi latami cierpień, nadzieje ze zwątpieniem, troski ze złudnemi błyskotkami marzeń — a nakoniec owa ciągła walka z zawistnym losem, który mnie zawsze i wszędzie prześladował — wszystko to zmięszawszy się w jeden chaos przesuwało się w mojéj wyobraźni; najdrobniejsze szczegóły ubiegłego żywota, stanowiące niejako bolesny przedwstęp do strasznego epilogu, stanęły przed mym umysłem żywo, niemal dotykalnie. Smutne one były: dwie anielskie istoty czułą matkę i cnotliwą towarzyszkę życia Bóg zabrał do siebie... Dziś wypadki te przeszły, zniknęły i stały się tylko ubie-

głem wspomnieniem, a jednakże wtedy jabym z rozkoszą zamienił obecność na najsroższe cierpienia, aby tylko żyć, poruszać się i czuć jak czują drudzy ludzie.

Może znalazłaby się w obojętnym tłumie choć jedna istota litująca się nad mém nieszczęściem! Doznane współczucie jest jak balsam przyłożony na niepodobną do wyleczenia ranę: nie goi jéj ale zmniejsza męczarnie.

Tu można swobodnie cierpiéć, jęczyć, rozpaczać, a nikt nie domyśli się cierpienia, jęku nie usłyszy, rozpaczy nie odgadnie—można ledz w niemocy, a nikt nie poratuje, umrzéć, a śmierć przyjdzie niepostrzeżona.

Czasami stanie mi na myśli fantastyczna kreacya Dumas'a w powieści „Hrabia Monte Christo.“ Położenia Dantona oderwanego od wszelkich żyjących istot i zamkniętego w podziemiach zamku If, było podobném pod niektóremi względami do mojego obecnego położenia; przecież i ten nieszczęśliwy, nie widząc do koła siebie nic oprócz czterech wilgotnych ścian swojego więzienia, potrafił przebić grób granitowy i wyszukać sobie przyjaciela.

Przyjaciela!... jakże ten wyraz brzmi słodko, dźwięcznie, rozkosznie!

Ale mógłżebym iść kiedykolwiek za jego przykładem? Po za czterema ścianami lodu, jakie mnie otaczały był świat, żyli ludzie; wstępu do tego świata nikt mi nie wzbraniał a jednak wyjść ztamtąd nie mogłem...

Trzeba więc poddać się smutnemu losowi, otrząść umysł z wszelkich zadumek tyle zgubnych w samotności, i wziąść się do mechanicznéj pracy, jedynego środka zdolnego zagłuszyć rwącą się naprzód myśl rozbolałą.

Ująwszy siekierę zacząłem rąbać drzewo. Rąbałem zawzięcie: szczapy pękały pod uderzeniem żelaza, wióry pryskały na wszystkie strony, rozlegający się trzask przerywał ciszę wieczorną. Siły ustawały, pot oblewał moje czoło, a ja rąbałem ciągle, rąbałem z dziką energią, z wściekłością, zapominając o wszystkiem co mnie otaczało... nareszcie siekiera wysunęła się z rąk moich, a ja osłabiony, bezsilny, upadłem na podłogę bez przytomności.

Jak długo pozostawałem w tym stanie omdlenia, niewiem. Gdym przyszedł do siebie, już słońce wysoko podniosło się na horyzoncie.

Czułem nieznośny ból głowy i silną gorączkę—chciałem powstać z miejsca, nie mogłem: zaledwie z wielką trudnością zdołałem się zawlec na moje posłanie.

Choroba zaczęła szybko rozwijać się. Przyszło mi na myśl że może nadejdzie chwila, w któréj wcale nie będę się mógł ruszyć z mojego posłania: przywlokłem więc do siebie kubeł wody i kilka bochenków chleba.

Tym sposobem zabezpieczyłem się od śmierci głodowéj.

Pomocy żadnéj znikąd mieć nie mogłem. Gdybym nawet był w możności uwiadomić o moim stanie ludność osady, to i tak nieuczyniłbym tego. Widząc co się ze mną dzieje, doprowadzili by oni poprzednie swoje zamiary do skutku.

Skonać pod nożem albo być zamorzonym głodem—dwie ostateczności!

Jednak i wybór był tu niepodobnym. Głosu w piersi nie stało, a gdybym potęgą wysilenia zdołał wydobyć z siebie krzyk wzywający o ratunek—niktby mnie nie ułyszał.

Podburzone gorączką myśli cisnęły się gwałtownie do głowy; w czasie choroby, któréj długości trwania niepodobna mi było oznaczyć, tysiące obrazów, niby szereg widm, przemknęło się przed zemdlonemi powłoką zbliżającéj się śmierci oczami. W tym chaosie poplątanych wrażeń, dwie myśli górujące nad innemi przejmowały mnie strachem:

Jedną z nich było wspomnienie o ukochanych dzieciach które zostaną wkrótce sierotami, drugą obawa skonania bez religijnéj pociechy.

Ale nie miałem na to żadnego środka: walczyć przeciwko przeznaczeniu jest rzeczą niepodobną. Ułożyłem się więc na swojem posłaniu, i oczekując skonu westchnąłem gorąco do Boga.

I Bóg miłosierny ulitował się nademną. Po bardzo długim przeciągu czasu, w przebiegu którego nieprzytomny, bezwładny, pozostawałem między życiem i śmiercią, uczułem powracające zdrowie. Reakcya ta objawiła się gwałtowném

uczuciem głodu. Rzecz prosta: w rzadkich peryodach chwilowéj przytomności, posilałem się tylko chlebem maczanym w wodzie z topionego śniegu.

Trzeba było myśléć o przygotowaniu sobie jadła.

Próbowałem podnieść się, ale tego niępodobna mi było dokonać.

Ludzie otoczeni wygodami życia mogą chorować swobodnie, gdyż są pewni, że zawsze znajdzie się w pobliżu ktoś, pamiętający o ich potrzebach. Opuszczonemu od całego świata niewolno zbyt długo przeciągać swojéj słabości. On pomimo chęci i woli musi podnieść się na nogi: potrzeby życia dodadzą mu sztucznéj siły, jeżeli naturalną utracił.

Nie mogąc wstać zawlokłem się do komina: leżało tam trochę pozostawionych wprzódy zapasów żywności—wiązka rąbanego drzewa, kûbeł wody. Chociaż ż trudnością i wysileniem, zdołałem zgotować sobie ciepłą strawę.

Pokrzepiony, uczułem się silniejszym. Nowa otucha wstąpiła w moje serce; padłszy więc na kolana podziękowałem Najwyższemu za swoje ocalenie.

Od téj chwili, z każdym dniem czułem ukrzepiające się zdrowie. Rekonwalescencya, ten peryod przejścia z choroby do zupełnego wyzdrowienia, była mi zupełnie nieznaną—walka o byt ją zastąpiła.

Może to i lepiéj. Gdyby u wszystkich twarda konieczność stanęła po wyjściu z choroby przy łożu, nie byłoby tego licznego szeregu cierpiących, w których osłabienie długiém leżeniem i bezczynnością spowodowane, potęguje się wybrykami niezajętéj niczém wyobraźni.

Po kilku dniach, zupełnie przyszedłem do siebie; ale straciwszy rachubę czasu, niemogłem rozróżnić dni tygodniowych.

A dnie płynęły znowu jeden za drugim ze zwykłą jednostajnością. Wkrótce los litując się nad moją niedolą zesłał mi towarzysza.

Był to mały, czarny piesek, który pewnego razu uciekając zapewne przed prześladowaniem swojego pana, jednego z włościan osady, przybiegł skowycząc przed żelazne drzwi moich okopów, jak gdyby prosząc się o przyjęcie w gościnę.

Otworzyłm z radością wejście biednemu stworzeniu, którego położenie było tak podobném do mojego: a zwierzę odpłaciło daną mu opiekę ową wdzięcznością i przywiązaniem, jakich próżno by szukać pomiędzy ludźmi.

Nazwałem go „Ami,“ był to bowiem jedyny mój przyjaciel, jedyna istota dzieląca moją samotność. Znajdowałem niewypowiedzianą przyjemność patrząc na pląsy i skoki, które wyprawiał, jak gdyby pragnął żywością swoją rozweselić mój smutek. Radowały mnie jego łaszenia się i oznaki przywiązania; czasem w zapomnieniu odzywałem się do niego niby do istoty zdolnéj mnie zrozumiéć, a piesek na dźwięk głosu odpowiadał wesołem szczekaniem.

O! jeżeli ktokolwiek z was mili czytelnicy moi, wzruszył ramionami na widok przywiązania podżyłych a osamotnionych niewiast do bezrozumnych istot—źle uczynił: nie szydźcie lecz litujcie się raczéj nad podobnemi objawami. Wielką musi być niedola serca, które nie znalazłszy nigdzie skarbów uczucia, zawarte samo w sobie, zmuszoném zostało w przyjaźni zwierząt szukać ułudy zawiedzionych nadziei!

Minęło znowu kilka tygodni—wszystko szło zwyczajnym, jednostajnym trybem.

Pewnego dnia, słońce wznoszące się coraz wyżéj na horyzont, zaczęło silniéj jak zwykle dogrzewać: ptaszki świergotały wesoło witając pierwszy objaw zbliżającéj się wiosny, powietrze tchnęło ową orzeźwiającą wonią stanowiącą niejako przedwstęp do odrodzenia natury. Wystraszony temi oznakami pobiegłem do moich okopów: mur lodowy stał twardy i niewzruszony, ale po gładkiéj i ślizgiéj jego powierzchni spływały krople wody. Ze smutkiem, z boleścią patrzyłem na tyle naturalne działanie ciepła, a owe kropelki staczające się powoli ku ziemi, wydały mi się być błyszczącemi łzami... Stałem tak długo zadumany nad moim losem, gdy nagle rozległ się przytłumiony trzask pękającego lodu—spojrzałem: u samego szczytu ostro zakończonego wału widniała wązka szparka!

Można się było spodziewać podobnego rozwiązania, ale czyliż ono tak prędko nastąpić miało?

Wszystko co dotąd przeszedłem było niczém w porówna-

niu z wrażeniem trwogi, jaką ten widok we mnie obudził. Pomyślawszy o tém co mnie czekać może, gdy promienie słońca roztopią dobroczynną przegrodę, doznałem uczucia graniczącego z rozpaczą.

Wyobraźnia wyrodziła w mojéj myśli cały szereg scen krwawych, dzikich, okropnych...

Niezagłębiajmy się lepiéj w przyszłość!

I powróciłem smutny do mojéj chaty. Mimowolnie pochwyciłem broń w rękę, i jąłem starannie ją oglądać.

Nie mogłem na podobnie słabym środku obrony opierać nadzieję ocalenia, a jednak widok zabójczego narzędzia rozbudził we mnie słabnącą moc ducha.

Przynajmniéj drogo przyjdzie się sprzedać życie!

Jeszcze niewypuściłem z dłoni nabitych pistoletów, gdy nagle jakiś hałas powstały z zewnątrz okopów, zwrócił moją uwagę.

Był to dźwięk głosów ludzkich połączony z brzękiem dzwonków pocztowych, i silném stukaniem do drzwi żelaznych.

W jednéj chwili znalazłem się przed wejściem do mojego ustronia.

O radości! o szczęściu!... osoby które ujrzałem wysiadające z sanek byli to urzędnicy — opodal dwóch kozaków przywiązywało do płota swe konie.

Żadna gwiazdka błyszcząca na ciemnym widnokręgu niebios, i wskazująca zbłąkanemu podróżnemu kierunek zagubionéj drogi, nie napełniła jego serca takiem zadowolnieniem, jakie we mnie wyrodził widok gwiazdek świecących na mundurowych czapkach moich wybawicieli.

Rozwiązanie drammatu nastąpiło szybko.

Przysłani w skutek raportu zwierzchności gminy do wyższéj władzy urzędnicy na śledztwo, przeprowadzili takowe sumiennie, sprawiedliwie i energicznie.

Dwaj osiedleńcy, na których silne ciężyły podejrzenia złych względem mnie zamiarów, zostali przeniesieni do innéj wioski, pod blizki nadzór czuwającéj nad bezpieczeństwem mieszkańców zwierzchności; Starszynę za niedołęztwo, fałszywe przedstawienie moich czynności przed urzędem gmin-

nym, usunięto z zajmowanego przez niego stanowiska, mnie zaś dla zasłonięcia nadal od podobnych przejść, dozwolono mieszkać w ludnéj i bogatéj wsi Bałachcie.

Z jednym z moich wybawicieli panem R*** zawiązałem stosunki serdecznéj życzliwości. W różnych okolicznościach dalszego mojego życia, miałem sposobność spotykać go często, a zawsze prawość jego charakteru i szlachetność uczuć, zasłaniały mnie od różnego rodzaju nadużyć, jakie wyjątkowe położenie częstokroć wywołać może.

Dziś, po upływie lat tylu, przy zmianie towarzyszących ówczesnemu stanowi rzeczy okoliczności, rzeczone stosunki nie doznały żadnéj zmiany. Niedawno jeszcze pan R*** pisząc do mnie, cofnął się w przeszłość, i nadmienił ze współczuciem o pierwotnym czynniku naszego poznania się: o owéj pełnéj grozy i zarazem tęsknych wspomnień, fortecy ze śniegu.

HISTORYA PISARZA GMINY WIEJSKIÉJ.

Było to w roku 186**: mieszkałem wtedy w Jenisejskiéj gubernii, Aczyńskim okręgu, wsi nazywającéj się Bałachta.

Bałachta należała do rzędu tych osad, w których się koncentruje jedna czwarta część ludności całego okręgu. Podobne osady zwykle nad brzegami większych rzek zbudowane, przyciągając do siebie w skutku dogodności swego położenia i żyzności gruntów, przesiedlających się dobrowolnie z Rossyi Europejskiéj włościan, lub téż zesłanych za karę przestępców, wzrastają nader szybko — lecz pomimo nadzwyczyjnego rozszerzania swoich rozmiarów i mnożenia ludności, pozostają zawsze wsiami. Brak kommunikacyi na zewnątrz, niezmierna odległość od innych miejsc zamieszkałych, jakotéż odrębne warunki społecznego bytu, sprawiają, że kupcy i przemysłowcy niechętnie się tam sprowadzają; a bez nich, przy niedostatku jakiegobądź obrotu handlowego, przemiana wsi na miasto nie miałaby żadnego celu.

Bałachta więc pomimo swojéj kilka tysięcy głów wynoszącéj ludności, pomimo nawet słynnego jarmarku, który odbywając się raz na rok zaopatrywał mieszkańców we wszystkie potrzeby codziennego życia, pozostała sobie wsią ze wszystkiemi cechami odznaczającemi rolnicze osady Syberyi.

Przy podobnem położeniu rzeczy łatwo pojąć, jak trudnem stało się zadaniem, znaleść dla siebie odpowiednie towarzystwo. Oprócz włościan zajętych naprzemian pracami około roli i hulanką, były tam trzy domy stanowiące pewien odcień miejscowéj arystokracyi, a mianowicie dom duchownego zarządzającego parafią, akcyznego urzędnika i pisarza gminy. Ostatniego z nich znalazłem najwięcéj odpowiednim do mojego usposobienia, i tam téż chętniej uczęszczałem.

Nie myślcie jednak łaskawi czytelnicy, ażebym w towarzystwie Aleksego Ewdokimowicza Czuchomowa, piastującego naówczas godność pisarza gminy Bałachtińskiéj, lub jego żony Maryi Andrejewny, znalazł cośkolwiek przypominającego mi starą naszą Europę. Byli to ludzie prości, bez dostatecznego wykształcenia, ale zarazem prawi i serdeczni; a te dwa ostatnie przymioty tak rządkie częstokroć i w osobach z wyższym towarzyskim polorem, sprawiły, że ich szczerze polubiłem.

Otóż więc, pewnego zimowego wieczora znajdowałem się u nich w gościnie. Siedzieliśmy wszyscy troje przed palącym się ogniem. Noc była ciemna: na dworze dął silny wicher miotając śniegiem i tworząc z niego nieprzeliczone zaspy, płonące na kominie drzewo oświetlało część obszernéj izby, zostawiając w półcieniu dalsze przedmioty; jednem słowem nastała jedna z tych chwil, w których wszystko pobudza do poufnéj pogadanki, do zobopólnego udzielania sobie myśli, spostrzeżeń, lub ubiegłych wspomnień.

Gospodarz domu wywnętrzywszy się jak to zwykle w podobnych razach bywa, ze wszystkich codziennych kłopotów do urzędowania jego przywiązanych, nawyrzekawszy na spory włościan, na niedołężność Głowy (Wójta), na chci-

wość Zasiedatela (asesora ziemskiego sądu), zamilkł w końcu. Nastała cisza przerywana tylko trzaskiem szczap palących się na kominku, i szumem wiatru bujającego po śnieżnéj przestrzeni stepów Syberyjskich, kiedy ja chcąc podtrzymać upadającą rozmowę, wyprowadziłem go na opowiedzenie mi historyi swego życia.

Prosta to była historya, jak prostem jest życie mieszkańca pustych wygonów Syberyi. Nie składała się ona z nadzwyczajnych wypadków, ani z wrażeń obudzających różnorodne uczucia, ani nawet ze szczegółów podrażniających wyobraźnię; lecz prostota właśnie małego dramaciku służącego za tło do mniejszego opowiadania sprawiła, że ta gawęda mnie badającego charaktery i obyczaje ludzi, z któremi przeznaczenie żyć mi kazało, nadzwyczajnie zajęła.

Czuchomów był synem miejscowego włościanina. Ojciec jego zamożny gospodarz, umyślił pomimo sarkań sąsiadów, nielubiących gdy który z ich grona porzuca odwieczną rutynę i wychodzi ze swego stanu, oddać syna do szkół publicznych w mieście powiatowem.

Co zaś go skłoniło do tego kroku, żobaczymy.

Każdy człowiek na tym bożym świecie pielęgnuje w głębi swojej duszy jakąś myśl tajemną, utwarza w swojéj wyobraźni jakiś ideał przyszłosci, który staje się motorem jego czynów, celem do którego dążą jego działania. Obywatel ziemski zamiłowany w rolnictwie, pragnie doprowadzić kulturę swojéj ziemi do doskonałości, kupiec pragnie rozszerzyć swój handel, rozrządzać milionami, poeta marzy o stugębnéj sławie roznoszącéj pochwały jego talentu po wszystkich zakątkach ziemi; jeden kmiotek tylko zajęty przez całe życie fizyczną pracą, żyje z dnia na dzień, chwilą obecną, a jedyną jego nadzieję stanowi dochowanie się syna, któremuby mógł zdać zarząd gospodarstwa rolnego i sam, po tyloletnich trudach odpocząć na starość w ciszy i spokoju.

Czasami jednakże i w kmiecym stanie, mianowicie pomiędzy bogatszymi włościanami, którzy nie będąc przeciążeni pracą, mają czas rozpuścić wodze swéj wyobraźni, tra-

fiają się wyjątki, unoszące myśl po za ograniczone kółko powszednich zajęć.

Stary Czuchomów należał do tych wyjątków.

Miał on jedną myśl, która go nigdy nie opuszczała, jedno marzenie, które kierowało wszystkiemi jego czynnościami — wypieścił w swojéj duszy ideał, który zrosł się, że tak powiem z całą jego istotą.

Tą myślą, tem marzeniem, tym ideałem, było widzieć jedynaka swego diaczkiem, dyakonem, i kto wié—może duchownym nawet, zarządzającym parafiją.

Ażeby zrozumieć całą ważność jaką do obrania tego zawodu dla syna przywiązywał, trzeba wiedzieć, że jeden z przodków staruszka służył kiedyś przed laty przy cerkiw. W Rossyi, jak wiadomo, służba Boża przechodzi z pokolenia na pokolenie. Syn duchownego przeszedłszy wszystkie niższe stopnie hierarchij Kościelnéj, i pojąwszy za żonę córkę dyakona lub kapłana, zostaje zazwyczaj duchownym; a jeżeli przypadkiem niezależne od woli jego okoliczności sprawiły, że zmuszony był opuścić stan, w którym się urodził, zawsze prędzéj czy późniéj synowie lub wnukowie jego, pamiętni na swe pochodzenie, starają się wrócić w grono kasty do jakiéj ich przodkowie należeli.

To więc było powodem, dla którego ojciec Czuchomowa niezważając na przekąsy sąsiadów, przyjaciół i znajomych, oddał swojego syna do szkoły powiatowéj w Aczyńsku.

Gdy zaś Aleksy, ukończywszy cztery klassy świeckie i nauki teologiczne w zakładzie naukowém, powrócił do domu ojca, ten oświadczył mu stanowczo, iż wybrał dla niego za żonę córkę miejscowego dyakona, z którą związek doprowadzi go do godności o jakich dla niego marzył.

Zamiary bowiem starego, nie znalazły żadnych przeszkód ze strony panny ani jéj rodzica. Dyakon który był biednym a miał córkę starą, brzydką i złego prowadzenia się, na pierwsze wspomnienie o małżeństwie z synem tak bogatego włościanina, z zachwyceniem zgodził się na wszystko.

Córka zaś której nikt nie chciał wziąść za żonę, podskoczyła z radości na samą wzmiankę, że będzie miała męża młodego, bogatego, i uczonego.

Inna rzecz była jednakże z młodzieńcem.

Myśl piastowania godności kościelnéj, służenia przy liturgji w wspaniałym wschodnim ubiorze, kierowania poważnemi religijnemi pieniami, uśmiechała się wprawdzie jego osiemnasto-letniéj wyobraźni; ale z drugiéj strony związek małżeński z kobiétą szpetną, dziobatą, zezowatą, złą i niemoralną, nie miał dla niego żadnego uroku.

Nie wahając się więc ani jednéj chwili, odmówił pod tym względem posłuszeństwa ojcu.

Ale stary Ewdoki dla poparcia swéj rodzicielskiéj władzy posiadał argument jedyny wprawdzie, lecz przed którym, zdaniem jego, wszelkie dyskusye i opozycye, natychmiast ustąpić musiały.

Argumentem tym był kij gruby, sękaty i twardy.

Przynaglony tyle dotykalnemi dowodami, młody Aleksy ze łzami w oczach z westchnieniem w piersi przystał na wszystko, i zajęto się zaraz przygotowaniami do wkrótce nastąpić mającego ślubu.

Czémże jednakże jest wola ludzka, nawet takich bogaczów jak stary Czuchomów, nawet tyle pragnących wejścia w związki małżeńskie dziewic, jak niefortunna córka dyakona, w porównaniu z przeznaczeniem?

Pomimo tylu silnych woli razem połączonych, pomimo tak przekonywających dowodów jakiemi władca jego losów podtrzymywał rodzicielską swą władzę, przeznaczenie nie wyniosło Aleksego na stopień Diaczka, a starą grzesznicę pozostawiło na wieczne czasy z poszarpanym dziewiczym wiankiem na głowie.

W Bałachcie zjawiła się banda koczujących cyganów.

Na piérwszy rzut oka nie było w tem nic nadzwyczajnego. Cyganie są na Syberyi tém czém na całym świecie. Wiodą życie próżniackie, a nie lubiąc żadnego stałego zatrudnienia, włóczą się bandami od wsi do wsi, wróżąc, handlując kradzionemi końmi, przygrywając na bałałajkach

i wyłudzając rozmaitemi sposobami ciężko zapracowany grosz od ciemnego ludu.

Ale w bandzie przybyłéj do Bałachty, była młoda dwudziesto-pięcio letnia cyganka cudnéj urody. Chociaż siérota, bez ojca, matki, i opieki, posiadała ona nad swojemi współtowarzyszami pewien rodzaj wyższości przez to samo, że więcéj od innych przyczyniała się do podtrzymywania szczupłéj kasy towarzystwa. Praca jéj nie była ciężką: grała na gitarze, tańczyła i śpiewała; lecz trzeba było słyszeć jéj grę i śpiewy, trzeba było widziéć jej taniec!

Gdy stanęła na placu wiejskim, gdzie odbywały się zazwyczaj targi tygodniowe, w lekkiéj muślinowéj sukience obszytéj szychem i świécidéłkami, z girlandą w ręku, z wieńcem sztucznych kwiatów na głowie, szmer zadowolenia przebiegał tłumy zgromadzonych widzów; gdy zaś rozpoczęła swój taniec ognisty, namiętny, pełen gracyi i wdzięku, zachwycenie nie miało granic.

Ci ludzie materjalni, ciężcy, nieznający rozkosznych złud ani przyjemności widowisk scenicznych, patrzyli na nią jak na zjawisko z drugiego świata, jak na cudo przyrody, którego dotąd myślą swoją nie śmieli wymarzyć; miejsca do hulanek i kabaki opustoszały, każdy biegł nasycić się widokiem czarodziejki, a kopiejki sypały się grądem pod jéj nogi.

Co się stało z młodym Aleksym, to trudno nam słowami wyrazić. Nie była to miłość, ale szał, namiętność niczem nie pohamowana. On nie myślał, nie marzył, nie zastanawiał się: on tylko poddał się całą duszą nieznanemu dotąd uczuciu.

Zbliżyć się do niéj, oświadczyć czego doznaje, było dziełem jednéj chwili.

Ona wysłuchała go cierpliwie lecz zimno. Oświadczyła że chętnie zestąpi z piedestału na jakim postawiły ją jéj uroda i wdzięki, ażeby zostać żoną włościańskiego syna, ale na to potrzeba mu otrzymać zezwolenie ojca.

Nieprzezwyciężona trudność! Jakże tu odezwać się z podobnem żądaniem do tego, który tak silnymi argumentami zakończa wszelką dyskusyę?

Aleksy nie miał nawet odwagi próbować. Jak wszyscy zakochani pozostawił wszystko ślepemu trafowi losu, a sam przepędzał godziny, dnie całe przypatrując się tańcom, i przysłuchując śpiewom bałachtińskiéj gitany.

Zajęty tym miłym, czarującym widokiem, niepomyślał nieszczęsny, że jest ktoś co śledzi wszystkie jego czynności.

W istocie kiedy piękna cyganka tańczyła lub śpiéwała, kiedy tłumy zgromadzonych włościan przyklaskiwały jéj wdziękom, kiedy młody Czuchomów upojony, oczarowany, patrząc na tę anielską postać przenosił się myślą do siódmego nieba—z za węgła domu ukazywała się twarz szpetna, ospowata, i błyszczały złością zézowate oczy córki Dyakona.

Zazdrość jest przenikliwą, a obrażona miłość własna brzydkiéj kobiéty tchnie zazwyczaj nieubłaganą zemstą. Narzeczona Aleksego z płaczem i krzykiem pobiegła do starego Ewdokiego, opowiadając co się dzieje.

Stary nie lubił żartować, ani téż w długie wdawać się dyskusye. Naprzód użył swoich dotykalnych dowodów i to w sposób nader energiczny; następnie zamknął młodzieńca w przyległéj stodole o chlebie i wodzie, oświadczając że wyjdzie ztamtąd nie inaczéj jak prosto do ślubnego kobierca; a w końcu wpływem jaki posiadał w zarządzie gminnym sprawił, że banda cyganów wypędzoną została ze wsi.

Gdybym posiadał talent powieścio-pisarza, nastręczyłaby mi się sposobność skreślenia długiego rozdziału, opisującego myśli i wrażenia młodego kochanka, zamkniętego w ciemnéj stodole. Coś w rodzaju Monte Christa, jęczącego w podziemiach zamku If.

Ale że to jest po prostu drobny urywek syberyjskiego życia, zaczerpnięty z prawdziwego zdarzenia, niewolno mi poddać się fantazyi romansopisarzy; powiem więc tylko w krótkich słowach, że po dwóch lub trzech dniach, młody Aleksy podkopawszy się pod przyciesie swego więzienia, uciekł przed argumentami ojcowskiemi, i przed zézowatemi oczami swojéj narzeczonéj.

Rzecz naturalna i do przewidzenia łatwa, że kroki swo-

je swoje skierował w kierunku oddalającéj się powoli od Bałachty bandy cyganów.

Zastał swoją boginię z towarzyszami wśród dzikich stepów koło ogniska przy kotle, zajadającą najprozaiczniéj w świecie smażoną słoninę z kapustą.

Nie należał on qynajmniéj do rzędu tych estetyków, którychby widok podobnéj uczty mógł odczarować. Oświadczył jéj wręcz przy wszystkich, że ją kocha, że ją nie opuści, i że chce zostać jéj mężem.

— A ojciec? — zapytała czarodziejka.

— Nie boję go się! — odrzekł z zapałem zakochany.

Jakkolwiek ta determinacya powzięta zdala od niwelującego wszystkie chęci i wole argumentu, nie pociągała za sobą wielkiego niebezpieczeństwa, podobała się przecież młodéj gitanie. Któręż kobietę nie wzruszy widok poświęcającego się dla jéj miłości młodzieńca? Z drugiéj strony starszyzna bandy prześladowanéj we wszystkich wsiach przez władze ziemskiéj administracyi, które jéj się zatrzymywać długo nigdzie nie dawały, miała także swoje widoki. Chociaż taniec cyganki przynosił bandzie nie mały zarobek, większy uszczerbek jednakże sprawiały jéj, rozporządzenia władz gminnych. Młody Czuchomów był uczony, gdyż skończył cztery klasy, mógł się wykierować na człowieka i dać poparcie dawnym towarzyszom swéj żony; wprawdzie ojciec jego sprzeciwiał się temu związkowi, ale wszakże ojciec z czasem powinien się udobruchać — od czego rozum i przebiegłość?

Po godzinnéj naradzie decyzya stanęła: banda ruszyła w dalszy pochód, a osiemnastoletni Aleksy w piérwszéj cerkwi którą ujrzeli na drodze, pojął za żonę piękną cygankę.

Nie wszystkie jednakże rachuby przewodnika bandy wypadły korzystnie. Stary Ewdoki rozgniewany na syna nigdy go widzieć nie chciał, a umierając rozporządził swym majątkiem na korzyść dalekich krewnych. Aleksy długo cierpiał biédę, czepiając się mało korzyści przynoszących posad po drobnych wioskach, ale w końcu przebywszy długie lata upokorzeń i niedostatków, usilna jego praca, prawość charakteru i sumienność w wykonywaniu powierzo-

nych mu obowiązków sprawiły, że bałachtińska gmina obrała go swym pisarzem.

O ile mógł dopomagał dawnym towarzyszom żony, to pozwalając im dłużéj zatrzymywać się w obrębie jego wpływowi podległym, to broniąc od niesprawiedliwych częstokroć napaści włościańskich urzędników. Ale władza jego była ograniczoną, a cyganie w innych gminach doznawali jak wprzódy prześladowania, na które prawdę powiedziawszy zasługiwali swojem postępowaniem.

Co się tycze Gitany, ta nad wszelkie spodziewanie, wbrew wszystkich przypuszczeń i przepowiedni starego Ewdokiego była dobrą żoną, rządną gospodynią, i byłaby niezawodnie i dobrą matką gdyby jéj pan Bóg dał dzieci.

Ale pod tym względem niebo nie pobłogosławiło związkowi, przeciwko woli ojca zawartemu. Pomimo tysiąca świeczek spalonych przed świętymi ikonami, pomimo modłów, które Aleksy parę razy do roku we wszystkich cerkwiach zamawiał, nie mogli doczekać się téj pociechy, która jest celem każdego małżeństwa.

Pani Czuchomów, czyli raczéj Marya Andrejewna jak ją powszechnie zwano w Bałachcie, przekształciła się nie do poznania. Porzuciwszy dawne nałogi, przyjęła wszystkie obyczaje nowego swego położenia. Miasto przelotnych tryumfów i ubiegania się o poklask gawiedzi, zajęła się kuchnią, spiżarnią, jakotéż domowem gospodarstwem; wrażenia koczującego życia zastąpiła przyjemnością wypoczywania po całych godzinach na pałacie (1), a łaźnię tak namiętnie polubiła, że z nadużycia przechodów nagłych, z gorącéj do zimnéj temperatury, popadła w chroniczną chorobę artrytyzmu.

Od ślubu pisarza gminy, minęło lat dwadzieścia [ośm. Gdym poznał jego żonę była to babinka chuda, zgarbiona, stękająca i schorowana. W owym cieniu ubiegłych czasów

(1). Pałata, pokład pionowy z desek pod sufitem izb Syberyjskich wzniesiony, a służący za miejsce do spoczynku. Zobacz studia etnograficzne. Str. 129. (*Przyp. aut.*)

nikt na świecie nie zdołałby dopatrzyć téj zgrabnéj, wdzięcznéj cyganki, któréj taniec rozbudzał przed laty taki zapał w podziwiających jéj piękność i wdzięki widzach — słyszącemu zaś jéj głos ochrypły, częstym przerywany kaszlem, ani by na myśl nie przyszło, że jest to owa syrena, która niegdyś czarowała swym słowiczym śpiewem, zachwyconą publiczność.

Czarne tylko i żywe jeszcze oczki staruszki, przypominały czasami jéj pochodzenie.

PRAWDZIWA HISTORYA
Z TYSIĄCA I JEDNÉJ NOCY.

Od najmłodszych lat życia mego byłem zawsze przeciwnikiem wszelkiéj nadzwyczajności. Przyroda oznaczyła dla nas pewne granice bytu; przestąpienie tych granic, wdzieranie się gwałtowne w niedostępne sfery, jest występkiem przeciwko niezachwianym prawdom istnienia, niekonsenkwentnością prowadzącą do zboczeń umysłowych. Dokoła nas istnieją cuda natury potężne, wielkie, wspaniałe; badając je dajemy zdrowy pokarm wyobraźni, kształcimy naszą wiedzę, i osiągamy rzeczywisty pożytek, jeżeli zaś zapragniemy wystąpić myślą naszą po za krańce rzeczywistego świata, znajdziemy tylko czczą ułudę doprowadzającą częstokroć do chorobliwego stanu umysłu. Rozgorączkowanie wyobraźni jest tém dla dusz, czém rozpusta dla ciała; każdy marzyciel bywa istotą bierną, niepożyteczną dla społeczeństwa. Z marzycieli wyrastają Mesmery, Destony, Maxwelle —z marzycieli także tworzą się zastępy nieszczęśliwych zapełniających domy obłąkanych.

Pomyślnym zbiegiem okoliczności, w owym wieku złud i dumań w którym każda tajemnica niedocieczona, każda fantazya myśli ma tyle uroku i powabu, w pierwszych chwilach rozwinięcia się młodocianych sił, żaden wypadek niezwykły, mogący zbić mnie z drogi na któréj straży stał rozsądek, nie miał nigdy miejsca. Jeżeli czasami trafiło się co niewytłumaczonego napozór, to zaraz po tém rzeczywistość niby zimny pedagog objaśniający chłodno, systematycznie cudowne zjawiska przyrody, zdzierała z przed moich oczów fantastyczną zasłonę, i ukazywała w miejsce czarodziejskiego obrazu, nader prozaiczne zdarzenie.

Tym sposobem doszedłem do wieku dojrzałego, nie poznawszy nigdy owych wrażeń zachwytu, przestrachu, zaciekawienia; wrażeń wywołujących tyle moralnych wstrząśnień w tych, którzy w nadprzyrodzonych sferach, zapragnęli szukać pokarmu dla chciwéj nowości wyobraźni.

Ale to co mnie omijało od lat tylu, przy okolicznościach odpowiedniejszych, w klimacie gorętszym, młodzieńczéj gorączce myśli, stało się moim udziałem pośród pustych prawie wygonów mroźnéj północy, w owym peryodzie życia, w którym pierwsze szrony zbliżającéj się starości zaczynają srebrzyć włos, myśl przestaje bujać po obłokach, a wewnętrzna wrażliwość żadnéj nieznajduje podniety w usposobieniu opartem na realizmie i chłodnéj rozwadze.

Była to wprawnie jedna tylko chwila, ale przez tę chwilę doznałem wszystkich uczuć podziwu, przerażenia, zgrozy jakie wyrodzić może widok strasznego, niepojętego, wychodżącego po za krańce rzeczywistego życia zjawiska.

Zdarzenie to dziwne, fantastyczne prawie, a jednakże najzupełniéj prawdziwe, służy za temat do niniejszego opowiadania.

. . . .

W pierwszym roku pobytu mejego na Syberyi, w czasie pięknego choć mroźnego dnia zimowego, zapragnąłem zmienić duszne wyziewy ciasnéj izdebki, na orzeźwiające powietrze stepu. Zaprzągłem więc dzielnego konia do malutkich sanek i wyruszyłem ze wsi. Miejscowość była mi zupełnie nieznaną, ale utarta częstym przejazdem włościan droga,

ciągnęła się w prostym kierunku, a jaskrawe promienie chylącego się ku zachodowi słońca, oddalały wszelką obawę zbłądzenia wśród pustych wygonów. Przejażdżka moja nie miała żadnego celu, więc bez wiedzy, woli, instynktowo prawie, zwróciłem syberyjskiego mego konika na zachód.

Przeleciawszy pędem strzały całą szerokość rzeki Czułym, pokrytéj oddawna grubą warstwą lodu, ujrzałem się wkrótce wśród niezmiernéj białéj płaszczyzny.

Koń przywykły do szybkiéj jazdy pędził prosto przed siebie, ja zaś patrząc na zachodzące słońce, popadłem mimowolnie w głęboką zadumkę. Dachy domów ludnéj wioseczki, kłęby dymów wznoszących się prostopadle z kominów, a nareszcie zielone kopuły murowanéj cerkwi, znikały stopniowo za mną w oddaleniu.

I gnałem tak ciągle, bezprzestannie, gorączkowo.

Jak długo ta szalona jazda trwała, sambym nie umiał powiedzieć. Pogrążony w dumaniu nie zwracałem uwagi na ubiegający czas; zagłębiwszy się myślą w przeszłość, zapomniałem o teraźniejszości, i leciałem wciąż naprzód nie pytając gdzie jestem, co czynię, i co mnie daléj spotkać może.

Nareszcie zapadająca noc przerwała to słodkie odrętwienie: koń nagle stanął zacząwszy silnie chrapać i parskać.

Spojrzałem dokoła siebie, jak człowiek budzący się nagle ze snu pełnego miłych i ponętnych wrażeń.

Byłem sam jeden pośród niezmiernéj śniegowéj przestrzeni. Zaledwie dojrzana oznaka życia którą po za sobą zostawiłem, strzelające wysoko w górę kopuły wspaniałéj cerkwi, oddawna już zniknęły w mgle oddalenia, ślady drożyny którą poprzednio obrałem przepadły wśród skrystalizowanego całunu zimy; widocznie koń którego instynktowi zbytecznie zaufałem, obrał dowolny kierunek i zgubiwszy ślad puścił się w niezmierne obszary stepu.

Cóż czynić?

Jedynym przewodnikiem w téj pustyni, był słaby oblask świecący jeszcze po zaszłem oddawna słońcu na zachodzie, i reszta zaufania w zwierzęcą domyślność mojego bieguna.

Opatrzywszy więc na wszelki wypadek rewolwery, z którymi nigdy w podobnych wycieczkach nie miałem zwyczaju

rozstawać się, zwróciłem konia w przeciwną stronę to jest na wschód, gwiznąłem na niego właściwym w Syberyi przyjętym sposobem, i popuściwszy wolno lejce, zostawiłem mu swobodę obrania odpowiedniego kierunku.

Koń puścił się śmiało i rączo przed siebie.

Uspokojony jego pewnością przestałem się troszczyć, pewnym będąc, że ta szybka jazda prowadzi mnie prosto do wsi.

Tymczasem godzina jedna i druga minęły, noc roztoczyła swe cienie, a tyle pożądanéj wioski widać nię było. Napróżno wytężałem swój wzrok ażeby wśród pomnażających się ciągle cieni, dostrzedz jakie światełko oznajmiające mi blizkość mieszkań ludzkich.

Nic!

Stanąłem, i wysiadłszy z sanek obejrzałem miejscowość.

Nigdzie najmniejszego śladu: wszędzie przestrzeń naga, biała, niezmierna.

Położenie moje nie było godném zazdrości.

Sam w pustyni, wśród ciemnéj nocy, zgubiwszy drogę, mogłem się co chwila spodziewać napadu wilków, albo gorszych jeszcze od dzikiego zwierza nocnych bradiagów.

Nie była to jednakże pora do tracenia czasu na próżne rozmyślanie.

Pozostawanie w jedném miejscu nie zmieni w niczém przykrego położenia, jazda zaś jakkolwiek na los szczęścia przedsięwzięta, może jeszcze przypadkowo naprowadzić na ślad zatracony.

Instynkt konia mnie zawiódł, postanowiłem więc z podwójną usilnością szukać i śledzić, azaliż czego nie dojrzę. Kto wie, może jadąc tak ciągle, napotkam jaki krzaczek, jaki pal wbity w ziemię, które dadzą mi poznać miejscowość w jakiéj się znajduję.

A więc jedźmy daléj!

I znowu mija godzina, a powierzchowność nagiéj przestrzeni w niczém się nie zmieniła: żadnego wzgórka, żadnego drzewka, żadnego znaku życia, a co najgorsza żadnego ludzkiego śladu.

Tylko cienie nocy stają się coraz posępniejszemi.

Przyszła chwila zwątpienia.

Kto wie pomyślałem sobie, azaliż zamiast przybliżania do wsi, nie oddalam się jeszcze coraz więcéj od miejsc zamieszkałych.

Uderzony tą myślą, postanowiłem pomimo niebezpieczeństwa przepędzenia nocy wśród pustyni, stanąć i poczekać tak aż do rana, wyglądając pierwszego brzasku dnia któryby pozwolił mi odszukać śladu zagubionéj drożyny, gdy nagle jakieś światło błysnęło przedemną w oddaleniu.

Światło to mogło pochodzić z okien domów blizkiéj osady, ale mogło być także odblaskiem ogniska koczujących na stepie bradiagów.

Cokolwiek bądź wypadnie, należało wyjść z téj niepewności; nie wahając się zatem ani jednéj chwili, pojechałem prosto w kierunku widzianego przezemnie światełka.

Wkrótce rozeznałem kształty jakiegoś obszernego budynku: stał on na stepie samotny, odosobniony—dokoła był pusty zupełnie obszar.

Dziwny jednak, prawie do uwierzenia trudny fenomen uderzył na wstępie moje oczy: znaczny ów rozmiarami budynek nie posiadał ani okien, ani komina—czarne i ponure jego ściany sterczały prostopadle z czterech stron, niby mury forteczne odgraniczające od reszty świata wnętrze tajemniczego gmachu.

Przez otwarte drzwi jakotéż przez szpary pomiędzy belkami, błyszczało jaskrawe światło.

Ominąwszy front domu z obawy aby nie być dostrzeżonym, postąpiłem ostrożnie pod boczną ścianę i zajrzałem przez jednę z tych szczelin, pragnąc zobaczyć co się wewnątrz dzieje.

Wzrok mój przyzwyczajony do ciemności nocy, nie mógł w pierwszéj chwili rozeznać przedmiotów.

Po kilku dopiéro minutach, zdołałem objąć całość obrazu jaki miałem przed oczami.

Ale o zgrozo! obraz ten był tak straszny, tak przerażający, że na widok jego krew zastygła mi w żyłach, włosy powstały na głowie, a zimny pot spłynął po skroni. Ażeby

pojąć podobne uczucie trzeba było zobaczyć, to co ja tam ujrzałem.

Wnętrze budynku przedstawiało jednę wielką przestrzeń bez podłogi i pułapu, w środku któréj znajdował się obszerny otwór służący za wejście do podziemia; cokolwlek daléj na boku płonął z symetrycznie ułożonych sztuk drzewa ogień oświecający jaskrawemi blaski ohydne a zarazem fantastyczne widowisko.

Sześciu ludzi było tam zgromadzonych. Jeden z nich wysoki, chudy, blady, owinięty w bogatą szubę niedźwiedzią stał na środku, i spoglądał w otwór podziemia; obok niego znajdował się człowiek otyły, o dzikich, zwierzęcych rysach twarzy, z zakasanemi rękawami i długim nożem w ręku. Czteréj inni mieli na sobie włościańskie ubiory.

Plączący się dym ogniska pomiędzy wiązaniami dachu, tworząc po nad ich głowami czarną chmurę niby sklepienie złowrogiego erebu, dopełniał obrazu.

Na dany znak przez pierwszego który zdawał się rozkazywać innym, dwóch ze stojących opodal brodaczy spuściło się we wnętrze podziemia, i po chwili powróciło z tamtąd niosąc na ręku jakiś przedmiot owinięty białem płótnem.

Złożywszy nieforemną massę na ziemi, odwiązali płótno: był to trup mężczyzny nagi, wychudły sztywny.

Poczém znowu zagłębili się w podziemia.

Wydobyte tym razem ciało, było trupem kobiéty.

Tym sposobem wyciągano kolejno z tajemniczego otworu coraz więcéj ciał martwych: byli tam i starcy z siwemi brodami, i młode dziewczęta, i nawet małe kilkoletnie zaledwie dzieci.

Naliczyłem ich do dwudziestu!

Wtedy blady kierownik tego straszliwego obrzędu, spojrzawszy na leżące pokotem zwłoki, rzekł ponuro:

— „Dzieci, czas do roboty!“

Czteréj jego pomocnicy podstąpili bliżéj, piąty oglądał w milczeniu ostrze swojego noża.

— „Zimno tu!“ przemówił jeszcze z szatańskim uśmie-

chem ten, któremu wszyscy bezwarunkowo ulegali—„trzeba rozegrzać tych biedaków.“

Stosując się do powyższego rozkazu, podjęto trupów, i poprzywiązywano je do pali wbitych w ziemię, tak, że każdy z nich zdawał się stać na nogach o własnéj sile.

Okropny to był widok!

Wszystkie te ciała sztywne, martwe, z oczami otwartemi szeroko, z cyplami lodu wiszącego u włosów, stały około ognia, którego chwiejący się płomień igrając z półcieniami w jakich pogrążone były dalsze części zagadkowéj miejscowości, zdawał się ożywiać je dzikiemi i fantastycznemi ruchy.

Milcząca dotąd postać stojącego opodal, uzbrojonego nożem i nie przyjmującego żadnego udziału w wymienionych przygotowaniach człowieka, przystąpiła do ogniska.

Nagle rozległ się odgłos suchy, matowy, niby trzask wywołany zetknięciem dwóch twardych przedmiotów.

To człowiek ów uderzył płazem noża jednego z trupów!

— „Jeszcze zacząć nie można!“ wyjąknął niezadowolony z téj próby.

— „Chwilę cierpliwości,“ odrzekł wysoki blady:“ wkrótce ciepło działać na nich zacznie.“

Jakby na potwierdzenie słów jego, po kilku zaledwie minutach niemego oczekiwania wszystkich znajdujących się około ogniska, zmarznięte trupy zaczęły się poruszać niby galwaniczną ożywione siłą. U jednego ręce wzniesione dotąd sztywnie nad głową opadły z trzaskiem ku ziemi, inni pozwieszali wyprostowane przedtém głowy na piersi, inni znowu niedość silnie poprzywiązywani do słupów, zwinęli się w kłąb lub poprzechylali na różne strony.

Cieplik wchodząc w zmarznięte ciała, przyprowadzał materyę do normalnego jéj stanu: do massy obwisłéj, stęchłéj, na wpół przegniłéj.

Jednocześnie rozeszła się po powietrzu woń przej[illegible]ca, niemiła, trupia...

A ja, przerażony, struchlały, nie mogący sobie zdać sprawy ze strasznego widowiska, które miałem przed oczami, patrzyłem wciąż na to co się około mnie działo.

Patrzyłem bez wiedzy, woli, pamięci... czułem wstręt i zgrozę, a nie miałem dość siły ażeby odwrócić oczy od owego ohydnego obrazu...

Była chwila, w którėj sądziłem, że to co widzę jest tylko obłędem rozgorączkowanėj wyobraźni. Przyszło mi na myśl iż często autorowie przerażających powieści, przedstawiają czytelnikowi nadzwyczajne, trudne do uwierzenia zjawiska, i rozdraźniwszy jego ciekawość do najwyższego stopnia, ucinają nagle najprostszém w świecie zakończeniem:

„Obudziłem się, jasne promienie słońca i t. d...“

Co miało miejsce w powieściach, mogło stać się i w rzeczywistém życiu; przecieram więc oczy, patrzę, staram się zebrać rozpierzchłe myśli... Nie, ja nie śpię: ja czuję, widzę, słyszę, oddycham! Przedemną wysoka, poczerniała od burz śniegowych ściana tajemniczego budynku, za mną koń z saniami przywiązany do płota, do koła biały całun zimy oświecony długą smugą jaskrawego światła, wychodzącego przez otwarte drzwi tego zagadkowego i okropnego zarazem przybytku śmierci.

Cóż mi wypadało czynić: uciekać? Ale gdzie — zostać? jakiż będzie tego koniec...

Osłupiały, na wpół martwy z przestrachu, nie wiedziałem co począć... Chciałem się ruszyć z miejsca: nogi odmówiły mi posłuszeństwa, chciałem krzyknąć—nie stało głosu w piersiach.

Jakiś cień mroczny, nieprzejrzany, spłynął na moje pojęcia, ubezwładnił moją wolę. Zwątpiłem o logice własnego rozsądku: nie dowierzałem swym zmysłom, nie mogłem pojąć gdzie jestem, co się ze mną stało, kto są ci straszni ludzie, jaki jest cel ich ohydnego zajęcia.

I przyszła chwila—jedyna chwila w mojém życiu, w którėj uwierzyłem w świat mar i widziadeł: w świat nadprzyrodzony, czarodziejski, niepojęty...

Chwila ta jednakże krótko trwała.

Kiedy obraz który miałem przed swojemi oczami, zaczął przybiérać coraz dziksze i wstrętniejsze zarysy, kiedy ponura osobistość z zakasanemi rękawami zbliżyła się zwolna do leżącego na stole trupa, i utopiwszy nóż w martwych

zwłokach jęła wyciągać z ciała przegniłe wnętrzności, nagle na progu drzwi otwartych, ukazała się nowa zupełnie postać.

Wylanie zimnéj wody na rozpaloną głowę nie wpłynęłoby tak szybko na zmianę wewnętrznego mego usposobienia, jak pojawienie się owéj postaci; chociaż bowiem wszystko co mnie otaczało było zawsze dziwném, strasznem, i niewytłumaczoném, sama obecność nowo przybyłego w tych miejscach, przekształciła w okamgnieniu gorączkowe marzenie w prozę rzeczywistości.

Człowiek który stanął na progu zagadkowego gmachu, zwał się Aleksy Ewdokimowicz Czuchomów, i piastował godność pisarza gminy Bałachtińskiéj.

Ujrzawszy ową urzędową figurę, wyszedłem z mego ukrycia i zbliżyłem się do tego, który swem przybyciem przerwał tak w porę fantastyczny obłęd zaciemniający moje pojęcia.

— „Ah!" zawołał z najwyższém zadziwieniem urzędnik— „Wy, w tych miejscach. Jakiemuż szczególnemu trafowi przypisać można waszą obecność?

— „Najprostszemu w świecie," odpowiedziałem usiłując nie dać poznać wewnętrznego wzruszenia, które mnie jeszcze zupełnie nie opuściło. „Wyjechałem z wioski, zgubiłem drogę, a błyszczące światło zaprowadziło mnie przypadkiem w te strony.

— „I staliście się mimowolnym świadkiem jednéj z najmniéj przyjemnych administracyjno-sądowych czynności. Ale widok podobny nie może być miłym szczególniéj dla tych, którzy nie są do niego przyzwyczajeni. Jeżeli pragniecie wrócić, oto droga na prawo która zaprowadzi was prosto do wsi. Bałachta nie daleko: w pół godziny najdaléj będziecie u siebie. Jeżeli zaś chcecie pozostać, za kwadrans towarzyszę wam z powrotem.

— „Nie," odrzekłem — „ani chwili dłużéj tu nie [illegible] stanę.

Wsiadłszy do sanek i zaciąwszy konia, udałem się pędem we wskazanym kierunku. Wkrótce potém byłem w mojém mieszkaniu.

Ujrzawszy się pomiędzy czterema ścianami ubogiéj syberyjskiéj izdebki, odetchnąłem swobodniéj. Chociaż zgadywałem po części jakiego to rodzaju była czynność, któréj przed chwilą stałem się mimowolnym świadkiem; wrażenie jednak tym widokiem wywołane, było zbyt silném, ażebym zdołał od razu, odzyskać pierwotną spokojność.

Oprócz tego wiele szczegółów widzianego przezemnie dramatu, pozostało dotąd ciemnemi i niewytłumaczonemi.

Długa rozmowa z pisarzem gminy, który powróciwszy ze swojéj wycieczki, zajechał do mnie w gościnę, rozjaśniła to co jeszcze pozostać mogło zagadkowego i nadzwyczajnego, w wypadkach piekielnéj owéj nocy.

Rzecz sama przez się była nader prostą i naturalną.

Jak wiadomo przypadki nagłych śmierci są rzeczą trafiającą się dosyć często na Syberyi. Jakikolwiek jest powód niespodziewanego zgonu człowieka, przepisy prawa nie dozwalają chować ciała, dopóki nie zostanie dopełnioném sądowo-policyjne śledztwo i anatomiczna sekcya zwłok. Tak się dzieje na całym świecie: wszędzie bowiem gdzie tylko żyją ludzie, istnieją dzikie namiętności, utajona złość, lub pełzająca w cieniu zbrodnia. Jeżeli jednak w innych krajach prawo postępuje krok w krok za zdrożnym czynem, nie pozwalając odetchnąć i ukryć się przestępcy, to w Syberyi z powodu niezmiernych odległości, ten sposób działania jest rzeczą zupełnie niepodobną. Jakże bowiem lekarz powiatowy, byłby w stanie stawić się na miejscu popełnionego morderstwa zaraz po dokonaniu takowego, kiedy każdy powiat większe nierównie ma rozmiary niżeli pierwszorzędne mocarstwo europejskie, a wypadki nagłych śmierci w różnych oddalonych od siebie punktach, są codziennemi niemal zdarzeniami.

Ażeby temu zaradzić wymyślono następujący sposób:

Każde ciało człowieka, którego skon niespodziewany wy- [illegible] podejrzenie dokonanego występku, złożone bywa w lodowniku.

Lodownik jest to budynek obszerny, znajdujący się zwykle po za wsią, służący zarazem na przechowywanie trupów i na odbywanie anatomicznych sekcyi. W podziemnéj jego

części, układanc ciała marzną pod powłoką lodu, który to stan zachowuje je od rozkładu i zepsucia.

Gdy już znaczna liczba zwłok ludzkich zapełniła te śmiertelne składy, lekarz powiatowy wraz ze swym felczerem jeżdżą od gminy do gminy, i rozgrzawszy przy ogniu w obec miejscowych urzędników zesztywniałe od zimna ciała, dopełniają prawem przepisanéj formy.

Takiéj to czynności stawszy się mimowolnym świadkiem, wziąłem za fantazyę rozgorączkowanéj wyobraźni wynik miejscowych obyczajów, zdarzenie zespolone z codziennóm niemal życiem syberyjskich ludów.

OPOWIADANIE ŻEBRAKA.

Pewnego zimowego wieczoru siedziałem smutny w méj samotnéj izdebce. Noc była ciemna. Na dworze dął wicher połączony z sypiącym się śniegiem, nieliczni mieszkańcy małéj wioseczki poukrywali się w swych chatach: było tylko słychać świst wiatru hulającego po śnieżnych stepach Syberyi.

Nie wiém jak długo siedziałem tak bezmyślnie, wpatrując się w dogorywający ogień na kominku, gdy nagle ktoś silnie do drzwi zastukał.

Gość w takiéj porze i w téj miejscowości, wypadek niesłychany.

Poszedłem otworzyć.

— „Batiuszki, matuszki, sotworitie światuju miłost!...“

Byłto dziad żebrak, włóczący się za jałmużną wśród tych podbiegunowych przestrzeni.

Ujrzawszy dziada, ucieszyłem się. Z miejscowymi mieszkańcami tak mało miałem stosunków, tak dawno nie widziałem ludzkiéj twarzy i nie słyszałem tak długo ludzkiego

głosu, iż każda nowa postać w tém osamotnieniu, w czasie tych długich zimowych wieczorów, była dla mnie pożądaną.

Usadowiwszy starego przy piecu, podawszy mu spory kieliszek wódki i przekąskę, wdałem się z nim w gawędę. I tak, gadu, gadu, gdy się nawyrzekał na złe drogi, na skąpstwo Syberyaków, na dokuczliwość zimna,—powoli z nitki do kłębka wyprowadziłem nowoprzybyłego, że mi opowiedział swoją historyę.

Pochodził on z tulskiéj guberni i był synem bogatego fabrykanta broni. Ojciec jego starał się dać mu odpowiednie wychowanie, oddał go do szkół, ale młody Andruszka nie miał najmniejszéj ochoty ślęczéć nad książką, i niewiele myśląc uciekł pewnego pięknego poranku z klassy. Tułał się przez kilka miesięcy po wsiach i wioskach, nareszcie schwytany iako włóczęga, oddany został na reklamacyę ojca, w jego ręce.

— Batiuszka nie lubił żartować—mówił dziadowina popijając wódeczkę—oporządził mi skórę porządnie, co się nazywa. Na wspomnienie téj chwili dziś jeszcze zimno mnie przechodzi po sercu! Po dokonaniu téj operacyi, zbitego, spłakanego, zaprowadził do warsztatu i oddał pod dozór najstarszego czeladnika imieniem Iwana: „Nie chcesz znać książki, poznaj jak się robią lufy, kurki i zamki; a ty Iwan, nie uważaj w nim syna swego pryncypała, ale prostego terminatora—za każde nieposłuszeństwo, nieochotę do pracy, bij co się zmieści, rozumiész?“ Iwanowi nie należało tego dwa razy powtarzać. Był to mużyk silny, krępy; bicie terminatorów uważał za rozrywkę przy pracy, a jak zalał czuba, to już i sam czart nie dałby sobie z nim rady. Możecie sobie łatwo wyobrazić, jakie życie stało się moim udziałem! Męczony od rana do wieczora, przy niewdzięcznéj pracy, bity, targany za włosy przez srogiego czeladnika, nie mogłem nigdy znaléźć sposobności, ażeby zobaczyć batiuszkę i prosić go o zmiłowanie. Iwan nie znał miary w swoich prześladowaniach; gdym go zapytał o wyjaśnienie roboty, odpowiadał: „śruba tak się wkręca!“—i kręcił aż do krwi moje ucho, „sztyflok tak się przybija!“ i walił z całéj siły pięścią

po mojéj głowie. Słowem, stałem się w warsztacie najnieszczęśliwszą ofiarą samowolności tego człowieka.

Chciałem kilkakrotnie uciekać, ale mnie pilnie strzeżono, i każdy podobny zamiar sprowadzał plagi. Jednego wieczoru, doświadczywszy więcéj jeszcze jak zwykle ciężkości pięści mojego prześladowcy, umyśliłem sobie odebrać życie. Za fabryką mojego ojca znajdował się obszerny staw; wybiegłszy z domu, niewiele myśląc rzuciłem się w wodę, i byłbym tam niezawodnie utonął, gdyby przepływający w téj chwili na łódkach rybacy, nie uchwycili mnie za włosy i nie wyciągnęli z wody. Ocucony, opowiedziałem im moją historyę, zaklinając na wszystko, aby mnie nie oddawali ojcu, gdzie przeczuwałem tak niezmierną ilość razów, jaką tylko w myśli zastosować mogłem do wielkości mojego przewinienia.

Zgodzili się oni na to, ale jeden z nich dodał:

— Z nami zostać nie możesz, odkrytoby cię niezawodnie, i nas pociągnięto do kary za przechowywanie cudzego chłopca. My mamy znajomych, którzy jutro udają się do K***, im więc ciebie oddamy.

Przystałem na wszystko; do piekłabym wtedy poszedł z ochotą, aby tylko nie powracać do domu. Wybawcy moi, za dwa sztofy wódki i trzy ruble assygnacyjne, przedali mnie kazańskim rybakom.

Handel odbył się w ciemnym kabaku na przedmieściu, i jeszcze dobrze nie rozświtało, kiedym już siedział pomiędzy siéciami na kibitce, i pędził z moimi nowymi towarzyszami na miejsce swego przeznaczenia.

Odtąd zaczęło się dla mnie nowe zupełnie życie, ale nie lepsze od przeszłego: od rana do wieczora po pas w zimnéj wodzie, to zaciągałem siéci, to nastawiałem więcierze, a nigdy ni jednéj chwili nie miałem odpoczynku... Nie bito wprawdzie jak w warsztacie batiuszki, ale przy każdém ociąganiu się lub niechęci do pracy straszono oddaniem ojcu, a bojaźń moja zasłużonych plag i żylastéj ręki strasznego Iwana była tak wielką, żem wszystko robił co mi kazano.

Pomimo chęci i woli wyuczyłem się rybołówstwa najdo-

kładniéj. Nikt zręczniéj odemnie nie zaciągał siéci, nikt lepiéj nie znał prądów wody i głębokości ustępów, ale moi zwierszchnicy, posługując się mną jak machiną, nie przypuszczali mnie do najmniejszego zysku z pracy, którą po największéj części sam podejmowałem. Przepijali oni po kabakach bumażki wzięte za rybę, dając mi w zamian za moje trudy lichą strawę, i czasem na otrzeźwienie kieliszek wódki.

Taki stan rzeczy nie mógł mi się podobać. Dlaczegóż mam ja jak sobaka służyć drugim i pracować na ich pijaństwo, kiedy jestem w możności sam sobie wystarczyć? Od myśli do postanowienia niedaleka droga, a od postanowienia do wykonania krok tylko... Drapnąłem jednéj nocy, unosząc pod pachą najlepszy więcierz.

Szczęśliwie jakoś uniknąłem baczności moich opiekunów, i chodziłem od wioski do wioski handlując złowioną rybą. Handel szedł dobrze: kupiłem dużą siéć, i zająłem się rybołówstwem na wielką skalę.

Po roku takiego życia, ośmielony powodzeniem, odważyłem przenieść się do K***, i przemysł mój jeszcze na większą rozprzestrzenić stopę. Łowiłem sterlety, okonie, nalimy i ogromne jesiotry, przyjąłem dwóch pomocników; a że nie byłem wtenczas hulaką, napełniłem w krótkim przeciągu czasu moje kieszenie.

O moich dawniejszych opiekunach zapomniałem zupełnie, ale oni nie zapomnieli o mnie. Jednego razu, gdym, rozłożywszy towar na targowym placu, przeważał na żądanie kupującego dwudziesto-kilko funtowego jesiotra, uczułem że mnie ktoś chwyta za ramię.

Obejrzałem się: byłto jeden z moich dawnych pryncypałów.

— A tuś mi, ptaszku!—zawołał.

— Odczép się odemnie, włóczęgo: nie znam ciebie!—krzyknąłem z miną imponującą.

Ale nowoprzybyły nie słucha, tylko ciągnie za kołniérz.

Moi dwaj robotnicy przybyli mi na pomoc; co więcéj, tłum publiczności wziął moją stronę. Dziwić się temu nie można było. Dawny mój zwierzchnik był obdarty, brudny

i podpiły—ja zaś ubrany w nowiuteńki kożuszek, i porządną baranią czapkę. Ubiór i powierzchowność wszędzie popłaca.

Byłbym się może i bez żadnéj straty wykręcił z tego położenia, gdyby policya miejscowa, zwabiona zgiełkiem, nie wdała się w tę sprawę żądając wyjaśnienia.

Znam dobrze jakiego to rodzaju są wyjaśnienia których potrzebowano. Wyjaśnienia moje były w kieszeni. Wyjaśniłem sprawę i puszczono mię wolno, ale także wyjaśniła się i kieszeń moja.

Co więcéj od téj pory, zasmakowawszy w podobném wyjaśnieniu, czepiali się do mnie każdego niemal dnia za ladajaki pozór, a czasem i bez pozoru. To waga była nieodpowiednia, to ryba nieświéża, to miejsce nieprawnie zajęte—słowem, musiałem się im tak często i tak hojnie opłacać, że interesa moje znacznie na tém ucierpiały.

Jednego razu, będąc w krytyczném położeniu, a mając całego majątku ogromną ilość stęchłéj ryby, któréj nikt kupować nie chciał, przypomniałem sobie, że moi dawni nauczyciele w fachu rybołówczém moczyli nieświéżą rybę w rozczynie sulemy. (*) Ingredyencya ta sprawiała taki skutek, że ryba, choćby najdawniejsza, traciła woń nieprzyjemną, nabierała koloru ponętnego, i w niczém niepodobna było odróżnić jéj od świéżéj.

Na nieszczęście, jeżeli pamiętałem nazwę ingredyencyi, nie mogłem w żaden sposób przypomniéć sobie ilości użytéj sulemy do nadawania świéżości towarowi. „Eh! co tam!“—pomyślałem,“—od przybytku głowa nie zaboli: im więcéj wsypię, tém lepiéj ryba wyglądać będzie.“ Wsypałem więc co się zmieściło. Jaka radość! moje sterlety, nalimy, okonie i jesiotry, przed chwilą zżółkłe, wywiędłe i cuchnące, zabłysły barwami szklistemi świéżości: skrzela im zaczerwieniały, ciało stężało, a bijąca od nich przed chwilą nieprzyjemna woń, ani trochę czuć się nie dawała.

(*) Sulema czyli sublimat (Hydrargyrum muriaticum corrosivum). (*Przyp. aut.*).

— Kupujcie, matuszki!—wołałem do przechodzących baryń; ryba doskonała, wyborna, tylko co złowiona!

I kupowały barynie, kupcy, mużyki, napełniając koszyki towarem, na który w wigilią dnia tego nikt i spojrzéć niechciał.

Jeszcze dzień nie doszedł do końca, gdy nad wieczorem umarł nagłą śmiercią jeden z bogatszych kupców miasta K***. W godzinę potém, przeniosła się na tamten świat cała rodzina pewnego urzędnika. Zaczęto przebąkiwać o dżumie, o cholerze, a tymczasem coraz nowe ofiary stawały się pastwą śmierci. Kilkunastu do różnych klass narodu należących ludzi, skonało w strasznych cierpieniach. Nad ranem przyszła wiadomość o podobnych wypadkach, zaszłych w okolicznych wioskach.

Wszyscy ci którzy tak nagle pomarli, jedli moją rybę zaprawioną sulemą.

Podobna okoliczność nie mogła nie zwrócić uwagi policyi: schwytano mnie, wtrącono do więzienia, a rozbiór znalezionego u mnie towaru, okazał oznaki trucizny.

Sprawa moja bardzo nie dobry obrót wzięła: mogłem się spodziewać stryczka lub co najmniéj, wiecznéj katorgi.

Na moje szczęście w więzieniu byli mołodcy mądrzejsi odemnie: znali oni dokładnie wszystkie wybiegi, jakiemi człowiek w najgorszém położeniu ratuje swoją szyję od powrozu, a swój grzbiet od knuta.

— Ty się nie wyłżesz batiuszka,—mówili. Choćbyś kłamał jak kaznaczéj, schwytany na zatraceniu kaziennych piéniędzy, dowody jeszcze głośniéj przeciwko tobie mówić będą: powieszą lub poszlą do kopalni, to jest rzecz niezawodna.

— Hospodi pomiłuj!—wołałem z przerażeniem, żegnając się nabożnie.

— Masz tylko dwa sposoby do ocalenia skóry: wykupić się...

— Nie mam ani kopiéjki przy duszy...

— To się nie wykupisz, bratku — zostaje więc tylko jeden sposób...

— Gadajcież...

— Ale do tego potrzeba wielkiego rozumu...

— Gadajcież na miłość boską!

— Musisz udawać waryata. Ogolą łeb, przystawią bańki, zwiążą jak barana i odeszlą do szpitala. Nie szczególne tam życie pomiędzy sumaszedszymi, ale zawsze lepsze jak w kopalniach.

Zacząłem prosić i błagać moich towarzyszy, żeby mnie wyuczyli jak się wziąć do rzeczy—a poczciwi towarzysze nie byli obojętnymi na moje prośby.

W przeciągu kilku dni obznajmili mnie ze wszystkiemi narowami człowieka, cierpiącego pomięszanie zmysłów. Pokazywali mi, jak oczy przewracać, jak krzyczéć, jak wymawiać jedne i te same wyrazy bez sensu i związku — a ja powtarzałem za nimi zadaną lekcyę: naśladowałem mimikę, gwałtowne ruchy, nauczyłem się na pamięć kilku dziwnie brzmiących a bez żadnego znaczenia wyrazów, słowem starałem się jak można najlepiéj skorzystać z nauki.

Gdy osądzili, że już dostatecznie jestem przygotowany do odegrania nauczonéj roli, dali mi zażyć jakiegoś białego proszku, od którego twarz zaczerwieniła mi się chorobliwie, a przyśpieszone tętna pulsacyi przedstawiały stan gorączkowy. Jednocześnie zacząłem krzyczéć przeraźliwie, wijąc się na podłodze, i roztrącając wszystkich zbliżających się do mnie. Przyszedł dozorca, plunąłem mu w twarz, przyszedł dyrektor więzienia, zaśmiałem się dziko, wymawiając bez związku wyrazy.

Posłano po doktora.

Doktór długo mnie opatrywał, poczém kazał przenieść do osobnego pokoju, ogolić głowę i obłożyć ją lodem.

Robiono ze mną różne próby: obiecywano natychmiastową wolność, podchwytywano ze snu w odpowiedziach; ale ja, nauczony od towarzyszy, nie wychodziłem nigdy z przyjętéj roli. Na wszystkie zapytania odpowiadałem:

— Ryba! ryba! ryba!

I ustami naśladowałem plusk wody, a ramionami ruszałem niby skrzelami płynącego wodą płazu.

W końcu odesłano mnie do szpitala waryatów.

Nie wiem jak tam w waszym kraju urządzone są te

przytułki dla cierpiących pomięszanie zmysłów, ale u nas gorsze są one od najsroższego więzienia. (*).

Ciasnota, niechlujstwo, obrzydliwe jedzenie, niedbalstwo i nieumiejętność lekarzy, a co najgorsza samowolność służby i posługaczy, czynią z tych domów istne piekło. W więzieniu pozostaje jeszcze dla aresztantow prawo skargi; dozorcy i smotrytiele wiedzą dobrze, że jak przebiorą miarę w swoich nadużyciach, mogą wywołać śledztwo i być wypędzonymi, w szpitalach zaś waryatów, téj obawy nie mają. Tu nikt skarżyć się nie będzie; a choćby zresztą i podniósł się jaki głos wołając o sprawiedliwość, któż go usłucha? Wszakże to głos waryata, który w roztrojeniu umysłowém, sam nie wié co gada.

Dla tego téż zarząd miejscowy robi z nieszczęśliwymi co chce, i zawsze pewnym jest bezkarności.

Cały szpital podzielony jest na dwie części: żeńską i męzką. W pierwszéj panuje despotycznie dozorczyni, stara, pijana zawsze baba, ze swemi pomocnicami, po większéj części z najohydniejszéj klassy kobiét pochodzącemi—w drugiéj dozorca z posługaczami. Każda część mieści w sobie dwa przedziały: jeden dla szalonych, drugi dla spokojniejszych. Umieszczenie w jednym lub drugim z tych przedziałów zależy zupełnie od kaprysu lekarza, który stosownie do swego usposobienia, humoru lub instynktu, pisze w kontrolnéj księdze „furia" lub „melancholia;" innych nazw ani odcieni on nie zna: dla niego tylko te dwie ostateczności istnieją.

Szalonych lub uznanych za takich, wiążą w powrozy a nawet kują w łańcuchy; spokojniejsi mogą się przechadzać po sali, ale przy najmniejszym wybryku podlegają srogiemu biciu piérwszego lepszego posługacza. Łagodność w postępowaniu z chorymi zupełnie tam nieznana; postrachem tylko i groźbą utrzymuje się porządek i karność. Do-

(*) Należy pamiętać że opowiadający żebrak był bardzo starym, że zatém bytność jego w szpitalu obłąkanych dawnych sięgała czasów. Obecnie bowiem wszystkie szpitale obłąkanych w Rossyi wzorowo są urządzone. Troskliwe staranie pełnych poświęcenia lekarzy, i łagodny systemat obchodzenia się z chorymi sprawiają, że wielu obłąkanych odzyskuje zdrowie, i wraca zupełnie wyleczonymi na łono rodziny.

(*Przyp. aut.*).

dawszy do tego chciwość dozorców, którzy za kilka kopiejek, gotowi są w każdéj chwili dostarczyć rozpalających napojów, pojmiecie łatwo, że jeżeli kto ze szpitala wychodzi, to tylko pomiędzy cztérema deskami na cmentarz. O wyleczeniu z choroby i mowy być nie może.

Nie będę opisywał, com tam wycierpiał; powiém tylko, że zgnębiony, przygnieciony nieszczęściem, które było nad moje siły zapominałem częstokroć o przyjętéj roli — mówiłem rozsądnie, myśląc że poznają się na moim wybiegu i odeślą pod sąd, a ztamtąd do katorgi lub na szubienicę.

Ale niestety! dostać się tam bardzo łatwo—wydobyć prawie niepopobieństwo.

Dwa lata biédowałem w téj otchłani: gdy nowe rozporządzenie władzy dozwoliło mnichom nawiédzać obłąkanych, i próbować na ich umysłach wpływu religijnego. Do naszego szpitala przychodził dwa razy w tydzień jeden zakonnik, i prawił nam nauki pobożne. Nikt wywodów jego nie rozumiał. Waryaci przyjmowali go dzikim śmiéchem, poskramianym tylko od czasu do czasu pletnią dozorcy, lecz ja w tym mnichu widziałem deskę ocalenia.

Słuchałem go z uwagą, zadawałem rozsądne zapytania, a co najważniejsza udawałem rodzaj pobożnego natchnienia, i pociąg nieprzezwyciężony do życia klasztornego.

W to graj mnichowi! Uszczęśliwiony, że nauki jego chociaż raz jeden w las nie poszły, wystarał się o przeniesienie mnie jako na wpół uzdrowionego zbawiennym jego wpływem, do klasztoru, gdzie nowicyat miał przygotować nowego prozelitę do stanu mającego dla mnie taki powab.

Ujrzałem się więc w monastyrze: zarzucono mi kaptur na głowę, kazano zamiatać korytarze, nosić wodę i uczyć się żywotów świętych Mitrofanów.

Stan taki byłby dla mnie znośnym, zwłaszcza po życiu w szpitalu obłąkanych, gdyby nie strawa, która była jeszcze gorszą od szpitalnéj, plagi jakie odbiérałem przy nauce nie mającéj dla mnie żadnego powabu, a najwięcéj brak zupełny wódki, do któréj się w domu waryatów przyzwyczaiłem; nadto siedzenie po nocach i pilnowanie ciał umarłych, było dla mnie nieznośném.

Właśnie miałem zadanie wyuczyć się życia jednego ze świętych, który, prześladowany przez Tatarów, schronił się ucieczką w Orenburgskie obszary.

— Czegóż bym ja nie mógł uciec, kiedy święci uciekali! pomyślałem w duchu. Niedługo nad tém przemyśliwałem. Jednego wieczoru, widząc że nikt na mnie nie zważa, cisnąłem habit i kaptur, a wziąwszy nogi zapas, puściłem się w świat gdzie oczy poniosą.

Znalazłem się w lesie sam, głodny, bez pieniędzy—prawie bez odzienia, obawiając się co chwila pogoni, schwytania, śledztwa i kary.

Ale i z tego trudnego położenia wyszedłem. Jak wyszedłem, długoby wam było opowiadać; dodam tylko, że w pół roku po mojéj ucieczce z klasztoru, znajdowałem się w Moskwie z kilkuset rublami w kieszeni.

Co to była za hulanka, ten tylko pojąć zdoła, kto wié czém jest nasza poczciwa matuszka Moskwa dla człowieka mającego czém zapłacić swoje zachcenia. Żyłem jak baryń: jeździłem rysiego, odziéwałem się w wilczą szubę z kołnierzem na pół łokcia długim, jadałem bliny z kawiorem, piłem nalewkę, i miałem służącego którego biłem dwa razy na dzień, odwdzięczając się na jego skórze za wszystkie plagi, odbiérane przez dozorcę szpitala i przez zakonników.

Ale ruble prędko wychodzą z kieszeni przy takiém życiu. Po kilku tygodniach zacząłem się macać, i namacałem zaledwie kilka papiérków. Źle—trzeba pomyśléć o sobie. Co tam! pomyślimy potém, a tymczasem warto jeszcze pohulać. Zjadłszy porządnie, wypiwszy jeszcze porządniéj, los czy téż opiekujące się mną przeznaczenie, zaprowadziły mnie przed drzwi głównego teatru. Za ostatniego rubla kupiłem bilet i wtłoczyłem się wraz z innymi do sali. Grano jakąś sztukę, w któréj główny aktor przedstawiał waryata. Z trudném do opisania zajęciem, pomimo wyziewów alkoholicznych, które zaciemniały mój umysł, śledziłem grę jego—i cóż powiécie? Wśród szumu oklasków, jakie grzmiały w sali, znalazłem ją lichą, nędzną, w porównaniu z odgrywaną przezemnie komedyą przed laty w aresztanckiém więzieniu.

Zasłona zapadła wśród krzyków i wywoływań zachwyconéj

publiczności, a ja, owładnięty nową myślą, pytałem wychodząc o mieszkanie dyrektora teatru. Wskazano mi je.

Dyrektor przyjął mnie grzecznie, bom był porządnie ubrany, a ubiór i mina wszędzie ma swoje znaczenie, tém bardziéj w naszéj matuszce Moskwie, gdzie poczciwego oberwańca wytuzują i wpakują na odwach — a eleganta oszusta nazwą: „wasze błahorodie!“

Przedstawiłem dyrektorowi moje żądanie przyjęcia mnie w poczet artystów teatru.

Mówiłem tonem stanowczym, pewnym siebie, wyśmiéwałem ironicznie grę aktora, który takie zadowolenie przed chwilą wywołał; widocznie sprawiłem na nim wrażenie.

Ale jeszcze się wahał. On każdego dnia tyle podobnych mojemu żądań odbiéra, że nie można bynajmniéj dziwić się tego niedowiarstwu.

Trzeba było chwycić się stanowczego środka.

Cofnąłem się w głąb pokoju, i za chwilę z rozczochranymi włosami, stojącemi w słup oczami, przystąpiłem do niego i uchwyciwszy za rękę, zacząłem wymawiać wyrazy przerażające swoją dzikością.

— Co to znaczy?—zawołał wystraszony.

Na to zapytanie odpowiedziałem śmiéchem—ale śmiéchem tak strasznym, tak okropnym, iż zdawało się, że to nie człowiek lecz sam szatan śmieje się.

Przerażony dyrektor sięgnął do dzwonka.

— To nic—rzekłem łagodnie, zmieniając nagle wyraz twarzy—nie obawiajcie się: chciałem dać wam próbkę, jak należy szalonych przedstawiać na teatralnych deskach.

— Wybornie, doskonale!—krzyknął uradowany rzucając mi się na szyję—jesteś artystą w całém znaczeniu tego wyrazu.

I bez żadnéj trudności, przyjął mnie w skład swojéj truppy.

Za kilka dni nastąpiło przedstawienie téjże saméj sztuki, ale tym razem ja miałem odgrywać główną rolę.

Opisywać wam zapał publiczności w czasie tyle pamiętnego dla mnie wieczoru byłoby rzeczą niepodobną; powiém tylko, że zachwycenie widzów nie miało miary ni granic.

Sala drżała od oklasków, a krzyku i wywoływania końca nie było.

Dano mi przyzwoitą pensyę, porządne mieszkanie, ale zarazem obarczono ogromną liczbą ról, których od rana do wieczora uczyć się należało. Obdarzony byłem od natury bystrą pamięcią, ale ochoty do nauki nie miałem. Z początku bawiło mnie to wszystko jako nowość, lecz po pewnym przeciągu czasu zacząłem się opuszczać. Zbyt wiele rachowałem na suflera, i z tego powodu popełniałem omyłki, które z razu łaskawa na mnie publiczność przyjmowała z pobłażaniem, ale w końcu zniecierpliwiona zaczęła szemrać. Co więcéj, oprócz niepospolitego talentu do udawania waryatów i odgrywania jako tako złoczyńców i zdrajców, nie miałem najmniejszéj zdolności do przedstawiania innych charakterów. W repertuarze różne są sztuki, nie podobna dobiérać zawsze takich, w którychby ludzie szaleli, mordowali się lub truli; dawano mi więc rozmaitego rodzaju role, a ja je odgrywałem zawsze na jeden i tenże sam temat. Kochankowie, których przedstawiałem, podobnymi byli do złodziei, znajdujących się na indagacyi komissyi śledczéj, poczciwi ojcowie, do katorżników zbiegłych z kopalni, a wielcy panowie do waryatów udających dygnitarzy.

Oprócz tego nie miałem żadnéj ogłady towarzyskiéj: co chwila obrażałem kolegów swoich grubiańskim tonem i wyrażeniami, do których od młodości przywykłem. Nie lubiono mnie. Dyrektor spostrzegł, że ławki teatralnéj sali zaczęły się opróżniać, ile razy wystąpić miałem; bez wielkich więc ceremonii oznajmił mi pewnego poranku, że umowa moja z nim kończy się za dwa tygodnie, i że po upływie tego czasu przestaję należéć do jego truppy.

Trzeba było pomyśléć o dalszym swym losie. Widząc, że karyera dramatyczna dla mnie jest zamkniętą, chwyciłem się innéj drogi dla zapewnienia sobie przyszłości.

Od piérwszych chwil mego artystycznego zawodu, w czasie każdego przedstawienia, na którym występowałem, jedna z lóż najbliższych sceny zajęta była przez starą, chudą, wyżółkłą wdowę po jakimś sowietniku. Ta żyjąca mumia nie puszczała ze mnie swego wzroku: obrzucała olbrzymiemi

bukietami, w których znajdował się zawsze jakiś bilecik wyrażający nader czułe dla mnie uczucia. W chwilach powodzenia, nie zwracałem uwagi na tę afekta przedpotopowego straszydła, i śmiałem się ze staréj zalotnicy; gdy jednakże los zaczynał mi niedopisywać, gdy ujrzałem zbliżającą się chwilę, w któréj na nowo zostanę bez przytułku i sposobu do życia, przestałem śmiać się z baby: na czułe spojrzenia odpowiedziałem jeszcze czulszym wzrokiem, na bileciki gorącemi listami, i w krótkim przeciągu czasu znalazłem wstęp do bogatych salonów staréj grzésznicy—a gdy termin ugody mojéj z dyrektorem teatru upłynął, przeniosłem się na dobre w charakterze sekretarza do mojéj czułéj opiekunki.

Odtąd życie moje upływało w dostatkach i wygodach. Jadłem dobrze, piłem jeszcze lepiéj, nic nie robiłem, towarzyszyłem babie po teatrach i spacerach, i byłbym zupełnie szczęśliwym, gdyby nie dwie wady staréj czarownicy, które mnie w każdéj chwili prześladowały.

Była skąpą i zazdrosną.

Dawała mi wprawdzie jeść i pić, ubiérała jak barynia, ale piéniędzy udzielić mi nigdy nie chciała; oprócz tego nie mogłem spojrzéć na jakąkolwiekbądź młodą kobiétę, ażeby jędza w téj chwili nie wybuchnęła płaczem i wyrzekaniami, wyrzucając moją niewdzięczność, przypominając swoje dobrodziejstwa, grożąc wypędzeniem. Z początku znosiłem to wszystko z cierpliwością, wiedząc jak trudno jest żyć na świecie człowiekowi, który nie ma ochoty pracować; ale w końcu przebrała się miara: nastąpiły kłótnie, swary, i przyszło nareszcie do tego, iż pewnego wieczoru ujrzałem się na ulicach Moskwy, bez opieki, bez kopiéjki przy duszy, a co więcéj bez najmniejszéj ochoty zajęcia się czémkolwiek dla zabezpieczenia sobie losu.

Ale Moskwa ludna i bogata, w niéj nikomu nie ciasno, i aby tylko znalazło się trochę rozumu w głowie, to człowiek da sobie zawsze radę. Próbowałem tego i owego, byłem tu i tam, przechodziłem różne koleje. Służyłem u kupca, zajmowałem się drobnemi spekulacyami, fabrykowałem lekarstwa na wszystkie słabości, trzymałem oberżę, byłem przy statku parowym, i lata tak mijały jedne za drugie-

mi, aż w końcu przyłączono mnie do partyi i posłano w Sybir.

Na Syberyi, batiuszka, ten tylko może żyć kto ma piéniądze; kto zaś ich nie ma, musi albo walać się w czarnéj robocie, albo téż chodzić za jałmużną. Do zajęcia się robotą nigdy najmniejszéj nie miałem ochoty—już taka moja natura: wolałem więc pójść z kijem i z torbą. Ciężkie to życie; lepiéj było u staréj wiedźmy, lepiéj nawet w monastyrze, ale cóż robić? już to takie zrządzenie boże.

Kiedy dziadowina skończył swoją historyę, którą tu tylko w treści podałem, rzekłem do niego:

— Widzę dziadku, żeście wszystkiego na tym świecie próbowali, i chociaż koleje życia waszego tak bogatego w wypadki mogłyby lepiéj się obrócić, przecież cieszy mnie to, żeście ani razu nie dopuścili się kradzieży.

— Ah! batiuszka, to się robi, ale się nigdy o tém nie gada. U nas wszyscy kradną, tylko w tém różnica, że bogaty złapany na uczynku opłaca się piéniędzmi, a biédaka wysyłają na północ w te śniegi.

— A na Syberyi?

— Na Syberyi to samo, ale tu niéma wielkiéj pociechy dla obrotnego człowieka, bo tu wszystko, kończy się tylko na nożu lub pałce: pożytek bardzo mały, a ryzyko wielkie.

— Prawdę mówicie, że ryzyko wielkie—rzekłem z przyciskiem, bawiąc się od niechcenia mojemi skałkowemi pistoletami.

— Ot—dodał dziadowina, uśmiéchając się chytrze—te cacka, które trzymacie w ręku, lepiéj jak wszelkie słowa dowodzą, że prawdę powiedziałem.

A zabierając się do wyjścia rzekł jeszcze:

— Nakarmiliście dziada, daliście mu jałmużnę, a dziad wywdzięczając się za to, da wam małą przestrogę: Nie wypuszczajcie nigdy z rąk tych cacek, i oglądajcie zawsze wieczorem czy zapały świéżym podsypane prochem...

Nie zatrzymywałem dłużéj *poczciwego* staruszka.

MODY I ZWYCZAJE TOWARZYSKIE NA SYBERYI.

Moda jak wiadomo jest naśladownictwem. Powstaje niewiadomo zkąd, tworzy się niewiadomo gdzie, żyje niewiadomo jak długo, i w końcu umiéra ustępując miejsca zrodzonéj w chwili jéj skonu nowéj fantazyi. Źródła jéj nikt nię jest w możności wynaleść: bywa ono na ulicy, w buduarze znanéj powszechnie piękności, lub w pracowni poszukiwanego krawca. Czasem źródłem tém staje się jaki skandaliczny wypadek, czasem fakt historyczny, czasami znów głośna pod jakimkolwiek bądź względem osobistość. Gdy moda poczęła swoje efemeryczne istnienie w uprzywilejowanéj stolicy, rozbiega się w mgnieniu oka po wszystkich krajach i zakątkach Europy, dyktując wszędzie despotyczne swe prawa. Głównemi punktami jéj oparcia się, są wielkie miasta, filjami małe miasteczka; wieś tylko jedna, ze swojemi mieszkańcami zajętemi pracą około roli pozostaje na stronie, zachowując dawne zwyczaje, przywyknienia, ubiór, i nie zwracając uwagi na przelotne wymagania téj fantastycznéj i kapryśnéj władczyni świata.

To się dzieje na wszystkich punktach kuli ziemskiéj.

Gdzie tylko cywilizacya wnika za pomocą wzajemnych stosunków, sąsiadujących ze sobą narodów, lub ramion kolei żelaznych, tam łączy ona ze sobą wyobrażenia różnych ludów, i sprowadza do jednéj powierzchownéj normy ich obyczaje. Moda panująca samowładnie w Europie, dociera wszędzie, gdzie tylko żyją ludzie europejskiego pochodzenia. Afryka północna, środkowa Ameryka z powodu zbliżenia swojego ze starym światem, posiadają pod tym względem wszystkie zewnętrzne jego cechy. Na ulicach Algeru, Konstantyny, w salonach Nowego Yorku i Filadelfii, widziéć można to samo co w Paryżu, Wiedniu, Berlinie; bo jeżeli wśród pierwszych przemknie czasami biały burnus araba pustyni, a w drugich zaczerni hebanowa twarz murzyna, to są wyłączności miejscowe, niezmieniające bynajmniéj ogólnego typu ludności.

Inaczéj mają się rzeczy na Syberyi: tam niezmierne oddalenie od stolic dyktujących prawa zwyczajowi, nie jest skróconém przez szyny drogi żelaznéj, warunki klimatyczne powstają nieraz przeciw najgorętszém chęciom naśladownictwa zachodu, a przecież i w tych podbiegunowych krajach mieszkają damy, nie chcące odstąpić od ogólnéj zasady, jakiéj podlega płeć piękna wszystkich niemal stron i zakątków kuli ziemskiéj.

Moda na Syberyi przypływając z zachodu, zawsze spóźniona a częstokroć zmieniona prawie nie do poznania, ma także swoje główne przedstawicielki, kierujące zaaklimatyzowaną na obszarach północy potęgą, i liczne prozelitki, które zapatrując się na wzmiankowane powyżéj wyrocznie, przejmują z drugiéj już ręki wszelkie nowo pojawiające się zwyczaje. Pierwsze z nich żony lub córki bogatych poszukiwaczy złota, zamożniejszych urzędników, biorących rozbrat ze staroświeckiemi obyczajami kupców, zamieszkują zwykle większe miasta, jak Tomsk, Tobolsk, Krasnojarsk, Irkuck, prenumerują żurnale petersburskie lub czasem paryzkie, i przy ich pomocy starają się utrzymać w swych rękach berło smaku, dobrego tonu, jakotéż zewnętrznych oznak przyjętego w Europie ubioru. Drugie należące do rodzin niższéj hierarchii czynowników, mieszkają po małych miasteczkach a czasem nawet i wsiach, i jako planety błyszczą-

ce światłem zapożyczonem od słońca, jaśnieją renomą przejętą od koryfeuszek.

Zdawać by się mogło, że moda europejska przychodząc na Syberyą w opasce pocztowéj, pod postacią któregokolwiek z żurnalów, dającego mniéj lub więcéj dokładne wyobrażenie o niéj, spóźniwszy się o jeden miesiąc, to jest o tyle ilę potrzeba czasu poświęcić na przebycie tysiąco-milowéj przestrzeni, przybędzie w krańcowe obszary północy taką, jaką ją utworzył krawiec paryzki lub elegantka bulwarów; tymczasem rzecz ma się zupełnie przeciwnie.

Klimat, zwyczaje miejscowe, pewne odrębne gusta i wyobrażenia, a najwięcéj może wpływ krawców i szwaczek Syberyjskich, przekształcających wszelkie szczegóły stosownie do swych pojęć, sprawiają, że owa brzegów nadsekwańskich królowa, zjawia się nad Irtyszem lub Jenisejem w postaci tyle podobnéj do początkowego pierwotworu, jak podobnym jest człowiek do protoplasty swego podług systematu Darwina, tylko w odwrotnym stosunku.

Wszystko tam jest przesadzone: jeżeli Camargo to już ogromne jak wiatrak, jeżeli kapelusik to już maleńki jak łupina od włoskiego orzecha. W czasie panowania koków, owe ozdoby głowy niewieściéj, utworzone samorodnie bez pomocy fryzyerów, z różnego rodzaju odpadków stajennych, piętrzyły się niby hełmy recerzy średniowiecznych lub godła baszów o trzech buńczukach; a kapelusiki spuściwszy się na nos, obrały tam stałe siedlisko. Oprócz tego, zamiłowanie do kolorów jaskrawych przejęte od Tatarów i Mongołów, wyradza razem z przesadą mód przejętych z zachodu, odrębną zupełnie cechę; a klimat dorzucając do wspomnionych zawikłań despotyczne swoje wymagania, w postaci rozlicznego rodzaju futer i nieestetycznego kroju szub, dopełnia reszty.

Gdy się to dzieje w pierwszorzędnych miastach, gdzie koryfeuszki mody otrzymując z kantorów pocztowych wzory, z których wytwarzają następnie podług swego gustu i usposobienia miejscową normę, cóż się dziać musi po małych miasteczkach, wsiach, osadach i stannicach, gdzie rozliczne prozelitki wierząc ślepo gubernialnym wyroczniom, przejmują

od nich przekształcone nie do poznania formy strojów i ubiorów.

Tam fantazya zmienia się w szał, niestetyczne wybryki w dziwactwo, a przesada w karykaturę.

Pomimo tego nigdzie może na świecie moda nie ma tyle zwolenniczek. Wyjąwszy inorodców trzymających się stale dawnych obyczajów, wszystkie klassy społeczeństwa biją korne pokłony przed owém bożyszczem, któremu podróż po stepach odjęła pierwotne cechy, zrobiwszy zeń jakiś odrębny typ tchnący blizkością koła biegunowego. Nawet włościanki zachowywające we wszystkich krajach swe narodowe stroje, podlegają na Syberyi ogólnemu prądowi naśladownictwa, a ujrzawszy jaką miejską elegantkę, starają się o ile mogą, o ile umieją przyswoić sobie krój i kształty jéj stroju, fasonu i sposobu noszenia ubioru.

Jeżeli jednak powierzchowne kształty damskiéj toalety przechodząc różne przeobrażenia i koleje, odbiegają w końcu zupełnie od swych pierwotnych źródeł, cóż dopiero powiedziéć można o towarzyskiéj formie, która także stanowi bezpośrednią część mody, gdyż wypływa z powszechnie przyjętéj i przez ogół uznanéj normy. Wśród tak zwanych arystokratycznych salonów Syberyi tańczą np. wszystkie europejskie tańce, zacząwszy od polki tremblante aż do lansiera, i wykonywają je nawet z pewném odcieniem przypominającym Mabille paryzki; a jednakże jeżeli europejski przybysz wejdzie do tutejszego zebrania, uderzony zostanie zaraz na wstępie mnóstwem miejscowych obyczajów, nie mających najmniejszego związku z tém, co przywykł widziéć z tamtéj strony Uralu. Panny zaproszone do tańca odmawiają bez ceremonii jednym, wybierając stosownie do swego widzimisię drugich tancerzy, a odprawiony zwolennik terpsychory, widząc jak szczęśliwszy współzawodnik zabiera zaangażowaną przez niego poprzednio tancerkę, nie czuje się bynajmniéj obrażonym, i idzie daléj próbować szczęścia. Pokłon damski zastąpiony bywa kilkakrotném kiwnięciem głowy; co przy sztywném wyprostowaniu i nieruchomości reszty ciała, nadaje salonowém pięknościom pozór porcelanowych chińskich figurek, zdobiących europejskie buduary. Przywitanie angielskie przez podanie

ręki stało się prawdziwém nadużyciem: przybyły w towarzystwo mężczyzna podaje rękę nie tylko znajomym, ale wszystkim bez żadnéj różnicy, pierwszy raz widzianym osobistościom, obchodząc z kolei całe grono i nie pomijając nikogo. W każdém zgromadzeniu znajdują się oddzielne salony dla kobiet i mężczyzn: linia demarkacyjna wschodnim utworzona obyczajem, a oddzielająca dwie płcie rodzaju ludzkiego na dwa obozy, jest wprawdzie na pierwszy rzut oka nieznaczną i zaledwie dostrzeżoną, drzwi nawet obydwóch pokoi nie bywają nigdy zamknięte; ale w gruncie rzeczy, granica jaka dzieli płeć męzką od żeńskiéj, jeżeli nie staje się niepodobną to przynajmniéj trudną jest do przebycia. Odwieczny obyczaj, niby niepokonany Cerber stoi tam ciągle na straży, przeszkadzając stanowczemu zlaniu się w przyjacielskie grono wszystkich uczestników towarzystwa. Konwencyonalne frazesa w danych razach używane, są zawsze jedne i te same, tak, że naprzód wiedziéć można co się usłyszy, jakie zapytanie się odbierze, i jaką odpowiedź otrzyma. Dziękowanie z kolei gospodarzowi i gospodyni domu każdego z gości po śniadaniu, obiedzie, lub kolacyi za poczęstunek, lub téż użycie przy powtórném zachęcaniu do przyjęcia posiłku w miejsce prostego wymówienia się takich np: wyrażeń: „nie chcę!..“ „najadłem się!“ i t. p. razi na wstępie każdego nieprzywykłego do podobnych form towarzyskich europejczyka.

Francuzki język który mało kto posiada, uważanym jest tu za *non plus ultra* dobrego tonu, wykształcenia i smaku. W niektórych zakładach naukowych żeńskich jak np. w Krasnojarsku, Irkucku znajdają się córy Gallów, które znudzone piastowaniem godności bon w Rossyi Europejskiéj, przybyły na Syberyą, ażeby odrazu zdobyć stanowisko nauczycielek. Takie przeflancowane w stepy północne egzemplarze, wypełniają włożone na siebie obowiązki, ucząc oddane im dla salonowego wykształcenia wychowanki, mnóstwa frazesów i oderwanych wyrazów, wymawianych z mocnym langwedockim lub burgundzkim akcentem. Im większą posiada pamięć uczennica, tym więcéj włożono jéj w głowę rozmaitego kalibru urywków rozmowy; tak, że po skończeniu kursu nauk, wychodzi na świat boży opatrzona mniejszym lub większym

zapasem wokabuł, których znaczenia najczęściéj nierozumiejąc, używa na chybi trafi w rozmowie, i przywłaszcza sobie tym sposobem palmę salonowego pierwszeństwa.

Matki, a szczególniéj ojcowie nadzwyczajnie się pysznią francuzczyzną swoich córek, i w danych wypadkach usłyszawszy ów dzwięk tym dla nich przyjemniejszy im niezrozumialszy, nie są w stanie niczego odmówić tak wysoko wykształconém dzieciom.

Opowiadano mi, że pewnego razu jedna panienka, córka wyższego urzędnika, skończywszy pensyę, pokochała bardzo nizkie zajmującego stanowisko w hierarchii administracyjnéj młodzieńca. Ojciec jéj przejęty ważnością zajmowanej przez siebie posady, ani słyszéć nie chciał o małżeństwie nieodpowiadającém jego ambicyi i powziętym na przyszłość widokom; córka zaś jak to zwykle w podobnych wypadkach bywa, oblewała gorzkiemi łzami stracone nadzieje.

I byłaby tak dłngo oddawała się czarnéj rozpaczy, gdyby jedna z jéj szkolnych przyjaciółek a zarazem i powiernica, wzruszona tyle straszném nieszczęściem, nieporadziła przygnębionéj niepowodzeniem koleżance poprosić jeszcze ojca o zezwolenie, ale tym razem w języku francuzkim. Uznawszy trafność téj rady, młoda dziewica stanęła przed dawcą swego życia w błagalnéj postawie, i zawołała z tragicznym gestem:

— „Du temps!“

Ojciec usłyszawszy miły dźwięk nadsekwańskiéj mowy, odsunął na stronę urzędowe dokumenta, i wlepił wzrok w tyle mu zaszczytu przynoszące swojém wychowaniem dziecko, gdy tymczasem ona ciągnęła daléj rozdzierającym głosem:

— „Il fait beau, il y a du vent, il nège, il gêle, il pleut: prenez votre parapluie et allez vous promener!“

— „Dobrze, dobrze kochana córko!“ zawołał rozczulony ojciec, ociérając łzę spływającą mu po licu—stanie się wszystko według twego życzenia. Idź za niego... daję wam moje rodzicielskie błogosławieństwo!

Późniéj zaś rozpowiadał znajomym:

— „Nigdybym nie był zezwolił na to małżeństwo, ale jak mnie zaczęła prosić tak pięknie i to jeszcze po francuzku, nie miałem siły odmówić.

Do efemerycznych płodów dziewiętnastego wieku należy także tak zwana lwica. Ten typ urodził się w Paryżu przed dwudziestu kilkoma laty. Królował czas jakiś, i ustąpił wreszcie miejsca postaci więcéj tendencyonalnéj, czerpiącéj swój charakter w nowo pojawiających się ideach usamowolnienia płci żeńskiéj.

Emancypacya kobiét, w powierzchownych nawet oznakach, nie mogła nigdy znaleść zastosowania wśród obszarów północy, gdzie ludzie mało czytają, mniéj jeszcze rezonują, i wcale nie zajmują się społecznemi kwestyami. Miejsce emancypatek zastępują w Syberyjskiem towarzystwie przebrzmiałéj sławy lwice. Oryginalna ta postać skarykaturowana miejscowemi wpływami, zajmuje ważne stanowisko w kronice mody, dobrego tonu i wykwintnego smaku podbiegunowych przestrzeni. Jest to zjawisko które na równi z zorzą północną, widziéć tylko można pod pewnym stopniem szerokości geograficznéj.

Lwica (franticha) Syberyjska, w niczém nie jest podobną do swego paryzkiego pierwotworu. Odrębne stosunki, wychowanie, wyobrażenia a nawet i klimat są powodem téj różnicy. Przedewszystkiem kobiety tych stron przywykłe od najmłodszych lat życia do krzątania się w pewném ograniczoném kółku, zachowują nawet po przyjęciu zewnętrznych cech wyżéj przytoczonego typu, dawne swoje przywyknienia. Nie ganię tego bynajmniéj, zamiłowanie bowiem do pracy przynosi zaszczyt każdemu członkowi społeczeństwa, w jakiéjkolwiek by on się sferze znajdował; ale połączenie niektórych prozaicznych zajęć domowego gospodarstwa z fantazyami ubioru, przesada w gestach i mowie, tworzy obraz dziwny, nienaturalny, godny pędzla Hogarta lub ołówka Chama.

Ta sprzeczność na każdym kroku widziéć się daje.

Promienie kuchennego ogniska, mają dla Syberyaczki niewysłowiony pociąg. W danéj chwili, gdy otoczona gośćmi, w paradnéj atłasowéj lub jedwabnéj sukni o długim

ogonie, uczuje potrzebę usmarzyć jakiego blina, porzuca towarzystwo i niezmieniając stroju oddaje się ulubionem zatrudnieniom. Tym sposobem zajęcia któreby biegła w swym fachu kucharka i żwawiéj i lepiéj uskuteczniła, przyprawia ją o stratę lub przynajmniéj uszkodzenie kosztownego ubioru. Lubiąc nadewszystko kupowanie wiktuałów po targach, dopełnia zawsze téj czynności w pysznéj i wspaniałéj toalecie, wywołującéj podziw i zachwycenie wszystkich bab wiejskich, wszystkich mużyków bazarnego placu. Sprzeczność jaka wynika z zespolenia téj żurnalowej postaci, z przedmiotami zapełniającemi brudne targowisko Syberyjskiego miasteczka, tchnie nieporównanym komizmem. Niepodobna bez uśmiechu spojrzéć na owo podbiegunowe zjawisko, trzymające w ręce pokrytéj paljowemi rękawiczkami baranią lub wołową pieczeń, lub studyujące przez lornetkę wszystkie niedostatki chudego prosięcia.

Lwica syberyjska konno nie jeździ, z pistoletu nie strzela, romansów nie czyta: pali tylko namiętnie papierosy, śpi większą część dnia, i gra w karty większą część nocy. Na nerwy nie choruje nigdy, lubi czasem popijać nalewkę, męża swego obawia się tylko wtenczas, gdy tenże powraca do domu w nietrzeźwym stanie, a rozgniewana używa wyrażeń grzeszących brakiem wszelkiéj estetyki. Czasami, lecz to nader rzadko, pragnie wyjść z właściwéj sobie sfery, i podnieść w rozmowie innego rodzaju kwestye, jak miejscowe ploteczki lub sąsiedzkie nieporozumienia. Wtedy tworzy się istny chaos. Mianowicie w czasie trwania wojny francuzko-niemieckiéj, kiedy cała płeć męzka zajęła się szczegółami téj morderczéj walki, i ona także pragnąc iść za ogólnym popędem, i pokazać że ją zajmuje polityka, jęła powtarzać słyszane przypadkowo nazwiska, ubarwiając je szczegółami dopasowanemi do nich na chybi trafi. Sam słyszałem opowiadane tym sposobem nader zajmujące fakta o spaleniu domu Mac-Machona, o walnéj bitwie jaką stoczył waleczny generał Thiers pod Strasburgiem, i o rozstrzelaniu przez prusaków zakorzeniałego rewolucyonisty Moldt'kego.

Wspomniawszy o niektórych zarysach charakteru i obyczajów północnéj elegantki, wypada nam jeszcze powrócić

do zewnętrznych cech królującéj na Syberyi mody. Klimat, jak już wyżéj powiedziałem, wpływa także nie mało na przetworzenie zaczerpniętych z Europy wzorów. I to jest jedyną logiczną przyczyną, odstąpienia od przyjętéj w innych krajach normy. Pod tym stopniem szerokości geograficznéj, gdzie po krótkotrwałém lecie następuje długa, straszna zima, w czasie któréj wszystko co żyje na świecie zmuszone jest walczyć z czterdziesto-stopniowym mrozem, i moda także musi pomimowolnie naginać się do praw przez naturę ustanowionych. Jak owad ulegający licznym przemianom, tak i dobrego tonu dama przy każdéj wycieczce swojéj po za obręb domowych progów, zmienia swą postać, ale w odwrotnym zupełnie stosunku. Nagle z jaskrawego motyla, fruwającego po ogrzanych dobrze pokojach i cieplejszéj jeszcze kuchni, przekształca się w okutaną futrami poczwarkę. Ujrzawszy w czasie mroźnego dnia na saniach syberyjską elegantkę, trudno czasami nawet rozeznać do jakiéj płci należy. Do koła szuby i futra, na głowie sobolowy męzki kołpak, czoło owiązane, policzki zakryte, usta schowane, czynią ją podobną do jakiéjś niefortunnéj massy. Z pośrodka tego zbioru ochronnych środków, jeden nos tylko niby żyjący termometr, okazuje odmianą barw swoich stan temperatury.

Trudno zaiste pojąć przyjemności szlichtady przy podobnych warunkach klimatu, a jednakże jest to rozkosz za którą przepadają wszystkie bez wyjątku Syberyaczki. Począwszy od młodego dziecka, aż do zgrzybiałéj staruszki, każda kobiéta do jakiéjkolwiekby warstwy społeczeństwa należała, niezna nic milszego jak suwanie się po skrzysłalizowanéj powierzchni śniegu. Nic nie widzi, nic nie słyszy: zmartwiała, skostniała, bezwładna nieledwie od zimna, nie opuszcza przecież żadnéj sposobności, dającéj możność ponowienia swoich wycieczek.

Źródłem podobnéj przyjemności która się staje prawdziwą katuszą, jest moda. Płeć piękna Syberyi naśladując petersburgskie i moskiewskie damy, a nie pomnąc, że tam klimat jest nierównie łagodniejszym, pragnie koniecznie postępować w ich ślady. Pokazać swoje rysaki (najlichszy bowiem koń na Syberyi mianuje się rysakiem) swoją uprząż,

swoje sobole, stanowi pierwszy powód do téj walki z nieprzyjaznym stanem powietrza: naśladownictwo i przywyknienie dopełniają reszty.

W użyciu futer, nieodznaczają się tutejsze elegantki bynajmniéj wykształconym smakiem. Wprawdzie futra same przez się nie są ozdobą ale raczéj ochroną, przecież przez zręczne ich zastosowanie do innych części ubioru, można utworzyć pewną wdzięczną całość. Powłoki lisów tak zwanych czarnych czyli niebieskich, należą do najpiękniejszych okazów kuśnierskich na świecie: lekkie, puszyste, odznaczające się lśniącym połyskiem, łączą w sobie wszystkie zalety, i szczególniejszym sposobem podwyższają białość płci blondynek. Otóż tutejsze damy jasno-włose i modrookie w ogóle, nie umieją korzystać z tych wspaniałych darów północnéj fauny. Żyjąc w ojczyźnie czarnego lisa, rzadko bardzo i to tylko wyjątkowo, pozwalają sobie na podbicie salopy tym cudownéj piękności produktem puszcz syberyjskich. Nie czynią tego z oszczędności, ale powodowane powszechną rutyną, która im nakazuje iść za ogólnym prądem. Wprawdzie sobole zdobiące zimowe ich ubranie, należą także do nader pięknych futer, i po czarnych lisach drugie miejsce zajmują, ale szafowanie tą ozdobą stało się prawdziwém nadużyciem. Nie rzadko np. widziéć można suknie obszyte skrawkami sobolowéj skórki, chociaż podobny sposób upiększenia nie dodając ciepła, grzeszy zupełnym brakiem estetyczności w formie. Średniéj znowu zamożności kobiéty, używają bez wyjątku popielic, w które Syberya nadewszystko obfituje, tak grzbietowych jak i podbrzusznych. Te ostatnie koloru białego upstrzone przyszytemi końcami czarnych ogonków, naśladują cokolwiek gronostaje. Kołnierze szub i salop popielicowe z jednym lub dwoma rzędami ogonków wiszących, jest niefortunniejszym jeszcze wymysłem miejscowéj mody.

W ogóle brak estetycznego poczucia sprawia, że pomimo bogactwa świeżych materyałów w jakie obfituje Syberya, zastosowanie ich do ubioru nieodpowiada wyobrażeniom przyjętym powszechnie w Europie. I nie może być inaczéj, dobry smak wyrobić się tylko zdoła przez wzory; to co za-

wsze prawie mamy przed oczami, wrasta mimowolnie w myśl naszą i przetwarza nareszcie w osobiste poczucie. Jakkolwiek Syberyjskie damy, wiedzą bardzo dobrze, że kolébka mody znajduje się po nad brzegami Sekwany, Szprei, Dunaju, a nawet prędzéj w okolicach Newy i Wisły, niż Irtyszu lub Jeniseja, widok narodowych kostiumow żyjących Tatarów, Tunguzów lub Mongołów, wywiera na nich większy nierównie wpływ, niżeli widok martwéj ryciny żurnalów.

Pragnąc ślepo naśladować drugie, przybierają same o tém niewiedząc cechy pierwszych; a jaskrawe barwy strojów inorodców, ich olbrzymie czapki, monstrualne futra, dziwaczne, obszycie sukien, stają się głównym źródłem do wytworzenia odrębnego zupełnie od reszty świata gustu. Oprócz tego kupcy miejscowi, udając się dwa razy do roku na jarmarki Irbickie i Niżno-nowogrodzkie, powodują się w wyborze towaru swoim własnym smakiem, który jak to łatwo pojąć nie może być wyrobionym. Jedwabne i atłasowe materye przez nich przywożone, są zwykle rażących kolorów, szale o dziwnych deseniach, a kapelusiki oryginalnéj graniczącéj ze śmiesznością formy. Gdyby nawet wyżéj wymienione wpływy, nie oddziaływały mimowolnie na zatracenie wrodzonego każdéj kobiecie instynktu piękna, i tak zupełny brak stosownego wyboru, doprowadziłby do tego samego rezultatu. Kupująca wszedłszy do sklepu i nieznalazłszy tam nic odpowiadającego europejskim wymaganiom, zmuszoną jest zadawalniać się tém, co jéj podpadnie pod rękę, i nabywać przedmioty, jakieby w innych stronach nie znalazły nigdy zwolenników. Zarody estetyczne jeżeli istnieją, przygłuszone zostają zaraz na wstępie, brakiem wszystkiego co może je podtrzymać, rozwinąć i utrwalić.

Przy podobnych warunkach, moda, owo bożyszcze salonów europejskich, przybywszy w te odległe kraje, wystraszona mrozem, zziębnięta, na wpół obumarła, utraciwszy kolejno w czasie długiéj podróży wszystkie swe pierwotne cechy, niepoznaje sama siebie; i jako ów kwiatek w rozkosznych uszczknięty ogrodach, a gnany na stepy złowrogiemi wichry, pozostawia w końcu z całéj swéj świetnéj przeszłości jedną

tylko łodygę—tak i ona ogołocona z pierwotnych swych wdzięków, zdaje się mówić znającym ją w szczęśliwszych czasach wielbicielom:

„Widzieliście mnie jaką tam byłam, patrzajcie teraz czém się tu stałam!“

WŁÓCZĘGA NA STEPACH.

Stepowy włóczęga *(Bradiaga)* jestto jeden z wyłącznych typów Syberyi.

W każdym kraju znajdują się próżniacy niemający stałego zamieszkania.

Włóczęgów stepowych jedna tylko posiada Syberya.

Dziwić się temu nie można.

Podróżowanie choćby bez grosza w kieszeni, z jednym kijem w ręku, wśród okolic zamieszkałych, stanowić może pewien rodzaj uroku dla próżniaczéj gawiedzi. Włóczęgostwo po śnieżystych obszarach o chłodzie i głodzie, przy ciągłém niebezpieczeństwie, wywołane tylko być może potrzebą.

Potrzebą wybierania pomiędzy złém i gorszém.

Zbrodniarz skazany do ciężkich robót ucieka. Uciekający prędzéj lub późniéj, bliżéj lub daléj, zawsze zostanie schwytanym i odesłanym na miejsce kary. On wié o tém, a jednakże przy pierwszéj lepszéj sposobności znowu ucieka.

On nie szuka wybawienia od przeznaczonego mu losu, ale tylko chwilowéj wolności.

Straszna to wolność!

Ciągła walka z nieprzyjaznym klimatem, ciągłe męczarnie głodu, szukanie kawałka chleba, lub zapewnianie sobie bezpieczeństwa nożem albo pałką, ukrywanie się bezprzestanne przed pogonią, ażeby być w końcu pojmanym, okutym w łańcuchy i zwróconym napowrót do miejsca, z którego się wydalił— oto jest los bradiagi.

Czasami całe życie tych ludzi upływa w kolejném włóczeniu się po stepach, chwytaniu, odstawianiu do kopalni, i przemyśliwaniu o nowéj ucieczce.

I tak zawsze, ciągle, bezprzestannie, aż póki śmierć nie uwolni nieszczęśliwego od ciężaru życia, a społeczeństwo od szkodliwego paryi, będącego jego zakałą.

Ucieczka skazanych, prowadzonych na miejsce przeznaczenia z partyi nie jest rzeczą trudną, ale rzadko się praktykuje, bo jéj nie dozwalają ogólne przepisy przyjęte przez aresztantów: ucieknie jeden, to na drugich cięższy los wypadnie—komenda żołniérzy pociągnięta do tłumaczenia stanie się srozszą, i w ogólności gorzéj będzie pozostałym. Dlatego z etapowéj drogi uciekają tylko zwykle albo nietowarzyszyscy hultaje, śledzeni przez całą partyę, albo téż razem znaczna liczba aresztantów. Uciec z katorgi rzecz inna: za podobny czyn nie odpowiada ani zwierzchność, ani towarzysze; tam już nietylko koledzy przeszkadzać nie będą, ale jeszcze, objaśniwszy dokładnie jaką drogą ma się udać uciekający, opatrzą stosownym zapasem żywności, bez któréj żaden z bradiagów nie byłby w stanie z kopalni zabajkalskich, dostać się w jenisejską gubernię.

Głód zawsze prawie przymusza przechodzących przez zabajkalskie buryackie gminy, dopuszczać się kradzieży i rabunków. Buryaci tam zamieszkali polują na bradiagów jak na biełki (syberyjskie wiewiórki), albowiem podług ich wyrachowania, odzienie włóczęgi; choćby było najlichsze, zawsze ma większą wartość od 5 kopiejek, która to kwotka jest jak wiadomo stałą ceną, po jakiéj sprzedają się w zabajkalskich stronach skórki tego zwierzątka.

Kiedy bradiaga nie jest głodnym, to nikogo nie zaczepia, ale i jego téż nie zaczepiają. Przy ucieczce z Kary, Szechtamy, Akałuja, Kazakańskich kopalni, i z drugich miejsc

górnego nerczyńskiego okręgu, włóczęgi mają przed sobą długą i głodną drogę. Po zabajkalskich ziemiach, od Bajkału, przedstawiają im się do wyboru dwie drogi, to jest przez jezioro, albo téż około Katłuka. Piérwszą drogę obiérają zwykle ludzie energiczni, odważni, przedsiębierczy: doszedłszy do Bajkału, muszą oni przeprawiać się przez burzliwe zawsze bezdenne jezioro, które jak dykcya ludowa powiada, gniéwa się i pogrąża w swych falach tych, którzy go nie uważają za morze. (*) Po strasznéj przeprawie przez Bajkał, przedstawiają się uciekającemu znowu dwie drogi: sucha i mokra. Piérwsza doprowadzi go prawą lub lewą stroną Irkucka przez bezludne górzyste przestrzenie, druga przez rzekę Angar ku ujsciu do Jeniseja. Ale do przebycia téj drogi konieczną jest łódka, a zkąd jéj dostać? Z tego powodu uciekający zmuszeni są ryzykować się na płynienie tratwami. Z drugiéj strony udającym się w kierunku Kałtuka grozi innego rodzaju niebezpieczeństwo: oprócz głodu, który jest nieuchronném następstwem podróży przez bezludnę stepy, zmuszeni są oni przebywać ogromną liczbę głębokich i nadzwyczajnie bystrych potoków spływających z gór. Udający się tą drogą, minąwszy Irkuck, wychodzą na główny trakt pocztowy, jedyną bowiem linią łączącą wschodnią Syberyę z Rossyą jest w Irkuckiéj gubernii ta droga publiczna. Oddalić się na bok od téj linii jest rzeczą niepodobną, albowiem tam po obydwóch stronach traktu, niéma nic, prócz nieograniczonych, pustych przestrzeni. Bradiagi więc z konieczności idą traktem, chroniąc się tylko w krzaki, ilekroć razy posłyszą zdaleka dzwonek pocztowy. W wielu miejscach, przy przeprawach przez rzeki, oddalają się oni na stronę i przepływają na tratwach. Jeżeli mają siekierę, tratwa buduje się szybko i mocno, jeżeli zaś nie posiadają tego narzędzia, ściągają na wodę kilka złamanych wiatrem i leżących wśród lasu drzew, związują takowe łykiem, i na

(*) W Syberyi nikt Bajkału nie nazywa jeziorem. W mieście Irkucku jedna z główniejszych ulic nazywająca się obecnie amurską, nosiła dawniéj nazwę zamorskiéj. *Przyp. aut.*

tym sposobem zbudowanéj tratwie puszczają się przez rzekę. Przy podobnéj przeprawie bardzo wielu z nich tonie.

Z bradiagami częstokroć znajdują się kobiéty uciekające z katorżnych robót: los tych kobiét najczęściéj tragiczny bierze obrót. Zawiązawszy stosunki z dwoma lub trzema towarzyszami, stają się one powodem różnych kłótni—ci zaś, chcąc takowe zakończyć, za wspólném porozumieniem się, postanawiają usunęć przyczynę rozterków i topią lub wieszają na pierwszém lepszém drzewie swoją towarzyszkę. W ogóle kobiéty bardzo tu smutną odgrywają rolę: uważane przez włóczęgów jako sprzęty domowe, bywają przez nich kupowane, przedawane, lub przegrywane w karty, ale to wszystko nie przeszkadza, że znajdują się zawsze zwolenniczki do odbywania wspólnéj podróży.

Dostawszy się do Jenisejskiéj guberni bradiagi, mogą już omijać główny trakt i podróżować bocznemi drogami. Krasnojarsk zawsze przez nich zostaje na stronie, ale w Tomskiéj gubernii niepodobna już im ominąć gubernialnego miasta, dlatego téż najwięcéj bywają tam chwytani. Ci którzy uciekają z Ałtajskiego górniczego okręgu, starają się dostać do wsi położonych pomiędzy Czuńskiemi jeziorami i tam przezimować—z nastaniem zaś wiosny udają się w kirgizkie stepy. Ci którzy uciekają na północ, mają niebezpieczną przeprawę przez góry Uralskie, bo tam gminy urządzają na nich formalne obławy. Ze wszystkich północnych przepraw najmniéj niebezpieczną dla nich jest droga do Tiumenia przez Turyńsk na Wercho-turje, i daléj po północnéj części gubernii Wołogodzkiéj; ale tą drogą włóczęgi chodzić nie lubią, mówiąc, że tam i głodno i chłodno.

Pomiędzy bradiagami są tacy, którzy już ze trzydzieści razy uciekali, á w ucieczkach swoich próbowali kolejno wszystkich powyżéj wymienionych dróg. Podług urzędowych spisów z przeszłego roku, liczba zbiegłych z katorgi dochodzi do pięciu tysięcy, ale w rzeczywistości liczba ta jest daleko mniejszą. Dlaczego zaś istnieje ta różnica pomiędzy urzędowemi dokumentami a rzeczywistością, najłatwiéj wyjaśnić. Dajmy na to że z irkuckich kopalni ucieka Iwan Niepomnia-

wszy, (*) chwytają go, i on pod imieniem Sidora Sołowiewa dostaje się do zakładu Ust-Kutskiego, zkąd wkrótce chroni się ucieczką. Chwytają go znowu, ale Sidor Sołowiew przedstawia się tym razem jako Teodor Orłow i odesłany zostaje do Petrowskiéj fabryki. Znika Teodor Orłow, przeminiwszy swe nazwisko na Piotra Nikołajewa. Przy każdém schwytaniu bierze inne nazwanie, a jeżeli w końcu dawni towarzysze poznają w nim piérwotnego Iwana Niepomniawszego, zachowują to odkrycie między sobą, mówiąc:

— A co nam do tego czyli on Iwan, czy Piotr, czyli téż Teodor, zawsze to człowiek taki sam jak i my; na tém nam dosyć.

Przy ucieczce bradiagi bardzo rzadko zaopatrują się w fałszywe paszporty, chociaż nabycie podobnych dokumentów w katordze jest rzeczą nader łatwą. Natomiast niektórzy z nich biorą ze sobą lekkie kajdany, ażeby przy schwytaniu nie zakuto ich w niewygodne ciężkie żelaza, ale użyto gotowych które ze sobą noszą! Prawie wszyscy uciekając zaopatrują się téż w tak nazwane podkandalszczyki, czyli cienkie żelazne obręcze obszyte w skórę, które się kładą na nogi, dla zabezpieczenia ciała od ciągłego tarcia kajdan w czasie pochodu.

Na całéj przestrzeni gubernii Jenisejskiéj, Tomskiéj i Tobolskiéj, istnieje pomiędzy gromadami przechodzących włóczęgów, a mieszkańcami większych i mniejszych wiosek, niby niemy układ.

Włościanie, nietylko nigdy nie śledzą i nie chwytają bradiagów, ale im podają wszędzie potrzebne zapasy żywności.

Bradiagi natomiast, choć nawet w przemagającéj liczbie, nie napadają nigdy mieszkań; zabijają zaś i mordują tylko

---

(*) Niepomniawszy jestto zbrodniarz, który przy śledztwie, nie chcąc wyjawić swego nazwiska, tłumaczy się, że takowego zapomniał. Przed laty niepomniawszych znaczna była liczba w partyach i więzieniach, dziś nowe urządzenia sądowe nie pozwalają używać podobnych wykrętów. *Przyp. aut.*

wtenczas, gdy sądzą, iż własne ich bezpieczeństwo czyni koniecznem użycie téj ostateczności.

Takie wzajemne ustępstwa wypływają nietylko ze zwyczaju, ale i z zobopólnego interesu.

Kiedy w czasie ciemnéj nocy (oni tylko nocną porą przechodzą przez miejsca zamieszkałe), włościanin zbudzony zostanie silném kołataniem do wrót, i na zadane zapytanie kto stuka, otrzyma odpowiedź: „Nieszczęśliwi!“ udaje się natychmiast do komory, i wziąwszy co prędzéj znajdujące się tamże przedmioty żywności, przerzuca takowe przez parkan, nie otwierając bramy, i nie wdając się w żadne objaśnienia, a obdarowani podziękowawszy oddalają się śpiesznie.

On bowiem wié bardzo dobrze, iż głód doprowadziłby nieproszonych gości do rabunku, opór do morderstwa; a co więcéj naraziłby mieszkańców niegościnnéj wioski na zemstę nader częstokroć licznéj partyi bradiagów.

Oni zaś ze swojéj strony wiedzą także, iż znacząc swoją drogę rabunkiem, morderstwami i podpalaniem, zostawiliby ślad dla pogoni; nadto, doprowadzeni do ostateczności włościanie, powstawszy całemi massami, utrudniliby znacznie ich pochód.

Porozumienie więc pomiędzy mieszkańcami wiosek a włóczęgami stepowymi, istnieje jak najdokładniejsze.

Inna rzecz co do miast.

Tam znajdują się władze, które cierpiéć nie mogą bezprawia, których obowiązkiem jest utrzymanie porządku i bezpieczeństwa publicznego. Dlatego téż bradiagi starannie omijają wszelkie grody i małe miasteczka.

Jacy to są ludzie, łatwo zgadnąć, kiedy się pomyśli, że do ciężkich robót skazywani bywają najwięksi zbrodniarze, a z zesłanych na osiedlenie drobnych przestępców żaden nie chroni się ucieczką. Wybitną jednak cechą wyróżniającą bradiagów od innych morderców jest apatyczna ich spokojność, zupełny brak rozdraźnienia, i pewien odcień filozoficznéj pokory przy spełnianiu każdego krwawego czynu.

Początkujący zbrodniarz, który jeszcze nie przeszedł szkoły katorgi, popełniając morderstwo, jest zawsze wzruszonym; okrutnych widok krwi pobudza do dzikiego szału;

mniéj śmieli mają zwyczaj szukać sztucznéj namiętności na dnie butelki—włóczęgi zaś stepów tego wszystkiego nie znają, Doświadczeni w fachu zbrodni, stali się przy rozlewaniu krwi obojętnymi — długi pobyt w katordze, pod srogą dyscypliną, nadał ich powierzchowności i sposobowi obchodzenia się niejaki odcień pokory; ale co w nich nadewszystko uderza, to połączenie z zatwardziałością w występku pewnych religijnych pojęć, które wyradzają jakiś niepojęty objaw litości, nawet w czasie spełniania najhaniebniejszych czynów.

Nieszczęście — bradiaga bowiem jest najnieszczęśliwszą w świecie istotą — zwraca mimowolnie ich myśli do religii; brak zaś zupełny zasad moralnych sprawia, że modląc się mechanicznie, bezmyślnie, wszystkie swoje winy i zbrodnie kładą na karb fatalnego losu i nieuniknionéj konieczności.

Kilkakrotnie zdarzało mi się w więzieniach etapowych i szpitalach aresztanckich znajdować razem ze schwytanymi bradiagami—zawsze oni mówili:

— My grzészni ludzie, lecz przytém nieszczęśliwi—i dlatego Bóg nam wszystkie grzéchy nasze przebaczy.

Ile razy w pochodzie swoim ujrzą krzyż Zbawiciela, zdejmują pobożnie czapki i żegnają się. W szpitalach i więzieniach, pomimo dotkliwego nieraz głodu, rzadko bardzo pozwalają sobie zjeść kawałek mięsa w dzień postny. W rozmowach bardzo lubią cytować niby to wyjątki z pisma świętego, a rzeczywiście utworzone przez samych siebie frazesy, jak np. „Bóg nienawidzi bogaczów tego świata.“ „Grzéch popełniony ze skruchą nie jest grzechem,“ lub „Jeżeli z konieczności zabić musisz człowieka, nie zabijaj jego duszy.“

Wprawdzie obok tych dzikich, obleczonych w pewną niby to religijną formę cytacyi, mają oni mnóstwo przysłów, malujących dobitnie ich złodziejską naturę, jak np.

„Więzienie nie śmierć, knut nie stryczek, a pletnia nie kula.“

„Nie ten złodziéj co kradnie, ale ten co się daje złapać.“

„Umarły nic nie mówi.“

„Głupi daje, mądry bierze.“

„To twoje, co trzymasz — to ludzkie, czego nie możesz dosięgnąć.“

Ażeby dokładniéj określić ten typ zbrodniarzy, nieznanych zupełnie w Europie, przytoczę następujące zdarzenie:

W jednéj ze znaczniejszych wsi Syberyi Wschodniéj, Bałachcie, mieszkało dwóch skazanych na osiedlenie przestępców, jeden Rossyanin, nazwiskiem Zulczyn, drugi Polak, Onufry S***; obaj oni byli szewcami, na wygnaniu więc złączyli się, ażeby wspólnie swój kunszt prowadzić i połączonemi usiłowaniami zarabiać sobie na kawałek chleba.

Pewnego dnia wybrali się oba o kilkanaście wiorst za Bałachtę, w celu narznięcia pręcików drewnianych, potrzebnych im na sztyfciki, jakiemi zwykle szewcy zbijają skóry w podeszwę.

Doszedłszy do zarośli, rozłączyli się na chwilę, a każdy ze swéj strony zajął się zrzynaniem gałązek.

Nieszczęście chciało, że właśnie w tym czasie partya zbiegłych z katorgi zbrodniarzy w liczbie dwunastu, przechodziła tamtędy.

Bradiagi, ujrzawszy S***, otoczyli go do koła. Zulczyn, który się o kilkanaście kroków w gęstwinie znajdował, ukrywszy się w krzakach, był świadkiem wszystkiego. Nie mógł on w niczém pomódz swemu towarzyszowi, a wiedział bardzo dobrze, że ukazanie się byłoby hasłem jego śmierci. Drżąc więc ze strachu, wstrzymując przyśpieszony oddech, przyczaił się w gęstwinie, patrząc z przerażeniem na dramat, którego miał być mimowolnym świadkiem.

— Zdrawstwujtie batiuszka!—wyrzekły bradiagi uchylając swe czapki. Nie w porę ci przyszło spotkać się z nami, ale cóż robić? takie już widać przeznaczenie boże. A naprzód, wiele masz przy sobie piéniędzy?

— Pięć rubli, które wam wszystkie oddam, nie rachując odzienia, tylko mi darujcie życie.

— Nam z życia twojego nic nie przyjdzie, a nawet z serca pragnęlibyśmy puścić cię na wolność; ale widzisz, miły bracie, my mamy swoje prawa, od których nam odstępować nie wolno. Gdybyś wyszedł ztąd żywym, podałbyś na nas

skargę, a może nastąpiłoby śledztwo i pogoń. Dlatego, przebacz nam, grzesznym ludziom, ale umrzéć musisz.

— Przysięgam wam, że skargi nie podam.

— To się zawsze tak mówi pod wpływem obawy, a potém zapomina się o przyrzeczeniu. Znane rzeczy. Dla tego nie trać czasu na próżne gawędy, lecz lepiéj pomódl się jako prawdziwy chrześcianin. My zresztą ciebie męczyć nie chcemy: umrzesz śmiercią, jaką sam sobie obierzesz.

Wszystko to było powiedzianém przez włóczęgę, cichym i łagodnym tonem dobrodusznéj perswazyi. Postacie zabójców nie miały w sobie żadnych cech gniewu, złości, szyderstwa—przystępowali oni do tego aktu jako do rzeczy zwyczajnéj, codziennie przytrafiającéj się, która nie warta była zastanowienia.

S*** próbował jeszcze zmiękczyć ich swojemi prośbami, ale jeden z bradiagów, który zdawał się być hersztem bandy, wziął go za ręce, i pocałowawszy po obu policzkach rzekł tonem braterskiéj poufałości:

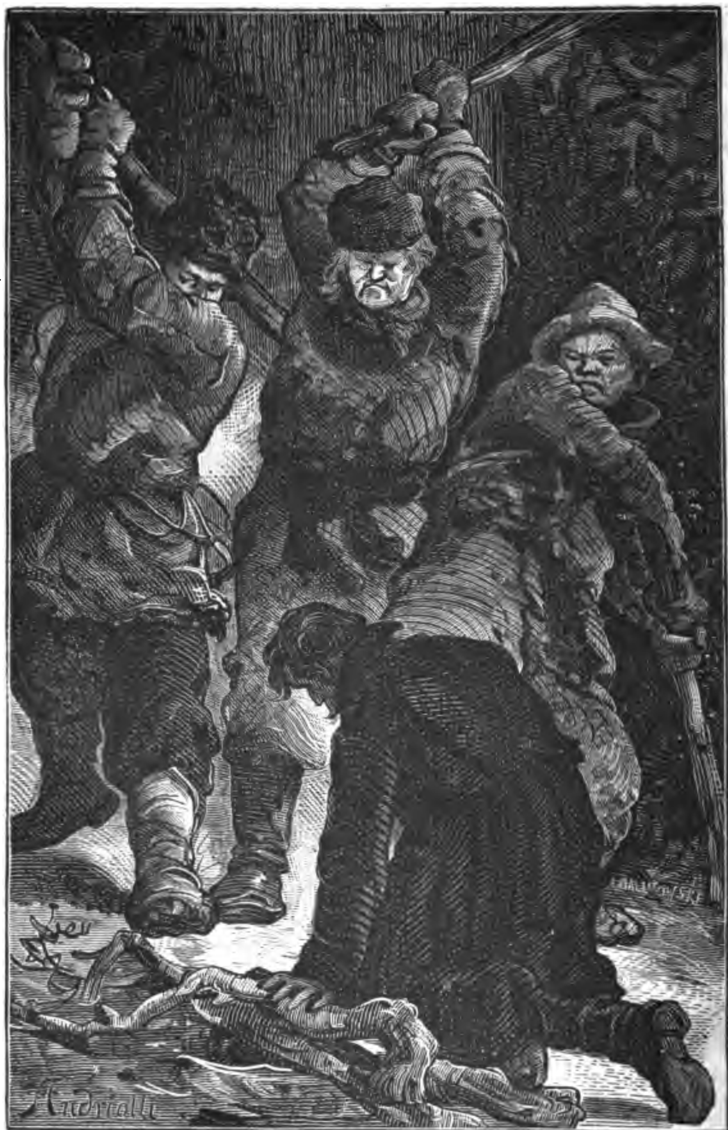
— Dobry człowieku, nie bądźże dzieckiem, napierając się życia, którego ci dać nie możemy. I ty, i my wszyscy jesteśmy synami jednego Boga: skończmy lepiéj ten interes po przyjacielsku. Opierając się, powiększyłbyś tylko niepotrzebnie męczarnie przy gwałtownem przejściu z życia do śmierci. Wybiéraj więc co wolisz, czy nóż, czy pałkę, czy zatopienie w téj rzecze, która jest bardzo głęboką. A może sam zechcesz zadać sobie śmierć?—my i na to przystaniem.

Nieszczęśliwy wiedział, iż nic go ocalić nie zdoła, a jako człowiek z charakterem i odwagą, poddał się smutnéj konieczności.

— Sam sobie życia odbiérać nie będę—rzekł. Bóg mi je dał, więc nie mam prawa targać się na nie. Do noża mam wstręt nieprzezwyciężony, topienie jest połączone z wielkiemi męczarniami; zabijcie więc pałkami, ale proszę was, zabijcie odrazu.

— Bądź spokojny; my w to wprawni, ani poczujesz śmierci.

— A teraz dajcie zmówić pacierz.



Było to ostatnie słowo jakie wymówił. Kilka uderzeń pałką w skroń powaliło go bez czucia na ziemię.

(Włóczęga na Stepach str. 358).

— Słusznie. Lecz pozwól nam wprzódy pożegnać się z tobą.

I bradiagi przychodzili kolejno do niego, całując w twarz i mówiąc:

— Daruj nam ojcze kochany!

Poczém ukląkł i w gorącéj ostatniéj modlitwie, polecił swą duszę Najwyższemu.

Gdy skończył, obejrzał się na stojących w milczeniu około niego zbójców.

— Czyś gotowy?—zapytał herszt.

— Gotowy!—odpowiedział cichym głosem.

Byłoto ostatnie słowo jakie wymówił. Kilka uderzeń pałką w skroń powaliło go bez czucia na ziemię. Potém zdjęto z trupa odzienie, a przywiązawszy kamień do szyi, wrzucono ciało w rzekę.

Bradiagi oddaliły się powolnym krokiem w swoją stronę.

— Szkoda,—rzekł herszt, skrzesawszy ognia i zapaliwszy krótką fajkę,—że nie inny jaki człowiek popadł w nasze ręce. Tego mi szczerze żal.

— Prawda—odpowiė drugi—to widać był zacny człowiek.

— I zgodny, — dodał trzeci.

— W tém pokazał rozum—zakończył herszt.

I zbójcy, uczciwszy powyższemi wyrazami pamięć zamordowanego, znikli w gęstwinie.

Ostatnie ich słowa, były jedyną mową pogrzebową biédnego S***!

JEDEN ROK

Z DZIEWIĘCIU LAT ŻYCIA NA PUSTYNI.

Miejscowość w któréj się znajduję, jest położoną pod 57° szerokości geograficznéj. Są to niezmierne przestrzenie wśród których nie ma ani miast, ani wsi, ani wiosek, lecz tylko małe osady zamieszkałe przez różnych sekciarzy jak np. starowierców, sobotników, skopców i t. p. Każdą taką osadę stanowiącą zarodek osobnego życia, nie łączą żadne stosunki z innemi zamieszkałemi punktami; nietylko znaczna odległość, ale i przepaść moralna, jaka istnieje pomiędzy rozlicznemi wyobrażeniami mieszkańców, sprawia podobne odosobnienie. Żaden trakt publiczny, żadna droga komunikacyjna tamtędy nie przechodzi. W zimie jest to skrystalizowany lodem, pokryty całunem śniegu obszar zdający się nie mićć końca, na którym niby źdbła wypadkami losu rzucone, czernią tu i owdzie grupy nędznych chatek lub jurt inorodców: w lecie to step zielony, bujną porosły trawą, bogaty organicznem życiem, lecz straszny swoją jednostajnością i spokojem.

Kolonja w jakiéj przeznaczenie żyć mi kazało, składa się

z siedmiu chat, a raczéj nizkich bud na wpół ziemię zapadłych. Tworzą one wszystkie siedem kąt ostry, zakończony wybiegającą znacznie naprzód chałupą. Ta ostatnia udziela mi przytułku.

Nastała zima podbiegunowa: owa zima straszna, długa, krystalizująca życie we wszystkich jego objawach, oziębiająca myśl człowieczą, tamująca oddech w piersi, krusząca energię, wolę, wytrwałość. Słabe światło czterogodzinnego dnia, z trudnością przedziera się przez pęcherze zastępujące miejsce szyb w malutkich okienkach mojéj izdebki. Dwadzieścia godzin trwająca noc jest czarna, posępna, grobowa. Ludność osady złożona z samych starowierców, około dwóch dziesiątków dusz wynosząca, jest ponurą, milczącą, nietowarzyską; latem pracuje około roli, zimą zamknięta w swoich izdebkach odpoczywa. W dnie uroczyste nie oddaje się hulankom lub pijaństwu, lecz modlitwie i rozmyślaniu. Każdego człowieka nie podzielającego jéj przekonań religijnych, uważa za istotę niegodną, znikczemnioną moralnie, którą można tolerować niedopuszczając w żadnym razie do bliższych ze sobą stosunków. Życie obcego przybysza, którego los rzucił pomiędzy tych sekciarzy, nie jest nigdy wystawionem na żadne z ich strony niebezpieczeństwo; starowiercy albowiem brzydzą się wszelkiego rodzaju podłością i nie było dotąd przykładu, ażeby haniebna zbrodnia zabójstwa, skalała kiedykolwiek ich ręce. Ale za to ten komu przyszło żyć pomiędzy niemi, staje się bezwarunkowo jednostką w pośród otaczającego go świata.

Wiedziałem ja dobrze o tém. Mogłem wybrać na mieszkanie jaką wesołą, towarzyską, wrącą życiem, huczącą hulacką pieśnią, wioskę — wybrałem utajone wśród stepów gniazdo ponurych sekciarzy; wolałem być otoczonym wszystkiem zewnętrznemi pozorami grobu, niźli znaleźć pod ułudą życia grób rzeczywisty.

Cisza jaka mnie otacza do koła jest przerażającą. Świat cały niby jedna ogromna bryła lodu zdaje się być martwym, bezpłodnym, nieczułym: wzrok zmęczony ową ciągłą szklistą białością, nie ma gdzie spocząć, wytężony słuch napróżno stara się uchwycić jaki odźwięk, znaczący tętno życia wśród

tego bezwarunkowego milczenia — nic: choćby szczeknięcie psa, choćby ryk bydła, choćby wreszcie krakanie złowrogiéj wrony, któreby swym głosem oznajmiało organiczne istnienie. Ludzi nie słychać, odrętwiałe mrozem zwierzęta milczą; czasami tylko pośród ciemnéj nocy, przeraźliwe wycie zgłodniałych wilków przerywa tę ciszę.

Przez obite szczelnie wojłokami ściany izdebki, żadne zewnętrzne szmery mnie nie dochodzą. Obok zamieszkuje rodzina starowierców, a przecież zdaje mi się, że tam nie ma nikogo: oni nie mówią, nie chodzą, nie objawiają niczém swéj obecności—oni modlą się tylko w milczeniu. Trzy razy dziennie gospodyni domu przynosi mi skromny posiłek: jest to kobiéta wysoka, sztywna, o rysach twarzy wyrazistych, o wejrzeniu ponurem i ascetycznem. Niby martwy automat sztuczną poruszany siłą, stawia w milczenin samowar lub miskę strawy na stole, i znika; na zadane zapytania odpowiada jedném słowem, kiwnięciem głowy, lub najczęściéj nie odpowiada wcale. Innych członków rodziny nie widuję wcale, wejść do ich przedziału nie pozwala mi dobrowolnie przyjęte przy najęciu mieszkania zobowiązanie. Raz tylko jeden, w czasie długo trwałéj zimy, przestąpił próg zajmowanéj przezemnie izdebki sam gospodarz, patryarcha rodziny. Powód który mu kazał odstąpić od przyjętych zwyczajów, musiał być nader ważnym, dla tego téż ciekawością zdjęty spojrzałem na pojawiającą się przedemną osobistość. Był to starzec o wspaniałéj postawie, długiéj białéj aż do pasa spływającéj brodzie, oczach głęboko w policzki zapadniętych, których blask oznaczał jednę wyłączną ideę, jakiéj całe swe życie poświęcił. Podobnym blaskiem lśnią tylko spojrzenia obłąkanych lub fanatyków.

— „Człowieku,“—rzekł zwolna przytłumionym głosem— przyszedłem do ciebie, nie jako brat, bo braćmi nie mogą być mi ci, którzy nie dzielą moich przekonań, ale jako apostoł prawdy. Głosić zawsze prawdę i naprowadzać na dobrą drogę zbłąkanych, jest naszym obowiązkiem. Przyjmując cię dobrowolnie pod swój dach, objaśniłem czego żądam po tobie: cichości, skromnego życia, i wyparcia się wszelkich złych nałogów. Zgodziłeś się na to mówiąc, że cichość lubisz,

skromność jest twoją zasadą, a nałogów s
siadasz żadnych. Dwa pierwsze warun
słychać ciebie, nie widać, wódka była za
na nieszczęście nie jesteś wolnym od stra
lenia fajki. Otóż więc przyszedłem powie
porzucisz téj brzydkiéj namiętności, będzi
powiedziéć ci mieszkanie. (*).

W każdéj innéj okoliczności życia, roz
nad tyle dziwnem, a tak pompatycznie obj
tu zaś obawa utracenia bezpiecznego scl
że nie dając przystępu żartom odpowied
ważnym tonem:

— Szanuję wasze przekonania, szar
Nie czynię nic złego ani drugim ani sobie.
wam w waszych obrządkach i modlitwa
wolność użycia jedynéj możliwéj rozrywki
jeżeli zaś nie zgodzisz się na to, jestem
Staruszek próbował jeszcze różnych
czał wyjątki ze starych ksiąg, lecz widza
od swego zdania, a nie mając jak się zd
spokojnego i cichego lokatora, westchnął g
pożegnanie:

— Rób zresztą jak chcesz. Ja wyp
winność przestrzegając cię. Od téj chwili
staje być moim.

Odszedł, a ja go już więcéj nie widzia

To było jedyne ważniejsze zdarzenie, p
stajność życia mojego w czasie trwania dług
zimy. Odtąd dnie płynęły znowu jedne za d
che, ciemne. Pęcherzowe powłoki jakiemi o
zaledwie słaby blask światła przepuszcza
nie miéć końca, jeszcze smutniejsze wraż

(*) Palenie tytuniu uważaném jest przez
cięższy występek, za grzech niepodobny do p
ich wyobrażeń, każdy występek może być prędzé
pionym, aniżeli poddawanie się rzeczonemu nałog

Zostawszy jednostką na świecie, zacząłem żyć życiem wewnętrznem. Życie to pełne tajemnic, illuzyi, i fantastycznych widziadeł, może być tylko pojętem przez ludzi mieszkających na pustyni. Jeżeli człowiek dotknięty strasznem nieszczęściem, lub nieznającą granic boleścią, lecz rzucony zarazem w wir ruchliwéj społeczności, zapragnie usunąć się od niéj, to pomimo najszczerszéj chęci nigdy bezwarunkowo dokonać tego nie zdoła. Kipiące do koła życie, przeciska się gwałtownie przez szczeliny moralnego przedziału, jakim się pragnął obwarować, i dochodzi zewsząd, wiążąc bezprzestannie nić jego istnienia z ogólną siecią organizacyi społecznéj. Najcichsze ustronie, najsurowszéj reguły klasztor, nie zdołają wyrwać zniechęconego światem z pod prawa natury, nie dozwalającéj cząstce ludzkości stawać się jednostką. Tu wśród pustyni, gdzie na obszarach bez końca zaledwie garstka ludzi jest rozrzucona—garstka którą nic nie wiąże pomiędzy sobą, która nic wie czém są warunki społecznego bytu, która nie pojmuje ani obowiązków człowieka, ani rozkoszy duchowych, odłączenie podobne następuje równie łatwo, jak niepostrzeżenie.

W pierwszych chwilach człowiek odłączony od towarzystwa ludzi, nie może pogodzić się ze swoją samotnością. Puka do piersi automatów, szukając tam serca, wytęża wzrok w ciemnie pragnąć dopatrzyć tam światła, zagłębia się w lód i śnieg, chcąc znaleść na dnie martwéj powłoki choć odrobinę żywotnego ciepła. Gdy jednakże automat odpowie milczeniem, noc zarzuci czarny całun na wyobraźnię, lód zamrozi sympatycznie wyciągniętą rękę, zasklepia się niby ślimak ostrym rażony przedmiotem w ciasnéj skorupie swojego bytu, i żyje sam w sobie.

Wtedy myśl jego pracuje bez ustanku. Myśl ta pozostawiona własnemu kierunkowi, prowadzi do zniechęcenia, rozpaczy i upadku: wsparta łaską wyrabia i podnosi ducha. Rzecz to nader prosta. Całą tajemnicą życia jest poznanie samego siebie: gdyby człowiek mógł zgłębić całą swoją istotę, we wszystkich jéj odcieniach, zbliżyłby się do źródła wiekuistéj prawdy, ale jestże kto z nas któryby zdołał zbadać siebie wszechstronnie? Gonimy za naukami, przywią-

zujemy się do znikomych nczuć, szukamy przelotnych wrażeń; chcemy znać wszystko a samych siebie nie znamy. Jeżeli obrócimy czasami myśl naszą w głąb duszy, to albo postronne wrażenia i szereg przemijających wypadków odpychają ją gwałtownie na zewnątrz, albo téż nieodłączny wpływ miłości własnéj— zarozumiałość, fałszywy jéj daje kierunek.

W samotności inaczéj się dzieje: człowiek obraca wzrok do koła i nie widzi podobnéj do siebie istoty, szuka punktu oparcia dla swojéj myśli, a znaleść go nie jest w stanie; nie mogąc więc żyć teraźniejszością, obraca się w przeszłość. Ubiegłe wypadki przesuwają się w jego wyobraźni jedne za drugimi nie ubrane już w szaty illuzyi, ale proste, nagie, rzeczywiste; rozważa je i kombinuje, pragnie dojść przyczyny każdego wypadku, a każda rzecz z zupełnie innéj przedstawia mu się strony. Nie zaślepiony już zarozumiałością, która w samotném życiu żadnéj nie może miéć podniety, widzi, że wszystko złe, które go spotkało, z jego własnéj wypłynęło winy. Narzekał na ludzi, że mu byli obojętnymi, a nie umiał ich kochać; ubolewał nad upadkiem przyjaznych uczuć, a niczego nie uczynił żeby je utrwalić: powstawał przeciwko przeznaczeniom losu, a sam pod sobą przepaść wykopał—zaślepiony miłością własną cenił samego siebie, a innych cenić nie umiał.

Przebiegłszy tym sposobem myślą przeszłość swoją, i widząc, że wszystkich jéj niedostatków piérwszym był powodem, człowiek zastanawia się mimowolnie nad czynnikami, które go mimowolnie po téj drodze popychały: nad wadami i błędami swojemi. Te wady i te błędy widzi on jasno, wyraźnie—już go nie zaślepia najemny podszept pochlebstwa, już nie odwraca jego uwagi nawał krzyżujących się myśli, wrażeń i wypadków. Sam wśród wiecznéj, przerażającéj jednostajności, kładzie z zimną krwią na szali przeznaczenia wszystko złe i dobre, i przekonywa się jak dalece pierwsze przeważa. Poznanie to, jest przebudowaniem gmachu własnéj istoty. Następuje praca na pozór olbrzymia, ale która bez trudów i z szybkością postępuje, bo siłę jéj, daje ze-

słana łaska boża, a trwałość —zdobyta nieszczęściem chrześcijańska pokora.

Żyjąc owém życiem, zdołałem przygłuszyć stopniowo swoje cierpienia; wśród ciasnego widokręgu jaki zwisł nad moją głową, utworzyłem sobie nowy świat duchowy. Bez książek, zajęć, pozbawiony widoku ludzi, osamotniony wśród śnieżnéj pustyni, nie czułem swojego opuszczenia. Kiedy mróz podbiegunowy ubezwładniał wszélkie objawy organicznego bytu, kiedy szalony wicher rozhulawszy się po stepie, bił śniegem o pęcherzową powłokę moich okienek, kiedy stada zgłodniałych wilków, wtórując żałosnym swym głosem powszechnemu smutkowi natury, wyły przeraźliwie—ja obojętny na wszystko co mnie otaczało, byłem daleko swą myślą po za obrębem strasznéj przerażającéj rzeczywistości. Krótkie dnie równie jak i długie nocy przechodziły niepostrzeżone: tygodnie, miesiące mijały, a jam nie czuł ich ciężaru—teraźniejszość dla mnie nie istniała.

Trafiały się jednakże chwile, w których tajemny łącznik wiążący mnie z resztą świata, rozbudzał mimowolnie krystalizującą się w tém zasklepieniu działalność. Przyszła mi na myśl tyle pamiętna z młodzieńczéj literatury postać Robinsona Kruzoe. Wziąłem go sobie za wzór, i umyśliłem naśladować. Obserwując codziennie bieg słońca, utworzyłem po ścianie linijki oznaczające godziny a nawet i kwandranse; samorodny ów zegar miał różne niedokładności, lecz posiadał tę zaletę, że w czasie kilku godzin dziennych, wtedy gdy słońce w pełnym blasku świeciło, oznaczał upływający czas. Potém, wziąłem się do zbudowania barometru następującym sposobem. Posiadałem niektóre ingredyencye apteczne w przypuszczeniu, iż na pustyni w razie nastąpionéj choroby, może wypadnie ratować się własnemi środkami. Wziąłem więc po pół grana kamfory, amoniaku i saletry, i każdą z tych ingredyencyj zmięszałem osobno z wódką; kamforę zaś jako mniéj rozpuszczalną, grzałem przy silnym ogniu. Gdy się sole dokładnie rozłożyły, zlałem wszystkie trzy ciecze w jedną butelkę, zapieczętowałem lakiem, i przewiesiłem tak, żeby obróconą była na północ. Krystalizacye,

które się tworzyły wewnątrz butelki, oznajmiły mi z największą dokładnością stan powietrza. (*).

Urządziwszy tym sposob zegar i barometr, pomyślałem nad utworzeniem sobie towarzystwa w méj samotności. Ludzie odstąpili mnie, szukałem więc otoczenia zwierząt. Oddawna już wierny i przywiązany pies podzielał moją dolę, teraz zastawiwszy samotrzaski, zwabiłem w nie zziębnięte i szukające pożywienia ptaszki. Biedne te stworzenia nie zdawały się żałować utraconéj wolności; czuły one że tam na stepie czekała ich śmierć głodowa, i bojaźliwie z początku, potém coraz śmieléj przychodziły do ręki, obdzielającéj je tyle pożądaném ziarnem.

Przy podobnych zajęciach i rozrywkach, przeszedł znaczny peryod czasu. Żadne przedwstępne zjawiska nie oznajmiały rychłego końca pory, zdającéj się być normalnym stanem tych wysuniętych na północ kresów, gdy nagle, niespodziewanie nastąpiła wiosna.

Wy mieszkańcy staréj Europy, przywykli do widoku stopniowych przemian w przyrodzie, które zwolna, konsekwentnie, niby zegarkowy mechanizm, odbywają swoje funkcye, zdołacież pojąć i zrozumiéć owe nagłe przekształcenia, owe jednorazowe przeskoki z ostateczności w ostateczność, zmieniające w danéj chwili całą postać podbiegunowego świata?

Była zima. Gruba powłoka śniegu pokrywała jeszcze ziemię, jednostajną, łączącą się z krańcami chmurnego widokręgu niebios szatą: olbrzymie warstwy lodu, niby kryształowe pancerze, więziły potężne rzeki w swém twardém, niewzruszoném pokryciu. Żaden objaw życia nie istniał tam: nigdzie ni woni roślin, ni śpiewu ptaków, ni brzęku owadów—wszędzie tylko cisza, martwość i nieruchoma bezwładność.

(*) Kiedy na dnie tym sposobem urządzonego barometru, tworzył się osad, można było być pewnym mrozu: kiedy w cieczy okazywały się niewielkie gwiazdeczki, niezawodną bywała burza: jeżeli zaś te gwiazdeczki w większych krystalizowały się rozmiarach, oczekiwać należało śniegu. Powstanie małych punkcików znamionowało wicher; im zaś niżéj one powstawały wśród cieczy, tém silniejszego zimna trzeba było się spodziewać. *Przyp. aut.*

I nagle smutne dotąd, pokryte mgłą słońce, zaczyna silnie dogrzewać; góry śniegowe chwiejąc się w swych podstawach klęsną, maleją, wyłaniając z siebie mnóstwo strumyków — szkliste pancerze rzek niewidzialną parte siłą, wzdymają ogromne swe grzbiety, i pękają z hukiem do grzmotu dział podobnym. Parę dni przeszło: ze śnieżnych gór strzelających wysoko pod obłoki, pozostały zbite, niekształtne massy; z tysiąca drobnych strumyków nurtujących ich podstawy rosną szumiące potoki, przejrzyste stawy, spokojne jeziora. Cała powierzchnia ziemi, przybiera postać Oceanu, zdającego się nie mićć granic ni końca. Jeszcze dni kilka nie upłynęło, a te olbrzymie zdrojowiska nikną w wnętrzu rozpulchnionéj powierzchni gruntów, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Na czarnéj, ogołoconéj ze wszystkiego przestrzeni, gdzie tak długo piętrzyły się olbrzymie góry śniegowe, gdzie przed chwilą jeszcze szumiały bałwany wód, wystrzelają tu i owdzie zwiastuny nowego życia—kępki traw zielonych. Zanim wzrok przywykły do skrystalizowanéj powłoki ziemi, zdołał upamiętać się w tym niespodzianym dla niego objawie, już owe kiełkujące źdźbła roślinnego królestwa, tworzą niezmierne, tchnące powabem wiosny łąki: tysiące, miljony różnobarwnych kwiatów wychylają swe główki z tego rozkosznego kobierca stepów, nago sterczące przed chwilą szkielety drzew, pokrywają się pękami liści, niezliczone gromady wesołego ptastwa szczebiocą gwarliwie, chmary owadów brzęczą w powietrzu; wszędzie płynie balsamiczna woń wiosny, wszędzie nieczuła martwość przemienia się w brzemienne organiczném życiem istnienie.

I ja także oddycham pełną piersią, ożywczą atmosferą przeradzającéj się przyrody: pęcherze w oknach znikły, półcienie panujące w izdebce ustąpiły miejsca jasnym blaskom słońca, duszna woń świeżemu przewiewowi orzeźwiającego wietrzyka. Rodzina mojego gospodarza, jak również i wszyscy mieszkańcy osady, udali się na robotę w pole, (*) po

(*) Zwykle rolnicy syberyjscy, szczególniéj w małych, odłączonych od zamieszkałych okolic wsiach, udają się z nastaniem wiosny na cały

chatach zostało tylko kilku na wpół niedołężnych starców, którzy siedząc nieruchomie na progach i patrząc ogłupiałym wzrokiem przed siebie, wymawiają mechanicznie i bezmyślnie wyrazy modlitwy. Jestem sam, prawie jak sam w pośród tego drobnego, rzuconego w niezmiernéj przestrzeni stepu światka. Po całych dniach błądzę w bujnéj, sięgającéj do pasa trawie, lub zmęczony przechadzką wypoczywam w cieniu brzozowego gaiku. Jakież tam życie! Wszystko wre, roi się, kipi, porusza—wszędzie gwar, szum, świergot: każda istota zacząwszy od drobnéj zaledwie dojrzanéj gołem okiem muszki, aż do potężnego borów mieszkańca, pragnie wynagrodzić sobie czas stracony, i korzystać z krótko trwałego uśmiechu wiosny. Co chwila przeróżne i nieznane kształtem istoty, przesuwają się przed moim wzrokiem; świetne, przejrzyste o złotych lub szmaragdowych skrzydełkach owady, sypią się na kobierce łąk, niby rzucone pełnemi garściami skarby drogocennych kamieni: gromady rozmaitych kształtem i barwą ptaków ulatują w powietrzu, lub napełniają gaje wesołemi śpiewy. Tu i owdzie z pomiędzy zwojów drzew i gęstych zarośli, wychyla się głowa jakiéj leśnéj poczwary, ośmielonéj nieobecnością człowieka, i śledzącéj ciekawie swym pełnym okrągłym wzrokiem, wszystkie objawy życia huczącego na stepach.

Wieczorem zmęczony codziennemi wycieczkami po łąkach, gajach, roskosznych dolinach, wyniosłych górach, siadam w oknie mojéj izdebki. Słońce chyli się zwolna ku zachodowi, całodzienny gwar pustyni zaczyna stopniowo ucichać, ostatnie promienie znikającego z widokręgu dziennego światła, otaczają wspaniałą aureolą wierzchołki gór, załamki skał, i odbijają się w nurtach płynącego zdala Jeniseju, nadając jego wodom purpurową barwę. Częstokroć patrząc machinalnie przed siebie, przenosiłem się myślą w inne kraje, pod

czas trwania robót w odległe pola, wraz z dobytkiem i rodzinami i tam przez kilka tygodni pobudowawszy szałasy pozostają. Domy ich strzeżone bywają przez niezdolnych do pracy starców.

Przyp. aut.

nieba innych sfer, i tworzyłem złudą wyobraźni z podpadających przed oczy przedmiotów, cały obraz wrącego społeczném życiem świata. W zarysach piętrzących się skał widziałem ogromne miasta, warowne zamki, wspaniałe baszty wież; często bielejące u podnóża gór kamienie, przedstawiały się rozgorączkowanéj fantazyi jako mury ludnego grodu, a siniejące obłoki niby kłęby dymu wychodzącego z kominów fabryk i przemysłowych zakładów. W pośród odosobnienia szukałem życia... życia, do którego tęskniłem całém sercem, całą duszą moją; przez długie godziny zaludniałem pustynię utworami własnéj wyobraźni, wywoływałem z czczości fantastyczne obrazy ubiegłych wspomnień... Próżne usiłowania! przyszła chwila, w któréj rzeczywistość rozwiała mary mojéj iluzyi, tak jak silny syberyjski wicher rozwiewa plączące się po powietrzu mgły ziemnych wyziewów. A gdy zagłębiłem się w dumaniu, gdy sięgnąłem myślą po za te przestrzenie, które wzrok mój obejmował, wzdrygnąłem się cały. To kipiące dokoła mnie życie, te zieleniejące się smugi łąk, te pasma gór niknących w oddaleniu, ten obszar step z garstką zamieszkujących go ludzi, to tylko atom życia rzucony wśród pustyni. Kilkadziesiąt wiorst daléj nie ma nic.

Nic!.. okropny wyraz.

Tam jest przestrzeń niezmierna: sta, tysiące wiorst rozległości, któréj myśl nie jest w stanie objąć, bez wsi, wiosek, domów, ludzi; one tak istnieją w ciszy i spokoju od niepamiętnych czasów, one tak pozostaną przez długie lata, wieki, a może nazawsze. Garstka ludzi, która mnie otacza, jest atomem w pośród tych przestrzeni bez końca, a ja jednostką w pośród téj garstki.

Czytałem przed laty jakąś fantastyczną powieść o człowieku, który żył sam jeden na niezaludnionym planecie. Cierpienia jego były straszne, a autor znający tajniki serca ludzkiego, malował w przerażających kolorach początkowe jego myśli, wrażenia, a potém czarną rozpacz i obłęd zwątpienia. Porównywałem się do tego człowieka, studyowałem jego boleść, anatomizowałem uczucia, rozbierałem każdą łzę, którą nadmiar katuszy wyciskał z jego oczów, i czułem ja-

kieś dzikie, niepojęte zadowolenie drażniąc rany rozbolałego serca.

I tak mijały dnie, tygodnie; nmiarkowane ciepło wiosny przemieniło się w straszne upały, ożywcze przed chwilą promienie słońca, padając ognistemi snopy na przywykłą do tych nagłych zmian klimatu ziemię, paliło wszystko swym piekielnym żarem. Powietrze zdało się być wulkaniczną miazmą, woda rozpalona lawą, a światło płomieniem. Ani jednéj chmurki na widokręgu, ani przelotnego powiewu wietrzyka, ani orzeźwiającéj kropli rosy; ptastwo odbiegło w najniedostępniejsze gęstwiny lasów, zwierzęta harcujące nie dawno jeszcze po stepach, poukrywały się w norach ziemi lub jaskiniach skał, drobne nawet muszki opadły bezsilne, i szukały w zwojach bujnéj trawy przytułku przed ogniem podbiegunowego lata.

Było wszędzie cicho, duszno i jasno...

Wieczorem gdy słońce zniżające się ku zachodowi, rzucało nie tylc już palące promienie, ze wszystkich stron, niby prądami wiatru podniesione chmury, roiły się tysiące, miliony, nieznanych w Europie owadów. Natura, którą nazywamy matką naszą, stała się pod tym stopniem szerokości geograficznéj prawdziwą macochą; w zimie tamuje ona wszelki objaw życia i czucia swym chłodnym, lodowatym uściskiem, w lecie skąpi nawet powietrza do oddychania, zarażając je nieprzeliczonemi myryadami złowrogich istot: jedynym jéj uśmiechem są te kilka tygodni wiosny, ale owa krótkotrwała pieszczota, zważywszy na następujące po niéj cierpienia, nie może przedstawiać się inaczéj jak tylko jako okropne i srogie szyderstwo.

Wyjątkową chwilą dającą wśród lata ulgę tem bezprzestanném dolegliwościom, jest noc. Zapada ona zarówno szybko jak niespodziewanie. Nie znane tu są owe półcienie zmroku, stopniujące przechód ze światła do bezwarunkowéj ciemności. Zaledwie słońce znikło z widokręgu, już jéj opona niby śmiertelny całun rzucony nagle na zwłoki zmarłego okrywa nieprzejrzanym kirem świat cały; ubezwładnia zwątlone całodziennym upałem siły potrzebujące spoczynku, a jednak-

że żądza odetchnięcia odświeżoną atmosferą nocy, przerywa znużenie i wstrzymuje sen klejący powieki.

Siedząc przy otwartém okienku, wciągam w siebie balsamiczne wyziewy, i poję się tą jedyną chwilą lata, w któréj miasto ognia zachwycić można pełną piersią czyste i zdrowe powietrze. W pośród mroków nocnych, błyskają tu i owdzie małe światełka: rosną, rozszerzają się, wznoszą, a fale ognia zalewają góry, wzgórza i dalekie step przestrzenie. To rolnicy syberyjscy zapalili łąki (*). Wspaniały i przerażający zarazem widok! Ze wszystkich stron gdzie tylko wzrok dosięgnąć może, buchają jaskrawe płomienie, oświetlając ponurym swym blaskiem cały widokrąg. Ta iluminacya stepu ma w sobie coś wielkiego i tajemniczego zarazem. Wśród pustych, prawie niezamieszkałych obszarów, niszczący żywioł skrytą podbudzany ręką, tworzy cudowne efekta świateł i cieni: u dołu płynie zwolna gorejąca rzeka, tryskając na wszystkie strony strumieniami ognia, po nad tém morzem płomiennych fal wznoszą się snopy iskier i kolumny blasków. Każdy krzak, każde drzewo spotkane po drodze przez ogniste potoki, zmienia się w olbrzymią pochodnię i pożar szumi, błyszczy, wzrasta, aż nakoniec nieznalazłszy materyałów do niszczenia gaśnie nagle, a czarna pomroka nocy ogarnia świat cały. Świadkami tego fantastycznego widowiska są tylko poczwary leśne, lub chmary ptastwa chroniącego się przed

(*) W ciągu lata włościanie syberyjscy zapalają niewykoszóne łąki dla zapewnienia sobie na przyszłość obfitych zbiorów siana. Zgubny ten obyczaj, na który każdy narzeka, którego nie mogą zatamować żadne rozporządzenia władz, jest powodem licznych wypadków. Morze płonące ogarnąwszy wyschnięte posuchą łodygi traw, płynie jakby ognista rzeka obejmując wszystko co spotka po drodze. Tak goreją płoty ogradzające pastwiska bydła od łąk (poskotiny), tak goreją nietnięte jeszcze siekierą przechodnia krzaki, lub znajdujące się po polach sterty zbóż i siana, tak częstokroć stają się łupem niszczącego żywiołu całe wsie i osady. Nader trudném i prawie niepodobném zadaniem jest pojmać na uczynku winowajcę; zapalenie wreszcie łąk następuje zwykle ze zgodą i wiadomością całéj gminy, a wykonawną woli gromady staje się zwykle mały błądzący za stadem po stepach pastuszek, lub nawet kilkoletnie dziecko. *Przyp. aut.*

niezrozumiałym dla nich objawem; człowiek stepowy za nadto wiele ma wtedy do czynienia, ażeby pragnął śledzić postępy ognia pustyni.

Pora letnia trwa nie długo. Przyroda tych stron jak gdyby zgadując krótkość bytu organicznego życia, działa nagle, z pośpiechem, gorączkowo. Zaledwie ostatnie śniegi znikły z powierzchni ziemi, już rzucone ziarno zieleni trawą: rośnie, żółknie, dojrzewa i plon wydaje. Rolnik pragnąc zebrać zapasy na zimę, winien pracować bez przerwy, nieustannie; odpoczywać jemu nie wolno. Trzy miesiące ciężkich znojów, wycieńczających siły trudów, i dziewięć miesięcy bezmyślnego zasklepienia się wpośród ciasnych ścian ciemnéj izdebki—oto jest życie stepowca!

W osadzie pusto. Dwóch czy trzech starców pozostałych dla pilnowania dobytku, wygrzewa się leniwie przed progami chat, szepcąc z cicha staroświeckim stylem ułożone pacierze. Czasem z głębi stepowych obszarów przybywa który z koczujących tam mieszkańców, i zabrawszy na prędce zapasy żywności, oddala się nie wymieniając z nikim słowa. Czasami mały pastuszek gnając stada owiec po przyległych górach, zagra smętną piosenkę na wierzbowej fujarce. To chwilowe pojawienie się rolnika w domowej zagrodzie, ten oddalony dźwięk sielskiej muzyki przypominający inne szczęśliwsze czasy, przywodzący na myśl drogie sercu wspomnienia, są jedynemi wypadkami przerywającemi jednostajność osamotnionego życia.

Bywają dnie w których jasny widnokrąg niebios pokrywa się czarnemi chmurami, grom huczy, wicher wyje; w których zdaje się, że wszystkie żywioły wystąpiły do walki pomiędzy sobą. W takich dniach lżej mi na sercu. Niemy świadek tych zapasów, porównywam spokój mego życia do burzy dzikich namiętności wstrząsających byt społeczny, i czuję, że ta cisza mojej pustelni lepszą jest od wiru szalejącego świata. Spokój nie jest szczęściem, nie jest nawet zapomnieniem, ale wyradza pewien rodzaj moralnego odrętwienia przytępiającego boleść niezagajonych jeszcze ran.... Kto wiele przecierpiał, kto został zdradzonym w najświętszych uczuciach, kogo zaufana ręka

odarła ze wszystkich illuzyi i popchnęła na brzeg przepaści, kto ginąc, w miejsce współczucia usłyszał po za sobą śmiech szyderski, ten nigdy już nic zdoła odzyskać dawnéj swobody ducha, ale może złagodzić wewnętrzne katusze bezwzględnym spokojem samotności: są męczarnie na usunięcie których medycyna nie posiada żadnych środków, a jednak samém uśmierzeniem boleści przedłuża konanie.

Tymczasem samowładna pani stref podbiegunowych, zima, w swojéj skrystalizowanéj mrozem koronie, śnieżystym płaszczu, z aureolą zórz północnych po nad skronią, przybliża się szybkiemi kroki dla owładnięcia królestwa, które na krótko opuściła. Jéj skrzypiący przymrozkami chód słychać z daleka, jéj zimny oddech czuć się daje w zamrożonych miazmach powietrza, jéj posępne oblicze odbija się w zbitych na widokręgu chmurach. Dnie zaczynają być coraz krótsze, nocy coraz wcześniéj zapadają, wiatr jesienny złowieszczy goniec władczyni północy, świszczy przeraźliwie; ptastwo odbiegło, zwierzęta się pochowały, garstka ludzi pomiędzy któremi przeznaczenie żyć mi kazało, oddawna powróciła ze step, i przycichła w swych legowiskach. Wszędzie głucho, ciemno, straszno...

W owym czasie dziwném zrządzeniem losu, jak gdyby dla wypróbowania swoich moralnych, zabłysnął przed odrętwiałym stepowem osamotnieniem umysłem, objaw rzeczywistego życia. Przedemną zjawił się człowiek w pełnym rozwoju towarzyskich przymiotów, gorących uczuć—z myślą rwącą się naprzód, z sercem szukającém sympatyi i spółczucia. Nie był to automat—starowierca, zastygły w bezwładności i mechanicznéj modlitwie, nie był to włościanin syberyjski ze zwierzęconemi nadużyciem wódki pojęciami, ale dawny znajomy, towarzysz lat młodości, który udając się na południe, zabłądził przypadkiem w tę odłączoną od reszty świata pustynię.

Pana *** znałem jeszcze w kraju. Od najpierwszych lat młodości odznaczał się on niezwykłą ruchliwością. Życie uważał za olbrzymi warsztat, przerabiający bez ustanku surowe materyały myśli na bogate wartością produkta czynu. Spokoju nie pojmował, odpoczynku nie pochwalał, stagna-

cyą się brzydził. Był on jak ów przywykły do nieustannego hałasu właściciel foluszu, który puszcza w ruch maszyny nawet i wtedy, gdy zabrakło zasobów do przeróbki, aby tylko hurkotem kół oszukać przymusową bezczynność. Poznawszy szczegóły mego życia nie mógł wyjść z zadziwienia: nie rozumiał, ażeby człowiek chciał kiedykolwiek dobrowolnie skazać się na podobną samotność.

— „Ależ to jest śmierć moralna!“—zawołał przerażony.

— „Nie kochany przyjacielu,“ rzekłem łagodnie biorąc go za rękę“—śmierć moralna jest tam tylko gdzie ustaje praca myśli; kto żyje w sobie ten nie umiera. Świat wewnętrzny, świat dumań, wspomnień i nadziei, świetnym jest i wspaniałym, a horyzont jego nie ma krańców. W tym świecie idealnym żaden fałszywy akord złości ludzkiéj, podłości, przeniewierzenia się, niezamąci ogólnéj harmonii piękna. Patrz!—dodałem wskazując na oswojonych ptaszków świergocących wśród izby, na wiernego psa czołgającego się u nóg moich: to są prawdziwi przyjaciele; oni nie odpłacą złem za dobre, nie zdradzą, nie wyśmieją, nie ukąszą ręki, która im codzienną podaje strawę... Dni moje upływają cicho, jednostajnie, ale bez goryczy i wstrząśnień moralnych. To co było wczoraj jest dzisiaj; co jest dzisiaj będzie jutro. Nie znam upokorzeń i odczarowań, nie walczę z uprzedzeniami i nienawiścią; przeszłość jest mi nauką, teraźniejszość pokutą, a przyszłość nadzieją.

— „A gdy przyjdzie chwila, w któréj to wszystko co cię teraz zajmuje, stanie się ohydném i wstrętném; gdy przyjdzie chwila w któréj czarna rozpacz wpije się jako wąż zjadliwy do twego serca, uczepi kamieniem u szyi, złamie moc sztuczną, i powali bezwładnego na ziemię—któż cię wtedy podtrzyma, pocieszy, uleczy? Czyliż uczynią to automaty, w których oprócz kształtu nie ma nic człowieczego? Czyliż uczynią to zwierzęta umiejące tylko łasić się i szczebiotać? Bez przyjaciela, bez towarzysza, bez żadnéj życzliwéj istoty, zginiesz w téj pustyni. Obejrzyj się na próżnię, która cię otacza, zastanów nad twojém opuszczeniem i powiedz, jestże taki, któryby cię w podobnéj ostateczności uratować zdołał?

— „Jest!“ odpowiedziałem.

Pan *** spojrzał na mnie z zadziwieniem.

— „Któż?“ zapytał.

— „Kto? ten który był zawsze ojcem sierot, przewodnikiem zbłąkanych, pocieszycielem nędzarzy — ten który w najsroższych cierpieniach życia osusza łzy boleści, zamienia męczarnie rozpaczy w spokój ufności i nadziei.

Towarzysz moich lat dziecinnych nie wyrzekł ani jednego słowa, tylko westchnął i opuścił smutnie głowę na piersi.

On pomimo sztucznéj wesołości i powierzchownego zaufania w siłę swego charakteru, stokroć razy godniejszym był politowania odemnie.

Nieszczęśliwy... nie wierzył!

WOJNA DOMOWA W CHINACH

Kilkakrotnie już w listach pisanych do Was, (*) wspominałem o obyczajach i zwyczajach sąsiadów moich, Chińczyków, lecz nigdy nie dotknąłem kwestyi najżywotniejszéj, jaka niezmierną ludność państwa niebieskiego dzieli na dwa nieprzyjazne sobie obozy. Wojna domowa w Chinach jest to rak wewnętrzny, toczący dobrobyt tego państwa, nurtujący jéj administracyjne urządzenia, zagrażający jéj przyszłości. Jest ona zatém bardzo ważną, a wyobrażenia powzięte z gazet angielskich, przedstawiających dla widoków handlowych jednostronnie fakta, bywają czasami bardzo niedokładnemi. Jeżeli dotąd téj kwestyi nie dotykałem, to dla tego, że wszystkie szczegóły, jakie mogłem o państwie niebieskiém zasięgnąć, pochodziły zwykle od kupców tego kraju, a opinia polityczna kupców chińskich jest jak herbata, którą na to sadzą, ażeby rosła i przynosiła zyski plantatorom. Plantator zaś nie pyta czy ją będą pić Tajpingi, czyli téż cesarscy, byle płacili za nią stosowną ilość taelsów. I mądrze czynią. Losy wojny są zmienne, a zajmujący się handlem Chińczyk, nigdy wiedzieć nie może, czy miasto, w którém

---

(*) Zobacz „listy z nad granicy Chińskiéj" w Tygodniku Illustrowanym z r. 1869 i 1870. *Przyp. aut.*

mieszka, utrzyma się pod władzą cesarskich, czy téż wpadnie w ręce Tajpingom: przezorność więc nakazuje ani jednych ani téż drugich nie obrażać na siebie. Obecnie zaś miałem sposobność otrzymać z wiarogodnego źródła szczegóły, dające niejakie wyobrażenie o początkach téj strasznéj wojny, położeniu wzajemném dwóch przeciwnych sobie obozów, a głównie o wpływach, jakie Anglicy mają na wojenne sprawy.

Wiadomo powszechnie, że na całéj niezmiernéj przestrzeni, odgraniczającéj mocarstwo rossyjskie od Chin, jeden tylko znajduje się punkt dowozowy herbaty, a tym punktem jest Kiachta. Herbata wieziona głównym traktem z Pekinu na Małmaczyn, zamienianą jest tamże na złoto, i przysyłaną przez Irkuck do Europy.

Dowóz ten ma duże niedogodności: najprzód jeden tylko punkt wymiany, koncentruje w téj miejscowości największe kapitały, z uszczerbkiem innych części Syberyi; a powtóre linia irkucka nie jest bynajmniéj prostą linią w stosunku do Europy, co pomnaża koszta transportu. Ażeby temu zapobiedz, postanowiono porozumiawszy się z władzami chińskiemi, otworzyć kilka innych miejscowości dla wymiany towarów na granicy chińskiéj.

Jeden z tych punktów znajduje się w okolicy, którą zamieszkuję—jest nim wieś blizko granicy państwa niebieskiego położona, nazwiskiem Tasztyb. Dowóz z Pekinu będzie się odbywał wprost przez prowincyę chińską Mongolią. Mongolia, chociaż jeszcze bardzo dzika, i po większéj części koczującemi plemionami zaludniona, nie jest wszakże tém, czém była przed laty; drogi przez Sajańskie góry są potworzone, a pobudowane osady w niektórych punktach, które mieszkańcy tamtejsi zwą pompatycznie miastami, mogą służyć za wypoczynek dla transportów. Oddawna już jeden z kupców tutejszych, zamieszkały w mieście okręgowym Minusińsku, Wasilkow, prowadzi obszerny handel solą z Sajancami i Mongołami, i bardzo dobrze na tém interesie wychodzi.

Otóż więc dla zbadania miejscowości, oznaczenia traktu wywozowego, i porozumienia się z władzami chińskiemi, przybył na granicę książę A***, znakomity oryentalista.

Z powodu przybycia tego dygnitarza w nasze strony, miałem sposobność widzieć już nie kupców, ale urzędników państwa niebieskiego, i z powziętemi od nich szczegółami postaram się Was poznajomić.

Tak powszechnie wiadome są przyczyny wojny domowéj w Chinach, że powtarzać tego wszystkiego nie widzę najmniejszéj potrzeby. Jest to wojna wyłącznie dynastyczna. Lecz wszystkie wojny dynastyczne w Europie, choć były krwawe i namiętne, nie miały nigdy tego znaczenia i doniosłości, jak walka tocząca się obecnie w państwie niebieskiém. Pierwiastki, z jakich składają się ludy Chin, nigdy nie zlały się z sobą dokładnie w jednę całość: pomimo upływu wieków Tatar pozostał Tatarem, Mongoł Mongołem, zachowując starannie swoje obyczaje i wiarę; a czystéj krwi Chińczyk, czując swą wyższość pod względem nauki i wykształcenia, zawsze z pewnym rodzajem pogardy spogląda na pobratymcze mu plemiona. To wzajemne zapatrywanie się na siebie rozlicznych szczepów w zwyczajnych stosunkach życia, nie odznacza się nienawiścią, Chińczyk bowiem zanadto jest ociężałym, ażeby kiedykolwiek powodowały nim namiętności; ale stanowi pewną na pierwszy rzut oka prawie nieujętą linią demarkacyjną, oddzielającą owe rozliczne żywioły pomiędzy sobą. W języku chińskim np. wyraz cudzoziemiec, ma podobnie jak Giaur u Mahometanów i Goj u Izraelitów, nader pogardliwe znaczenie. Otóż Chińczyk ze środkowych prowincyi, nigdy nie nazywa mieszkańca Mandżuryi lub Tatara inaczéj, jak cudzoziemcem. Z drugiéj strony znowu budaiści pałają skrytą niechęcią przeciw wyznawcóm zasad Konfucyusza, nazywając ich wielbicielami ksiąg.

Oprócz wzajemnéj niechęci tych rozlicznych plemion z zupełnie odrębnemi pojęciami, obyczajami i pochodzeniem, mordercza walka, trwająca już od tak dawna, oswoiła mieszkańców państwa niebieskiego z tym nienormalnym stanem rzeczy, tak że pomimo strat jakie ponoszą w handlu i przemyśle, przywykli oni uważać ją jako konieczność. Dwie silne partye, dzielące ludność państwa na dwa przeciwne sobie obozy, znajdują ciągle niejaką podnietę swych sympatyi, w kolejnych zwycięztwach lub porażkach stron wojujących.

To ciągle naprężone położenie, stało się że tak powiém solą atycką dla owych mass ociężałych, gnuśnych, przesyconych nadmierném używaniem opium. Dziwne to jest usposobienie, prawie na pierwszy rzut oka niepojęte dla Europejczyka, przywykłego do wszystkich spraw swoich przymięszać choć szczyptę zapału. Biją się oni mechanicznie, zwyciężają bez tryumfu, idą w rozsypkę przy porażce bez upokorzenia, mordują nawet swych jeńców bez nienawiści. Przy rabunku tylko zdobytych miast, oczy chińskiego żołniérza, błyszczą chwilowo, podbudzone chęcią zysku; chciwość bowiem jest jedyną namiętnością, zdolną poruszyć żywiéj krew w żyłach tych automatów.

A jednakże przyznać należy, iż stan ten rzeczy, jakkolwiek obecnie jeszcze nie groźny, może stać się z czasem przyczyną upadku jednego z najbogatszych w świecie ludów. Ale na to potrzeba długiego przebiegu lat: cesarz chiński jest jeszcze prawie dzieckiem, a namiestnik państwa stał się narzędziem w rękach dyplomacyi europejskiéj; przytém przez wojsko zdemoralizowane, źle prowadzoną administracyę, wewnętrzne sprawy państwa niebieskiego z każdym rokiem gorzéj stoją.

Kiedy przy końcu 1851 r. sześcioletni syn Gienfunga Tschai-sei, miał pod swojém nowo przybraném imieniem Kitsianga, uskutecznić uroczysty wjazd do Pekinu, książę Kong ogłosił się samowolnie namiestnikiem. Oddaliwszy za pomocą dworskiéj rewolucyi, otaczającą młodego cesarza przyboczną radę, która była źle usposobioną względem cudzoziemców—od pierwszéj chwili nie mógł inaczéj uczynić, jak oprzéć się na pomocy i przyjaźni europejskich mocarstw. Idąc za radą angielskiego konsulatu, sformował on nowy regularny korpus wojska, dla obrony nie zbuntowanych dotąd prowincyi, pod dowództwem oficerów europejskich. Zwierszchnictwo téj armii dostał pułkownik amerykański, Bard. Pierwsze działania tego oficera były tak szczęśliwemi, tak wielką porażkę zadał zbuntowanym Tajpingom, że w Londynie i Nowym-Yorku, zaczęto już dopatrywać ery nowéj, szczęśliwszéj dla stosunków handlowych.

W 1862 roku pułkownik Bard padł rażony sztyletem

zabójcy, wśród murów jednego z miast prowincyonalnych Kiang-Si, a podkomendny jego, podpułkownik Burdswein, objął po nim dowództwo. Wkrótce jednak poróżnił się z Toatajem, wicekrólem w Kiang-Si, który nie chciał wypłacać wojsku należnego żołdu. Niewiele myśląc, Burdswein podstąpił z wojskiem pod miasto Schangaj, stolicę Kiang-Si a rezydencyę wice-króla, i z rewolwerem w ręku zażądał od chytrego wice króla wypełnienia zobowiązań. Taotaj nietylko nie wypłacił należnych piénię dzy, ale dał podpułkownikowi formalną dymisyę. Pomimo wszelkich zabiegów dymisya ta przyjętą została przez namiestnika cesarskiego w Pekinie. Rozgniéwany taką niesprawiedliwością, Burdswein, zebrał wszystkich swoich podkomendnych europeiskich oficerów w liczbie 300, i przeszedł do powstania.

W mieście Sutchen-fu, gdzie stał niewielki oddział Tajpingów, którzy go przyjęli z otwartemi rękami, uorganizował rodzaj gwardyi miejskiéj, powołując w szeregi wszystkich zdolnych nosić broń mieszkańców. Te wypadki miały miejsce w miesiącu lipcu 1863 roku. Niedługo wieść o przysługach, jakie Burdswein oddał powstańcom, doszła do Nankinu, która to stolica znajdowała się, jak wiadomo, w rękach Tajpingów. Wezwano go do tego miasta, a cesarz powstańczy Tien-bang, obdarowawszy szczodrze nowego swojego poplecznika, raczył mu powiedziéć, że zamyślił „cudzoziemców,“ tak bowiem nazywa panującą dynastyą Mandżurów, wypędzić z kraju za pomocą cudzoziemców, i że dla tego postanowił utworzyć legion europejski, nad którym dowództwo odda Burdsweinowi. Tenże zaś zobowiązał się w przeciągu roku dostawić 4000 Amerykanów, i w tym celu posłał werbowników do San-Francisco.

Gdy się to działo, książę Kong, jednocześnie, powziął zamiar wystąpić energicznie przeciwko wojskom powstańczym. Na czele armii postawił półkownika chińskiego Tchenko-fan, i działania wojenne rozpoczęły się na całéj linii od strony Nankinu. W szeregach obudwóch armii było mnóstwo europejskich oficerów, ale cesarskim wojskom i tym razem nie posłużyło szczęście. Tajpingi obsadzili miasta King-Si, Gu-nan i Ghu-pe; uzbroili 28 małych forteczek, i zostawiwszy

w Nankinie dobrze uzbrojonego wojska 30,000, rozciągnęli się obozem wzdłuż linii Moling. Burdswein zdołał sformować swój cudzoziemski legion, na czele którego oddał ważne usługi powstańczym rządom Tajpingów.

W obecnym czasie wojna toczy się ciągle z różnem powodzeniem, ale zwycięztwo częściéj jest na stronie powstańców. W 1870 roku, Tajpingi, zdobywszy kilka silnych pozycyi, i zniósłszy zupełnie lewe skrzydło cesarskich, posunęli się całą armią na północ, a pozostawiwszy na prawo miasto Hong, ufortyfikowali nader starannie swoją pozycyę.

W miesiącu lipcu t. r. przednie ich straże znajdowały się w Mo-fi-lo, miasteczku niebardzo odległém od granicy Syberyi. Czytając gazety europejskie, a mianowicie depesze telegraficzne przez Londyn nas dochodzące, nie możemy mieć wyobrażenia o prawdziwém położeniu rzeczy. Rząd bowiem angielski nie sprzyjając Tajpingom, wszelkiemi sposobami stara się podnosić w oczach Europy siłę mandżurskiéj dynastyi.

W tak zawikłanéj kwestyi jaką jest pretensya do tronu chińskiego, niepodobna rozsądzić czy linia mandżurska, czyli téż linia Tajpingów ma prawo pierwszeństwa; to jednak nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że szczegóły o toczącéj się wojnie, rozszerzane przez prassę angielską, nie są prawdziwemi. Siły Tajpingów nie są tak małe jak je *Times*, *Morning Chronicle*, i inne półurzędowe dzienniki chcą widzieć. Powstańcy zajmują ogromną przestrzeń państwa niebieskiego, armia ich liczy do 600,000 ludzi, i jest nierównie lepiéj uorganizowaną od cesarskiéj. Oprócz tego, jak mi opowiadał naoczny świadek, w miastach zajętych przez nich panuje wielki porządek: żołd wojsku regularnie jest wypłacany, administracya lepsza jak u Mandżurów, a co najważniejsza, że i piéniędzy nie brakuje. Poufny cesarza powstańców Tien-banga, Si-tchun-bang, wchodzi sam osobiście w najdrobniejsze sprawy: i stara się zachować karność, sprawiedliwość jakotéż poszanowanie prawa.

Przeszłego roku, za staraniem Si-tchun-banga, ostatnie oddziały łuczników zniesionemi zostały przy wojsku tajpingów; ich miejsce zastąpiły oddziały rycerzy opatrzone w broń

palną. W istocie łucznicy do dzisiejszego dnia, w znacznéj liczbie używani przy armii mandżurskiéj, nie mogą wielkich usług oddać nawet przy tak niedokładnym systemacie wojennym jaki jest w Chinach. Strzały wprawdzie idą tak daleko jak kule karabinowe, ale każdy pocisk przeleciawszy 70 kroków słabnie stopniowo, i własnym ciężarem dążąc ku ziemi, zakreśla półkole i pada przy nogach nieprzyjaciela. Oprócz tego, ażeby napiąć zwyczajny łuk chiński trzeba być obdarzonym niezwykłą siłą — nie każdy jest w stanie tego dokazać; na łuczników więc dobiérano zwykle najsilniejszych żołnierzy, co znowu było z uszczerbkiem innych oddziałów armii, gdzie także, mianowicie przy obsłudze ciężkich armat chińskich, potrzeba nader silnych ludzi.

Miałem sposobność widziéć tę broń, znaną w Europie zaledwie z podań średniowiecznéj historyi. Struna łuku naciąga się za pomocą korby, czasem jednakże wypręża się ręcznie; w tym ostatnim razie jednak pocisk nie bywa tak celnym. Wszystkie strzały bywają zazwyczaj zatrute, co także dawało powód do licznych wypadków; żołniérz bowiem chiński, nie mogąc częstokroć pomieścić wszystkich swoich strzał w kołczanie, przywiązywał je do warkocza, i bywały zdarzenia, że one w pochodzie raniły go i pozbawiały życia; najmniejsze bowiem zadraśnięcie zatrutą strzałą, staje się śmiertelném.

Wszędzie, gdzie tylko znajdują się europejscy oficerowie, czy to przy oddziałach tajpingów czyli téż mandżurów, zniesiono w skutek ich energicznych protestacyi, posadę katów batalionowych, ale przy oddziałach komenderowanych, wyłącznie przez Chińczyków, zwyczaj ten barbarzyński dotąd istnieje. Nietylko że za najmniejsze przewinienie, oficerowie karzą bez litości podkomendnych sobie żołnierzy, ale starsi mandarynowie, znajdujący się zawsze przy armii w charakterze urzędników policyi, skazują bardzo często na chłostę samychże oficerów. Narzędziami wymierzania kary są owi etatowi kaci. Chłosta nie jest uważaną za poniżającą godność człowieka; jeżeli jéj się obawiają, to jedynie tylko z powodu cierpienia fizycznego jakie sprawia. Po otrzymaniu plag, oficer chiński cieszy się równém poważa

niem kolegów jak przedtém, a jeżeli posiadał jaki znak honorowy lub order, nie utraca ich bynajmniéj w skutek kary cielesnéj jaką otrzymał.

Etatowi kaci znajdujący się przy armii chińskiéj, podobnie jak boabowie otaczający beja tunetańskiego, nie noszą innéj broni prócz narzędzia kary, wyróżniają się ubiorem, i cieszą niezwykłem poważaniem. Chociaż są oni tylko ślepymi wykonawcami rozporządzeń mandarynów, wszyscy przywykli uważać ich, jako przedstawicieli sprawiedliwości. Boabowie jednak tunetańscy stanowią właściwą straż beja, wtedy gdy w swoim pałacu Bardo wydaje wyroki; chińscy zaś kaci wojskowi zaliczani są do oddziałów armii stale, z pewną dosyć nawet wysoką rangą, i w hierarchii wojennéj mają pierwszeństwo przed wielu oficerami. Niektórzy z podróżujących w ostatnich czasach po Chinach twierdzili, że do téj posady przywiązaną jest także pewna godność duchowna, zdanie swoje opierali zapewne na surowéj, poważnéj powierzchowności, i ciemnym ubiorze tych strasznych urzędników; ale zdanie to jest zupełnie mylném, wykonawcy bowiem chińskiéj sprawiedliwości, pomimo wysokiego poważania jakiém się cieszą, nie mają nic wspólnego ze stanem duchownym.

Kary za przestępstwa w armii chińskiéj bywają różne: np. areszt krótszy lub dłuższy, degradacya mniejsza lub większa, ale prawie wszystkie połączone są z chłostą. Kary cielesne bywają niekiedy bardzo srogie: nie rzadko trafia się iż skazany kończy swe życie pod razami. Z resztą one wymierzają się tylko wtenczas gdy nastąpiła skarga: jeżeli strona pokrzywdzona nie doprasza się ukarania winowajcy, władza nie ma prawa go poszukiwać. Najpowszechniejszy występek w Chinach, złodziejstwo, rzadko bywa karaném; najczęściéj bowiem poszkodowany godzi się polubownie z przywłaszczycielem swojego mienia, otrzymując oprócz wartości uronionego przedmiotu, pewną ilość taelsów. Złodziejstwo samo przez się nie jest uważaném jako czyn niegodny; przeciwnie zręcznego oszusta, któremu niczego dowieść nie można, cenią wszyscy jako człowieka sprytnego i rozumnego, takiego zaś, który popadł pod karę lub téż musiał się opłacić

szczodrze poszkodowanemu, wyśmiéwają jako niezręcznego i pozbawionego talentu, nie zrywając z nim bynajmniéj stosunków towarzyskiéj życzliwości lub przyjaźni.

Oto są jaknajdokładniejsze szczegóły o obecném położeniu armii chińskiéj. Pomimo tyloletniego pobytu mojego w tych stronach, a zatém i stopniowego przyzwyczajenia się do swoich sąsiadów — patrząc na te postacie, słysząc te wszystkie objaśnienia, niechce się czasami własnym oczom i uszom wierzyć, tak dalece wyobrażenia i zwyczaje ludu chińskiego, odrębne są od wyobrażeń, przekonań i pojęć, naszéj staréj Europy.

POSZUKIWACZE ZŁOTA W SYBERYI.

Kiedy przed dwudziestu kilku laty odkryto złotodajne piaski nad brzegami rzeki Sakramento, całe massy ludności z różnych stron świata, owładnięte żądzą szybkiego zbogacenia się, opuszczały rodzinne strony i dążyły tłumami do Kalifornii. Byłto rodzaj epidemii, choroba nazwana „gorączką złota.“ I w krótkim przeciągu czasu, wśród pustych obszarów, stawały bogate i ludne miasta, przy niedostępnych brzegach, tworzyły się wygodne i bezpieczne porty; na tysiące jednak emigrujących, powracało zaledwie kilku bogaczów, reszła nikczemniała, umiérając z głodu, lub kończąc samobójstwem nędzne dni żywota swojego. Wyjątek stanowili ci, którzy, przeczuwszy gdzie znaléźć można istotny pożytek, porzucili placery, a wziąwszy się do handlu, przemysłu i rękodzieł, doszli wolniéj wprawdzie, lecz pewniéj do zapewnienia sobie niezależności i dobrego bytu. Poszukiwanie bowiem złota, jak wszelkie środki służące do łatwego i prędkiego zbogacenia się, jest więcéj grą z losem niż spekulacyą: na setki, tysiące idących w zapasy, zaledwie znaléźć można kilku wybranych.

Bogata w minerały syberyjska ziemia, ukrywa w swém łonie także ów drogocenny kruszec, a od chwili odkrycia złotodajnego piasku w tych stronach, miejscowa i napływowa ludność, jakotéż przybyli naumyślnie z Europy spekulanci, zajmują się poszukiwaniem złota. Warunki jednak są tu zupełnie odmienne. Klimat, niedostępność pustyń leśnych, ustawy rządowe, mała wydajność, a najwięcéj może stosunki odrębne Syberyi, sprawiają, że to co w Kalifornii było początkowo gorączkowym szałem, tu zawsze przedstawiało się jako proste przedsiębierstwo. A najprzód klimat nie mało wpływa na uśmierzenie niewczesnego zapału: pod tym stopniem szerokości i długości geograficznéj, krew leniwiéj krąży w żyłach, serce wolniéj bije w piersi, wyobraźnia nie tak łatwo rozbudza się, jak w podzwrotnikowych strefach; a jeżeli wyjątkowo który z poszukiwaczy, znalazłszy bogatsze pokłady złotego piasku, owładnięty został chwilową namiętnością, to nadchodząca zima, przecina w samym zarodzie powstałą gorączkę, kładąc jéj jako tamę twardą skorupę ziemi, któréj żaden oskard nie przebije, grubą warstwę śniegu i mróz czterdziesto-stopniowy. Powtóre w Kalifornii każdy człowiek, mający zdrowe ręce, chęć zbogacenia się i energię, może poszukiwać złota; na Syberyi zaś, gdzie trzeba uzyskać konsens od rządu, kupić lub wydzierżawić grunt odpowiedni, sprowadzić maszyny, nająć stosowną ilość robotników, pobudować dla nich mieszkania, poszukiwaczem może być tylko mniejszy lub większy kapitalista. Nareszcie mała stosunkowo ilość wydobywanego kruszcu sprawia, że i zapał i ryzyko są mniejsze: (*) niewielu się w tym przemyśle bogaci, niewielu także bankrutuje, ogół poszukiwaczy żyje tak sobie z roku na rok, jak i inni przedsiębiercy;

(*) Ilość wydobywanego złota w całéj wschodniéj Syberyi dochodzi w przecięciu do 660 pudów rocznie. Ażeby zaś powziąść wyobrażenie jak drobnym jest stosunek złota do piasku, odłączającego się przy oczyszczaniu, dosyć powiedziéć, że kiedy w dwóch okręgach Aczyńskim i Minusińskim (Jenissejskiéj gubernii), dostają około 70 pudów złota rocznie, to waga odłączonego piasku wynosi przeszło 60,000,000 pudów. (*Przyp. aut.*)

szczęśliwi jeżeli odmyty proszek, lub znalezione okruchy, pozwoliły im opłaciwszy koszta, przebyć w oczekiwaniu następnéj wiosny bezczynnie porę zimową. Wszystkie te powody razem wzięte jasno pokazują, że jeżeli w Ameryce większa część dobywających złoto może być awanturnikami, na Syberyi ta klasa ludzi składa się bez wyjątku z samych przemysłowców.

Wydajność złota na Syberyi z roku na rok zmniejsza się: (*) dziś już ona jest zupełnie inną, jak była przed laty, a niezadługo zapewne przyjdzie czas, w którym koszta poszukiwania przewyższą zyski. W początkach kopalnie nie przynosiły takich dochodów, jakieby mogły przynosić, z powodu urządzeń tamujących działalność przedsiębierstwa. I tak, przywileje wydawane były tylko niektórym klasom, place, bezwzględnie na mniejsze lub większe ich bogactwo, musiały po zameldowaniu skarbowi, być wyrabiane przynajmniéj w przestrzeni 50 sążni kwadratowych w ciągu roku; mali kapitaliści nie mogli tworzyć oddzielnych kompanii, a kradzież złotego piasku, pomimo najsurowszych kar na-

(*) Dodać winienem, że zmniejszenie to wydajności złota, ma tylko miejsce w wyczerpniętych kopalniach gubernii Tomskiej, Jenisejskiéj i Irkuckiéj, prowincya bowiem Amurska i ogromna przestrzeń Jakucka, ukrywają w łonie swéj ziemi nieznane, niezbadane jeszcze skarby. Od niedawnego czasu wzięto się do eksploatacyi tych obszarów pustych i niezaludnionych, a rezultaty odpowiedziały powziętym nadziejom. W krajach amurskich nowo powstałe kopalnie pp. Jacobsona, Buinida, Bazarowa, Sibiryakowa, wymywają od 100 do 150 pudów rocznie złotego proszku; a świéżo zaprowadzona kompania Benardaki i sp. rozprzestrzeniła swą działalność i na leżące od wieków odłogiem, niezmierzone pustynie Jakuckie. Kto zna czém jest prowincya Jakucka, ten tylko pojąć zdoła z jakiemi olbrzymiemi trudnościami walczyć muszą przedsiębiercy, ażeby doprowadzić swe zamiary do skutku. Nad korytem rzeki Leny są osady inorodców, częstokroć o 500 lub 1000 wiorst odległe jedne od drugich; oddaliwszy się od brzegów rzeki niéma zupełnie nic, i do zakładów kopalnianych, położonych w głębi tajg, dowozić trzeba częstokroć wszystkie przedmioty do życia potrzebne, na odległości bajeczne, tysiące wiorst wynoszące, po miejscowościach pustych, dzikich, w których niéma żadnego śladu człowieka. *(Przyp. aut.)*

znaczonych prawem za to przestępstwo, w daleko większych praktykowała się rozmiarach, jak to ma miejsce obecnie. Od kilku lat nowa ustawa rządowa, dozwalająca każdemu bez wyjątku poszukiwać złoto, podtrzymała zaczynające się już chwiać przedsiębierstwo; wielu uprzywilejowanych, którzy dotąd najczęściéj za pomocą swoich rządców lub nawet dzierżawców, zajmowali się tym przemysłem, ustąpiło z placu, a na ich miejsce powstało mnóstwo drobnych przemysłowców, zawiązały się spółki, pojawiły się zbiorowe kapitały, i ruch znacznie powiększonym został.

Arteryami tego ruchu są punkta zbiorowe: kantory najmu robotników. Działalność zaczyna się jeszcze w zimie, przy zakupach znacznych partyi surowych artykułów żywności, zaciąganiu pożyczek, puszczaniu w obieg weksli i gromadzeniu zasobów piéniężnych. Nietylko miasteczka, ale nawet znaczniejsze wsie i gminy, zyskują na tym obrocie: włościanie zbywają korzystnie swoje plony, handlarze swój towar, a dostawcy bydła nader świetne robią interesa. Jeżeli stopa procentu ulega na jakiś czas podwyższeniu, za to produkta przemysłu i rolnictwa znajdują znaczniejszy odbyt, a czynność jaka się wszędzie objawia, rozbudza z apatycznego uśpienia nawet i tych, którzy bez téj podniety zależeliby pole z uszczerbkiem ogólnego dobra. Niéma obawy, ażeby absorbacya kapitałów przez jedno wyłącznie przedsiębierstwo, wpływała na zmniejszenie rozwoju innych gałęzi przemysłu; jeżeli bowiem fabryki i rękodzieła na nizkim stoją stopniu w Syberyi, nie pochodzi to bynajmniéj z niedostatku kapitałów obrotowych, ale z braku rzutności samychże przedsiębierców. Huta żelazna Permiakina i szklanne Issakowa i Gusiewa, posiadają odpowiednie zasoby (*), i jeżeli nie procentują się należycie, to jedynie z powodu zaniedbania części technicznéj i produkowania wyrobu w nizkich gatunkach i w cenach, stosunkowo do jego wartości

(*) Kapitał obrotówy huty żelaznéj Permiakina wynosi 60,000 rubli sr., huty szklanéj Issakowa 40,000 rs., a zaś nowéj w 1870 roku powstałéj huty Gusiewa 25,000 rs. *Przyp. aut.*

nazbyt wygórowanych. Fabrykanci pragnęliby od razu wrócić cały nakład, pomijając wygodę nabywców, i to jest przyczyną niewielkiego powodzenia zakładów. Zawiązanie się spółek kopalnianych nie może tamować ich działań, ani pod względem ekonomicznym, ani téż pod względem finansowym, owszem przeciwnie: owo rozbudzenie się ruchu przemysłowego, a zatém popchnięcie mass gnuśnych i ociężałych do życia czynnego, byłoby jeszcze jednym bodźcem więcéj, dla rozwinięcia się w większych rozmiarach wszelkiego rodzaju przemysłu, gdyby wyżéj przytoczone powody nie stały ku temu na przeszkodzie.

Ale wróćmy się do naszego zadania.

W początkach miesiąca marca, z miasteczek, wsi, i wiosek suną długie szeregi sań, napełnionych mięsem, mąką, sucharami: na krańcach stepów, w punktach w których kończy się jazda, wszystkie te transporta, przeładowane na grzbiety koni, dostawiane bywają z niezmiernym trudem aż do miejsc, zawierających drogocenny kruszec. Miejsca te położone są najczęściéj w głębi niedostępnych tajg czyli pustyń leśnych, daleko od stron zamieszkałych, nad brzegami rzek lub potoków; trudno się tam dostać inaczéj jak konno, trudniéj jeszcze zaopatrzyć we wszystkich niezbędne do życia potrzeby.

Ażebym był w możności przedstawić czytelnikowi kolejny szereg prac, podjętych przy wydobywaniu z ziemi złotego proszku, należy mi przedewszystkiem objaśnić, jakim sposobem przedsiębierca wchodzi w posiadanie odpowiedniego gruntu. Dwóch on do tego używa środków: albo sam wynajduje sobie plac, który sądzi być złotodajnym, albo téż odkupuje gotowy już od poprzedniego właściciela. W piérwszym przypadku udaje się do pustyni leśnéj wraz z kilkunastu najętymi robotnikami; kopie w różnych kierunkach, obmywa stosownie wziętą na próbę ziemię, a znalazłszy to czego szukał, melduje skarbowi o zajętym przez siebie placu, za który od chwili zameldowan a, płaci po 15 kopiejek od pogonnego sążnia rocznie, bezwzględnie na to jaką ilość złota wydobył, i bezwzględnie nawet czy zajął się pracą czyli téż zostawił miejscowość odło-

giem. (*) Zajęcie placu i zaczęcie robót bez zameldowania, pociąga za sobą kary kontrawencyjne prawem przewidziane. Zdawaćby się mogło, że odkupienie gotowéj już z wszelkiemi zabudowaniami i maszynami przestrzeni, od poprzedniego poszukiwacza, jest nader prostym interesem, tymczasem rzecz się ma zupełnie inaczéj: tu bowiem syberyjska przebiegłość wysila się na wszelkie możliwe sposoby, ażeby przystępującego do kupna nabywcę wyprowadzić w pole. Wartość placu zależy nie od jego obszerności ani położenia, ale od bogactwa, które w sobie zawiéra; przedający pragnie wszelkiemi środkami wykazać jaknajwiększą złotodajność piasku, nabywający zaś, wiedząc o różnych sztukach jakie bywają w użyciu, wytężoną znowu zwraca uwagę, ażeby nie być oszukanym. Pomimo jednak najbaczniejszego śledzenia, staje się on bardzo często ofiarą biegłego w swym fachu poprzednika. Przed podpisaniem umowy robioną bywa stanowcza próba wydajności gruntu; nabywca, wiedząc że przy téj operacyi, podkupieni robotnicy, mogą zręcznie przy kopaniu ziemi, podrzucić naprzód już przygotowane okruchy złota, bierze swoich zaufanych ludzi, wiernych dozorców, blizkich znajomych i przyjaciół — i wszyscy bacznie patrzą na ręce poprzedniego właściciela lub jego pełnomocnika, obecnych przy próbie, aby ci nie rzucali żadnego przedmiotu na wydobywaną ziemię. Bywały jednak przykłady, że pomimo najściślejszego pilnowania i śledzenia, place na których w czasie odbywania powyższéj roboty, znajdowano w znacznéj ilości złoty proszek a nawet mnóstwo większych okruchów tego kruszcu, okazały się po kupnie i zapłaceniu zupełnie jałowemi. Jakimże sposobem tyle niepojęte zdarzenie

(*) Pogonny sążeń w długości ma miarę oznaczoną nazwiskiem, szerokość zaś jego jest względną, wynosi bowiem dwie, trzy a czasem pięć wiorst. Miejsca w których się wydobywa złoto, są to zwykle doliny zagrodzone z dwóch stron górami, w pośrodku których płynie czasem rzeka lub strumyk. Otóż więc długość pogonnego sążnia mierzy się w kierunku długości doliny, szerokość zaś jego zajmuje całą przestrzeń pomiędzy przeciwległemi pasmami gór, i nie mierzy się już wcale. *Przyp. aut.*

mogło mićć miejsce? Oto poprostu dlatego, że sprzedający i jego podwładni, stojąc na wydobytéj dla próby ziemi, palili namiętnie papiérosy, a otrząsając z nich popiół, obsypywali brany do płukania piasek sporą ilością złotego proszku, z którym misternie poprzednio tytuń papiérosów był zmięszany. Ta sztuka obecnie tak już jest znaną, iż sam byłem świadkiem jak przy układach, kupujący położył za warunek, ażeby w czasie trwania próby nikt tytuniu nie palił. Zapewne jednak do tego czasu przebiegli Syberyacy wymyślili nowy jaki środek, dający możność sztucznego przemieniania jałowéj ziemi w drogocenny kruszec.

W dzisiejszych czasach, przedsiębiercy w téj gałęzi przemysłu, tworzą trzy kategorye: bogatych kapitalistów, posiadających po kilka lub nawet kilkanaście własnych kopalń; średnio zamożnych, prowadzących proceder na ograniczoną stopę; i mniéj zamożnych, składających spółki, kompanie, i dzielących się późniéj dywidendą zysków jeżeli się takowe okażą. Druga i trzecia kategorya najwięcéj przynoszą zysku dla rozwoju przedsiębierstwa. Niewielkie środki piéniężne, jakiemi rozporządzać mogą, są powodem, że pracując na mniejszych przestrzeniach, wyciągają z nich wszelkie bogactwa; osobisty zaś dozór wpływa nietylko na wewnętrzny porządek zakładu, ale tamuje do pewnego stopnia rozprzężenie i nadużycia robotników, klasy w wysokim stopniu zdemoralizowanéj. U bogatych posiadaczy kopalń, choćby najsumienniejszych, tego być nie może. Oni nie są w stanie wglądać we wszelkie szczegóły i potrzeby miejscowe; mieszkając po wielkich miastach, rządzą zakładami za pośrednictwem plenipotentów, a ci, pamiętając najczęściéj o swoich własnych kieszeniach, ciągną dla siebie wszelkie możliwe korzyści, a co najważniejsza ubezwładniają swojém postępowaniem rozwój ogólny całego przemysłu.

Jak czynnikiem rozwoju rolnictwa są nie sztuczne maszyny, mądre traktaty, ani zamorskie wymysły, ale ulepszenie bytu włościan; tak działaczem do podniesienia zachwianego przedsiębierstwa kopalnianego w Syberyi powinno być umoralnienie pogrążonego w grubéj ciemnocie i zupełnym upadku robotnika. On już skutkiem poprzednich nadużyć,

niesumienności i niedokładnych przepisów, na tak nizki zeszedł szczebel, że praca ta będzie ciężką, mozolną, wymagającą czasu i poświęcenia, ale każdy z nowych poszukiwaczy chętnie ją podejmie, gdy tylko nabierze przekonania, że własny jego interes z podobném postępowaniem ściśle jest związany.

Chcąc dokładniéj zrozumiéć to położenie, jakoteż przyczyny zdemoralizowania robotników w kopalniach zatrudnianych, wypada nam przejść cały proces działania, przy poszukiwaniu złota.

Na kilka tygodni przed 15-tym marca, oficyaliści przedsiębierców wysyłani bywają po gminach dla najmowania ludzi. Czynność ta jest nader prostą. Robotnik ugodzony po 3 i pół, najwięcéj po 5 lub 6 rs. miesięcznie, bierze zwykle naprzód zadatek od 10 do 15 rub. wynoszący, zostawia w ręku najmującego swoje legitymacyjne papiéry, wzięty zadatek przepija, a gdy termin naznaczony kontraktem nadejdzie, udaje się dobrowolnie, lub w razie oporu, odstawiony zostaje pod strażą na miejsce swojego przeznaczenia. Dlaczego na Syberyi gdzie tak wielką jest łatwość zarobkowania, znajdą się zawsze ochotnicy dla zaprzedania swego bytu w dobrowolną niewolę? dlaczego wiedząc co ich tam czeka przemieniają cichą, znośną teraźniejszość, na przyszłość pełną trosk, kłopotów i niedostatków?... Bo spekulanci znają co czynią: umieją trafić w ich słabą stronę, podburzyć namiętności, olśnić widokiem piéniędzy, ogłuszyć krzykiem hulanki i odgłosem pieśni... Dzień kontraktów jest dniem wesela. Wódka leje się pełnemi wiadrami, zewsząd brzęczą bałałajki, śpiéwy rozlegają się do koła; a tłumy najemników w szale pląsów, tanów i krzyków, przed których oczami migają różnokolorowe bankowe papiérki podpisują umowy. Co będzie to będzie — na cóż myśléć o tém! teraz hulajmy, kiedy hulać można! Podpisano cyrografy, zniknęli ajenci, w pełnych przed chwilą wiadrach wódki, dno przegląda, pomęczeni muzykanci grać przestali: smutno jakoś i ckliwo na sercu... Co tam! jeszcze są piéniądze wzięte na zadatek: przedłużajmy ochotę! I bachanalie rozpoczy-

nają się z większym jeszcze zapałem, i trwają dopóty, dopóki ostatnia kopiejka nie wyszła z kieszeni, dopóki ostatnie brodnie (rodzaj obuwia), i ostatni kożuch nie zostały przepite.

Rozmarzonemu, ogłupiałemu od wódki, ochrypłemu od szału i śpiewów powiadają: „Czas do roboty!“ Dbali o dobro jego ajenci, znalazłszy się zawsze w stosownéj chwili, opatrują w nowy kożuch i brodnie, na rachunek przyszłéj należności, pilnując tym razem, ażeby to odzienie, nie zamieniło się w płyn alkoholiczny—i upornych pod strażą a uległych pod przyjacielską opieką, odstawiają do kopalni.

Zajrzyjmy teraz do kopalni.

Wśród niezmiernych lasów, pustych obszarów, w dolinie otoczonéj dwoma pasmami gór, pobudowano już uprzednio odpowiednie dla robotników, służby, officyalistów i zarządu mieszkania. Na piérwszym planie stoi dom odszerny, drewniany, z wysokim dachem, malutkiemi okienkami: tam mieszka piérwszy zaufaniec, alter'ego zarządzającego— sam bowiem pan rządca zbyt znakomitą jest figurą, ażeby chciał zagrzebać się w téj pustyni i wglądać w potrzeby miejscowe. On żyje zwykle w gubernialném mieście, przyjmuje gości, pije szampana, ciągnie sztosa, i zdaje co miesiąc raporta właścicielowi, w których pisze nieodmiennie, że wszystko idzie jak najlepiéj w powierzonym jego opiece zakładzie. Obok domu podrządcy czyli zaufanego (dowierennego) są stajnie dla koni, kazarmy dla kozaków, domki dla oficyalistów; i nakoniec długi, wązki budynek w którym rozmieszczeni po kilku i kilkunastu, w małych klitkach, nocują robotnicy. Przy tym ostatnim budynku przystawioną jest najczęściéj duża szopa, nazwana pompatycznie szpitalem.

Od dnia 15 marca do dnia 1 maja mają miejsce roboty przygotowawcze jako: to spulchnienie gruntu, urządzenie ścieków, ustawienie maszyn — i to jest jeszcze niczém. To tylko próby do rzeczywistych trudów i ciężkiego znoju. Właściwa praca zaczyna się od 1 maja. Ustawione maszyny nad brzegiem rzeki lub strumyka, wprowadzone zostają

w ruch za pomocą wody lub téż konnego manežu. (*). Część robotników bywa używaną do płukania piasku, i pozostaje przy maszynach; druga zaś część przeznaczona do kopania i wożenia ziemi, w ciągłym jest ruchu. Piérwszych zajęcie mniéj na pozór zdaje się być uciążliwém, lecz oni stojąc ciągle po kolana w zimnéj wodzie, łatwiéj podlegają różnem chorobom. Drudzy za to ciężkie mają zadanie: dwóch ludzi i jeden koń, powinni wykopać i przenieść do miejsca oddalonego częstokroć o 500 lub 600 sążni, półtora kubicznego sążnia piasku. Ażeby ten wymiar uskutecznić zmuszeni są, wyjąwszy dwóch godzin przeznaczonych na posiłek i odpoczynek, pracować od świtu do zmroku — to jest od 2-éj po północy do 10-éj wieczorem, kiedy czas robót prawem oznaczony, jest tylko od godziny 5-téj zrana do 8-méj wieczorem. Ilość pokarmu dawanego robotnikom jest zbyt szczupłą: funt mięsa w którym połowa kości, dziennie na osobę, nie zdoła dać dostatecznego posiłku, przy tak ciężkiéj pracy. Wprawdzie każdy z pracujących może gdy zechce dostać nietylko pokarmu, ale wszystkiego czego zażąda na kredyt u miejscowego zarządu, ale ta łatwość nabycia, ten kredyt źwłaszcza, wpływają bardzo niekorzystnie na dalszy los robotnika.

Jak wyżéj powiedziałem, sobowtór pana rządcy dowierenny, króluje w tém małém, oddzieloném od reszty świata państwie. O samym właścicielu i mowy być nie może: jest to istota mistyczna, ukryta gdzieś daleko za górami i lasami, któréj oblicza nikt nigdy nie widział. Rządca nawet pokazuje się nader rzadko, raz na rok zaledwie przyjedzie do

(*) Maszyny używane do płukania piasku systemu amerykańskiego, są nader prostéj konstrukcyi. Cylinder dziurkowaty, w który się wysypuje piasek, i żłobek ze szczelinami, w których osiada po przemyciu proszek złoty; ot i wszystko. U drobnych poszukiwaczy i tego niéma, a jeden mały żłobek wystarcza zadaniu. Użycie pary do wprawiania w ruch maszyn, zaledwie w dwóch czy w trzech kopalniach, i to od niedawnego czasu jest wprowadzoném.

(*Przyp. aut.*).

kopalni i to na krótko: punktem więc kulminacyjnym i pośrednikiem pomiędzy podwładnymi a zarządem, staje się jego zaufaniec. Osobistość ta przeszedłszy zazwyczaj różne koleje w swojém życiu, z różnych pieców chléb jadając, a wszędzie doświadczywszy niepowodzenia, trzyma się rękami i nogami korzystnego miejsca, i za nic w świecie nie chciałaby narazić właściciela na straty, a siebie na postradanie posady. Księgi rachunkowe dowierennego w należytym są porządku; po całych dniach nad niemi siedzi, rzadko nawet zaglądając do robót, gdyż od tego są dozorcy i podwładni mu oficyaliści. Księgi te, to alfa i omega jego czynności: trzeba tak wszystko urządzić, ażeby i pryncypał był zadowolony, i jemu jaka okrągła sumka oprócz pensyi się okroiła. Oszukiwać tych, którzy mu chléb dają nie chce i nie może: toby było rzeczą zupełnie niemoralną, a co więcéj niebezpieczną—pozostają więc tylko podwładni, dla których nie mając żadnych obowiązków grzeczności, nie potrzebuje okazywać się tyle skrupulatnym. Z niemi łatwiejsza daleko sprawa. Miejscowość w któréj się wydobywa i przepłukuje złoto, jest położoną wśród pustych obszarów, wśród tajg niedostępnych: 'dokoła niéma ani wioski, ani żadnéj osady, a tém samém i sposobów dostania potrzebnych do życia przedmiotów — podwładnym nie wolno oddalać się na krok z zakładu, a przecież nietylko oni, ale ich rodziny, mają co chwila rozliczne potrzeby. Zysk jaki wyciąga dowierenny z etatowego żywienia ich jest niedostatecznym, gdyż porcye regulaminem określone, są już tak szczupłe, że nie wiele z nich korzystać można, nawet dając stęchłą mąkę i przegniłe mięso; ale przedsiębierczy umysł jego umié wynaléźć inne jeszcze źródła dochodów.

Wprawdzie nie wié on o niczém, i zapewne zdziwiłby się nie mało, gdyby mu kto wykrył te tajemnice. Rzecz nader prosta: ani godność, ani stanowisko jego, nie pozwalają wchodzić w takie drobiazgowe szczegóły — to już zajęcie babskie; od tego są kobiéty. Jeżeli uprawlajuszczy jest żonatym, to jego małżonka obejmuje nieograniczoną władzę nad zgłodniałemi niedostatecznym pokarmem żołądkami, i wnika we wszelkie potrzeby, odłączonéj od reszty świata kolonii;

jeżeli zaś jest kawalerem, to dobiéra sobie piérwszą lepszą babę, częstokroć z partyi wziętą włóczęgę, któréj daje tytuł ekonomki czyli gospodyni, i ta staje się szafarką przeznaczonych na polepszenie bytu robotnika skarbów.

Zaczyna się praca. Z pierwszym brzaskiem dnia słychać głośny dzwon wzywający robotników do roboty. Brzeg rzeki napełnia się rojami ludzi, którzy z rydlami w ręku, brodząc po kolana w błocie, na wpół schyleni, oddają się ciężkim mozolnym trudom. Jedni zwożą piasek, drudzy go myją na maszynie, trzeci nakoniec odgarniają odchodzący zwir: przy nich na wywyższonych miejscach stoją dozorcy, których obowiązkiem przyśpieszać postęp pracy, pobudzać leniwych, i pilnować, ażeby okruchy złota nie przenosiły się do kieszeni robotników. Upał nieznośny, muszka i komary dokuczają niemiłosiernie, pot znoju oblewa czoła, a odetchnąć nie można, bo maszyna nie ustaje, potrzebując nieustannie piasku, wody i roboty. Odpoczynek dzienny nie może ani umniejszyć znużenia, ani pokrzepić sił niedostatecznym pokarmem. O drugiéj znowu wszyscy na nogach—i tak ciągle, zawsze, bezprzestannie, aż do zmroku. Wtedy te blade, wycieńczone pracą postacie, zawlókłszy się z trudnością do szopy przeznaczonéj im na spoczynek, upadają na słomę pokotem; ale pomimo znużenia, sen nie klei im powiek, gdyż różne i przeróżne potrzeby występują na widownię, domagając się natychmiastowego zaspokojenia. Jeden, który na obiad dostał więcéj kości niż mięsa, uczuł głód gwałtowny, nieprzezwyciężony—drugiemu rozpadło się do reszty obuwie, u trzeciego chałat zaledwie wisi na plecach, inny nakoniec, przywykły zakrapiać smutną dolę kieliszkiem wódki, drży do orzeźwiającego napitku: za odrobinę tego ognistego nektaru, oddałby chętnie swą duszę, gdyby się ona na cokolwiek szatanowi przydać mogła.

Wtedy, jako deus ex machina, zjawia się ekonomka.

U niéj jest wszystko: i mięso zdrowe, posilne, i chléb dobrze wypieczony, i nici, igły, i gotowe chałaty, nowe brodnie, a nawet pod sekretem miarka tego truneczku, który tak dziwnie wzmacnia naturę człowieka, i tak cudownie smutne myśli na wesołe zamienia. Wprawdzie na te przed-

mioty nałożono ceny niesłychane, ale za nie płacić nie trzeba; wszystko zapisuje się w księgi aż do ostatecznego porachunku. Nie płacić i dostać wszystkiego, któżby się oparł podobnéj pokusie?.... Tymczasem długi robotnika rosną a rosną, i gdy on, który z saméj natury swojéj nie jest rachunkowym, sądzi, że z kończącym się rokiem przyszedł kres jego cierpieniom; nie może wyjść z podziwienia, dowiedziawszy się, że te małe kwotki po dwa i trzy ruble jakie zapisywano na nici, igły, chałaty i obuwie, przenoszą znacznie całoroczną płacę, która mu się należała. Trzeba więc jeszcze rok służyć, a że potrzeby są zawsze te same, a pieniędzy w kieszeni nigdy nie ma, lata więc jego pracy przedłużają się stosownie do woli uprawlajuszczego.

Kwestya długów, jakie zarządy złotych kopalń mają na robotnikach, jest kwestyą wielkiéj wagi, i stała się teraz nieledwie zadaniem ekonomicznem: w ostatnich czasach bardzo wiele o tém pisano, starając się wynaleźć środki dla zapobieżenia złemu.

Stosownie do przepisów rządowych, przy każdym większym zakładzie kopalnianym, powinien być doktór, apteka i szpital. W niektórych znajdują się lekarze z ustaloną reputacyą, nauką, nieżałujący trudów i poświęceń, przejęci ważnością swego powołania; w wielu innych miejscowościach, posadę doktora zajmuje jaki przybłęda felczer, umiejący tylko bańki stawiać, krew puszczać i przykładać synapizma.

Pomimo jednak niezbyt wysokiéj płacy, kredytu pożérającego zarobek, i obłożenia monopolem wszelkich potrzeb, wychodzących po za szczupły zakres etatem naznaczonego utrzymania, bardzo często przy skończeniu robót w zakładzie, robotnicy, popłaciwszy długi, widzą się panami znacznéj bo 100, 200 albo 500 rubli wynoszącéj summy. Jakim się to sposobem dzieje, opowiem. Podług powszechnie przyjętéj zasady, tylko proszek złoty, wydzielający się z piasku za pomocą przemywania, jest wyłączną własnością właściciela kopalni, wszystkie zaś samorodki (kawałki złota, mogące być podjętemi z ziemi bez udziału maszyny) należą w $^2/_3$ częściach do właściciela, a w $^1/_3$ do tego który je znalazł. Znalezienie samorodka, szczególniéj większéj nieco

wagi, wychodzi po za program zwyczajnéj roboty, i uważaném bywa jako wygranie losu na loteryi. Trafiają się miejscowości, na krórych te okruchy drogiego kruszcu są liczniejsze, bywają robotnicy, którzy częściéj od drugich je znajdują. Otóż więc taki szczęśliwiec, pomimo wszystkich swych nadetatowych zachcianek, po tak wysokiéj cenie nabywanych od ekonomki, pomimo rosnącego z każdym dniem długu, z ukończeniem robót i dług skwituje, i ujrzy się właścicielem sporego kapitaliku.

Zdawaćby się mogło, że nauczony doświadczeniem, wiedząc czém jest praca w kopalniach, mając w swych rękach środki do dalszego utrzymania życia, a przed sobą niezależność, porzuci raz na zawsze zabijające trudy, na które przez całe lato tyle narzekał, i weźmie się do mniéj mozolnego zajęcia: do handlu, przemysłu, rolnictwa. Gdzie tam! on myśli o tém co jest, nigdy o tém co będzie. Natychmiast po obrachunku, biegnie do ekonomki, lub téż do kramu, w którym subjekt zarządu sprzedaje po równie wygórowanych cenach różne przedmioty, rzuca na stół zwój papierów bankowych, i bez targu bierze wszystko co mu podpadnie pod rękę. Zrzuciwszy z siebie zaraz na miejscu zszarzane pracą odzienie, nadziewa nowy chałat, nowe buty, nową czapkę — przepasuje biodra pąsowym pasem, a wziąwszy w dodatku harmonikę i nie spytawszy o resztę, wychodzi śpiéwając z całego gardła jednę z tych wesołych pieśni, mających taki urok dla hulającego Syberyaka.

W owym czasie zakończenia robót, różni spekulanci zwożą do kopalni pierniki, cukierki, arbuzy, smażone konfitury, ciastka; wszystko to jest płacone bez targu, rozchwytane na miejscu i pożarte... Przeszłego roku jakiś szarlatan przedstawiający niby to magiczne sztuki, widząc że niefortunne jego kuglarstwa nie zyskały uznania nawet w syberyjskich samorodnych miasteczkach, kupił chudą szkapę, zabrał swoje pudełka o podwójnych dnach i puścił się w tajgi. Zachwycenie birgałów (robotników kopalnianych) nie miało granic i miary; stepowy Bosko przyjechał tam bez kopiejki przy duszy, powrócił z tysiącem rubli w kieszeni.

Mała tylko liczba robotników pozostaje w zakładzie dla

uskutecznienia zimowych robót, jak np. narąbania i przygotowania drzewa. poprawiania walących się budynków, zwózki materyałów; inni, a tych są setki lub tysiące, jako niepotrzebni, muszą powracać do swoich wsi i domów. Powracać niéma za co — podróż choć najskromniejsza zawsze coś kosztuje, dbały więc o dobro swych najemników zarząd, daje na rachunek przyszłéj roboty odpowiednie kwoty piéniężne.

Tak więc i ci, którzy całe swe zarobki zostawili w rękach ekonomki, i chwilowi bogacze którym los dopisał, wracają do rodzin z długami wiążącemi ich przyszłość w nowe okowy.

Powie może niejeden, że ci ostatni przynajmniéj sami są winni złemu jakie ich spotyka. Cóż może zarząd uczynić, przeciwko własnéj ich nieroztropności? Zarząd nie szkoła, administrator nie pedagog, a robotnicy nie dzieci, żeby podobna było czuwać skutecznie nad interesami tych, którzy, wypełniwszy swoje zadania, czują się w obliczu prawa niezależnymi. Tak jest, niezawodnie, ale ten szał, któremu się oddają po skończeniu robót, nie owładnął by niemi, gdyby praca kopalniana była mniéj ciężką, czas trwania jéj skrócony, i trudy nie tak mozolne.

Jak już wyżéj powiedziałem, wielu ludzi dobréj wiary, przejętych filantropijnemi zasadami, podnosiło swój głos w téj tyle ważnéj kwestyi. Pochodzący z W. K. Finlandzkiego, od lat kilkunastu zamieszkały w mieście Minusińsku, gubernii Jenisejskiéj, a od roku cząstkowy właściciel kopalni złotych p. Paweł Piszczykow, kilkakrotnie odzywał się w pismach peryodycznych w tym duchu. Uwagi jego miały na celu nie tylko polepszenie bytu robotnitów, ale i wykazanie zgubnego wpływu jaki wywierały przywileje na rozwój tego przedsiębierstwa. Obecnie te przywileje stały się już tylko wspomnieniem przeszłości. Nowe prawo, dozwalające każdemu zająć się poszukiwaniem złota, zadało stanowczy cios monopolistom, a ruch jaki od roku panuje na całéj przestrzeni złotodajnych piasków, każe mniemać, iż rzeczona ustawa podtrzyma zachwiany w ostatnich czasach przemysł. Zmiana ta była konieczną. Dawniéj np. każdy człowiek,

mając dozwoloném poszukiwanie marmuru, węgla, żelaza, cynku a nawet miedzi, nie miał prawa podjąć z ziemi znalezionego przez siebie złota. Cóż więc wypadało mu uczynić, gdy łamiąc płyty marmurowe, lub wydobywając rudę żelazną, ujrzał błyszczący ponętnym blaskiem samorodek drogiego kruszcu? Zostawić go na miejscu, ażeby fale strumyka lub rzeki zamuliły go na nowo, ukryły bezpowrotnie przed okiem ludzkiém, i pozbawiły znalazcę godziwego zysku, a skarb państwa należnego dochodu? Podobnych temu przykładów, wykazujących dobitnie, że prawo obecne, chociaż nie trafiające do smaku bogatym poszukiwaczom złota, powinno przynieść rzeczywiste korzyści, zdołalibyśmy tysiące przytoczyć. Wprawdzie można z łatwością przewidzieć, że nagromadzenie w niewielkich przestrzeniach drobnych przemysłowców, którzy dla własnych widoków, lub téż poprostu przez zawiść zechcą zatrzymywać lub przerywać gwałtownie bieg wody z uszczerbkiem tych, którzy przemywają złotą ziemię w niższych miejscowościach, wyrodzi częste spory i zatargi — a potworzenie się licznych spółek, zaleje powodzią skarg i procesów okręgowe sądy górniczéj władzy; lecz czyż jest na świecie jakakolwiek zasada, w któréjby upatrzyć nie można ujemnéj strony? Kiedy pożytki przewyższają straty, to już jest dostatecznym powodem, ażeby szala przechyloną została tam, gdzie ją ciągnie waga zbiorowych korzyści — pomimo protestacyi niektórych indywiduów, kładących własny interes wyżéj dobra ogółu, dochodów państwa i rozwoju przedsiębierstwa.

Tak się téż ze zmianą ustawy stało, a teraz idzie o to, ażeby i ci, na których barkach spoczywa cały ciężar pracy, ta massa ciemna, zaślepiona, upadła moralnie, podniosła się z błota, w jakiém zostaje od lat tylu pogrążoną. Nie wątpię, że z usunięciem przywilejów kopalnianych, przerodzenie to, aczkolwiek zwolna i stopniowo, będzie miało miejsce; drobni bowiem poszukiwacze, używający w swych zakładach po kilkunastu a najwyżéj kilkudziesięciu robotników, nie rządzą za pomocą administratorów, lecz wglądając osobiście w najdrobniejsze szczegóły, są w możności więcéj, jak wszelkie przepisy prawa przyczynić się do polepszenia bytu téj nie-

szczęśliwéj klassy; ze zmianą zaś losu robotnika nastąpi i radykalna zmiana jego wyobrażeń. Należy darować robotnikom dług na nich ciążący, i zmienić w kantorach kopalni złota ów system nieskończonego kredytu, tyle zły i zgubny we wszystkich swych następstwach. Wprawdzie summa wynosząca około dwóch milionów rubli to nie bagatela; ale gdy zważymy, że na tę summę składało się kilkanaście tysięcy wierzycieli, że pomiędzy tymi wierzycielami jest wielu bogaczów czerpiących źródła swych ogromnych dochodów z pracy rąk tych, za którymi obecnie przemawiamy: zadanie na pozór trudne i ciężkie, stanie się łatwém do wykonania.

PRZEJAŻDŻKA PO STEPACH.

W początkach lipca r. 186... wypadło mi w interesach kupca, u którego wówczas służyłem, udać się na granicę chińską. Wziąwszy z sobą tłumacza, znającego dokładnie języki tatarski, mongolski i chiński, i zaopatrzywszy się w zapasy żywności, puściłem się w stepy.

Na południe miasta okręgowego Minusińska (gubernii jenisejskiéj), na lewym brzegu rzeki Jeniseja, ciągną się długim rzędem osady tatarskie, oddalone jedna od drugiéj o 15 do 20 i 30 wiost; po za tą linią zaczynają się tajgi czyli pustynie leśne, po za tajgami zaś i stepami zamieszkują Sajańcy, Mongoły, Chińczycy i inne pobratymcze im plemiona, do których dla wymiany europejskiego towaru na skóry wybrałem się.

Po za olbrzymim Jenisejem, droga wiodąca od jednéj osady do drugiéj nie przedstawia nic szczególnego. Po stepach, wśród bujnéj roślinności, harcują nieprzeliczone stada koni, za któremi widziéć można od czasu do czasu uganiających się Tatarów. W jurtech tatarskich znaleźć zawsze można ową szczerą, niewymuszoną gościnność, którą

się w ogóle wszystkie wschodnie narody odznaczają. Wprawdzie gościnność owa nie jest zbyt wykwintną: szklanka kobylego mléka, kawał baraniny lub koniny, ot i wszystko czém uraczyć się może podróżny— ale ten skromny posiłek podany jest tak uprzejmie, tak bezinteresownie, że dobra chęć gospodarza wynagradza zawsze wszelki brak i niedostatek kuchni. Jurta tatarska zbudowaną jest w kształcie ostrosłupa, wejście do niéj bywa tak nizkie, że tylko zgiąwszy się w pół, można dostać się do wnętrza; przez otwór zaś u góry wychodzą dymy ogniska. Całe to mieszkanie stepowca pokryte jest korą drzew lub skórami dzikich zwierząt. Wewnątrz jurty, oprócz mat plecionych ze słomy i niezbętnych naczyń do gotowania posiłku, żadnych innych sprzętów niéma. Kilkanaście lub kilkadziesiąt jurt takich stanowi osadę tatarską. Tatarzy w ogóle żyją biédnie, chociaż biédnymi nie są: niejeden z nich, posiadający sto i więcéj sztuk koni i bydła, liczne stada owiec i kilka garnków napełnionych rublami srebrnemi i półimperyałami, mieści się w ciasnéj i niewygodnéj jurcie wraz z liczną rodziną, wśród swędu i zaduchu, żywi się kawałkiem końskiego mięsa na wpół surowym, nie dla tego, żeby go na wygodne życie nie stało, ale że o tych wygodach pojęcia nie ma.

Czasem jednak trafiają się wyjątki.

W jednéj z osad o kilkadziesiąt wiorst odległej od Minusińska mieszka Krezus tatarski, którego majątek w stadach koni, bydła, owiec, w sprzętach i gotówce na miliony liczą. Nazwisko tego Rotschilda step jest Kar-ki, mieszkańcy jednak tutejsi zowią go z rossyjska Karkinem.

Zajechałem do niego.

Gdyby nie ta okoliczność, że wielu z moich towarzyszów doświadczyło gościnności Karkina i widziało jego bogactwa, pokryłbym może pobyt mój tamże milczeniem, z obawy aby mnie nie posądzono o przesadę. W istocie jest to niby obrazek z tysiąca i jednéj nocy. Obszerne i stosunkowo wygodne jego mieszkanie, złożone z kilku jurt razem połączonych, zasłane jest bogatemi kobiercami — prawdziwe kaszmirowe szale wiszą tam jako portyery, wszystkie naczynia stołowe, w których podawano mi posiłek, były masiw srebrne, a nie-

które nawet szczero-złote. Sam gospodarz otarł się trochę o cywilizacyę miejscową: mówi czysto po rossyjsku, zajmuje się handlem na olbrzymią skalę, wié cośkolwiek o Europie i o jéj zwyczajach, chociaż przywyknienia jego i sposób życia są wyłącznie tatarskie; i tak, częstując gości prawdziwemi hawańskiemi cygarami i dobrém francuzkiém winem, pali sam machorkę i popija wódkę tatarską araka, lub téż ariasz, napój z kobylego mléka przyrządzony. Potrawy jego kuchni, choć na srébrnych półmiskach podane, nie różnią się w smaku od jedzenia najbiédniejszego Tatara; a żona i córki tego potentata pustyni, choć ubrane w aksamity i atłasy, pozostały dotąd pomimo swych bogactw, córami stepu w całém znaczeniu tego wyrazu.

Po przyjęciu posiłku i wypiciu kilku szklanek herbaty z ogromnego srébrnego samowara, zajęliśmy się oglądaniem bogactw naszego amfitryona; Karkin bowiem jak wszyscy ulubieńcy fortuny, lubi pochwalić się przed gośćmi swoją zamożnością. Kilka oddzielnych jurt, stanowi jego magazyny. Najbardziéj zajęły mnie składy futer. Jakaż tam nieprzeliczona ilość pysznych soboli w błamach i pojedynczo, jakież wytworne lisy niebieskie po kilkaset rubli za sztukę!

Po obejrzeniu tych skarbów, uprzejmy gospodarz rozkazał przepędzać przed jurtą liczne stada koni; a w końcu zgromadzeni na jego żądanie Tatarzy i Tatarki, odśpiéwali rodzaj pieśni chóralnéj, przy towarzyszeniu bębenka i samorodnéj roboty piszczałek.

W ogóle Tatarzy zachowują starannie swój język, zwyczaje, jakotéż koczujący sposób życia, i bardzo mało przyjmują cywilizacyi napływającéj z zachodu. Sam Karkin, pomimo ogromnych bogactw, powierszchownie tylko poddał się niektórym rossyjskim obyczajom, w gruncie zaś rzeczy nie różni się on niczém od swoich współbraci. Jedyny wyjątek od téj ogólnéj reguły, jaki mi się zdarzyło widziéć w Syberyi, stanowi pan K***, Tatar z pochodzonia, z początku prosty robotnik w kopalniach, późniéj oficyalista, a w końcu właściciel, który natrafiwszy na grube warstwy złota i zostawszy w krótkim przeciągu czasu milionerem, przyjął wraz z rosnącemi bogactwami i cywilizacyę europejską. Latem

mieszka najczęściéj w Krasnojarsku, zimę przepędza w Paryżu; — córka jego ukończywszy edukacyę we Francyi, posiada, oprócz salonowego obejścia się, gruntowne wykształcenie i znakomity muzykalny talent. Podróżuje on zawsze wystawnie, otoczony licznym dworem, z kamerdynerem Niemcem, kucharzem Francuzem, dwoma sekretarzami, i uzbrojoną strażą przyboczną; jest uczynny, prosty w obejściu i bardzo wiele świadczący dobrego dla biédnych. A jednakże, pomimo tyloletniéj praktyki życia europejskiego, nie odwykł zupełnie od pierwotnych swoich obyczajów. Ile razy przyjedzie do Minusińska, porzuca na jakiś czas bogate apartamenta, zostawiwszy w nich córkę z guwernantką, sekretarzy, kucharzy i całą służbę — a sam, tylko z jednym wiernym Tatarem, udaje się w stepy, gdzie przepędza czas w jurtach swoich rodaków, racząc się pieczenią źrébięcia (szaszłykiem), patrząc na harce tych dzieci pustyni, i słuchając ich dzikich i nieharmonijnych śpiewów. Widocznie natura silniejszą jest od przywyknień całego życia.

Pożegnawszy uprzejmego Karkina, udaliśmy się daléj na południe, drogą wiodącą od osady do osady. Im bardziéj oddalaliśmy się od Minusińska, tém więcéj nikły ślady sąsiedztwa okręgowego miasta; coraz mniéj spotykać było można Tatarów rozumiejących rossyjską mowę, a oznaki szamanizmu, w blizkości miast i wiosek syberyjskich, bardzo słabe, a raczéj starannie ukrywające się, coraz jawniéj w miarę oddalania się naszego od miejsc zamieszkałych przez potomków Europy, widziéć się dawały.

Wszystkie plemiona pierwotne północnéj Azyi, wyznawały od wieków czarną wiarę, szamanizm (*). Rossya, objąwszy w swe posiadanie Syberyę, starała się wszelkiemi spo-

---

(*). Szama (czarna), Ni (wiara). Szamanizm wyznawany był nietylko przez plemiona zamieszkujące północną Azyą, jak Tatarów, Jakutów, Jakogirów, Buryatów, Cetynów, Tunguzów i t. d. ale w ogóle przez inne na krańcowéj północy żyjące narody jak np. Finnów i Lapończyków w Europie. Pomiędzy szamanizmem a późniejszym braminizmem i buddaizmem daje się widziéć wielkie powinowactwo. Budda ogłosił odrodzenie braminizmu, braminizm zaś musiał być zbudowany

sobami zastąpić te pogańskie tradycye czystém światłem religii chrześcijańskiéj. Szamanizm więc kiedyś był tolerowanym jako wyznanie; Tatarzy i inne pierwotne plemiona Syberyi, stosując się do przyjętego porządku, przyjęły chrzest święty, ale, jak się to zwykle dzieje w podobnych wypadkach, przejście odbyło się powierszchownie, w gruncie zaś trzymają się oni czci odwiecznych zabobonów swoich przodków.

Początek szamanizmu ginie w pomroce wieków. Był on wyznawany przez zaginione dziś plemiona aloficzkie, lecz straszne obrzędy tego wyznania, krawawe ofiary z ludzi, na ołtarzach bóstw dokonywane, zaczęły zmieniać się powoli pod wpływem łagodnym plemion jafetyckich; a dziś po upływie wieków, jedynemi krwawemi oznakami pochodzenia téj religii od Chamitów, jest zabijanie zwierząt w ofierze bogom. Tatarzy, których osady znajdują się w pobliżu Minusińska, nadzwyczajnie starannie ukrywają, z obawy kary, swoją rzeczywistą wiarę — w wielu jurtach zdarzyło mi się widziéć obrazy świętych chrześciańskich, z zapaloną przed takowemi świéczką, w wielu innych leżała na pokaźném miejscu biblia w języku tatarskim drukowana — ale w miarę oddalania się od siedliska władzy, powierszchowne te oznaki wspólności z kościołem prawosławnym, coraz mniéj spostrzegać się dawały, a w krańcowych osadach graniczących z pustynią, już się z obrządkami czarnéj wiary bynajmniéj nie ukrywano. Szamani (czarnoksiężnicy tatarscy), odprawiali publicznie

na osnowach starszéj jeszcze wiary szamanizmu. Odwieczna chińska religia Taotse, istniejąca jeszcze przed Konfucyuszem, nie zdaje się być niczém inném, jak tylko tą samą czarną wiarą, którą wyznają plemiona północnéj Azyi; gdyż zabytki jéj, to jest sypane z ziemi i pobudowane z kamieni mogiły i okopy, duchom opiekuńczym poświęcone widziéć można nietylko w Chinach, ale i na całéj przestrzeni Syberyi. Środkowym punktem tego wyznania była Samarkanda, zkąd ono rozchodziło się na zachód, północ i wschód do Chin, a nawet do ostatecznych krańców Azyi wschodniéj, to jest do wysp aleuckich.

(*Przyp. aut.*)

swe kuglarstwa, kręcąc się aż do zupełnego ustania sił na jednéj nodze, i wydając przeraźliwe krzyki; rozdawali przytém żądającym talizmany (swastika), mające własność bronienia od wpływu złych duchów, (*) chowali umarłych, szamanili (poświęcali) ogień, ziemię i tabuny koni — jedném słowem wszystkie swoje obrządki odbywali jawnie.

W miarę także oddalania się naszego w kierunku południowym od Minusińska, ubiór Tatarów zamieszkujących jurty ulegał stopniowo widocznéj zmianie. W piérwszych osadach znajdujących się w pobliżu okręgowego miasta, Tatarzy wywożą z targów jakiś przedmiot przypominający Europę, jak np. sztukę materyi o jaskrawych kolorach, lub płócienko kraciaste, i to stanowi dodatek do ich wschodniego stroju. Daléj tego wszystkiego nie widać, a zbliżenie do granicy chińskiéj sprawia, że ubiór ich coraz więcéj przybiéra cechę mongolską. Tu i owdzie widziéć się dają śpiczaste z podniesionemi skrzydłami kapelusze, podgolone głowy, nizkie, na sposób chiński opasywanie się, a nawet zakrzywione u góry końce obuwia. W strojach dziewic tatarskich, nie zauważyłem tak wielkiéj różnicy; tak samo one w krańcowych osadach, jak i w pobliżu miasta splatają swoje krucze, twarde włosy w niezliczoną ilość warkoczyków; noszą na sposób wschodni szerokie szarawary, i dźwigają w uszach w miejsce kolczyków złote, do ośmiu cali dochodzące kółka; tylko w bardziéj oddalonych na południe osadach w ozdobach

(*) Swastika pochodzi od wyrazu sanskryckiego Swasti, oznaczającego błogosławieństwo. Talizmany te czyli swastiki są to kamienie płaskie, na których wyryto jakiś hieroglif. Jeden z szamanów ofiarował mi podobny talizman, zapewniając, że takowy bronić mnie będzie od wszelkich złych przygód w czasie podróży. Znak hieroglificzny swastiki, napotkać można w Norwegii (Trace du buddaizme en Norvege avant l'importation du christianisme. Holmboc, Paris 1257), a nawet i w Polsce na niektórych urnach grobowych, wykopywanych wśród cmentarzy słowiańskich (Vorhalle Europeischer Völkergeschichten - Karl Ritter—Berlin 1820. Tygodnik illustrowany z r. 1872 artykuł o Urnie.—A. Nowosielski, Lud ukraiński—tom I).

Przyp. aut.

żeńskich, spostrzegać częstokroć można pomiędzy różnemi świecidełkami i taelsy (monetę złotą chińską), przedziurawioną i zawieszoną na szyi pomiędzy koralami. Zamiłowanie Tatarek do wszelkich kosztowności a szczególniéj do prawdziwych korali jest tak wielkie, że nawet najbiédniejsza dziéwczyna z tego pokolenia, nie mająca za co sprawić sobie porządnego ubrania, posiada prawie zawsze choć jeden mażan (wielki koral), twierdząc, że ze wszystkich ozdób ta jest najwłaściwszą, gdyż nigdy nie ulega zniszczeniu.

Droga wiodąca od osady do osady jak już wyżéj powiedziałem, nie jest bogatą w widoki i krajobrazy. Jak tylko wzrok dosięgnąć zdoła, wszędzie widziéć można step zarosły bujną trawą. Tę jednostajność przerywają na stepie mogiły (obony), od wieków tam istniejące, zbudowane rękami pierwotnych plemion. Obony te które zresztą we wszystkich prawie częściach wschodniéj Syberyi widziéć można, są w kształcie czworoboków, otoczone ze wszystkich stron jakby fortece, wysokiémi, stérczącemi w górę kamieniami. Wewnątrz ich znajduje się podziemie, w którém przechowane są poczerniałe od starości piszczele i czaszki ludzkie, starannie w piramidy ułożone, a także mnóstwo drobnych z żelaza ukutych przedmiotów w kształcie obrączek, łańcuszków, małych toporków, oznaczających zapewne godła i znamiona pochowanych tamże wojowników. Mogiły podobne uważane były zawsze przez wyznawców szamanizmu, jako mieszkanie duchów opiekuńczych rodziny, a wyniesienie z nich jakiegokolwiekbądź przedmiotu, sprowadzało w ich przekonaniu na cały kraj najokropniejsze klęski; dlatego téż rząd, szanując te starożytne zabytki przeszłości i przywiązanie pierwotnych plemion do swoich pamiątek, najsrożéj zakazał nietylko nie rozkopywać podobnych obon, ale i nie wynosić z nich jakichkolwiek przedmiotów. Zdarzyło mi się kilkakrotnie zwiédzać wnętrza tych przybytków śmierci, lecz szanując prawo i nie chcąc się narazić Tatarom, czyniłem to zawsze w towarzystwie naczelnika (kniazia), lub czarnoksiężnika tatarskiego, szamana. Kto widział którąkolwiek z tych mogił, widział je wszystkie, tak przedmioty znajdujące się tamże są do siebie podobne. W jednéj

tylko, oprócz zwykłych żelaznych godeł, swastików na kamieniach wyżłobionych, widziałem posążek niezgrabnie z kamienia wykuty, będący wyobrażeniem boga-upiora tengri. (*).

Piérwszego dnia mojéj podróży, nad wieczorem, dziwny widok przedstawił się moim oczom: ujrzałem przed sobą białe, śnieżnéj barwy przestrzenie. Przeciéram oczy — własnemu wzrokowi nie wierzę. Jakto? śniég w porze, w któréj gorące promienie słońca płoną żarem i ogniem, kiedy pot obléwa czoło, a w wyschniętéj piersi nie staje oddechu?

Nie, to nie był śniég, ale zjawisko zoologiczne, które tylko w tych stepach podbiegunowych ujrzéć można.

Wśród bagien, na wiorstowéj może przestrzeni, miliony milionów białych motylków, obsiadłszy powierzchnię traw i łodygi roślin, pokryły cały obszar śnieżnym całunem swoich skrzydełek: maryady tych istot, krążąc w gęstych kolumnach po powietrzu, spadały całemi kłębami na naszą kibitkę. Trzeba było bezprzestannie obiema rękami zrzucać z siebie grubą i ruchomą powłokę, sypiącą się na nas ze wszystkich stron.

Wyjechawszy z tego wrącego życiem organiczném śniegu, posuwaliśmy się w milczeniu po wązkiéj drożynie, wijącéj się wśród stepów, gdy nagle, po godzinie takiéj jazdy, ujrzeliśmy przed sobą sinawą chmurę, roztaczającą się na całéj przestrzeni zielonéj płaszczyzny. Jemszczyk zatrzymał konie i wskazując palcem na to nowe zjawisko, wyrzekł wyraz, którego w pierwszéj chwili zrozumiéć nie mogłem.

— Muszka!—zawołał.

— Tak, muszka—powtórzył mój towarzysz, i dobywszy kluczy, zaczął szybko rozpakowywać swój tłumoczek.

Nim jednak zdołał uskutecznić powzięty zamiar, chmura

(*) Tengri, jest to upiór przodka, który żyje wiecznie. W każdéj rodzinie tatarskiéj, znajduje się taki upiór, zawsze obecny choć często niewidzialny, którego zadaniem opiekować się potomkami swojego szczępu. U Persów zowie się on „piri,“ u Mongołów zaś „bogda.“ *Przyp. aut.*

owa, płynąca ku nam niby gęsta mgła, otoczyła nas zewsząd. Naraz uczułem dotkliwy ból na całéj twarzy i rękach, oczy napełniły się łzami, w uszach powstał szum, oddech stał się uciążliwym. Były to nieprzeliczone gromady, nadzwyczajnie drobnych, o przejrzystych skrzydełkach owadów, które w porze letniéj stanowią jednę z największych plag wschodniéj Syberyi. Chmary tego, zaledwie dojrzanego gołem okiem owadu rzucając się na człowieka, kąsając go niemiłosiernie, wciskają się do oczów, uszów, nosa, ust—tak, że w miejscowościach opanowanych przez muszkę, niepodobna jest najsilniejszejszemu i najwytrwalszemu człowiekowi pokazać się na świéżém powietrzu bez maski na twarzy, i rękawiczek na rękach.

— Prędzéj, prędzéj!—zawołał mój towarzysz: wdziejcie to na głowę.

I podał mi rodzaj płóciennego białego kaptura, opatrzonego włósieną siatką, która zakrywając twarz nie tamuje oddechu.

Zgarnąwszy z siebie tysiące dokuczliwych istot, poszédłem za jego radą. Tłumacz i Jemszczyk byli już okryci temi dominami pustyni.

Wszyscy trzéj wyglądaliśmy jak maski, wychodzące w czasie karnawału z sal redutowych. Brakowało tylko światła lamp, dźwięków muzyki, tłumu, intrygi: jedném słowem wszystkiego tego, co stanowi ów różnorodny chaos, zwany u nas maskaradą.

Wkrótce potém dojeżdżaliśmy do jednéj z większych osad tatarskich. Zabawny widok przedstawił się naszym oczom! Wszyscy ci mieszkańcy pustyni, mężczyźni i kobiéty, ubrani byli w podobne naszym kaptury, z włosiennemi maskami na twarzach. Był to niby olbrzymi bal maskowy: sala, to obszary niezmiernéj przestrzeni — ścianami jéj, widnokrąg niebieski—żyrandolem słońce—a muzyką szum zaledwie dosłyszany miliona milionów skrzydełek drobnego owadu, który tak despotycznie opanował człowieka.

Chmura muszki rozciągała się na wiorst kilkanaście; minąwszy ją, mogliśmy zdjąć nasze kaptury i odetchnąć swobodnie.

Drugiego dnia powierzchnia stepu uległa zmianie: już to nie była owa zawsze zielona, nieprzerwana płaszczyzna, ale tu i owdzie zaczęły się pokazywać małe pagórki, które w miarę naszego posuwania się na południe, w coraz większych przedstawiały się rozmiarach. To piérwsze zarodki pasma gór sajańskich, biegnące nieprzerwanym łańcuchem ku Mongolii. Gdzieniegdzie wystawały z ziemi kamienie i skały, częściéj widziéć się dawały przerzynające w różnych kierunkach powierszchnię stepu strumyki—a roślinność otaczająca nas stała się jeszcze bujniejszą. Widziałem wśród łąk nieznane mi dotąd o jaskrawych barwach kwiaty, których nie powstydziłyby się najwspanialsze europejskie ogrody.

Wśród czarownéj doliny, u podnóża wysokich gór, rozsianych jest przeszło sto jurt tatarskich, stanowiących krańcową osadę na pustyni. Wiedząc, że za tą pustynią znajduje się step niezamieszkały, który mi przebyć trzeba, chcąc dostać się do granicy chińskiéj, postanowiłem tę ostatnią jeszcze noc przebyć w jurcie tatarskiéj. Kazałem zatrzymać konie przed jedną, która się wydawała być pokaźniejszą od innych, i wysiadłszy z kibitki, przywitałem wychodzącego naprzeciw nas Tatara, zwykłém pozdrowieniem:

— Anym—dżoh!

Staruszek zaprosił nas gościnnie do siebie.

Wkrótce potém, „szyszła", to jest kawał źrebięcia piekł się na wetkniętych w ziemię patykach, a liczna rodzina naszego amfitryona krzątała się dla przygotowania gościom wieczornego posiłku. Wieść o przyjeździe cudzoziemców rozbiegła się lotem błyskawicy po jurtach; kilku przybyłych w odwiédziny sąsiadów, usiadło wraz z gospodarzem i nami na szeroko rozłożonych matach słomianych, założywszy na sposób wschodni nogi pod siebie—tłum zaś kobiét, dziewczyn i dzieci, stał opodal, tworząc półkole i przypatrując nam się ciekawie. Po niejakim czasie, osądziwszy zapewne z naszéj powierszchowności, że choć „baszka-ułus" (cudzoziemcy), nie jesteśmy tak strasznymi, przybliżyły się do nas dzieci a nawet starsze dziewczyny, zarzucając mnóstwem zapytań i dotykając naiwnie każdéj części ubioru. Mój tłumacz oddowiadał na wszystko, ja zaś, nie znając języka tatarskiego,

dawałem im poznać na migi, żeby się ze swojemi zapytaniami do towarzysza mojéj podróży udawano.

Obyczaje tych Tatarów, zamieszkujących krańce pustyni, są jeszcze więcéj patryarchalnemi. Oprócz kniaziów (naczelników jurty), wybierani bywają z pomiędzy najstarszych wiekiem, ojcowie rodzin do rady w zarządzie administracyi téj małéj kolonii. Polowanie, rybołówstwo, jakotéż chodowla koni, bydła, kóz i owiec stanowią jedyne ich zajęcie. Ubiór ich zbliża się więcéj do chińskiego: mężczyźni podgalają głowy i zapuszczają długie, wiszące ku ziemi wąsy — kobiéty przy zwykłych tatarskich szarawarach, noszą krótkie kaftaniczki, a chustki na głowie zawiązują szeroko, w kształcie zawojów. Dzieci obojéj płci w porze letniéj, do dwunastego roku życia, chodzą bez żadnego ubrania.

Przy pomocy tłumacza dowiedziałem się, że ta osada słynie z najlepszego wyrobu kumysu, i że z dalekich nawet stron zjeżdżaję się tu w czasie wiosennéj pory, chorzy dla odbywania swéj kuracyi. Leczenie chorych stało się dla mieszkańców nietylko przynoszącém znaczne zyski rzemiosłem, ale prawdziwą namiętnością. Nie zapomnę nigdy z jakim zapałem zapominając o nieodłącznéj wszystkim wschodnim narodom powadze, opowiadali mi otaczający Tatarzy o cudach dokonanych za pomocą kumysu.

— Jaka to szkoda—rzekł jeden z nich, zwracając swą mowę do mnie—że jesteście zdrowi, bo w przeciwnym razie wyleczylibyśmy was niezawodnie.

— Dziękuję za życzenie,—odpowiedziałem przy pomocy tłumacza;—ale ja już wolę być zdrowym, nawet w razie gdyby moje wyleczenie było najcudowniejszém.

— Śmiéjcie się,—rzecze inny Tatar,—ale żart na stronę, można powiedziéć że choroba sama staje się rozkoszą, przy tak zadziwiających środkach do jéj usunięcia służących.

I opowiadano mi o licznych chorych, którzy w różnych czasach ze wszystkich stron świata, przybywają do jurt na kuracyę. Między innemi mówiono mi o jednym, bardzo bogatym cudzoziemcu, który był zupełnie różnym od wszystkich widzianych przez nich ludzi.

— Wystawcie sobie,—mówił mi nasz gospodarz,—był on

cery zupełnie białéj, włosy miał czerwone jak ogień, nie nosił ani brody jak wy, ani wąsów jak my nosimy, ale zapuszczał z obu stron twarzy jakoby dwie gęste czupryny, opasywał szyję chustką białą, w prawe oko kładł kawałek szkiełka, które mu wisiało na sznurku, okalającym szyję — mówił mało, jakimś dziwnym, nieznanym językiem, a po rossyjsku nie rozumiał ani jednego słowa.

— Z jakiego on był narodu?

— On był z narodu milordów.

— Milordów?

— Tak jest. On sam zamieszkuje miasto Krasnojarsk, ale pochodzi z tego nieznanego nam zupełnie ludu. Milordowie jest to naród znajdujący się daleko za morzami. Jego służący nie nazywał go nigdy inaczéj, tylko po narodowości.

Więc ten gość na bezludnéj pustyni wschodniéj Syberyi, wśród odłączonéj od reszty świata auły tatarskiéj, nad granicą Chin, był synem mglistego i ekscentrycznego Albionu (*)! Dotąd w podróżach moich po Europie, czy to wśród zajętych interesami handlowemi Niemców, czy pośród żywych i wesołych Francuzów, czy wreszcie u stóp bazylik i koliseów rzymskich, wszędzie napotykałem tych niezmordowanych turystów, pragnących wszystko poznać, wszędzie zajrzéć, każdy przedmiot zbadać — nie spodziéwałem się jednak nigdy natrafić w pośrodku stepów azyatyckich, na ślad Anglika.

Ów John Bull, ani sposobem wzięcia, ani oryginalnością w postępowaniu, nie odróżniał się od swoich współziomków. Dla Tatarów, pomiędzy którymi całe dwa miesiące przebył, był niewyczerpaném źródłem anegdot, spostrzeżeń i komentarzy. Rok już minął od czasu jak opuścił te strony, a przecież oni dotąd o nim zapomniéć nie mogli.

Z pomiędzy tysiąca anegdot jakie mi o tym wyspiarzu opowiadano, przytoczę jednę:

(*) Wielu Anglików znajduje się w Syberyi. Zajmują się oni po większéj części mechaniką przy różnych fabrykach. *Przyp. aut.*

Tatarki niektóre są bardzo piękne. Posiadają one płeć alabastrowéj białości, któréj ani zmiany klimatu, ani gorący żar promieni słonecznych nie są w stanie przyciemnić—mają włos gęsty, kruczy, wijący się w pierścienie, — ręce i nogi drobne, a spojrzenie ich słońsnych oczów jest dziwne, elektryczne... mianowicie jedna z nich Anissya, odznaczała się doskonalszą jeszsze od swoich towarzyszek pięknością.

Widziałem tę dziewczynę. Rzeczywiście trudno w azyatyckich typach znaléźć podobnie czarujące stworzenie. Ta Anissya więc, któréj nawiasem powiedziawszy moralność nie była tak doskonałą, jak kształty jéj ciała — obudziła w zimném sercu syna Albionu, gorący płomień miłości. Miał on sposobność widywać ją często, bo dziewczyna należąca do rodziny Tatara, u którego obrał mieszkanie, zajmowała się przyrządzaniem i podawaniem mu kumysu. Ale Anglik był członkiem narodu, u którego przyzwoitość wzięcia się, wrosła w warunki życia społecznego: jakże tu więc objawić swoje uczucie, nie umiejąc ani jednego słowa po tatarsku, a podróżując bez tłumacza? Pozostaje wprawdzie mowa gestów—ale pantomina jest rzeczą nader drażliwą, a przesiąkły dżentelmanizmem John Bull, pomimo najsilniejszéj pracy wyobraźni, nie mógł wynaléźć takiéj mimiki, którąby nie podpadała pod surową krytykę zasad przyzwoitości.

Biédny więc Anglik znajdował się pomiędzy Scyllą a Charybdą: z jednéj strony zupełna nieznajomość języka, którym mówiła jego niebianka, z drugiéj ciągła obawa naruszenia prawideł dobrego wychowania, które przywykł był uważać za święte i nietykalne.

Bijąc się z myślami, a nie mogąc nic wynaleźć, patrzył tylko po całych godzinach na piękną Anissyę: patrzył prawdziwie po angielsku — okiem okrągłém, spokojném — i ani jeden muskuł jego arystokratycznéj twarzy, nie zdradził swém poruszeniem wewnętrznéj walki, odbywającéj się w głębi serca.

Tatarka nie przywykła do podobnych objawów miłości, nié mogła pojąć co znaczyło to długie, bezprzestanne wlepianie w nią wzroku.

— Ten milord,—mówiła do swoich, wyszedłszy od An-

glika — musi miéć nie dobrze w głowie: jego wzrok bezmyślny, barani, skierowany na mnie, okazuje jakąś fiksacyę. Czyby nieprzymięszać do kumysu jakiego ziela?

— Zobaczymy późniéj,—odpowiedział gospodarz jurty. Ale mi się nie zdaje, żeby mózg jego był roztrojonym. On wyjąwszy tego bezmyślnego patrzenia, postępuje sobie rozsądnie, systematycznie. Nie znamy narodu milordów; może u nich wszyscy ludzie takim sposobem patrzą.

Dnie mijały jeden za drugim, a Anglik patrzył ciągle, po całych godzinach, na swoją bogdankę tym samym wzrokiem; i byłby tak może patrzył do końca swojéj bytności w jurcie, gdyby myśl nowa, zbawienna, nie wyrodziła się w jego wyobraźni.

Sposób, którego użył dla objaśnienia swéj miłości był szczytnym.

Wykroił on z kawałka papieru najforemniejsze serce, i ofiarował je zdziwionéj, tyle niespodziewanym podarunkiem Anissyi. Nie potrzebuję dodawać, że w czasie wykonania tego heroicznego przedsięwzięcia, twarz Anglika przejętego zasadami dobrego tonu, który nie dozwala okazywać na zewnątrz miotających sercem namiętności, wyrażała najzupełniejszą obojętność.

— To ma być dla mnie?—zapytała gestem zdziwiona Tatarka.

— Dla ciebie, — odpowiedział poważnie Anglik.

— A co ja mam z tém zrobić?—mówiła daléj pantominą Anissya.

Tu już język mimiki okazał się niedostatecznym. Próżno ekscentryczny turysta starał się wytłumaczyć swojéj ulubionéj, że to serce papierowe jest obrazem tego serca, które jéj chce w całości poświęcić,—dziewczyna, dla któréj język allegoryczny był zupełnie niezrozumiałym, i która przywykła brać rzeczy tak jak są, poprostu, bez żadnych przenośni i metafor, nie mogła go pojąć.

W końcu, jednak po długiém zastanowieniu się, osądziła że odgadła żądanie Anglika. W oczach materyalnéj Tatarki, żądanie to nie mogło być jak tylko czysto materyalném, z codziennych potrzeb życia wypływającém.

Oddaliła się szybko z jurty, wołając na swoje towarzyszki.

— Milord głodny, milord chce pieczeni. Wykroił mi pieczeń z papieru, dając tym sposobem poznać swoje życzenie.

Można łatwo sobie wyobrazić oburzenie Anglika, gdy jego ubóstwiona czarnobrewa, w miejsce serca którego od niéj żądał, przyniosła mu na talerzu spory kawał pieczonéj baraniny.

— No!—zawołał potrząsając głową, i odwracając się ze wstrętem od podanego posiłku.

— Nie chce, to dziwnie,—rzecze Tatarka; widać żąda czego innego... A, wiem już—on często chodząc po górach, zbiéra duże czerwone kwiaty, które tam rosną — kwiat ten podobny kształtem do figury, którą wykroił z papiéru: trzeba dogodzić jego życzeniom.

I dziewczę pobiegło na górę, a zerwawszy spory bukiet kwiatów, powróciło ofiarować go siedzącemu zawsze nieruchomie wyspiarzowi.

Anglik odebrał bukiet, powąchał go, i spojrzawszy swemi okrągłemi oczami na czarodziejkę, wyrzekł z flegmą potrząsając głową:

— No!

Anissya przynosiła mu jeszcze z kolei różne przedmioty, które jéj zdawały się być podobnemi kształtem do wykrojonéj z papieru figury—to poduszkę, to czajnik, to wreszcie rozmaite inne naczynia; a za każdym razem niezrozumiany w uczuciach swoich cudzoziemiec, wołał z wzrastającą rozpaczą:

— No! no! no!

I wreszcie wyjechał niepojęty, niepoznany, a Tatarka do dzisiejszego dnia nie wiedziałaby zapewne co znaczyło owo wykrojone z papiéru serce, gdybym ja sam nie wyjaśnił jéj przy pomocy tłumacza téj zagadki. Szczegóły zaś owego zdarzenia były mi znane jeszcze dawniéj. Opowiadał mi je pan Kixton Anglik, zamieszkały od lat 10-ciu. w Minusińsku, a żyjący w stosunkach życzliwości ze swoim rodakiem z Krasnojarska.

— Jaki głupi ten milord, mówiła naiwnie Anissya — czyliż on nie mógł wyraźniéj objawić swojego życzenia.

Przytoczyłem powyższe zdarzenie jako dosyć oryginalne w swoim rodzaju. Z dalszéj zaś rozmowy z Tatarami, w któréj przydany mi do pomocy tłumacz, ciągle bezpośrednią grał rolę, przekonałem się, że tradycye tego narodu, tak pod względem legend ludowych, jakotéż wspomnień historycznych, są nader zajmującemi. Gdyby kto z badaczy, lub etnografów chciał je zebrać na miejscu, uporządkować i objaśnić, oddałby niemałą usługę nauce. Tém łatwiéjby to można było uczynić, że co u ludów cywilizowanych pokryte jest mgłą wieków, u nich bardzo niedalekiéj sięga przeszłości. Ojcowie a najwięcéj dziadowie dzisiaj żyjących, byli świadkami cudownych wojen plemion, w których walczyły nadprzyrodzone istoty; pokonywali Burteozino i Goa-morrel, dwie straszne potwory przy pomocy bohatéra Orogo-lukazi, wchodzili na górę śpiewającą Hlari-rolba, i dokonywali takich czynów, które w naszych legendach do czasów przedhistorycznych należą. Legendowa era tych plemion istnieje jeszcze obecnie: tengri wychodzą bardzo często ze swych mogił i obcują z żyjącemi, duch ciemności Horus-lykas przechadza się po stepach; zaćmienie słońca lub księżyca, mgła, opadanie i wylewy wód, głos puchacza w pustyni, grzmoty i pioruny — wszystko to wypływa z nadprzyrodzonych przyczyn, i jest ściśle połączone z obrządkami ich wiary. Jedném słowem są oni tém dziś, czém były wszystkie ludy w północnéj Europie przed narodzeniem Chrystusa; przeszłość historyczna cywilizowanych narodów jest u nich teraźniejszością—czy zaś oświata płynąca z zachodu nie zatrze w nich z czasem cech pierwotnych, o tém wiedziéć nie można. To tylko jest rzeczą pewną, że głównemi przeszkodami do zlania się tych szczepów azyatyckich z postępową ideą Europy, jest naprzód sąsiedztwo Chin, mocarstwa wyłącznie stagnacyjnego, a powtóre szamanizm oparty na czarnoksięzkich praktykach, każący wierzyć we wszystko, co tylko jest nadprzyrodzoném i nienaturalném.

Nazajutrz, gdy już słońce wzniosło się wysoko na widokręgu, pożegnaliśmy gościnnych Tatarów, i pozostawiwszy

za sobą ostatnią osadę, zapuściliśmy się w pustynię. W miarę jak znikały w oddaleniu śpiczaste wiérszchołki jurt, jakaś dziwna tęsknota opanowywała me serce. Czytałem kiedyś, że pierwszy widok niezmierzonych, niezaludnionych przestrzeni, zawsze podobno takie wrażenie wywołuje — chociaż od lat wielu przywykłem do życia wśród stepu, pustyni jednak nie znałem zupełnie... Gdy już ostatni objaw życia społecznego pozostał daleko za nami, gdy spojrzawszy przed siebie pomyślałem, że tam znajduje się obszar nieskończony: sta, tysiące mil rozległości—których myśl nie jest w stanie objąć—bez wsi, wiosek, domów, jurt, ludzi, jakiś niewysłowiony smutek ogarnął moją duszę. Przeznaczeniem człowieka jest życie towarzyskie: najwspanialsze cuda przyrody nie zastąpią nigdy téj potrzeby. Patrząc na rozliczne kształty gór rysujących się na widokręgu w coraz odmiennych zarysach, tworzyłem z nich obłędem wyobraźni miasta, warowne zamki, lub sterczące baszty wież. Często bielejące u ich podnóża kamienie, przedstawiały mi się jako mury wrącego życiem i ruchem miasteczka, a siniejące obłoki, jako kłęby dymu, wychodzącego z kominów fabryk i przemysłowych zakładów. W pośród dzikiéj pustyni szukałem życia — życia, do którego tęskniłem całą duszą moją; przez całe godziny zaludniałem przestrzeń widziadłami mojéj wyobraźni, wywoływołem z nicości fantastyczne obrazy moich wspomnień: próżne usiłowania!—rzeczywistość rozwiała mary moich illuzyi, tak jak silny syberyjski wiatr rozwiewa plączące się po powietrzu mgliste wyziewy.

Jechaliśmy tak większą część dnia, to wijącą się drożyną, któréj ślad ginął częstokroć pomiędzy gęstemi ziołami, to zagłębiając się w wąwozie, to spuszczając wreszcie ze stromych gór—nigdzie nie widać było śladu człowieka.

Po pięciu godzinach jazdy, jemszczyk zatrzymał zmęczone podróżą konie, a wyprzężone zwierzęta pobiegły swobodnie na trawę. Pod cieniem góry znaleźliśmy chwilowy wypoczynek, i ochronę od piekących promieni słońca. Wydobyłem z torby podróżnéj skromny posiłek, lecz pragnienie niezmiernie mi dokuczało, a wody nigdzie nie było. Ujrza-

łem ja wprawdzie opodal płynący strumyk, i pokazałem go jemszczykowi—ale ten kiwnął tylko głową:

— To nie dla nas,—wyrzekł.

Spostrzeżona przezemnie woda, była jak ów stół zastawiony jadłem, który zgłodniały nędzarz widzi we śnie swoim. Próżna podnieta która go jeszcze więcéj drażni.

— Czy widzicie pomiędzy strumykiem a nami, te grube zielone pałki, wystające wśród trawy,—rzekł towarzysz podróży mojéj? To jest trzcina,—ona tylko rośnie na nieprzebytych bagnach. Gdyby kto z nas chciał się dostać do strumyka, zatonąłby niezawodnie. Uważajcie na wyprzężone konie jak one dopatrują gdzie trzcina rośnie: gdy ujrzą w górę wystające pałki, nie pójdą w tę stronę, albowiem instynktem swoim zgadują, że tam są bezdenne bagna, wśród których znalazłyby śmierć nieochybną.

Po godzinie wypoczynku, jemszczyk zagwizdnął właściwym sposobem, a posłuszne zwierzęta zbiegły się dobrowolnie na to wezwanie, stanęły przy dyszlu i dały się zaprządz.

Pojechaliśmy daléj.

Już słońce chyliło się ku zachodowi, gdy ujrzałem sino-niebieskawy pas na widnokręgu.

Byłato tajga.

Czarne lasy niemieckie, litewskie mateczniki, niczém są w porównaniu z tajgami azyatyckiemi; nieledwie bory Ameryki i to w czasach pierwotnych, wtedy gdy jeszcze siekiera yankees'ów nie zbadała ich głębi, mogłyby tylko dać o nich niejakie wyobrażenie. Początek pustyni leśnéj mieliśmy przed oczami, końca jéj nikt oznaczyć nie mógł. Wiedziałem że zalegała ona Mongolią, ale gdzież był jéj koniec? Może nad brzegami rzeki Pei-ho, a może w pustyniach Persyi, lub téż na krańcach Indyi wschodnich. Karty geograficzne państwa niebieskiego zbyt są niedokładnemi, ażeby w przybliżeniu nawet oznaczyć granice i rozmiary tych strasznych otchłani.

Byliśmy zmuszeni, dla okrążenia znajdującego się na południe ogromnego jeziora, którego brzegi łączą się z krańcami leśnéj pustyni, przebyć niewielką jéj odnogę. Przy

brzegach swoich syberyjskie tajgi nie różnią się w niczém od naszych borów, wyjąwszy może różnorodnością gatunków i wyniosłością drzew. Koczujące plemiona zamieszkujące tu czasowo przed laty, użytkowały z nadbrzeżnych drzew na swoje potrzeby. Niezliczone mnóstwo pni pozostałych po ściętych drzewach, z których gęsto podnoszą się młode latorośle, świadczą, że w okolicach tych były dawniéj koczowiska Tatarów lub Tunguzów;—posuwając się dopiéro w głąb téj otchłani, ślad siekiery coraz rzadziéj widziéć się daje gęstwa coraz jest większą, ógrom drzew coraz wspanialszy.

Bystra, skacząca po kamieniach rzeka, nie pozwalała nam trzymać się brzegów tajgi — musieliśmy zapuścić się w głąb jéj o jakie wiorst kilkanaście. Miliony ścieżek. wydeptanych stopami dzikiego zwierza, wiło się w rozmaitych kierunkach; ażeby nie zginąć w tym labiryncie, staraliśmy się o ile możności nie opuszczać brzegu rzeki, W miarę posuwania się naszego w głąb leśnéj pustyni, walczyliśmy z coraz większemi trudnościami. Gęstwa stawała się tak wielką, że drzewa stykały się swojemi ogromnemi cielskami, tworząc massę gęstą, zbitą—śród któréj wyrąbane siekiérami ścieżki, widniały jakby wązkie galerye granitowych kopalń: byliśmy zmuszeni stawać co chwila, i odrąbywać toporami tamujące nasz przejazd gałęzie.

Tysiące tysięcy cedrów wyrosłych prawie jeden na drugim, gnije i próchnieje tam dla braku miejsca do rozwinięcia swojéj żywotności; gdy zaś które z drzew zdoła rozwinąć się swobodnie, to objętość jego zadziwia oko, nieprzywykłe do podobnych rozmiarów. Widziałem tam brzozy, których średnica dochodzi w przecięciu trzy łokcie — niektóre zaś z cedrów, mające po kilkadziesiąt stóp obwodu, podobne są raczej do gór, wież, gmachów olbrzymich, wystawionych przez naturę dla okazania człowiekowi swojéj potęgi, w porównaniu z jego nikczemnością.

Postępowaliśmy ciągle w jednym kierunku.

Zbita massa drzew, poplątanych korzeni, próchniejących szkieletéw cedrowych, stała się tak gęstą, trudności w przeciskaniu się tak wielkie, że niepodobna prawie było posuwać się daléj obraną drogą.

Ślady siekiéry zaczęły téż ginąć zupełnie.

Jemszczyk zatrzymał konie, i przedarłszy się z toporem w ręku przez gęstwę, powrócił wkrótce, przyniosłszy dobrą wiadomość, że rzeka zmienia w tym punkcie swój kierunek i że będzie można postępując za jéj korytem, wydostać się napowrót z tajgi.

Tymczasem noc zaczęła roztaczać swoje cienie. Podróż nocna w tych otchłaniach jest rzeczą nader niebezpieczną. Można z łatwością zgubić kierunek, oddalić się mimowolnie od jedynego przewodnika rzeki, i zabłądzić: a zbłąkanie w pustyni leśnéj syberyjskiéj—to śmierć.

Śmierć straszna, okropna, połączona z męczarniami głodu, lub alternatynawą być rozszarpanym przez dzikie zwierzęta.

Postanowiliśmy przepędzić noc w tém miejscu.

Upatrzywszy nad brzegiem rzeki niewielką łączkę, otoczoną zewsząd wałem drzew, rozpaliliśmy ognisko.

Mała ta łączka, kaprysem natury rzucona w tę gęstwę, była wyborném miejscem do spoczynku. W środku niéj sterczały szczątki olbrzymiego cedru, w którego spróchniałém wnętrzu obraliśmy schronienie; woda rzeki dostarczała nam napoju i ochłody, a olbrzymi wał drzew zasłaniał od północnego wiatru.

Opatrzywszy broń i urządziwszy się tak, że jeden z nas miał obowiązek czuwania, gdy drudzy odpoczywali — umyśliliśmy oczekiwać piérwszego brzasku dnia.

Koléj czuwania przyszła na mnie: przyrzuciwszy suchych gałęzi do ognia i otuliwszy się w kożuch, bo noc była chłodną—zacząłem dumać.

Nie było zupełnie ciemno, lecz chociaż księżyc jaśniał na niebie w całym swym blasku, to przecież światło jego, przedzierając się z trudnością przez gęstą oponę drzew, nie zdołało rozegnać pół-cieni panujących do koła. Cisza przerywaną była rozlicznemi głosami dzikich zwierząt, królujących w téj pustyni, tak mało dostępnéj dla człowieka. Od czasu do czasu przemknęło się cielsko jednego z mieszkańców tajgi, ale zwierz spłoszony blaskiem ognia, uchodził co prędzej, nie dawszy się bliżéj poznać. Echo w tych leśnych pustyniach jest tak doniosłém, że najodleglejsze szmery

najwyraźniéj słyszéć się dają; a przytém i wyobraźnia niemałą odgrywa tu rolę. Częstokróć szmer liści zdaje się być mrukiem niedźwiedzia, szum bałwaniącéj się po kamieniach rzeki, tętętem zbliżającego się stada wilków, a oddalony głos puchacza jakimś dzikim, szatańskim śmiéchem.

Siedząc przed ogniskiem, słuchałem tych głosów pustyni i dumałem.

Nigdy jeszcze wśród różnorodnych kolei mego życia, nie uczułem tak mocno potęgi Wszechmocności, ogromu przyrody, i nikczemności człowieka.

Dotarłszy do ostatnich krańców zamieszkałego przez ludzi świata, zapuściłem się myślą w te otchłanie, których nigdy stopa człowieka nie dotknęła. Cóż to za straszne za niezmierzone przestrzenie! Sta, tysiące mil, których nikt nie poznał, nie zbadał, nie określił—w których ukrywają się od stworzenia świata tajemnice roślinności i organizacyi zwierzęcéj...

Tajemniczy ten ogrom pustyni azyatyckich, daje pewne pojęcie o nieskończoności. W obec tych nieodgadnionych przestrzeni, téj wiekowéj tajgi, myśl ludzka drobnieje, wyobraźnia stygnie, a człowiek czuje więcéj niż kiedykolwiek swoją niedołężność.

Przy kolejném czuwaniu, noc przeszła szybko: piérwsze promienie wschodzącego słońca, zastały nas na nogach.

Wypoczęte konie poniosły kibitkię brzegiem rzeki, zwracającéj się w przeciwnym kierunku.

Przez kilka godzin jeszcze przedzieraliśmy się przez gęstwy, które w miarę przybliżania się naszego ku stepom, rzedniały stopniowo, — nareszcie ostatnie drzewa pozostały za nami, i ujrzałem przed sobą jasny widnokrąg niebios.

Odetchnąłem swobodniéj.

Okolica była dzika choć pełna uroku. Ogromne góry, olbrzymie skały, piętrzyły się zewsząd w najrozmaitszych kształtach: w pośrodku gór i skał siniały wody obszernego jeziora.

Jakie tam życie, co za gwar na tém jeziorze wśród pustyni!

Miliony milionów dzikiego ptastwa; kaczek, gęsi, żórawi, cietrzewi, kulików, łabędzi, krąży, lata, wiruje w rozmaitych

kierunkach, wydając rozliczne głosy. Jest to chaos trudny do opisania. To życie samoistne, odrębne, koncentrujące się samo w sobie, daje niejakie wyobrażenie czém był świat w pierwszych czasach po stworzeniu... W niezliczonych stadach ptastwa otaczającego mnie zewsząd, krążącego we wszystkich kierunkach, obsiadającego brzegi jeziora, ileż przeróżnych kształtów, ileż nieznanych gatunków!

Nieprzywykłe widziéć człowieka, nie doświadczywszy od niego nic złego, nie uważają w nim swojego wroga, i zbliżają się całemi gromadami bez żadnéj bojaźni do stóp tego króla przyrody, jak w owych pierwotnych chwilach organicznego życia, kiedy pierwsza krew niewinna nie była jeszcze przelaną.

Stara myśliwska natura odezwała się we mnie: kilkakrotnie chwytałem za broń, lecz zawsze opuszczałem ją ku ziemi. Nie znalazłem w sobie dosyć odwagi, żeby przerwać ten spokój i zniszczyć to zaufanie.

Żyjcie sobie swobodnie ptaki i ptaszki — śpiewajcie wesoło, świérgoczcie bez obawy: całe wasze szczęście zależy na tém, że nie znacie jeszcze człowieka!

Pozostawiwszy za sobą kryształową przestrzeń wód jeziora, niemającego dotąd żadnego nazwania na szczegółowych kartach geograficznych, jechaliśmy ciągle wśród stromych gór, których wierzchołki zaledwie dojrzane okiem, pokryte są wiecznemi śniegami. Przestrzeń stuwiorstowa blizko, od tego punktu aż do piérwszych osad nad granicą chińską położonych, jako niezamieszkała pustynia, różni się tylko od północnych jéj części coraz większą wyniosłością gór sajańskich, i coraz bardziéj przerażającą dzikością przyrody.

W tych przeróżnych kształtach skał, w tych niezmiernych opokach, zawieszonych po nad bezdennemi przepaściami, w tych spadających z przeraźliwym hukiem potokach w rozwarte pod stopami otchłanie—jest coś strasznego, przerażającego, przypominającego blizkość Mongolii.

W ciągu dnia kilkakrotnie zatrzymywaliśmy się dla dania wypoczynku koniom — noc przepędziliśmy w zagłębieniu skały.

Nazajutrz około południa, spuszczając się z wysokiéj góry, ujrzeliśmy nagle śpiczaste dachy domów, składających jednę z osad, po za przestrzeniami stepów i pustyń, nad granicą chińską pobudowanych.

Osady te w liczbie pięciu lub sześciu, zamieszkałe są przez rozkolników jak np. starowierców, sobotników, skopców i t. d. Wyznawcy tych różnych sekt, niebardzo tolerowanych przez miejscowe władze, wynieśli się na ostatnie krańce Syberyi, nad granicę państwa niebieskiego, ażeby mogli swobodniéj i bez przeszkody wykonywać swoje starożytne, a niekiedy rażące dzikością obrządki.

Opisywanie szczegółów dotyczących rozkolników, zbyt wieleby miejsca zajęło, zanadtoby odbiegło od potocznéj formy niniejszego opowiadania, ażebym był w możności dłuższy im zakres poświęcić—powiem więc tylko, że ogólną cechą wszystkich tych sekt, jest ślepe i bezwarunkowe prawie przywiązanie do pierwotnych, prawie przedchrześciańskich pojęć, odrzucanie bezwarunkowe wszystkiego co nowe, wstręt do każdego postępu, reorganizacyi, odrodzenia. Każda przytém sekta ma swoje oddzielne wyobrażenia i zasady: starowiercy trzymają się literalnie odmiennych ksiąg cerkiewnych, odrzucają władzę zwiérszchnią duchowną, i rządzą się zasadami, jakie istniały przed wyswobodzeniem kościoła wschodniego od zabobonów; skopcy, uważając rozrastanie się plemienia ludzkiego za powiększanie grzechu w przyrodzie, przyprowadzają organizm żywotny do nicestwa, kalecząc w najohydniejszy sposób własne swoje ciała, a sobotnicy, w których osadzie zatrzymaliśmy się, wyznają rodzaj judaizmu, pomięszanego z niektóremi wyobrażeniami mahometańskiemi. Jak Żydzi, święcą soboty, oczekują Messyasza, w używaniu pokarmów trzymają się księgi liczb Mojżesza;—jak mahometanie, odbywają ablucye, sypią w czasie modłów ziarno dla ptaków, i wierzą w siedm stref mahometańskiego raju, wraz z jego huryskami i innemi czysto materyalnemi rozkoszami.

Ludzie ci są małomówni, ponurego wejrzenia, dzikiéj i odrażającéj powierzchowności. Różne o nich krążą pogłoski. Opowiadano mi, jakoby w tajemniczych obrzędach so-

botnicy używali krwi chrześciańskiéj do swoich biesiad. Wszystko to zapewne tchnie przesadą — nie ulega jednakże wątpliwości, że ci dzicy sekciarze uważają zamordowanie każdego niewyznającego ich wiary człowieka, jako obowiązek religijny, gdy to można skrycie, bez ściągnięcia na siebie odpowiedzialności, uczynić. Wielu z przejeżdżających kupców—i udających się z dowozem zboża do Mongolii włościan, przepadło tu bez wieści i śladu.

Sobotnicy, modląc się w rossyjskim języku, nadziéwają na siebie białe płachty, kiwają się i całują świętości, które noszą na szyjach — posiłek przyjmują z nakrytemi głowami jak Żydzi; hebrajskiego jednak języka i głównego prawa starego testamentu, dziesięciorga bożego przykazania, nie znają wcale. Są oni zapewne potomkami zesłanych dawnemi czasami Żydów, którzy zatracili stopniowo swą mowę i pamięć główniejszych obrządków wiary, zachowując dokładnie w tradycyi księgę liczb (numeri) i skażoną do niepoznania księgę rodzajową (genesis) (*).

Olbrzymiego wzrostu i herkulesowéj postawy sobotnik, do którego chaty weszliśmy dla przygotowania sobie ciepłego posiłku, usilnie nas namawiał, ażebyśmy tę noc przepędzili u niego, chcąc uniknąć niewygód jakie nas czekały na granicy chińskiéj, w jurtach Mongołów i Sajańców. Mówiąc to, spoglądał z podełba na zatknięte za naszemi pasami rewolwery, jak gdyby starając się obliczyć możność obrony i doniosłość oporu. Ale wszystkie jego nalegania nie przyniosły żadnego skutku. Szaleństwem byłoby, mając w kieszeni znacz-

---

(*) Księga rodzaju, która już u Żydów przez późniejsze talmudyczne dodatki została zmienioną prawie nie do poznania, u sobotników nie posiadających nic pisanego a opierających się tylko na tradycyi, jeszcze więcéj odbiega od mojżeszowego podania. Oprócz wziętych żywcem z talmudu: opisu zatrudnień Stwórcy, karmienia się wybranych w raju rybą Lewiatanem — wierzą oni, że w środku ziemi znajduje się Taran, przepaść, w którą olbrzymy-mściciele, wrzucają peryodycznie wszystkich ludzi gwałcących świętość sabbatu.

Przyp. aut.

ną i to jeszcze nie swoich piéniędzy summę, powierzać swe życie znanym z reputacyi mordercom i rabusiom.

Po dwóch lub trzech godzinach odpoczynku, ruszyliśmy ku granicy, o dwadzieścia wiorst tylko ztąd odległéj. Zauważyłem, że jemszczyk nasz przez cały czas przebywania naszego u tych sekciarzy był niespokojnym, pobladł znacznie, a co najważniejsza, znakomity jego w każdéj porze apetyt, znikł zupełnie.

— Hospodi prosti!—zawołał, żegnając się pobożnie, gdy ostatnie domy osady zostały za nami;—zapalę świeczkę przed świętym ikonem, za to żeśmy wyszli żywo z téj zbójeckiéj jamy!

Widocznie, że w czasie niebezpieczeństwa nie wielkąby on był dla nas pomocą.

We dwie godziny potém, zabielały ze wszystkich stron szeroko rozsiane wśród doliny jurty Mongołów i Sajańców.

Byłato granica Chin.

Linia graniczna pomiędzy Syberyą wschodnią i Mongolią, jak zresztą we wszystkich miejscowościach przez hordy koczujących tylko plemion zamieszkałe, nie jest stale oznaczoną. Tam gdzie lud nie trudni się uprawą roli, przestrzeń mniejsza lub większa ziemi nie ma najmniejszéj wartości—same jurty mogą być dowolnie z miejsca na miejsce przenoszone—punkta więc na których się kończy jedno państwo a zaczyna drugie, istnieją tylko na kartach geograficznych; w rzeczywistości zaś nikt ich określić nie jest w stanie. Ciągła peregrynacya Mongołów, którzy się posuwają na północ, lub cofają ku południowi, jeszcze bardziéj utrudnia to zadanie. Każda prawie osada, co kilka lat zmienia swe położenie, a żaden z ludzi tam znajdujących się, nie może z pewnością zaręczyć, czy ziemia po któréj stąpa należy do Syberyi, czyli téż stanowi północny kraniec państwa Niebieskiego.

Ludy tu zamieszkałe różnią się we wszystkiém od widzianych dotąd przezemnie koczujących plemion azyatyckich. Język mongolski jest całkiem inny od języka tatarskiego — odmiennemi także są ich powiérszchowność, ubior, charakter,

obyczaje. Jedynym węzłem łączącym te plemiona jednego pochodzenia pomiędzy sobą jest szamanizm, ze wszystkiemi do téj wiary przywiązanemi obrządkami.

Mongołowie, zostający przez tyle wieków pod władzą Mandżurów, mają obyczaje i charakter wyłącznie chińskie; niepodobna znaléźć w nich téj gościnności i naiwnéj prostoty, które mi się tyle u Tatarów podobały — przeciwnie, są oni chytrzy, przebiegli, niedowierzający i w wysokim stopniu niesumienni. Oszustwo i kradzież, tak jak u wszystkich zresztą plemion, składających całość państwa Niebieskiego, uważaną przez nich bywa za przymiot i cnotę. A chociaż znajdającemu się pomiędzy niemi Europejczykowi, żadne niebezpieczeństwo utraty życia nie zagraża, są bowiem nader bojaźliwi i czują wstręt do rozlewu krwi, przecież w każdéj chwili należy być przygotowanym na utratę swojéj własności. Zręczność ich pod tym względem jest prawdziwie artystyczną, tak że i najsławniejsi kuglarze mogliby się coś jeszcze od nich nauczyć.

Mając w Minusińsku jeszcze przepisaném jak sobie z nimi przy wymianie towarów postępować, dokonywałem téj czynności, po długich zatargach, z nadzwyczajną ostrożnością. Zgodzony na wymianę towar, trzymałem w ręku aż do chwili, w któréj mój tłumacz nie odebrał należnéj za niego skóry; za danym znakiem puszczałem sztukę materyi, a tłumacz chwytał w oburącz futro sobolowe. Pomimo tego jednak, pewnego razu, kilka łokci czerwonego sukna tak nagle zniknęły z rąk moich, przedtém nim handlowy pomocnik zdołał uchwycić należącą się za nie skórę, że wszelkie poszukiwania i rewizye, żadnego nie przyniosły skutku, a Mongoł, sprawca téj zręcznéj kradzieży, z najniewinniejszą w świecie miną dowodził, że ja nic zupełnie w ręku nie miałem.

Rysy twarzy Mongołów i Sajańców są monstrualnie brzydkie: kości policzkowe wystające naprzód, nosy spłaszczone, oczy wązkie, skośne, bez brwi i powiek, zapadłe głęboko wśród czaszki, czynią z nich prawdziwe potwory. Kobiéty mongolskie są jeszcze bardziéj odrażającéj powierszcho-

wności od mężczyzn. Wprawdzie można z łatwością zauważyć pomiędzy nimi i Tatarami ogólne cechy jednéj rasy—ale to co u Tatarów jest zaledwie, że się tak wyrażę, naszkicowaném, u Mongołów przedstawia karykaturalną, do ostateczności doprowadzoną całość. Żaden np. malarz nie byłby w możności narysować portretu Mongoła z profilu, bo gdy tenże stanie bokiem, nie widać ani nosa, ani konturów oka, lecz tylko nieforemną linię łamaną, utworzoną ze stérczącego policzka i wypukłego czoła. Mongołowie ubiérają się po chińsku, golą głowy, palą tytuń z długich, nadzwyczajnie cienkich cybuchów, i poczytują za najdelikatniejszy przysmak wszelkiego rodzaju owady, jak np. mrówki, chrząszcze, szerszenie, które jedzą pełnemi garściami, bez żadnego przygotowania i przyprawy. Szamani ich noszą wysokie śpiczaste czapki, opatrzone malutkiemi dzwoneczkami, i oprócz wypełniania swoich czarnoksięzkich obowiązków, to jest zaszeptywania niedojnych krów, odganiania uroków, rozdawania swastików—używani bywają jako polubowni sędziowie do roztrząsania domowych spraw i zaszłych sporów. Oni także, podobnie jak u Tatarów błogosławią, a raczéj opatrują talizmanami, dokonane już małżeństwa.

Główną cechą małżeństw mongolskich jak i tatarskich—cechą wspólną zresztą wszystkim rasom, wyznającym szamanizm, jest porywanie.

Młody człowiek, upodobawszy sobie dziéwczynę, umawia się z nią, nie uprzedziwszy bynajmniéj rodziców i opiekunów, o czasie w którym napaść ma być wykonaną; i zebrawszy liczną drużynę przyjaciół, podkrada się wraz z niemi nocną porą do jurty, zamieszkałéj przez swoją ulubioną, i zdobywa sobie przyszłą żonę. Czasem przebudzona ze snu rodzina stawia opór, częściéj jednak spostrzegłszy późniéj cokolwiek zniknięcie kwiatu swojéj jurty, (buem-bi), zbiéra na prędce przyjaciół i domowników, a dosiadłszy koni, dopędza zbiegłą pannę, i stara się odebrać napowrót ukradzioną dziéwczynę. Następuje bójka, z któréj mnóstwo szermierzy obydwóch stron wychodzi z podbitemi oczami, potłuczonemi żebrami i podrapanemi twarzami; cała ta sprawa

jednakże kończy się wykupieniem żony, przez pewną ofiarę ze strony pana młodego—ogólną zgodą i piciem wódki, araki. Po nastąpionéj dopiero zgodzie, gdyż samo małżeństwo najczęściéj w pierwszych chwilach poznania dokonaném zostało, przyzywają szamana, który ma obowiązek dopełnić swoich inwokacyi i czarodziejskich praktyk nad młodą parą. W tym także czasie ma miejsce właściwe wesele czyli uciecha, odznaczająca się śpiéwami i pląsami, przy towarzyszeniu przeraźliwego brzęku płaskiego miedzianego kotła, zwanego „tam-tam."

Ten zwyczaj porywania kobiét którego byłem świadkiem w czasie przebywania mojego pomiędzy Mongołami, sięga odległéj przeszłości i jest wspólny wszystkim ludom aryjskiego pochodzenia. Taka forma małżeństw długo się przechowywała u Słowian: Nestor wspomina o podobnym zwyczaju u Drewlanów i Krywiczanów, i nazywa go porywaniem koło wody (umykanie u wody); u jednych tylko Polan mających stosunki handlowe z Grecyą, panował zwyczaj przyprowadzania (wiedienia) kobiét. W gubernii witebskiéj do dzisiejszego dnia podczas obrzędów weselnych narzeczony wykrada pannę młodą, a obwiózłszy ją kilka razy po lesie, odwozi napowrót do domu rodzicielskiego. Według Uscholda, porywanie było u starożytnych ludów jedyną formą małżeństwa; Vico uważa je jako wynik pojęć barbarzyńskich ludów pierwotnych, które, jak każde inne zwierzęta, unosiły zdobycz do swoich jaskiń. U narodów podnoszących się stopniowo w kulturze i cywilizacyi, barbarzyńskie te obrządki zacierały się i nikły stopniowo, ustępując miejsca innym więcéj odpowiednim duchowi czasu formom; u ludów zaś zamieszkujących obszary północnéj Azyi, do których przez tyle wieków światło nauki i postępu idei społecznéj nie doszło, pozostały one w całéj swéj pierwotnéj dzikości.

Pomiędzy Mongołami i Sajańcami, oprócz szamana, dziś jeszcze widziéć można rozliczne, wybitne, oryginalną formą postacie. Piérwszą jest baba lekarka (gonia), drugim urzędowy trefniś jurty (zin). Baba, oprócz zwykłych swoich obowiązków przy położnicach, przyzywaną jest wszędzie, gdzie tylko

zawita choroba: poi ziółkami, przykłada kataplazmy z gorczycy, zszywa rany w czasie bójek przedweselnych otrzymane, i jest zarazem prawą ręką szamana, gdy tenże odbywa swoje inwokacye. Baby lekarki są zazwyczaj bardzo stare, i tak straszne, że chyba tylko w snach gorączkowych podobna postać może się człowiekowi przyśnić. Etatowi trefnisie służą do rozweselania mieszkańców jurt w czasie obchodów weselnych, świąt poświęconych duchom rodzinnym, i innych uroczystości, ubiérają się oni dziwacznie, mażą twarz węglem, prawią różne koncepta, i są zazwyczaj dosyć zręcznymi w sztukach gimnastycznych i ekwilibrystycznych. Ci samorodni komicy, niczém się zupełnie nie trudnią; żywieni, zaopatrywani we wszelkie potrzeby przez całą osadę, przepędzają wszystkie wolne chwile od swoich obowiązków bezczynnie, paląc fajkę lub popijając arian. Należy jednak dodać, że stan trefnisia etatowego, jest uważany w oczach ogółu jako poniżający: żaden z Mongołów nie tylko z nim nie zawiąże rozmowy ale nawet nigdy go przy spotkaniu nie przywita.

W pierwszych chwilach pobytu mojego na tych środkowych punktach pomiędzy dwoma państwami, nie znając jeszcze zwyczajów miejscowych, zdarzyło mi się spotkać tę oryginalną figurę. Zaciekawiony, poleciłem znajdującemu się ze mną tłumaczowi zadać mu jakieś zapytanie — gdy nagle stojący opodal starzec, wyciągnął swój długi cybuch pomiędzy nas, i zawołał z żywością:

— Nie mówcie do niego—on tego niegodny: to jest Zin!..

Na tych kilku niedokładnych zarysach obyczajów mongolskich poprzestać muszę; — dwa tygodnie pobytu mojego wśród ich koczowisk, poświęcone były prawie wyłącznie interesom handlowym; nie mając zatém prawie nigdy swobodnéj chwili, nie mogłem zwracać baczniejszéj uwagi na wszystkie szczegóły życia, tak mało znanych jeszcze plemion.

A szczegóły te są nader zajmującemi.

Gdy za lat parę, w skutek otworzenia nowego punktu wywozowego do handlu z państwem Niebieskiém — dzikie, trudne do przebycia stepy i niezaludnione obszary, prze-

rznięte zostaną wygodną do przejazdu drogą, Mongolia tak mało dziś znana, nawet tutejszym nadgranicznym mieszkańcom, stanie się dostępną dla wszystkich.

Dziś udaje się tam tylko ten, którego okoliczności do tego zmuszają.

KRAMARZE SYBERYJSCY.

Kupiec w Syberyi, zamieszkujący większe lub mniejsze miasta, prowadzący handel na większą lub mniejszą stopę, nie wyróżniając się w niczém od innych kupców Rossyi europejskiéj — stanowi typ tak powszechnie znany, tak szczegółowo i wszechstronnie opisany przez rossyjskich powieściopisarzy i autorów dramatycznych, że przedstawiać go byłoby powtórzeniem rzeczy wiadomych, a skréślonych nierównie lepiéj i dokładniéj, jak gdybym to był w stanie uczynić. Kramarz zaś, taki przynajmniéj jak go chcemy naszkicować, jest to postać wyłącznie syberyjska.

Nie może tu być mowy również o owych odroślach miejskiego handlu, sklepikach pozakładanych w różnych gminach, staraniem zamożnych kupców; te bowiem, choć kramy, zarządzane i prowadzone bywają przez subjektów (prykaszczyków), postaci także znanéj ogólnie i kilkakrotnie opisywanéj.

Właściwy kramarz syberyjski jest najczęściéj zbogaconym włościaninem, urlopowanym kozakiem, lub téż zesłanym na osiedlenie przestępcą, który dorobiwszy się trochę gro-

sza, wkłada swój niewielki kapitalik w handel, kupując w najbliższém miasteczku różne drobne przedmioty, i odprzedając takowe we wsi po cenach w dwójnasób zwiększonych. Przemysł ten, pomimo wielkiego procentowania się włożonych funduszów, nie przynosi dostatecznych dochodów; włościanie bowiem, wiedząc, że w miasteczku nabyć można lepszego i tańszego towaru, zwykle tam się zaopatrują we wszelkie niezbędne do życia potrzeby, a u kramarza kupują tylko wtedy, gdy im zabraknie zapasu, lub gdy zła droga, zatrudnienia gospodarskie, i inne jakiekolwiekbądź powody nie dozwalają im udać się do miasta.

Kramarz zatém, oprócz handlu, ma zwykle inne jeszcze zajęcia. Jeżeli jest włościaninem, nie opuszcza swéj roli, wyręczając się w sklepie żoną lub córką; a w czasie ważniejszych prac gospodarskich jak np. żniw i sianokosu, odkłada do swobodniejszéj chwili wszelkie interesa targowe. Inni handlują zbożem, trudnią się rzezią bydła i owiec — inni nakoniec używają kramarstwa jako zasłony do pokrycia jakiego tajemnego przedsiębierstwa, niezgodnego z przepisami prawa karnego.

Wszystkie powyższe powody sprawiają, że ważna ta w życiu włościanina osobistość, przedstawia się zawsze jako starożytny Janus w dwulicowéj postaci. Z rana, w długiéj sukiennéj kapocie, z miłym kupieckim uśmiechem na ustach, mierzy arszynem płócienka, perkaliki, lub przeważa na szalach cukier, cedrowe orzeszki, machorkę, starając się przy lada sposobności oszukać na mierze lub wadze; wieczorem we włościańskim chałacie, z miną surową i poważną, przemieniony w urzędnika gminy, sądzi różne drobne przestępstwa. Jednego dnia jako rzeźnik skupuje w okolicy niezdrowe lecz tanie krowy; nazajutrz jako starszyna wsi wydaje energiczne rozporządzenia, zabraniające dla względów sanitarnych rzezi chorego bydła. Jeżeli jest urlopowanym kozakiem, lub zesłanym na osiedlenie przestępcą, dwulicowość ta w innéj objawia się formie — w każdym jednak razie, dni świąteczne lub niedzielne przynoszą radykalną odmianę w domowém jego pożyciu: ktokolwiek widział kramarza syberyjskiego i jego rodzinę w dni powszednie, nie po-

znałby ich w święta—wszystko tam bowiem: żona, dzieci, otoczenie, sposób obejścia, zmienia się nie do poznania. Te same osoby, inaczéj wtedy mówią, inaczéj chodzą, inaczéj wyglądają: jest to niby nagła przemiana dekoracyi w teatrze.

Grigoryi Tarasicz Troszen, kramarz we wsi Bałachcie, piastuje zarazem wysoką godność gminnego pisarza. Wyjąwszy kilku godzin przeznaczonych na zajęcia kancelaryjne, resztę czasu przepędza w swoim sklepie. Siedząc za stołem biurowym, podpisując rzemieślnikom lub téż robotnikom ze złotych kopalń, bilety do swobodnego wydalenia się w inne gminy, ma minę poważną, powierszchowność surową: widocznie czuje całą ważność zajmowanego przez siebie stanowiska, i umié wzniecić w otaczających go poszanowanie dla swojéj osoby. Przy śledztwach wlepia w oskarżonego wzrok bystry, przenikliwy, wyradzający przestrach w najmniéj nawet winnych—interesantów traktuje z góry—mało mówi, a gdy się odezwie, to zawsze w piérwszéj osobie liczby mnogiéj. Przydomek „my,“ jakiego mówiąc o sobie używa, ma oznaczać połączenie w jego ręku wszelkich sprężyn władzy, któréj jest cząstką, bierną wprawdzie, lecz z powodu ciemnoty rzeczywistych chłopskich urzędników—najważniejszą. Skończywszy swoje urzędowe zajęcia, zrzuca czarny surdut, przywdziewa kapotę — zmienia kaszkiet na okrągłą futrzaną czapkę—i z dygnitarza, staje się kupcem. Jakiż on wtedy miły i słodki! jak wdzięcznie się uśmiécha, zachwalając swój towar! z jakim usłużnym pośpiechem podaje żądane przedmioty! Ten sam mużyk, który chwilę temu drżał przed olimpijskiém spojrzeniem urzędnika, klepie go poufale w kramie po ramieniu, głaszcze po brodzie, pozwalając sobie w przyjacielskiéj pogawędce różnych tłustych dowcipków i familiarnych przekleństw, tyle wdzięku mających wśród domowego pożycia syberyaka. Grygoryi Tarasicz bynajmniéj się o to nie gniéwa; owszem, przyjmuje wszystko jako dowody życzliwości i przyjaźni — a on, który przed godziną jeszcze wyrzekł te pamiętne słowa: „w obec urzędu każdy winien być z uszanowaniem i pokorą“ mówi z uniżoną miną: „jam wasz sługa, rozkazujcie!“ — w jego bowiem ziemskiéj

powłoce są dwa charaktery, dwie osobistości, rzekłbym nawet—dwie dusze, gdybym się nie obawiał naruszyć prawdy teologicznéj.

Jeżeli ta postać zmienia się peryodycznie dwa razy dziennie, za to rodzina jego i otoczenie dokonywa przemian kameleona, tylko przy każdém święcie i niedzieli. W dniu powszednim cały dom Grigorego Tarasicza jest poprostu domem kramarza; w uroczystości kalendarzowe staje się mieszkaniem dostojnéj w gminie osoby. Począwszy od poniedziałku, pokoje bawialne (górnice) są szczelnie zamknięte, nikt do tego przybytku nie wchodzi, a całę życie domowe odbywa się w kuchni. Króluje tam despotycznie pani domu Mełania Ignatiewna, baba niezmiernie tłusta, czynna i swarliwa; wszystko co żyje podlega jéj panowaniu: dzieci, parobcy, kucharka, drżą na dźwięk jéj przeraźliwego głosu, który od świtu do zmroku rozlega się na podwórzu, w stajniach, oborach, i piwnicach. Mąż nawet, powróciwszy wieczorem z kramu, natula na uszy czapkę i cichaczem wynosi się pod strych na siano, a żeby w niefortunnéj chwili nie oberwać jakiego szturchańca. Główném siedliskiem despotycznéj władzy wzorowéj gospodyni jest wyżéj wzmiankowana kuchnia; w téj pracowni skupiają się wszystkie działania domowego gospodarstwa—ztamtąd różnemi arteryami, jak po drutach telegraficznych, rozbiegają się w rozmaite zakątki i tajniki podwórza nieprzeliczone rozkazy i polecenia: są to prace niewielkie na pozór, ale ciągłe, bezprzestanne. Od świtu do zmroku wszystko tam jest w ruchu. Zawodzą się kwasznie (ciasto na chléb), pieką kołacze, gotuje twaróg, zbija masło, przegotowuje kwas do picia. Dwie córki: Taissia i Tatiana biegają na wszystkie strony, bose, brudne, rozczochrane, nie mogąc nastarczyć zajęciom —starszy syn wozi wodę lub rąbie drzewo; młodszego, który co chwila dopuszcza się jakiego małego przestępstwa, to wykradając kurom świeżo zniesione jaja, to wybiegając na ulicę grać z innemi malcami w babki (rodzaj kręgli), spotykają peryodyczne plagi. Wszystko tam wre, kipi, porusza się, żyje—a wszechwładna pani tych miejsc, poświęconych gospodarskim trudom, wyda-

jąc sama rozkazy, nie opuszcza na chwilę rąk swych bezczynnie; każdy szczegół skontrolowany przez nią, poprawiony, zmieniony, ulepszony, staje się jéj własném dziełem.

I trwa to wszystko od poniedziałku rano do soboty po południu. W sobotę gwar ustaje, błoga cisza zalega huczącą wewnętrzném życiem miejscowość—z komina łaźni, zwykle w głębi podwórza zbudowanéj, buchają gęste kłęby dymu; i zaledwie ostatni odgłos dzwonu, zwiastujący zakończenie nieszporów, przesłał mieszkańcom wsi pożegnanie kończącego się tygodnia, już wszyscy w domu kramarza prażą się w podniesionéj nieledwie do stanu topienia się kruszców temperaturze. Po skończeniu téj próby ognia, którąby najwytrwalszy Europejczyk przypłacił co najmniéj apopleksyą—wychodzą z łaźni postacie czerwone, z ponsowemi twarzami, oblane potem, buchające parą, i wszyscy, przyjąwszy skromny posiłek, udają się na spoczynek.

Dzień, który potém następuje, jest dniem radykalnéj przemiany. Dom ten sam, osoby te same, a jednak nieuprzedzony o zwyczajach syberyjskich przybysz, zawitawszy w te miejsca, nie poznałby ani domu, ani osób, ani obyczaju rządzącego przez cały tydzień tym małym światem. Po skończeniu nabożeństwa w cerkwi — szczelnie dotąd zamknięte salony kramarza stają otworem: są to pokoje obszerne, widne, z posadzkami froterowanemi, firankami u okien, portierami u drzwi—na stolikach i stoliczkach politurowanych stoją różne figurki porcelanowe chińskie, przed ikonem (obrazem świętego) w ryzie (pozłacanéj oprawie) pali się lampa. Najparadniejsze miejsce na kanapie zajmuje Mełania Ignatiewna, w fałdzistéj atłasowéj lub jedwabnéj sukni, w czarnéj kosynce (ubraniu niewiast zamężnych) na głowie—córki jéj wykrynolinowane, wytrefione, z ogromnemi pękami konopi przymieszanych misternie w sploty naturalnych włosów, przeglądają dla kontenansu obrazki pożyczonéj od akcyznego urzędnika illustracyi, których jako nieumiejące czytać nie wiele rozumieją. Grigoryi Tarasicz chodzi wzdłuż i wszerz gornicy, przystając co chwila, to przed zwierciadłem, które odbija jego świąteczną fizyognomię, to przed

oknem, zkąd spodziéwa się ujrzeć nieuniknionych w tym dniu gości.

Wkrótce goście zaczynają się schodzić. Najprzód zjawia się pop z diakonem, dalćj solny prystaw z żoną, dwaj pomocnicy gminnéj władzy, propinator z rodziną, akcyzny urzędnik właściciel owéj illustracyi, i jeszcze kilka mniéj znakomitych osobistości. Wszyscy, oprócz akcyznego urzędnika, który tu uchodzi za uczonego i znającego świat człowieka—pomimo tego że się w każde święto widują, nadzwyczajnie są w obec siebie nieśmieli i zażenowani. Po zwykłych kolejnych przywitaniach rozmowa idzie tępo: o deszczu, pogodzie, sianożęciu, handlu, chorobach na bydło. Właściciel illustracyi zbliża się tymczasem do panien, i zawiązuje rozmowę:

— Jakże wam się podobają ryciny?

— Nieszczególne, bo wszystko tu zrobili czarno. Na obrazkach drzewa powinny być zielone, woda niebieska, a twarze różowe.

— Słyszycie batiuszka,—mówi pół-głosem Grigoryi Tarasicz do popa,—jak moja córka rozprawia o książkach? Nie głupia to dziéwczyna!

Tymczasem zézowata kucharka Dunia roznosi herbatę, a akcyzny, niezrażony zwolennik sztuk pięknych, wziąwszy do ręki wiszącą na ścianie gitarę, brząka na niéj kilka akordów, przypominających jakąś małoruską dumkę.

— Wy lubicie muzykę?... zapytuje znowu panien.

— Któżby jéj nie lubił, szczególniéj gdy kto gra uczenie na armonice, bo bałałajek, za któremi chłopi przepadają, cierpieć nie mogę.

— Kiedy mieszkaliśmy w tomskiéj gubernii,—rzecze żona propinatora, mieszając się do rozmowy,—słyszałam jak cyganie grali; śliczneż to było! Wystawcie sobie, że jeden rzępolił na skrzypcach, drugi dął w trąbę, a trzeci znowu przebiérał palcami po jakiéjś piszczałce, i co powiecie? Wszystko to razem się składało, a jeden drugiemu w niczém nie przeszkadzał.

Mełania Ignatiewna tymczasem siedzi nieruchomie, niby posąg Buddy w pagodzie indyjskiéj. Wysokie stanowisko, jakie w spółeczeństwie zajmuje, wymaga téj powagi—a przytém obcisły ubiór i botynki na nogach, tamują wszystkie jéj ruchy. Spoglądając co chwila na fałdującą się materyę bogatéj sukni, rachuje upływające godziny, i tęskni za dniami mniéj uroczystemi, w których będzie mogła powrócić do właściwéj sobie sfery.

Niestety! wielkości i zaszczyty tego świata ciężko nieraz opłacić należy. Tak niejeden król na tronie, w purpurze i z berłem w ręku, wzdychał do chwili, w któréj, rzuciwszy dworski ceremoniał, będzie mógł rozerwać się z wesołymi ulubieńcami; tak i Mełania Ignatiewna, siedząc w niedzielę na kanapie, wystrojona, opięta, uwięziona w szerokiéj krynolinie, wzdychała do owych dni swobody, oświetlonych jasnym blaskiem kuchennego ogniska!

Po uraczeniu się herbatą, podano zakąskę i wódkę. Mężczyzni na wezwanie gospodarza przybliżają się, od czasu do czasu, do stolika, wychylając maleńkiemi hauścikami pokrzepiający napitek. Rozmowa, idąca zrazu tępo, urywkowo, zaczyna być coraz więcéj ożywioną: twarze gości nabiérają stopniowo rumieńca—akcyzny, który jako uczony lubi podnosić kwestye najbliżéj z życiem ogółu związane, wszczął dyskusyę o złodziejach i złodziejstwach. Z tego tematu, obrabianego na różne sposoby, wywiązało się wkrótce pytanie, czy zbrodniarze mają w swych rysach, fizyognomii, spojrzeniu, oddzielne cechy, wyróżniające ich od cnotliwych, czy téż są we wszystkiém podobni do innych ludzi. Zdania były podzielone: jedni twierdzili, że natura napiętnowała już przestępcę jakąś wybitną cechą; drudzy przeciwnie dowodzili, że podobne wyróżnienia nigdy miejsca mieć nie mogą.

— Kiedy mieszkaliśmy w tomskiéj gubernii—odezwie się żona propinatora, przywieziono tam na osiedlenie młodego człowieka, pięknego jak anioł. Istny gołubczyk: lat dwadzieścia trzy, włosy blond, oko duże, jasne, niebieskie — a uśmiéch tak słodki, tak miły, tak ujmujący, że każdemu trafiał do serca. Cichy on był, skromny, łagodny, nikomu w drogę nie wchodził—każdy myślał, że on zesłany za jaką

drobnostkę, za jakie utajenie skarbowych piéniędzy, co przecież każdemu przytrafić się może... aż tu, wystawcie sobie nasze przerażenie, gdyśmy się dowiedzieli, że on poprostu był zabójcą!...

— Zabójcą?

— Tak jest, i to jednym z najgorszych. On był oficerem gwardyi... ze swoim łagodnym uśmiéchem, ze swojemi bląd włosami, ze swojemi niebieskiemi oczami, był to złoczyńca jakiego świat nie widział. Wystawcie sobie, wziął on dwa pałasze, dał jeden z nich koledze porucznikowi, wyszli za bramę miasta i tam... ale zgroza bierze pomyśleć o tém!.. nuże na siebie wzajemnie nacierać; i zarąbał biédnego porucznika na miejscu—a to wszystko, wystawcie sobie, aż przy dwóch świadkach!...

— Przy dwóch świadkach?

— Tak było, jak wam mówię. Złoczyńca, jakby na pośmiewisko, praw ludzkich i boskich, wziął ze sobą dwóch świadków ażeby ci przypatrywali się jego krwiożerczym czynom ! Powiédzcież sami, co to za wyrafinowana złość—i takiego rozbójnika, posłano tylko na osiedlenie: knut jemu, katorga, szubienica.

Nastała chwila milczenia. Każdy w duchu myślał, jakież to straszne potwory rodzą się czasami na tym bożym świecie!

Ale co tam! my już świata na lepszy nie przemienimy, chociażbyśmy nie wiem jak długo myśleli. Ot co?... daleko lepiéj wypić.

Mężczyźni więc coraz częściéj zachodzą do małego stoliczka, gdzie stoi wódka i zakąska. Kobiéty przeszły znowu do drugiego pokoju: tam pod przewodnictwem gospodyni domu, która uznała za stosowne poruszyć się nakoniec z kanapy, próbują różnych naléwek—rozmowa z ożywionego gwaru przechodzi w zmięszany chaos: słychać tylko peryodyczne frazesa, krzyżujące się wzajemnie pomiędzy sobą:

— Grigoryi Tarasicz!

— Aleksiéj Ewdokimowicz!

— Doléwajcie pełno!

— Kto żyje, ten pije.

Z drugiego pokoju dolatują także rozmaite urywki rozmowy:

— Agafia Warłamówna, nie róbcie ceremonii.

— Dalibóg, Mełania Ignatiewna, więcéj pić nie mogę.

— Kieliszek wasz dotąd pełny stoi...

— Kiedy mieszkaliśmy w tomskiéj gubernii...

Akcyzny tymczasem brzdąka coraz zawzięciéj na gitarze, nucąc półgłosem jakąś piosenkę: tu owdzie z różnych kątów zaczynają mu wtórować; stopniowo i kobiéce dyszkanty łączą się z męzkiemi basami — nareszcie wszystko zléwa się w jeden ogólny chór, i brzmi pieśń:

Wieczorem piękna dziewica
Nad ruczaj za stadem szła;
Czarnobrewa krasawica
Tak gęsi swoje gnała:
Tiega! tiega! tiega! tiega! tiega! (*).

Po téj piosence sielsko-sentymentalnéj występują z kolei inne, więcéj energiczne, np. o Wańce wesołym, o młódym oficerze i t. d. Wszystko to, przy coraz częstszych zaglądaniach do stolika z zakąską, zaczyna stopniowo się mięszać w różnorodne pot-pourri, niemające ani początku ani końca. Akcyzny, nie mogąc zapanować brzękiem swojéj gitary nad ogólnym wrzaskiem, rzucił na kanapę niewdzięczny instrument, i wziął się do akompaniowania śpiewów, uderzając nożem po pustéj szklance. Solny prystaw podryguje w kącie kozaka, przysiadając aż do ziemi—zawiązanie na nowo jakiéjkolwiek rozmowy, jest rzeczą zupełnie niemożliwą. Jedna tylko żona propinatora, niezrażona żadnemi przeszkodami, zaczyna kilkakrotnie:

— Kiedy mieszkaliśmy w tomskiéj gubernii...

Ale słowa jéj nikną przygłuszone wrzawą.

W końcu tworzy się trudny do opisania chaos: jeden zaczyna basem, drugi tenorem—ten gwiżdże przeraźliwie, wło-

(*) Przyjęty w Syberyi sposób wołania na gęsi.

żywszy palec w usta, inny klaszcze w dłonie, ów podnosi poważne religijne pienia, drugi nuci skocznego trepaka, a gospodarz, kompletnie pijany, biega za gośćmi, wołając na nich jak na gęsi:

— Tiega! tiega! tiega! tiega!

Co się daléj dzieje, nikt nie pamięta—a ci co pamiętają, nie chcą sobie przypomniéć; to tylko jest rzeczą pewną, że Grygoryi Tarasicz obudził się na zajutrz rano z ogromnym guzem na czole—solny prystaw z podsiniałém okiem, a obaj pomocnicy pisarza czują jakieś nieznośne, zapewne od reumatycznych bolów pochodzące, łamanie po kościach.

Zresztą wszystko powróciło do normalnego, zwyczajnego stanu. W poniedziałek trudnoby było poznać wczorajszego amfitryona, jego dom, rodzinę, otoczenie. Kramarz siedzi w sklepiku, uśmiechając się słodko do oberwanego mużyka, którego oszukał na kopiéjkę—paradne pokoje szczelnie zamknięte, w zadymionéj kuchni krzyczy i przewodzi Mełania Ignatiewna — dwie wczorajsze elegantki, jéj córki, biegają boso do strumyka prać bieliznę, lub przygotowują w korycie strawę dla trzody chlewnéj.

Uroczyste *wczoraj*, w niczém nie jest podobne do powszedniego *dzisiaj*.

Sic transit gloria mundi!

Powyższy typ handlującego i zarazem zajmującego się urzędową w gminie czynnością włościanina, jest jednym z najświetniejszych—inne otoczone bywają zazwyczaj tajemniczemi, a niedostępnemi dla każdego oka cieniami.

W urlopowanym kozaku-kramarzu, wszystko pokryte jest nieprzejrzanym mrokiem; przy każdéj jego czynności możnaby położyć znak zapytania. A najprzód źródeł jego materyalnych zasobów nikt nie zna. Wyszedł ze służby z trzema rublami w kieszeni, puścił się w daleką podróż, i powrócił po roku niebytności ze sporym zapasem biletów bankowych; zakupił różnych towarów, przeniósł się do ludnéj wioski i założył kram.

Rozwoju jego handlu nikt obrachować nie może: nikt nie wié czy setki czyli téż tysiące rubli są u niego w obrocie. Przymknięte zawsze okiennice w sklepie, nie dają dokładnie

rozpoznać ani liczby ani jakości znajdujących się tamże przedmiotów; niektóre z nich ukryte w lochu nigdy nie widzą dziennego światła — inne stoją na widowni przez całe lata, a nikt ich z powodu wysokich cen nie kupuje. On sam jeździ do miasta i sprowadza ztamtąd drobiazgi, których sprzedaż nie może mu powrócić nawet kosztów podróży — natomiast, czasami, w ciemną noc, zjawiają się u niego zupełnie nieznani ludzie, którzy wyładowują z kibitek mnóstwo ogromnych pak i ciężkich kufrów. Nie ufa najbliższym swoim sąsiadom, handlując z niemi nie chce i kopiéjki ustąpić, a pomimo tego piérwszemu lepszemu, szczególniéj z odległych stron przybyłemu człowiekowi, przeda za pół darmo sztukę jedwabnéj lub atłasowéj materyi, nie wiedziéć jakim sposobem pojawiającéj się pomiędzy drobiazgami kramarskiego handlu.

Jest on zazwyczaj ponury, małomówny, z nawiédzającymi go opryskliwy. W dnie powszednie siedzi w kramie, paląc z krótkiéj fajki cuchnący tytuń, w niedzielę i święta nie zaprasza gości ani téż do nikogo nie chodzi w odwiédziny, ale zamknąwszy szczelnie sklep, udaje się do najbliższego szynku, i tam, sam jeden, milcząc zawsze, upija się: nigdy jednak pijaństwo jego nie dochodzi do tego stopnia, aby nie był w stanie powrócić o własnych siłach do domu. Nocą strzela czasami na wiatr ze staréj rusznicy, aby, jak mówi, odstraszyć tym sposobem złodziei — sąsiedzi jednak twierdzą że po tych wystrzałach zjawiają się zawsze z poblizkich krzaków nieznane nikomu indywidua, z któremi tajemne odbywa konferencye.

Urlopowany kozak-kramarz nie jest zwolennikiem stanu małżeńskiego, i w ogóle nikogo przy sobie nie trzyma, lecz sam całém swojém małém gospodarstwem zarządza; jeżeli jednak odstąpi od przyjętéj zasady i ożeni się, to towarzyszka jego życia zostaje najnieszczęśliwszą w świecie istotą. Bita od rana do wieczora w dnie powszednie, ma tylko niedzielę i święta do odemszczenia plag jakie codziennie odbiéra — w tych bowiem dniach pijany kozak nie posiada odpowiedniéj siły do odparcia sypiących się na jego

plecy razów nahajki. Etatowy tyran dni zwyczajnych, staje się ofiarą w każdą uroczystość.

Cieszy się on niezwykłemi przytém względami u władz gminnych: starszyna mówi do niego z uszanowaniem, dziesiętnicy są na jego usługi, a sam gołowa (wójt), uchyla zawsze czapkę przy spotkaniu się z nim. Rewizye jakie dosyć często w skutku różnych tajemnych doniesień, odbywają się w jego domu, są zazwyczaj czczą formą, nigdy bowiem niczego podejrzanego tam nie znaleziono. Czyli te względy wypływają z szacunku dla jego osoby, czyli téż z poważania dla jego rubli, dokładnie objaśnić nie umiem. Nikt we wsi go nie lubi, a wszyscy się obawiają: najbliżsi nawet mieszkańcy, którym zbyt często dokucza, nie śmieją otwarcie podawać skarg na niewygodnego sąsiada, i ukradkiem tylko podburzają zwierszchność przeciw niemu. On sobie z tego wszystkiego nic nie robi: ufny w swoje materyalne położenie, sięga zawsze w czasie chwilowych zatargów do kieszeni, i wydobywa ztamtąd gruby zatłuszczony pugilares, pełny bankowych papiérów, będąc pewnym, że talizman ten zasłoni go od wszelkich nieprzyjemności.

Takim jest w ogóle urlopowany kozak-kramarz; jeżeli trafiają się wyjątki, to nader rzadko, kozacy bowiem syberyjscy są prawie wszyscy sztrafowani, to jest przesiedleni za różne występki z głębi Rossyi europejskiéj w te stepy — a pomimo szumnych rozpraw niektórych filantropów, twierdzących, że ukarany przestępca może z czasem powrócić na drogę cnoty i prawości, przykłady wzięte ze społecznego życia, zupełnie czego innego dowodzą. Nic na świecie nie zawiera w sobie tyle prawdy, jak przysłowia ludowe; jedno zaś z najpopularniejszych powiada: „Czego się skorupka za młodu napije, tém na starość trąci.“

Prawda ta w większym jeszcze stopniu okazuje się przy bliższém poznaniu zesłanych na osiedlenie kryminalnych przestępców. Niektórzy z nich wprawdzie umieją tak zręcznie ukryć prawdziwy swój charakter, iż potrafią zdobyć sobie ogólny szacunek i poważanie, ale natura ich pozostaje zawsze ta sama. Kozak sztrafowany jest to człowiek prosty,

nieokrzesany, nieumiejący najczęściéj nawet czytać i pisać; pomiędzy zaś skazanymi na osiedlenie, znajdują się częstokroć ludzie z średniém a nawet i wyższém wykształceniem: im zatém mniéj jeszcze wybaczyć można.

Przybywszy na Syberyą chwytają się oni różnych zajęć — zepsuci i zdemoralizowani do gruntu, lecz przywykli zarazem do fałszu i obłudy, umieją prawie zawsze utaić swoje zdrożności; a ogół, który niema zwyczaju zgłębiać charakterów, lecz sądzić z powierszchownych oznak, wierzy w ich cnotę i uczciwość. Bardzo wielu z nich, wypruwszy z aresztanckiego chałatu nieprawym sposobem nabyte bankocetle, lub téż ożeniwszy się z zamożną Syberyaczką, obiéra sobie jako punkt oparcia handel kramarski, mając przytém na widoku jakie inne, bardziéj korzystne, lecz mniéj legalne zatrudnienie.

Jednego z takich ludzi jako typ kramarza-posileńca, postaram się wam przedstawić. Arkadi Saicz Gubanow, już od lat dwudziestu kilku zesłany został na Syberyą. Jakie było tego człowieka stanowisko w rodzinnym kraju, nikt nie wié; ale sądząc z jego obejścia się i mowy, widocznie otrzymać musiał średnie przynajmniéj wychowanie. Ci co go w piérwszych chwilach przybycia na Syberyą pamiętają twierdzą, że w swojém aresztanckiém ubraniu wyglądał wówczas na przebranego eleganta stolicy. Ale od téj chwili upłynęło dwadzieścia kilka lat. Ćwierć wieku życia w głuchéj stepowéj wiosce, pomiędzy nieokrzesanym ludem, musiało wpłynąć na zatarcie choć w części téj powierszchownéj ogłady, jaką się z początku odznaczał: z dawnych zabytków, pozostał tylko pewien odcień powagi, retoryczne zwroty wysłowienia się, i staranne unikanie wszelkich nieprzyzwoitych wyrażeń i klątw w rozmowie. Rzadko się gniéwał — doprowadzony do ostateczności wolał użyć pięści, niżeli grubego i nieestetycznego słowa.

— Bóg Najwyższy,—mawiał, nie szanując zwyczajem wszystkich kryminalnych przestępców drugiego przykazania—Bóg najwyższy dał tę broń naturalną człowiekowi, dla odparcia niesłusznéj napaści; ale przekleństwo nie powinno

nigdy kalać ust, które w chwili modlitwy wymawiają święte imię Jego.

Gubanow w piérwszym roku po zesłaniu, ożenił się z córką miejscowego włościanina. Żona jego, jak wszystkie w ogóle syberyjskie dziéwki, była prostą, nieokrzesaną, i słynącą w młodości swojéj z najgorszego prowadzenia się — w dodatku posiadała rysy twarzy mongolskie, i ogromny garb na plecach. Niedostatki te fizyczne i moralne nagradzał posag pięćset rubli wynoszący, dany zięciowi przez bogatego ojca, za uwolnienie domu od próżnego ciężaru. Gubanow, jako człowiek doświadczony i wierzący jedynie w potęgę kruszcu, nie miał żadnych uprzedzeń: jedynym celem jego życia było zawsze wynalezienie punktu oparcia, a punktem tym stał się garb żony, opłacony sporą jak na jego położenie kwotą piéniężną. Zaraz téż wziął się do handlu kramarskiego, a z upływającemi latami zasłynął w całéj okolicy ze swéj zamożności. Bogactwa jego i ten odcień powagi, jaki z dawnych lat umiał jeszcze zachować, zjednały mu powszechny szacunek i poważanie. Nic nie wywiera większego wrażenia na ludziach prostych nad jakikolwiekbądź pozór wyższości. W całéj okolicy nie było człowieka, któryby nie odzywał się o nim z uwielbieniem; a jeżeli niekiedy podniósł się tu i owdzie szmer źle utajonéj zawiści, to chwilowy ten objaw natychmiast przygłuszony został ogólnym głosem oburzenia przeciwko potwarcy.

Zasoby jego materyalne nadzwyczajnie szybko mnożyły się. Przy handlu drobiazgowym, który niewielkie daje zwykle procenta—gromadził on znaczne kapitały, a nikomu i na myśl nie przyszło, ażeby kramarstwo mogło być w jego rękach pokrywką innego, korzystniejszego, lecz nierównie mniéj legalnego zajęcia. Był on uważany za nadzwyczajnie mądrego, a ta mniemana mądrość wszystko tłumaczyła.

Takim stał się Arkadi Saicz Gubanow w publiczném życiu: jakim zaś był rzeczywiście, zobaczymy.

Ażeby poznać dokładnie te tajemnice, zajrzymy w najdrobniejsze szczegóły domowych jego stosunków.

Wyborna się ku temu trafia sposobność.

Gubanow przez długi czas obywał się bez prykaszczyka (subjekta handlowego), lecz przy coraz więcéj rozszerzonéj działalności i podwojonych zajęciach, uznał za potrzebne wyszukać sobie pomocnika. Z pomiędzy wielu kandydatów wybrał pewnego młodego człowieka, z dalekich stron pochodzącego, którego smutne wypadki zagnały w ten świat podbiegunowy.

Pan Karol M*** pochodził z zacnéj rodziny, otrzymał staranne wychowanie, był cichy, skromny, łagodny w obejściu—a co najważniejsza, posiadał niczém niezachwiane zasady prawości i honoru. Sfera w jaką wchodził nie odpowiadała ani jego zdolnościom, ani téż poprzednio zajmowanemu stanowisku, ale dawała kawałek chleba, którego gwałtownie potrzebował.

Przyjął więc z radością propozycyę kramarza.

— Przestępując progi domu mojego,—rzekł ze zwykłą sobie powagą Gubanow,—stajecie się członkiem mojéj własnéj rodziny. Pomocnika w handlu zwykłem traktować jako syna, nigdy jako służącego. Mówiono mi żeście bogobojni: to bardzo dobrze,—cierpiéć nie mogę ludzi, którzy nie oddają pokłonu świętym ikonom. Oddawszy Bogu, co jest boskiego, starajcie się wywiązać ludziom z obowiązków wdzięczności, jakie względem nich zaciągnęliście: być pilnym, wiernym, trzeźwym—a los wasz polepszy się. O wynagrodzeniu teraz nic jeszcze nie mówię; zastosowane ono zostanie do waszéj pracy. W każdym razie nikomu dotąd w świecie nie dałem prawa do narzekania na mnie.

Uznawszy za stosowne wystąpić na wstępie z powyższą perorą, kramarz wprowadził go do swojego mieszkania.

Rodzina Gubanowa składała się z garbatéj żony, teraz już staruszki—trochę głuchéj, trochę ślepéj, cierpkiéj w obejściu i niesłychanie skąpéj; jako téż z trzech córek, z których najstarsza liczyła lat ośmnaście, a dwie inne w dziecinnym jeszcze pozostawały wieku. Do tego familijnego grona przypuszczoną była i Paraskowija służąca, trzydziestoletnia dziéwka: mała, gruba, krępa, z twarzą obrzydliwie zeszpeconą ospą, która ciągłém pochlebstwem, nadskakiwaniem i plotkami, umiała wkraść się w zaufanie tych ludzi.

Kramarz w stosunkach z rodziną swoją okazywał zawsze charakter nieugięty; wiedział on że najmniejsze ustępstwo z jego strony sprowadziłoby anarchię, ale ponieważ zajęcia handlowe nakazywały mu często oddalać się z domu, władza jego była tylko czasową —zaledwie bowiem wyjechał, natychmiast rządy domu przechodziły do kądzieli.

Rejentką, stawała się wtedy najstarsza jego córka: ośmnastoletnia Masza.

Była to dziewczyna rzadkiéj piękności: jasna blondynka z dużemi niebieskiemi oczami, wysmukłą postacią, o klasycznie regularnych rysach, stanowiła ona typ jakiego poszukują malarze do wyobrażenia Magdaleny pokutującéj. Jeżeli jednak Maszę można było przyrównać do Magdaleny — to nigdy ostatni przydomek zastosować się do niéj nie dał.

Była ona zepsutą do gruntu.

Tak zepsutą—jak zepsutemi stają się te dzieci pustyni, gdy zstąpią na pochyłość prowadzącą do upadku.

Ojciec wiedział dobrze czém była jego córka, ale milczał. Na cóż próżne wyrazy? one nie przemienią szkła w dyament; a zresztą w przekonaniu handlarza taki stan rzeczy nie był bez pewnych materyalnych korzyści.

Poznawszy tę zacną rodzinę, przestąpimy wraz z panem Karolem M*** progi jéj domowego przybytku.

— Oto jest mój nowy prykazczyk,—rzecze Gubanow, wszedłszy ze swoim pomocnikiem do izby:—żądam żebyście miały dla niego względy, poważanie, dobrze go karmiły, i uważały za członka familii.

Staruszka zlazła z pałaty, podeszła do nowoprzybyłego, obejrzała go ze wszech stron przygasłém okiem, i oddaliła się do swego legowiska mrucząc:

— Prykazczyk, na co?... Alboż nie dosyć swoich gęb mamy do żywienia, żeby jeszcze cudzych ludzi z końca świata sprowadzać... Objé nas ze szczętem.

— Cicho babo, nie warcz!—krzyknął kupiec — a nie rachuj kawałków mięsa, które będzie kładł do gęby, jak to macie zwyczaj czynić. Ja nie lubię żeby moi ludzie cierpieli głód.

Masza zajęta przędzeniem, spojrzała na nowo przybyłego swojemi jasnemi oczami, i zaczęła coś szeptać z kręcącą się po izbie ospowatą dziéwką; kupiec oddalił się do kramu — pan M*** usiadł smutnie na ławce.

Wstęp nie był zachęcającym.

— A umiész ty co przynajmniéj?—mruknęła z pałaty staruszka,—wiész jak się z końmi obchodzić, jak drzewa narąbać, jak siana w lesie nakosić: bo wy 'z cudzych stron przybysze, to zwykle do niczego tylko do jedzenia.

— Ja przyjęty zostałem na prykazczyka, nie za parobka.

— Prykazczyk! patrzajcie co jemu się zachciewa: może tylko w sklepie siedziéć, oszukiwać nas na sprzedaży, napychać się jadłem, i spać w pałacie?

— Zamknijcie raz przecie gębę mamo—przérwie Masza—nie należy od początku odstręczać młodego człowieka: może wszystko będzie dobrze. A teraz czas wziąść się do jedzenia.

Zastawiono miski z jadłem. Masza która w domowém gospodarstwie używała wszelkich prerogatyw samowładnego zwierszchnictwa, posadziła pana M*** przy sobie, nakładała mu na talérz najlepsze kawałki—słowem rozciągała nad nim opiekę, jakaby mogła dać otuchę znośnéj przyszłości nowoprzybyłemu, gdyby te względy nie miały innego źródła, niżeli spółczucie i litość.

Po skończonym obiedzie, pan M*** zastąpił kupca w kramie. Nauka sprzedaży nie była zbyt trudną: po kilku słowach objaśnienia danych przez Gubanowa, nowy prykazczyk pełnił swoje obowiązki z równą wprawą, jak gdyby przez całe swe życie nigdy nic innego nie czynił. Ceny nie ledwie podwójnie nałożone na towar przez handlarza, należało jeszcze przy zacenieniu podnieść, a potém spuszczając po kilka kopiejek, sprzedać jak się da najwyżéj. Kredyt dla miejscowych mieszkańców był zawsze otwartym; rzadko kto płacił gotówką, zapisywano tylko nazwisko dłużnika, a odebranie należności zostawiał sobie sam pryncypał.

W téj gałęzi przemysłu, nikim się on nie miał zwyczaju wyręczać.

Gdy nastał wieczór, zamknięto sklep, a kramarz wypro-

wadziwszy swego pomocnika na dwór przed drzwi domu, rozłożył na deskach wystawki siennik, i rzekł:

— Teraz czas udać się wam na spoczynek: wywczasować, a jutro rano wstać.

Pan M*** spojrzał na niego z zadziwieniem:

— Jakto? tu mam spać na dworze?

— A gdzież myśleliście? prykazczyk zawsze powinien pilnować sklepu: taki jest zwyczaj powszechny... Ale, zapomniałem dodać, nie należy spać bardzo twardo; złodzieje są przebiegli. A ot pistolet nabity: dobréj nocy.

Biédny młodzieniec przez całą noc oczów zmrużyć nie mógł: mróz silnie dokuczał, a chociaż go przykryto trzema kożuchami, nieprzyzwyczajenie do podobnego rodzaju noclegu, spędzało sen z klejących się od znużenia powiek.

Ale on dał sobie słowo cierpiéć, znosić wszystkie przykrości, i nigdy się nie użalać. Wszakże należało okupić małemi ofiarami tak świetny los jaki go spotkał, a którego mu powszechnie zazdroszczono.

Nie będę opisywał szczegółów pierwszych dni pobytu pana M*** u kramarza — podobne one były jeden do drugiego: przez cały dzień w sklepie, przez całą noc na mrózie; żył on aby żyć, mało mówił, wypełniał ściśle wszelkie polecenia swojego pryncypała, modlił się gorąco do Boga, a w cichości ducha posyłał myśl swą w odległe strony, gdzie żyła jego biédna, osierocona po stracie syna matka.

Do mrozu nocnego i niewygód powoli przywykł, gdyż konieczność może człowieka przyzwyczaić do wszystkiego— i byłby jeżeli nie zupełnie zadowolonym ze swego losu, to przynajmniéj spokojnym, gdyby nie jedna okoliczność wpływająca przeważnie na położenie jego w tym domu.

Wspomniałem o charakterze i obyczajach najstarszéj córki kramarza Maszy. Otóż przy takiém usposobieniu z jednéj strony, a wstręcie do wszystkiego co nizkie i plugawe z drugiéj, nie mogło nie przyjść do objaśnień, których skutkiem było óbrażenie miłości własnéj, zbyt dotąd łaskawéj dla niego piękności.

Czém się zaś staje obrażona miłość własna kobiéty, wiedzą

wszyscy. Syberyaczki nie stanowią pod tym względem wyjątku od ogólnéj reguły.

Odtąd zaczęto go systematycznie prześladować na każdym kroku, w każdéj chwili, przy każdéj sposobności. Naprzód próbowano oczernić jego charakter w oczach pryncypała, lecz przebiegły Gubanów wiedział czego się trzymać: znał on dobrze córkę, zrozumiał prawość swojego pomocnika, i nie dał wiary potwarzom. Widząc że to nie skutkuje, podrzucono tajemnie kilka łokci sukna pomiędzy manatki ofiary; a Masza zaprowadziwszy ojca w kąt izby gdzie była złożona chudoba biédaka, przedstawiła z tryumfującą miną ów przygotowany przez siebie „corpus delicti" jako dowód niesumienności nowego prykazczyka.

Gubanow wzruszył tylko ramionami, a potém zgromił surowo podstępną dziewczynę.

Wtedy nieubłagana nieprzyjaciołka widząc że wszystkie użyte sposoby w celu zaszkodzenia panu M*** w opinii kupca pozostają bez skutku, rozpoczęła ową wojnę podjazdową, ciągłą, bezprzestanną, niedającą chwili wytchnienia.

Zaledwie młody człowiek ukończywszy ranne zajęcia, przybył do izby na śniadanie, sypnęły się przekąsy, wydrwiwania, grubiańskie szyderstwa, skierowane już to do jego podartego odzienia, już wreszcie do zbytniego niby apetytu.

— Ten żarłok nas ogłodzi — patrz no Paraskowija, już czwarty kawałek mięsa pakuje do gęby; lepiéj by go umieścić w chlewie, i dawać pomyje jak trzodzie.

Stara matka leżąca wiecznie na pałacie, i przytakująca we wszystkiém swéj córce, wtorowała niby odzywające się z góry echo tém prześladowaniem.

— Słusznie mówisz Masza—objé nas ze szczętem.

Małe dziewczynki podmówione przez siostrę, przynosiły wywleczone z kątów stare kości, i podawały mu różne ochłapy, mówiąc:

— Na, masz!... może i to zjész także?

Paraskowija śmiała się do rozpuku z tyle dowcipnych żarcików.

Innym znów razem zniszczony długą podróżą chałat pana M***, stawał się celem przekąsów.

— Co to za wstyd,—mówiła Masza—takiego oberwańca trzymać w domu: i to chce być prykazczykiem! Lepiéj by jemu wziąść kij, torbę, chodzić od chaty do chaty i wołać płaczliwym głosem: „matuszki, batiuszki, sotworitie światuju miłost'.“

— Jeszcze nas zaplugawi robactwem,—odzywał się głos staruszki z pałaty.

A małe dziewczęta wtykały prześladowanemu kawałki papieru lub drzazgi drzewa w rękę, mówiąc:

— Masz grosz dziadku — pokłoń się za nas świętym ikonom!

Paraskowija kładła się na ławce od śmiéchu.

Biédny młodzieniec, ofiara tych prześladowań, cierpiał i milczał. Czasami tylko gdy szyderstwa i grubiaństwa dochodziły do najwyższego stopnia, spojrzał mimowolnie na wiszący w końcu izby obrazek niekształtnie malowany, a przedstawiający Józefa i Putyfarę. I on podobnie jak ulubieniec Faraona, prześladowany był za niewinność i cnotę.

Zawzięta w swéj nienawiści Masza, widząc, że wszystkie jéj pociski obijają się o skałę obojętności, wziętéj przez nią na tortury ofiary, zajęła się wyszukaniem innego punktu wyjścia, jakiéj słabéj strony w którą by mogła ugodzić ze skutkiem.

Po wielu bezskutecznych usiłowaniach, trafiła wreszcie na miejsce drażliwe, domacała się niezagojonéj jeszcze rany.

Cała jego przeszłość, nawet uczucie czystéj synowskiéj miłości, jakie zachował w sercu swém dla nieszczęśliwéj osamotnionéj matki, nie znalazło politowania w rozbestwionéj wściekłości téj jędzy.

Młody człowiek dotknięty do żywego, podniósł głos oburzenia: powstał krzyk, wrzask, zamięszanie: Masza i Paraskowija chwyciły za szczapy, pan M*** za kij — staruszka jęła wołać o pomoc, przybył sam kupiec, a zbadawszy o co rzecz idzie, wyłajał córkę, wybił służącą, pogroził żonie, i zaprowadził chwilowy porządek. Ale pan M*** czuł bardzo dobrze, że tak daléj być nie może; wiedział z doświadczenia, że z oddaleniem się pryncypała, powstrzymane na czas niejaki prześladowania wybuchną znowu z podwójną wściekłością.

Gubanow mając sobie przedstawioną rzecz całą, zastanowił się głęboko, i rzekł:

— Niéma na to innego sposobu, tylko muszę zmienić wasze zajęcia. Odtąd będziecie jeździli ze mną dla zakupu towarów, i dopomagać mi w handlu po wioskach.

Młody człowiek przyjął z radością powyższą propozycyę: onby przystał na wszystko, aby tylko mógł oddalić się od domowego piekła, w które popadł tak niefortunnie.

Odtąd zaczęło się dla niego nowe życie: życie ciągłéj pracy, niewygód i trudów. Cały dzień na mrozie, często bez posiłku—spać musiał na saniach, odpowiadać za wszystko: za uszkodzenie towaru, za zdrowie koni, za bezpieczeństwo przed złodziejami, za życie pijanego częstokroć pryncypała.

Ale nigdy nie narzekał.

Kramarz, widząc jego wytrwałość i cierpliwość, coraz więcéj od niego wymagał. Gdy podróż po wioskach nie miała miejsca, pod pozorem oddalenia od ogniska swarów domowych, używał go do najcięższych robót. Musiał w miejsce odprawionego parobka jeździć po drzewo, po siano, po wodę—drwa rąbać, zboże młócić.

Mijały miesiące, kwartały, pan M*** upadał w pracy; a przecież o należnéj za podjęte trudy zapłacie, nigdy mowy nie było.

Jeżeli napomknął kiedy o swoich potrzebach—przebiegły spekulant odpowiadał nieodmiennie:

— Czegóż chcecie: butów? kożucha?... ja wam tego wszystkiego mogę na jakiś czas pożyczyć. Gotówki nie daję bo i na cóż wam piéniądze, kiedy macie wszystko? rozeszłyby się one tylko pomiędzy ludzi, i niczegobyście wychodząc odemnie nie posiadali. Bądźcie jednak pewni, że ja umiem ocenić takich ludzi jak wy, i że przy rozstaniu się naszém, szczodrze was wynagrodzę.

Nie było co mówić — pan M*** pracował daléj, a kupiec śmiał się w duchu z jego łatwowierności.

U Gubanowa znajdowało się jeszcze jedno indywiduum, o którém zapomnieliśmy nadmienić. Był to staruszek cichy, ksromny, mało mówiący i zawsze ponury. Przed laty wy-

cierał się podobno po różnych gminnych urzędach i asesorskich kancelaryach, lecz wszędzie go wypędzano z powodu zakorzeniałego nałogu pijaństwa. Tak upłynęło całe jego życie, a gdy przyszła starość, ujrzał się bez kawałka chleba, w dziurawym i połatanym surducie, który stanowił całe wspomnienie administracyjnéj jego przeszłości. Długa praktyka czynności pisarskich sprawiła, że się wprawił znakomicie w kaligrafią. Umiał on wypisywać tytuły áktów z różnemi esami i floresami, cieniować początkowe litery, i naśladować wszelkie rodzaje pisma z niezwykłą dokładnością. Tak wysoko posunięta kaligrafia sprawiła, że w Syberyi uchodził za uczonego. Od dwóch lat przeszło, kramarz przyjął go do swego domu, żywił, przyodziéwał; i nietylko nie dawał mu żadnéj roboty, ale okązywał się nader względnym na jego nałóg. Dwa razy w tydzień przynosił mu sam kilka sztofów wódki, zamykał na klucz w stancyjce pod strychem, a starowina spijał się tam do upadłego. Gdy wytrzeźwiał, wypuszczano go na wolność, a wtedy już pod żadnym pozorem nie wziął do ust kieliszka wódki. Gubanow mówił, że ten starzec jest jego dalekim krewnym, że go przyjął z miłosierdzia, ale zawsze niechętnie dotykał w rozmowie tego przedmiotu.

Jak już wyżéj powiedziałem, upływały tygodnie i miesiące, a prykazczyk do najcięższych używany posług, wolał znosić największe trudy, niżeli powrócić do pierwotnego położenia.

Pomimo nawału zatrudnień, ktoremi był ciągle od świtu do ciemnéj nocy zarzuconym, mieszkając tak długo w domu kramarza, niepodobna mu było nie zwrócić mimowolnie uwagi, na pewne okoliczności, jakich sobie w żaden sposób wytłumaczyć nie umiał.

I tak naprzykład uważał, że milczący staruszek zamykał się częstokroć po całych godzinach z Gubanowem, który w takich chwilach nikogo nie przyjmował, nawet dłużników z pieniędzmi przychodzących.

Okoliczność powyższa zastanowiła go nadzwyczajnie.

Czasami w nocy, gdy silniejszy jak zwykle mróz spędził sen z jego powiek, ujrzał błyszczące światełko, przedziéra-

jące się przez szpary okiennicy małéj izdebki, którą tajemniczy człowiek miał przeznaczoną na mieszkanie.

Widocznie staruszek, który napozór nie zajmował się niczém, miał sobie powierzone jakieś ważne zatrudnienia.

Pan M*** nielubiący w ogóle mieszać się do cudzych interesów, nie starał się nigdy zgłębić owéj zagadki, i zapewne do końca bytności swojéj u kramarza, nie byłby poznał tajemniczéj strony jego życia, gdyby tenże swojém postępowaniem nie nadał sam nowego obrotu wypadkom.

Gubanow od niejakiego czasu, starał się widocznie ująć swojego prykazczyka. Wprawdzie położenie biédaka nie polepszyło się bynajmniéj, bo Syberyjczyk gdy pragnie kogo zobowiązać, szczodrym jest tylko w słowach i zapewnieniach; żadne jednak względy nie są w stanie zniewolić go do udzielenia pomocy, do osłodzenia przykrego położenia, do wypuszczenia z ręki miłego grosza. Młodzieniec męczył się jak przedtém w ciężkiéj pracy: woził siano, rąbał drzewo, oprzątał konie i bydło, sypiał na dworze—a różnica jaka zaszła we wzajemnych ich stosunkach, zależała jedynie na tém, że kupiec coraz więcéj wychwalał jego uczciwość, trzeźwość i dobre prowadzenie się.

On zaś uszczęśliwiony z podobnego usposobienia pryncypała, brał się z podwójną usilnością do roboty, nie przeczuwając, że taktyka ta miała swój cel tajemny.

I rzeczy były na tym stopniu, kiedy pewnego poranku Gubanow wezwał swojego pomocnika do siebie.

— Karol Leopoldowicz,—rzekł do wchodzącego: od kilku miesięcy uważam wasze postępowanie. Jesteście człowiekiem prawym i uczciwym—a takich ludzi bardzo mało jest u nas.

Pan M*** skłonił się tylko w milczeniu.

— Roboty, któremi dotąd u mnie zajmowaliście się, nie są dla was stosownemi; przyszedł czas dać wam dowód nieograniczonego zaufania, jakie w rzetelności waszéj pokładam. Jako człowiek prosty i szczery, nielubiący fałszu i wykrętów, przystępuję bez ogródki do rzeczy. Dotąd nie mogąc rachować na nikogo, uskuteczniałem sam liczne wypłaty w moim handlu; dziś na was tę czynność zdaję: bę-

dziecie więcéj jak prostym prykazczykiem, będziecie moim kasyerem. Oto jest rubli srebrem 300,—dodał wyjmując spory pakiet nowych zupełnie papiérów bankowych,—pojedziecie o ośmdziesiąt wiorst ztąd do jurt inorodców, i wypłacicie Tatarom, których nazwiska tu wypisałem, należność za wzięte przezemnie skóry i wojłoki. Weźcie nadto i tę formę pokwitowania, jakie odebrać się wam od nich należy.

Pan M*** oniemiał z zadziwienia.

Czyliż to podobna? Kupiec, który nikomu na świecie nie wierzył gdy szło o pieniądze, który niespokojnym był gdy chodziło o jedną kopiejkę, wysuwającą się z pod jego podejrzliwéj kontroli, mógłże względem niego jednego zmienić tak nagle sposób postępowania?

To było nienaturalném.

— Dziękuję wam za położone we mnie zaufanie,—odrzekł po chwili,—ale podjąć się téj wypłaty nie mogę.

— A to dla czego?—zapytał kupiec z widoczném niezadowoleniem.

— Bo zbyt wielką na mnie kładziecie odpowiedzialność. Gdybym tę summę przypadkiem zgubił, lub gdyby mi ją ukradziono, nie byłbym nigdy w stanie wypłacić się wam.

— Niech taka drobnostka was nie odstręcza. Mam przekonanie, że będziecie się starali wszelkiemi siłami ochronić mnie od szkody; gdyby jednak pomimo całéj waszéj ostrożności, nastąpiło to czego się obawiacie, to i w takim razie ani odpowiadać będziecie za mimowolną stratę, ani téż stosunki życzliwości jakie pomiędzy nami istnieją, nie doznają żadnéj zmiany.

Tu już zadziwienie jakiego doznał pan M*** przeszło wszelkie granice.

Znając od tylu miesięcy kramarza, zbadawszy jego podejrzliwość we wszystkiém, jego przesadzoną ostrożność na każdym kroku, nie mógł pojąć ani zrozumiéć tego nagłego przeskoku z śmiesznéj częstokroć nieufności do nieograniczonego zaufania.

Przypomniał sobie, że przed kilkoma jeszcze dniami, gdy przy porachunku należności za sprzedane towary, zaszła

pomyłka o pięć kopiejek — podejrzliwy kramarz nie dał mu chwili spokojności: badał, rachował na szczotach — znowu badał, znowu rachował; i nie pozwolił udać się na spoczynek, aż wtedy, gdy zakwestyonowane miedziaki, znalazły się w skórzanym trzosie Gubanowa, gdzie je sam poprzednio przez roztargnienie włożył.

Zkądże tak nagła przemiana?

Nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego co zaszło, pan M*** jeszcze raz i to stanowczo odmówił, niezważając na wzrastające niezadowolenie pryncypała.

Pozostawszy sam ze swojemi myślami, zaczął zastanawiać się nad tém wszystkiém. Jakaś nieokréślona obawa ogarnęła jego umysł. Czuł on instynktowo, że to co go spotkało jest nienaturalném, a ta nienaturalność właśnie, któréj w żaden sposób ani określić, ani zrozumiéć nie umiał—niepokoiła go. Przyszła mu na myśl tajemnicza postać i zagadkowe położenie staruszka, owa niewytłumaczona uległość jakiéj Gubanow, względem tego niczém na pozór nie zajmującego się człowieka, dawał dowody — i zapytał sam siebie, czyli te rozmaite okoliczności nie mają pomiędzy sobą jakiego związku.

Powodowany nie tyle prostą ciekawością, jak raczéj chęcią wyjścia z dwuznacznego położenia, postanowił zgłębić tę tajemnicę.

Gdy raz wstąpił na drogę obserwacyi, wszystkie szczegóły na pozór nic nie znaczące, niepojęte prawie, uderzyły jego umysł, przekonywając o istnieniu jakiéjś tajemnicy, którą przed nim starano się ukrywać. Były to wprawdzie drobnostki: jedno znaczące spojrzenie wymienione pomiędzy staruszkiem a kupcem, jeden cichy szept lub znak niezrozumiały; ale wszystko to razem wzięte, grupowało się w rozbudzonéj podejrzeniem wyobraźni, tworząc najróżnorodniejsze domysły.

Kilka tygodni tak minęło, a postać rzeczy nieulegała żadnéj zmianie. Pan M*** oddając się z podwójną usilnością nałożonéj na niego ciężkiéj pracy, chciał odzyskać dawną spokojność, lecz to było niepodobieństwem. Wzbudzone podejrzenie wprowadziło go w jakiś stan gorączkowy: ludzie

z którymi przymuszony był miéć ciągłe stosunki, stali się dla niego nieznośnymi, trudy i praca niewdzięczną, a atmosfera w jakiéj żyć mu przyszło ciężką i duszącą.

Nie wiem już do czegoby go taki stan doprowadził, gdyby nie zaszedł wypadek, nadający inny obrót całej postaci rzeczy.

Pewnego wieczora, pan M*** pomimo utrudzenia nie mógł długo usnąć. W położeniu w jakiém się znajdował, podobna bezsenność była stanem bardzo naturalnym. Wszyscy nieszczęśliwi znają dobrze wartość owego orzeźwiającego duszę spoczynku, pozwalającego zapomniéć na chwilę o troskach i cierpieniach codziennego życia; ale jakże trudno częstokroć znaléźć w senném zapomnieniu pociechę temu, kto ma ciągle na myśli i swoje i drugich nieszczęścia!... Nadto pan M*** oprócz moralnych powodów, cierpiał jeszcze i fizyczne dolegliwości: ostry, mroźny wiatr dokuczał niemiłosiernie, a płaty śniegu niesione zawieją, obsypywały co chwila twarz jego zimnym całunem.

Gdy tak leżał na schodach wystawki domu kramarza, którego majątku i bezpieczeństwa zmuszony był niby pies domowy pilnować — zdawało mu się, że słyszy jakiś szmer w wozowni. Szmer ten zrazu niewyraźny, pomięszany z świstem nocnego wichru, coraz lepiéj, w miarę natężenia słuchu, dał się rozeznawać.

W wozowni stały upakowane sanie, któremi Gubanow miał nazajutrz udać się w podróż za kupnem towarów.

Myśl że do tych sani zakradli się złodzieje, uderzyła go na wstępie — opatrzywszy więc pistolety, które miał zawsze w nocy pod ręką, podkradł się cicho pod ściany budynku.

Przez szczeliny wrót przezierało małe światełko.

Pan M*** przyłożył oko do szpary, i starał się zobaczyć co się tam dzieje.

Z początku bladość światła wychodzącego z zakopconéj latarki, nie pozwoliła mu rozróżnić przedmiotów; wkrótce jednak, przyzwyczaiwszy stopniowo wzrok do panujących tamże półcieni, ujrzał dwie postacie ludzkie nachylone nad powózką.

Już miał nagle otworzyć wrota, od których klucz posiadał, i rzucić się z bronią w ręku na mniemanych złoczyńców, gdy jeden z nich wyrzekł cichym głosem kilka słów do swojego towarzysza.

Na dźwięk tego głosu, ręka młodego człowieka opadła bezwładnie ku ziemi.

Był to głos jego pryncypała... Gubanowa!

— Dobrze,—rzekł kramarz:—wszystko jest w porządku. Myśl to wcale niezła umieścić papiery w takiém miejscu, że na przypadek rewizyi można się wyprzéć ich posiadania, i powiedziéć że one zostały podrzucone.

— Zawsze lepszą była pierwsza myśl wasza,—odezwał się z cicha znajdujący się z kupcem człowiek.

Pan M*** poznał w nim zagadkowego starca.

— Tak jest, ale ten głupiec nie chciał na żaden sposób podjąć się wypłaty.

— Może się czego domyśla?

— Bynajmniéj, uczynił to z przesadzonéj uczciwości. Każdy inny byłby przyjął propozycyę; bardzoby mnie ucieszyło, gdyby się przytem trochę i obłowił bumażkami.

— Rozumiem, wtedy byłby naszym.

— I tak, prędzéj czy późniéj musi być w ten interes wmieszanym. Mam swój plan. Na przypadek rewizyi włożę maszynkę i farby pomiędzy jego manatki, i tym sposobem albo będzie musiał odpowiadać za wszystko, albo téż, i to rzecz pewniejsza, bogaci jego współtowarzysze złożą się na wykupienie kolegi.

— Wybornie pomyślane.

— Od czego głowa. Ale byłbym zapomniał spytać, gdzie ukryłeś maszynkę i farby?

— Od ogrodu, pod podwaliną ściany, w rogu przytykającym do stajni.

— Miejsce niebezpieczne.

— Niéma innego, w izbie tego trzymać niepodobna.

— Niech i tak będzie, zresztą za powrotem moim obmyślę inną kryjówkę.

Wyrzekłszy te słowa, Gubanow wraz ze swoim towa-

rzyszem wyszli z wozowni małemi drzwiczkami, łączącemi ten budynek z domem mieszkalnym.

Biédny prykazczyk, powróciwszy na schody wystawki, położył się na swém twardém posłaniu, lecz nie mógł już przez resztę nocy oczów zmrużyć.

W istocie miał wiele do myślenia!

Z rozmowy powyższéj widział, że mu grozi jakieś niebezpieczeństwo, ale jakiego rodzaju ono być mogło, w żaden sposób odgadnąć nie zdołał. Czuł się w położeniu owadu, otoczonego dokoła wiotką napozór siecią pajęczą, tamującą jego ruchy, oddzielającą go od reszty świata, zagrażającą utratą życia, a przecież zaledwie dojrzaną okiem.

Jak się wyplątać z owéj sieci, jakiemi środkami uniknąć ukrytego ciosu? Myśląc tak i dumając, przypomniał sobie wyrazy wyrzeczone przez tajemniczego starca:

„Od ogrodu, pod podwaliną domu, w rogu przytykającym do stajni.“

Nie należało wahać się; w ostatecznościach trzeba działać szybko, chcąc uprzedzić wypadki.

Od postanowienia do uczynku niedaleko. Nasz młody znajomy zerwał się ze swego miejsca; a podszedłszy najprzód cichym krokiem pod okno mieszkania kupca, a następnie pod drzwi izdebki, zajmowanéj przez jego starego wspólnika, przekonał się że oba, znużeni nocną wycieczką do wozowni, spali tak twardym snem, jakim śpią zwykle ludzie cnotliwi i syberyjscy zbrodniarze, nieznający czém są wyrzuty sumienia.

Gdyby miał w tym względzie najmniejszą wątpliwość, to głośne chrapanie, które w obudwóch izbach usłyszał, byłoby dostateczném dla przekonania go o niemożliwości przeszkody z téj strony.

Nabrawszy pewności, że ani kramarz, ani jego przyjaciel nie obudzą się tak prędko, wyszukał żelaza do rozłamywania lodu służącego, i poszedł na miejsce wspomnione w rozmowie.

W ogrodzie przy węgle domu przytykającego do stajni

usiadł na ziemi, i zaczął powoli rozgrzebywać śnieg. Śniég w tém miejscu był miękki i niezupełnie zmarznięty, widocznie niedawno go poruszono.

Po półgodzinnych usiłowaniach natrafił na przedmiot twardy: była to niewielka drewniana skrzyneczka.

Wyjąwszy ją ostrożnie z pod warstwy śniegu, uniósł ze sobą, i obwinąwszy starannie w kożuch, ukrył pod schodami wystawki.

Nazajutrz gdy kupiec wyjechał, a wszyscy w domu jeszcze spali, pobiegł do gaju sosnowego, znajdującego się opodal wioski, z tajemnym przedmiotem pod pachą.

Zaczęło świtać.

Z bijącém od wewnętrznego wzruszenia sercem, podjął drżącemi rękami wieko skrzyneczki..

Wewnątrz niéj znajdowały się farby, pędzelki, pieczęcie, czcionki drukarskie, i żelaza podobne formom kucharskim do robienia wafli służącym; niektóre z czcionek złożone były w parę słów i ściśnięte w śrubach.

Pan M*** zabrał się do przeczytania tych wyrazów.

Były one następujące:

„*Jeden rubel srébrem.*“

„*Pięć rubli srebrem.*“

„*Dziesięć rubli srébrem.*“

W jednéj chwili tajemnicza zasłona spadła z oczu młodego człowieka; niepojęta dotąd zagadka rozwiązała się, a ohydna, odrażająca rzeczywistość, stanęła przed nim w całéj swojéj nagości.

On żył pomiędzy fałszerzami biletów bankowych!

Przypomniał sobie wszystkie okoliczności, których dotąd pojąć nie zdołał.

Dając mu polecenie wypłacenia Tatarom znacznéj summy pieniędzy fałszywemi biletami, chciano go bezwiednie zaciągnąć do zbrodni, zrobić wspólnikiem podłości; a w razie wykrycia występku, zwalić na nieszczęśliwego cały ciężar hańby, potępienia i zasłużonéj kary.

Na tę straszną myśl zadrżał jak człowiek, który idąc na oślep przez nieznane manowce, widzi nagle odkrywającą się pod jego stopami bezdenną przepaść.

Jeden krok daléj, a wszystko stracone.

Następne wypadki łatwo przewidzióć.

Korzystając z pory, w któréj wszyscy mieszkańcy wioski pogrążeni byli jeszcze w spoczynku, pan M*** powrócił, a zakopawszy znowu w tém samém miejscu szkatułkę, czekał z niecierpliwością przyjazdu kupca.

W kilka dni potém przybył Gubanow w wybornym humorze; widocznie operacya rozpuszczenia w obieg fałszywych banknotów pomyślny wzięła obrót.

Widząc pryncypała tak dobrze usposobionego, przedstawił mu że ciężka praca, równie jak spanie na dworze, wywierając coraz szkodliwszy wpływ na jego zdrowie, stają się powodem iż on, jakkolwiek z żalem w sercu, zmuszony jest prosić go o uwolnienie od obowiązków.

W pierwszéj chwili kramarz próbował odwieść swego pomocnika od tego przedsięwzięcia; gdy jednak poznał, że zamiar ten jest stanowczym, gdy nadto lekkie mrugnięcie oczów starego wspólnika dało mu uczuć całą niewłaściwość dalszych nalegań, przystał na wszystko.

— Karol Leopoldowicz,—rzekł poważnym głosem,—służyliście mi wiernie i uczciwie przez pół roku blizko; ażeby więc dać wam dowód, że i w Syberyi umieją ocenić pracę i prawość charakteru, żegnam was nietylko dobrém słowem, ale i stosownem wynagrodzeniem. Oto są pieniądze, które was postawią w możności zaspokojenia waszych potrzeb, aż do czasu znalezienia nowego zajęcia.

Powiedziawszy te słowa, wspaniałomyślny kupiec wręczył młodemu człowiekowi z miną tryumfującą... trzy ruble srebrem!

. . . .

Niejeden z czytelników moich, doczytawszy do tego miejsca, pomyśli sobie w duchu—resztę nie trudno odgadnąć: bilet trzechrublowy był naturalnie fałszywym, pan M*** przedstawił go najbliższéj władzy, kramarza przyaresztowano, okuto w kajdany—jednóm słowem cnota tryumfuje, występek odnosi zasłużoną karę, i wszystko odbywa się podług przyjętéj powszechnie normy. Takieby niezawodnie powinno być zakończenie romansu lub powieści, ale na nieszczęście

to co piszę nie jest powieścią, lecz szczegółem wyjętym z rzeczywistego życia. W rzeczywistém zaś życiu, zbrodniarz czyniący złe bez celu, jest nader rzadkim wyjątkiem. Gubanow pragnął zgubić swojego prykazczyka, gdy sądził, iż tym sposobem sam siebie od odpowiedzialności zasłoni — kiedy jednak wplątanie młodego człowieka w tę sprawę, nie mogło już mu przynieść żadnego pożytku, nie tylko nie uczynił tego, ale jeszcze obdarzył wiernego sługę niefałszowanym biletem bankowym.

Wprawdzie skąpe to było wynagrodzenie za sześć miesięcy pracy, trudów, znojów i niewywczasu, ale czyliż człowiek cudem ocalony od oczywistéj zguby, rachuje kiedykolwiek stracone korzyści?

Pan M*** więc szczęśliwy z uniknięcia grożącego mu niebezpieczeństwa, poszedł gdzieindziéj szukać kawałka chleba, a Arkadi Saicz Gubanow żył daléj, rozszerzając stopniowo swoje operacye i gromadząc coraz większe kapitały.

TAJEMNICA WŁOŚCIANKI.

Około step granicząćych z Mongoliją Chińską, u podnóża gór Sajańskich, znajduje się obszerna wieś zaludniona przez włościan którzy się dobrowolnie przesiedlili z gubernij Wiatskiéj i Permskiéj. O nazwie wsi téj, z powodu iż osoby działające w małym dramacie jaki mam zamiar skreślić żyją jeszcze, zamilczę; powiem tylko że nawet pośród niebotycznych Alp Szwajcaryi i w rozkosznych dolinach Pireneów trudno znaleźć podobnie zachwycające widoki. W prawdzie i w tym najbardziéj na południe Syberyi posuniętym punkcie, którego szerokość geograficzna odpowiada położeniu Warszawy, skąpa w udzielaniu swych skarbów natura daje tylko trzy miesiące lata, ażeby przez resztę roku zagrzebać wszystko w grubéj powłoce śniegu i lodów; ale ów krótki period życia tchnie takim blaskiem, wdziękiem i organicznym ruchem, iż człowiek patrząc na jasny błękit nieba, wdychając w pierś rozkoszną woń roślin, zapomina częstokroć jak ograniczonym jest czas trwania kilku chwil jego swobody.

Mieszkając we wspomnionéj wiosce, pragnąłem z nastaniem lata, wynagrodzić sobie długie przymusowe zamknięcie w ciasnéj i dusznéj izdebce; każdego więc dnia zaledwie słońce wzniosło się na widokrąg niebios, przewiesiwszy fuzyę i blaszanną puszkę przez plecy, udawałem się w góry dla polowania i herboryzacyi. Położenie téj miejscowości pozbawionéj wszelkiéj komunikacyi było takie, iż jedna nader wązka drożyna prowadząca na włościańskie pola, przerzynała ją od krańca do krańca; z konieczności więc wracając wieczorem z moich myśliwskich i botanicznych wycieczek kierowałem tamtędy swe kroki. Na skraju wsi stał nie wielki domek otoczony malutkim ogródkiem: domek ten choć biédny i niepozorny miał powiérszchowność wesołą, a ogródek snadź pracowitą pielęgnowany ręką, przyjemny dla oka przedstawiał widok. Obok starannie utrzymywanych grządek kapusty, marchwi i innych jarzyn, kwitły zwoje maków, maku i lewkonii; a w samym środku darniowa ławeczka ocieniona kląbami bzów i czeremchy, dopełniała ogólnéj harmonii pełnego prostoty obrazu.

Wpośród téj wsi, w któréj niemal cała ludność jako do świeżych należąca przybyszów (*) niedbała wcale o upiększenie swych siedzib, gdzie domy najzamożniejszych nawet włościan, brudne, odrapane, z pokrzywionemi dachami, dawały miarę jak mało w ogóle troszczono się o powierszchowną formę, widok téj biednéj tak wdzięcznie przedstawiającéj się chatki, uprzedzał korzystnie na wstępie o jéj mieszkańcach.

Ile razy powracałem z moich codziennych wycieczek, nie mogłem wstrzymać się ażeby nie rzucić okiem, na to rozkoszne i ciche ustronie. Przed progiem domku z kądzielą

(*) O ile rodowici Syberyjczycy lubują się w powierzchownem ozdabianiu swych mieszkań, o tyle znowu przesiedlający się koloniści, szczególnie z Permskiéj i Wiatskiéj gubernii, najmniejszéj do tego nie okazują chęci. Niedbałość ta jednakże jest cechą samychże emigrantów; następne bowiem pokolenia przyjmując wszystkie obyczaje miescowe, naśladują w troskliwości o utrzymanie domowych zagród, ogólne zamiłowanie. (*Przyp. aut.*).

w ręku, siadywała kobieta już nie młoda, lat czterdziestu kilku, a obok niéj znajdował się jedynastoletni chłopak, zajęty najczęściéj jaką ciężką mechaniczną pracą: to rąbaniem drzewa, to noszeniem wody, to wreszcie zganianiem bydła do poblizkiéj obory.

Kobieta ta pozdrawiała mnie zawsze przyjętą w Syberyi formułką: „putiem dorożku" (po drodze); a ja jéj odpowiadałem nieodmiennie stereotypową, używaną przy spotkaniach z nieznajomemi odpowiedzą: „i wam po tojże", (i wam po niéj). Na wymienianiu tego konwencyonalnego, a żadnego rzeczywiście nie mającego znaczenia frazesu, kończyły się nasze stosunki.

Tak minął piérwszy miesiąc lata. Nastały do tego stopnia silne upały, że chcąc korzystać z przechadzek, zmuszony byłem tylko świtem i wieczorami wychodzić z domu, a środkowe godziny dnia przepędzać pomiędzy czterema ścianami mojéj izdebki. Tym więc sposobem podwoiwszy wycieczki w góry, częściéj jeszcze przechodziłem około wspomnionego domku.

Zamieszkująca go kobiéta równie jak znajdujący się przy niéj chłopaczek, ciągle zajęci byli jakąś pracą domową: raz ich widziałem pełłących ogródek i polewających kwiaty, drugi raz krzątających się koło bydła, czasem naprawiających siecie i węcierze; nigdy jednak za przykładem innych włościan nie udawali się w pole, ani téż żadnych w gościnę sąsiadów nieprzyjmowali.

Ktokolwiek pomyśli jakiem jest życie w rzuconéj wśród nieżmiernych step wiosce, niemającéj z resztą żyjącego świata żadnéj komunikacyi, ten zrozumie że najdrobniejsze na pozór zdarzenie, na któreby w innych warunkach bytu nikt z pewnością nie zwrócił uwagi, może zająć odrętwiały ciągłą stagnacyą umysł. Schludność tego domku, spokojne zatrudnienia téj kobiéty i tego dziecka, tak różne od hałaśliwego i hulaszczego usposobienia innych włościan, a wreszcie coś nieokreślonego, ów że się tak wyrażę wrodzony instynkt badacza charakterów ludzkich, mówiły mi że pod tą skromną zagrodą tkwi jakaś straszna tajemnica, jedna z owych zagadek których poznanie pomaga częstokroć do

rozjaśnienia ciemnych stron i błędów organizacyi społecznéj. Nie myślcie albowiem ażeby tylko wśród wiru cywilizowanego świata, w ruchliwym gwarze wielkich miast, wyśledzić można ujemne strony żywota człowieka, Czasami w najcichszym i najniepozorniejszym na pozór zakątku, znajdzie się klucz do roztrzygnięcia kwestyi związanych z dobrobytem i pomyślnością tysięcy nieszczęśliwych. Co mnie nadewszystko utwierdzało w mniemaniu, iż los kobiéty zamieszkującéj chatkę nacechowanym jest jakimsić złowieszczym faktem, jakimś okropnem wspomnieniem zatruwającem jéj życie, to ciągły smutek rozlany w jéj rysach. Daleka od zwykłéj gadatliwości innych syberyjskich włościánek, tyle chętnych do zawiązywania znajomości, nigdy oprócz wymiany konwencyonalnego pozdrowienia, nie rozpoczynała ze mną rozmowy. Pracowita, poważna w swych ruchach, zajęta ciągle około małego swojego gospodarstwa, zdawała się stronić od ludzi i szukać samotności; jedynem uczuciem wyrywającym ją z apatyi, w któréj zostawała pogrążona, było nieograniczone przywiązanie do swojego syna.

Kilkakrotnie powracając z codziennych wycieczek, widziałem ją trzymającą dziecko w objęciach i gorszko płaczącą. Wyniosłe pagórki, stanowiące odnogę pasma gór Sajańskich podbiegały pod samą wieś, tak że ja częstokroć mimowolnie zakryty nierównością gruntu, byłem świadkiem rzewnych i rozczulających objawów macierzyńskiéj miłości; a choć niemogłem dosłyszeć wymienionych wyrazów, zgadywałem iż one napiętnowane były tém gorącem uczuciem, jakie wyradza najczystsze rodzicielskie przywiązanie.

Jednéj tylko okoliczności zrozumieć nigdy nie mogłem. We wsi znajdowała się obszerna wiejska szkoła, do któréj prawie wszyscy włościanie posyłali swoje dzieci; dla czegóż więc ta matka zdająca się tak namiętnie kochać swego syna, niepomyślała nigdy o daniu mu choć elementarnego wychowania? Nie zdawała się być biedną: tłuste krówki pasące się na przyległéj łące, i stadko owiec które chłopiec każdego wieczora zaganiał do zagrody, okazywały względną zamożność; a zresztą opłacanie wiejskiego nauczyciela nie wiele kosztuje, mniéj uposażeni od niéj włościanie nie uchy-

lali się od tego obowiązku, dla czegóż ona nie chciała iść za ich przykładem?

Parę razy przechodząc około domku starałem się rozpocząć z nią dłuższą rozmowę, ale wszelkie moje usiłowania w téj mierze nie doprowadziły do pożądanego skutku. Na wszystkie moje zapytania odpowiadała z uszanowaniem, jakie w ogóle tamtejszy lud okazuje dla osób starszych wiekiem, ale nader krótko: wyraźnie starała się okazać, iż nie pragnie bliższéj ze mną zawrzeć znajomości. Dowiedziałem się tylko, że jako wdowa niezajmuje się uprawą roli, lecz środki utrzymania swojego czerpie w zawiadywaniu postojannym dworem (*). Jak już wyżéj powiedziałem żaden trakt przez wieś nieprzechodził; dwa lub trzy razy do roku przejeżdżał jaki administracyjny lub akcyzny urzędnik, i ten na bardzo krótko zajmował izdebkę w domu wdowy na powyższy cel przeznaczoną. Dochody więc właścicielki ograniczały się na kwocie, którą jéj gmina płaciła, ale dochody te aczkolwiek szczupłe, były dla skromnych jéj potrzeb aż nadto wystarczającemi. Wyjąwszy przytoczenia powyższych szczegółów, o jakich z resztą mógłbym się od piérwszego lepszego mieszkańca dowiedziéć, unikała starannie podniesienia wszelkiéj kwestyi osobiście ją dotyczącéj; a gdy pewnego razu widząc powracające dzieci ze szkoły, zapytałem ją dla czego będąc tak przywiązaną do jedynego swojego syna, pozwoli aby to dziecko w miejsce nauczyć się czytania i pisania, używanem było do posług domowych i grzebania ziemi w ogródku, wybuchnęła głośnym płaczem i schwyciwszy mnie za rękę zawołała łkając:

— Na miłość boską, nie wspominajcie nigdy o tém! Na

(*) Postojanny dwór, jest to jedna lub dwie izby najmowane przez zarząd gminy u którego z włościan, a służące do przyjęcia przejezdnych urzędników. Jakkolwiek utrzymujący postojanny dwór, obowiązany jest dostarczyć wszystkich potrzeb życia swoim gościom bezpłatnie, gdyż za to pobiera roczną pensyę od gminy, zwykle urzędnicy hojnie wynagradzają doznaną gościnność; dla tego téż im więcéj ich przyjeżdża, tym większych dochodów spodziewać się może gospodyni domu.

(*Przyp. aut.*).

samą wzmiankę o szkole, czuję jak gdyby mi kto serce nożem krajał.

Przeszedł jeszcze miesiąc, syberyjskie lato zbliżało się do końca. Bujna wegetacya która w tych stronach tak szybko postępuje, doszła do ostatecznego swego rozwoju. Opadające kwiaty, zżółknięte liście drzew, i więdniejące łodygi roślin, znamionowały tę porę tyle smutną przy przejściu z letniego życia, do zimowego odrętwienia śmierci. Cała prawie ludność osady wysypawszy się na obszerne pola, i zajęta zbieraniem całorocznych plonów, zapomniała na chwilę o zwykłych swoich śpiewach hulackich, i hałaśliwych zebraniach. Wioska przybrała pozór poważny, milczący, spokojny; w domku tylko wdowy codzienne zatrudnienia jéj mieszkańców żadnéj nie uległy zmianie. Ile razy przechodziłem tamtędy, zawsze widziałem matkę z synkiem zajętych jednemi i temi samemi czynnościami, które niby zegarkowym wywołane mechanizmem, powtarzały się w danych porach dnia z drobiazgową dokładnością.

Pewnego wieczora, powracając ze zwykłych swoich wycieczek do domu, zatrzymałem się na wzgórku panującym nad całą okolicą. Widok z téj wyniosłości aczkolwiek nie rozległy, był przecież nader pięknym. Z prawéj strony domy obszernéj wsi rozrzucone wśród doliny, przedstawiały się w nader malowniczych grupach; z lewéj rzeka Czułym szerokim płynąc korytem, dopełniała ogólnéj harmonii krajobrazu. Ostatnie promienie zachodzącego słońca ozłacając kopuły wyniosłéj cerkwi, i odbijając się w powierszchni wód, dodawały uroku wszystkim przedmiotom. Patrzyłem przed siebie, a myśl moja uniesiona na skrzydłach wyobraźni przeniosła mnie w inne światy, inne kraje..., gdy nagle jakiś gwar pomięszanych głosów, zwrócił moją uwagę. U podnoża pagórka na którym się znajdowałem, stanęła gromadka wiejskich dzieci powracających z pola i żywą zajętych rozmową. Byli to chłopcy różnego wieku: najstarszy z nich mógł mieć lat czternaście. Powód do ich zastanowienia się dał syn wdowy pędzący krówkę z przyległéj łąki.

— Patrzcie!—zawołał rudy chłopak, który o ile mogłem

sądzić wodził réj w téj małéj gromadce:—patrzcie, to głupi Igorko!

Dziecko nie odpowiedziawszy ani słowa na tę zaczepkę, szło daléj.

— Głupi bo głupi, nawet mówić nie umie,—dodał drugi.

— Z kądżeby wziął rozum, kiedy go niczego nie uczą, zakończył trzeci.

— Słuchaj ty mądralu,—odezwie się jeszcze rudy: stań i odpowiadaj kiedy do ciebie mówią.

— Ja was nie zaczepiam,—rzecze chłopczyna: dajcie mi pokój.

— Mało tego że niezaczepiasz!... Słyszycie go jaki hardy. To my ciebie zaczepiamy, rozumiesz?

— My chcemy poznać co umiesz.

— Czy znasz chociaż litery.

— Z kądżeby je znał, kiedy nie chodzi do szkoły?

— Musi je znać, a jeżeli niezna to my ich go wyuczymy.

I chłopaczki otoczyli zewsząd Igorkę, który wystraszony oglądał się na wszystkie strony, jak gdyby szukając drogi do odwrotu.

— Wiecie co?... Krzyknie ze złośliwym śmiechem czerwono-włosy przewodnik téj małéj bandy:—weźmiemy go na egzamen tak jak to robi nasz nauczyciel w szkółce; jeżeli nie będzie umiał odpowiadać, skóra w robocie.

— Ach dobrze! dobrze!—zawtórowali klaszcząc w ręce z radością malcy.

— Puście mnie do domu!..., wołało ze łzami w oczach przestraszone dziecko: mama moja będzie niespokojną...

— Powinna być raczéj wdzięczną nam, że się zajmujemy uczeniem takiego niedołęgi. No dáléj, gadaj: As, Buka Wiedi...

Biedny chłopak zanosił się od płaczu.

— Nie odpowiadasz, płaczesz — gdzie linija?... krzyknie jeszcze rudy prześladowca.

— Oto jest, panie profesorze!—odpowie jeden z jego towarzyszy wchodząc w przyjętą rolę, i podając improwizowanemu nauczycielowi spory pręt.

— Wyciągnij łapę gamoniu!

Głośne szlochanie Igorka służyło za jedyną odpowiedź.

— Nie chce się poddać zasłużonéj karze: daléj chłopcy rozciągnąć go na ławie!

Zaledwie powyższe wyrazy wymówionemi zostały, już dzieci całą gromadą rzuciły się na nieszczęśliwego Igorkę, i powaliwszy go na murawę jęły okładać silnemi razami.

Nie ma pomiędzy dorosłymi ludźmi tak okrutéj istoty jaką jest dziecko, szczególniéj z klas mniéj wykształconych pochodzące, kiedy zachęcone szkodliwym przykładem rozszaleje się w rozpustnéj zabawie. Nie pojmując złego które wyrządza, idzie na oślep za chwilowym popędem, a ten częstokroć doprowadzić może do najsmutniejszych ostateczności.

To samo i tu miało miejsce. Pomimo rozdzierającego krzyku ofiary wzywającéj na pomoc, uderzenia kijów i pięści gradem sypały się na plecy i głowę jęczącego z bólu chłopaka; i nim zdołałem zbiedz z góry, już nieszczęśliwy syn wdowy leżał prawie bez czucia na ziemi.

Na mój widok, mali prześladowcy uciekli pędem do wsi.

Przybliżyłem się do leżącego bezprzytomnie na ziemi Igorki: kilka siniaków pokrywało twarz jego. Dziecko to z natury było brzydkiem; ślady katastrofy jaka je przed chwilą spotkała powiększyły jeszcze ową wrodzoną szpetność. Okoliczność powyższa tém więcéj pobudziła moje współczucie, każde bowiem upośledzenie fizyczne niesłusznie prześladowanéj ofiary, podwoić tylko może litość nad dotykającem ją nieszczęściem. Przekonawszy się, że więcéj ból i przestrach niżeli wycieńczenie sił były przyczyną jego omdlenia, zaczerpnąłem wody w poblizkim strumyku, i namoczywszy skronie dziecka, ujrzałem je wracające do przytomności.

Chłopiec jął rzewnie płakać.

— To już nie piérwszy raz oni mnie tak biją,—mówił ze łzami:—a zawsze dla tego że nic nie umiem, że niechodzę z niemi do szkoły. Jabym chciał się uczyć: często proszę matki, ażeby mnie oddała nauczycielowi, ale ona ani słyszeć o tém niechce.

Uspokoiwszy dziecko jak mogłem, wziąłem je za rękę i odprowadziłem do domu.

Włościanka na widok zbitego syna, straciła zwykłą so-

bie zimną krew, i tuląc namiętnie go do piersi, zanosiła się od płaczu; następnie gdy jéj opowiedziałem wszystkie szczegóły tego zdarzenia, wybuchła gniewem grożąc zemstą, karą, sądami, w końcu zaś opuściła bezwładnie ręce ku ziemi, i siedziała tak nieruchomie szepcząc zaledwie dosłyszanym głosem:

— O ja nieszczęśliwa!

— Ani gniew, ani zemsta, ani rozpacz,—rzekłem,—do niczego was niedoprowadzą. Sąd nie uwzględni skargi na małoletnich; mścić się zaś na rodzicach za swawolę ich dzieci, jest rzeczą nie tylko niesprawiedliwą ale nawet niebezpieczną. Występując sama jedna przeciw całéj gromadzie, narazicie się tylko na tysiące nieprzyjemności. Jabym radził usunąć przyczynę zaczepek jakie spotykają Igorka od swoich rówienników, i posyłać go do szkoły, tak jak inni rodzice posyłają swoje dzieci.

Włościanka spojrzała na mnie z przerażeniem:

— Nigdy!... wy nie wiecie co mówicie.

— Owszem, ja mówię to co mi się zdaje być najlepszem; nawet dziecko wasze pragnie nauki.

— O tak!—zawołał malec:—oddaj mnie matko do szkoły.

— Szalony, on chce swojéj zguby!... a wiesz ty co to jest szkoła?

— O wiem: to jest duży dom w którym nauczyciel pokazuje jak czytać, pisać, i rachować. Nie bój się mateczko ja będę pilnym, prędko się wszystkiego nauczę, a wtedy drudzy nie będą mnie nazywać niedołęgą, nie będą bić tak jak teraz.

— Czy słyszycie? sama prawda przez jego usta mówi.

Zamyśliła się głęboko, a potem wstrząsnąwszy nagle głową, jakby chcąc odegnać jakąś myśl natrętną, zawołała z rozpaczą:

— Nie nigdy—dosyć jednego!

Po chwili jednakże rozdraźnienie wywołane tą smutną katastrofą ustąpiło miejsca rozwadze. Widocznie pragnęła coś powiedzieć, ale wahała się jeszcze; nakoniec przezwyciężając wstręt jaki podobne wyznanie w niéj obudziło, rzekła do mnie:

— Byliście zawsze dla mnie dobrym i łaskawym; dziś przybywając na pomoc temu biédactwu, ochroniliście je od dalszych katuszy, a może i od czegoś gorszego: od kalectwa lub choroby. Całem sercem wam za to wdzięczną jestem, i ażeby dowieść swojéj wdzięczności, powiem dla czego nie chcę syna oddać do szkoły. Jest to tajemnica mego życia: tajemnica straszna pomiędzy Bogiem a mną, któréj nikt dotąd nie znał, któréj oprócz was nikt nigdy znać nie będzie. Słuchajcie!

Oprócz Igorka którego tu widzicie, miałem jeszcze jednego syna o kilka lat starszego, imieniem Mikołaj. Owdowiawszy wcześnie, szukałam pociechy w przywiązaniu tych dzieci. Ci chłopcy w niczem nie byli do siebie podobni. Starszy Mikołaj miał charakter żywy, wesoły, otwarty, lecz przytem umysł jego tępo się rozwijał: paplał dużo, szalał jeszcze więcéj, lecz najprostszych rzeczy nie mógł nigdy zrozumieć, ani pamiętać. Młody Igorko z natury milczący, małomówny, posiadał szczególne zdolności; rzadko się odezwał, lecz gdy wyrzekł słowo, możnaby sądzić że je gdzie w książkach wyczytał. I powierszchowność dwóch braci różniła się zupełnie: piérwszy był piękny jak anioł, tak piękny że gdy go prowadziłam w niedzielę do cerkwi, ludzie zatrzymywali się mimowolnie na drodze, ażeby nań spójrzeć — drugi krępy, niezgrabny, ze swoim krótkim nosem i szeroką gębą, wyglądał jak istny niedźwiadek. Piękność jednego a brzydota drugiego, były powodem iż ich nie równo kochałam. Mikołaj miał wszystkie pieszczoty, pobłażania i wygody; Igorko nie słyszał odemnie nic więcéj prócz łajania, i to najczęściéj nieuzasadnionego. Byłam niesprawiedliwą, i Bóg mnie za ten błąd srogo ukarał. Ale słuchajcie daléj. Dla starszego marzyłam o świetnéj przyszłości, zdawało mi się nie podobna ażeby chłopiec tak przystojny, mógł chodzić za pługiem lub wyganiać bydło na łąki, chciałam go widzieć czemsić więcéj niżeli prostym włościaninem uprawiającym w pocie czoła twardą syberyjską ziemię; takie trudy i znoje dobremi były dla niezgrabnego o ciężkich ruchach i szpetnéj twarzy Igorka.

Jak tylko Mikołajek doszedł do lat odpowiednich, umieściłam go w szkole wiejskiéj, tworząc w myśli dalsze pro-

jekta o jego wychowaniu; drugi niezajmował mnie wcale— naprzód był jeszcze zbyt małym; a zresztą dla takiego jak on dosyć będzie, sądziłam, skończyć wychowanie na elementarzu.

Zawsze tak się dzieje na tym świecie, że nie ludzie lecz Bóg kieruje przeznaczeniem. Pragęłam ukochanego syna, ujrzeć na stare moje lata w mundurze urzędnika rozkazującego drugim, a zobaczyłam go pomiędzy czterema deskami w zimnéj i wilgotnéj mogile; młodszy zaś któremu wrodzone zolności otworzyłyby może tę drogę, pozostał nieukiem, próżniakim, i ofiarą swawolnych chłopaków wsi całéj.

Mówiąc te słowa, biedna kobiéta nie mogła powstrzymać łez cisnących się do jéj oczów. Szanując tę boleść smutnem wywołaną wspomnieniem, milczałem — ona zaś uspokojwszy się, ciągnęła daléj swoje opowiadanie:

— Ulubieniec mój chodził każdodziennie do szkoły, ale był tępy do nauk. Nie przez lenistwo źle się uczył, ale przez to że pojęcia jego słabo się rozwijały. Czasem po całych nocach gdy wszyscy spali, on siedział nad książką i płacząc powtarzał zadaną lekcyę: nie jego wina że się jéj nauczyć nie zdołał. Przytem zauważałam że charakter jego widocznéj uległ zmianie: z żywego stał się cichym, z wesołego ponurym, z otwartego skrytym. Dawniéj dzielił z matką każdą myśl swoją choćby najniedorzeczniejszą, od czasu zaś rozpoczęcia nauk nie tylko zaniechał tego czynić, ale zapytany o przyczynę swojego smutku milczał upornie, lub też zbywał nic nie znaczącą odpowiedzią.

Zaniepokojona tym jego stanem, udałam się do nauczyciela. Znacie tego człowieka, a zatém wiecie jak on jest dumnym, opryskliwym i nieprzystępnym. Przyjął mnie z chmurném obliczem, i na moje uwagi o zmianie usposobienia Mikołaja, odrzekł niecierpliwie:

— No, i cóż z tego? Zwyczajnie chłopcu lepiéj się podoba siedzieć za piecem, aniżeli ślęczyć nad książką. Wszyscy nowo przybywający uczniowie są tacy sami, ale z czasem przywykają do rygoru szkolnego. Wasz syn osieł jakich mało, ale ja i z takich osłów potrafię zrobić ludzi.

Chociaż powyższe wyrazy nie mogły mnie zadowolnić, musiałam się niemi kontentować. Zresztą ja nie znałam naówczas tajemnic szkoły wiejskiéj; niewiedziałam co się dzieje w tych obszernych izbach przeznaczonych na kształcenie naszych dzieci, nie sądziłam nigdy, iż przestrach jak umie obudzić srogi nauczyciel w swoich wychowańcach jest tak wielkim, iż potrafi złamać najtwardsze charaktery, przemienić otwartość w obłudę, i skazać na wieczne milczenie usta przywykłe do głośnego objawiania matce wszystkich myśli.

Minęło jeszcze kilka tygodni. Chłopak powoli, nieznacznie stał się zupełnie innym: nie tylko charakter ale i powierszchowność jego uległa bezwarunkowéj zmianie. Dawniéj czerstwy i rumiany, schudł i zmizerniał, a chorobliwa bladość pokryła mu policzki, oczy przedtém żywe zapadły głęboko: jedném słowem przedstawiał się jako cień tego jakim go widziałam wprzódy. Radziłam się najlepszych bab lekarek na wsi, powiedziały że to pochodzi z szybkiego rośnięcia, rozwijania się sił fizycznych, i nakłaniały do podawania mu obfitych a posilnych przytém pokarmów. Ale on i do jedzenia nie miał najmniejszéj ochoty: smutny, posępny, z wiecznie spuszczonym ku ziemi wzrokiem, nie skarżył się nigdy, lecz gdy nadchodził czas rozpoczęcia nauk szkolnych, drżał jak gdyby w paroksyzmie zimnéj febry. Parę razy uważałam, że uszy jego były zupełnie sine, jak gdyby od napływu krwi... a ja matka, nieodgadłam udręczeń przez które przechodził, nie starałam się zapobiedz im póki był czas jeszcze!

Pewnego wieczora w jesieni, dwa lata temu, mój syn powrócił ze szkoły późniéj jak zwykle. Skarżył się na mocny ból głowy, położyłam go więc do łóżka. Po kilku godzinach wywiązała się silna gorączka. Biédne dziecko w malignie, z rozpaloną twarzą, rzucało się na swéj pościeli, składało drobne rączki niby do modlitwy, i wołało przerywanym głosem: „Iwan... Iwan Andrejewicz: zmiłuj się... zmiłuj nademną!"

Nie pojmując co te wyrazy znaczą, i sądząc że one są wypływem chwilowego roztrojenia spowodowanego chorobą,

starałam się go uspokoić, utulić, pocieszyć — on mnie nie widział, nie słyszał mego głosu, i powtarzał tylko ciągle z uczuciem niewypowiedzianego przerażenia: „Iwan... Iwan Andrejewicz... zmiłuj się... nie bij tak mocno... zabijesz!“

Straszna prawda ukazała się wtedy dopiéro przedemną w całéj swéj ohydności: zrozumiałam wszystko!.. Prędzéj aniżeli to słowami wyrazić zdołam, zrzuciłam mu z głowy kompresy moczone w occie, któremi przed chwilą okładałam rozpalone jego czoło: czaszka była pęknięta!

Po godzinie strasznych męczarni, wśród których nieszczęśliwe dziecko wiło się w boleści krzycząc rozdzierającym głosem, nastąpił koniec. Mój ukochany Mikołaj wyzionął ducha nieodzyskawszy ani na chwilę przytomności.

Długo stałam pochylona nad jego łóżeczkiem w niemėj rozpaczy: niewiedziałam gdzie jestem, co się ze mną stało, nie pojmowałam okropności ciosu jaki we mnie uderzył... nareszcie spojrzałam na trupią twarz martwego dziecka. O nigdy nie zapomnę téj chwili! Wszystko co dotąd było ciemnym i niepojętym, rozjaśniło się nagle przed mojemi oczami. Widziałam razy jakie każdego dnia odbiérał mój syn, słyszałam jego jęki, czułam jego ból — zrozumiałam tę grozę jaką umiał rozbudzić w wystraszonem dziecku srogi nauczyciel, grozę pod wpływem którėj biedne stworzenie nie śmiało się nikomu poskarżyć, ukrywając przed własną matką tajemnicę ohydnych swoich męczarni!

I nagle, dzika, szalona wściekłość, zastąpiła miejsce niemėj rozpaczy. Na wpół ubrana, z rozczóchranemi włosami, pobiegłam do urzędu gminy, i drżąc z oburzenia, opowiedziałam przerywanym głosem przed stróżami prawa niecny postępek nauczyciela, domagając się kary na zabójcę mego syna.

Spojrzano na mnie jak na matkę, która strasznym a niespodziewanym dotknięta nieszczęściem, straciła zmysły. Starano się mnie uspokoić, litowano się nademną; w końcu jednak na usilne moje żądania, przyzwano obwinionego do tłumaczenia się.

Nikczemnik wybornie odegrał swoją rolę. Ubolewał jeszcze więcéj niż inni nademną, mówiąc, iż częstokroć silne mo-

ralne wstrząśnienie, staje się powodem roztrojenia władz umysłowych; a w dodatku sam z własnego popędu prosił urzędników włościańskich, ażeby zwołano uczniów powierzonych jego opiece, i zapytano ich jak sobie z niemi postępuje.

Dzieci, wiedząc co ich czekać może gdyby ośmieliły się wyjawić prawdę, jednogłośnie pod naciskiem przestrachu jaki ten okropny człowiek na nich wywierał, zeznały, że obchodzenie się nauczyciela z wszystkimi wychowańcami a tém samem i z moim synem, było zawsze łagodne, wyrozumiałe, pobłażliwe; a jeżeli czasami zmuszony był w ostateczności ukarać, to kara podobna nigdy nie przechodziła zwykłego ojcowskiego napomnienia.

Śledztwo, jakie zwykle w razie nagłych śmierci ma miejsce, jeszcze niekorzystniéj dla mnie wypadło. Pęknięta czaszka u dziecka, nie stanowiła żadnego dowodu; mogło ono upaść przypadkowo, mogłam ja sama przez brak należytego dozoru, stać się winną jego śmierci. Wszyscy uczniowie zatwierdzili dobre obchodzenie się z nimi nauczyciela; innych świadków nie było, a martwe usta ofiary téj zbrodni, zawarte na wieki—milczały. Co więcéj zabójca pragnąc odemścić podaną przeciwko niemu skargę, starał się o zamknięcie mnie w domu waryatów. Manja téj nieszczęśliwéj, wyobrażającéj sobie widziéć we mnie przyczynę śmierci jéj dziecka—mówił w swém podaniu—może być prędzéj lub późniéj powodem jakiego nieszczęścia; gdy tymczasem kuracya szpitalna, przyprowadzi ją zapewne do normalnego stanu zdrowia. Człowiek ten miał protekcye, stosunki, i była chwila w któréj sądziłam, że i ja także stanę się jego ofiarą — ale na szczęście kilku starych przyjaciół mego nieboszczyka męża, mających wpływy w zarządzie gminnym, sprzeciwiło się konieczności umieszczenia mnie w domu obłąkanych.

Nie przeczyli oni bynajmniéj ażeby umysł mój nie był dotkniętym—fakt ten niestety został dowiedzionym i zatwierdzonym prawnie; ale zwrócili uwagę władzy, że oprócz jednego, chwilowego wybuchu, spowodowanego nagłą śmiercią dziecka, melancholia jaka potém nastąpiła, stała się cichą,

spokojną, zamkniętą w sobie, a zatém nieszkodliwą i żadnéj nieobudzającą obawy.

Gmina rozciągając w dalszym ciągu nademną swą opiekę, oddała mi zarząd postojannego dworu, przy którym jednostajne zatrudnienia, uprawa ogródka, brak zwykłych rolnego gospodarstwa kłopotów, zdoła jak twierdzi doktór, korzystnie wpłynąć na chorobliwe moje usposobienie. Ale ludzie ci litościwi i dobrzy, szanując nieszczęście obawiają się mnie zarazem; w nieprzewidzianéj potrzebie każdy z nich chętnie mi dopomoże, żaden jednak nie śmie przejść progu téj chatki, w któréj podług ich zdania, mieszka istota godna pod każdym względem współczucia, mogąca jednak w danéj chwili stać się niebezpieczną. Żyję tu sama jedna z ostatniém pozostałem mi dzieckiem, a on, ten biedny Igorko, jest jedyną moją pociechą, jedynym węzłem łączącym mnie jeszcze ze światem. Chociaż pozostawiono mi swobodę, czuję tajemny nadzór opasujący zaledwie dojrzaną nicią wszystkie moje czynności; dla tego téż przejęta trwogą ażeby przypadkiem wymówione słowo, gest jaki, ruch zbyt żywy, nie były źle wytłumaczone, i nie wywołały straszniejszego jak więzienie zamknięcia w domu waryatów — stałam się milczącą, ponurą, podejrzliwą. Po upływie dwóch lat, wy jesteście pierwszym z żyjących przed którym odkryłam moją tajemnicę. Poznawszy ją niebędziecie się już dziwić, dla czego pomimo nieograniczonego przywiązania jakie mam dla syna, pomimo ochoty z jaką to dziecko rwie się do nauk, niechcę oddać go do szkółki wiejskiéj, pod straszną opiekę Iwana Andrejewicza.

*

* *

W kilka dni po tém zdarzeniu, znajdowałem się w gościnie u pisarza gminy wiejskiéj. Wszystkie miejscowe znakomitości, jako to duchowny i jego pomocnik, akcyzny urzędnik wraz ze swoim sekretarzem, jakotéż bawiący czasowo we wsi lekarz powiatowego sądu, byli tam zgromadzeni. Nie brakło i znanego czytelnikowi z powyższego opowiada-

nia nauczyciela szkółki, który ze swoją bladą twarzą, poważną, o systematycznych ruchach podstawą, wyglądał w téj chwili raczéj na przejętego ważnością przyjętych na siebie obowiązków pedagoga, niż na srogiego kata dręczącego powierzone opiece jego dzieci; ten człowiek bowiem posiadał szczególny dar przyjęcia w danym razie stosownéj do okoliczności postawy.

Rozmowa z razu urywana, przybrała wkrótce zajmujący nastrój. Powodem do tego zwrotu było opowiadanie medyka o oddanym mu w kuracyę obłąkanym, który straciwszy nagłą śmiercią ukochane dziecko, popadł w dziwną monomaniję: zdawało mu się, że zmarła na grypę córeczka jego została przez własną matkę uduszoną. Nic na świecie nie zdołało mu wybić téj myśli z głowy; i pomimo przekonywających dowodów stwierdzonych nauką, jakotéż dowodzenia najbieglejszych lekarzy, obstawał uporczywie w swojem mniemaniu.

— I u nas przed parą laty, podobny wypadek miał miejsce — rzekł pisarz gminy. Biédna włościanka, wdowa, najlepszego prowadzenia się, znana powszechnie z dobroci i łagodności charakteru, straciła jak się zdaje, z powodu nagłego upadku i zranienia o ostry przedmiot głowy, synka. Od téj chwili nieszczęśliwa matka, uderzona tak okropnym ciosem, wyobraziła sobie, że ulubione jéj dziecko zostało nikczemnie zamordowaném.

— I to jeszcze przezemnie!... dodał nauczyciel szkółki. Możecie sobie szanowni panowie wystawić, jakiém się stało moje położenie. Zagrożony nie tylko we własném życiu, ale i w tém co jest najdroższém dla każdego prawego człowieka: w utracie dobrego imienia, czystéj i nieskalanéj trzydziestoletnią uczciwą pracą sławy, nie miałem ani chwili spokojności. Podejrzenie rzucone nawet przez waryatkę, tak łatwo przyjąć się może!

— To téż każdy,—przerwie pisarz,—przez samo podjęcie téj smutnéj sprawy, jeszcze więcéj was kocha, jeszcze bardziéj umie ocenić waszą wytrwałość i szlachetność w sumienném pełnieniu tyle goryczy przynoszących obowiązków.

— Próba ognia jaką przebyliście,—mówił lubiący meta-

fory akcyzny urzędnik,—pokazała wszystkim waszą wartość. Kamień kruszy się w płomieniu: brylant choćby w piekle, silniejszym jeszcze jaśnieje blaskiem.

Po tych wyrazach wszyscy obecni powstawszy podeszli ku nauczycielowi szkółki, i chcąc mu okazać swą życzliwość, ściskali serdecznie za ręce.

Blada twarz Iwana Andrejewicza rozpromieniała radością, a łza rozczulenia spłynęła powoli po chudych jego policzkach.

— Nie tylko słyszałém o tém wypadku— rzecze doktór,— ale sam przejeżdżając tędy przed rokiem, widziałem nieszczęśliwą kobiétę. Stan jéj tém więcéj godnym jest politowania, że wyleczenie można tu prawie za niepodobne uważać. Ogólne i bezwarunkowe roztrojenie władz umysłowych, przy łagodném obchodzeniu się z choremi, jakie jest teraz w użyciu, bywa czasami błogim uwieńczone skutkiem; monomania zaś niepozbawiająca pacyenta zdolności myślenia, dająca mu nawet możność układania swych myśli w systematyczne rozumowania, tém trudniejszą staje się do zwalczenia, iż jedyna idea która nim powoduje, wrosła że tak powiem, w całe jego moralne jestestwo. Dotnięty monomanią człowiek, rozsądny zazwyczaj w mowie, czynach, postępowaniu, przestaje nim być w chwili, gdy ta jedyna ujemna strona władz jego umysłowych poruszoną zostanie; przy najmniejszéj nieostrożności struna zadźwięczy fałszywym akordem, a chory przestaje władać swą wolą. Esquirol twierdzi, że właśnie owa niepowściągliwość woli jest głównćm źródłem słabości; Pignel zaś Locke i inni psychjatryści znajdują...

I szanowny doktór dobrawszy się do ulubionego przez siebie przedmiotu, perorował daléj, przytaczając uczone cytacye — a zgromadzeni u pisarza goście z tém większém namaszczeniem słuchali jego wywodów, że ani słowa z tego co mówił nie rozumieli. Ja zaś tymczasem, korzystając z powszechnego zajęcia się poruszoną kwestyą, wyszedłem niepostrzeżony, ażeby swobodnie rozmyślać nad dramatem, który się tak niespodziewanie rozwinął przedemną.

Opowiadanie biednéj wdowy było tak prostem, tak natu-

ralnem, tyle w niém mieściło się uczucia, żałości, a nawet prawdziwéj chrześciańskiéj rezygnacyi, że uważałem za niepodobne, aby to wszystko mogło wypłynąć z fikcyi roztrojonego nieszczęściem umysłu. Z drugiéj zaś strony liczne fakta, w których bezporównania mniéj wrażliwi odemnie ludzie, zostali wprowadzeni w błąd przez waryatów, stanęły mi na pamięci. Zebrawszy starannie wszystkie szczegóły rozmowy mojéj z włościanką, nie mogłem na żaden sposób przypomniéć sobie żadnego ruchu, namiętniejszego błysku oczów, któreby znamionowały choćby cień obłędu, choćby pozór nienormalnego jéj stanu — ale znowu tak stanowcza opinia ludzi fachowych, musiała miéć przecież swoją podstawę.

Nie mogąc dojść do żadnego rezultatu, wahając się co chwila z wyrobieniem w sobie stałego przekonania, pomyślałem o głównie działającéj osobie w téj smutnéj historyi. Iwan Andrejewicz ze swoim bladem, pargaminowém obliczem, ze swoim wzrokiem ponurym, spojrzeniem niepewném, szatańskim uśmiéchem, obudzał we mnie niewypowiedziany wstręt i odrazę; niepodobna ażeby taka fizyognomia mogła należéć do uczciwego, a przynajmniéj łagodnych dążności człowieka— ale znowu ileż to razy rysy twarzy zawodzą, jakże często powierszchowność nie miła, wstrętna, ukrywa duszę szlachetną i wzniosłą! A owe ogólne uznanie jakim się cieszył nauczyciel szkółki? A owa łza rozczulenia spływająca po jego policzkach?... No, i cóż z tego? jakie może miéć znaczenie zdanie tak krótko widzących ludzi — a łza? Wszakże Judasz Iskaryot sprzedając zbawiciela także łzę uronił.

Przez całe dwie godziny biłem się z myślami: dwa wprost przeciwne przekonania ważyły się kolejno przed wewnętrznym sądem mojego sumienia—a promyk prawdy nie przebił ciemnych mroków tego strasznego dramatu.

Tajemnica włościanki, pozostała dla mnie na zawsze niedocieczoną zagadką sfinksa.

FILOZOF
NAD BRZEGAMI OCEANU LODOWATEGO.

Znałem człowieka, który z własnéj woli, zamieszkał północ pod 73° szerokości geograficznéj. Z początku popłynął na Ocean Lodowaty, ażeby być świadkiem olbrzymich połowów ryb, jakie się tam peryodycznie w miesiącach letnich odbywają; przed zimą wrócił w południowe strony Syberyi, ale wycieczka ta tak mu się podobała, że ją niemal corocznie powtarzał. Jednego razu, czy to z powodu nagle spadłych śniegów, czy skutkiem poróżnienia się z rybakami jenisejskimi, czyli téż wreszcie dla dogodzenia chwilowéj fantazyi, pozostał przez zimę w Turuchańsku, a następnie już stale tam zamieszkał.

Pan *** należał do rzędu ludzi zwanych w starożytności filozofami, a którzy dziś noszą miano oryginałów: utworzył sobie wyłączny systemat społeczny, i podług niego się rządził. Czcząc bezwzględnie naturę, uważał za występek naginanie jéj działania dla dogodzenia drobnym celom ludzkości; wszelkie prace na drodze postępu były w jego oczach

czczą igraszką, wszelkie arcydzieła sztuki niedołężném naśladownictwem. W człowieku więcéj cenił siłę fizyczną niż rozum; zamiłowanie prawdy, potęga samoistnéj woli i wytrwałość, były w jego przekonaniu podstawą wszelkich cnót. Nienawidził obłudy, a za obłudę uważał wszelkie towarzyskie formy. Rządząc się prawami natury, nie chciał nigdy znać żadnych przepisów kodeksu, i dla tego pokrzywdzony sam sobie sprawiedliwość wymierzał. Podobne usposobienie wywołało łatwe do przewidzenia następstwa. Jak tylko jeden z członków społeczeństwa, nie chce zastosować się do prawideł i zwyczajów przez ogół ustanowionych, musi albo uledz, albo téż ustąpić. Pan *** téż ustąpił, ale aż na północ.

Jadąc na ziemię wygnania, rad był swojemu losowi. Podobnie jak wielu innych, wystawiał sobie Syberyę jako krainę w stanie pierwotnym będącą, gdzie ludzie okrywają się skórami dzikich zwierząt, żywią korzonkami, rządzą instynktami natury, gdzie szczególniéj znienawidzone przez niego prawo społecznego porządku, nie ma żadnego znaczenia. Przybywszy do Minusińska, doznał niemiłego rozczarowania. Wszystko co tu ujrzał, było odblaskiem tego co po za sobą zostawił. Napróżno szukał tu samoistności: napływowa ludność przyniosła z sobą tyle wstrętne dla niego formułki i zwyczaje, a zasklepiwszy się w nich, wegetowała w konwencyonalném kółku swoich wyobrażeń. Tam przynajmniéj na Zachodzie panował ruch, gdy tu istniała tylko ociężała, apatyczna stagnacya. Przeflancowane z Europy zasady społecznego bytu i towarzyskich obyczajów, dziczały wprawdzie na stepie, ale zawsze istotą swoją i zewnętrznym kształtem przypominały konwencyonalny ustrój starego świata.

Zniechęcony, udał się pomiędzy Tatarów, ale Tatarzy w okolicach miast i miejsc zkolonizowanych, utracili powierszchownie przynajmniéj pierwotne swe cechy. Oprócz języka, ubioru i budowy jurt, stali się oni mniéj więcéj porządnymi obywatelami. Synowie pustyń bujający na niezmiernych obszarach, wśród tabunów dzikich koni, patryarchowie rządzący losami rodzin, wojownicy rozstrzygający nieporozumienia maczugą lub toporem, zmienili się w spo-

kojnych rolników, pokornych parobków, lub chytrych handlarzy. Typ pierwotnego człowieka, o którym nasz filozof marzył ciągle, nie istniał tam wcale.

Sądząc, że wszędzie znajdzie równe rozczarowanie, nie przyszło mu nigdy na myśl zapuścić się w południowe tajgi nad granicę Mongolii, i studyować liczne plemiona „inorodców,“ do których promień cywilizacyi nie dostrzelił jeszcze; i byłby może do końca żywota nie osięgnął celu swoich życzeń, gdyby pewnego razu przypadek a raczéj los nie zawiódł go po nad brzegi Oceanu Lodowatego. Sama podróż, przyszła równie szybko jak niespodziewanie. Znudzony jednostajnością która go otaczała, przyłączył się do wyprawy rybackiéj i popłynął na północ, w zamiarze odświeżenia widokiem nowego życia i nieznanych obyczajów, myśli łaknącéj swieżych wrażeń i odrębnych zupełnie stosunków. Nie było jego życzeniem osiedlić się w kole biegunowém; przesadzone baśni, jakie w stronach mniéj dotkniętych surowością klimatu opowiadają o tych lodowych pustyniach, są w stanie odstraszyć najzuchwalszego awanturnika od podobnego przedsięwzięcia. Gdy jednak w miarę posuwania się w górę, napotykał coraz dziksze obszary, gdy zimno z powodu letniéj pory w któréj wycieczka przedsięwziętą została, bynajmniéj nie dokuczało, nasz mizantrop uczuł się w swoim żywiole. Tratwy rybackie minąwszy ostatnie krańce Jenisejskiéj gubernii, płynęły zwolna na północ, rzeka stawała się coraz szersza, osady ludzkie coraz rzadsze, przyroda coraz posępniejsza. Kilka wycieczek w głąb kraju celem upolowania zwierzyny przedsięwziętych, dało mu sposobność zbliżenia się do rzeczywistych obywateli téj ziemi: Ostyaków, Tunguzów i Samojedów. Znana powszechnie prostota i otwartość podbiegunowców, ich charakter mężny, wytrwały, a zarazem dobroduszny, ujęły go od razu. Wrażenia wywołane połowem potworów morskich, nietyle sprawiły mu zadowolenia, ile widok plemion w stanie natury żyjących; ponieważ zaś zima tak straszna w opowiadaniach mieszkających na południu ludów, zbliżała się szybkiemi kroki, powrócił z rybakami do Minusińska, ale z nastaniem wiosny powtórzył swoją wycieczkę. Owe wędrówki

odbywały się każdego roku: nie ndawał się on już tam dla rybołówstwa, ale w celu odwiedzenia swoich nowych przyjaciół inorodców, których charakter pierwotny, naturalny, nieprzekształcony zewnętrznemi formami zwyczajów i uprzedzeń światowych, odpowiadał w zupełności typowi, jaki sobie o istocie ludzkiéj utworzył.

Jednego razu, jakaś nieprzewidziana przeszkoda zatrzymała wyprawę. Przymuszony przepędzić zimę w tych sferach, przekonał się, że ta pora przy użyciu stosownych środków zabezpieczenia od mrozu, nie jest znowu tak straszną jak ją mieszkańcy południa opisują. Pierwszy krok zazwyczaj z trudnością przychodzi, daléj wszystko łatwiéj się już składa. Pan *** pozostał w Turuchańsku.

Z początku wszystko szło po jego myśli. Latem siadłszy na łódkę puszczał się w górę Jeniseju; napotkawszy koczujące po nad brzegami wspaniałéj rzeki plemiona pierwotnych ludów, przyłączył się do nich, podzielał ich trudy, polowania, wyprawy, a żyjąc samoistném życiem natury, zapominał o chaosie walk i namiętności, podstępów i fałszu, jaki jest udziałem uorganizowanego w społeczeństwo towarzystwa. Gdy nadeszła zima, zamykał się w swojéj izdebce, ale i ta przymusowa bezczynność nie była pozbawioną uroku. Przyjaciele jego stepowi, przywiązawszy się szczerze do towarzysza swoich wycieczek, odwiedzali tłumnie ukrytą w olbrzymich zaspach śniegu osadę. Już to prawdę powiedziawszy, nikt tak kochać nie umie, jak narody wydziedziczone z dobrodziejstw cywilizacyi. Pan *** stał się dla nich bratem, przyjacielem, ojcem, zwierszchnikiem; na jedno skinienie jego ręki, gotowi byli życie swoje nieść w ofierze. Porównywając to przywiązanie bez granic z chłodnemi uczuciami europejskich ludów, opartemi po większéj części na interesie, nasz filozof czuł się szczęśliwym i zadowolonym ze swego losu.

Parę lat upłynęło. Bohater niniejszego opowiadania, znany mi dobrze, nie należał bynajmniéj do owéj klassy prostych, nieukształconych awanturników, którzy szukają nadzwyczajnych przygód dla rozgłosu lub téż podrażnienia serca. Doświadczywszy jak się zdaje w swém życiu wielu

rozczarowań, stał się pomimowoli i wiedzy odludkiem. Nie potępiał ludzkości, ale jéj unikał; obawiając się rozrzucać skarby swoich uczuć pomiędzy niewdzięcznych, umieścił je na pewniejszéj podstawie: na charakterze nieskażonych podmuchem egoizmu ludów. Miał naukę, posiadał wiadomości, a polor wyższego wychowania pomimo sztucznéj niecywilizowanéj powłoki, jaką mu się podobało przywdziać na siebie, zdradzał niejednokrotnie bywalca salonów. Nadto pan *** był poetą i artystą zarazem. Tęskne i rzewne jego piosenki, których słowa i melodye układał w otoczonéj śniegowym wałem turuchańskiéj izdebce, lub przy różnokolorowym blasku wspaniałéj zorzy północnéj, nucone są powszechnie przez mieszkańców lodowych obszarów. Jeden z tych śpiewów malujący stan duszy autora i jego usposobienie, jest następujący:

Niech się śmieją niegodziwi,
Niech się tai w cieniu złość,
Niech świat hańba jadem żywi,
I rzuca niezgody kość,

Ja wciąż płynę: nikną gaje
Nikną ślady wszelkich dróg;
Lecz gdzie życie już ustaje
Jedną tarczą moją Bóg!

Od Angary, do mórz fali
Wszędzie smętny dziki świat:
Ni tam szczęścia, ni łez żali,
Tylko cisza wiecznych lat.

W płowych bagnach zieleń ginie
Nie ma brzasków, lśni wciąż dzień;
Czasem tylko po gęstwinie
Mknie stepowca błędny cień.

Syny pustyń, zstąpcie tłumnie
Z gór i lasów—gdzie blask wód;

Serce bratnie dla was u mnie:
Jam się wyparł świata złud! (*)

Turuchańsk, jedyny stały punkt jego oparcia w czasie zimowych mrozów, lub tamujących komunikacye zawiei, zowie się w geografii miastem, rzeczywiście zaś jest to tylko osada najwyżéj na północ posunięta, w któréj można jeszcze znaleźć władze administracyjne kraju. Jak wszystkie miejscowości zamieszkane przez napływową ludność starego świata, i ta wysunięta naprzód wedeta, posiada w drobnych wprawdzie rozmiarach zwykłe cechy i wady odznaczające towarzyskie życie Europy. W tém małém gronku ludzi, rzuconych w pośród niezmiernych śnieżnych przestrzeni Północy,

---

(*) Powyższa piosnka którą dosłownie przetłumaczywszy podałem, brzmi w oryginale jak następuje:

Злые люди пусть смѣются,
Клевета готовить ядъ,
Пусть заслуги остаются
Безъ вниманія, безъ наградъ.

Я лечу! лечу! подъ парусами,
Между горъ, и средъ лѣсовъ;
А за бурями и льдами,
Богъ мой щитъ и мой покровъ!

Отъ Ангары до устья моря,
Вижу дикія страны:
Нѣтъ тамъ радости, нѣтъ горя,
Образъ вѣчной тишины.

Въ тундрахъ нѣтъ зеленой сѣни,
Нѣтъ тамъ ночи, нѣтъ зари;
Лишь являются какъ тѣни,
По утесамъ дикари.

Дикари, скорѣе толпою
Съ бурныхъ странъ на Енисей,
Подружитесь со мною:
Я вашъ братъ — боюсь людей!

krzewią się niechęci koteryjne, niezadowolenia sąsiedzkie, zawiść, obmowa i plotki. Ani mróz straszny, niesłychany, tamujący oddech w piersiach, ani góry śniegowe, wznoszące się po nad szczyty domów, nie wpływają na uśmierzenie ludzkich namiętności, na powstrzymanie wrodzonego każdemu otartemu o cywilizacyę człowiekowi, popędu do roztrząsania spraw cudzych. Przeciwnie, ta noc bez końca, ta cisza wiecznie panująca sprowadzająca ckliwość i nudę, więcéj jeszcze dają materyału dla rozwinięcia się ułomności i niedostatków towarzyskich. Każdy najdrobniejszy szczegół, przerywający ciągłą i bezwarunkową jednostajność podbiegunowéj zimy, staje się faktem doniosłym, ważnym; każde przybycie obcéj, choćby najmniéj zasługującéj na zwrócenie uwagi osobistości w te strony, tematem do nieskończonych gawęd, przypuszczeń i wniosków. Przy podobnych warunkach bardzo łatwo pojąć można, iż zjawienie się pana *** w téj osadzie, dało z początku powód do niezliczonych komentarzy, a następnie wyrodziło ogólną chęć zabrania bliższéj znajomości z zagadkowym człowiekiem, który niezmuszony okolicznościami, bez celu, z własnéj woli, wybrał tak oddalony punkt kuli ziemskiéj na zamieszkanie. Ale pan *** nauczony tyloletniém doświadczeniem, wiedział dobrze co go tu czeka, i dla tego téż zaraz na wstępie zamknął się szczelnie w swojéj izdebce, nie przypuszczając do siebie nikogo oprócz stepowców. Wszystkie zachcianki turuchańskich mieszkańców rozbiły się o niewzruszoną jego wolę, twardą i zimną jak lód pokrywający szerokie koryto Jeniseju; dalszego zaś utrzymania w stosownéj odległości ciekawych sąsiadów, dopełnił surowy klimat zimy tych stref, niedozwalający częstokroć bez narażenia zdrowia i życia, najprostszych nawet wycieczek z jednego do drugiego domu.

Gdy nastała wiosna, pora bez porównania przyjaźniejsza do zawiązania podobnych stosunków, pan *** już był daleko; siadłszy w łódkę, popłynął w dół ku ujściu olbrzymiéj rzeki do morza, a spotkawszy koczujących po nad brzegami Ostyaków lub Samojedów, przyłączał się do nich. Stosunki z inorodcami przy coraz dokładniejszém pojmowaniu ich narzecza, stawały się dla niego z każdym dniem więcéj zaj-

mującemi; szczególniéj zaś otwartość i prostota tych ludzi, myślących głośno, wyrażających bez żadnéj ogródki swe zdania, wielki miała powab dla człowieka, który nadewszystko miłował prawdę, a każdy fałsz nawet konwencyonalny, poczytywał za chorobę moralną. Wycieczki swoje z hordami tych pierwotnych plemion, posuwał częstokroć wysoko na północ. Oprócz przyjemności polowania i rybołówstwa, gromadził w czasie wspomnionych wędrówek bogate zoologiczne zbiory; szczątki przedpotowych zwierząt, kosci mamutów, tak liczne w tych wydziedziczonych od natury stronach, stanowiły obfitą zdobycz wynagradzającą sowicie doznane trudy i niewywczasy podróży. Pomimo jednak zamiłowania w owém koczującém życiu pustyni, zawsze zbliżająca się zima, zastawała go z powrotem w Turuchańsku.

Pewnego dnia pora wiosenna, chwila tyle pożądana, nie przyniosła z pojawieniem się swojém oczekiwanych rozkoszy. Pan *** ciężką złożony chorobą, nie mógł opuścić smutnéj i ciemnéj izdebki. Każda słabość niezmiernie przykrą jest dla człowieka lubiącego ruchliwe życie; w obecném zaś położeniu była jeszcze nieznośniejszą, gdyż nie dozwalała mu korzystać, z krótkich w tym klimacie objawów rozbudzonéj do życia przyrody. Co większa, owa niemoc pociągnęła za sobą nieprzewidziane skutki. Wszystkie karłowate żywioły towarzyskiego bytu, których tak starannie unikał, opanowały wstępnym bojem spokojną pustelnię. Dotąd chata jego była niby zamknięta zewsząd forteca, niedająca z żadnéj strony przystępu dla czychającéj w około ciekawości ludzkiéj; należało zrobić wyłom, ażeby się dostać do wnętrza warowni, a czujna podejrzliwość samotnika tamowała wszelkie w tym względzie usiłowania. Otóż więc czego nie dokazały niesłychane przebiegi i podstępy chciwéj bliższego poznania mizantropa ludności, uskuteczniła po prostu jego choroba. Najtrudniejszym bywa początek: gdy raz jakikolwiek systemat naruszony zostanie, dokonanie reszty samo z siebie przychodzi. Pierwsza kropla wody, przeciskająca się przez sklepienia podziemnego gmachu, jest przedwstępem jego zalania, pierwszy żołnierz stający na murach obronnego miejsca, pociąga za sobą jego zdobycie: tą kroplą

nurtującą opokę, tym wojownikiem zatykającym zwycięzki sztandar w niedostępném ustroniu, był miejscowy lekarz. Wezwany przez złożonego niemocą odludka, który pomimo swoich odrębnych wyobrażeń o świecie i ludziach, nie miał bynajmniéj ochoty rozstać się z życiem, wziął się szczerze i energicznie do zwalczenia choroby. Lekarz ten znał swoją sztukę, nie żałował trudów i poświęcenia; ale obok rzeczywistéj nauki, posiadał wszystkie wady i słabostki mieszkańca małéj, odosobnionéj od ruchu towarzyskiego osady. Ciekawość, wdzieranie się gwałtowne w cudze sprawy, podtrzymane chęcią zainteresowania ogółu zagadkowym pacyentem sprawiły, że nietylko sam zdobył niedostępną do téj chwili samotnię, ale jeszcze zniewolony prośbami krewnych i przyjaciół, wprowadzał do niéj nieznacznie i powoli coraz nowe społeczne pierwiastki. Jakże tu odmówić prośbie człowieka, który życie ocalił, który z rzadką troskliwością czuwał po całych nocach przy łożu boleści? Pierwszą wprowadzoną przez doktora osobą był młody brat jego dyakon: staruszek krotochwilny, wesoły, zawsze uśmiechnięty, lubiący przytém małe ploteczki, drobne intryżki, nieszkodliwe na pozór obmowy. Za dyakonem z samego porządku rzeczy zjawił się jego zwierzchnik, duchowny miejscowy. I temu niepodobna było zabronić przystępu. On przejęty ważnością obowiązków swoich, przyszedł ze słowem pociechy na ustach, podtrzymywać siły moralne powstającego z ciężkiéj choroby rekonwalescenta. Jak tylko pierwsze lody przełamane zostały, wnet i reszta mieszkańców Turuchańska pod różnemi pozorami przestąpiła progi niegościnnéj dotąd izdebki. Brat przyprowadzał brata, krewny krewnego, przyjaciel przyjaciela, a pan *** bez wiedzy, woli, chęci, ujrzał się otoczonym obojętnemi dla niego żywiołami, wciągniętym w wir drobiazgowego życia małego miasteczka. Próżno się zamykał w tamującém wszelką poufałość milczeniu, próżno się bronił przed napastującą go zgrają chłodem obejścia: nic to wszystko nie pomogło. Znudzone bezczynném życiem pustyni gronko, porwawszy raz w swoje szpony ofiarę, nie zraziło się drobnemi przeszkodami, i pod pokrywką przyjaźni lub sąsiedzkiéj życzliwości, otaczało coraz gęstszą siecią

codziennych stosunków biednego filozofa. Kapłan, wychodząc ze stanowiska religijnego, przedstawiał mu niewłaściwość obcowania z inorodcami, ludźmi, którzy nie wierzą w Boga i oddają cześć wyciosanym z drzewa bałwanom; dyakon, znosząc miejscowe ploteczki, coraz częściéj i gęściéj wychwalał rozum, dobroć i gospodarskie przymioty swojéj jedynéj córki; asessor, kładł mu w uszy potrzebę zajęcia się czémśkolwiek pożyteczném dla ogółu, np. pracą w wydziale administracyjnym, a że od roku szukał napróżno pisarza do pomocy, owo poświęcenie się krajowemu dobru podwójny przynieść mogło pożytek. Uciec przed tą powodzią życzliwości, przyjaźni, ciekawości, nagabań różnego rodzaju było niepodobna. Pora wypłynięcia większych statków na północ dawno minęła; hordy Ostyaków, Samojedów i Tunguzów, rozsiane po stepach w okolicy Turuchańska, zwinęły swe koczowiska i udały się w celu rybołówstwa ku brzegom Oceanu Lodowatego, pozostawiwszy na pastwę zawziętych przyjaciół, nieodstępnych opiekunów, nieszczęśliwego naszego mizantropa. Pan *** w głowę zachodził, jak się uwolnić od téj plagi, i niczego wymyślić nie zdołał. Na każdym kroku spotykały go zachęcające uśmiechy, ciekawe zapytania, przyjazne zaczepki; nikogo nie odwiédzał, a wszyscy u niego bywali, odwracał się od ludzi, a ci mu zabiegali drogę, zamykał oczy i zatykał uszy, a musiał patrzéć i słuchać. Kiedy z czerpaczką w ręku udawał się do zastawy (*)

(*) Turuchańskie rzeki tak są rybne, iż żaden z mieszkańców tamtejszych nie łowi ryb letnią porą przyjętemi w innych stronach świata sposobami. Z rzeką Taz wpadającą do Oceanu Lodowatego, łączy się mnóstwo drobnych rzeczułek, przecinających w różnych kierunkach okolice téj północnéj osady; wszystkie one roją się niesłychaną ilością różnego rodzaju ryb, i to do tego stopnia, że mieszkańcy miejscowi przerwawszy na chwilę bieg wody za pomocą tamy, wybierają z utworzonego tym sposobem rezerwoaru tyle ryby ile im potrzeba. Do uskutecznienia téj operacyi dosyć jest zaczerpnąć dziurkowate naczynie w rzeczce; dla tego téż wzmiankowaną czynność nazywają tam nie łowieniem, lecz *czerpaniem* ryb. (*Przyp. aut.*)

dla nabrania odpowiedniéj ilości ryb mających mu służyć za całodzienny posiłek, już tam na niego oczekiwały gadatliwe i ciekawe kumoszki. Na czele tego zastępu północnych amazonek, widział zawsze dobrze podstarzałą i niemiłosiernie zézowatą córkę dyakona. Nieustraszona żadnemi przeszkodami, niezrażona żadnemi przeciwnościami zwolenniczka hymenu, czyhała na niego każdego rana, darząc słodkiém pozdrowieniem i zabójczém spojrzeniem swoich oczów.

Jednocześnie dyakon nie wychodził prawie z jego mieszkania, przypuszczając coraz natarczywsze ataki do czułych stron serca skazanéj na karę małżeńską ofiary. Życie podobne stało się istném piekłem, ciągłą a nieznośną katuszą; i co najgorsza, z każdym upływającym dniem powiększało władzę nieproszonych opiekunów. Napróżno niefortunny zwolennik samotności szukał chwilowéj swobody: już ona dla niego bezpowrotnie przepadła. I trwało to złe do czasu, w którym kilku Ostyaków niespokojnych o los swojego przyjaciela, przybyło naumyślnie do Turuchańska dowiedzieć się o jego powódzeniu. Ucieszony ich widokiem, opowiedział swoje smutne dzieje, nie pomijając milczeniem żadnego szczegółu. Prości ci ludzie, przywykli do nieograniczonéj wolności stepowego życia, nietamowanego żadnym osobistym przymusem, zrozumieli jego cierpienia, lecz zarazem pojęli, że natura Europejczyka nie zdoła wytrzymać koczowniczych wędrówek w czasie mrozów zimy podbiegunowéj. Ażeby temu zaradzić, nie było innego sposobu, jak przenieść się do osady więcéj na północ położonéj, w któréj objawy społeczne mniéj jeszcze czuć się dają. Wskazaną przez inorodców osadą była Dudinka o 550 wiorst od Turuchańska odległa, a pod 61° szerokości geograficznéj położona.

Jednego więc razu pan*** korzystając z chwili, w któréj stary dyakon odprawiał nieszpory, nieodrodna jego córka prała bieliznę na rzeczce, a poszukujący wiecznie pisarza asessor spał snem sprawiedliwych, puścił się pieszo w kierunku Jeniseja—nieodstępni towarzysze nieśli na plecach jego chudobę i zoologiczne zbiory; wsiadłszy razem ze swoimi przewodnikami w łódkę, która na nich tam czekała,

uczuł się pierwszy raz od czasu zawiązania uciążliwych stosunków, wesołym i swobodnym, pierwszy raz odetchnął pełną piersią wolném stepu powietrzem, nie widząc do koła siebie drobiazgów małego świata, zawiści koteryjnych i intryżek sąsiedzkich. Wydalenie się jego z Turuchańska miało wszystkie pozory ucieczki; ale prawdę powiedziawszy, cóż innego pozostało uczynić człowiekowi, który pragnął żyć stosownie do swego upodobania, a nie mógł tego dokazać? Wyjeżdżając otwarcie, musiałby rad nie rad wyjawić cel swojéj podróży, a kto wie, czyliby zawzięci wielbiciele nie pognali za jego śladem. Tego dowodu wysokiego współczucia, prawie pewnym był ze strony niepokonanéj żadnemi trudnościami amatorki małżeńswa; a niczego na świecie tyle się nie obawiał, ile gorących westchnień i zezowatego spojrzenia czułéj córki dyakona.

Czwartego dnia stanęli w Dudince. Niech nikt nie sądzi, ażeby miejscowość nosząca powyższą nazwę, miała jakiekolwiek podobieństwo do najmniejszéj nawet syberyjskiéj wioseczki. Wśród tych przestrzeni krańcowéj północy, nie ma wcale wsi lub wiosek. Na linii kommunikacyjnéj, wiążącéj środek Turuchańskiéj prowincyi z brzegami morza Białego, rozrzucone są co kilkaset wiorst osady, z dwóch lub trzech chat złożone, zamieszkałe przez zawołanych rybaków, zagorzałych myśliwych, lub też dozorców magazynów skarbowych. Ludzie którzy tam żyją, letnią porą mają jeszcze jakiekolwiek stosunki z resztą świata; w czasie zimy zakryci kilkunasto-sążniową warstwą śniegu, w któréj ciepły dym wychodzący z komina, tworzy zarazem kanał dopuszczający powietrze do oddychania, wegetują w niedostępnych głębinach, jako krety w ziemnych norach. W chwili przybycia naszych podróżnych do wspomnionéj osady, krótka pora letnia zbliżała się do końca. Wśród niezmiernéj płaszczyzny pokrytéj żółkniejącą trawą, sterczały trzy chaty zamieszkane przez urlopowanych kozaków: z prawéj strony rosły z rzadka karłowate sosnowe krzaki, z lewéj płynęła jedna z tych niezliczonych rzeczułek, jakie w rozmaitych kierunkach przerzynają strony podbiegunowych krajów. Cała przestrzeń stepu pokrytą była stadami wron i kruków kraczą-

cych żałośnie, i zbierających się do odlotu w cieplejsze strony (*). Przenikliwy i zimny wiatr bieguna, niósł w swoim podmuchu przepowiednię zbliżającéj się szybkiemi kroki strasznéj, długiéj, otoczonéj cieniami sześcio-miesięcznéj nocy zimy. Ostyaki doprowadziwszy naszego wędrowca do tego punktu, zmuszeni byli śpieszyć się do swoich koczowisk, ażeby nie uledz zasypaniu śniegiem, który w początkach mianowicie nastania zimowéj pory i ciemności nieoświeconéj jeszcze światłem północnéj zorzy, sypiąc się bezprzestannie, naraża na utratę życia najśmielszych nawet krajowców. Pan*** więc pożegnawszy wiernych przyjaciół, obejrzał miejsce nowego swego zamieszkania. Na pierwszy rzut oka, początkowa jego obawa napotkania i w tém oddaloném od ludzkiego społeczeństwa ustroniu towarzyskich żywiołów, ustąpiła zupełnie. Trzéj kozacy zajmujący chaty osady, byli to ludzie prości, dla których obcemi zupełnie stały się wszelkie przebiegi światowe; żyli oni w sobie i dla siebie, dążąc stanowczo do jedynego wytkniętego celu, a celem tym było szybkie gromadzenie pieniężnych zasobów. Handel wśród ruchliwego społeczeństwa, jest tylko jednym z tysiąca środków do utrzymania życia służących; na pustyni zaś, gdzie wszelkie wrażenia, spotęgowane samotnością i brakiem postronnych wypadków, obierają oznaczony kierunek, przemienia się w ideę stałą, splata ze wszystkiemi myślami, przechodzi w soki żywotne istnienia. Handlarz stepów, zajęty wyłącznie swoim procederem, zapomina o wszystkiém co tylko nie ma związku z jego zajęciami; jest on kupcem i bankierem, lichwiarzem i finansistą—w danych razach przybiera na siebie różne maski, umie nagiąć się do wszelkich wyobrażeń: z koczującemi plemionami bywa dobrodusznym, z braćmi po krwi i myśli chytrym i przebiegłym, z nowo-przybyłymi ostróżnym.

(*) Kruki i wrony, równie jak niektóre inne gatunki przelotnego ptastwa, letnią tylko porą nawiedzają te wydziedziczone od przyrody okolice. Pierwsze objawy zbliżającéj się zimy, któréj srogości wytrzymaćby nie zdołały, stają się dla nich hasłem odwrotu na południe. (*Przyp. aut.*)

W każdéj chwili, stosownie do okoliczności, odmienną odgrywa rolę; w każdéj potrzebie znajduje ratunek, w każdém zdarzeniu wie jak sobie poradzić. Takim był Teodor Osipowicz Ostroumów, potentat i władca Dudinki; dwaj bowiem jego sąsiedzi i współtowarzysze, handlujący niby odrębnie, stający nawet częstokroć pozornie na przekór jego operacyom, nie mieli nic swego, lecz spełniali tylko rozkazy i polecenia wszechwładnego Krezusa Północy (*). Z nastaniem lata, udawał się on zwykle dla zakupienia towaru do Tomska, a nawet czasami i do Irbitu; gdy tymczasem jeden z jego pomocników pozostawał w osadzie dla pilnowania dobytku, a drugi przybrawszy na siebie wszelkie cechy zapalonego rybołówcy, wiódł życie koczujące z Ostyakami, Samojedami i Tunguzami, starając się wybadać zręcznie, jakie były rezultaty ich polowań, wnikając w potrzeby, niedostatki lub straty plemion rozsianych w okolicach morza Białego. Tym sposobem powracający przed zimą do swéj siedziby handlarz, znajdował dostatecznie przygotowany grunt pod swoje roboty: wiedział w którem koczkowisku najwięcéj wypadło renów, gdzie wilki najwięcéj wyrządziły szkody, przy kim została palma zwycięztwa w walce z dzikiemi zwierzętami, i do tych wiadomości stosował swój kredyt, czynności, jako też rozmiary osiągniętych korzyści. Zaledwie pierwszy nawał śniegowy początków zimy skrzepł pod naciskiem podbiegunowego mrozu, już ze wszystkich stron sunęły na długich

---

(*) Urlopowany kozak Ostroumów zamieszkały w Dudince, trzyma w obecnym czasie cały handel północnych stron gubernii Jenisejskiéj w swych rękach Wszelkie większe operacye, wszelkie ważniejsze zamiany surowego produktu na towar europejski, nie mogą przyjść do skutku bez jego współudziału. Opinia mieszkańców turuchańskiéj prowincyi, darzy go niesłychanemi bogactwy; chociaż jednak opowiadania o jego skarbach, o zasobach drogocennych futer, towarów wszelkiego rodzaju i gotowiźnie, mogą być przesadzone, nie ulega jednak najmniejszéj wątpliwości, że nietylko zamożnością, ale i wpływem, jaki na wszystkie dzikie plemiona wywiera, przemysłowiec ten najpierwsze miejsce w krańcowych punktach północnéj Azyi zajmuje.

(*Przyp. aut.*)

łyżwach gromady inorodców, i spuściwszy się otworem w krystalizowanéj powłoce wykopanym do wnętrza chaty, szły jako ofiary na zgubę przeznaczone, poddać się dobrowolnie wymaganiom chciwości i łupieztwa samoistnego potentata stepów. Komórkę zajmowaną przez pana*** cienkie tylko przepierzenie z desek oddzielało od obszernéj izby, w któréj prowadzono operacye handlowe, mimowolnie więc był on świadkiem wszystkiego co się tam działo. Co tylko przebiegłość ludzka, szatański dowcip, piekielne wyrachowanie wymyślić zdoła, wprowadzanem było w użycie dla oplątania i obałamucenia naiwnych mieszkańców Północy. Prostota właśnie i dobroduszność biedaków, wierzących ślepo w szlachetne uczucia i cnotę Europejczyków, stanowiła najohydniejszą stronę tych scen. Pojono ich wódką, schlebiano ich namiętnościom, narzucano się z przyjaźnią, straszono prawem, którego ci ludzie nie znając instynktowo się obawiają. Gdy to wszystko nie pomagało, odgrywano scenę, która zawsze pomyślnym uwieńczona bywała skutkiem. Jeden z kozaków działających pozornie na swoją rękę, a w gruncie rzeczy zaprzedanych ciałem i duszą Ostroumowowi, starał się niby to niezręcznie oszukać inorodców; ten ostatni wykrywał podstęp, ujmował się za swoimi przyjaciołami, i surowo gromił nierzetelnego sąsiada. Podobnie bezinteresowny czyn podbijał do reszty stepowców: jakże tu nie wierzyć ślepo i bezwarunkowo człowiekowi, dającemu tak dotykalne dowody życzliwości i współczucia? Dążono więc zewsząd do jamy podbiegunowego nababa, znoszono niezmiernie skarby w bogatych i rzadkich futrach, a powracano ztamtąd z kilku fatałaszkami lub świecidełkami, niemającemi żadnéj prawie wartości.

Pan*** widząc i słysząc to wszystko, nie mógł ani przez chwilę używać tyle pożądanéj dla niego swobody umysłu. Rozjątrzony do najwyższego stopnia, tając wewnętrzny gniew i oburzenie, którego okazać niepodobna było bez narażenia się na prześladowania i niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju, przebył długą porę zimową, tę porę ciągłych ciemności i dokuczliwego mrozu w pośrodku owéj odchłani, a z nastaniem wiosny, gdy w miejsce gór śniegowych, prze-

strzenie stepów zazieleniły pękami podnoszących się z ziemi roślin, opuścił na zawsze osadę.

Kilka miesięcy koczowniczego życia pomiędzy ludami pierwotnemi, wynagrodziło mu stokrotnie doznane zawody; ale gdy znowu nieodmienną koleją rzeczy, pierwsze oznaki nadchodzącéj zimy dały się czuć w powietrzu, należało myśléć o nowém schronieniu. Uciekając przed cywilizacyą, która niby widmo starego świata, w ślad za każdym jego krokiem postępowała, podążył z nieodstępnymi swemi towarzyszami aż do ostatniego punktu niezmiernéj linii etapowéj, łączącéj środek prowincyi północnych z brzegami Oceanu Lodowatego.

Tołstojnos, krańcowa miejscowość zamieszkana przez ludzi pochodzenia europejskiego (*), nie jest właściwie nawet osadą. Jest to coś nieokreślonego, coś czemu trudno dać jakiekolwiekbądź nazwanie. Na samym krańcu długiego i wązkiego cypla lądu wysuniętego głęboko w fale Oceanu, znajduje się mały o jednéj izbie domeczek, przy tym domku stoi obszerny magazyn—ot i wszystko. Dwóch strażników pilnujących zapasów zbożowych, stanowi całą ludność tego ostatniego atomu, okazującego jeszcze słabe tętno życia. Na tysiące wiorst w około nie ma zupełnie nic. W lecie, z trzech stron huczą potężne bałwany; z czwartéj niepozorna drożyna, oznacza związek mieszkańców przylądka z ziemią stałą—w zimie wydmy piaszczyste morskich brzegów, dalekie przestrzenie stepów, skaliste rafy wybiegającego naprzód cypla, pieniące się łożysko wód ujęte niezbłaganą siłą podbiegunowego mrozu, krystalizują się w jedną olbrzymią massę śniegów i lodów, tworząc chaos najrozliczniejszych załamków, gór, i przepaści. Wśród tego odrębnego świata wiecznéj śmierci, nie ma ani drzew, ani krzaków, ani roślin; napróżnoby tam szukać gromad wesołego ptastwa

(*) Powyżéj Tołstojnosa, wśród przylądka bardziéj jeszcze na północ wyskakującego w morze, znajduje się klasztor zamieszkany przez 12-tu mnichów; ale do tego przybytku po za linią kommunikacyiną położonego, żaden Europejczyk zimą dostać się nie zdoła.

(*Przyp. aut.*)

szybującego po przestrzeniach, roju skrzydlatych owadów brzęczących w powietrzu, lub jakiéjkolwiekbądź gadziny pełzającéj po ziemi: biały niedźwiedź siedzący nieruchomie na szczycie lodowéj góry, ciężka foka wlokąca z trudnością potworne swoje cielsko, i postępny kormoran — oto jedyni obywatele tych wydziedziczonych od natury krańców kuli ziemskiéj. Oprócz owych smutnych przedstawicieli organicznego życia, nic tam zupełnie nie istnieje; nawet kontury przedstawiających się wzrokowi przedmiotów, są tylko chwilową złudą przez fantazyę mrozu utworzoną.

Niebotyczne góry, różnorodne załamki skał, wspaniałe gmachy o tysiącach wznoszących się wysoko kolumn, kapiteli i portyków—wszystko to jest niczém inném, jak tylko massą skrystalizowanéj wody, która z pierwszém cieplejszém promieniem słońca rozpłynie się w falach Oceanu, i śladu po sobie nie zostawi. W miejsce rysujących się na tle niebios krajobrazów, będzie próżnia; z próżni następna zima wywoła nowe kształty, nowe zarysy nieistniejących w rzeczywistości okolic, ażeby je znowu zmieniać, niszczyć, wznosić: zawsze, ciągle i bez końca. W téj bezładnéj amalgamie zastygłych żywiołów, gdzie siły organiczne świata krzepną, marnieją—jedynym wszechwładcą jest mróz: przed jego potęgą milknie i zamiera twórczość, a na jéj miejsce powstają widziadła noszące na sobie pozory bytu, a będące w istocie tylko przemijającą ułudą. Człowiek dotarłszy do tych kresów, nie jest pewnym niczego i przestaje wierzyć własnym swym zmysłom. Patrzy na otaczające go przedmioty, a one nikną przed jego oczami, słucha głosów, które nie istnieją, śledzi objawy zmieniające w każdéj chwili zewnętrzną swą formę. Nawet owo wspaniałe oświecenie nocy podbiegunowych, zorza północna, nosi wszystkie cechy fantastycznego zjawiska. Wytłumaczona przez naukę, lecz dla wielu niepojęta, użycza swych blasków tylko obszarom na krańcach zamieszkanego świata położonym; kapryśna w rzutach swoich ognistych słupów, zmieniająca co chwila barwy, nieokreślona w długości trwania, nieoznaczona w czasie pojawienia, pozostanie zawsze dla jednych bezużytecznym widowiskiem, a dla drugich nieodgadnioną tajemnicą.

Przybywszy w te straszne miejsca, pan*** sądził, że znajdzie tam poszukiwany od lat tylu spokój; mniemał, że najsłabszy nawet oddźwięk kipiącego towarzyskiém życiem społeczeństwa ludzkiego, nie dobiegnie w zaklęte, martwe, pozbawione wszelkich oznak istnienia koło bieguna. W jego przekonaniu, owa ostatnia stacya organicznego bytu była jedynym punktem, na którym zniechęcony wirem namiętności światowych człowiek, może znaleźć wytchnienie i bezwarunkową swobodę.

Rozgościwszy się w izdebce, zabezpieczywszy przeciwko spodziewanéj srogości zimy, oczekiwał spokojnie nastania téj złowrogiéj pory, na któréj wspomnienie bledną najśmielsi południowcy, drżą najodważniejsi europejscy podróżnicy. Niedługo czekał: zaledwie zdołał obejrzeć się w nowéj siedzibie, słońce, które od niejakiego czasu pokazywało tylko na chwilę swoje blade oblicze na krańcowym poziomie niebios, zagasło, nieprzejrzane ciemności pokryły świat cały; a mróz, ów mróz, przed którego potęgą milkną wszelkie odgłosy, zastyga krew w żyłach, martwieje wszystko noszące na sobie żywotne cechy, opanował przestrzenie podbiegunowego pasa.

Koniecznym skutkiem wspólnego mieszkania w szczupłéj izdebce, z dwoma strażnikami magazynu, było zespolenie grubego ich życia z kontemplacyjnym żywotem filozofa. O tém nie pomyślał on ani na chwilę. Przepędzając tyle razy całe miesiące w jurtach inorodców, nie uczuł nigdy ciężaru ciągłego towarzystwa ludzi ciemnych i niewykształconych; dzicy albowiem synowie stepów, wrodzonym instynktem powodowani, pojmowali potrzeby jego duszy, i umieli w razie potrzeby kazać zapominać swojéj obecności. Tu jednakże rzecz była zupełnie inna. Dwaj współtowarzysze izdebki, przynieśli z dalekich stron pierwotnéj swojéj ojczyzny wszystkie zarody wad europejskich. Wyższość umysłowa, naturalna powaga, i zamknięcie się w sobie pana*** sprawiły, iż nie śmieli podobnie jak turuchańscy mieszkańcy przechodzić moralnéj granicy, którą ich od siebie oddzielił; ale z drugiéj strony nie widzieli najmniejszéj potrzeby, zmieniać dla dogodzenia fantazyi przybysza wrodzonych przyzwyczajeń,

nałogów i gustów. Mniéj cokolwiek uprzedzony człowiek niż nasz mizantrop pojąłby, że to co go tyle raziło, było naturalném następstwem różnicy wychowania pomiędzy nim a jego otoczeniem. W żadnéj strefie na ziemi, ludzie nie posiadający sami w sobie środków do zajęcia swéj myśli, nie czują tak dotkliwie ciężaru czasu, jak pod biegunem północnym. Sam przechód cieni nocy w światło dzienne i odwrotnie, staje się faktem przerywającym jednostajną posępność pory zimowéj. Tu zaś, gdzie noc raz zapadłszy, trwa całe miesiące, nie przynosząc najmniejszéj zmiany w widoku otaczających przedmiotów grubym pokrytych cieniem, każdy z obcych krain przybyły mieszkaniec, jeżeli tylko nie zerwał bezwarunkowo z przeszłością, lub nie umie żyć wewnętrzném życiem, podlega łatwiéj niż gdzieindziéj zezwierzęceniu i poziomym namiętnościom. Ponura ciemność, przymusowa stagnacya, brak wszelkiéj podniety do poczucia piękna natury, wyradza wśród pory zimowéj w pierwotnych plemionach przywykłych do tego stanu rzeczy, rodzaj apatycznego odrętwienia; w napływowéj zaś ludności staje się jedną z najgłówniejszych przyczyn demoralizacyi, pijaństwa i moralnego upadku.

Przy podobnych warunkach, zgadnąć łatwo można co się działo w téj rzuconéj na kresy zamieszkanego świata izdebce, któréj jedyną ludność stanowił szukający spokoju samotnik i dwóch nieokrzesanych gburów, bez stałego zajęcia, nie wiedzących co robić ze swoim czasem. Z początku surowa i wyniosła postać, wzrok dumny i nieprzystępna powierszchowność pana ***, imponowały nieprzywykłym do widoku ludzi innéj warstwy społeczeństwa prostakom; lecz wkrótce, gdy się do jego obecności przyzwyczaili, wyszły na scenę jeden za drugim wszystkie sposoby, dla skrócenia w podobnych razach długiego czasu używane. Najprzód pojawiła się talia starych, zatłuszczonych kart, jako broń do stałéj szermierki, któréj areną był brudny o trzech nogach stół, podnietą chęć zysku, a trofeami parę garści miedziaków. Dwaj zapaśnicy walcząc zawzięcie o kopiejki, nie oszczędzali sobie wzajemnie różnych epitetow, i nieodznaczających się bynajmniéj estetyką wyrażeń—a gdy dla roz-

weselenia umysłu wystąpiła na plac i spora flaszka z wódką, wymiana dotkliwych przydomków przeszła nieznacznie w swary, kłótnie i wymyślania. Podbudzone grą i trunkiem namiętności, wybuchały niejednokrotnie z całą siłą; kłótnia przemieniała się w bójkę, chwilowe nieporozumienia w jawną i otwartą potyczkę—a szukający spokoju odludek, świadek tego wszystkiego, o mało częstokroć nie został dosięgnięty lecącą w powietrzu butelką, szczapą drzewa, lub innym jakim niepewną wyrzuconym ręką pociskiem. Jako po każdéj krwawéj wojnie rozkwitają zazwyczaj błogie owoce pokoju, tak i tu po zawziętych zapasach, gdy obaj rycerze doszli do tego rozkosznego peryodu pijaństwa, w którym złorzeczenia zmieniają się w łzy czułości, podniesione pięści wyciągają do uścisku, a na gruzach niechęci powstaje zachwyt kilko-godzinnéj przyjaźni, następowała żadném przykrém wspomnieniem niezaćmiona zgoda, zakończona upadkiem szermierzy pod ławę i głośném chrapaniem.

W czasie trwania przyjacielskiego zbliżenia, w epoce odgraniczającéj zapasy wojenne od snu na pobojowisku, muzyka posiadała wyłączny przywiléj łagodzenia ubiegłych niechęci i niezapomnianych zupełnie nieporozumień. Wszystkie znane na Syberyi pieśni, wygłoszone dwoma potężnemi, choć po części ochrypłemi basami, grzmiały przy akompaniamencie strun bałałajki, a pląsy, skoki, i tupanie byczka, łączyły wdzięk Terpsychory z urokiem Melpomeny.

W tym chaosie krzyków, kłótni, sporów, w tych kolejnych przemianach zaciętych bójek na hulackie pieśni—pan*** przykuty do jarzma, jakie z własnéj woli na siebie nałożył, zmuszony był przepędzić smutną porę zimową. Po za ciasnym obrębem czterech ścian izdebki służącéj mu za więzienie, stał zawsze na straży nieubłagany mróz, wstrzymujący wszelkie zachcianki wydobycia się choć na chwilę z zaklętéj miejscowości. Jak nowożytny Prometeusz, związany nierozerwanemi łańcuchy z nienawistnemi mu pierwiastkami istnienia, przeklinał w duchu nieszczęśliwy dzień, w kótrym powziął myśl zasklepienia się wtym krańcu północnych obszarów. Wszystkie próby jakie dotąd przeszedł, pragnąc zdobyć sobie niezależność, i oswobodzić z więzów świato-

wych krępujących jego wyobrażenia, zdały mu się niczém w porównaniu z tą ostatnią kaźnią. Doprowadzony do ostateczności, żałował natrętnych sąsiadów Turuchańska, żałował niesumiennych handlarzy Dudinki, a nawet miewał chwile tak strasznego zwątpienia, w których bez goryczy i wstrętu, wspominał o zézowatych oczach niefortunnéj córki dyakona.

Tak przeszła zima.

Z ustaleniem się komunikacyi wiosennych, odebrał wiadomość o przybyciu rodzonego swojego brata do Minusińska. Brat pana*** w niczem nie był do niego podobnym. Systematyczny, wyrachowany, stosujący się w najdrobniejszych szczegółach do wszystkich form i zwyczajów przyjętego na świecie porządku społecznego, od najmłodszych lat życia pracował w gałęzi administrucyjnéj; a walcząc ciągle z trudnościami rządowéj służby, i dosługując się powoli coraz wyższego stopnia, przyjechał w końcu na Syberyę, w celu objęcia korzystniejszych w tych stronach obowiązków. Pomimo jednak odrębnych wyobrażeń mizantropa, miłość związków krwi i przywiązanie do jedynego członka rodziny nie zagasły w nim zupełnie; dla tego téż otrzymawszy zawiadomienie o przybyciu brata, pośpieszył w jego objęcia.

W tym właśnie czasie, widziałem po raz ostatni filozofa z nad brzegów Oceanu Lodowatego. Wszystkie wyżéj przytoczone szczegóły ciągłych walk z klimatem, przyrodą i namiętnościami ludzkiemi, opisywał on nam jaskrawemi barwy, lecz pomimo doznanych niepowodzeń, nieugięty był w zamiarze udania się napowrót w podbiegunowe strony. Namowy brata, szczerze przezemnie popierane do pozostania w Minusińsku, żadnego nie wywarły nań skutku. Fanatyk wyłącznéj idei, która go opanowała, odrzucał wszelkie rezonowania, nie przyjmował żadnych wniosków, stronił od każdego argumentu. Gdy już wszystkie w podobnych razach używane środki wyczerpanemi zostały; gdy z kolei poruszone czułe struny serca, obowiązki względem ogółu, a wreszcie i zasady zdrowéj logiki, nie znalazły oddźwięku w jego duszy— brat pragnąc jakimkolwiekbądź sposobem zatrzymać przy

sobie nieszczęśliwego wędrowca Północy, odezwał się na końcu w te słowa:

— „Dobrze, przypuśćmy na chwilę, że wszelkie dobrodziejstwa wykształcenia i nauki są tylko czczém marzeniem, że człowiek w stanie natury żyjący jest typem możliwéj doskonałości na ziemi, że wreszcie dzika prostota barbarzyństwa stała się jedyną skarbnicą starożytnych cnót—ale gdzież istnieje tak oddalony punkt na świecie, do któregoby namiętności i drobne nędzoty społeczeństwa ludzkiego dobiedz nie zdołały? Wszak miałeś przykład na sobie uciekając przed niemi. W ślad za tobą goniło samolubstwo, cynizm i wszystkie nędzne uczucia obecnego wieku, tém ohydniejsze, że nagie, nie pokryte żadnemi zewnętrznemi formami, jakiemi cywilizacya ma zwyczaj ubarwiać swoje ułomności.“

— „Będę jeszcze próbował,—odrzekł niezwalczony w swym uporze odludek: — zbuduję sobie chatę zdala od linii komunikacyjnéj łączącéj północ z południem, lub przeniosę się nad cieśninę Behringa, pomiędzy plemiona Czukczów, i kto wié, może znajdę tam spokój, którego dotąd napróżno poszukiwałem.“

— „A jeźli to wszystko nic nie pomoże?“

— „Wtedy powędruję jeszcze daléj, coraz daléj... choćby nawet do samego bieguna północnego!“

Spojrzeliśmy na siebie z przerażeniem: monomania pana*** była nieuleczoną!

KONIEC.

SPIS RZECZY.

I.

Studia Etnograficzne.

II.

Studia Zoologiczne.

III.

Studia Ekonomiczne.

IV.

Studia Obyczajowe.

OMYŁKI DRUKU.

Stronica	wiersz	zamiast	czytaj
81	20	*niemoralny*	*nienormalny*
151	38	*Framen*	*kolców.*

